XAWERY LISKE.
+ 27/2 1891 r.

CUDZOZIEMCY W POLSCE

L. NAKER. — U. WERDUM. — J. BERNOULLI.
J. E. BIESTER. — J. J. KAUSCH.

WE LWOWIE,
NAKŁADEM GUBRYNOWICZA I SCHMIDTA.
Z DRUKARNI E. WINIARZA.
1876.

PRZEDMOWA.

Od dawien dawna przybywali cudzoziemcy do kraju naszego bądź w celach handlowych, bądź w misyach dyplomatycznych lub z wyprawami wojennemi, a w przeszłym wieku często także jako turyści. Byli to po większej części wykształceni ludzie, którzy z zajęciem przypatrywali się stosunkom nieznanego im dawniej kraju. Niejeden z nich pozostawił po sobie opis tego pobytu swego w Polsce.

Nie potrzeba dowodzić, że tego rodzaju opisy stanowić muszą ważny i ciekawy materyał do dziejów obyczaji i kultury narodu naszego, bo cudzoziemcy ci zapisali w opowiadaniach swych mnóstwo szczegółów, na które nasi krajowi współcześni pisarze nie zważali, bo zdawało im się, że takich rzeczy notować nie warto. Właśnie takie szczegóły zaś dzisiaj dla nas, chcących poznać dokładnie przeszłość naszą, stają się wzmiankami nieocenionemi, któreby były na zawsze zaginęły, gdyby ich nie był zapisał w opowiadaniu swem taki cudzoziemiec.

Dalej ów oryginalny punkt widzenia człowieka przybywającego z obcego kraju i przypatrującego się naszym stosunkom obudza nieraz wielkie zajęcie, a spostrzeżenia jego zwykle porównawcze wyjaśniają nam często niejedną ciemną zagadkę. Nie zawsze, co prawda, polegać można na każdym szczególe takiego opowiadania, często zabarwionego z tych lub innych powodów sympatyą lub antypatyą dla nas, lecz taka to już słabość w ogóle ułomnej

natury ludzkiej, która nigdy do zupełnej bezparcyalności w przedstawieniach swych wznieść się nie umie.

Krajowa nasza pamiętnikowa literatura jest wcale stosunkowo bogata, dodajmy do niej jeszcze pamiętniki obcych o nas, a wtedy dopiero ułoży się jako tako dokładny obraz wewnętrznego naszego stanu.

Te pamiętniki obcych zaś dotąd bardzo mało u nas były uwzględniane; szereg tłumaczonych lub w streszczeniu podanych jest bardzo szczupły. Innych albo wcale nie znaliśmy, albo też z czasem poszły w zapomnienie.

Postawiłem sobie zatem za zadanie odgrzebać te opowiadania o nas cudzoziemców, którzy w kraju naszym przebywali, przyswojić je naszej literaturze bądź to, jeźli na to zasługują, w dosłownych przekładach, bądź też, jeźli podrzędniejsze zajmują stanowisko, tylko w streszczeniach.

Zdaje mi się, że zbiór taki nietylko powinien się stać wcale cennym materyałem dla naszej umiejętności historycznej, lecz że powinien być zarazem książką ponętną dla szerszej publiczności, oczywiście tej, którą losy przeszłości narodu naszego obchodzą.

W książce tej znajdą szanowni czytelnicy pierwszą seryę takich cudzoziemców, których łączy z sobą jedna narodowość: są to sami Niemcy. Niemcy bowiem jako bezpośredni nasi sąsiedzi najczęściej nas odwiedzali i najliczniejsze opisy po sobie pozostawili. Nie zbywa jednak także na opisach ludzi należących do innych narodowości: Anglików, Francuzów, Włochów.

Jeźli publiczność książkę tę przychylnie przyjmie, nastąpią po tej pierwszej seryi szybko po sobie następne, które i inne narodowości uwzględnią.

We Lwowie w lipcu 1876 r.

Xawery Liske

Liboryusz Naker

1497.

Jednym z dawniejszych pomników o Polsce, skreślonym ręką cudzoziemca, który przez pewien czas w granicach kraju polskiego przebywał, jest dziennik Liboryusza Nakera.

O osobie autora bardzo mało wiemy. Był on pierwszym sekretarzem wielkiego mistrza Jana Tiefena, wraz z nim odbywał 1497 r. wyprawę do Polski a potem ciało jego ze Lwowa do Królewca odwoził. Dziennik swój niewątpliwie spisywał w ciągu samej podróży, albo przynajmniej w czasie pobytu w Polsce robił sobie zapiski a za powrotem do Królewca ułożył i opracował je.

Zachowały się dwa rękopisy tego dziennika w królewieckiem archiwum, jeden oryginał, drugi kopia, albo raczej przerobienie, przez samego Nakera dokonane. Na tych dwóch rękopisach, z uwzględnieniem ich różnic, opiera się wydanie Töppena (w tomie V jednego z najcelniejszych zbiorów niemieckich: *Scriptores rerum prussicarum*), z którego będziemy korzystali. Wydanie dziennika tego jest w ogóle staranne, w niektórych miejscach tylko, zwłaszcza w nazwach miejscowości, nie dobrze odczytał wydawca rękopis, innych nie rozumiał, do innych wreszcie nie dodał objaśnień, jak należało uczynić. Są to jednak dość drobne niedostatki. Na ważniejsze z nich wskażemy jeszcze w odpowiedniem miejscu.

Sam dziennik nie jest to wcale suchy spis wypadków, taki, jak n. p. dziennik podróży margrabiego Albrechta brandenburskiego przez część Wielkopolski do Prus, umieszczony także w tym samym zbiorze niemieckim. Owszem przebija w nim szczera przychylność, a nawet prawdziwa cześć dla rzeczywiście wielce szanownego i zacnego wielkiego mistrza Jana Tiefena, a zarazem widocznie tylko tłumione oburzenie na postępowanie z nim króla Jana Olbrachta, oburzenie zupełnie zresztą, jak zobaczymy, uzasadnione. Wiarogodność i prawdomowność Nakera nie podlegają zresztą żadnym zarzutom, jedynie tylko w opowiadaniu o staroście Pawle, który ich z rozkazu królewskiego przez kraj polski prowadził, daje on się czasami, powodowany antypatyą do niego, porwać do wypowiedzenia może nie zawsze uzasadnionych podejrzeń, tak n. p. kiedy mówi, opisując powrót z ciałem zmarłego mistrza, o zamknięciu bram w Bełzie i zamiarze mieszczan niewypuszczenia Krzyżaków z miasta, i przypisuje całe to zajście podstępowi starosty Pawła, choć ten wszelkich dokładał starań, aby Krzyżaków uwolnić z tego przykrego położenia. W ogóle jednak jest opowiadanie Nakera prawie wszędzie zupełnie wiarogodne, a jego oburzenie i my podzielamy.

Dziennik ten ma zresztą większe znaczenie ze względu na dzieje polityczne, niż dla historyi obyczajów ludności krajowej, choć i co do tego zawiera niektóre ciekawe szczegóły, tym cenniejsze, że jak dotąd nie posiadamy prawie żadnego zabytku, który by nam wyjaśniał tę stronę ówczesnego życia.

Uzupełnić dało się opowiadanie Nakera tylko w drobnych szczegółach, zaczerpniętych z listów przechowanych w archiwum królewieckiem a przytoczonych w historyi pruskiej Voigta.

Opowiadania naszych kronikarzy zresztą, Miechowity, Wapowskiego co do szczegółów pobytu wielkiego mistrza

w Polsce bardzo suche i niedokładne, nie zawsze się zgadzają z opowieścią zakonnego sekretarza, zwłaszcza z tem, co mu z różnych stron mówiono o zamiarach i powodach Jana Olbrachta, które go do wołoskiej wyprawy skłoniły.

Zanim jednak przystąpimy do właściwego opowiadania, uważamy sobie za obowiązek skreślić tu jeszcze kilka słów wstępnych dla wyjaśnienia stanowiska, w jakiem się wówczas zakon niemiecki w obec Polski znajdował.

Po długoletniej walce upadła wreszcie na zawsze potęga wrogiego Polsce niemieckiego zakonu, pokój toruński z r. 1466 pozbawił zakon zachodnich Prus, później królewskiemi zwanych, a wschodnie oddał wielkim mistrzom tylko jako lenno polskie. Hołdownik Polski w. mistrz był odtąd zobowiązanym stawić się ze zbrojnym oddziałem na zawołanie króla, popierając Polskę w walkach z nieprzyjacielem. Zakon jako taki od dawna stracił racyą bytu, bo założony dla walki z poganami od ochrzcenia Litwy nie miał pogan w swem sąsiedztwie, nie walczył nigdzie w obronie wiary Chrystusowej. Słusznie więc i sprawiedliwie, że teraz przypadło mu nowe zadanie: popierać Polskę, stojącą na przedmurzu świata chrześciańskiego, wystawioną na bezustanne walki z dzikiemi hordami Tatarów i Turków, w bojach jej z licznymi i niebezpiecznymi wrogami. Obowiązku tego nie potrzebował już wypełniać w. mistrz zawierający pokój toruński, Ludwik z Erlichshausen, kilka miesięcy bowiem po podpisaniu pokoju zszedł już w r. 1467 ze świata. I żadnego z trzech następców jego, rządzących do roku 1489, Henryka Reuss von Plauen, Henryka von Richtemberg i Marcina Truchsess, nie powołano na pomoc zagrożonej Polsce, i oni zatem nie potrzebowali wypełniać owego warunku toruńskiego pokoju. Dopiero na czwartego następcę Erlichshausena spadł ten obowiązek. Był nim Jan

Tiefen, wybrany mistrzem 1 września 1489 r., potulny, pobożny, dobroczynny książę.

W ósmym roku swych rządów odebrał Jan Tiefen zawezwanie od króla Jana Olbrachta, aby się stawił ze zbrojnym oddziałem na pomoc Polsce w walce z Turkami. Było to r. 1497; chodziło wtedy, jak wiadomo, o ową i dotąd jeszcze zagadkową wyprawę, na którą król zebrał ogromne jak naówczas siły, a która niestety przyszła do skutku i zakończyła się klęską i odwrotem, nie dotarłszy nawet do krajów tureckich, nie zwyciężywszy nawet Stefana mołdawskiego, lecz tylko podraźniwszy go. Smutna ta, ani w szczegółach swych, ani co do celów swych dotąd jeszcze dokładnie nieznana wyprawa, dała się krwawo we znaki także posiłkującemu oddziałowi krzyżackiemu, którego marsz przez Polskę i pobyt we Lwowie i okolicach Halicza teraz według najwiarogodniejszego świadectwa, wymienionego już powyżej dyaryusza sekretarza krzyżackiego Liboryusza Nakera, opisać zamierzamy.

Stosownie do przepisów pokoju toruńskiego odebrał w. mistrz kategoryczny rozkaz od króla Jana Olbrachta, aby się niezwłocznie zajął uzbrojeniem oddziału i stawił się z nim na pomoc królowi w grożącej z Turkami walce, tak, żeby już około św. Jana 1497 r. zajął przeznaczone pod Glinianami[1]) stanowisko. W. mistrz ani chwili się nie namyślał, owszem niezwłocznie był gotów zadość uczynić woli królewskiej, lecz stanęły mu na przeszkodzie rzeczywiście ogromne trudności. Kraj zakonny był zubożały, siły jego wyczerpane, kasy wypróżnione, liczne zaległości jeszcze niewypłacone, ludność zaraźliwemi chorobami zdziesiątkowana. Stany pruskie albo nie mogły, albo nie chciały skutecznie wesprzeć opuszczonego swego zwierzchnika. Jan Tiefen udawał się z prośbami o pomoc do mistrza inflanckiego, do komturyi niemieckich, austryackich, alzackich, włoskich. Mimo to nie pozostawało mu nic innego, jak zastawić kilka mąjętności zakonnych, aby zebrać koniecznie potrzebne fundusze[2]). Po takich wysiłkach zdołał wreszcie przygotować i uzbroić oddział, wcale zresztą nieliczny, na którego czele zamierzał sam wyruszyć na pomoc królowi.

Zebrało się więc wszystkiego około 400 zbrojnych, między nimi niektórzy wysocy dygnitarze zakonni, a mianowicie Szymon Drahe, pełniący obowiązki wielkiego marszałka, komtur Hollandu, Ludwik Sausheym komtur z Osterode, Wilhelm Schaumburg, starosta z Barten, Eberhard Thorer „*karbiszherr*“ t. j. przełożony nad taborem i chorąży polny, Jan von der Gabelentz i Jan Katwitz przyboczni doradcy mistrza, Henryk Pilgram kuchmistrz, Liboryusz Naker najwyższy sekretarz wraz z dwoma pomocnikami, Marcin Preuss starszy podskarbi, Fryderyk Lawalt sędzia nadworny i cały szereg innych rycerzy, panów, prostych żołnierzy, służby, pachołków i t. d.

---

1) Wapowski powiada, że król kazał stawić się mistrzowi do Lwowa. Wapowski wyd. Szujskiego str. 23 i 24.

2) Zobacz Voigt, *Geschichte Preussens* IX, 222 i 223.

Zamianowawszy na czas niebytności swej wielkiego komtura Wilhelma von Eisenberg swym namiestnikiem i przesławszy do mistrza inflanckiego przyrzeczenie, że w razie niebezpieczeństwa ze strony Moskwy nie zapomną o nim Prusacy i przyszlą mu posiłki, wyruszył w. mistrz w oktawę Bożego Ciała, a więc dnia 1 czerwca 1497 r. z Królewca ku granicom Polski.

Przeszedłszy przez Ortelsburg i Willenberg, opuszczono terrytorym zakonne, a dopiero 12 czerwca zatrzymano się w miasteczku Prasnyżu, gdzie w. mistrz musiał towarzyszącym mu panom z prowincyi, którzy nie byli członkami zakonu, wystawić zobowiązanie, że każdemu z nich, któryby na tej wyprawie stracił konia, wypłaci za powrotem cenę jego. Jednocześnie napisał także do namiestnika polecenie tej treści: aby niezwłocznie zajął się uzbrojeniem nowych posiłków, bo oddział zakonny uważają Polacy za niedostateczny[1]). Mimo to jednak, jak to jeszcze zobaczymy, nie wysłano z Prus żadnych nowych posiłków. Uwagi o niedostateczności zakonnego oddziału pochodziły niewątpliwie od przystawa królewskiego, oczekującego mistrza na granicy, niejakiego Pawła, starosty wąsoskiego[2]).

Powoli odbywał się pochód sędziwego mistrza, w dwanaście dni doszedł do Prasnyża, w środę przed św. Witem t. j. dnia 14 czerwca stanął w Pułtusku, miasteczku położonem nad Narwią na północ od Warszawy. Biskup płocki „stary pobożny pan“ (był nim wówczas Piotr z Kotkowa, który zmarł jeszcze tego samego roku) bardzo gościnnie przyjął mistrza i jego orszak, zaprosił go wraz komturami i rycerzami zakonu na obiad, uczęstował suto i wspaniale jadłem i napojem, ale sam dla zbyt w skutek starości osłabionych sił nie mógł osobiście wziąć udziału w uczcie. Po obiedzie błogosławił swych gości, a mistrza samego udarował beczką wina reńskiego i wyświadczył mu wszelkie tak wysokiemu dygnitarzowi przynależne honory.

---

1) Voigt IX, 224 i 225.

2) Tak bowiem tłómaczę wyrażenie Nakera „*zcu Wagenschos starost*“, sądząc że Paweł używał tytułu starosty z Wąsosza w ziemi Wiskiej na Mazowszu. Król Jan Olbracht zwie go w jednym z listów swych (Script. rer. prussic. V, 305) „Paulus Grambeczky capitaneus Wisznensis“, co tłómaczymy przez: „starosta wiski“. Nazwę Wąsosz, miasta w ziemi Wiskiej, przekręcił więc Naker na „Wagenschos“, albo raczej tak miasto to Niemcy nazywali (zob. Script. V, 336). Przemawia za tem i to, że, jak to wkrótce zobaczymy, Paweł rzeczywiście pochodził z Mazowsza i był poprzednio w służbie książąt mazowieckich. Same jego nazwisko „Grambeczky“ pewnie także przekręcono prawdopodobnie z Grebęcki, nazwiska familii mazowieckiej herbu Jastrzębiec (zob. herbarz Niesieckiego).

Opuściwszy Pułtusk rozłożył się oddział zakonny w sobotę po świętym Wicie t. j. 17 czerwca obozem nad Wisłą w pobliżu Warszawy i odpoczywał tu przez następną niedzielę (18. czerwca). Żołnierze zakonni, którzy wszystkie swoje potrzeby opędzali z własnej kieszeni, przeprawiali się tu przez rzekę do Warszawy i zakupowali czego im było potrzeba. Książe Konrad mazowiecki, ówczesny pan Warszawy, nie stawiał wprawdzie ludziom zakonnym żadnych przeszkód, ale nic nie uczynił, żeby uczcić znajdującego się w pobliżu mistrza. Nie zaprosił go do siebie, lecz kazał się tylko uniewinnić, że obecnie z królem na tak złej stoi stopie, iż dążącego na pomoc królowi mistrza uczcić mu nie wypada. Prócz tego nadmienił jeszcze mimochodem posłaniec, że w towarzystwie mistrza znajduje się pewna osobistość, którą koniecznie unikać muszą. Przymówki te odnosiły się do przystawa królewskiego, owego Pawła, starosty wąsoskiego, o którym opowiada sekretarz mistrza, że po śmierci Jana księcia mazowieckiego, którego był pisarzem i pokojowcem, przeszedł do króla opuszczając Mazowsze, a stąd obudził wielkie podejrzenie na Mazowszu. „Nazwisko jego było Paweł, ale daleko mu do obyczajów i życia św. Pawła“ — dodaje sekretarz.

W poniedziałek 19. czerwca, puściwszy się w dalszy pochód traktem ku Lublinowi i zatrzymawszy się dnia 22 czerwca na krótko we wsi Woli, gdzie napisał list do króla, wysłany z Lublina do obozu królewskiego, stanął Tiefen z oddziałem swym w dniu św. Jana (24 czerwca) w Kurowie, miasteczku nad rzeczką Kurówką, po prawym brzegu Wisły. Abraham Roacki (?), doktor prawa kanonicznego i dziedziczny pan Kurowa, gościnnie przyjął mistrza i jego rycerzy.

W poniedziałek po św. Janie (26 czerwca) wjechał w. mistrz na czele swojego oddziału do Lublina, wszyscy w najlepszych zbrojach i wojennym porządku, na czele mistrz z jazdą, za nimi piechota a w końcu tabory. Przypatrujący się Polacy wychwalali orszak zakonny, szacując go na 1500 ludzi i koni, choć jak wiemy, liczył tylko 400 zbrojnych.

Aż dotąd przez znaczną część Polski i Mazowsza odbywał w. mistrz pochód z oddziałem swoim zupełnie na własny koszt, bez wszelkiego ze strony króla poparcia. Teraz (27 czerwca) rozesłał posłańców na dwie strony, jednego do swego namiestnika w Prusiech z gorącą prośbą o pomoc pieniężną, bo utrzymanie

oddziału w kraju tak spustoszonym niesłychanie dużo kosztuje,[1]) a rada miasta Lublina dała oddziałowi tylko 20 szefli owsa i 4 beczułki piwa, — drugiego z listem do króla, napisanym, jak to wyżej nadmieniłem, już 22 czerwca we wsi Woli.

W liście tym donosił w. mistrz królowi, że na jego żądanie aby się stawił pod Glinianami, wyruszył ze zbrojnym oddziałem, żeby wspólnie z królem walczyć przeciw niewiernym Turkom, ale że za obietnicą wysłańca królewskiego spodziewał się, iż potrzebną dla siebie, oddziału swego i ludzi żywność i napój będzie miał dostarczone. Tymczasem nie tak się stało, bo nie tylko potrzeb mu nie dostarczają, lecz zarazem kraj jest tak spustoszony i ogołocony, że nawet za własne pieniądze niczego dostać nie można, wozić zaś za sobą, lub sprowadzać zapasy z Prus, jest rzeczą niemożliwą z powodu zbyt wielkiego oddalenia. Jeżeli zatem król nie zaradzi niedostatkowi temu, to z trudnością dójść będzie można do celu, niech więc z radą swą łaskawie sprawą tą zająć się raczy i każe oddziałowi dostarczyć potrzebnego pożywienia, tak jak się to niegdyś stało za życia ś. p. ojca królewskiego i nawet już za rządów samego teraźniejszego króla[2]), w ten sposób bowiem tylko będzie mógł przybyć w. mistrz wraz z oddziałem bez straty w ludziach i koniach do wojska królewskiego.

Na odpowiedź na te zgoła słuszne i sprawiedliwe żądania czekał w. mistrz w Lublinie aż do 1 lipca. Nie doczekawszy się jej, wyruszył w dniu tym, była to sobota, z Lublina i stanął w miasteczku Biskupicach *(Bischkowitz)*, położonym na południowo-wschodniej stronie od Lublina nad rzeką Kiełdziewką, wpadającą niedaleko od miasteczka do Wieprza. Źle się wybrał oddział, bo panowała tu zaraza, i już dużo pomarło ludzi. Późno wieczorem przybył posłaniec, wysłany z Lublina do króla, przywożąc odpowiedź datowaną z wtorku po dniu św. Jana Chrzciciela (27 czerwca)

---

[1]) Voigt IX, 226.

[2]) „Wie von e. K. M. Vater szeliger und ouch e. g. genediglich vormals gescheen ist" — ze słów tych zdaje się wynikać, że już za panowania Kazimierza i w pierwszych latach panowania Jana Olbrachta nadsyłali Krzyżacy zbrojną pomoc Polsce. Na jakie wyprawy, nie wiemy. Wiadomo nam, że w roku 1486 na żądanie króla uzbroili Krzyżacy oddział i na czele jego stanął sam w. mistrz, aby wyruszyć na pomoc królowi podczas napadu tureckiego, którego się obawiano. Lecz oddział ten nie opuścił Prus i do Polski wcale nie wkroczył, rozpuszczono go po pewnym czasie (zob. Voigt IX, 152 i następne).

z obozu królewskiego pod Gołogórami (jest to miasteczko leżące w teraźniejszym złoczowskim powiecie w Galicyi).

Treść odpowiedzi tej była następująca: „Król chętnieby dostarczył w. mistrzowi, idącemu do niego, taką prowizyą, jaką zmarły jego ojciec dostarczał poprzednikom mistrza i jemu samemu, kiedy chodziło o sprawę domową (*si res domestica tractaretur*). Ponieważ atoli obecna wyprawa dotyczy nie tylko obrony Rzeczypospolitej, [1] lecz całego Chrześcijaństwa, a król jej się podjął jako monarcha katolicki, przy pomocy bożej, nie zważając na żadne straty i przeszkody, i uważając w. mistrza za obowiązanego do niej, napomina go zatem król, ażeby wypełniając warunki wieczystego pokoju, pospieszył czemprędzej połączyć się z jego armią i przyczynić się do wykonania świętego dzieła."

Odebrawszy taką odpowiedź, odmawiającą wręcz mistrzowi wszystkiego tego, czego się domagał, zebrał mistrz dygnitarzy i rycerzy zakonnych na naradę. W skutek zapadłej na niej uchwały wysłano Jana Katwitza, drugiego z przybocznych mistrza doradzców, z odpisem listu królewskiego do Prus w tym celu, żeby hrabiemu Wilhelmowi Eisenburgowi, namiestnikowi i wielkiemu komturowi zakonu, ustnie przedstawił smutne położenie mistrza, innym zaś dygnitarzom, jako i stanom i miastom, a przedewszystkiem miastom Królewcowi i Kneiphoffowi (jest to jedna z trzech części ówczesnego Królewca) piśmiennie doręczył następujące przedstawienie:

„Za radą prałatów, dygnitarzy, stanów i miast naszych, a na rozkaz Jego Król. Mości, żeby się udać przeciwko niewiernym Turkom, nie oszczędzając podeszłego naszego wieku, podjęliśmy tak ciężką, dokuczliwą i daleką wyprawę w nadziei, że Jego Król. M. dostarczy nam pomocy i potrzeb, co atoli nie nastąpiło, jak widzieć można z listu i odpowiedzi Jego Król. Mości. Z tego możecie poznać i ocenić, że pomoc udzielona nam od stanów i miast naszych nie wystarczy na tak daleką drogę, zwłaszcza że kraje te spustoszone są przez własnych ludzi króla pana, którzy do wojska jego ciągną, a którzy przez te spustoszenia i plondrowania ogromną drogość wywołali, tak że nawet za pieniądze potrzeb dostać nie można. Dla tego pilnie żądamy i prosimy, ażebyście zważyli i do serca sobie wzięli, żeśmy tak daleką i ciężką wyprawę wzięli na siebie, ażeby dla krajów naszych pruskich zachować spokój i łaskę.

---

[1] W jednym z rękopisów dopisano tutaj na marginesie: Hoc mentitur rex", co znaczy: kłamie król.

Starajcie się zatem, radźcie i szukajcie sposobów i dróg, żebyśmy bez pomocy nie byli pozostawieni, lecz jako pan waszego kraju na cześć naszego zakonu, a na pożytek wam wszystkim czemprędzej zaopatrzeni w dostateczną pomoc pieniężną, tak ażebyśmy za łaską Bożą pokonawszy nieprzyjaciela jego św. wiary, bez strat i głodu wrócić mogli zdrowo do krajów naszych pruskich. Dan w Biskupicach w niedzielę Nawiedzenia N. Maryi Panny (2 lipca) r. p. 1497."

Tej samej niedzieli wśród wielkich upałów opuścił wielki mistrz z oddziałem Biskupice z powodu niebezpieczeństwa grożącego od panującej tam zarazy i udał się do Krasnegostawu, miasteczka na trakcie lubelsko-lwowskim, nad rzeką Wieprzem położonego. Pozostał tu także dnia następnego, ażeby wytchnąć koniom, które od upałów bardzo były wycieńczone, sam sekretarz stracił tu jednego ze swych koni. Było to pierwsze miasto na Rusi — dodaje Naker.

We wtorek (4 lipca), przeprawiwszy się przez Wieprz, przybył oddział do miasteczka Wojsławic, które w bardzo smutnym znalazł stanie, bo część jego leżała w gruzach spalona. W zamku królewskim zamieszkał mistrz, zaprosin zaś Dominikanów z tamtejszego klasztoru, żeby się przeniósł do nich, nie przyjął, ponieważ już Polacy byli się w klasztorze kwaterą rozłożyli.

W środę (5 lipca) stanął oddział w Hrubieszowie, o cztery mile od Wojsławic według obrachunku Nakera, w czwartek (6 lipca) o trzy mile w Poturzynie, a w piątek (7 lipca) w Bełzie o trzy mile od Poturzyna. Dnia następnego (8 lipca) odpoczywał tutaj oddział krzyżacki. Wielki mistrz rozgościł się w klasztorze Dominikanów. Tego samego dnia przechodził oddział dobrzyńskiej szlachty przez Bełz do armii królewskiej. Rozłożyli się oni taborem przed miastem w obrębie zamku bełzkiego, nie murowanego z cegieł, lecz z drzewa zbudowanego, z bastyonami i wieżami, na okół mur lepiony z gliny. Pomiędzy Dobrzynianami znajdował się jakiś szlachcic wiecznie pijany, który już w Lublinie podchmielony pozwalał sobie głupich i nieprzyzwoitych żartów, spotkawszy Jerzego Worma, dowódzcę krzyżackiego. Pijanica ten chciał w sobotę przez rynek jechać do swego taboru. Czeladź zakonna spostrzegłszy, że od pijaństwa ledwie utrzymać się może na koniu, zaczęła naśmiewać się z niego. Rozsierdził się szlachcic i odpowiedział ostremi i obelżywemi wyrazami [1]). W mgnieniu oka powstało liczne zbiegowisko;

1) „Do hub her an zow schelden viaban etc.," powiada Naker a wydawca Töppen dodaje: „Viaban ist offenbar ein Schimpfwort, welches die

Polacy nadbiegli na pomoc zaczepionemu towarzyszowi, a czeladź zakonna wsparła znów swoich. Porwano się z obu stron do noży i mieczy, ponaciągano łuki. Kapitan zakonny Jerzy Worm, przybiegłszy na miejsce zamieszania, starał się wszelkiemi siłami, żeby pogodzić powaśnionych, ale o mało bardzo źle na tem nie wyszedł, bo jeden z rozjuszonych Dobrzynian rzucił się na niego, i tylko zręczności swej miał Worm do zawdzięczenia, że usunął się szczęśliwie z pod ciosu napastnika.

Czeladź zakonna obsadziła wtedy bramę miejską, nie chcąc wypuścić zagrożonych Dobrzynian za mury. Byłoby przyszło do krwawej bójki, którąby się pewno dla Dobrzynian była nieszczęśliwie skończyła, bo ich w mieście mniej było niż żołnierzy zakonnych. Gorliwym staraniom kapitana Worma udało się wreszcie uciszyć zwaśnione tłumy. Burmistrz bełzki widząc, w jaki się sposób cała ta kłótnia rozpoczęła, uniewinniał potem ludzi zakonnych przed starostą polskim na zamku, a ten publicznie oświadczył: że bardzo żałuje, iż do takiej waśni przyszło.

W niedzielę, w oktawę święta Nawiedzenia Panny Maryi 9 lipca, wyruszył w. mistrz z Bełza i stanął jeszcze dnia tego na noc o trzy mile w opustoszonej wsi Wielkie Mosty nad rzeczką Ratą (*in eyn wuste dorff genant zcur Brucke und das flies dabey Ratha*, powiada Naker). W namiotach z wystawioną strażą przenocował tu oddział.

---

ganze Antipathie eines Polen gegen einen Deutschen ausdrückt... Der Ursprung und die Bedeutung des Wortes ist mir dunkel“ Zagadkowy ten dla p. Töppena wyraz zachodzi jeszcze po drugi raz w pieśni opisującej wojnę z r. 1520: Eyn newes gedicht von dem negstvorgangenen Krieg zu Preussen 1520“ (Script. V., 340 nast.). Tutaj opisuje poeta trudne położenie wielkiego mistrza Albrechta, kiedy to widział się zmuszonym udać się do Torunia dla układów z królem; Polacy — powiada — już przygotowali salę, w której miał hołd składać. W tem mistrz, dostawszy wiadomość, że dużo dobrych żołnierzy ciągnie mu na pomoc, ujechał z Torunia. Potem mówi poeta:

Die Polen sagen ein andern an,
Sie sprachen alle fiaban,
Woren der mehre erschrocken.

Zdaje nam się, że wydawca źle ten wyraz rozumie, sądząc, że w nim zawiera się wzgarda narodowa Polaka dla Niemca. Znaczenie wyrazu tego nie wydaje nam się tak zagadkowem, jak wydawcy. Moglibyśmy go tutaj wytłómaczyć, ale znaczenie jego jest zbyt nieprzyzwoite, żeby tu o niem pisać można, wiążemy bowiem wyraz ten ze znaną i dziś używaną klątwą rossyjską. *Sapienti sat!*

W poniedziałek (10 lipca) przybył oddział po trzymilowym marszu do wsi królewskiej Turynka zwanej (w dzisiejszym powiecie żółkiewskim o $1\frac{1}{4}$ mili od Żółkwi). Ogólne podziwienie wojska krzyżackiego wzbudził tutaj pop ruski z brodą i bosemi nogami i w szarej opończy (*in eyner groen hasuckn* — mówi Naker). Chłopi z bydłem i dobytkiem uciekli byli w lasy, połączywszy się z sąsiadami ku obronie swojej chudoby. Dnia poprzedniego zabili byli trzech rybaków z Polski, których żołnierze zakonni znaleźli leżących bez duszy niedaleko wsi, oddziały armii królewskiej bowiem wyrządzały ludowi wiejskiemu wielkie krzywdy.

Tego samego dnia oddalił się sługa doktora obozowego Wilhelma Haldendorfa imieniem Jan z wozem pana swego od wspólnego taboru. Za nim pojechał mistrz Marek, kucharz wielkiego mistrza. Obydwaj zboczyli z głównej drogi i zbłądzili. Jadąc manowcami przybyli do Kulikowa, miasteczka między Żółkwią a Lwowem, i zostali tutaj. Gdy wozy ich wraz z innemi nie przybyły do Turynki, wysłano kilku ludzi na zwiady. Sługa kapitana zakonnego Jerzego Worma odkrył wreszcie mistrza kucharskiego w Kulikowie i przywiózł go do obozu. Lecz widocznie tak się panu Markowi spodobało w Kulikowie, że ledwie wieczerzę panu swemu zgotował znów na powrót do miasteczka wrócił.

We wtorek, 11 lipca, wśród wielkiego deszczu posunęło się wojsko krzyżackie tylko o dwie mile do już wymienionego miasteczka Kulikowa. Znaleziono tu ciężko zbitego i zranionego drugiego sługę doktora, Mikołaja Symmerlin, pewnie na zwiady za owym zbiegłym Janem wysłanego. Ten towarzysz jego Jan był sprawcą tej napaści. Mikołaj ledwie żył jeszcze i nad wieczorem bez spowiedzi wyzionął ducha. Pochowano go na miejskim cmentarzu wśród ogólnego udziału ludności, morderca atoli umknął był już poprzednio do Lwowa.

W środę (12 lipca) maszerował oddział wielkiego mistrza aż do pewnej wsi, której nazwy Naker nie podaje, o półtory mili od Lwowa [1]). W drodze przeprawiając się przez rzekę (może Jaryczówkę) spotkali się znów Krzyżacy ze znanymi nam już Dobrzynianami. Dowódzcy dobrzyńscy ze względu na wielkiego mistrza pozwolili Krzyżakom naprzód przejść bród. Lecz gdy już przednia straż krzyżacka przeszła na drugą stronę, zaczęły się tylne wozy Dobrzynian przemocą cisnąć do rzeki, obie strony porwały się do

[1]) Może Grzybowice. Odległości podaję według Nakera, mile jego są mniejsze od naszych.

broni, dobyto noży, mieczów, napięto łuki, lecz staraniom dowódców udało się i tą razą przywrócić spokój i zapobiedz krwawemu starciu. Gdy się kłótnia uspokoiła, przeprawiła się reszta oddziału krzyżackiego bez przeszkody przez rzekę, a za nimi Dobrzynianie.

Po sześciotygodniowym pochodzie wjechał wreszcie wielki mistrz z oddziałem swoim w czwartek w dzień św. Małgorzaty, 13. lipca 1497 r., do Lwowa.

Podstarości lwowski[1]) i burmistrz w towarzystwie 32 jezdnych wyjechali naprzeciw w. mistrzowi i przyjęli go z wielkę czcią przed miastem, zsiadłszy poprzednio z koni. Potem wszyscy wspólnie wjechali do miasta wśród licznego tłumu, gapiącego się, podziwiającego i wychwalającego rynsztunek i całe uzbrojenie zakonnych żołnierzy. Na czele jechał sędziwy wielki mistrz, w opończy ozdobionej złotym krzyżem i czarnym orłem, za nim rycerze w najświetniejszych zbrojach, w końcu piechota i tabory.

Wielkiego mistrza umieszczono w bardzo dogodnej gospodzie u bogatego mieszczanina lwowskiego Jana, którego imię tylko podaje nam Naker. Żona tego Jana powiła następnego dnia (14 lipca) syna. Wielki mistrz i komtur Hollandu Szymon von Drahe trzymali w sobotę (15 lipca) na prośbę gospodarza dziecko to do chrztu i dali mu imię ojca chrzestnego. Wyprawiono wielką ucztę i bawiono się ochoczo, ale dziecko niedługo przy życiu zostało, bo już następnego wtorku ku wielkiemu zmartwieniu rodziców umarło.

I tu we Lwowie na nowo przyszło do sporów z Dobrzynianami. Wkrótce po wejściu do Lwowa przyszedł dowódzca ich z kilku starszymi do w. mistrza skarżąc się, że ludzie zakonni wyrzucili Dobrzynian z gospody, naigrawając się z nich. W. mistrz im odpowiedział, że właściwie jemu wypadałoby skarżyć się na ich zarozumiałość i bezprawia, niech sobie bowiem tylko przypomną zajścia w Bełzie i nad brodem w pobliżu Lwowa; co do spornej gospody zaś, to burmistrz i rada miasta Lwowa przekazali ją Krzyżakom, wypisując to wyraźnie kredą na bramach gospody,

[1]) Podstarościm lwowskim był w r. 1497, zdaje się, albo Stanisław Maldrzyk, albo Jan Dzieduszycki. Pierwszy bowiem występuje z tą godnością jako świadek w r. 1488 (Akta grodzkie i ziemskie III. str. 258), drugi (Dzieduszycki) z tą godnością jako świadek w r. 1500 (Akta grodzkie II, 239). Czyby w archiwie lwowskiem nie znalazły się żadne ślady pobytu i śmierci wielkiego mistrza we Lwowie. Może w książkach rachunkowych? Zubrzycki w swej kronice zgoła nic nie wie o tym pobycie Tiefena.

Dobrzynianie zaś przemocą kwaterę tę zajęli, wymazawszy poprzednio nazwisko na drzwiach napisane; gdy ich zaś burmistrz po kilkakroć prosił, żeby dobrowolnie ustąpili, a oni usłuchać nie chcieli, wtedy dopiero Krzyżący użyli gwałtu i wyrzucili ich z niesłusznie zajętego domu. W końcu zagroził w. mistrz, że o tem wszystkiem nie omieszka donieść J. Kr. Mci. Dobrzynianie tak stanowczo odprawieni, poszli po rozum do głowy i ukorzyli się, prosząc o przebaczenie i obiecując nadal zachowywać się spokojnie, a jeden z nich nawet powiedział: „Wiem dobrze, że jeżeli mam w. mistrza za przyjaciela, to i król będzie mi przychylny". Ułagodzony w. mistrz chętnie przebaczył burzycielom i puścił w niepamięć całą tę sprawę.

Za radą kilku panów i przyjaciół pozostał w. mistrz także przez następną niedzielę (16 lipca) we Lwowie. Dnia tego zaprosił kilku rajców i niektóre kobiety, zwłaszcza te, z któremi trzymał do chrztu owego synka gospodarza swego, do siebie na obiad. Dano mu potem przewodnika, który go wraz z oddziałem miał prowadzić do obozu królewskiego drogą taką, gdzieby jeszcze poprzednio nie było przeciągało wielu żołnierzy królewskich, gdzieby więc jeszcze znaleźć można pożywienie dla ludzi i koni. Dla tego to, jak zobaczymy, maszeruje oddział krzyżacki tak krętą drogą.

Następnego dnia (17 lipca) wcześnie rano zgromadził się cały oddział uzbrojony w wojennym szyku. Gdy już cały oddział stanął gotowy, przyprowadzono owego Jana, sługę obozowego doktora, znanego nam już zabójcę Mikołaja Symmerlyna. Schwytano go bowiem we Lwowie. Teraz osądzono go publicznie i skazano na śmierć. Wyrok natychmiast wykonano, ucinając mu głowę.

Po tej egzekucyi wyruszył oddział niezwłocznie z miasta i stanął wieczorem w „karczmie" (*eynem cretzmer*), Dawidową zwanej, o dwie mile od Lwowa [1]).

We wtorek (18 lipca) nocował oddział o dwie mile od Dawidowa w Bóbrce, w środę (19 lipca) o trzy mile dalej w Knychiniczach, w czwartek (20 lipca) o dwie mile w Rohatynie,

---

[1]) Tak samo oznacza odległość Dawidowa od Lwowa Stanisław Dawidowski w dokumencie, wystawionym w r. 1442: „*villa Dawidow sita duobus miliaribus a Leopoli.*" (Akta grodzkie i z. II., 114) Nie rozumiem, dla czego Naker nazywa Dawidów „karczmą," kiedy był on już od dawien dawna wsią, i tak już w r. 1410 (Akta grodzkie z. II.. 61). Z tej wsi pochodziła familia Dawidowskich pieczętująca się herbem Prus II. (Zobacz Akta grodzkie tom V., 77, 81, 87).

a w piątek (21 lipca) stanął znów o dwie mile dalej w Świstelnikach, wsi, której pan nazywał się Herburt (*genannt Herbardt*), mówi Naker [1]).

Tutaj w Świstelnikach odebrał w. mistrz list od króla następującej treści:

„Król się dowiedział, że w. mistrz idzie inną drogą, jak szedł król z wojskiem swem, wygodniej więc pewno będzie dla mistrza i oddziału jego, jeźli mu król pozwoli udać się do miasta Halicza, tam się przez kilka dni dla wypoczynku zatrzymać, a potem odebrawszy od króla rozkaz, ruszyć do obozu królewskiego najdogodniejszą dla siebie drogą. Dan w obozie pod Mogielnicą (wieś w dzisiejszym powiecie trembowelskim) w czwartek po dniu św. Arnulfa (20 lipca) 1497 r."

W skutek listu tego nie idzie więc teraz oddział dalej ku wschodowi do obozu królewskiego, lecz zwraca się w kierunku południowo-zachodnim. W sobotę w dzień św. Maryi Magdaleny (22 lipca) po „trzymilowym marszu' stanął oddział pod Haliczem i rozłożył się taborem w polu nad rzeką Dniestrem po lewym jej brzegu. Wysłano niezwłocznie do „młodego pana halickiego imieniem Stanisława" (a więc do syna ówczesnego kasztelana lwowskiego i starosty halickiego Stanisława z Chodcza herbu Odrowąż) z zapytaniem, czy wojsko krzyżackie może się przeprawić przez rzekę stósownie do listu królewskiego i czy tam znajdzie zapasy żywności dla ludzi i paszy dla koni. Odpowiedź wypadła odmownie,

---

1) Nazwiska miast i wsi są w dzienniku Nakera nieraz tak poprzekręcane, a bałamutność pod tym względem pomnożył jeszcze wydawca, odczytując widocznie fałszywie niektóre nazwy, że z wielką trudnością dojść można do nazw rzeczywistych. I tak czytamy „*in das stetlyn Pooberkaw*," niewątpliwie wydawca się tu pomylił, stoi pewno u Nakera *Boberkaw*, jest to więc miasteczko Bóbrka, dziś powiatowe w Galicyi. Faber czytał tutaj *Kolerkaw*, co już zgoła niema sensu. Dalej czytamy „*czogen wir gen Knyschenaw*" a wydawca robi znak zapytania do tej nazwy. Napisaliśmy w tekscie *Knychinicze*, bo cóżby innego ta nazwa oznaczała? Oddział zboczył tu z głównego gościńca, nie wątpliwie ze względu na żywność. Oddalenie Bóbrki od Knychinicz jest zresztą znaczniejsze, niż podaje Naker. Potem zwraca się znow oddział do głównego gościńca, idąc w kierunku prawie zupełnie północno-wschodnim i staje *in Rathyn*, co nie może być niczem innem jak Rohatynem, choć wydawca myśli także o Stratynie. Potem staje oddział, po dwumilowym marszu według Nakera, *in eyn dorff Gwistelinky*. Tutaj widocznie znow wydawca sprawę pobałamucił, czytając *Gwistelinky* zamiast trafnej nazwy *Swistelniky*, wsi w powiecie rohatyńskim Oddział więc tutaj znów zboczył z głównego gościńca.

wojsko zatem pozostało w polu „na dobrach należących do arcybiskupa lwowskiego." Arcybiskupi lwowscy posiadali wtedy i posiadają dziś jeszcze w tych stronach po lewym brzegu Dniestru wsie Kąkolniki i Meduchę, a nieco dalej Bybło, tutaj więc stał obóz krzyżacki.

W niedzielę (23 lipca) przyszedł do w. mistrza człowiek służebny udając, że go wysłał brat jego, aby przestrzedz Krzyżaków. Prawił, że 5000 Turków, przekroczywszy granicę Wołoszczyzny, wpadło do Polski w celu, aby podchwycić na osobności jaki oddział armii królewskiej, położenie zatem w. mistrza jest niebezpiecznem i lepiejby było, żeby obóz swój odsunął o jaką milę od rzeki, tamby też w obfitości znalazł wyżywienie dla ludzi i koni. Zmiarkował mistrz, że to podstęp okolicznych mieszkańców, którzy się pozbyć chcieli sąsiedztwa niedogodnej im załogi, odpowiedział więc, że ruszyć się z miejsca nie może, bo ma rozkaz od króla, żeby tutaj czekał na dalsze rozporządzenia. Donosiciel oddalił się z tą odpowiedzią i już się więcej nie pokazał.

W poniedziałek (24 lipca) przysłał „Pan Halicki" z prośbą do w. mistrza, żeby żołnierze jego nie krzywdzili biednych ludzi arcybiskupich. Na to odpowiedział z największą słusznością w. mistrz: że, ponieważ mu nie pozwalają przeprawić się przez rzekę musi się tutaj starać o pożywienie, żałuje zresztą bardzo, że ubodzy ludzie na tem ucierpią, ale zapobiedz temu nie umie, o to jednak przynajmniej starać się będzie, żeby zabierano tylko to, co jest koniecznie potrzebnem.

Ponieważ atoli nie chciano w. mistrzowi pozwolić przeprawić się przez rzekę, a mistrz przez dłuższy pobyt na tem samem miejscu nie chciał do szczętu wyniszczyć poddanych arcybiskupa, zwołał zatem radę, żeby postanowić, jakby temu zaradzić można i zachować dobre stosunki z sąsiadami; postanowiono wysłać komtura z Osterode z dwunastu końmi do króla. Tak się też stało, w dzień św. Jakóba (25 lipca), po pierwszej mszy wyruszył komtur do obozu królewskiego, oddalonego w ów czas o 12 mil od stanowiska zajętego przez w. mistrza.

Komturowi rozkazano wystosować do króla takie przedstawienie:

„Kanonik i wysłaniec królewski N. Targowicki zawezwał imieniem króla w. mistrza, aby się niezwłocznie stawił ze zbrojnym oddziałem na pomoc królowi w walce przeciw Turkom, którzy już przekroczyli Dunaj. W. mistrz nie zważając na niebezpieczeństwo

grożące od Moskwy mistrzowi inflantskiemu pospieszył niezwłocznie, wykonując rozkaz królewski, i przeszedł tak wielki kawał drogi swoim kosztem wśród wielkiej drożyzny, braku żywności dla ludzi i paszy dla koni. W. mistrz i radcy jego podjęli wyprawę tę w mniemaniu, przy którem i teraz jeszcze pozostają, iż wkrótce przyjdzie do walki z niewiernym Turkiem, nie urządził się więc tak, żeby miał długo bezczynnie stać w obozie. Jeżeli więc dłuższy czas pod Haliczem ma pozostawać a nie ma mu być wolno przyjść do miasta, poddani zaś arcybiskupi z powodu uciążliwości załogi niechętnie na niego mają patrzeć, to zupełnie nie wie, co o tej sprawie myśleć i coby wyprawa taka znaczyć miała, a jednak jako panujący i jeden z najpierwszych radzców króla wiedzieć o tem powinien. Prosi zatem, żeby go król raczył poinformować i powiedzieć mu, jak ma nadal postępować, bo i ludzie i konie w teraźniejszem położeniu bez żywności dłużej pozostać nie mogą."

Kiedy komtur wyjechał do króla i na powrót jego czekano przeprawił się w. mistrz w środę po św. Jakóbie (26 lipca) z kilku towarzyszami przez rzekę i szedł wzdłuż niej po pod bieg wody aż do miejsca, na którem stał most, który wybudował „pan Sirwille [1]) szlachcic." Po moście tym miał król z armią przejść na prawy brzeg Dniestru. Most ten miał długości kroków 142, szerokości kroków 10.

W dwa dni potem w piątek po św. Jakóbie (28. Lipca) o 12 godzinie w południe wrócił wysłany do króla komtur z odpowiedzią takiej treści:

„Król dziękuje, że w. mistrz stawił się na miejscu i że bierze wzgląd na dobro biednych poddanych, oszczędzając im o ile możności strat. Co do wypowiedzianych przez komtura żądań w. mistrza, to w następną niedzielę (30. lipca) będzie się król widział z bratem swoim, wielkim księciem litewskim Alexandrem a naradziwszy się z nim, albo uwiadomi w. mistrza o zapadłych uchwałach, albo go też do siebie zaprosi, aby mu zamiary swe przedłożyć i mądrej jego rady zasięgnąć. Tymczasem niech się w. mistrz nie troszczy i nie narzeka, bo w obozie jego pewno więcej wszystkiego, niż w obozie królewskim."

Nie bardzo do smaku przypadła radzcom w. mistrza udzielona im wymijająca i nic nie znacząca odpowiedź, ale cóż robić mieli, trzeba było cierpliwie czekać. Czekano więc i czekano.

---

1) Nazwisko budowniczego mostu jest przekręcone. Czy wiadomo co o nim, nie umiem powiedzieć.

Tymczasem w poniedziałek przed dniem św. Piotra w okowach (31 lipca) przyprowadzili mieszczanie haliccy na zamek do starosty schwytanego Wołocha, który szpiegował wojsko krzyżackie, chcąc wybadać jego siły i położenie. Tego samego dnia przysłał król około 150 pieszych żołnierzy, którzy mieli pracować przy moście pod Haliczem. Przechodzili oni tuż obok taboru wojska krzyżackiego, a gościnny w. mistrz kazał im darować beczkę piwa. Żołnierze krzyżaccy wyszli naprzeciw nich, na powitanie strzelano z jednej i z drugiej strony z ręcznej broni, przyczem okazała się zdaniem Nakera większa zręczność żołnierzy zakonnych.

W środę (2 sierpnia) pracował „pan Sirwille“ z kilkuset ludźmi nad zniesieniem mostu, który co dopiero ukończył. Bałamutny król, który widocznie sam nie wiedział czego chciał i do czego dążył, przysłał mu pewno przez ów oddział przybyły 31 lipca, rozkaz zniesienia mostu i postawienia go dalej na południe, gdzie miała się przeprawić królewska armia. Most drewniany rozpiłowano na trzy części i miano go spławić wodą, lecz woda w Dniestrze tak spadła, że most leżał na ziemi, nie ruszając się z miejsca. Wieczorem tego samego dnia przybył do obozu krzyżackiego z synem i drugim kupcem mieszczanin ze Lwowa, Marcin Wasserbrot, znany Krzyżakom jako uczciwy człowiek. Wracali oni z Wołoszczyzny z podróży w interesach handlowych podjętej i opowiadali jako rzecz niewątpliwą, że poselstwo królewskie złożone z biskupa przemyskiego (był nim wtedy Mikołaj z Krajowa z przydomkiem Primus, herbu Łabędź) i dwóch panów polskich, wraca dobrze przyjęte i sowicie obdarzone od wołoskiego wojewody, a wraz z nimi kanclerz wojewody, który przez cztery tygodnie bawił u tureckiego cesarza, i dwaj panowie i radzcy wojewody. Oni to potrafią całą tę sprawę załatwić na pokojowej drodze [1]). Opowiadali oni także, że odkryto na Dniestrze bród tak szeroki, że trzy wielkie naładowane wozy obok siebie przejechać nim mogą, a woda ani po osie nie sięga. Brodu tego nikt poprzednio nie znał, zbudowany most zatem nie na wiele się przyda, choć go na nowo wystawią.

W sobotę (5 sierpnia) przysłał Stanisław z Chodcza do w. mistrza posłańca umiejącego po niemiecku, donosząc za pewne, że wielkiego księcia litewskiego Aleksandra wojsko pobiło na gło-

---

1) Inaczej sprawę tę przedstawia Wapowski l. c. pag. 22—26. Porównaj także przedstawienie Miechowity w Szujskiego wydaniu Wapowskiego pag. 260 nast.

wę 15 tysięcy Tatarów, chan tatarski trzema strzałami ciężko ranny zaledwie uciekł z 30 towarzyszami; odebrano mu zamek, który był zbudował na granicy podolskiej. Już poprzedniego dnia zaś opowiadano, że Turcy spalili miasto królewskie, położone nad wołoską granicą, Kołomyję, i drugie oddalone o 7 mil od Halicza. Stanisław z Chodcza wysłał na zwiady, aby się dowiedzieć ile w tem prawdy.

Tego samego dnia (5. sierpnia) zaczęła się choroba wielkiego mistrza, krwawa biegunka, która się ostatecznie zgonem jego zakończyła. Zaraz od samego początku osłabł wielki mistrz bardzo, a cały dwór jego popadł w wielki smutek. Zebrano się na naradę, lekarz i „ci, którzyby chętnie byli widzieli zdrowym w. mistrza" (byli więc i tacy, którym o to nie chodziło) radzili zmianę powietrza, powrót do Lwowa, gdzieby mógł mieć większą wygodę i wzelkie leki do przywrócenia zdrowia potrzebne. Szanowny starzec atoli myślał tylko o walce z Turkami, zdawało się także jemu, żeby nie mógł wrócić z honorem nie powitawszy nawet króla.

Tego samego dnia przysłał Stanisław z Chodcza ponownie swego sługę z oświadczeniem, że lepiejby było, żeby się w. mistrz przeprawił przez Dniestr i rozłożył się taborem po drugiej stronie zamku halickiego, wtedyby on z wojskiem swojem stanął obok w. mistrza i postarał się o dostarczenie potrzebnej żywności. Z miejsca tego mógłby się zresztą z większą jeszcze łatwością dostać do króla. Dodał jeszcze, że sam w tych dniach wysłał posłańca do króla; skoro ten wróci, nie omieszka udzielić w. mistrzowi wiadomości przez niego przyniesionych.

Radę starosty halickiego, żeby się w. mistrz przeprawił na drugą stronę rzeki, tłómaczono sobie w obozie krzyżackim w ten sposób, że arcybiskup lwowski nie chciał się dłużej zgodzić na to, aby oddział krzyżacki nadal w jego dobrach przebywał, bo tak długi, blisko czterotygodniowy pobyt oddziału niszczył zupełnie poddanych arcybiskupich. Drugi powód, dla którego starosta chciał teraz, aby się oddział na drugą stronę przeprawił, był, domyślano się w obozie, prawdopodobnie ten, że z Kołomyi od pogorzelców nadeszło potwierdzenie wiadomości do Halicza, iż pod miastem owem zebrał się znaczny oddział turecki, oddalony obecnie tylko jeszcze o mil 10 od Halicza, tak że w jednej nocy mógł stanąć pod Haliczem i napaść tutejszą załogę; miało więc wojsko krzyżackie wspierać starostę w obronie zagrożonego miasta.

Tej samej soboty pracował znów „pan Sirwille" z wielu ludźmi i wołami nad zniesieniem mostu na Dniestrze. Rozpiłowano

teraz most na cztery części, bo go nie było można ruszyć z miejsca. Ponieważ zaś woda skutkiem świeżo spadłego deszczu bardzo była wzrosła, spławił do miejsca, na którem wtedy stało wojsko królewskie, trzy części mostu wodą, wysyłając na przód ludzi mających się przekonać o głębokości wody. Czwarta część mostu utknęła w piasku o milę od obozu kryżackiego; odstawił ją później starosta halicki osobno na miejsce przeznaczenia.

We wtorek po Przemienieniu Pańskiem (8. sierpnia) wrócił wysłany do króla sługa starościński przywożąc dwa listy, jeden do w. mistrza, drugi do pana swego.

Osnowa listu królewskiego do w. mistrza, datowanego z obozu pod Michalicami [1]) w poniedziałek przed dniem św. Wawrzyńca (a zatem 7 sierpnia a nie 8, jak rozwiązuje wydawca Töppen) była następująca:

„Przeprawił się król z wielkiemi trudnościami przez Dniestr, aby się spotkać z wojskami nieprzyjacielskiemi, które w pole przeciw niemu wyruszyły. Niech zatem w. mistrz przeprawi się pod Haliczem przez Dniestr, bo tam łatwiej się da to uskutecznić jak tutaj i przybędzie czem prędzej z oddziałem swym do obozu. Król jednocześnie pisze do Stanisława z Chodcza, kasztelana lwowskiego i starosty halickiego, aby tą samą drogą przybył do niego i przyprowadził z sobą ową setkę jezdnych, którą dowodzi Rakwitz. Razem z nimi więc może przybyć także oddział zakonny.“

Całe to postępowanie króla wielce się nie podobało dygnitarzom zakonnym, oburzonym, że król z tak małą czcią traktował wielkiego mistrza: nie przysłał nigdy posła do niego, nie pytał go o radę, nie prosił go do siebie, lecz obchodził się z nim „jak z zaciężnym żołnierzem i lichym kondotierem“ (*wart von ime geacht alse ein soldener und slechter mitreyter*).

Teraz po odebraniu listu królewskiego w wilię św. Wawrzyńca (9 sierpnia) zebrali się na naradę dwaj komturowie i pierwszy radca w. mistrza i przyzwali do siebie obecnego lekarza i sekretarza Liboryusza Nakera. Naradzali się nad tem, czy w obec choroby w. mistrza przeprawić się teraz, jak żąda król, przez rzekę i ruszyć do obozu królewskiego, czy też obrać inną drogę i jaką?

Rozważano, że zdrowie w. mistrza zaczęło się wprawdzie nieco polepszać, lecz że przy podeszłym jego wieku i nadchodzącej

---

[1]) Pewno wieś Michalcze na **p r a w y m** brzegu Dniestru w dzisiejszym powiecie horodeńskim o $1^1/_2$ mili od Horodenki.

zimie prawdopodobnie stan jego w polu się pogorszy. Dalej obawiano się, że zakon przy tak długiej rozterce wyprawy, jeźli będzie musiał utrzymać tylu jezdnych i pieszych i sprawiać czeladzi na nadchodzącą zimę ciepłe ubrania, na zbyt wielkie wystawiony będzie wydatki. Sekretarz Naker zaś wyraził w dobitnych wyrazach oburzenie swoje na całe postępowanie króla, traktującego mistrza jak prostego knechta, i przypominał, że nie tak bywało za nieboszczyka ś. p. ojca królewskiego, który zawsze z wielką czcią obchodził się z mistrzami i ich zakonem. Postanowiono wreszcie oświadczyć Stanisławowi z Chodcza, jako sędziwy mistrz, nie zważając na podeszły swój wiek, i nie szczędząc funduszów zakonnych, przybył tutaj niezwłocznie walczyć z Turkami i Tatarami, ale z nikim innym; jeźli atoli sprawa ta jeszcze więcej się przewlecze, przy najlepszej chęci dłużej nie będzie mógł wytrwać, bo zapasy żywności dla ludzi i koni zupełnie się kończą a z Prus zbyt oddalonych przywozić ich nie można. [1])

Kiedy tak radzono, przybył do obozu krzyżackiego starosta halicki wraz z Jerzym Wormem, dowódzcą krzyżackim i pokazał zgromadzonym list króla do niego pisany. Z tego listu przekonano się, że starosta miał postępować zgodnie z wolą i radą w. mistrza. Ponieważ jednak teraz dowiedział się starosta o chorobie mistrza, oświadczył, że wyszle niezwłocznie posłańca do króla, aby mu wytłómaczyć, dla czego mimo rozkazu jego nie wyruszają dwa oddziały natychmiast do obozu, dodał zaś przytem, że może i mistrz równocześnie uwiadomi o swej chorobie króla. Wreszcie ofiarował się starosta przyjąć mistrza albo do siebie na zamek albo do miasta, żeby się tu mógł leczyć w większej niż w obozie wygodzie. Zarazem zaręczał, że król nie widział się jeszcze z bratem swym, wielkim księciem Aleksandrem, bo Alexandra wojsko stoczyło walną bitwę z Tatarami, pobiło ich i wzięło do niewoli jednego z ich chanów. Tatarzy atoli wzmacniają się na nowo, chcąc się pomścić. Wielki książe więc zbroi się także a chodzi pogłoska, że w przyszłą sobotę przyjdzie do nowej bitwy. *Nichil intelleximus de veri-*

---

[1]) Że mistrz sam na naradzie nie obecny, wcale nie myślał o powrocie do Prus, o tem świadczy między innemi także list jego pisany dnia 8 sierpnia 1497 r. z obozu pod Haliczem do swego drugiego doradzcy Jana von Katwitz, którego jak to widzieliśmy, wysłano z drogi do Królewca. W liście tym wzywa go, żeby mu niezwłocznie przysłano zebrane pieniądze i to do Lwowa, zkąd by je z łatwością mógł odebrać. *Voigt* IX. 229.

tate — dodaje Naker. — Dalej opowiadał starosta, że miasto Kołomyję spalili Turcy a mieszkańców w niewolę uprowadzili. Kiedy wiadomość o tej porażce przybyła do obozu królewskiego, puściło się 700 z wojska królewskiego za nieprzyjacielem, dognało Turków, a było ich 1500, ubito 700 a resztę byłby ten sam los spotkał, gdyby nie byli czem prędzej uciekli. *Caruit omnino veritate*, dodaje znów Naker do tych bajek. — Wreszcie opowiadał jeszcze starosta — i to prędzej na prawdę wyglądało — że król francuzki przysłał posła, znajdującego się obecnie w obozie z listem do króla polskiego, prosząc go, żeby rozpoczętego dzieła nie przerywał i ofiarując się, że wspólnie z siedmiu innymi królami „z tamtej strony morza“ przyjdzie mu na pomoc przeciw Turkowi, a co tylko kraju zdobędą, to zaraz między siebie podzielą. *Dies war auch der warheit ungleich*, dodaje i do tego opowiadania sekretarz. To atoli było prawdą — mówi dalej — że w tych dniach przyszedł do wojska pod Haliczem biedny wędrowiec w ubiorze pątnika, który przyniósł list od pana swego, księcia Jerzego saskiego, do króla i prosił o glejt do obozu królewskiego, czego mu nie odmówiono.

Tego samego dnia, w wilię św. Wawrzyńca, 9 sierpnia, udali się komturzy wraz z lekarzem obozowym i sekretarzem Nakerem do w. mistrza, przedstawiając mu niebezpieczne położenie oddziału i donosząc, o czem mówiono ze starostą halickim i co im radzili Stanisław z Chodcza i ich królewski przystaw, starosta Paweł. Wielki mistrz, wysłuchawszy ich, odpowiedział, że zrobi, coby za dobre uznali. Lecz kiedy się dowiedział, że zamyślają o powrocie do Prus, wielce się oburzył i ofuknął zwłaszcza doktora i sekretarza, tak że przelęknieni komturzy zamilkli i zaniechali swego zamiaru, nawet posłańca, o którym poprzednio była mowa, już nie wysłano do króla.

W dzień św. Wawrzyńca (10 sierpnia) znów się udali komturzy do mistrza, radząc mu, żeby pod żadnym warunkiem nie przekraczał Dniestru, bo ogólnie powiadają, że panowie i szlachta polska nie chcą bez żołdu pójść z królem za granicę Rzeczypospolitej [1]) twierdząc, że według swych przywileji nie są do tego obowiązani. Gdyby zatem w. mistrz przebył według woli króla Dniestr, ściągnąłby na siebie ogólną nienawiść Polaków.

Stan w. mistrza tymczasem z każdym dniem się pogorszał, siły widocznie niknęły, wielki ztąd smutek panował w obozie.

1) Porównaj Wapowski l. c.

Komturzy ze względu na zdrowie jego zdecydowali się wreszcie wysłać do króla przystawa królewskiego, starostę Pawła, donosząc o chorobie mistrza i zapytując, coby nadal czynić mieli. Paweł był gotów udać się natychmiast do obozu. Umówiono się zaś, żeby przed królem udawał, jakoby z własnej woli i chęci był się z tą smutną wiadomością wybrał do króla. Do towarzystwa dano mu jednego z Krzyżaków Hieronima Gersdorfa, który tak długo miał w obozie pozostać i Krzyżakom o wszystkiem donosić, aż król nie wyda im rozkazu ruszyć z miejsca, sługa jego zaś miał niezwłocznie z odpowiedzią królewską wrócić.

Następnego dnia w piątek 11 sierpnia wyjechali oni do królewskiego obozu. Tego samego dnia przybyli do obozu ksiądz, starzec niskiego wzrostu, którego w obozie uważano za wysłannika arcybiskupa lwowskiego, dalej rządca dóbr arcybiskupich i dworzanin starosty halickiego. Skarżyli się oni na szkody wyrządzone w dobrach arcybiskupich przez żołnierzy zakonnych jako to: że pustoszą kościoły, plondrują biednym ludziom domy i skrzynki, zabierają wszystko, co tylko z miejsca ruszyć można, rozbijają ule, a gdy nie znajdą miodu, zabierają wosk, w ogóle obchodzą się z poddanymi arcybiskupa gorzej jak Turcy i Tatarzy, proszą zatem, żeby w. mistrz wyniósł się z dóbr i obóz swój na inne miejsce przełożył. Na takie skargi odpowiedział w. mistrz mniej więcej: że wojsko jego składa się z prawych i poczciwych Chrześcian, niech go zatem nie dręczą zmyślonemi skargami, w wojsku jego nie ma nikogo, ktoby się takich czynów dopuszczał, bo by go bez litości ukarano; stoi atoli o pół mili inny obóz, może ludzie z niego popełnili przestępstwa, o które wysłannicy oskarżają żołnierzy zakonu; w. mistrz wcale się nie cieszy, że tak długo tu na miejscu pozostać musi i żałuje że skutkiem tego jest zmuszony zabierać żywność biednym ludziom, ale nie jego w tem wina, bo by bez tego i ludzie jego i konie z głodu poumierać musieli. Król rozkazał mistrzowi pozostać tutaj aż do dalszych rozporządzeń, jeżeli więc arcybiskup ma wpływ u króla, to niech się postara, żeby wojsko krzyżackie albo mogło się połączyć z królem i wyruszyć na Turka, albo mogło być zwolnionem z powinności i wrócić do domu. Przy tem powiedziano im jeszcze, że stan zdrowia w. mistrza nie pozwala mu się obecnie oddalić od miasta. Z taką odpowiedzią odeszli wysłannicy.

W niedzielę (13 sierpnia) przyszedł starosta halicki do wielkiego mistrza dowiedzieć się o stanie jego zdrowia, ofiarował się

posłać listy jego do króla, przenieść go samego na zamek lub gdziekolwiekby indziej chciał, i starać się podczas jego choroby o wszelkie potrzeby, bo tak mu król nakazał listami, które pokazywał. Wielki mistrz dziękował za oświadczoną uprzejmość i postanowiono, żeby starosta czemprędzej wysłał sługę swego z listami w. mistrza do króla. Treść listu tego brzmiała:

„Wielki mistrz dziękuje królowi za udział, okazany mu w chorobie i za polecenie, dane kasztelanowi lwowskiemu i staroście halickiemu Stanisławowi z Chodcza, aby chorego przenieść na zamek halicki i tam go pielęgnować. Żałuje atoli mistrz, że z łaskawości królewskiej korzystać nie może, bo mu lekarz jego kazał dla przywrócenia zdrowia zmienić powietrze, przenosząc się do innych stron. Prosi zatem króla, żeby mu raczył pozwolić przenieść się do Lwowa, umieścić się w klasztorze Bernardynów, gdzie spodziewa się łatwiej dostać wszystkiego, coby do uzdrowienia jego mogło być potrzebne; poleca królowi rycerzy i ludzi swoich, których razem z oddziałem halickiego starosty przysłać do niego zamierza. Dan w polu pod Haliczem w niedzielę po św. Wawrzyńcu (13 Sierpnia) 1497 r.“

W dzień wniebowzięcia N. M. Panny (15 sierpnia) późno wieczorem wrócił starosta Paweł, przystaw królewski, z obozu od króla, donosząc, że już całe wojsko przeprawiło się przez Dniestr; miał król przy tem nie mało pracy i trudu, bo sam po kilkakrotnie przejeżdżał tam i napowrót przez rzekę, by utrzymać w porządku przeprawiającą się armię. Opowiadał dalej, że król bardzo się smuci z powodu choroby w. mistrza, i że chętnie byłby go widział przy swoim boku, ponieważ się atoli czuje tak bardzo słabym, żąda król, żeby się przeniósł na zamek halicki i odpoczął po trudach obozowych; starosta ma go zaopatrzyć we wszystkie potrzeby, król zaś przyszle swoich lekarzy. Wiele jeszcze innego prawił Paweł, co w obozie krzyżackim uważano za bajki i kłamstwo, w końcu dodał, że król wprawdzie był skłonnym kazać w. mistrzowi powrócić do Prus, ale że panowie rada się sprzeciwiali, żądając, żeby zamek halicki był wyznaczonym w. mistrzowi na miejsce pobytu, dopókiby nie wyzdrowiał. Krótką dał w. mistrz odpowiedź, bo noc się już zbliżała a jemu potrzeba było spokoju; rzekł więc tylko, że zamiarem jego jest wrócić do Lwowa, rzeczy zaś i czeladź wysłać do króla, spodziewając się, że doznają przychylnego przyjęcia.

W środę po wniebowzięciu N. M. P. (16 sierpnia) przybył do obozu Stanisław z Chodcza, doradzając w. mistrzowi, żeby sam

z kilku ludźmi wrócił do Lwowa, reszcie oddziału zaś kazał się przeprawić przez rzekę i złączyć z oddziałem starosty, na co pewnie król się zgodzi. Na tem stanęło, odkładając bliższą uchwałę na czwartek. Tej samej środy późno wieczorem, kiedy już w obozie spano, przyszedł posłaniec Stanisława z Chodcza z listem od króla. List ten, który dopiero na drugi dzień rano o siódmej godzinie było można wręczyć choremu mistrzowi, był osnowy następującej:

„Posłaliśmy wczoraj ur. Pawła Grambeckiego, naszego starostę wiskiego, *(wisznensem)* na powrót do Was, ażeby Wam doniósł o woli naszej co do tego, coście nam udzielili. Po jego odjeździe atoli przyniósł nam dworzanin wielmożnego Stanisława z Chodcza, kasztelana lwowskiego, list od Was, z któregośmy się dowiedzieli o chorobie Waszej, co nas wielce zasmuciło. . . . . . Chętnie uczynić chcemy, co tylko można, żebyście do zdrowia wrócili; pozwalamy więc, żebyście jechali do Lwowa, jeżeli poprzednio do nas przybyć nie możecie, byłoby nam atoli bardzo miło a prawie nawet koniecznie potrzebne, żebyśmy poprzednio Was u siebie widzieć mogli. Jeżeli to jednak niepodobieństwem, to przyszlijcie nam Waszych żołnierzy, bo już pilnie przeciw nieprzyjacielowi maszerujemy, o którego nadejściu odebraliśmy niewątpliwe wiadomości. Ludzi Waszych przyjmiemy łaskawie. . . . . Dan w obozie za rzeką Dniestrem we wtorek w dzień wniebowzięcia N. P. Maryi (15 sierpnia) 1497."

Starosta Paweł i kasztelan Stanisław z Chodcza, starosta halicki, mimo tego pozwolenia królewskiego, wielkich i teraz dokładali starań, szeroce w dzienniku Nakera opisanych, aby namówić chorego mistrza, aby się udał na wypoczynek do Halicza lub do którego ze szlachty o milę w sąsiedztwie lub też, jeżeli koniecznie dalej się chce usunąć, do Rohatyna, do matki kasztelana. [1]) Stanisław obiecał że napisze do niej, prosząc ją, żeby miała czułą opiekę około chorego. W. mistrz atoli po niekorzystnem, mianowicie ze strony starosty halickiego poprzedniem przyjęciu, niedowierzając im, oświadczył stanowczo, że uda się do Lwowa i nie zmienił swego zamiaru mimo usilnych prośb.

---

[1]) Rohatyn z przyległościami posiadała wtedy rzeczywiście rodzina panów z Chodcza i to sposobem zastawu, pożyczywszy około 1460 r. pewną sumę pieniężną Kazimierzowi Jagiellończykowi. Już z tego widać, że Naker przez nazwę *Rathyn*, której tu i, jak widzieliśmy, poprzednio używa, nie rozumie Stratyna, lecz Rohatyn.

Tak więc pożegnali w. mistrza w czwartek po wniebowzięciu N. P. Maryi (17 sierpnia) komtur z Osterode Ludwik von Sauszheim, teraz naczelny dowódzca oddziału krzyżackiego, i inni rycerze i żołnierze, którzy się mieli udać do króla, i wyruszyli zaopatrzeni w dobry żołd (na każdego konia bowiem wypłacono na trzy miesiące po 12 złotych węgierskich) wraz z wozami naładowanemi żywnością przez Dniestr do króla na Wołoszczyznę. Towarzyszyli w tej wyprawie komturowi następujący dygnitarze zakonni: Jerzy Worm dowódzca (*Felthouptmann)*, Hans von der Gabelenz pierwszy doradca *(oberster compan)* w. mistrza, Wilhelm von Schaunbergk starosta barteński, Eberhard Thorer przełożony nad taborami, Wilhelm Quat i Eustachy von Slywen rycerze, prócz tego 13 dworzan mistrza i panów ze szlachty. Ci rycerze prowadzili oddział ze 140 uzbrojonych w dobre pancerze jezdnych złożony, mieli prócz tego z sobą cztery ogiery zakute w zbroje i przeszło 50 koni przy wozach.

Tego samego dnia wyruszył w. mistrz bardzo słaby i chory do Lwowa w brew woli starosty Pawła, który jak mówi Naker, z zasmuconem sercem towarzyszył im do Lwowa, strapiony, że nie mógł tego dokazać, co mu król polecił. Zdaje się rzeczywiście wynikać i z owego listu królewskiego z 15 sierpnia i z całego toku opowiadania, że król, mimo to że na piśmie pozwolił udać się mistrzowi do Lwowa, jednak i Stanisławowi z Chodcza i staroście Pawłowi dał potajemne polecenie, aby go zatrzymać w Haliczu choć nie przemocą, to przynajmniej namową.

Gdy już namioty zwinięto, sam jeszcze mistrz cierpliwie siedział na krześle, patrząc na spustoszenie, które żołnierze jego nakół zrządzili, i na biednych ludzi, którym dobytek ich pozabierali. W te wtenczas do sekretarza swego odezwał się słowa: „Liboriusie, pewno to ta biedota sobie myśli: Bóg cię skarał, żeś nam kazał zabrać własność naszą! Stało się to przeciw woli mojej i nie mało mnie smuci, ale chciano, żeby tak było“.

Tego samego dnia wieczorem stanął mistrz z towarzyszami swymi w dworze szlachcica wiejskiego. Właściciel był w obozie u króla, przyjmowała gości młoda jego żona, *dye was jung und sewberlich*, dodaje Naker.

W piątek (18 sierpnia), kiedy już mistrza miano wsadzić do powozu, którym jechał, przyszedł do niego „poczciwy, stary“ szlachcic wiejski, który dużo ciekawych rzeczy opowiadał Marcinowi Preuss, skarbnikowi mistrza. I tak między innemi prawił, że król

nie na Turka zgromadził tyle wojska, lecz na to, by wypędzić wołoskiego wojewodę, choć bowiem wojewoda jest hołdownikiem królewskim, to jednak stał on się z powodu niedbałości przeszłego króla lat temu 30 czynszownikiem Turcyi, gdyby go był wtedy król bronił, byłby się pewno mógł Turkowi oprzeć. Kiedy jednak wojewoda mimo to, że zmarłego króla o pomoc prosił, znikąd jej nie dostał i poddać się musiał, wtedy zaczął rozmyślać nad tem, żeby nie ze swej kieszeni płacił daniny Turkowi, lecz wydarłszy ją z krajów króla, który go nie bronił. Wziął zatem na żołd pewnego Rusina Muchą zwanego a ten przy pomocy Tatarów pustoszył rok w rok najżyźniejsze polskie kraje, Podole i Ruś, zabierając tu przynajmniej tyle, ile mu było potrzeba, aby daninę zapłacić, a tym sposobem tak zniszczył te bogate kraje, że wielcy panowie, którzy niegdyś na setki bydło swe liczyli, teraz tak są zniszczeni, że żebrać muszą.

Dalej opowiadał ów szlachcic: „Teraźniejszego króla za młodych jego lat kilkakrotnie wożono na Podole i na Ruś, aby obejrzał sobie te kraje, jak je to Wołoch i jego wódz Mucha spustoszyli i zniszczyli i żeby ojca swego do obrony tych krajów i do walki z Wołochem nakłonił. Ojciec jego atoli — tak przynajmniej opowiadają — zwlekał i nie przeszkadzał, za radą królowej, z którą się Wołoch porozumiał i mnóstwo jej podarunków przysłał — tak ludzie mówili. Po śmierci ojca zwłóczył i król ten przez pięć lat tę sprawę, teraz atoli zawezwany przez arcybiskupa lwowskiego Różę i innych ruskich panów zebrał to wielkie wojsko złożone z Polaków, Prusaków, Mazurów, Szlązaków i innych“. [1])

Wreszcie opowiadał jeszcze ów szlachcic, że Wołoch dał posłom królewskim, staremu biskupowi przemyskiemu i innym panom, którzy z nim jeździli, taką odpowiedź: „Przyznaję, że zmarłemu królowi składałem hołd jako memu obrońcy, którego często o opiekę i pomoc prosiłem, aby się nie stać tureckim czynszownikiem, ale on mnie opuścił i nie bronił mnie, zmuszony więc, stałem się czynszownikiem tureckim. Teraz atoli rzuciłem kość pomiędzy dwa psy, niech się o nią gryzą. Zobaczę, który weźmie górę, ten będzie moim panem. Jeżeli się więc dokładnie rozważy pierwotną przyczynę, spustoszenie krajów Rusi i Podola i sposób

---

[1]) Opowiadanie to znacznie się różni od opisów Miechowity i Wapowskiego.

jakim się uniewinnia Wołoch, to z łatwością poznać można, z czyjej to winy sprawa ta taki wzięła obrót." Tak zakończył szlachcic wcale ciekawe swe opowiadanie.

Tego samego dnia (18 sierpnia) przybył mistrz do Rohatyna i stanął u miejscowego księdza, który go przyjął bardzo gościnnie. Pokazywał im różne drogocenne kościelne sprzęty: monstrancye, krzyże, kielichy i inne, chwaląc się, że to wszystko za własne pieniądze sprawił.

Powoli posuwał się dni następnych orszak z chorym mistrzem; w poniedziałek (21 sierpnia) stanął wreszcie we Lwowie. Wielkiego mistrza zaniesiono wprost do domu, w którym za poprzednią swą bytnością przebywał. Tutaj przyjęto go z otwartemi ramionami i pielęgnowano jak najstaranniej.

Zaraz następnego dnia po przyjeździe w. mistrza do Lwowa (22 sierpnia) przybył znany nam już Jan von Katwitz, wysłany z drogi do Królewca, z powrotem do Lwowa, przywożąc listy i wiadomości z Inflant, które przestraszały Krzyżaków. Przywiózł także pieniądze na podróż dla mistrza. Sprawy te przekazano ze względu na chorobę mistrza komturowi holandskiemu. Postanowiono niezwłocznie napisać do komtura osterodskiego, znajdującego się, jak wiemy, w obozie królewskim, i do samego króla.

Do komtura osterodskiego pisano po krótce w tym samym dniu, w którym przyjechał Katwitz (22 sierpnia), polecając mu, aby się osobiście udał do króla i prosił go, aby król raczył wypełnić prośbę wyrażoną w liście w. mistrza do króla, który w kopii komturowi przesłano. Do króla zaś samego pisano w dniu św. Bartłomieja (24 sierpnia) w imieniu w. mistrza:

„W. mistrz chory leży we Lwowie, tymczasem z Prus nadeszły smutne wiadomości a mianowicie, że Wielki książe moskiewski *„mit den abgesunderten ungloubigen Rewszen"* rozłożył się nad granicą inflantską i zamierza, łamiąc pokój, lada chwila wpaść do krajów zakonnych. Mistrz inflantski prosi Krzyżaków z Prus o pomoc, a Krzyżacy wzywają w. mistrza na powrót do siebie. W. mistrz udaje się zatem z pokorną prośbą do króla, żeby jemu i całemu jego oddziałowi, tak temu, który teraz jest w obozie, jak i tym, którzy się znajdują przy w. mistrzu, pozwolił niezwłocznie wrócić do Prus, aby bronić Inflant przed moskiewskim napadem."

Była to ostatnia prośba, w ogóle ostatnie pismo wysłane w imieniu w mistrza.

Mimo wszelkich starań bowiem, mimo dostatecznych posilających potraw i win, mimo leków starannie przyprawianych przez lekarza doktora Wilhelma Haldendorffa, siły w. mistrza co raz bardziej upadały. Na prośby i namowy towarzyszów przyjął w środę (23 sierpnia) w nocy sakrament namaszczenia olejem św. a w dwa dni potem w nocy 25 sierpnia, ku ogólnemu zmartwieniu całego otoczenia, z największym spokojem i przy zupełnej przytomności wyzionął ducha [1]).

Starosta Paweł wystąpił teraz jako prawdziwy niewierny Tomasz. Już poprzednio (24 sierpnia), kiedy wielkie niebezpieczeństwo groziło mistrzowi, nie chciał wierzyć w jego chorobę, uwierzył dopiero, kiedy go do mistrza zaprowadzono. Teraz znów nie wierzył, że umarł, zaprowadzono go więc do komnaty, gdzie leżały zwłoki zmarłego, a pokazawszy mu je, proszono go, żeby uwiadomił króla o smutnym tym wypadku i jednocześnie ze swojem uwiadomieniem wysłał listy Krzyżaków do króla i komtura osterodskiego.

Do króla pisał teraz komtur Holandu, uwiadamiając go o śmierci w. mistrza i zamiarze przewiezienia ciała jego do Prus, aby je pochować w grobowcu przy jego poprzednikach i powtarzając zarazem prośbę zmarłego, żeby król raczył uwolnić ze swej służby krzyżacki oddział i pozwolił mu wrócić do Prus dla obrony Inflant przed Moskwą.

List ten wysłał starosta Paweł wraz ze swym własnym w dniu 26 sierpnia do króla.

Tego samego dnia rano obłożywszy ciało zmarłego mistrza mirą i zawinąwszy je w płótno woskowe, żeby je zachować od zepsucia, złożono je w trumnę przygotowaną, w której je zawieźć chciano do Prus.

Starosta Paweł dowiedziawszy się, że orszak zakonny uwieźć chce ciało zmarłego do Prus, przyszedł wraz z burgrabią zamku lwowskiego i kilku rajcami do komtura, przekładając mu: że się

---

[1]) Z tego najwiarogodniejszego opowiadania naocznego świadka wynika, że w. mistrz umarł w domu swego kuma Jana. Inne źródła powiadają, że skonał w klasztorze Bernardynów, i tak *Bernt Stegmanns Hanseatische Chronik: Do der hochmaister quam in dy Podolye zur Russchen Lemborgk, do starb der hochmaister an dem blutgange in der abservanten kloster.* (Scr. rer. pruss. V, 498). że mistrz miał zamiar umieścić się u Bernardynów, wiemy z listu jego do króla z dnia 13 sierpnia, którýśmy powyżej przytoczyli.

nie godzi bez woli i wiedzy króla uwozić ciała zmarłego mistrza, poddanego królewskiego; lepiej czekać na odpowiedź, która nadejdzie wkrótce z obozu, bo bez wątpienia król nakaże, żeby ciało zmarłego we wszystkich miastach, przez które będzie prowadzono, je uroczyście przyjmowano; jeżeli zaś bez wiedzy króla uprowadzą, mógłby się król srodze rozgniewać i uważać to za obrazę sobie wyrządzoną, na co oni jako wierni poddani królewscy zgodzić się nie mogą.

Odpowiedziano im, że prawa i statuta zakonu wymagają a zmarły w ostatnich chwilach życzył sobie, żeby ciało jego jak najprędzej do Prus przewieziono, aby stany i dygnitarze zakonni, pozbawieni swego pana, mogli się czemprędzej o wyborze następcy naradzić i nie ponieśli strat przez długie opustoszenie naczelnej swej władzy.

Starosta i towarzysze jego, poznawszy zamiar komtura i drugich rycerzy i dowiedziawszy się o prawach zakonu, nie sprzeciwiali się nadal, prosili atoli, żeby im wolno było naradzić się poprzednio z biskupem przemyskim, który w pałacu arcybiskupim w pobliżu gospody w. mistrza leczył się na ciężką chorobę (*an der seuche, tisis genant*). Gdy wrócili od niego, nic się nie zmieniło w zapadłej poprzednio uchwale. Podziękowali wtedy towarzysze mistrza radzie miasta Lwowa za okazywaną za życia wielkiego mistrza przyjaźń i przychylność.

Starosta Paweł zaś mimo to jeszcze potem wszelkiemi siłami się starał, żeby przeszkodzić niezwłocznemu uprowadzeniu ciała zmarłego mistrza. Następnego już dnia (27 sierpnia) przyszedł ze znakomitym mieszczaninem krakowskim Bonerem (*Bonora* nazywa go Naker), który w języku niemieckim zaczął nakłaniać Krzyżaków, żeby czekali na rozkaz królewski. Dano mu tę samą co poprzednim wysłannikom odpowiedź a on uznał słuszność ich powodów i oddalił się.

Już poprzedniego dnia przychodził sam Paweł do gospody, w której leżało ciało w. mistrza, i prawił, że orszak zakonny nie powinien odchodzić bez urlopu króla, bo król przeznaczył dla nich 300 kóp groszy polskich, które pan Halicki, ulubieniec króla (*des hern koniges liephaber*) przywiózł na potrzeby mistrza, on to miał sprawić wszystko, czego im brakuje, a król niewątpliwie obdarzy sowicie mistrza, komtura i innych. Na to odpowiedział mu z własnej głowy sekretarz Liborius: „Jakieżby król na zmarłego naszego księcia mógł zlać jeszcze zaszczyty i dary, kiedy za ży-

cia i podczas choroby jego mało dbał o niego, przez cztery tygodnie blisko kazał mu leżeć w polu pod Haliczem i niczem go nie zaszczycił, nigdy go nie przyjął u siebie, żadnego poselstwa do niego nie przysłał.“ Rozsierdził się Paweł na taką odpowiedź i pogroził, żeby się w ten sposób nie odzywano, boby to mogło szkodzić zakonowi, ale Liborius nieustraszony oświadczył: „Prawda nigdy nie zawadzi, zresztą com mówił, mówiłem tylko w mojem własnem imieniu“.

W ogóle orszak zakonny nie ufał staroście Pawłowi, zdawało im się, że ma on jakieś tajemne a dla nich niekorzystne zamiary.

Opowiadali także rajcy lwowscy Krzyżakom, że Paweł i ich obrabiał, żeby nie pozwolili wywieść ciała mistrza bez pozwolenia królewskiego, lecz żeby bramy zamknęli i cały oddział krzyżacki przytrzymali. Lecz rada stanowczo mu odmówiła, zasłaniając się tem, że król im tego nie rozkazał.

Nadszedł tak poniedziałek (28 sierpnia). Wszystko już stało do wyjazdu gotowe. Wtedy nadszedł jeszcze raz starosta Paweł z Bonerem. Ostatni znów perswadował Krzyżakom, że może lepiejby było odroczyć wyjazd, jeżeli to jednak żadną miarą być nie może — dodał — w takim razie rozkazuję w imieniu Jego Król. Mości temu tu staroście, aby był waszym przewodnikiem aż do granicy. Pawłowi rozkaz ten nie podobał się, choć oświadczył, że go wypełni [1]).

Przytem zawiadomił Boner komtura, że biskup przemyski (znany nam już Mikołaj z Krajowa z przydomkiem Primus, herbu Łabądź) w imieniu króla nakazał wszystkim duchownym i mieszczanom odprowadzić uroczyście zwłoki zmarłego mistrza przed miasto i zapytał, czyby rycerze nic nie mieli przeciw temu. Komtur hollandski dziękował biskupowi, prałatom, radzie i całemu miastu, odpowiadając, że chętnie przyjmą te honory dla zmarłego swego pana.

Tak więc biskup Mikołaj, złamany wiekiem, opierając się na kiju, prałaci katedralni, zakonnicy z różnych klasztorów, Dominikanie, Franciszkanie, Bernardyni, cała rada miejska, cechy rzemieślników, Ormianie i Rusini z czterema czy sześcioma karawanami odprowadzili zwłoki wielkiego mistrza w wielkim tłumie przed miasto, narzekając, że tak pobożny książę, który przyszedł bronić ich od Turków, zgasł zbyt wcześnie.

---

1) *Hirinne wart Paulus zere vermerckt betriglikeit dohinder tusschende, denn der Mazer was nicht gut, sunder beruchtiget bözer tadt*, dodaje tutaj Naker, widocznie jak najgorzej dla Pawła usposobiony.

W końcu dziękował komtur w imieniu całego zakonu w uprzejmych i czułych wyrazach biskupowi, prałatom, duchownym świeckim i zakonnym, jako i radzie i całej gminie *„auch den jungen Matronen und wolgeczirten frawen“*, które wśród płaczu i narzekań towarzyszły zwłokom mistrza. Lwów w ogóle największą okazywał sympatyą Krzyżakom a Naker z wielką życzliwością i wdzięcznością wspomina o przyjęciu, jakiego w mieście doznali.

Potem dziękował znów biskup przemyski imieniem króla i całej Korony zmarłemu mistrzowi i wszystkim Krzyżakom za ciężką wyprawę, podjętą dla dobra Rzeczypospolitej i całego Chrześciaństwa, obiecując, że król i Rzeczpospolita nie zapomną zakonowi gotowości służenia sprawie publicznej i odwdzięczą się za wyświadczoną przysługę.

W ten sposób pożegnały się obie strony w poniedziałek o 12tej w południe 28 sierpnia.

O dalszym pochodzie ze zwłokami mistrza tylko po krótce wspomina w dzienniku swoim sekretarz zakonny.

W Bełzie zamknięto bramy miejskie i nie chciano ich wypuścić z miasta, z jakich powodów nie wiemy. Dopiero za wstawieniem się starosty Pawła pozwolono im ruszyć w dalszą drogę, choć i tu znów podejrzywa Naker Pawła, że to zatrzymanie było jego sprawką.

Przechodząc koło Lublina, spotkali oddział mazowiecki, ciągnący w kilkaset ludzi do króla. Dowódzcy mazowieccy *„mit namem Bernhardt und Drawschwitz“* powiadali Krzyżakom, że książę Konrad kazał im iść bardzo powoli, ale i tak pewno jeszcze w czas do króla przybędą.

W piątek po św. Mateuszu (22 września 1497 r.) stanął wreszcie orszak krzyżacki ze zwłokami mistrza w stolicy swojej Królewcu. Wysypało się całe miasto, biskup Mikołaj, namiestnik hr. Eisemberg, dygnitarze zakonni, rycerze, panowie z prowincyi, duchowni, mieszczanie, mężczyźni i kobiety naprzeciwko orszakowi pogrzebowemu ulubionego i powszechnie szanowanego księcia, zaprowadzono trumnę do katedry, odspiewano wigilie i wyprawiono wspaniały pogrzeb.

Pomiędzy ludem rozniosła się była bajka, że w trumnie nie zwłoki w. mistrza, lecz ciało jakiejś innej osoby przywieziono. Biskup napominał lekarza, sekretarza i służbę mistrza, aby prawdę ogłosili i rozsiewane pogłoski uciszyli. Otwierać trumny nie chciano, bo była smołą zalana, zresztą lekarz oświadczył, że otwierając ją

możnaby zatruć wielu ludzi. Musieli zatem lekarz, sekretarz, podskarbi i służba publicznie złożyć uroczyste zaręczenie, że w. mistrz umarł we Lwowie, że zwłoki jego złożono do tej trumny, zamknięto ją i przywieziono do Królewca. Wtedy dopiero lud uwierzył a trumnę przechowano we wspólnym grobowcu wielkich mistrzów.

W końcu dyaryusza swego podaje Liboryusz Naker krótką jeszcze wzmiankę o smutnym końcu wyprawy króla Jana Olbrachta.

W czwartek przed św. Szymona i Judy (26 października 1497 r.) opuszczając Wołoszczyznę poniosło wojsko królewskie i zaciężni niemieccy, służba dworska, Mazury, Szlązaki i Prusaki wielką klęskę od Wołochów, Turków i Węgrów; większa część wojska poległa albo w niewolę wzięta, wszystkie wozy z bagażami stracone. Król będący z Polakami w przedniej straży, nie mógł uratować pułków na końcu maszerujących. Kilku zaledwie rycerzy i żołnierzy, którzy z oddziału krzyżackiego z Wołoszczyzny wrócili, świadczyli ranami swemi i utratą swego dobytku o prawdziwości poniesionej klęski. Ze szlachty zginęło tam i nie wróciło do kraju: Eustachy von Slywen rycerz, Bernard von der Gabelentz, Krzysztof von Lichtenhayn, cześnik wielkiego Mistrza, Andrzej Pohybel, dalej mnóstwo służby i prostych a przedewszystkiem ciury przy wozach, których po większej części ubito w czasie odpoczynku.

Tak przedstawia Naker koniec tej wyprawy.

Inne źródła pruskie nie tak niekorzystnie się wyrażają, i tak mówi Paweł Pole w swej pruskiej kronice: „Nie wrócili z mistrzem wszyscy, którzy z nim kraj opuścili, król bowiem poniósł klęskę, niektórych z naszych zabito, niektórych do niewoli wzięto i uprowadzono; pomiędzy nimi znikł także znakomity szlachcic nazwiskiem Stach von Schlieffen (Eustachy von Slywen u Nakera), tak że nikt nie wie, co się z nim stało. Inni wrócili powoli do domu". (*Script. r. pruss.* V. 209 i 210).

Z opowiadania Nakera, jako też, po części przynajmniej Wapowskiego (*l. c. pag.* 32 i 33) i Miechowity (w wydaniu Wapowskiego *l. c. pag.* 261—263), zdaje się jednak wynikać, że Polacy sami niekoniecznie wielkie straty w Bukowińskiej klęsce ponieśli, dotknęła ona przeważnie straż tylną Mazurów, Szlązaków i zakonny oddział. Owe przysłowie: *Za króla Olbrachta wyginęła szlachta*, co najmniej zawiera bardzo wielką przesadę.

Dla Krzyżaków jednak wyprawa ta, jak widzieliśmy, bardzo smutny koniec wzięła: mistrz umarł, pieniędzy dużo wydano, cały szereg rycerzy i panów zginął, reszta wróciła w smutnym stanie. Przytem całe postępowanie króla z wielkim mistrzem musiało robić

i robiło niewątpliwie najgorsze wrażenie. Takiemu panu jak wielki mitsrz a przytem jeszcze człowiekowi tak szanownemu i zacnemu, nie zważającemu na podeszły swój wiek, lecz spieszącemu z pomocą, na jaką się tylko mógł zdobyć, przytem potulnemu i każdy rozkaz króla niezwłocznie wypełniającemu, należało się niezawodnie więcej uszanowania i względów ze strony króla. Słusznie się więc skarży Naker, że król nie dbając o niego, przez tyle tygodni kazał mu leżeć w polu pod Haliczem, że ani razu go do siebie nie zaprosił, ani jednem poselstwem nie uczcił, ani razu o radę doświadczonego człowieka i pierwszego Polski senatora nie spytał. Kto wie, czy oburzenie takiem postępowaniem wywołane, nie wpłynęło na następne wybory wielkiego mistrza, które, jak wiadomo, skończyły się wyborem księcia z udzielnego panującego domu, księcia Fryderyka saskiego, który pod żadnym warunkiem nie chciał złożyć hołdu Polsce. Kto wie, czy na to jego wzbranianie nie wpłynęło także postępowanie króla z r. 1497, bo słusznie sobie mógł mówić: jeżeli będę hołdownikiem Polski, jeżeli z oddziałem pójdę jej na pomoc, to i mnie znów ze strony króla spotka takie lekceważenie, jak mego poprzednika, potulnego i zawsze posłusznego lennika Polski.

Opis tego jedynego, nam przynajmniej znanego wypadku, w którym lennik Polski, w. mistrz, ze zbrojnym oddziałem przybył na pomoc Polsce, wypełniając jeden z paragrafów toruńskiego wieczystego pokoju, ze wszech miar smutne robi na nas wrażenie; cała nasza życzliwość jest po stronie tego szanownego, zacnego, dla sprawy publicznej poświęcającego się starca, który umiera we Lwowie.

Ulryk Werdum

1670—1672.

W dalekich stronach od nas, we wschodniej Fryzyi, blisko wybrzeży północnego morza leży wieś Werdum. Należała ona w XVII wieku do rodziny szlacheckiej, używającej od niej nazwy von Werdum. W tej wiosce urodził się 1 stycznia 1632 roku Ulryk von Werdum. Wraz z młodszym swym bratem Aleksandrem wychowywał się do trzynastego roku życia w domu pod kierunkiem prywatnych nauczycieli, między innymi niejakiego Jerzego Muhlfuhrer z Heilbronnu.

Przygotowanych już w pierwszych elementach nauk synów wysłał ojciec w r. 1645 do szkoły do Jever, miasta w wielkiem księstwie oldenburskiem. Ówczesny rektor tego zakładu Benedykt Gweiter z Turyngii, odznaczający się udatną wymową, utrzymywał szkołę tę na stopniu wysokiego rozkwitu. Tutaj oddawał się młody Ulryk tak gorliwie naukom, że już po trzech latach uznano go za uzdolnionego do studyów uniwersyteckich.

Za wolą ojca udał się w roku 1648 przez Emden, Greningę i Leuwarden do miasta Franeker w zachodniej Fryzyi. Uniwersytet tutejszy był wtedy, jak sam Werdum powiada, prawie najsławniejszym pomiędzy niederlandzkiemi. Ówczesnym zwyczajem słuchał tutaj kursów najróżniejszych, nie dążąc widocznie do wykształcenia fachowego, lecz więcej do ogólnego. Tak więc słuchał teologii u Jana Cocceji, prawa u Jana Jakóba Wissenbacha, medycyny u Jana Antonidesa von der Linden, filozofii u Jana Phocilidesa, matematyki u Bernarda Fülleniusa a wreszcie, historyi i polityki u Jana Acroniusa.

Jaki sobie wytknął cel właściwy kształcąc się tutaj, nie wiemy. Tyle jednak poznać możemy, że za specyalność nie obrał sobie żadnej nauki, lecz za to we wszystkich wymienionych zebrał pewien zasób wiadomości, nie wyłączając nawet medycyny i teologii, mianowicie teologii ze stanowiska reformowanych protestantów, do których wyznania sam należał. Oddawał się także językom; później bowiem biegle władał nietylko ojczystym językiem, to jest niemieckim, ale łacińskim i francuskim. Według wszelkiego prawdopodobieństwa musiał także znać język holenderski, kiedy przez tak długi czas wśród narodu tego przebywał.

Po blisko czteroletnim pobycie na uniwersytecie we Franeker, wrócił w r. 1652 do domu do Werdum. Dłuższa choroba, jak i inne nieznane nam bliżej przeszkody zatrzymały go tutaj aż do r. 1654. W tym czasie, kiedy więc Ulryk liczył lat 22, postanowił go ojciec wysłać jeszcze raz na większy uniwersytet, aby tam dokończył rozpoczętych we Franeker studyów. Wybór padł na Heidelberg. Z Werdum do Heidelbergu była to, jak na owe czasy, podróż wcale znaczna. Ulryk poznał przy tej sposobności dość wielki kawał pięknego kraju, zwłaszcza że do Heidelberga jechał przez Oldenburg, Bremę, Hanower, Kassel, Giessen, Frankfurt, Darmstadt, a z powrotem, po dwuletnim pobycie w Heidelbergu, wracał inną drogą, Nekarem, potem Renem, a od Kolonii lądem. Jakim studyom oddawał się w Heidelbergu, nie wiemy. Według wszelkiego prawdopodobieństwa atoli nie zmienił pierwotnego uniwersalnego kierunku.

Powróciwszy do rodziny, nie opuszczał teraz przez kilka lat wschodniej Fryzyi. Czem się w czasie tym zajmował, znowu powiedzieć nie umiemy; musiał się jednak w części przynajmniej oddawać także gospodarstwu; widzimy bowiem w przyszłości, że i na tem polu wcale mu

nie zbywa na wiadomościach, i że szczegóły gospodarskie zawsze go żywo obchodzą.

W roku 1662 dnia 23 lutego stracił ojca, w pięć lat później 1 maja 1667 r. matkę. Po zmarłych rodzicach pozostała dość liczna rodzina: czterej synowie i dwie córki. W r. 1668 stanął pomiędzy nimi dział majątkowy; najstarszego brata Josta Baltazara i dwie siostry Gizebertę i Elżbietę Maryę spłacono; trzej bracia Wilhelm, Ulryk i Aleksander pozostali tymczasem jeszcze *in communione bonorum.* Tak było do wiosny r. 1670. Wtedy i oni postanowili podzielić się majątkiem i uskutecznili zamiar ten niebawem, dobra puścili w dzierżawę, sprzęty i inne ruchomości sprzedali. Starszy Wilhelm udał się najprzód do Greningi i Leuwarden, dwaj młodsi Ulryk i Aleksander na wschód, o ile widzieć możemy, bez jasnego celu, chyba na to, „aby się dalej rozglądnąć po świecie“, w nadziei, że im się gdzie jaki szczęśliwy los nawinie.

Dnia 6go maja (starego stylu) r. 1670 opuścili rodzinne Werdum, udając się najprzód do Hamburga, potem do Lubeki. Tutaj umówili się, że Aleksander pojedzie szukać szczęścia w Szwecyi w Sztokholmie, Ulryk zaś uda się do Polski, nasamprzód do Gdańska. Rzeczywiście też wyjechał Aleksander 17 maja na statku Marcina Bornheide do Sztokholmu. Ulryk tymczasem czekał jeszcze na statek, któryby płynął do Gdańska. Dowiedziawszy się, że Piotr Knacke z Lubeki wyjeżdża na statku swym do miasta tego 27go maja z Trawemünde, miasta przy ujściu Trawy, ruszył dnia tego rano do tego portu, aby tutaj wsiąść na okręt.

Tego samego dnia, w którym Ulryk opuszczał Werdum, 6 maja, wyjeżdżał z Paryża w te same strony Francuz, który miał na losy Ulryka wywrzeć wpływ ważny, a w dziejach Rzeczypospolitej polskiej donośną, choć dotąd prawie nieznaną, odegrać rolę.

Przybywszy bowiem do Trawemünde, zapoznał się Ulryk z Francuzem, który mu się zaprezentował jako *Monsieur Beauval.* Więcej nic wtedy o nim nie wiedział; widział tylko, że chodził w świeckich sukniach. Razem z tym Francuzem wsiadł tegoż samego dnia, 27 maja, na ów statek, *Św. Antonim* zwany, Piotra Knackego. Zaraz następnego dnia napadła ich na morzu burza, zmuszając ich do powrotu do portu, z którego wyjechali. Tutaj więc czekali znowu aż do 2go czerwca na pomyślniejszy wiatr. Dnia tego wreszcie na nowo wyjechali i stanęli szczęśliwie bez większych przeszkód 7 czerwca w Gdańsku.

W drodze już nieco bliżej zapoznał się Ulryk ze swym francuzkim towarzyszem, nic jednak o zamiarach jego jeszcze nie wiedział. W Gdańsku samym mieszkali zwykle w tych samych gospodach, przenosząc się z jednej do drugiej. Tak minęły cztery tygodnie. Wtedy już sprzykrzył się Werdumowi długi ten pobyt, poszedł więc do towarzysza swego, który mu przez cały ten czas okazywał dużo grzeczności, i oświadczył mu, że zamierza się udać w dalszą podróż. Francuz ofiarował mu na to zatrudnienie u samego siebie, mówiąc mu, że kuzyn jego markiz d'Auffay, który w Hamburgu zachorował, a wkrótce tu do Gdańska przyjedzie, zamierza odbyć podróż przez Polskę do cesarskiego dworu, a potem przez Włochy i Francyą; prosił więc Werduma, aby tymczasem został jeszcze przy nim, a skoro kuzyn tu nadjedzie, zabierze go ze sobą i da mu dobre utrzymanie. Werdum zgodził się na tę propozycyę i wyjechał wkrótce potem, 9 lipca, z Francuzem do Królewca, gdzie stanęli 11go lipca wieczorem.

Co tutaj robił rzekomy *Monsieur Beauval,* nie wiemy. Dosyć, że w Królewcu, gdzie wówczas rządził namiestnik elektorski ks. de Croy, bawił do 21 lipca, a potem znów razem wrócili do Gdańska. Tutaj znowu przesiedzieli przeszło trzy miesiące, Werdum ciągle w tej nadziei, że wre-

szcie zjawi się ów markiz d'Auffay, który mu miał dać zatrudnienie na dłuższy czas. W Gdańsku spotykał się Werdum z różnymi ludźmi, którzy go namawiali do kart, do pijatyk i innych rozpust, ale z pokus tych wyszedł zwycięzko.

Wtedy dopiero odsłonił rzekomy *Monsieur Beauval* tajemnicę, która go dotąd okrywała, oświadczając Werdumowi, że to on nasyłał do niego owych różnych ludzi, aby go wypróbować, aby się przekonać, czy na stateczności i wierności jego polegać można; przekonawszy się zaś, że na zaufanie zupełnie zasługuje, powiedział mu teraz, że ów kuzyn francuski jest tylko fikcyą i że on sam ma zamiar wziąć go do swej służby. Teraz dopiero dowiedział się Werdum, że rzekomy *Monsieur Beauval* zwie się rzeczywiście Jean de Courthonne, abbé de Paulmiers et Harchagrats, kanonik z Lisieux, z dawnej normandzkiej szlacheckiej rodziny. Teraz dopiero dowiedział się, że jest on agentem rządu francuskiego, wysłanym do Polski w najgłębszej tajemnicy w tym celu, aby w związku z partyą francuską magnatów polskich strącić z tronu Michała Wiśniowieckiego i osadzić na nim księcia de Longueville. Zaopatrzony w instrukcye i wielkie pieniądze ma on się teraz udać do Polski, aby tam przeprowadzić w wymienionym celu konfederacyę. Po takich objaśnieniach ofiarował Werdumowi przy sobie stanowisko i oczywiście także dobrą za to zapłatę, a Werdum przyjął bez wahania ofertę.

Nie był to pierwszy agent francuski, który dla ks. Longueville a przeciw królowi Michałowi pracował w Polsce. Poprzednikiem jego był Akakia, niegdyś sekretarz francuskiego ministra de Lombres w Oliwie. Przesiadywał głównie w Gdańsku i z miasta tego wpływał na malkontentów; nie umiał jednak negocyacyj swych utrzymać w takiej tajemnicy, jak mu polecono. Niebawem dowiedziały się o nich dwory polski i cesarski i skarżyły się

w Paryżu, że dwór francuski nie dotrzymuje danej dawniej obietnicy. Król francuski udając, jakoby się knowania te bez wiedzy i woli jego prowadziły, odwołał niebawem Akakię, a kiedy ten wrócił do Paryża, kazał go na dwa do trzech miesięcy wsadzić do bastylli [1]).

Jak obłudne było to postępowanie francuskiego dworu, widać już stąd, że zanim jeszcze Akakia opuścił Gdańsk, już nowego pełnomocnika, właśnie znanego nam już abbé de Paulmiers, do Polski zupełnie w tym samym celu wysłano i to nie z poręki samego ks. de Longueville, lecz za wolą i wiedzą samego króla.

Drugi ten agent, nowy pryncypał naszego Ulryka, był to człowiek takiej zręczności, umiał nazwisko swe i czynność utrzymać w takiej tajemnicy, że nie tylko wtedy nikt się o nim nie dowiedział, lecz że nawet nazwisko jego, choć fałszywie pisane, pojawiło się—o ile mi wiadomo — w historycznej naszej literaturze dopiero po pierwszy raz w rozprawie umieszczonej przez Mosbacha w *Bibliotece Ossolińskich* z r. 1864, a po drugi raz w historyi Morawskiego (IV, 29). Obydwaj autorowie, choć nie zupełnie dokładnie, dowiedzieli się niektórych szczegółów o nim i jego missyi z pamiętników markiza de Pomponne, ogłoszonych w Paryżu w r. 1860, z których ustęp, odnoszący się do Polski, p. Mosbach podał w przekładzie w wymienionym wyżej tomie *Biblioteki Ossolińskich*. Wiedziano wprawdzie i wtedy, i wiemy teraz o intrygach francuskich, toczyły się o to wówczas procesa, przychodziło do scen najburzliwszych, lecz główny podżegacz pozostawał w tajemnicy, a całe te intrygi pokryte były

---

1) Pisze o tem także do żony Jan Sobieski 18 grudnia 1670 r. (Zobacz Listy J. Sobieskiego, wydane przez Helcla). Jaki postrach rzuciło na malkontentów wykrycie intryg Akakii i groźba króla francuskiego, widzimy z listu Sobieskiego do żony z 19go czerwca 1670 r. w zbiorze wyd. przez Helclá.

taką pomroką, że dotąd nie znamy historyka, którzyby je trafnie i wyczerpująco przedstawił.

Nasz Werdum wielce pryncypała swego admiruje. Poznawszy go tak dobrze, jak mało kto, tak go opisuje: „Był to człowiek, choć stanu duchownego, jednak wielkiej odwagi i dziwnie zręcznego rozumu, który się w najwięcej niespodzianych wypadkach w jednej chwili znaleźć umiał, a najniebezpieczniejsze przeszkody zwykł zwyciężać bez obawy“. Margrabia de Pomponne, ówczesny minister i sekretarz stanu w departamencie spraw zagranicznych, w pamiętnikach swych przyznaje mu wprawdzie zręczność, ale robi mu zarazem zarzut zbytniej hojności. Powiada bowiem tak: „Król francuski Ludwik XIV jawnie sam nie występował w tej sprawie (t. j. kandydatury ks. de Longueville), Sobieski, Morsztyn i wszyscy inni wtajemniczeni w nią, wiedzieli tylko, że się bardzo ucieszy, jeźli zamiar się powiedzie, do którego się król Ludwik potajemnie przykładał. Wszystko lubo pod ścisłą tajemnicą, działo się w imieniu księcia de Longueville. Miał on w Polsce swoich ludzi, między innymi ks. Paumier (właściwie Paulmiers) męża bardzo bystrego. Ten to był upoważniony zaręczać imieniem i słowem księcia nagrody obiecywane tym, którzyby popierali jego wybór. Tymczasem ksiądz rozdawał dosyć znaczne sumy“ [1]). Dziwny to zaiste zarzut, który wcale nie zmniejsza zasług ks. Paulmiers około sprawy Longuevilla, trudno bowiem od niego żądać, żeby bez szafowania pieniędzmi przeprowadził takie sprawy, jakie miał poruczone. Przytoczona zresztą powyżej wiadomość, była dotąd jedyną, jaką o osobistości tej i jej działalności w Polsce posiadaliśmy.

Wróćmy jednak, nie uprzedzając właściwego rozwoju sprawy, do Gdańska. Że już podczas bytności w Gdań-

[1]) Mosbach, Wiadomość o Polsce za Michała I i Jana III z pamiętników markiza de Pomponne (Bibl. Ossol. 1864, str. 78).

sku utrzymywał Paulmiers stosunki z panami polskimi a przedewszystkiem z Janem Sobieskim, na to znajdujemy dość liczne dowody w korespondencyi tegoż Sobieskiego, choć nasz Werdum albo o tem nie wiedział albo nie uznał za potrzebne o tem nadmienić.

Pozyskawszy Werduma do usług swych i wysławszy go niebawem 13 listopada z bagażami do najbliższej pod Gdańskiem wioski, pospieszył Paulmiers następnego dnia za nim. Tutaj zrzucili obydwaj suknie świeckie i przebrali się w jezuickie, w mniemaniu, że tym sposobem bezpieczniej będą mogli odbyć ryzykowną podróż do Polski. Werdumowi niekoniecznie przebranie to się podobało, bo już jako protestant nie lubił Jezuitów i miał wstręt do tego, aby udawać braciszka-służebnika (*moine servant*) przy pryncypale swoim, wkrótce jednak przywykł do tego, zwłaszcza, że pan jego po kilku daremnych próbach nie wymagał od niego usług sprzeciwiających się jego religijnym przekonaniom.

Tak przebrani ruszyli w dalszą drogę, najprzód przez Prusy na Toruń, potem przez Kujawy, Mazowsze, i stanęli 21 listopada w Łowiczu, mieście należącem do arcybiskupa gnieźnieńskiego. Mikołaj Prażmowski, ówczesny prymas polski, był, jak wiadomo, jednym z głównych przywódzców malkontentów czyli partyi francuskiej, popierającej kandydaturę księcia de Longueville. Nie zastawszy arcybiskupa w mieście, udali się do Lisowic, wsi do niego należącej a w pobliżu Łowicza położonej.

Tutaj odbyła się dłuższa, tajna konferencya pomiędzy ks. Paulmiers a Prażmowskim; o treści i rezultatach jej nie mamy bliższych wiadomości. Zdaje się jednak rzeczą niewątpliwą, że arcybiskup odesłał francuskiego agenta po ostateczną decyzyą do ówczesnego wielkiego hetmana i marszałka koronnego Jana Sobieskiego, już

bowiem następnego dnia udaje się Paulmiers z Werdunem w dalszą drogę ku Rusi.

Dnia 24 listopada przyjeżdżają do Osuchowa, majętności, którą wówczas posiadał po żonie, córce nieszczęsnej pamięci podkanclerzego, Radziejowskiego, Wojciech Prażmowski, chorąży nadworny, rodzony brat arcybiskupa.

Widocznie prymas polecił bratu, aby dla większego bezpieczeństwa towarzyszył agentowi w dalszej podróży, bo już w dwa dni potem 26 listopada wybierają się w drogę i to nie jak dotąd skromnie na wózku w dwie osoby, lecz w towarzystwie samego chorążego, Wojciecha Prażmowskiego z 24 zbrojnymi jeźdzcami i szlachcica litewskiego Orłowskiego z trzema zbrojnymi jeźdzcami.

Tak huczno i wspaniale puścili się na Ruś i przybyli do Lwowa 3 grudnia. Czy się tutaj widzieli z wojewodą ruskim Jabłonowskim, lub nie, nie umiemy powiedzieć. Tyle jednak zobaczymy, że Jabłonowski niebawem potem nietylko wie o ich przybyciu, ale nawet uwiadamia o tem samego króla, co na agenta i jego towarzyszów wielkie ściągnęło niebezpieczeństwo. Dnia 5 grudnia wyjechali do Żółkwi, aby się widzieć i naradzić z Sobieskim. Nie zastali go tutaj i czekać musieli do 12 grudnia. Aż do 15 w wieczór trwały narady pomiędzy nimi.

Paulmiers lepszego spodziewał się rezultatu, liczył bowiem, opuszczając Gdańsk, na to, że zastanie już konfederacyą gotową. Miała ona rzeczywiście stanąć 7 listopada, jak wiemy między innemi z listów Sobieskiego z 5 i 12 listopada, lecz nie przyszła do skutku, przedewszystkiem z powodu Jabłonowskiego, wojewody ruskiego, Polanowskiego, pułkownika i chorążego sanockiego, i innych [1]). Sobieski twierdzi w liście z 18 grudnia, że jednak te przeszkody byłoby można usunąć, gdyby nie wy-

---

[1]) Helcel, Listy Sobiesk. II, 23 i 24.

stąpienie króla francuskiego przeciw krokom czynionym przez agenta Akakię i uwiadomienie o tem króla Michała, co jak już wiemy, straszliwie zaniepokoiło malkontentów, tak, że wtedy nawet Morsztyn już myślał o zgodzie z królem i radził to uczynić swym przyjaciołom.

Paulmiers domagał się teraz, żeby niebawem przystąpiono do skonfederowania armii przeciw królowi. Sobieski atoli odparł, że na to jeszcze nie czas, radził czekać na rezultat komisyi radomskiej, na którą armia wniosła liczne i ważne exorbitancye. Kiedy więc, jak się spodziewać można, nie dostanie satysfakcyi, wtedy da się konfederacya przeprowadzić z większem powodzeniem. Tymczasem zaś radził Paulmiersowi wrócić do Gdańska, wstąpiwszy po drodze do arcybiskupa.

Nie pozostało agentowi i licznej jego świcie nic innego, jak pójść za tą radą. Zaczął się więc powrót do Gdańska 16 grudnia. W dwa dni potem, w Szczebrzeszynie, dowiedzieli się, że wojewoda ruski Jabłonowski uwiadomił o ich przyjeździe i zamiarach króla Michała i że ten nie tylko rozesłał po całem królestwie rozkazy, aby ich ścigano, lecz wysłał także w pogoń za nimi szwadron konnicy, 100 jezdnych. Szwadron ten już miał być w pobliżu. Eskorta ich była za mała, żeby módz zmierzyć się z powodzeniem z tak znaczną siłą. Postanowili więc uciekać czem prędzej, mimo straszliwego mrozu i ogromnej śnieżnej zamieci. Opuściwszy główny gościniec jechali zatem co koń wyskoczy bocznemi drożkami i rzeczywiście nie spotkali się z ową pogonią, jeśli w ogóle była wysłana.

Dnia 26 grudnia stanęli szczęśliwie w Goszczynie, gdzie się przyłączył do nich Jan Zieleński, łowczy koronny, także jeden z partyi francuskiej, a następnego dnia przybyli do Osuchowa, gdzie spotkali prymasa, z którym Paulmiers prawie całą następną noc konferował, zdając mu zarazem sprawę z narady z Sobieskim. Naza-

jutrz 28 grudnia przyjmował ich gościnnie w domu swoim w Łowiczu chorąży Prażmowski. Tutaj dowiedzieli się, że król wiedząc, że wrócić mają do Gdańska, kazał czyhać na nich przy wszystkich przeprawach przez Wisłę. Postanowiono więc, aby Paulmiers i Werdum każdy osobną pojechali drogą, żeby tym sposobem zmylić straże. Umówiwszy się, że się znów spotkają w Nidborgu w Prusach, ruszył Paulmiers 1 stycznia 1671 w drogę z eskortą czterech tylko jezdnych. Werdum zaś pozostał jeszcze w Łowiczu do 3 stycznia, robiąc przygotowania do niebezpiecznej wyprawy, która go czekała.

Tajne depesze i cyfry obwinięte w woskowe płótno wsadzono w wielką bułkę ciasta i upieczono jako chleb w piecu. Bochenek ten figurował pomiędzy spiżarnianemi zapasami Werduma. Pieniądze i klejnoty wartości do 100,000 talarów umieścił pomiędzy podwójnem dnem wielkiego kufra. Tak zabezpieczony ruszył z furgonami w drogę 3 stycznia 1671 r., przedostał się szczęśliwie w ubocznem miejscu przez Wisłę i stanął 7 stycznia w Nidborgu w Prusach, gdzie już zastał pryncypała swego. Odpocząwszy trochę, ruszyli zaraz tego samego dnia do Królewca i stanęli tu 11 stycznia. Umieściwszy się w nędznej gospodzie, *Haberberg* zwanej, chcieli tu siedzieć w ukryciu i tymczasem utrzymywać listowne stosunki z Sobieskim, Prażmowskim i innymi malkontentami. Zaledwie jednak tutaj przesiedzieli 3 do 4 tygodni już w Warszawie wiedziano o nich. Werdum posądza Jezuitów, że oni to donieśli o tem królowi, opisawszy ich jak najdokładniej. Na żądanie króla zaczął namiestnik elektorski książę de Croy tropić za nimi. Nie pozostało im więc nic innego, jak opuścić królewieckie schronienie. 14 lutego umknęli do Gdańska i przybyli po niebezpiecznéj przeprawie do tego miasta 17 lutego.

Tutaj znowu siedzieli w ukryciu przeszło cztery tygodnie, czekając na ukończenie komisyi radomskiej. Że

Paulmiers z czasu tego korzystał, rozpisując liczne listy do magnatów polskich, przedewszystkiem do Sobieskiego, widzimy z listu hetmana do żony z 20 marca, w którym pisze: „*Avec 489* (Beauval) żadnej nie mam korespondencyi i na listów sześć, które do mnie pisał bardzo obszernie i jednegom mu nie oddał responsu. Żadnej w tem nie czynię *finesse* i owszem bodajem go był nigdy nie znał“ (Helcel II, 43). — Wreszeie postanowił Paulmiers, może pod wpływem tego milczenia, wyruszyć na nowo przez całą Polskę do Sobieskiego. Tym razem, aby ich nie poznano, zrzucili z siebie suknie jezuickie i przebrali się po świecku, udając dymisyonowanych hiszpańskich oficerów, szukających u wielkich panów polskich służby wojskowej. Do cyfr i najważniejszych listów kazał Werdum tym razem zrobić osobną maźnicę z podwójnem dnem. Listy i cyfry w woskowe płótno owinięte wsunął pomiędzy dwa dna, maźnicę napełnił smołą i zawiesił ją z tyłu u wozu na silnym łańcuchu. Paulmiers i Werdum odbywali tym razem podróż na koniu, towarzyszył im tylko jeden nowy sługa, popędzający wóz z zapasami i materacem dla Francuza.

Dnia 24 marca wyjechali z Gdańska. W Zdunach, niedaleko Łowicza, zatrzymał się Werdum przez dzień 30 marca, Paulmiers zaś pojechał do arcybiskupa na naradę, o której atoli nic bliższego nie wiemy. To jednak nie ulega wątpliwości, jak niebawem zobaczymy, że prymas odesłał go do Sobieskiego.

Dnia 31 marca ruszyli w dalszą drogę; 1 kwietnia przybyli do Prażmowa, rodzinnego gniazda Prażmowskich, i zatrzymali się tu pewno dla nowych narad aż do 5go kwietnia. Dnia tego wyruszyli znowu dalej i jechali szybko, nie zatrzymując się nigdzie dłużej, do Lwowa, gdzie stanęli 13 kwietnia. Okoliczność, że w mieście tem zatrzymują się znów przez parę dni, wskazuje, że i tutaj musiały się toczyć jakieś nowe układy. W czasie tym

bowiem widział się Paulmiers z Sobieskim, ale nie doznał korzystnego przyjęcia. Sobieski tak opisuje to widzenie w liście do żony z 16 kwietnia, a więc tuż po rozmowie z agentem:

„Daje mi też znać *la Pauvre la Poudre* (to jest sam Sobieski), że ją niespodziewanie zbiegł *489* (Beauval) *à 406* (Jaworów) i nabawił wielkiego strachu Nie widziała się z nim, tylko przez godzin dwie w nocy, a to dla suspicyi, której nie wiem jeźli ujdzie tak wielką nieostrożnością tego gacha. Odprawiła go z tem, że mu da ostatnią deklaracyę 139 (Warszawa), obaczywszy się z krewnymi i przyjaciołmi swymi, a to aby na się nie ściągnęła inwidyi *au palais enchanté* (to jest w Paryżu), bo ta odprawa i rezolucya ostateczna nie może być z ukontentowaniem *du* 149 (króla francuskiego). Niech mi odpuści 116 (arcybiskup), on tego wyprawił do niej, powiedziawszy, że ona wszystko i teraz jeszcze uczynić może, kiedy zechce. *Mais on l'a désabusé* i odjechał zaraz nazad“.

Z tych wyrazów „odjechał zaraz nazad“ wnosić możemy, że Paulmiers ze Lwowa zrobił wycieczkę do Sobieskiego, przebywającego w Jaworowie, kiedy bowiem przejeżdżał przez Jaworów ku Lwowu wcale się tam nie zatrzymywał. Widzenie to miało więc miejsce 14 lub 15 kwietnia.

Nie zrażony odpowiedzią Sobieskiego przyczepił się Paulmiers jak cień do niego. Sobieski wyjeżdża do Warszawy, Paulmiers jedzie za nim. Sobieski 21 kwietnia, a pewnie już także dnia poprzedniego jest w Pielaskowicach, Paulmiers przejeżdża 19go przez Pielaskowice i nocuje tutaj. Czy Sobieski widział się i tu z nim, lub czy też ta zgodność czasu była tylko przypadkową, nie umiemy powiedzieć.

Dnia 24 kwietnia już znów widzimy Paulmiersa i Werduma w Prażmowie, bawią tutaj aż do 29. Tymczasem wyjechał Sobieski 23go kwietnia z Pielaskowic do

Białej, a potem do Warszawy. Paulmiers zaś opuściwszy Prażmów 29 kwietnia stanął tego samego dnia w Łowiczu i znów w tej siedzibie prymasa przesiedział do 5go maja. Dnia tego ruszył do Warszawy, ale ledwie się tu obejrzał, już znów 6 maja wrócił do Łowicza. „Co strony *de ma chère cousine* (t. j. Beauval), ta stąd dawno odjechała i w żaden się nie wdawała traktat“ — pisze o tym jego pobycie w Warszawie Sobieski 29 maja.

Teraz przez długi czas siedzieli Paulmiers i Werdum w Łowiczu, robiąc jednak częste wycieczki, zwłaszcza do Prażmowa i Raciborów, czasami po 12 mil konno jednego dnia. Pozyskano dla planów francuskich wszystkich ważniejszych malkontentów, chodziło jednak teraz o pozyskanie i skonfederowanie wojska. „Pierwszy to bywa krok w Polsce do osłabienia powagi królewskiej“ — powiada markiz de Pomponne w swym pamiętniku.

Postanowiono więc w Łowiczu, aby Paulmiers dla przypilnowania tej sprawy i ciągłych stosunków z wyższymi oficerami, sam z towarzyszem swym udał się do obozu, zachowując atoli największą ostrożność, żeby się nikt z przeciwników nie domyślał, że jest agentem francuskim.

Paulmiers więc udaje teraz inżyniera, który świeżo przybył z Kandyi z zamiarem służenia w Polsce przeciw Turkom, tak jak to czynił w Kandyi, której w rzeczywistości nigdy na oczy swe nie widział. „Znał jednak — powiada Werdum — całą wojnę na Kandyi wraz z oblężeniem i wszystkiemi wypadkami tak dokładnie, że pewnie nawet mądrzejszym ludziom od Polaków mógł wmówić, że osobiście brał udział w oblężeniu Kandyi“.

Nie dosyć na tem, wystarano się dla niego o patent ręką króla Michała podpisany, z pieczęcią królewską, w którym go jako inżyniera królewskiego wszystkim oficerom polecano. Dotąd używał zwykle imienia Monsieur Beauval, lub Monsieur du Bourg, albo też Maciej Olewic,

teraz zaś w nowym swym charakterze inżyniera przezwał się Jean Bardouni, le chevalier de Sacconay, i pod tem imieniem wkrótce go znała cała armia.

Ulryk Werdum zaś, którego dotąd zwano Chrystianem Freson, ochrzcił się teraz imieniem Gracyana Ulryka. Odrzucili teraz dawne zakonne i kupieckie suknie i przebrali się zupełnie po wojskowemu. Paulmiers sprawił sobie wcale świetną świtę, kilka koni, trzy wozy, kucharza, masztalerzy, lokaji i paziów. Werdum uchodził za dymisyonowanego kapitana, znającego się na sztuce zakładania min, w rzeczywistości zaś był ochmistrzem trenów rzekomego pana inżyniera.

Tak przebrani i wyekwipowani wyruszyli z Łowicza 27 czerwca 1671 r. i stanęli w Krakowie 1 lipca. Widocznie znów tutaj układy zatrzymują agenta, bawią bowiem w Krakowie przez kilka dni. Na rozkaz pryncypała swego, który o Wieliczce chciał posłać do Francyi dokładny opis, zrobił Werdum 6 lipca z Krakowa wycieczkę do tych kopalń i wrócił jeszcze tego samego dnia późno napowrót do starego grodu polskiego.

Następnego już dnia, 7 lipca, nad wieczorem ruszyli znowu w dalszą drogę. 12 lipca stanęli we Lwowie i zatrzymali się tu dni jedenaście. Jak już wiemy, Paulmiers miał zamiar udać się do wojska i pozostać z niem w polu, zgłosił się więc do Sobieskiego o pozwolenie. Hetman pisze o tem do żony z Żółkwi 16go lipca: „Pan de Bohan (pułkownik, o którym częste wzmianki znajdujemy w listach Sobieskiego) odjechał do Lwowa, bo tego Indziniera (t. j. właśnie ks. de Paulmiers) znowu djabeł tam przyniósł. Ma paszport *du Roi Michel* za zaleceniem Cesarzowej, do której go zalecił *Duc de Savoie et de Mantoue*, i chce koniecznie przy mnie się zabawić przez kampanią a odemnie się nie ma cale czego spodziewać".

Usposobienie takie hetmana nie odstraszyło jednak gorliwego agenta; mimo to puścił się 23 lipca w drogę do armii, do której i Sobieski w tych dniach wyjechał.

W Kozłowie pomiędzy Zborowem a Tarnopolem spotkali 25 lipca Hieronima Lubomirskiego, kawalera maltańskiego, zdążającego ze swą chorągwią pancerną do hetmańskiego obozu. Złączyli się więc z nim, bo im była jedna droga. Pod Czernichowem złączyli się następnego dnia z armią. Sobieski wyznaczył agentowi, niby to królewskiemu inżynierowi, miejsce przy swym przybocznym pułku dragonów, którego pułkownikiem był właśnie wymieniony już de Bohan. Obok jego namiotu rozbijał potem przez całą kampanię swój namiot rzekomy inżynier królewski.

O przyjeździe jego donosi Sobieski żonie z pod Kamieńca w liście z 29 lipca w tych słowach: „489 (Beauval) przyjechał *chez la Paudre* (t. j. do Sobieskiego) któremu bardzo nie rada, *car ce sont des choses impraticables*, a choćby też były i *praticables*, tedy tego 148 (marszałek) nigdy nie uczyni, ponieważ osoba *du* 158 (*Roi Michel*) jest tak miła *et si sacrée à* 173 *(madame la maréchale)*“.

Teraz odbyli Paulmiers i Werdum razem z armią i Sobieskim całą wojenną wyprawę z r. 1671. Dnia 2 listopada rozpuszczono wojsko na leże zimowe a Paulmiers miał się udać na Ukrainę do armii, aby pracować nad skonfederowaniem.

Nasamprzód jednak ruszył z hetmanem, wojewodą kijowskim i innymi wysokimi oficerami do Lwowa i stanął tu 2 grudnia. Zabawił tu dni kilkanaście, lecz o układach, które się teraz toczyły, nic nam nie wiadomo. 15 grudnia ruszyli znów w inną stronę a mianowicie do Dubna do ks. Aleksandra Ostrogskiego, niewątpliwie, aby go pozyskać dla sprawy malkontentów. Stanęli w Dubnie 18 grudnia i zabawili gościnnie przez niego przyjęci

przez trzy dni. 21 grudnia wyjechawszy z Dubna, stanęli we Lwowie 24 i pozostali tutaj przez dni pięć.

Właśnie zaszedł w tym czasie wypadek dla Sobieskiego wielce upragniony, ale pozbawiający nas uzupełnień do opowiadania Werduma. Wypadkiem tym był przyjazd żony Sobieskiego. Z dniem 14 grudnia urywa się korespondencya jego z żoną na kilka miesięcy, tak że odtąd o losach agenta i jego towarzysza wiemy tylko jeszcze to, co nam sam Werdum udziela.

Od niego zaś dowiadujemy się, że abbé de Paulmiers za radą Sobieskiego miał teraz rozpocząć na dobre agitacyą pomiędzy armią, aby wywołać w niej konfederacyą, którejby potem użyć można przeciw królowi Michałowi a na korzyść ks. de Longueville. W tym celu umyślnie wyznaczono poprzednio na Podolu i Ukrainie nieosobliwę kwatery dla wojska, aby niezadowolenie w szeregach jego tem bujniej się krzewiło a skłonność do konfederacyi tem łatwiej się rozrastała. Teraz więc miał się abbé de Paulmiers ponownie udać na Podole i na Ukrainę.

Rzeczywiście opuszczają Paulmiers i Werdum 29 grudnia Lwów. Przez Brzeżany, gdzie ich dnia 1 stycznia 1672 r. gościnnie przyjmuje chorąży koronny Mikołaj Hieronim Sieniawski, potem przez Kąkolniki, świeżo założony Stanisławów, Tyśmienicę, Łuków, Kamieniec Podolski przybywają 15 stycznia do Mohylewa nad Dniestrem. Tutaj pod opieką Władysława Denhofa przesiadują aż do 14 lutego, robiąc wycieczki między innemi do pomnika Żołkiewskiego, i agitując pomiędzy wojskiem.

Dnia 15 lutego w towarzystwie tegoż samego Denhofa puszczają się w tym samym celu na dalsze wyprawy i wracają wreszcie przy końcu tegoż miesiąca do Lwowa, gdzie teraz przez więcej jak dwa miesiące spokojnie siedzą traktując z Sobieskim. 25 kwietnia wreszcie wyjeż-

dżają w towarzystwie samego hetmana do Jaworowa, zwykłej zimowej rezydencyi Sobieskiego.

Teraz znowu do dwóch miesięcy bawią u hetmana. Werdum w czasie tym przeszedł ciężką gorączkę, tak że Paulmiers już na pewne sądził, że straci wiernego swego towarzysza i był w kłopocie, gdzieby go jako protestanta, jeśli umrze, pochować. Za zgodą Werduma umówiono, że mu wykopią grób w ogrodzie jaworowskim pod drzewem. Wreszcie jednak nastąpiła zmiana, Werdum znów przyszedł do zdrowia, a 10 czerwca wyruszyli obydwaj w świcie Sobieskiego z Jaworowa do Warszawy na ów drugi tegoroczny sejm, gdzie miała zapaść ostateczna decyzya w sprawie ks. de Longueville.

Dnia 18 czerwca 1672 r. przybyli do Warszawy.

Dla wielkiej ważności tych wypadków i dla wynikających z opowiadania Werduma wyjaśnień w sprawie tej, dotąd powszechnie fałszywie przedstawianej, przytoczę teraz dosłownie opowieść Werduma, z której się pokaże, jaki to przebieg ostatecznie sprawa ks. de Longueville przybrała, jaką rolę w niej odegrał Sobieski, i jak niedokładnie i niewłaściwie dotąd wszyscy nasi historycy ją przedstawiali. Nic w tem dziwnego, bo żaden z nich nie wie nawet, że wtedy przy boku Sobieskiego przebywa bezustannie zręczny intrygant francuski, abbé de Paulmiers, siejąc na wszystkie strony złotem własnem i malkontentów.

Takie jest zatem opowiadanie Werduma:

„Kiedyśmy tą razą tutaj przez trzy tygodnie siedzieli w ukryciu w pałacu króla Jana Kazimierza, leżącym na przedmieściu w ogrodzie nad Wisłą, gdzie także mieszkał wielki hetman koronny, doprowadzono tymczasem do zupełnej perfekcyi układy za ks. de Longueville ze wszystkimi tymi, którzy jeszcze dotąd trzymali z królem Michałem, nawet z wielkim kanclerzem litewskim Pacem, tak że wszyscy główni oficerowie całej armii wraz z wszyst-

kimi duchownymi i świeckimi panami w państwie i u dworu, z wyjątkiem bardzo małej garstki, udzielili prymasowi państwa Prażmowskiemu i wielkiemu hetmanowi Sobieskiemu pełnomocnictwo do wysłania, jak się też rzeczywiście potem stało, trzech listów w imieniu ich wszystkich i z ich poręki do dworu francuskiego. W pierwszym z tych listów proszono usilnie króla francuskiego, aby niezwłocznie ks. de Longueville wysłał dla przyjęcia korony polskiej [1]). W drugim liście proszono ks. de Condé, aby, ponieważ sam zrzekł się korony polskiej, starał się ułatwić u dworu francuskiego wysłanie księcia de Longueville; trzeci list ofiarował ks. de Longueville polską koronę i berło z najusilniejszą prośbą imieniem wszystkich stanów, aby zechciał przyjechać do Polski im prędzej tem lepiej i rzeczywiście objąć takowe. Z listami temi wysłano francuskiego szlachcica, monsieur de Clèves, jako umyślnego kuryera, który atoli przyjechawszy do Gdańska, odebrał tam wiadomość o zgonie ks. de Longueville i odłożył podróż swą do dalszego rozkazu. Mieliśmy naszą własną pocztę z Gdańska do Warszawy, która zawsze o trzy dni wcześniej przychodziła jak zwykła poczta; przyniosła nam ona tym razem ową smutną wiadomość w dniu 10 lipca [2]). Dla tego zdecydował się pan mój, abbé de Paulmiers, choć go niespodziany ten wypadek strasznie przeraził, jednak na krótkiem toporzysku wymyślić pretext, któryby mu pozwolił wyjechać

---

[1]) Że Sobieski, jadąc do Warszawy, już z tą myślą nosił się stanowczo, i że zamiar ten już wtedy umówił z agentem francuskim, żoną i innymi, zdaje się wynikać z tego, co z drogi do Warszawy, mianowicie z Pielaskowic pisze 14 czerwca do żony: „List mi jakiś francuski przysłał Pan Kos, który odsyłam Wci s. m., i gazety. Znać z tych gazet, że się już wojsko (t. j. francuskie) oddaliło od granic i przeszło *par les terres d' Espagne*, zaczem już będzie przytrudniejszy nazad przejazd“ t. j. ks. de Longueville przejazd do Francyi a potem do Polski.

[2]) Data ta jest bardzo ważna, bo pokazuje, że malkontenci nie prędzej jak 12 lub 13 lipca o śmierci księcia się dowiedzieli, a nie jak sądzi Szujski (IV, 33) pomiędzy 20 a 25 czerwca.

z Warszawy, zanim zwykła poczta tę samą wiadomość tutaj rozniesie. Polscy panowie zaś pozwolili mu chętnie wyjechać, kiedy im powiedział, że faktorzy jego w Gdańsku nie chcą wypłacić prędzej reszty pieniędzy, które jeszcze trzeba było rozdzielić pomiędzy oficerów polskiej armii dla skompletowania ludzi werbowanych potajemnie dla ks. de Longueville, aż on sam osobiście zamknie z nimi rachunki. Z tych przyczyn naglili go sami Polacy do wyjazdu. Nie byliby go zaś nigdy wypuścili, gdyby się poprzednio byli dowiedzieli o wspomnionej śmierci, większa bowiem ich część zaliczyła na te negocyacye wielkie sumy pieniężne, a on się zobowiązał ważnemi przyrzeczeniami w imieniu ks. de Longueville do zwrotu tych sum. Byliby go więc niewątpliwie nasamprzód zatrzymali jako zakładnika. Cieszył się więc, że się wydostał, widząc i uznając w tem palec boży, który wypadek ten zesłał. W dobrej nadziei, że potrafi sprawę tę zużyć jeszcze dla jakiego z książąt *du sang* u dworu francuskiego, wyjechał pełen otuchy w towarzystwie podkoniuszego koronnego i starosty grudziąckiego, pana Borowskiego".

Tak się tymczasowo przynajmniej skończyła ohydna ta sprawa wewnętrznych intryg, tak zręcznie prowadzonych przez ks. de Paulmiers, w której Sobieski odegrał rolę zgoła niezaszczytną. Widzimy bowiem z tego zupełnie autentycznego opowiadania, że mylą się ci, którzy twierdzą, że Sobieski „nie był dalekim od zgody" i że nie myślał o detronizacyi Michała.

Dnia 12 lipca rano już Paulmiers i Werdum w towarzystwie Marcina Kazimierza Borowskiego byli w drodze, pędząc co tchu ku Prusom. 14 lipca już są w Brodnicy a 18 w Gdańsku. Tu bawią przez cztery dni. 23 lipca znajdują się w Oliwie.

Na tem urywają się wiadomości nasze o zajmujących losach tych dwóch ludzi. Paulmiers niezawodnie wrócił do Francyi; jak go tam przyjęto, nie wiemy. Z przyto-

czonej tylko powyżej uwagi markiza de Pomponne wnosić możemy, że robiono mu zarzut z tego, że wydał zanadto pieniędzy. Gdyby ks. de Longueville był żył, gdyby koronę polską był objął, nie byłby go pewnie zarzut ten dotknął, bo, przyznać trzeba, prowadził układy w Polsce z niesłychaną zręcznością.

Co do Ulryka Werduma wiem tylko jeszcze tyle, że od czerwca r. 1673 do sierpnia 1675 znajduje się jako ochmistrz przy ambasadzie hr. Benedykta Oxenstierny, szwedzkiego posła wysłanego do Wiednia, i że później do r. 1677 przebywał także we Francyi i Anglii. Kiedy umarł, jakie koleje później przechodził, o tem mimo wszelkiego starania nic zgoła powiedzieć nie umiem.

Wszystkich tych szczegółów o nim i o intrygach agenta francuskiego w Polsce zaczerpnąłem z nadzwyczaj ciekawego i ważnego pamiętnika lub rączej dziennika, który Werdum po sobie pozostawił.

Jeden z niemieckich pisarzy, nie pamiętam który, nazwał czasopisma otwartym grobem dla prac literackich i naukowych. Z takiego otwartego grobu, w którym dziennik Werduma spoczywał przez lat 90, wydobywam go teraz na jaw. Jest to rzecz, w którą uwierzyć trudno, a jednak tak jest. Przed 90 laty wydrukowano ten cenny zabytek do znajomości dziejów naszych, a nikt zgoła dotąd go nie używał, nikt zgoła ani z naszych, ani — o ile wiem — z niemieckich i w ogóle obcych pisarzy nie wyzyskał tego ze wszechmiar wiarogodnego źródła do historyi intryg francuzkich w sprawie ks. de Longueville. Prawda, że oddruk ten znajduje się w czasopiśmie, w którem niktby się nie spodziewał takiego zabytku. Jest niem *Johann Bernoulli's Astronomen der königl. preuss. Akademie der Wissenschaften in Berlin, dieser und anderer gelehrten Gesellschaften Mitglieds, Archiv zur neueren Geschichte, Geographie, Natur- und Menschenkenntniss.* Lipsk, 1785—88, tomów 8.

Tutaj w tomie czwartym, szóstym i ósmym znajdujemy oddrukowany dziennik podróży po Polsce Ulryka von Werdum z lat 1670—1672. Rękopis, który wydawca miał przed sobą, był o wiele bogatszy, obejmował bowiem podróże Werduma i z lat następnych, aż do r. 1677, a mianowicie jeszcze po Niemczech, Francyi, Anglii, Szwecyi i Danii. Tej dalszej części nie ogłosił jednak Bernoulli, który w ogóle nie miał pojęcia o znaczeniu takich zabytków; co się już pokazuje z tego, że się uniewinnia przed swymi czytelnikami, że t a k d a w n y opis podróży śmie ogłaszać. Nam osobiście atoli prawdziwą krzywdę wyrządził Bernoulli, że nie wydrukował dodanego na końcu rękopisu 87 stron in folio zajmującego dyaryusza wyprawy wojennej Sobieskiego z r. 1671, na który się Werdum w swym pamiętniku po kilkakrotnie powołuje. Przy wielkiej skrupulatności Werduma, który jak to widzieliśmy, całą tę wyprawę sam także odbył, straciliśmy tym sposobem, bodaj czy nie na zawsze, bardzo cenny materyał.

Pamiętnik Werduma, który w dalszym ciągu tej pracy w przekładzie ogłaszamy, jest zdaniem naszem pierwszorzędnym zabytkiem. Najważniejsze szczegóły polityczne, odnoszące się do historyi intryg francuzkich w sprawie ks. de Longueville, streściliśmy już w powyższej rozprawce, uzupełniając je tu i owdzie niektóremi wiadomościami, zaczerpniętemi z najważniejszego i tak klasycznie przez Helcla wydanego źródła do kwestyi tej, mianowicie listów Jana Sobieskiego. Helcel, który czas ten znał gruntownie, bił się nieraz z myślami, nie mogąc tu i owdzie wyjaśnić zagadkowych słów hetmana, odnoszących się do tych intryg. Teraz mając pamiętnik Werduma wszystkie urwane wzmianki Sobieskiego połączyć możemy łacno w jedną całość. Pamiętnik ten zatem jest najprzód pierwszorzędnem, najważniejszem dotąd znanem źródłem do historyi tych intryg. Lecz nie na tem kończy się jego znaczenie.

Jest on niemniej ważnem źródłem do poznania wewnętrznych naszych stosunków, społecznych, a przedewszystkiem obyczajowych. Jak ta Polska na wsiach i w miasteczkach wyglądała w czasach Michała Wiśniowieckiego, jak wyglądała szlachta, lud, jak się ubierali, co jedli, jak mieszkali, o tem dotąd prawie nic nie wiemy. Werdum zaś podaje nam po mistrzowsku skreślone uwagi o wszystkich tych rzeczach. I z tego stanowiska pamiętnik jego ma znaczenie pierwszorzędnego źródła. W opisach swych jest tak plastycznym, że według jego słów — sądzimy — malarz od razu odmalowaćby potrafił n. p. wiejską ówczesną dziewczynę lub parobka. Obraz, który nam podaje, jest niewątpliwie okropny, lecz jak sądzimy, w głównej części niestety prawdziwy. Zważmy bowiem, przez jakie to klęski wówczas przeszedł kraj polski. Jadąc od północy, powtarza Werdum opisując miasta i wsie zwykle jedną i tę samą piosnkę: była to kiedyś wcale niezła miejscowość, ale okropnie spustoszona przez Szwedów. Kiedy się zbliża do południowych stron kraju, zmienia się ta piosnka o tyle, że zamiast Szwedów czytamy Tatarów. Musiało to niewątpliwie wpłynąć niemało także na moralny stan i obyczaje ludności. Admiracyi więc dla Polski i jej ludności nie wyniósł ze swego dwuletniego pobytu w tym kraju. Że go zaś znać mógł, tego mu nikt nie odmówi, bo jak widzieliśmy, przejechał go wszerz i wzdłuż od Gdańska aż po za Bracław i na Bessarabię po kilkakrotnie, a nadto przesiadywał nieraz po kilka tygodni w Łowiczu, we Lwowie, w Mohilewie, w Warszawie, w Jaworowie, a więc w najróżniejszych stronach kraju, przedewszystkiem jednak na Rusi.

Jest on przytem bardzo bystrym obserwatorem, a wykształcenie jego pozwala mu zwracać uwagę swą na najrozmaitsze strony życia. Podaje więc uwagi o stosunkach politycznych, społecznych i gospodarskich, ale także o medycynie i botanice. Jednem słowem jest to pamię-

tnik tak bogaty i ciekawy, jakiego z czasów tych zdaniem mojem nie posiadamy.

Podziwiać musimy przytem niesłychaną zaiste ścisłość i akuratność jego w zapisywaniu ważniejszych szczegółów. Wśród największych niebezpieczeństw, wśród ucieczki podczas srogich mrozów i zamieci śnieżnych, wśród walk na polach Podola i Ukrainy nigdy przecież nie zapomina zapisać w dzienniku swym nawet większej wsi, przez którą przejeżdżają, i to zawsze z największą ścisłością, oznaczając nawet oddalenie na mile. Zważmy przytem jeszcze, że skrypta te musiał niewątpliwie przechowywać z wielką starannością, żeby się w obce ręce nie dostały i nie zdradziły właściciela. Zważmy ile to nocy przepędzał w miejscach, gdzie ani materyałów, ani miejsca do pisania nie miał. Zważmy z jaką trudnością jemu, nieumiejącemu języka krajowego, przychodziło dowiedzieć się o nazwach miejscowości i ich właścicieli, o oddaleniu jednej wsi od drugiej. A to wszystko robił dla własnej satysfakcyi, bo o druku pewnie nie myślał, bo pewnie nie przypuszczał, że my dzisiaj w 200 lat po tych jego przygodach będziemy mu nieskończenie wdzięczni za takie zamiłowanie pióra. Nie można także przypuścić, aby dziennik ten prowadził na żądanie swego pryncypała, bo zaczął go już nim się z nim poznał, a pryncypałowi jego nawet nie na rękę mogły być tak ścisłe zapiski, bo go narażały na niebezpieczeństwo odkrycia, gdyby wpadły w obce ręce. Jako protestant serdecznie nie lubi katolickiego wyznania. Jako syn fryzyjskiego szczepu, od dawien dawna znanego z zamiłowania wolności i z braku feudalnych stosunków na większą skalę, czuje wstręt do stosunków pomiędzy panem i chłopem w Polsce, choć sam jest szlachcicem. Gdyby pochodził z właściwych Niemiec, pod tym względem nicby go w Polsce nie gorszyło, bo w Niemczech wtedy co do tych stosunków było raczej gorzej niż lepiej.

Wydanie tego zdaniem naszem wielce cennego pamiętnika nie przyszło nam z łatwością; raz, że język autora posiada mnóstwo wyrazów, które od dawien dawna wyszły z używania, a potem że nazwy tak są niemiłosiernie poprzekręcane, częścią zapewne z winy samego Werduma, ale więcej jeszcze pewnie z winy wydawcy Bernoulliego, który je źle odczytywał, że restytucya ich ogromne nastręcza trudności i wymaga bezustannego studyowania bardzo szczegółowych kart geograficznych. Jeźliśmy pod tym względem może tu i owdzie zbłądzili, wybaczą szanowni czytelnicy. W każdem miejscu jednak, gdzie się nam najmniejsza wątpliwość nasunęła, podajemy zarazem zepsutą nazwę, jaką autor podaje.

Skracać lub streszczać nie chcieliśmy zabytku tego, uważając go za zbyt ważny. Choć więc nie wszystkie ustępy są równie zajmujące, podajemy w całości w tłumaczeniu cały pamiętnik, gdzie tylko autor pisze o stosunkach kraju naszego, w nadziei, że nietylko ściśli historycy, ale i szersza publiczność z przyjemnością zapozna się z treścią jego.

Przed kilkunastu laty[1]) poślubił Jan Kazimierz, król polski, pozostałą po zmarłym swym bracie Władysławie wdowę Ludwikę de Nevers. Kiedy się zaś przekonał, że nie będzie miał z niej potomstwa, i że korona polska po nim przejdzie na inną rodzinę, dał się tej francuzkiej królowej nakłonić do tego, aby po śmierci swej, albo też jeszcze za życia swego przekazał państwo jakiemu *prince du sang* z Francyi. W tym celu rozszafowano za życia królowej Ludwiki więcej jak 7 miljonów talarów pomiędzy grandów polskich, aby za francuzkie pieniądze uformować w Polsce tak silne stronnictwo dla Francyi, żeby ono w danym wypadku mogło zapewnić wybór do tej korony księciu de Condé, jako temu, którego jednomyślnię na to przeznaczono. Kiedy potem królowa umarła, Jan Kazimierz, i w ogóle zmierziwszy sobie rządy i zamierzając jeszcze za życia swego osadzić na tronie polskim ks. de Condé, zwołał r. 1669 stany swego państwa, abdykował dobrowolnie i oddał im berło i koronę, aby wolnym wyborem wyniosły innego na jego miejsce. Stronnicy partyi francuzkiej, których głową był Mikołaj Prażmowski, arcybiskup gnieźnieński i *Primas Regni*, sądzili wprawdzie wtedy, że z wyborem ks. de Condé pewnie im się powiedzie — przybył też ówczesny biskup z Besiers, teraźniejszy kardynał, Bonsi[2]) zwany, umyślnie z Francyi do Warszawy, aby być obecnym przy wyborze i strzedz interesów ks. de Condé wraz z interesami korony francuzkiej — ponieważ atoli zmarła królowa u prostej szlachty w Polsce w ogóle ściągnęła na siebie wielką nienawiść, a także z wielkich panów jednego i drugiego choć nie obraziła, to jednak przynajmniej zaniedbała była, — pomiędzy którymi wojewoda sieradzki[3]) z rodu Potockich strasznie się gniewał, że go francuzkie stronnictwo nietylko nie uwzględniało,

---

1) T. j. dnia 30 maja 1649 r.

2) Piotr Bonzy, biskup beterański, później arcybiskup tuluzki, wreszcie kardynał, ambasador francuzki.

3) Felix Potocki, syn Rewery, później wojewoda krakowski, wreszcie kasztelan krakowski.

lecz tylko brata jego kijowskiego wojewodę [1]) karesowało, który to wojewoda kijowski miał podobno powiedzieć, że ks. de Condé zasiędzie na tronie, czy się to bratu jego podoba lub nie—przeto przyciągnął ten sieradzki wojewoda prostą szlachtę i wszystkich tych do siebie, którzy z francuzką partyą nie trzymali, i potrafił z nimi tak sprawą pokierować, że w dniu wyborów w Warszawie r. 1669 w Czerwcu [2]) nie tylko ks. de Condé wyraźnie od wyboru wykluczono, lecz że prosta szlachta przeprowadziła i dokonała wyboru na korzyść ks. Michała Wiśniowieckiego wbrew chęci i woli większej części i to najznakomitszych grandów.

Kiedy zaś dopiero tego samego roku w dniu 29 września, jako w dniu św. Michała, nowo wybranego króla Michała w Krakowie koronowano, a wraz z innymi złożyli mu przysięgę w dniu tym także panowie, którzy z wyboru jego nie byli zadowoleni, dla czego ich później malkontentami nazwano, orzekając, że będą mu wierni i przyjaźni, — sprzysięgli się jednak ci sami w następnej nocy przeciw niemu i zobowiązali się uroczystemi przysięgami pomiędzy sobą, że nigdy nie będą tolerowali króla Michała i że nie zadowolą się prędzej, aż go strącą z tronu i osadzą znów na nim francuzkiego księcia. W tej konfederacyi, jak związek ten sami nazywali, czyli w tej konjuracyi, jak go nazwał później dwór polski, najznakomitszymi byli: wyżwymieniony prymas państwa Prażmowski a z nim Jan Sobieski, marszałek kor. i hetman, kancl. kor. Leszczyński, podskarbi kor. Morsztyn Raciborski, stolnik kor. Wielopolski, biskup krakowski Trzebicki, wojewoda kijowski Potocki, wojewoda ruski Jabłonowski, wojewoda płocki Prażmowski, wojewoda pomorski Bąkowski, chorąży kor. Sieniawski, strażnik kor. Bidzieński, łowczy kor. Zieleński, kasztelan poznański Grzymułtowski, starosta radomski Kochanowski, z niezliczonymi innymi prałatami, wojewodami, kasztelanami, starostami, oficerami, królewskimi urzędnikami dworu i innymi z arystokracyi szlacheckiej. Litewski wielki kanclerz Pac trzymał innych dostojników wielkiego księstwa litewskiego po większej części po stronie króla Michała. Hetman polny litewski atoli, ks. Michał Radziwiłł, należał także do francuzkiej partyi. Młody Lubomirski [3]), kawaler maltański, i brat

---

1) Andrzej Potocki później także wojewoda a wreszcie kasztelan krakowski.

2) 19 czerwca 1669 r.

3) Hieronim Lubomirski, kawaler maltański, później chorąży kor., marszałek nadworny kor., podskarbi kor., wojewoda krakowski i hetman polny kor., w końcu hetman w. kor. i kasztelan krakowski.

jego starosta sandecki [1]) wraz z księciem na Ostrogu [2]) należeli także w Polsce do największych zapaleńców partyi francuzkiej; ostatni z wymienionych jest zresztą siostrzeńcem w. hetm. kor. Sobieskiego. Oni to ze wszystkimi innymi dali podskarbiemu kor. Morsztynowi pełnomocnictwo do prowadzenia układów o tem z francuzkim jakim księciem. Morsztyn zaś dokonał tego, że król francuzki, choć sprzysiężenie wcześnie odkryto i ztąd wielkie zawieruchy powstały, publicznie wprawdzie miał się nibyto nie mięszać do sprawy tej, obiecał bowiem cesarzowi, że do sporów polskich ręki przykładać nie będzie, lecz potajemnie chciał dawać pomoc, jakąby się tylko dało, aby ówczesny *Comte de St. Paul*, który potem został księciem *de Longueville* [3]) osięgnął koronę, kiedy się ks. de Condé po poprzedniem wykluczeniu już tem zajmować nie chciał.

Wtedy posłał wymieniony *Comte de St. Paul*, aby dzieło to o ile możności niebawem w życie wprowadzić, jako agenta swego *incognito* do Gdańska *mons. Akakia* [4]), który poprzednio przy układach o pokój oliwski był sekretarzem francuzkiego ministra de Lombres i jako taki już się nieco zapoznał z polskiemi sprawami. Przywiózł on z sobą zarazem tajną instrukcyę od dworu francuzkiego jako i wielkie zapisy pieniędzy; nie umiał mimo to negocyacyi swych prowadzić tak potajemnie, żeby niebawem nie miały się o tem dowiedzieć polski i cesarski dwór, które skutkiem tego skarżyły się o to we Francyi. Dwór francuzki, aby obietnicy swej częściowo

---

1) Aleksander Lubomirski syn Jerzego.

2) Książe Ordynat Aleksander Janusz Ostrogski, syn siostry Sobieskiego po pierwszym jej mężu, którego opiekunem był Jan Sobieski wraz z Jabłonowskim wojewodą ruskim i Bieniawskim wojewodą czerniechowskim.

3) Karol Paris d' Orléans, duc de Longueville et d' Estouteville, był synem Henryka II orleańskiego, ks. de Longueville, i Anny Genowefy de Bourbon Condé. Rodzina Longueville pochodziła od sławnego Dunois, naturalnego syna Ludwika ks. orleańskiego. Tegoż potomkowie w r. 1571 otrzymali tytuł książąt krwi. Markiz de Pomponne w pamiętnikach swych nazywa go „młodzieńcem wielkich nadziei", którego „znaczne bogactwa mogły się przyłożyć do pozyskania Polaków". Na innem miejscu mówi o nim: „był to pan przystojny i miły". Zobacz Bibl. Ossol. IV, 77 i 78.

4) Roger Akakia były sekretarz hrabiego d'Avaux na kongresie o pokój westfalski, następnie kawalera Terlon w Szwecyi, potem w Oliwie. W r. 1676 wysłano go do Siedmiogrodu celem poddmuchiwania rozruchów węgierskich. (Zob. Bibl. Ossol. IV, 98). Umarł on w r. 1682 w Polsce. Niektóre szczegóły o nim znaleźć można u Helcla, Listy Sobieskiego II, 3, 28, 46, III, 100, 102, jako i w *Theatr. Europ.* XII, 505 i *Iselin Hist. Geograph. Lexic.* I, 20.

zadośćuczynić, odwołał natychmiast *mons. Akakia* a udając jakoby on działał tam w Polsce bez wiedzy króla, z rozkazu tylko hr. de St. Paul, kazał go na dwa czy trzy miesiące osadzić w bastylli.

Już poprzednio atoli, zanim Akakia odjechał z Gdańska, uznał dwór francuzki za dobre i zgodził się na to, aby potajemnie wysłać innego pełnomocnika w sprawie hr. de St. Paul do Polski, któryby, o ile możności, ułożony projekt doprowadził do skutku. Tym był właśnie *monsieur Jean de Courthonne*, *Abbé de Paulmiers et Harchagrats*, kanonik z *Lisieux*, ze znanego domu *de Courthonne*, w Normandyi urodzony a pod imieniem *Abbê de Paulmiers* u dworu francuzkiego dobrze znany. Był to człowiek, choć stanu duchownego, jednak wielkiej odwagi i dziwnie zręcznego rozumu, który się w najbardziej niespodzianych wypadkach w jednej chwili znaleść umiał, a najniebezpieczniejsze przeszkody zwykł zwyciężać zgoła bez obawy. Uznano go przed innymi za odpowiedniego do tak hazardownej negocyacyi, jak ta polska. Kiedy go zaopatrzono we wszelkie potrzeby, plenipotencye, instrukcye i weksle, udał się w drogę z Francyi do Gdańska i zupełnie tego samego dnia, a nawet powiedzieć by można o tej samej godzinie, to jest rano 6 maja (1670 r.) wyjechał z Paryża, kiedyśmy, mój brat Aleksander i ja, wyruszyli z Werdum.

W towarzystwie tego, wtedy mi zgoła nieznanego pana, wsiadłem w Trawemünde 27. maja (1670 r.) na okręt. Dowódzca okrętu zwał się Piotr Knacke z Lubeki, okręt św. Antoni.

Opuszczam tutaj opis podróży z Trawemünde do Gdańska, podróży liczącej według Werduma mil 80, nie zawiera ona bowiem nic dla nas ciekawego. Dnia 7 czerwca stanęli podróżni w Gdańsku. Tutaj znów podejmuję opowiadanie Werduma.

Gdańsk jest to znakomite (*vornehme*) i dość wielkie miasto, niegdyś bardzo bogate i przemysłowe, dopóki królestwo polskie znajdowało się jeszcze w dobrym stanie. Kiedy atoli wojny szwedzkie takowe spustoszyły a wewnętrzne swary wprowadziły do niego nieład, widzimy teraz w Gdańsku mało zamożności i handlu. Miasto to jest drugiem z porządku pomiędzy trzema miastami pruskiemi, które na polskich sejmach się jawią, Toruń bowiem jest pierwszem a Elbląg trzeciem. Ponieważ zaś od pewnego czasu Gdańsk stał się wiele potężniejszym i bogatszym od Torunia, chciało też miasto to przywłaszczyć sobie pierwsze miejsce, lecz nigdy do tego dojść nie mogło. Wisła płynie na północnym końcu przed Gdańskiem, od strony południowej płynie w mieście i na poprzek jego

rzeka Motława, podzielona dla wygody żeglugi na różne kanały. Jako kanał otacza ona też tak zwane *Speicher-Eiland* w obrębie wałów miejskich tą rzeką obwiedzione; na niem stoją tylko spichlerze, domy na zboże i inne pakunki, a dla zapobieżenia pożarom nie wolno tutaj wzniecać światła lub ognia. Na stronie zachodniej płynie przez przedmieście strumień, *Schidlitz* zwany, i wpada do drugiej rzeczki, Raduni, która tam przez wał wpływa do miasta a potem razem z Motławą wpada do Wisły.

Trzynaście kościołów posiada Gdańsk, z nich trzy należą papistom, mianowicie kościół św. Jakóba, karmelicki i jeszcze jeden. Reformowani mają tylko dwa, Piotra i Pawła i św. Elżbiety; w ostatnim kościele był wtedy sławny kaznodzieja, imieniem *Cruciger*, *pronepos* znanego przy pierwszej reformacyi Crucigera, człowiek już w podeszłym wieku. Lutrzy mają innych 7 kościołów, z których parafialny św. Maryi, najznakomitszy, jest ciężki, wielki i dobrze zbudowany. Mają także Anabaptyści w wielkiej liczbie swe *exercitium religionis* w Gdańsku, za pozwoleniem rady, która za to pobiera rocznie znaczne sumy i z tego powodu od król. polskiego dworu wystawioną jest na częste wexacye.

Ratusz gdański jest wcale pokaźnym gmachem, tak samo giełda, która na zachodnim końcu długiego rynku stoi obok ratusza. Zwią ją *Junkernhof*, w Gdańsku bowiem i w Królewcu każdy kupiec, choćby najmniejszy, a nawet każdy gospodarz domu, zwie się *Junker*. Ten *Junkernhof* jest tylko mały, ale pięknie zbudowany i znaczy tyle co w innych miastach giełda.

Arsenał, pomiędzy *Topengasse* a placem Dominika czyli rynkiem, jest nie tylko zgrabną budową, lecz także bardzo znakomicie zaopatrzony w działa i we wszystko inne, czego potrzeba do obrony miasta. Obok tego wielkiego jest jeszcze mały arsenał, w południowo-zachodnim kącie miasta przy wale, który jak wszystkie inne bastiony i platformy na okół Gdańska, jest wykonany z ciężkich robót ziemnych wysoko i grubo i podminowany wszędzie. Fosy są szerokie i głębokie, wewnątrz i zewnątrz wyłożone ciosem i cegłami. Naprzeciw górom, na zachód od Gdańska, na wałach i bastionach usypano ogromne *Cavaliere* czyli platformy. Ponieważ atoli góry są jeszcze wyższe i z nich można widzieć wszystko co się w mieście dzieje i można je ostrzeliwać, strona ta nie jest bardzo warowną.

Gdańsk ma cztery bramy: długą czyli nizką bramę na południu, żuławską bramę (*Werderthor*) na wschodzie, wysoką bramę na zachodzie, i kaszubską bramę na północnym zachodzie. Na

północnej stronie przy Wiśle wchodzi się i wychodzi po różnych promach i pływających mostach przy miejscu, które się zwie polskim hakiem *(Hacken)*. W stronie południowej kończy się niebawem gdański obwód, skoro z drugiej bramy wyjdziesz na przedmieście, zwane Szkocyą (*Schottland*), należące do warmińskiego biskupa i niegdyś bardzo dobrze zbudowane, lecz zupełnie spustoszone za wojny szwedzkiej. Kilka tylko domów i klasztor jezuicki znów odbudowano.

Poza wysoką bramą znajdują się dwa inne przedmieścia lub raczej jedno na dwie części podzielone, z nich północna zwie się *Schidelitz*, od strumienia tej samej nazwy, który wzdłuż przez nią płynie, południowa dół piaskowy (*Sandgrube*). Przed wschodnią bramą jest także małe przedmieście, nowym ogrodem nazwane, a przed kaszubską bramą mały szpitalny kościół wraz z kilku domami. Na owem *Speicher-Eiland* znajduje się jeszcze gmach o dziewięciu zagłębieniach i jednej piwnicy, w którem zabudowaniu pomieści się wygodnie 2000 łasztów zboża. Powiadają, że wybudowanie jego kosztowało 100.000 złotych. Namalowano na niem wielbłąda, dla tego zwią je zwykle wielbłądzim śpichlerzem (*Cameelspicker*).

Na okręcie z wymienionym francuzkim panem wprawdzie się poznałem, nie dał mi jednak niczem poznać, że zamierza mnie wziąć w służbę, aż kiedyśmy już cztery tygodnie i to w różnych gospodach w Gdańsku zabawili a ja już, zamierzając odjechać, chciałem się z nim żegnać, bo okazywał mi był dużo grzeczności. Wtedy atoli ofiarował mi zatrudnienie, udając, że mam służyć jego kuzynowi, którego zwał *marquis d'Auffay* a który chory pozostał w Hamburgu. Mówił, że wkrótce tu przybędzie, aby odbyć podróż przez Polskę do cesarskiego dworu a potem przez Włochy do Francyi; tymczasem mam zostać przy nim. Nazywał on się wtedy *monsieur Beauval*. Było mi to wtedy rzeczą dość obojętną, tym sposobem więc dostałem się w Gdańsku do niego.

Dnia 9 lipca, przebywszy do pięciu tygodni w Gdańsku, pojechaliśmy do Schönenberg o 1 milę.

Opuszczam tutaj znów opis podróży do Królewca, nie zawierający dla nas nic ciekawego. Jechali przez Elbląg, Frauenburg, Heiligenbeil, Brandenburg i przybyli do Królewca 11 lipca. Po co tutaj przybył Paulmiers, co tu robił, nie wiemy. Dowiadujemy się tylko z dziennika, że zabawił tu do 21 lipca. Tego dnia napowrót wyjechali do Gdańska tą samą co poprzednio drogą, i stanęli w mieście tem 22 lipca wieczorem, ujechawszy pierwszego dnia 10, drugiego 13 mil.

Teraz podejmujemy na nowo opowiadanie Werduma.

Potem bawiłem z moim tymczasowym panem, abbé de Paulmiers, jeszcze przez więcej niż trzy miesiące w Gdańsku. Sądziłem wprawdzie wtedy jeszcze, że marquis d'Auffay, do którego usług mnie wziął, po pewnym czasie tu przyjedzie. Było to atoli tylko zmyśleniem. Abbé de Paulmiers zaraz z góry sobie przedsięwziął, że mnie sam użyje. Ponieważ jednak negocyacye jego były równie ważne jak tajne, nie chciał dać tego po sobie poznać, nie chciał mi także ufać, dopóki mnie poprzednio nie wypróbował dobrze. Badał mnie więc prawie przez cztery miesiące, i to nietylko sam codziennie, lecz kazał mi przez trzeciego i czwartego człowieka, o których domyślać się nie mogłem, że są przez niego wysłani, poddawać sposobność do pijatyk, gier, dziewcząt i podobnych *debauches*. Kiedy wreszcie sądził, że znalazł we mnie człowieka, jakiego mu potrzeba, powiedział mi ostatecznie, że marquis d'Auffay nie przyjedzie, lecz że, jeźli mam chęć mu służyć, da mi dobre utrzymanie i zabierze tylko mnie samego na ważną i tajną podróż do Polski w ufności, że umiem trzymać język za zębami, i że jestem wierny i uczciwy. Ponieważ zaś w tym czasie zdecydowany byłem na wszystko, przyjąłem propozycyę tę chętnie bez dalszego namysłu i wyjechałem 13 listopada nowego stylu, używanego w całej Polsce i Prusach, z Gdańska do Ohra o ćwierć mili. Jest to wieś z kościołem, leży za miastem i tuż przy gdańskiem przedmieściu Szkocya. W Ohra stałem przez noc sam z pakunkiem, czekając na pana mego, który miał przybyć następnego dnia rano.

14 listopada przybył tam do mnie mój pan. Kiedy zaś przedtem chodził ubrany jako świecki kawaler, przebrał się teraz w jezuicką suknię, pod którą mógł o wiele potajemniej i pewniej podróżować. I ja musiałem się przedzierżgnąć w duchownego, udawałem *Moine Servant* we wszelkiej innej służbie, z wyjątkiem jeźli chodziło o ceremonie, które się mojej religii sprzeciwiały, w tem bowiem nie chciałem zgoła niczego udawać, nawet kiedy tego raz czy dwa razy próbowano. Potem dano mi z tem zupełny spokój.

Jechaliśmy dnia tego przy twardym mrozie i śniegu przez krzaczaste i głębokie drogi do Slywen, po polsku Śliwniki, mil 5. Jest to wieś i karczma, należące do szpitala tczewskiego. O dwie mile od tego miejsca leży Janikowo, gdzie mieszka owdowiała generał-majorowa von Wulff. Pomiędzy Ohrą a Śliwnikami jedzie się przez wieś Libiszewo *(Lipschow)*, przed której mostem polski król Stefan Batory dzielnie przetrzepał przed laty Gdańszczan, tak że chłopi orząc wyrzucają jeszcze z ziemi czaszki i inne kości poległych.

15 listopada na pół mili w bok od Dirschow, które Polacy zwią Tczew, potem przez Subkowy *(Zoptow)*, wieś i zamek należące do starosty Krajewskiego; dalej w widoku Mewe, po polsku Gniewu — starostwo i zamek polskiego w. hetmana koronnego Sobieskiego — na południe w czerwonej karczmie, od Śliwnik 6 mil. Jest to zajazd w lesie, gdzie przed trzema laty, kiedy go szlachcic o roczną daninę trochę za srogo nacisnął, zamknął się gospodarz w goryczy z żoną i dziećmi w domu i spalił tak wszystko razem. Karczma była znów odbudowana, a dwór szlachecki nie tak daleko od niej stoi przy gruntach.

Z tego miejsca po południu na Neuburg, po polsku Nowe, 1 mila; jest to małe warowne miasteczko, otoczone murem z cegieł. Potem do Montów 1 mila, wieś, której mieszkańcy pochodzą od Holendrów. Potem do Zajączkowa *(Tzayemsko* [1]) 1 mila, także wieś, w której ledwo znaleźliśmy pomieszczenie, bo z całej wsi chłopi z żonami i dziećmi, parobkami, dziewkami wszyscy w niedzielę wieczór przy muzyce i tańcu zapełniali karczmę i hałasowali wściekle. Musieliśmy im zostawić izbę i sami leżeć dobrze zaprószeni śniegiem na otwartym dziedzińcu.

Dnia 16 listopada przez nizkie bagniste krzaki aż do przejazdu przez Wisłę, gdzie się na promie przeprawia do Graudenz, po polsku Grudziądza, pół mili. Jest to ładne miasteczko na wysokiej górze, pod którą Wisła przepływa. Zamek leży jeszcze na wysokiej górze w północy, i miasto i zamek bardzo zniszczono w szwedzkiej wojnie. Jest to starostwo, które teraz posiada podkoniuszy korony polskiej Borowski [2]).

Od tego miejsca przez krzaczaste pola, w których tu i tam leżą ładne wsie, do Chełmży 5 mil. Było to niegdyś ładne miasto, otoczone murem przy starym zamku, ale wszystko zupełnie zniszczone w szwedzkiej wojnie. O dwie mile w bok leży miasto Chełmno, zwykła rezydencya biskupa chełmińskiego, którym teraz jest Andrzej Olszewski, podkanclerzy korony polskiej [3]).

Od tego miejsca przez podobny kraj do Torunia trzy mile. Jest to w tem miejscu ostatnie pruskie miasto, położone na brzegu Wisły, dość warowne, o domach miernych. Ratusz z cegieł w czworobok, dobrą strukturą i bardzo regularnie wybudowany. Ma ono

---

1) Wieś tę zwią po niemiecku dzisiaj Sauskau.

2) Marcin Kazimierz Borowski, podkoniuszy koronny, starosta grudziądzki, później kasztelan gdański.

3) Został później arcybiskupem gnieźnieńskim.

pierwsze miejsce pomiędzy trzema polskiemi wolnemi miastami, które się zjawiają na polskich sejmach, a choć miasto Gdańsk chciało mu przez pewien czas miejsce to zabrać, jednak go nie otrzymało. Zwierzchność wraz z większą częścią mieszkańców jest luterskiego wyznania; papiści mają także swe kościoły i klasztory, a reformowani *exercitium* w jednym domu. Znanego Martinii, kaznodziei w Grenindze, krewni mieszkają tu i w Gdańsku, zkąd jechał z nami jego siostrzeniec, imieniem Jakób Stark, kupiec z Torunia.

Grunta w Prusach w tych miejscach są przeważnie piaszczyste i nie zbyt urodzajne, w niektórych miejscach kamieniste, świerkami, sośniną oraz jałowcowemi krzakami całe porosłe. Gdzie się zaś zbliża do Wisły i w niektórych innych okolicach są grunta żyzniejsze, żółty ił z piaskiem pomieszany, i wydają dużo żyta. Pomiędzy polami i krzewami w Prusach znajduje się dużo jezior a w nich różne piękne ryby. Natura i sposób życia mieszkańców są już na pół polskie, szorstkie i nieprzyjemne. Mile nie są bardzo wielkie.

Dnia 18 listopada z Torunia po moście na Wiśle, drewnianym, a potem jeszcze przez jedno ramię Wisły, gdzie most woda zabrała i przeprawiać się było trzeba na promie, przez sośniny do Nieszawy[1]) 3 mile. Jest to miasteczko w polskiej prowincyi Kujawy ogromnie spustoszone, w którem po szwedzkiej wojnie nie pozostał i jeden cały dom.

Dnia 19 listopada z miejsca tego przez piaszczyste i po części krzaczaste grunta do Brześcia 5 mil. Jest to stolica Kujaw, która dawniej dość dobrze była wybudowana, wraz z zamkiem otacza ją mur z cegieł, lecz teraz prawie wszystko spustoszone. Grunta na okół są dość równe i wcale nie jałowe. Potem po południu w widoku zamku i miasteczka Wladislawia czyli Włocławek do Kowala, 3 mile; jest to otwarte miasteczko z zamkiem murowanym z cegieł. Podskarbi kor. Morsztyn sprzedał to starostwo niedawno jednemu z swych krewnych. Potem przez krzaki do Zbożowa[2]) pół mili, jest to zajazd czyli karczma pomiędzy świerkowemi lasami. Dwór szlachecki tej samej nazwy, i wcale dobrze wyglądający, leży o strzał działowy na zachód, w drugim lesie.

---

1) *Liasewo.* Sądzę jednak, że nie może to być co innego jak Nieszawa, jeśli zważymy kierunek, w którym podróżni jadą.

2) Wsi tej nazwy ani nawet podobnej nie mogłem odszukać w pobliżu Kowala.

Całe Kujawy są piaszczyste i nie zbyt żyżne, w przecięciu świerkami i sośniną zarzucone. Widać tu ładne bydło. Język niemiecki ginie tu zupełnie. Na pruskich kresach mówią ludzie obu językami, po polsku i po niemiecku, tak atoli, że w Polsce polski a w Prusach niemiecki język jest najzwyklejszy. Kujawskie mile są prawie tak duże jak pruskie.

Dnia 20 listopada z tego miejsca przez same świerki do Gostynina $2\frac{1}{2}$ mili. Jest to otwarte miasto ze starym zamkiem, leżącym przed miastem przy końcu lasu wśród bagien, należy do księstwa mazowieckiego, w którego obwodzie ma mieszkać 36,000 szlachty. Potem do Trębek półtory mili, jest to miejscowość czyli otwarte miasteczko na Mazowszu. Potem do Żychlina, półtory mili, także otwarte miasteczko, jakich na Mazowszu i w całej Polsce znajdziesz bez liku. Pomiędzy niemi a wsiami zachodzi tylko ta różnica, że mieszkańcy takich miejscowości mają nieco więcej wolności i albo są sami szlachcicami albo chłopami poddanymi królowi a nie tyranii szlachty. Tak i w tym Żychlinie mieszka sama szlachta; jednego z niej spotkaliśmy, jak z szablą przy boku popędzał wóz z gnojem na pole. *Die Stadt* nazywają miasto a jeźli jest małe miasteczko, *das Dorf* wieś, a ukochany swój *Saebel* zwą szablą, którą równie często co drugie słowo mają w garści i w gębie, a w swej polskiej łacinie nazywają *framea.*

Po południu potem do Łowicza, ładnego miasta z bardzo warownym zamkiem, trzy i pół mili. Jest to zwykła rezydencya gnieźnieńskiego arcybiskupa i prymasa Polski, obecnie Mikołaja Prażmowskiego. Miasto, nim niedawno skutkiem pożaru straciło całe dwie ulice, było polskim sposobem wcale pięknie wybudowane. Jest w niem wcale ładna katedra i dwa inne parafialne kościoły wraz z trzema jeszcze klasztorami. Zamek leży na północno-zachodniej stronie miasta, wśród moczarów. Jest on podług reguł sztuki wałami z ziemi i bastionami ufortyfikowany i dobrze zaopatrzony w działa i wystarczającą załogę.

Grunta na Mazurach są piaszczyste i nadzwyczajnie kamieniste, tak że wały, pola i płoty składają się z samych kamieni. W niektórych miejscach mięsza się trochę iłu pomiędzy piasek i kamienie a tam rola wydaje dobre owoce. Pole orzą bardzo dziwacznie, w wązkie zagony, nie więcej jak na dwa kroki szerokie, choć pola same z siebie są wysokie i wcale nie mokre. Lasy świerkowe otaczają zewsząd pole. Mile są tu bardzo długie.

Dnia 22 listopada z Łowicza do Łyszkowic, 2 mile; jest to zamek należący do województwa rawskiego w Wielkiej Polsce, na

około niego bardzo tłuste grunta, choć trochę niskie. Miejsce to należy do arcybiskupa gnieźnieńskiego, z którym abbé de Paulmiers tutaj miał potajemną konferencyę.

Dnia 23 listopada potem do Mnichowic (*Michnovia*) mil 5, jest to drugi zamek albo raczej szlachecki dwór polskim sposobem z drzewa wcale wygodnie zbudowany, leży w tem samem województwie rawskiem i należy także do arcybiskupa.

Miasto Rawa leży tu w bok o dwie mile. Mieszkańcy tych miejscowości, mężczyźni i kobiety, są bardzo bezczelni. Przed paru dniami było tu pięciu polskich szlachciców u jednej szlachcianki w gościnie; kiedy się nie chcieli zachować w spokoju, porwała szlachcianka za szablę ze ściany, zadała nią wszystkim pięciu drągalom rany i wypędziła ich sama z domu. Byłaby ich niezawodnie i dalej ścigała, gdyby jeden z nich nie był jej z pistoletu prawej ręki przestrzelił.

Dnia 24 listopada z Mnichowic do Osuchowa 4 mile. Jest to zamek częścią z kamienia, częścią z drzewa zbudowany i otoczony fosą, na której most zwodzony. Zamek, wieś i mały kościół, leżące obok, należą do żony królewskiego chorążego nadwornego, którego Polacy zwą chorąży nadworny czyli *vexillifer aulicus*, podczas kiedy wielkiego chorążego państwa zwą chorąży koronny czyli *vexillifer regni*; żona ta była córką znanego podkanclerzego polskiego Radziejowskiego, do którego zamek ten należał. Tutaj przyszedł do mnie chłop, który biegle i dobrze po łacinie polecenie swe wygłosił a dane mu ono było od wymienionego chorążego nadwornego do ks. de Paulmiers. W ogóle łacinę w Polsce znają powszechnie, ale w przecięciu nie odznacza się ona czystością. Raz wzbraniałem się w obecności wymienionego chorążego nadwornego usiąść do stołu, bo nie zajął on wyższego miejsca i nie chciało mu się wstać ponownie. Wtedy rozkazał mi przyjść w następnych słowach: *Sedeat hic magnifica Dominatio vestra, nam non est locus ceremoniandi.* Przypominam sobie też, że inny polski pan polecał na piśmie ks. de Paulmiers drugiego, jako dzielnego człowieka. Pismo kończyło się temi słowy: *Et ut verbo dicam, est multum galantus homo*; kto nie umie po francuzku, pewnoby nie rozumiał, co chciał powiedzieć. Z resztą w ogóle biegle mówią po łacinie, i wyrażają się, nie troszcząc się o składnią i związek.

Dnia 26 listopada z Osuchowa do Lipia 1 mila, w towarzystwie wymienionego król. chorążego nadwornego, którego nam dla konwoju dał arcybiskup jako brata swego w 24 koni, do których jeszcze przyłączył się litewski szlachcic Orłowski w trzy konie.

Lipie jest to wieś z klasztorem Karmelitów i kościołem, w którym po lewej ręce zapisaną jest fundacya pod portretem fundatora w tych słowach: *Johannes Lipski (z) Lipia: Fundator Ojcow Carmelitow.*

Potem przez dobre grunta do Goszczyna 2 mile; wielka wieś z kościołem i kaplicą, leżącą nieco opodal, należy do pana Zieleńskiego, którego w Polsce zwią łowczym koronnym. Dwór szlachecki niedawno się spalił. Chłop, nie wiem za jaką zbrodnię, leżał tutaj na śniegu przykuty za szyję tuż przy ziemi do pala jak pies.

Po południu przez rzekę Pilicę, która koniom dochodziła tylko do brzuchów, do otwartego miasteczka Białobrzegów a potem do wsi Błotnicy [1]), w której obraz św. Maryi — kto temu wierzy — robi wiele cudów i wywołuje liczne pielgrzymki do tego miejsca. Dalej od tego miejsca do Jedlińska 4 mile. Jest to otwarte miasto a w niem wielki włoskim sposobem bardzo pięknie zbudowany kościół z podwójnem zakończeniem wieży na zachodnim końcu i z dwoma grubemi i niskiemi okrągłemi wieżami po bokach. Nie daleko od tego kościoła stoi jeszcze kaplica i nie zły zamek, w bagnie, w miejscu bardzo warownem, prawie zupełnie w wodzie.

Potem do Piasecznej przez same piaski, pół mili; jest to wioska chłopska z kilku chat i małego drewnianego kościółka św. Anny, należąca do stojącego obok szlacheckiego dworu; miejsce urodzenia teraźniejszego prymasa państwa i arcybiskupa gnieźnieńskiego Mikołaja Prażmowskiego. Później wydobyła go na jaw z całą jego rodziną francuzka królowa Ludwika, drugiego jego brata Samuela Prażmowskiego zrobiono wojewodą płockim, trzeciego brata Wojciecha król. chorążym nadwornym, a najmłodszego Franciszka wielkim sekretarzem państwa. Jesteśmy tu w województwie sandomierskiem.

Potem przez bagniste grunta do Lisowa, pół mili. Jest to dwór szlachecki z drzewa zbudowany ze wsią i kościołem, także z drzewa. Prymas państwa kupił ją niedawno. Dwór ten, jak po większej części wszystkie szlacheckie dwory w Polsce, był otoczony palisadami z mocnych świerkowych kołów, w ziemi w przecięciu na cztery stopy od siebie na ukos osadzonych a u góry się krzyżujących. Od ziemi zaś w górę zapełnia je płot czyli sztachety. Wojewoda płocki, Samuel Prażmowski, dostał wieś tę od brata

---

1) *Wodnitza* u Werduma, co pewnie jest błędem, który popełnił wydawca Bernoulli, czytając fałszywie dwie pierwsze litery.

swego arcybiskupa. Podstarości pan Michałowski traktował nas tu swym sposobem wspaniale.

Dnia 27 listopada z miejsca tego do Suchej (*Josenna*), średnia wieś, pomiędzy urodzajnemi gruntami, tu i owdzie z krzakami, 5 mil. Potem do Policznej, dwór szlachecki z wsią i kościołem, wielka mila. Potem do Świętlikowej woli; wieś, przytem dwór szlachecki w bardzo zgrabnych sztachetach; potem przez Czarnolas (*Karniola*), kamienny zamek ze wsią; jeszcze przez Chechły i Zwolą (*Zechlje und Wola*), dwie małe wsie, do Jaroszyna 5 mil. Jest to także mała wieś z drewnianym kościołem nad brzegiem Wisły. Przeprawia się tu przez rzekę na promie i ląduje się na drugiej stronie przy wsi Puławach. Przeprawa ta znajduje się o milę poniżej miasta Kazimierza a o milę powyżej zamku Opatkowice (*Lapatovice*), dziedzicznego Lubomirskich.

Dnia 28 listopada z Puław do Końskiej Woli 1 mila. Jest to znaczna miejscowość z dwoma kościołami, z których jeden przy klasztorze Frańciszkanów ma wielki obraz św. Maryi namalowany na szczycie z takim napisem: *Sine peccato originali concepta est.* Po jednej stronie tej miejscowości stoi też mały szpital z takim napisem: *In Laudem Dei charitas aedificavit*; znajdujemy się tu w województwie lubelskiem.

Potem do Kurowa, miernej wsi, z żydowską synagogą, 3 mile. Potem do Markuszowa, wioski z kamiennym kościołem, 1 mila. Dalej przez wysokie grunta do Lublina, 3 mile.

Lublin jest stolicą województwa, które od niego ma swą nazwę, jest to duże miasto w ciężkie ale porządne zabudowania zaopatrzone, nadzwyczajnie błotniste, jak wszystkie polskie miasta. W żadnem z nich bowiem nie znajdziesz dobrego bruku, choć kamienie leżą grubo na polach. Miasto ciągnie się wzdłuż grzbietu długiej wyżyny; na jej północno wschodnim krańcu wznosi się okrągłe wzgórze wśród bagien a na niem zamek, pod którym płynie ramię rzeki Wieprz. Na około tego zamku leży kilka przedmieść. Papiści mają tu kilka pięknych kościołów a *Patres Jesuitae* wielki klasztor, w którym znajduje się cały zegar, bijący 24 godzin a zaczynający od zachodu słońca. Na przedmieściu jest kościół greckiego wyznania, które w Polsce zwą ruską religią, bo do tej religii należą tak województwo ruskie w tem państwie, jak Wielka-Rossya czyli Moskowia, której mieszkańcy zwą się białymi Grekami. W tej okolicy ku Rusi a jeszcze więcej ku Małej Polsce i Krakowowi wznosi się kraj wysokiemi pagórkami i średniemi górami, dla tego zwie się też zapewne Wysoką Polską. Zamiast

świerków spotykasz tu także brzezinę i dębinę, dla tego widzisz tu wszędzie wielkie trzody świń, po większej części czarnych, jak owce tutejsze. Krowy i w ogóle bydło rogate przeważnie czarno nakrapiane, woły płowe. Grunta tu bardzo piękne, czarne, żyzne, a także bardzo dobre żytnie.

Dnia 29 listopada z miejsca tego do Żukowa (*Jenowa* [1]), małej wioski, z małym kościołem, 4 mile. Jedzie się przez kraj wysoki, częścią uprawny, częścią step i krzaki, tu i owdzie domy. Potem przez kraj równy do Żółkwi, 2 mile. Jest to wieś z kościołem, nad jeziorem w dolinie. Na wschód nad tem samem jeziorem wznosi się zamek, który jest rodzinnym domem rodu Żołkiewskich, którego ostatnim potomkiem był ojciec matki hetmana Sobieskiego. Ci którzy z tego domu pochodzą, wybudowali potem zamek i miasto Żółkiew, o trzy mile od ruskiego Lwowa.

Dnia 30 listopada potem z miejsca tego przez pagórki i krzaki bardzo złemi drogami, do Szczebrzeszyna 3 mile. Miasto krajowym zwyczajem wybudowane wcale nie źle, na Rusi do województwa bełzkiego należące. Wojewodą tutejszym jest teraz ks. Dymitr Wiśniowiecki, króla Michała stryj. Szczebrzeszyn leży o 4 mile od Zamościa, który należy do dożywocia matki wymienionego króla. Ruska i grecka religia jest tu najpowszedniejsza; niektórzy z wyznawców jej złączyli się z rzymskim kościołem, większość atoli jeszcze jest oddzielona i nie uznaje rzymskiego papieża wcale za głowę swego kościoła, lecz stoi pod patryarchą konstantynopolitańskim. Dla tego każą oni pod wszystkiemi krzyżami, umieszczonemi u góry na ich kościołach, wykuwać półksiężyce, na znak, że głowa ich kościoła pod opieką tureckiego cesarza, który ma półksiężyc w herbie, ma swoją rezydencyą. Prócz błędu w którym tkwią, a mianowicie, że Duch św. nie pochodzi od Boga Syna lecz od Boga Ojca, mają oni w obrazach i innych ceremoniach jeszcze więcej kuglarstw niż rzymski kościół. Św. Mikołaj jest ich uniwersalnym patronem; obraz jego zajmuje główne miejsce we wszystkich kościołach i domach. Na pogrzebach idą popi i inni duchowni, ile ich zebrać mogą, zwykle z dobremi brodami, przed ciałem zmarłego: wszyscy z zapalonemi świecami w ręku i wyją żałobne swe pieśni wcale nędznie. Po nich idą krewni i inni mężczyźni także wszyscy z zapalonemi świecami przed ciałem, a każdy niosący trumnę ma także zapaloną świecę w ręku, jak i kobiety,

---

[1]) *Jenowa*, takiej miejscowości nie ma w tych stronach. Co do oddalenia od Lublina i Żółkwi możnaby myśleć tylko o Żukowie.

które wszystkie idą za ciałem. W ogóle zaś cała procesya już się wcale dobrze pocieszyła gorzałką tak, że wszystkiemi świecami choć za dnia zaledwie mogą umarłemu do grobu doświecić. Skoro kogo zoczą w cudzoziemskiem ubraniu, nazywają go poganinem, czyli *paganus*, i sądzą, że nie wie on nic o Bogu. Zdarzyło mi się później w mieście Żółkwi, że stara baba, dobrze gorzałką uraczona, przyszła z procesyi pogrzebowej do mnie do drzwi i zaczęła mnie, litując się nademną, uczyć, w co wierzyć powinienem. Kiedym zaś nie mógł jej słuchać bez śmiechu, sądziły inne baby, że się z niej naigrawam i powlokły ją z sobą. W opisie ruskiego Lwowa będę jeszcze więcej mówił o tej religii.

Ze Szczebrzeszyna po południu przez wysoki górzysty las do pustelni *St. Stanislai*, 2 mile. Jest to kaplica w środku lasu. Na miejscu tem miał *St. Stanislaus*, patron królestwa polskiego, przed laty wykonać nie wiedzieć jakie cuda. Znajdowała się przy tem mała pustelnia z trzema czy czterema popami (*Pfaffen*), którzy się zwali eremitami *St. Stanislai*.

Dnia 1 grudnia z miejsca tego do Luchowa 2 mile; mierna wieś, ale przez Tatarów bardzo spustoszona. Po południu z miejsca tego do Lubaczowa 4 mile. Było to miasteczko z wałem z ziemi, na którym drewniane bastiony czyli wieże. Są tu dwa ruskie kościoły. Zamek leży trochę przed tem w bagnie, w miejscu bardzo warownem. Tatarzy atoli wszystko spalili i spustoszyli. Tutaj i prawie w całej Rusi, na Podolu i Ukrainie trzymają Żydzi karczmy. Żydzi zdają się tu wzrostu wyższego i silniejszego niż w Niemczech, do czego się przyczyniają także długie ich suknie.

Dnia 2 grudnia z miejsca tego do Jaworowa 4 mile. Miasto otaczają wały z ziemi a na nich wysokie ściany z balów i parapety. Znajdują się w niem dwa papieskie kościoły, jeden z kamienia, drugi z drzewa, jako i drewniany grecki czyli ruski i żydowska synagoga. Na północno-wschodniej stronie miasta leży zamek, częścią z kamienia, częścią z drzewa wcale zgrabnie zbudowany z wesołym ogrodem. W ogóle całe miasto otaczają dobre pola i ładne ogrody.

Dnia 3 grudnia potem przez piaszczyste grunta, pozostawiając po prawej stronie na widoku w krzakach Stary Jazów, do Nowego Jazowa 1 mila. Kościelna ta wieś leży nad strumieniem a po lewej stronie na wzgórzu widać stojący szlachecki dwór Starzyska (*Tartzetscha*).

Potem przez bagniste grunta do Szkła pół mili. Długa wieś, ciągnąca się na wschód przy pagórku. Na wschodniej stronie ku

jezioru ma drewniany kościół. W minionym Sierpniu zamienił się tu w pobliżu wielki piaskowy pagórek skutkiem trzęsienia ziemi na małe jezioro a kiedy się pagórek z wielkim łoskotem zapadł, wybuchła woda w takiej obfitości, że zalała na okół leżące pola. Jezioro miało okołą 600 kroków w obwodzie a świeże urwiska zapadłej ziemi jeszcze wyraźnie widzieć było można. Woda była jasna i bardzo głęboka, czuć i smakować było z niej siarkę. Niewątpliwie też siarczane źródła, które się tu pod ziemią ukrywają, wywołały to trzęsienie ziemi. Na strzał z muszkiety od tego miejsca na dole w dolinie znajdowała się też studnia, z której czysta siarka z wodą wytryskała, tak że z wiatrem już z daleka czuć ją było można.

W tej wsi i w całej Rusi istnieją całe ogrody dzikich drzew śliwkowych. Z owoców tych drzew wyciskają chłopi sok i jedzą go zamiast masła. Z resztą, prócz w wielkich miastach, w Polsce mało widzisz ogrodów, bo naród ten w przecięciu nie jest dość pracowity ani też dość staranny (*curieux*) do tak akuratnej roboty, jakiej ogrody wymagają. Hodują atoli ziemne produkta, jako to różne korzenie (*Wurzeln*), ćwikły, pasternaki i t. p. w wielkiem mnóstwie. Grunta na Rusi i w Wielkiej Polsce są pomiędzy górami i pagórkami żyzne i przynoszą dobre owoce, ił z piaskiem zmieszany wydaje w niektórych miejscach piękne owoce, gdzie się z tem męsza ligawica.

Ze Szkła do najbliższego lasu jest pół mili, potem przez las do Janowa 1 mila. Było to przedtem ładne miasto, ale je Tatarzy zupełnie spustoszyli, tak że tylko 10 lub 12 lichych domów i trzy drewniane kościółki znów w niem odbudowano, z których jeden jest rzymski, dwa drugie greckie. Miasto leży nad jeziorem, które wraz z innemi jeziorami tego samego starostwa przynosi tutejszemu staroście rocznej intraty z ryb przeszło 1200 talarów. Naprzeciw w stronie południowo-wschodniej widać wysoko na górze wieś Stradcz (*Streitsche*) z kościołem.

Popołudniu z Janowa przez krzaczaste góry aż do dwóch wsi, leżących prawie przy sobie, mała dolina je tylko oddziela. Każda z nich ma swój kościół. Wschodnia nazywa się Domażyr (*Dommagir*), zachodnia Sierne [1]) od Janowa 1 mila. Od Siernego aż do góry przed lwowską równiną 1 mila. Od góry przez równinę do ruskiego Lwowa 1 mila.

---

1) Takiej wsi dziś nie ma. Jest w pobliżu Domażyru wieś Żorniska ale bez kościoła.

Reuschen-Lemberg, po polsku Lwów to znaczy *Lewenberg*, po łacinie *Leopolis*, jest stolicą województwa i prowincyi Małej czyli Czarnej Rusi nad strumieniem czyli małą rzeczką Volodaroa(!) pomiędzy górami, w miejscu bagnistem, niskiem i niesłychanie błotnistem. Zamek leży na wschód od miasta na wysokiej górze, ku miastu dość stromej, z drugiej zaś strony łączącej się z innemi górami. Trzęsienie ziemi strąciło niedawno znaczny kawał zamkowego muru na dół. W mieście znajduje się rzymski katedralny, zarazem parafialny kościół, siedziba rzymskiego arcybiskupa, który jest w królestwie polskiem drugim duchownym senatorem; znajduje się także we Lwowie ormiański kościół, który się z rzymskim złączył; jest on siedzibą ormiańskiego arcybiskupa, pod którego należą wszyscy, którzy z narodu tego i religii tej w Polsce mieszkają. Było ich niegdyś niezliczone mnóstwo, teraz zaś nie więcej nad trzy do czterech tysięcy rodzin. Ormiańscy kapłani nie mają innych dochodów prócz tego, co im dają dobrowolnie i za odprawianie mszy, chrztów, ślubów i pogrzebów. W każdym kościele jest ich po trzech ordynowanych, którzy dochody te w równych częściach pomiędzy siebie dzielą a żaden z nich nie ma zresztą żadnego pierwszeństwa przed drugim, prócz zaszczytu wieku i głównego dozoru. Arcybiskupa przed laty zwano tylko biskupem. Przed niejakim czasem atoli po zjednoczeniu z rzymskim kościołem obdarzono go tytułem arcybiskupim. Mimo to jednak ma liche dochody i dostaje dla tego od kongregacyi *de propaganda fide* we Francyi, założonej przez kardynała *de Richelieu* [1]), roczną zapomogę. Kongregacya ta utrzymuje tu także dwóch papiezkich missyonarzy wraz z kilku ormiańskimi uczniami, na co rocznie wydaje 600 talarów. Głową tej missyi był wtedy O. Pidou [2]), Teatyn z Paryża, który doskonale znał ormiański język i tak jak nim w książkach piszą, i tak jak nim teraz mówią. Znajdował on się już od 7 czy 8 lat w Polsce wraz z towarzyszem swym z tego samego zakonu, Włochem. Obydwaj byli raz w goście u pana mego, *abbé de Paulmiers*. Mieli wtedy 16 uczniów, z którymi dotąd mieszkali w mieście. Kiedy zaś przed kilku miesiącami dostali parafialny kościół św. Krzyża, który Ormianie na krakowskiem przedmieściu

---

1) Mało ta znana kongregacya została założona w r. 1663. (Uwaga Bernoullego).

2) Niektóre szczegóły o nim znaleść można także w wydanych przez Helcla Listach Sobieskiego III, 6 i 51. Helcel powiada tu: Xiądz Pidou nie wiadomo mi co zacz. Dowiadujemy się więc tutaj, kim był X. Pidou.

opuścili byli, przenieśli się tam ze swymi uczniami i kazali go odnowić.

Ormianów tych — opowiadają oni — powołał przed 600 laty do Polski na pomoc książę na Rusi Dymitr przeciw swym zbuntowanym poddanym, powołał ich z pontyjskiej wyspy Kaffy [1]), która się niegdyś zwała Teodozyą. Za ich wierne służby obdarzył ich licznemi i znacznemi przywilejami. Byli niegdyś niesłychanie bogaci, niektórzy z nich jeszcze teraz mają znaczne środki, choć ich Polacy często rabowali. Niema pomiędzy niemi prawie ani jednego, który by rozumiał dawny piśmienny ormiański język, z wyjątkiem kilku, którzy mieszkają w Jazłowcu, mieście pomiędzy Lwowem a Kamieńcem Podolskim, a którzy podobno dopiero przed 100 laty z Armenii tu przybyli. Zwykły ich język jest pomięszany z mnóstwem tatarskich wyrazów. Ormianie w Polsce powiadają wszyscy, że już przed stu laty złączyli się z rzymskim kościołem; było to jednak tylko udaniem i zatrzymali tymczasem dawne swe błędy, jako to że wierzyli, iż Duch św. pochodzi tylko od Ojca iż piekło nie będzie wiecznie trwało, iż połączenie natur w Chrystusie jest zmięszaniem ich, z czego powstała trzecia natura, i że ofiary i liczne inne ceremonie starego zakonu jeszcze trzeba utrzymywać. Wreszcie jednak podpisali wszyscy przed siedmiu laty rzymskie wyznanie wiary, do czego wymieniony już o. Pidou przyłożył dużo starania i przeprowadził rzecz tę przy pomocy zmarłej królowej Ludwiki Maryi Gonzaga de Nevers. Ona to nakłoniła pana swego, króla Jana Kazimierza, do tego, aby zagroził Ormianom, że im odbierze wszystkie przywileje, które otrzymali pod pozorem zjednoczenia z rzymskim kościołem. To ich nakłoniło do rzeczywistego przeprowadzenia tego zjednoczenia. Zresztą trzymają się z dala od Polaków i innych narodów i religij, prawie zupełnie na podobieństwo Żydów, są jednak tak *genereux* i dumni *(herrisch)*, jak tamci nędzni i służalczy *(abject und knechtisch)*. Po ich krewkiej *(robust)* i ciemnej twarzy, z wypukłemi bezczelnemi oczami można ich od wszystkich innych ludzi równie łatwo odróżnić, jak Żydów niezwłocznie po ich bladej głupowatej twarzy *(bleichfarbene Blödigkeit)*. Nie łatwo się kojarzą małżeństwem

---

1) Kaffa, niegdyś Teodozya, nie jest wyspą, lecz stolicą na tatarskim półwyspie, który niektórzy zwą Przekopem, bo go zamieszkują Przekopscy Tatarzy. Od nich nazwano tę wyspę *Taurica Chersonesus*, leży ona bardzo daleko od pontyjskiego państwa. (Uwaga ta znajduje się w rękopisie).

z obcymi, nie pochodzącymi z ich narodowości a są zarazem największymi i najprzebieglejszymi kupcami, jakich znaleść można.

Zresztą znajduje się we Lwowie szpital św. Ducha, dalej trzy klasztory: Dominikanów, Franciszkanów św. Antoniego padewskiego i Jezuitów wraz z kolegium i bardzo pięknym kościołem. Jest tu także ruski czyli grecki kościół tych, którzy się z rzymskimi nie złączyli, wszystkie te są wielkie i dobrze z kamieni zbudowane. Na przedmieściach znajduje się sześć rzymskich kościołów: św. Stanisława, św. Maryi, św. Piotra, św. Wojciecha i św. Anny, jak i ormiańsko-rzymski kościół św. Krzyża, przy którym wyżwymieniona papieska missya. *Item* jeszcze na przedmieściach wielki i piękny szpital św. Łazarza i klasztory Jakobinów, Karmelitów, którzy się zwią Obserwantami, i drugi innych bosych Karmelitów, reformowanych Franciszkanów, Augustynów, których świeżo tu sprowadzono, i ormiański klasztor zakonu *St. Antonii Eremitae*, opactwo zakonnic św. Benedykta, zakonnice św. Brygidy, Karmelitki-obserwantki i bose, dwojakie zakonnice w dwóch klasztorach; jeszcze wielki piękny kościół św. Jerzego, przy którym siedziba ruskiego czyli greckiego biskupa. Te wymienione zabudowania są wszystkie z kamienia, prócz tego w mieście i na przedmieściach dużo innych z drzewa wybudowanych kościołów i klasztorów. Pomiędzy wszystkiemi atoli, kamiennemi czy drewnianemi kościołami czy klasztorami, we Lwowie i w otoczeniu, jako i wszystkiemi innemi tutejszemi budowlami żadna nie może się równać z klastorem Franciszkanów, zwanych zwykle Bernardynami, który leży na południowo-wschodniej stronie miasta pod zamkiem na przedmieściu, otoczony niezwykle grubemi murami z kamiennemi bastyonami (*Zwingern*), a wewnątrz ozdobiony ciężkim wielkim kościołem, wreszcie działami i innemi zapasami tak zaopatrzony, że mógłby się dłużej bronić jak zamek lub miasto. Zakonnicy w tym klasztorze pochodzą z najznakomitszych rodów polskiej szlachty, którzy po większej części wszyscy w młodości służyli w polu, a kiedy zmierzili sobie świat, używszy go do syta, udają się tu na spoczynek, a mimo to i wtedy jeszcze nieraz prowadzą tu życie niekoniecznie najczystsze.

Znajduje się we Lwowie także piękny arsenał, który wybudował król Władysław IV z łamanego i ciosanego kamienia. Miasto samo otacza na okół albo podwójny mur, albo wał i fosa. Zaopatrzone jest w działa dosyć dostatecznie, zresztą jednak nie jest wcale bardzo warowne dla leżących tuż w pobliżu gór i z tego powodu, że na wschodniej stronie dostać się można aż do murów

miejskich po równinie, ze strony zachodniej i południowej zaś bez trudu zabrać można wodę fosie, a przytem fortyfikacye są zniszczone i nieregularne. Żydów mieszka tu mnóstwo, zajmują całe przedmieście na zachód miasta i mają w niem synagogę, prócz tego jeszcze własną dużą ulicę w mieście i w niej jeszcze dwie synagogi.

Prócz tego znajduje się we Lwowie jeszcze wiele innych wielkich i ciężkich ale niekształtnych gmachów, pomiędzy innemi wielki ratusz z wysoką wieżą na środku rynku.

Miasto jest bardzo ludne, mieszka w niem 6000 obywateli, zajmujących się wielkim przemysłem.

Po nad małą bramą, wyłamaną na zachodzie w murze, stoi napis taki: *Constando et fidem servando Deo*, *Regi et Reipubl. Leopolis obsidione liberata est anno 1648 et anno 1655.*

Grunta tu naokół są wprawdzie piasczyste ale dość żyzne. *Patres Jesuitae* mają tu niemiecki zegar, jak go tu w miejscu zowią, który tylko 12 godzin bije i wskazuje; inne wszystkie dzwony biją 24.

Dnia 5 grudnia ze Lwowa do Brzuchowicy (*Sbruchowitza*) półtory mili. Jest to góra, jakie bywają w Polsce, dość wysoka, na której szczyt trzeba piąć się więcej jak pół mili, po drugiej stronie znajdziesz bardzo czarną i tłustą glebę, lecz nie orzą jej na tak małe skiby, jak w Polsce. Góra ta jest zupełnie porosła buczyną. Z niej widać po prawej stronie w pięknej żyznej glebie miasteczko Kulików. Wieczorem bardzo późno dostaliśmy się przez bagna do Żółkwi, półtory mili. Jest to średnie miasto, mające wraz z zamkiem dość gruby i wysoki mur na okół. Przedmieścia otaczają drewniane poprzeczne częstokoły. Miejscowość tę odziedziczył wielki hetman Sobieski po matce, z rodu Żółkiewskich. Założyła ona tu klasztor Dominikanów z ładnym kościołem. Parafialny kościół papistów leży w pobliżu zamku, jest zbudowany z kamienia dość dobrze. Zresztą są jeszcze trzy nieunickie ruskie kościoły w Żółkwi i synagoga Żydów, którzy tu mieszkają w znacznej liczbie. Podstarości pan Kamiński przyjął nas bardzo gościnnie.

Dnia 16 grudnia, kiedyśmy w Żółkwi 5 do 6 dni czekali na przyjazd w. hetm. kor. Sobieskiego, który dotąd stał z obozem w Trembowli i rozpuścił go dopiero teraz na leże zimowe, przybył wreszcie hetman. Konferował z nim mój pan abbé de Paulmiers przez kilka dni potajemnie. Choć zaś pan mój byłby chętnie widział, gdyby niezwłocznie wtedy zaczęto pracować nad konfederacyą

armii przeciw królowi Michałowi, to jednak hetman uznał to za zbyt wczesne i orzekł, że naprzód czekać należy, co ówczesna komisya państwa w Radomiu postanowi, do której to armia wniosła liczne i wielki *gravamina*. Kiedy zaś, jak to ku temu zmierzano, nie odbierze satysfakcyi, wtedy może się z lepszem prawem skonfederować; tymczasem mamy znów wrócić do Gdańska i czekać na rozwiązanie [1]).

Tak pojechaliśmy inną drogą z Żółkwi do Wereszyc (*Viecischa*) 2 mile. Jest to wcale mała wieś z kościołem z drzewa, jak prawie wszystkie kościoły po wsiach, jako i większość domów. Okna tutaj i w wielu innych miejscach były z pęcherzy rybich, przytwierdzonych do drewnianych prątków zamiast kitu. W niektórych miejscach używają też zamiast szkła do okien pewnego rodzaju przejrzystego kamienia, cienko szlifowanego. Kominy z żółtej gliny są wsadzone pomiędzy kraty drewniane jako grube wieże sterczące z dachu, a kto jest bardziej staranny, otoczył je zewnątrz słomą lub deskami dla ochrony od deszczu.

Potem przez nędzną wieś Kurniki (*Kurniec*) do Jaworowa, 3 mile, który już poprzednio (dnia 2. grudnia) opisałem.

Dnia 17 grudnia z miejsca tego do Nahaczowa (*Nahadziew)* 1 mila. Średnia wieś z kościołem i dworem szlacheckim, otoczonym drewnianemi balustradami i wieżami w obrębie fosy. Potem przez piaszczyste chude grunta i nędzną wieść Kuryki (*Kurnivit*) 3 mile. Po południu z tego miejsca przez Lubaczów, poprzednio już opisany, do miernej wsi Ułazowa (*Lasow*) 2 mile.

Dnia 18 grudnia z tego miejsca znów do wsi Luchowa, 2 mile, o której już wyżej wspomniano. Karczmarz Żyd wyprawiał tutaj w licznem towarzystwie wesele córki, przy czem stare ruskie baby orzeźwiały się za piecem kaflowym wódką. Nazywają ją na Rusi *Horilka*, Polacy zaś *Grzolka* albo, jeźli mówią po łacinie, *Crematum*.

Z tego miejsca po południu znów przez krzakami porosłą górę do pustelni *St. Stanislai*, 2 mile. Już także ją opisano. Potem znów do Szczebrzeszyna także 2 mile. Miasto już wyżej opisano, lecz nie wspomniano o tem, że są tu dwa papiezkie czyli rzymskie i jeden nieunicki grecki kościół. Tą razą pojechaliśmy w lesie inną drogą, przez księżnej na Zamościu, króla Michała

1) Porównaj co o tem spotkaniu pisze Sobieski u Helcla II, 27 i 28 z dnia 11 i 18 grudnia 1670 r.

pani matki, zwierzyniec (*Serennitz*), mający cztery mile w obwodzie. Jest on otoczony wysokim płotem a w nim trzymają różne dzikie zwierzęta, jako to: jelenie, sarny, dziki, łosie. Od strony Szczebrzeszyna jest tu pałacyk (*Lusthaus*) w ogrodzie, wybudowany na pół nad wodą, na pół na lądzie.

Dnia 19 grudnia potem przez groblę, ciągnącą się przez jezioro Tibe [1]) zwane, do Sulowka (*Sciollovik*), 1 mila. Spieszyliśmy tutaj, choć w srogiem zimnie i gwałtownej zamieci śnieżnej, dzielnie naprzód, bo kr. chorąży nadworny Prażmowski, który nas, jak wyżej powiedziano, konwojował, w Szczebrzeszynie szczególnie się dowiedział, że znajduje się w pobliżu wysłana przez króla Michała kompania, sto huzarów licząca, aby nas schwytać. Wojewoda ruski bowiem Jabłonowski, któremu wielki hetman wszystkie swe tajemnice powierzał [2]), doniósł pocztą królowi Michałowi o naszem przybyciu i pobycie w Żółkwi. Król więc kazał czyhać na nas w powrocie.

Z Sulowka zawróciliśmy się na prawo, ku Podlasiu, tak że przy pomocy naszego dobrego anioła rozminęliśmy się z huzarami a oni z nami. Gdybyśmy się z nimi byli spotkali, albo bylibyśmy musieli łamać sobie karki z nimi, albo ktoby był tyle nieszczęśliwy, żeby się żywcem do ich rąk dostał, byłby potem w Warszawie mógł się spodziewać jeszcze okrutniejszego postępowania.

Pierwsza wieś, na którąśmy natrafili, zwała się Płonka, od Sulowka tylko 1 mila; ma ona drewniany kościół a żydowskiego karczmarza dom spalił się poprzedniego dnia. Domyślano się, że w kraju są podpalacze, bo w ubiegłej jesieni tu w okolicy pożary wybuchły w wielu miejscach jednocześnie. Z miejsca tego do Gorzkowa (*Gortziew*) jeszcze 1 mila. Jest to pusta wieś z kamiennym kościołem nad jeziorem położona. Zimno było tak srogie a wiatr ze śniegiem tak gwałtowny, że ledwieśmy się tu dostać mogli a choć z powodu huzarów mieliśmy dużo powodów do pośpiechu, musieliśmy jednak przez noc tutaj pozostać. Trzymaliśmy więc tu dobre straże a kiedy się burza nieco uspokoiła, ruszyliśmy przed brzaskiem dnia dalej przez bardzo głębokie śniegi.

Dnia 20 grudnia z miejsca tego przez las i bardzo złemi drogami do lichej wsi Izdebno (*Livedno*) 1 mila; potem przez drugą

---

1) Pod dniem 19 kwietnia 1671 r. nazywa Werdum jezioro to *Tur*.

2) Porównaj co w tym czasie pisze o Jabłonowskim Sobieski u Helcla II, 24.

wieś w pięknych gruntach Siedliszcze zwaną do Biskupic 2 mile. Było to miasto nad jeziorem, lecz Tatarzy je spalili, tak że nie pozostał w niem ani jeden dom. Mały drewniany kościół zaczęto na nowo budować. Potem do małej wsi w bardzo tłustej glebie, gdzie karczmarka, Żydówka, była tak piękną kobietą, żeśmy się wszyscy z podziwu nie posiadali. Wieś zwała się Łysołaje (*Lissola*) od Biskupic pół mili. Z tego miejsca po południu do Milejowa, tylko o ćwierć mili; jest to piękny szlachecki dwór z wielkim ogrodem, przy którym płynie rzeka Wieprz, opatrzona pięknym mostem. Rzeka nie jest szeroka lecz głęboka i bystra, i unosi średniej wielkości statki. Potem do Puchaczowa pięć ćwierci mili, otwarte miasto nad potokiem, który wpada do Wieprza. Ma ono drewniany zamek otoczony fosą i należy do opactwa sieciechowskiego, które leży dwie mile powyżej Warszawy nad Wisłą. Opatem tamtejszym jest Franciszek Prażmowski, wielki sekretarz polski, teraźniejszego prymasa brat. W mieście Puchaczowie jest rzymski i grecki kościół dla tych, którzy się z rzymskim złączyli. Okolica ta obfituje w pszczoły; zamiast koszyków używają dla nich kloców z drzewa wydrążonych, na 6 lub 7 stóp długich, tak jak to pszczoły w polskich a zwłaszcza w litewskich lasach znoszą miód do wypróchniałych drzew. Podstarości pan Jańczewski traktował kr. chorążego nadwornego, jako brata swego pana, jak mógł najlepiej. Pili dzielnie z sobą.

Dnia 22 grudnia z miejsca tego do Łęczny (*Landschnow*) pół mili. Jest to zamek, należy dziedzicznie do starosty Firleja po żonie, leży na wysokiej górze, otoczonej z dwu stron rzeką Wieprzem. Przeprawia się tutaj przez nią na promie. Otwarte miasto, leżące obok, było zupełnie spustoszone. Kościół z włoska z kamieni zbudowany był jeszcze dosyć *in esse.* Zaczynali też ludzie z drzewa odbudowywać niektóre domy. Stała także jeszcze drewniana kaplica. Potem do Kijanów pięć ćwierci mili. Jest to wielki zamek ciężko zbudowany, przy nim mała wieś z kościołem. Potem do Spiczyna ćwierć mili, zamek, przy nim w polu kaplica. Potem do Charłęża (*Karlow*) pięknego szlacheckiego dworu, leżącego w lesie, 1 mila. Dalej do miernej wsi Niemiec 1 mila. Po południu z miejsca tego przez wieś Nasutów, potem Krasienin 2 mile. Jest to otwarte miasteczko z drewnianym, ale dobrze budowanym dworem szlacheckim. Kościół jest z kamienia z włoska zgrabnie zbudowany. Miejscowość ta należy do wojewody płockiego, Samuela Prażmowskiego, brata prymasa.

Dnia 23 grudnia. Z miejsca tego przybyliśmy znów na drogę, którą jechaliśmy w tę stronę, a którą wyżej opisano, a mianowicie do Markuszowa 2 mile, potem do Kurowa pół mili, potem do Końskiej Woli pół mili, potem do przeprawy przez Wisłę do Puław i Jaroszyna 1 mila.

Jeszcze dalej 24 grudnia dawną drogą do małej wsi Zwoli półtory mili, potem do Chechłów (*Zeglî*) pół mili, potem do Czarnolasu 1 mila, potem do Świętlikowej Woli pół mili. Znów do Policznej pół mili, do Suchej (*Zoseva*), mierna wieś, półtory mili. Potem do Jedlni półtory mili. Wieś ta z rzymskim kościołem należy do starostwa cześnickiego (*Cesenice)*, które trzyma obecnie p. Pac, wielki kanclerz litewski.

Dnia 25 grudnia w dzień Bożego Narodzenia z miejsca tego do Owadowa 1 mila. Jest to niezła wieś z kościołem, przytem dwór szlachecki prawie nad jeziorem. Potem znów do Jedlińska, do Lisowa 1 mila. To już poprzednio opisano.

Dnia 26 grudnia z miejsca tego znów inną drogą do Bierwiec (*Vierce)* wielka mila. Jest to dwór szlachecki ze wsią, należący do p. Prussowskiego, jednego ze szlachty, który poprzedniego z Lisowa wraz z król. chor. nadworn. miał u siebie w gościnie, jako i starego grubego papistowskiego popa (*Pfaffen)*, którego ze mszy przywieźli ze sobą do stołu. Tak go uraczyli węgierskiem winem, że go w dwóch odprowadzić musieli, kiedy wieczorem dzwoniono na nieszpory, które jeszcze miał odśpiewać. Tutaj u tego Prussowskiego ten dziwny się przedstawiał widok, że mu włosy jego zrosły się w same małe kędziory. Dzieje się to skutkiem choroby głowy, która się zwie po polsku kołtun (*Chalton)*, po łacinie *plica*. Kto ją dostanie, choruje najprzód na śmierć na okropne bole głowy, a kiedy te przejdą, zlepiają i zrastają się w kędziory jednym wszystkie, innym mniej lub więcej włosów; niektórym nawet, jak to jednego widziałem w Łowiczu, skręcają się włosy na całej głowie w wielką kupę, jakoby kapelusz pilśniowy. Nie można zaś ani nożycami ani czem innem włosów tych odcinać ani ruszać, jeźli chory nie ma stracić słuchu lub podniebienia lub najczęściej wzroku, jak zresztą i prócz tego choroba ta wywołuje to, że w Polsce spotkasz więcej ślepych niż w jakimkolwiek innym kraju. U Kozaków i Tatarów choroba ta od dawien dawna była bardzo pospolitą, w Polsce zaś rozpowszechniła się w ostatnich trzydziestu, czterdziestu latach.

Z Bierwiec do miernej wsi Kadłubek 1 mila. Z tego miejsca do Białobrzegów 1 mila, do którego miejsca dostaliśmy się teraz

inną drogą, niż jadąc w tę stronę, bo rzeka Pilica tak wezbrała od stopionego śniegu, że nie można było przez nią konno przejechać, lecz trzeba było używać obu mostów, które przez dwa ramiona tej rzeki blisko miasteczka prowadzą. Miasteczko samo w sobie nie jest osobliwe a w dodatku było jeszcze zupełnie spalone i spustoszone. Mówiono już o niem powyżej. Potem do lichej wsi, Falencice, jest tylko pół mili, potem znów do Goszczyna pół mili.

Dnia 27 grudnia po odbytem śniadaniu, z łowczym kor. Zieleńskim, który się właśnie tutaj znajdował, drogą, którą w tę stronę jechaliśmy i którą powyżej opisano, do Lipia 2 mile. Z tego miejsca do Osuchowa 2 mile.

Dnia 28 grudnia, kiedy mój pan abbé de Paulmiers z prymasem państwa Prażmowskim w Osuchowie przez całą noc konferował i zdał relacyą o swej podróży, jak i o tem, co zrobił u wielk. hetm. Sobieskiego, obraliśmy rano inną drogę, nie tę, którąśmy w tę stronę jechali. Droga szła przez chude grunta do Łysej Woli 2 mile. Jest to mała wieś, położona w dość żyznem polu, nie ma kościoła. Potem przez piaszczyste pole do Łowicza 4 mile. Miasto to już poprzednio opisano. Wieczorem za przyjazdem naszym traktował nas król. chor. nadw. w domu swoim. Żona jego, Radziejowskiego córka, była z nami przy stole, mówiła dobrze po francusku i występowała bardzo po przyjacielsku. Pomiędzy innemi traktamentami podano także śnieżniczki [1]), które tak nazywają, dlatego że im grubiej śnieg leży, tem są tłustsze a kiedy śnieg staje, już ich nie widać. Są tak duże jak wróble, na grzbiecie szare, pod brzuchem białe.

Kiedyśmy się w Łowiczu dowiedzieli, że król polski — ponieważ huzarzy w podróży z Rusi nas nie spotkali a mimo to skutkiem szpiegostwa wojewody ruskiego król wiedział, że znów do Gdańska jechać mamy — każe na nas wszędzie przy przejazdach przez Wisłę czyhać, uznano za dobre, ażebyśmy się rozłączyli i aby pan mój, ksiądz, konno z konwojem czterech konnych naprzód ruszył, ja zaś z naszemi wozami żebym za nim jechał. Na wozie miałem kufer, który mi sprawiał największy kłopot, bo pomiędzy jego zakrytem podwójnem dnem tkwiło schowanych więcej jak 100 tysięcy talarów w klejnotach i brzęczących dukatach, które do skonfederowania armii miały być użyte. Cyfry nasze, których nam potrzeba było różnych do 30 i kilku, wraz z innemi najtaj-

1) *Schneevogel* śnieżniczka, śniegułka według Lindego.

niejszemi papierami kazał nam komendant łowicki, Stanisław Piotrkowczyk, zawinięte dobrze w woskowane płótno, upiec w wielkim chlebie, który włożyłem na spód do kosza z żywnością i zawsze dobrze miałem na oku.

Umówiwszy się, że się znów złączymy w Nidborgu w Prusach i że całkiem niezwykłą drogą w wielkiem kole od litewskiej granicy, od tyłu, do miejsca tego pojedziemy, udał się pan mój 1 stycznia 1671 r. w sam Nowy Rok w drogę a ja pojechałem za nim 3 stycznia, z Łowicza do Chąsna, Osieka i Iłowa [1]) 3 mile. Dwie pierwsze są małe wioseczki, ostatnie jest otwarte miasteczko, należące do starostwa puchaczowskiego. Potem przez chłopską miejscowość Pieczyska, która wraz z sąsiednim folwarkiem należy do prymasa państwa, przez piękne pola do Ładów *(Lawi)* 1 mila. Jest to chłopska miejscowość z nędznych chat nad brzegiem Wisły, do wymienionego starostwa puchaczowskiego należąca, o milę poniżej Wyszogrodu. Tutaj leżał stary prom, na którym chłopi przejeżdżali do siebie z jednej strony Wisły na drugą. Zresztą nie ma tu przejazdu dla podróżnych, dla tegośmy właśnie tu się przeprawili, bo nas tu nikt szukać ani na nas czyhać nie będzie.

Dnia 4 stycznia z miejsca tego do Drwałów ćwierć mili. Jest to mała wieś z kościołem po drugiej stronie Wisły pomiędzy krzakami. Potem w twardym mrozie przez bezdenne śniegi do Bodzanowa, pół mili. Jest to dość wielka miejscowość i dobrze zaludniona, ma też ładny kościół. Po południu z miejsca tego przez wsie Łętowo, Nowa wieś i Rogowo *(Rogova Stolnegh)* do Góry 2 mile. Jest to mała wieś z drewnianym kościołem, należy do pana Grudzińskiego, brata wojewody mazowieckiego. Karczma, w której miałem mieszkać, była pełna pijanych chłopów i szlachty, jak to wieczorem w niedzielę zwyczajem jest w całej Polsce. Do nich przybyli dwaj obcy polscy szlachcice, którzy mówili, że byli w niewoli tatarskiej. Zaczęli z drugimi bójkę, tak że mnie strach zebrał, czy nie zdradzono mego kufra i czy to nie o niego chodzi. Zretyrowałem więc do domu kościelnego, który mnie chętnie przyjął, bom go wódką obdarzył. Kościelni w Polsce umieją wszyscy trochę po łacinie. Żeby zaś mieć u swych parafian tem więcej znaczenia, każą się w przecięciu robić bakałarzami. Jeśli zaś nim jeszcze nie zostali, zasłuży na wdzięczność u nich, kto ich tytułuje: Pan Bakałarz.

---

[1]) Somsko, Oschietz und Yöla.

Dnia 5 stycznia z Góry przez wieś Dobrska *(Donski)* do Gralewa 1 mila. Jest to wielka wieś z kamiennym kościołem. Z tego miejsca przy niezwykle twardym mrozie do Raciąża 1 mila. Jest to dość znaczna miejscowość z kościołem z kamienia, dość ciężko zbudowanym; należy do województwa płockiego. Potem przez gęste sosnowe lasy, w których zabłądziliśmy, bo śnieg nagiął sosny aż do ziemi i zatamował wszystkie drogi. Musieliśmy drzewa wyciąć, wszędzie drogę uprzątać i bacznie uważać na wszystkie strony. Przybyliśmy do wsi Lipa, Kosięcino, na dwie części podzielone [1]), Jeżewo (*Lizewo*) a wreszcie z wielkim mozołem do Strzegowa (*Zregwo*), dwie małe mile. Jest to otwarte miasteczko, nad rzeką Wkrą (*Kroa*), przez którą tu most prowadzi. Karczmarka miała tu koszykowe niecki, zawieszone na licznych sznurach u sufitu. W nich leżało jej małe dziecko przewiązane, a ona rzucając je tam i na powrót, kołysała je tym sposobem.

Z miejsca tego po południu do wsi Mdzewa 1 mila, a potem w nocy przez głęboki śnieg i bardzo uciążliwy las do Żuromina (*Sierozym*) 1 mila. Jest tu kilka domów z karczmą w lesie; musieliśmy do nich jechać w ciemności, bo w poprzedniej wsi nie było siana ani owsa. Karczmę trzymał szlachcic polski, młody chłystek, zajęty swą żoną i dzieckiem. Początkowo prawie mnie przyjąć nie chciał, kiedym atoli gospodyni wcisnął kilka groszy do ręki a przytem jej obiecałem wódki, byłaby mi nawet pomogła, żeby jego wypędzić. Mimo to wcaleśmy się zaprzyjaźnili. Zaprosiłem go z żoną jego w gości do siebie, bo źle byli zaopatrzeni.

Dnia 6 stycznia z miejsca tego przez wieś Kosiny do Wiśniewa 1 mila. Jest to wieś położona w środku lasu z pięknym szlacheckim dworem, bardzo zgrabnie zbudowanym z pięciu kominami. Potem przy mrozie równie silnym przez same bezdroża i lasy do Mławy, 1 mila. Jest to otwarte ale ładnie zbudowane miasto z dwoma kościołami, z których północny jest z kamienia i największy. Na południowym szczycie stoją następujące wiersze: *Individua Trinitas Te laudent omnes Spiritus*, *Quos per Crucis Mysterium salvas rege perpetuo*, a nieco niżej następujące: *Telluris omnes incolae Numini Trino Psallite Laudes et Diis coeteris unum hunc Majorem colite.* Południowy kościół jest z drzewa i mniejszy.

---

1) *Kozokzinzin.* Rzeczywiście mamy tu: Kosięcine tworki i Kosięcino brodowe.

Mława jest starostwem. Warzą tu najlepsze piwo w całej Polsce, jasne i mocne. Wodę do niego biorą ze studni, które w mieście w górę wytryskają. Takiego piwa nie można warzyć z innej wody, choćby była blisko obok. Miejscowość ta należy do województwa płockiego, którego mieszkańców powszechnie zowią dzikimi Mazurami, bo są w przecięciu barbarzyńscy i rozhukani, zwłaszcza ci, którzy mieszkają w okolicach Mławy, Ciechanowa (*Sianos*) i Janowa. Tych uważają za najgorszych a inni Polacy zwą ich urodzonych pod ciemną gwiazdą. Mieszkają tu całe szlacheckie rodziny, które z klientami żyły z rozbojów na gościńcach. Niedawno o mało tu nie zamordowano zmarłego księcia Radziwiłła, namiestnika w Królewcu elektora brandeburskiego, wraz z mniej więcej 30 jego ludźmi a to dla tego, że jako oddany reformowanej religii w dzień postu kazał jeść mięso i przez to rozsierdził Mazurów, którzy są tak religijni, że za mniejszy grzech uważaliby sobie zamordować go wraz z jego towarzystwem, niż patrzeć na to, że jedzą mięso. Byliby go też w lesie schwytali, gdyby przestrzeżony nie był pojechał inną drogą. W Łowiczu wyklinali nas straszliwie ludzie domowi, kiedy widzieli, żeśmy w piątek jedli ser, tak że pan mój, abbé de Paulmiers, nie wiedział jak burzę tę zażegnać. Kazał im przez tłómacza zaręczać uroczyście — i mógł to uczynić nie uchybiając prawdzie—że jako duchowny nie chciałby za nic w świecie łamać postów, tylko że w Niemczech — nie chciał bowiem powiedzieć, że jest Francuzem — potrawy takie nie są wzbronione. To ich znów nieco uspokoiło, bo rzecz taką przebaczają prędzej Niemcom niż swoim Polakom. Z tej samej przyczyny, że w Niemczech w dni postne jedzą ser, masło, jaja i mleko, szydzą w swem przysłowiu, nazywając łataniną i furdą polskie mosty, niemieckie posty, italskie czyli włoskie nabożeństwa: Polski most, niemiecki post, Włoskie nabożeństwo (b o g o s e n s t w o), wszystko to błazeństwo. Mosty w Polsce rzeczywiście nic nie warte a włoskie nabożeństwo ganią dla tego, że Włosi wyśmiewają się z Polaków, kiedy Polacy przy swych mszach i modlitwach głową biją o mur, uderzają sami siebie w twarz, wyją i strasznie głośno chrapią (*grunzen*), sądząc, że na tych grymasach polega największe nabożeństwo, którego Włosi nie chcą objawiać ani chwalić, lecz msze i modlitwy swe odprawiają z milczącą dewocyą.

Z Mławy po południu ku Piekiełku, małej wsi z dworem szlacheckim, ćwierć mili. Należy ona do pana Narzymskiego (*Narinski*), chorążego województwa płockiego. Jest to ostatnia wieś w Polsce.

Rząd, religia, sposób życia i t. d. w Polsce.

Królestwo polskie, które oni chętniej Rzecząpospolitą nazywają, ma rząd mięszany, i to, gdyby się cały *bras* prostej szlachty miało liczyć za *Proceres*, byłby on na przemian monarchiczny i arystokratyczny, albo też, ponieważ prostą szlachtę, która w rzeczywistości nie jest niczem inńem, jak chłopami, uważać trzeba za proste pospólstwo, będzie to pewnie mięszanina monarchii, arystokracyi i demokracyi. Spostrzegłem bowiem, że prostą wiejską szlachtę sami znakomici panowie uważają *pro populo*; mimo to jednak bierze ona udział tak samo jak najwięksi panowie we wszystkich publicznych sprawach, nawet w wyborze króla, który zwykle odbywa się przez ich deputowanych, zwanych przez nich *nuncii* czyli posłowie. Może się jednak każdy osobiście stawić, jeźli chce. Kiedy zaś rada państwa ze wszystkiemi stanami państwa coś zamierzają lub uchwalą, może wystąpić jedyny jeden szlachcic i obalić wszystko swem: Nie pozwalam.

Tymczasem jest król głową rządu, lecz prawie *autoritate magis suadendi*, *quam jubendi potestate*, władza jego bowiem jest bardzo ograniczoną, musi się zatem starać o znaczenie nie tyle stanowczemi rozkazami jak raczej politycznym rozumem. Do tego zaś ma bardzo wielką sposobność, będąc zaopatrzony w ważne prerogatywy i znakomite prawa, jako to, kiedy król bez wszelkiego oporu może nadać i przekazać, komu chce, wszystkie wakujące *officia* i *beneficia*, czy to cywilne lub wojskowe, czy duchowne lub świeckie. Przez środek ten, roztropnie zażyty, może mieć wszystkich znakomitszych ludzi w państwie za klientów. *Item*, kiedy król z własnej władzy wyznacza sam za siebie komisarzy, którzy badają i ściągają rachunki i rejestra od skarbników i wszystkich poborców pieniędzy, co *per indirectum* zdaje dyspozycyą nad środkami publicznemi do jego rąk. *Item*, kiedy król jako najwyższy sędzia we wszystkich wypadkach, które nie są wyraźnie rozstrzygnięte *in legibus*, wydaje w swej osobie najwyższy wyrok, od którego nie ma appelacyi. *Item*, kiedy Rzeczpospolita wprawdzie rozstrzyga, kiedy i z kim jaką wojnę zacząć i znów pokój zawrzeć, dopóki atoli trwa wojna a król jest także w polu, może on tu sam gospodarować i rozkazywać i prowadzić wojnę według własnego upodobania bez wszelkiej opozycyi i ma także prócz tego tyle praw i władzy, że prawie wszystkiem podług swej woli kierować może, jeźli tylko ma po temu rozum i serce, jak to król Stefan Batory dobrze wyraził, kiedy zwykł

mówić: *In Polonia tantum valet rex, quantum pollet ingenio.* Tymczasem ponieważ królowie zawsze do tego dążyli, jakby władzę swą powiększyć i zbliżyć się do monarchii, stany i poddani zaś, jakby przywileje swe, jeśli nie pomnożyć, to jednak utrzymać, poszło tu tak, jak mówi Tacyt: *Non facile misceri libertatem et dominos*, lecz *dum pars altera dominationem affectat, altera libertatem tuetur et aut infert aut repellit injurias, ibi concordiae vel quietis spem nullam superesse*, jak to inny Rzymianin u Salustiusza o tem sądzi a przebieg spraw polskich takowe orzeczenie aż za nadto sprawdza.

Siedmioracy rozmaici wyznawcy religijni mają swe swobodne *exercitium* w tem państwie.

Pierwszymi i głównymi między nimi są rzymscy katolicy, do których należą dwór królewski wraz z najznakomitszymi dostojnikami duchownymi i świeckimi i przeważną większością a zarazem najgłówniejszymi poddanymi, tak że wyznanie to nazwać można główną religią.

Drugą jest wyznanie reformowane, zwane przez Polaków luterskiem. Ci reformowani mają kościoły swe nie tylko w Prusach, lecz także w środku Polski, jako to w Bełżycy, o trzy mile od Lublina, gdzie ród szlachecki Osuchowskich miał ładne reformowane gimnazyum, jako i panowie Tarnowscy w Krasnobrodzie niedaleko Zamościa; *item* w Bydgoszczy czyli *Bramberg*, jak to później, opisując te miejscowości, obszerniej opowiemy.

Trzecią jest wyznanie właściwie luterskiem zwane, w całych Prusach najzwyklejsze, w Polsce jednak z resztą nie ma żadnego *exercitium.*

Czwartą jest greckie, w Polsce ruskiem zwane, bo większość mieszkańców na Rusi do niego należy, jako i na Podolu i Ukrainie. Jest to ta sama religia, którą wyznają także Mołdawianie, Wołosi i Moskale (*moskowiter*). Procz tego, co już wyżej o religii tej powiedziano, różnią się oni i w tem od rzymskiego kościoła, że komunią dają i świeckim pod obiema postaciami, jako chleb i wino, i to biorąc chleb łyżką z wina i spożywając go, pod pozorem, że żadne ciało nie może być bez krwi. Kościoły ich dzielą się na trzy części; wschodnia przeznaczona dla duchownych by w niej odprawiali swe msze i nabożeństwa; w środkowej części bierają się mężczyźni a w zachodniej przy drzwiach stoją kobiety. Duchowni ich, których nazywają popami, żenią się raz, jeśli jednak pierwsza żona umrze, nie wolno im brać drugiej. W ten sposób rozumieją oni orzeczenie, że biskup ma być mężem tylko

jednej żony. Mają atoli wielu klasztornych ludzi, mnichów i zakonnic, którzy wcale w śluby małżeńskie nie wstępują i nigdy niczego nie jedzą, co miało życie, nawet mleka, masła, jaj lub tym podobnych rzeczy, lecz tylko groch, soczewicę i inne podobne jarzyny i różne zioła i płody ziemi, które nie zaprawiają niczem innem jak tylko olejem. Duchowni ci podobno codziennie po 3, 4 albo naweł 5 set razy skłaniają się głową aż do ziemi i własnych nóg, sądząc, że taka rewerencya przedewszystkiem znajduje upodobanie u Boga i świętych. Grecki kościół ma rocznie cztery wielkie posty, a mianowicie siedm tygodni przed wielką nocą, cztery tygodnie przed Zielonemi Świętami, cztery tygodnie w miesiącu Sierpniu i cztery tygodnie adwentowe. Posty zaś tak ostro zachowują, że wyglądają na dobre zgłodniali. W czasie tym można ich z łatwością od innych odróżnić po bladości twarzy.

Piątą religią jest o r m i a ń s k a, którą wyżej obszernie opisano.

Szóstą jest m e n o n i c k a czyli a n a b a p t y s t ó w, której wyznawcy rozproszeni są po całych Prusach, mając w samem mieście Gdańsku wolne *exercitium*, jak wyżej powiedziano.

Siódma religia jest ż y d o w s k a, prawie wszędzie w Polsce zwłaszcza zaś na Rusi i Podolu w używaniu, gdzie prawie tyle Żydów co Chrześcian mieszka.

Na Ukrainie znaleść można także Tatarów, którzy swą religią praktykują, nie zgadzającą się właściwie ani z żydowską ani z mahometańską, mającą jednak z obu niektóre ceremonie, jako to że się obrzezywają, wina nie piją, świniny nie jedzą i t. p. mimo to trzymają się z dala od obu, mówiąc, że wierzą w Boga abrahamowego.

Mahomedanów nie tolerują tu publicznie, jest ich jednak wielu w Mołdawii i na granicy Węgier i Siedmiogrodu. W wielkich lasach i puszczach Litwy znajdziesz także jeszcze pogan, którzy drzewa i kamienie ubóstwiają a o prawdziwym Bogu nic zgoła nie wiedzą.

Aryanów dawniej w Polsce często napotykałeś, lecz wypędzono ich powszechną uchwałą sejmu i zagrabiono im wszystkie dobra, choć niektórzy i teraz jeszcze potajemnie się ukrywają, pomiędzy innymi jeden z rodu Morsztynów, krewny podskarbiego koronnego, którego widziałem w Królewcu.

W mieście Warszawie według dawnej konstytucyi sejmowej mają mieszkać tylko rzymscy katolicy, od czego jednak z czasem odstąpiono. Teraźniejszy poznański biskup atoli znów za tem się

upierał, sądzę zaś, że chodziło mu tylko o wyciśnięcie pieniędzy. W wielkich miastach pobudowali Polacy wszędzie piękne kościoły, we wsiach i miasteczkach zaś są kościoły, jak wszystkie inne budowle, przeważnie z drzewa, zaopatrzone krytemi gankami, żeby procesye swe w każdym czasie odbywać mogli na suchem miejscu. Krzyże przy publicznych drogach i w innych miejscach pod niebem wystawione, pokryte także są z góry daszkiem różnorakich kształtów i figur i zwykle zaopatrzone w płócienną zasłonę, czasami także obrazy zupełnie odziane.

Polacy, wyznający religią rzymsko-katolicką, są tak gorliwymi Papistami, jak chyba Hiszpanie lub Irlandczycy, a w nabożeństwie swem więcej zabobonni niż pobożni. Kiedy się modlą lub mszy słuchają, chrapią lub charkają, wzdychając tak, że z daleka ich już słychać, upadają na ziemię, biją głową o mur i ławki, uderzają sami siebie w twarz i wyprawiają inne w tym rodzaju dziwactwa, z których się Papiści z innych narodów naśmiewają. W piątek nie tylko nie jadają mięsa, lecz nawet jaj, masła, sera albo mleka. Ryby i jarzyny, których wtedy używają, muszą być przygotowane tylko na oleju. Co do dni postu, wspólnych im z innymi Papistami według przepisów rzymskiego kościoła, to prawie nikogo tu niema, ktoryby z osobnego nabożeństwa nie pościł jeszcze w dodatku jednego dnia w tygodniu; jak też w Polsce w wilie świąt Panny Maryi mięsa nie jadają, czego przecież u innych narodów nie obserwują.

W ogóle co do konstytucyi ciała Polacy są silni, dłudzy a przy tem dobrze opiekli i grubawi a choć nigdzie pewnie nie wychowują dzieci więcej nieuważnie, to jednak rzadko kogo znajdziesz w Polsce, któremuby z natury czegoś brakowało lub któryby był kulawy. Na zręczności rozumu także im nie zbywa; są atoli lekkomyślni i zmienni i różnym rozpustom zbytecznie oddani. Gdzie mają w tem interes i są słabszymi, umieją postępować bardzo pokornie i układnie, gdzie zaś napotykają na słabą stronę i zapanują, stają się hardymi, zarozumiałymi i okrutnymi, tak że *aut humiliter serviunt aut superbe dominantur*, jak Liwiusz takie usposobienie opisuje.

W zwykłem życiu i towarzyskiej rozmowie używają tak dużo komplementów i pochlebstw, jak może żaden inny naród a nie ma ulicznego żebraka w Polsce, któryby był tak nędzny, żeby go dzieci jego nie zwały Panem Ojcem, a żonę jego Panią Matką. Ludzie z tego samego stanu obejmują się rękami i całują się w szyję przy powitaniu; niżsi obłapiają lub całują swych przeło-

żonych w kolana lub nawet w same nogi i stopy. Kiedy prości ludzie witają duchownego, kładą mu głowę na piersi i całują je. Na Podolu i Ukrainie podaje duchowny drugiemu rękę, ten ją całuje i przyciska ją potem do czoła. Największe pieszczoty w słowach i giestach znajdziesz na Rusi, zwłaszcza u kobiet, do czego się przyczynia także ruski język, którego akcent nie jest tak twardy jak polski. Dla tego mówią Polacy sami, że we Lwowie mieszkają tak piękne, delikatne i zwodnicze niewiasty, jak zresztą nigdzie na całej kuli ziemskiej. Spotkałem tam sam dzielną kobietę, która, kiedym coś chciał kupić od niej, umiała mi powiedzieć zręczny komplement w łacińskim języku i umiała się wyrażać w bardzo pochlebnych wyrazach.

Zresztą jest naród polski w ogóle niedbały i leniwy, który tylko najniezbędniejsze grunta uprawia a resztę odłogiem zostawia. Ztąd wynika, że większa część ich domów i kościołów zbudowana jest z drzewa, choć posiadają obficie tak łamane kamienie, jako i dobrą glinę na cegły. Drzewa zaś, jako tego co mają w największej obfitości zawsze pod ręką, używają do wszystkiego, tak że znajdziesz cały dom, w którym, z wyjątkiem kilku glinianych naczyń i trochę łachmanów na odzienie, we wszystkich domowych sprzętach i potrzebach od dołu do góry nie znajdziesz nic jak drzewo tak w samej budowli domu jak i wszędzie indziej. W ich pługach, wozach, sankach nie ma nic prócz drzewa a brony robią, wiążąc na krzyż okrągłe patyki wiciami ze sobą, tam zaś gdzie się patyki krzyżują przytwierdzają zgrabnie drewniane zęby za pomocą kręconych wici. W rolnictwie są dość uważni i umieją grunt bardzo dobrze zorać prostemi bruzdami na małe zagony; potem spinają dwie brony końcami ze sobą, które zajmują całą szerokość zagona a każda z nich pochyla się ku bruździe; do każdej zaprzęgają po jednym koniu, który bruzdą kroczy, tak że po oranej ziemi ani człowiek ani zwierze nie stąpa i siewacz także bruzdą kroczy. Drzewa używają także Polacy zamiast ołowiu w oknach i do swych ulów, jak to już poprzednio nadmieniono.

Niedbalstwo Polaków sprawia też, że chłopi po większej części siano swe zostawiają na wiatry i słotę w kupach na łąkach, aż im go zimą potrzeba, wtedy je dopiero już w śniegu zwożą do domu.

W żadnem polskiem mieście nie znajdziesz dobrego bruku na ulicach a jednak na wszystkich polach zalega pełno kamieni. Mają najlepszą ziemię, jaką pragnąć mogą i bardzo dobry umiarkowany klimat. Prócz w wielkich miastach jednak nie zasadzają

żadnych ogrodów, z wyjątkiem śliwek i tym podobnych, którym sama natura rosnąć każe. Co do kapuścianych roślin i tych, których się korzenie jada, są pilniejsi, poświęcają temu dużo pracy i hodują je w wielkiej obfitości, pomiędzy niemi jest nadzwyczaj rozpowszechnioną kapusta. Mają pewien rodzaj rzodkwi, którą zwią buraki, tej właściwości, że jest w stanie surowym zupełnie czerwona, ugotowana zaś staje się biała jak śnieg i smakuje bardzo dobrze. Ogórki także często jadają, nie tylko kwaszone i jako sałata przyprawiane, lecz także do kawałka chleba z łupiną a zawsze z ręki jak jabłka.

W całej Polsce nie znajdziesz prawie chleba dobrze wypieczonego a gotowane mięso żrą *(fressen)* także prawie surowe, pieczone zaś zwykle spalone. Mięso sprzedają nie na funty, lecz swym sposobem pokrajane kawałami. Jak we wszystkiem zaś tak i w gotowaniu są Polacy bardzo niechlujni. Potrawy przynoszą na stół nie od razu, lecz jedną po drugiej; ponieważ zaś potraw tych jest czasami dziesięć, piętnaście lub dwadzieścia i z każdej miski biorą, trwają ich uczty przez długie godziny. Żrą chętnie tłusto. Częstowali nas też świeżym serem w maśle smażonym i grochem gęsto zmieszanym ze słoniną w kostki pokrajaną, do czego, jak w ogóle do wszystkich swych potraw, jedzą bardzo mało chleba. Soli i wszelkiego rodzaju korzeni żaden naród nie używa tak obficie jak Polacy. Potrawy już w kuchni tak solą, że dla tego nie stawiają solniczki na stole.

To co do życia potrzebne, jest w Polsce bardzo obfite i tanie, zwłaszcza mięso. Widziałem jak w Mławie na Mazowszu kupowano 80 funtów dobrej wołowiny za jednego talara. Po słonych i korzennych potrawach smakuje Polakom dobrze napitek. Pijatyka *(Saufen)* też jest tutaj u wysokich i niskich, mężczyzn i kobiet tak rozpowszechnioną jak nigdzie w świecie. Zwłaszcza bardzo lubią wódkę, którą po polsku zwią gorzałka, po rusku horyłka, a w swej łacinie *crematum*. Nawet najarystokratyczniejsi Polacy wożą ją z sobą w swych puzderkach, i muszą się jej napić prawie co godziny. Dlatego konsumują jej tak dużo, że pewien Żyd w Żółkwi za prawo, iż sam tylko może palić wódkę w miasteczku i na okół leżących dziewięciu czy dziesięciu wsiach, płacił rocznie dzierżawy 3000 talarów. Nie dystylują wódki z wina, lecz palą ją z żyta a najgorszą z pokrzywy.

Choć tytoń na Podolu i Ukrainie często hodują, to jednak nie bardzo rozpowszechnił się jeszcze w Polsce zwyczaj palić go z fajek, z wyjątkiem rzemieślników i żołnierzy, którzy do sposobu

tego w innych krajach przywykli. Do zażywania zaś bardzo się tu rozpowszechniła tabaka; ci zaś, którzy najniechlujniej obchodzą się z tabaką, żrą czyli żują ją. Widziałem tam kilku takich. Węgierskie wino jest najwspanialszym traktamentem w Polsce. W braku tegoż piją też mołdawskie i morawskie. Reńskiego i francuskiego wina zaś nie cenią, lecz zamiast tego wolą żłopać *(sauffen)* dobre piwo. Warzą je powszechnie w znacznej obfitości w Polsce, zwłaszcza w Mławie i Łowiczu na Mazowszu, w Janowie na Rusi i w Bracławiu na Ukrainie. W Warce w Wielkiejpolsce warzą piwo zupełnie podobne do niemieckiego *Minder-Bier*, lekkie i blade. W całej Polsce piją je ci, którzy nie lubią mocnych napojów.

Ponieważ Polacy niechętnie pracują, wynika z tego, że chętnie słyszą co nowego a gdzie spotkają podróżnego, zaczepiają go pytaniami albo zmuszają go z sobą do karczmy i badają, czyby od niego nie mogli się dowiedzieć czegoś nowego. Przy hojnej napitce przychodzi u nich często do bójki, przyczem szabla musi walnie błyskać. Szablą tą tną i rąbią się wzajemnie po pięściach, twarzy i gdzie tylko mogą a uchodzi u nich za rzecz zaszczytną, być naznaczonym tu i tam zwłaszcza zaś na twarzy, pięknemi bliznami i szramami, jak to już u Getów, Sarmatów czyli Polaków najbliższych sąsiadów, przed więcej jak 1000 laty uważano także za chwalebne, jak *Claudianus de bello Getico* ludzi takich nazywa: *quos plagis decorat numerosa cicatrix.* Tak jest też cały sposób życia polskiego narodu jeszcze bardzo szorstki i prawie barbarzyński. Najznakomitsi panowie mają wprawdzie w podróży trochę materaców i płócien ze sobą, średnia szlachta zaś nie ma w podróży innego posłania, jak że swój wojłok czyli kołdrę z pod siodła kładzie pod siebie na trochę słomy, używając siodła za poduszkę a kożucha za nakrycie. Koszule ich sięgają po pas a kiedy są bardzo ochędożni, mają przy prawym boku podłużną chustkę do nosa, zawieszoną przy nożu na pasie od szabli, a zresztą żadnego płótna nie używają. Jeszcze wielu znakomitych panów używa koszul, spodnich sukien i poszewek na pościel z tureckiego jedwabiu, i noszą je nie pierąc ich dopóty, dopóki się kupy trzymają. Choćby był mróz najsilniejszy, obwijają prości ludzie nogi rano w trochę słomy i wciągają na to buty i tak wytrwają przez cały dzień w takim mrozie.

Chałupy chłopskie dzielą się zwykle na trzy części. Pierwsza część, przez którą się do domu wchodzi, jest to stajnia, druga izba, z niej z boku wczołgać się można do trzeciej dziury, którą zwią komorą. W ogóle jedna jest tak czysta jak druga. Piece

w pokojach umieją stawiać wcale dobrze. Po wsiach zaś są izby jak arki Noego, bo w nich przy piecu gromadzą się obok ludzi także konie, krowy, cielęta, owce, świnie, kury, gęsi i wszystkie inne żyjące zwierzęta, które się w domu znajdują, wydając odor osobliwy. Ognisko umieszczają zwykle w rogu mieszkania, co daje więcej ciepła, jak umieszczone przy prostym murze. Kobiety, nawet szlachcianki, kiedy w najsroższe mrozy jadą w pole, nie dają jednak małym dzieciom innej odzieży prócz koszuli, zawijają je w poduszkę, zakrywają połą swej sukni i dalej na sanki.

Zwykłe męzkie ubranie w Polsce składa się z dwóch sukien jedna na drugiej, z których dolna jest z ciemnego materyału i bez podszewki, górna zwykle z sukna i choćby w samą kanikułę podszyta futrem. Obie suknie sięgają aż do nóg; pod niemi noszą bardzo obcisłe spodnie, z boku otwarte a z przodu zamknięte, żeby zimno, kiedy zimą siedzą na koniu, z przodu nie mogło się wciskać. Buty ich nie sięgają dalej aż do kolan. Z boku są zeszyte, a pod piętą podkówką podbite. Szlachta nosi buty z czerwonego lub żółtego safianu, inni z czarnej skóry, choć bogaci mieszczanie i kupcy także noszą czerwone i żółte, z czego szlachta nie jest zadowolnioną, bo według ordynacyi państwa jej się to tylko należy. Zimą i latem noszą futrzane czapki. Za futra na czapki i pod suknie płacą bardzo wysokie ceny, rozwijając w tym względzie po części wielki przepych. U wyż wymienionych Getów obserwował Claudianus na zacytowanem miejscu to samo, nazywając ich: *Pellita Getarum crura.* Sobole uważają za najpiękniejsze i najkosztowniejsze futro. Zwierzchnie suknie polskiej prostej szlachty są niebieskie, panowie i magnaci szlacheccy, jako i najbogatsi kupcy noszą inne kolory.

Na Rusi noszą mężczyźni i kobiety pomiędzy chłopami brunatne opończe z baji, którą sami robią. Szlachta i kupcy noszą niebieskie. Chłopi kozaccy, jako i Tatarzy noszą latem opończe z białej baji, zimą ze skór baranich, które sięgają od szyi aż do nóg; wyszywane na plecach rzemykami z czerwonej, żółtej, brunatnej i innej kolorowej skóry wyglądają bardzo dobrze. Taka opończa nazywa się w ich języku kożuchem (*Kosücke*), niektórzy sądzą, że od tego wyrazu pochodzi nazwa Kozaków.

Zimą jest taka opończa całem ubraniem Kozaczki. Latem chodzą tylko w koszuli, u chłopek z grubego płótna, u mieszczanek i majętniejszych dziewczyn z haftowanej kitajki, przyczem wszystkie kształty ich ciała prawie równie dobrze widzieć można, jakby nago chodziły. Górna część takich koszul jest u szyi i pasa

ściągnięta w fałdy jak kabat i zgrabnie obramowana różnokolorową bawełną. Przytem opasane są po nad biodrami czerwonym, żółtym, zielonym lub też innego koloru pasem i wyglądają z tem wcale nie źle. Co do ozdoby głowy odznaczają się wielką zgrabnością. Zdobią ją latem świeżemi kwiatami i wieńcami zielonemi, zimą muszą je zastąpić wieńce woskowe. Używają także mnóstwo pierścionków na palce i bardzo dużych kolczyków w uszach i naszyjników z kryształu, szkła, miedzi, mosiądzu, według fantazyi i środków. Włosy oddzielają wzdłuż na środku głowy bardzo zręcznie i starannie na obie strony, a kiedy tak gładko z obu stron spadają, splatają je z boku w dwa małe warkocze, przeciągając je pod uszami ku plecom. Z tych dwóch bocznych warkoczy wraz z grubą kosą na plecach tworzą na tyle głowy krążek, na którym, nawet najbiedniejsze wiejskie dziewczęta, umieszczają wieniec zielony lub z kwiatów. Polskie chłopki nie są tak ładnie ustrojone, mało jednak różnicy między mieszczańską a tą ludnością. Na wsi noszą mężczyźni i kobiety zimą i latem buty, mieszczanki zaś noszą latem także trzewiki.

Szlachcic polski przy każdem zatrudnieniu ma szablę przy boku, zawieszoną na grubym rzemieniu z prostej skóry, ostrzem na dół lub w górę, jak się komu podoba. Chłopi są niewolnikami szlachty. Szlachcic zgoła bezkarnie zabija swego chłopa; za zabicie obcego chłopa płaci 7 albo 8 talarów. Nie ma tak srogiego mrozu w nocy zimowej, żeby jeden chłop po drugim z porządku nie musiał przed domem swego szlachcica przez całą noc pod gołem niebem stać na straży i być odpowiedzialnym za pożar, kradzież i podobne szkody.

Nie wiedzą nawet tego albo też żałują trudu, aby na dachy kościołów i domów wchodzić i wychodzić przez okna na dachach, lecz mają wielkie drabiny, z całych drzew zrobione, które stoją przy zabudowaniach, sięgając aż do szczytu domu.

Kołyski zawieszają kobiety na czterech powrozach u sufitu i rzucają je tak z dziećmi tam i napowrót; zakręcają też czasem sznury w górę, tak że się znów same napowrót odwracają, co dzieci w sen wprowadza, czuwające zaś skaczą i igrają w nich jak skoczki na linie. Na Rusi kąpią dzieci aż do roku codziennie dwa razy w ciepłej wodzie i to kładąc je całe do wody, tak że tylko głowa wystaje. Tak leżą w wodzie dłużej jak godzinę i pluskają się jak żaby. Sądzą bowiem, że to popiera wzrost dzieci.

W tych ruskich miejscowościach nie ma w chatach chłopskich kominów, lecz tylko piec, w którym lub przed którym na ognisku

wszystko gotują. Po obu stronach w ścianach domu znajduje się kilka dziur jako okna, które stosownie do wiatru otwierają lub zamykają, żeby dym przez nie wychodził na dwór. Dzieci w Polsce biegają albo zupełnie nago, albo tylko w koszuli, aż dorosną tak, że na polu pracować mogą; wtedy dają im za całe ubranie snkmanę i parę butów. Aż do tego czasu skaczą przy piecu, który jest niejako ich zamkiem swobody, a wcale zręcznie wdrapują się na niego i z niego, choć są jeszcze bardzo małe i nie potykając się prawie jeszcze chodzić nie umieją po równej ziemi.

Nieokiełznana wolność w jakiej Polacy żyją, i prawo, pozwalające opłacać się pieniędzmi za wszystkie zbrodnie, z wyjątkiem kilku, są powodem, że pomiędzy innemi przywarami i zabójstwo jest w Polsce bardzo zwyczajne, co między innemi i jadąc drogą zauważyć można. Zabitych bowiem, których nikt poznać nie może, chowają na miejscu, gdzie ich znaleziono, znosząc na grób wielki stos chrustu, żeby ich dzikie zwierzęta znów z ziemi nie wydrapały. Czasami też stawiają krzyż na grobie. Tak też wszystkie inne niecnoty w Polsce bujnie się rozrosły. Sami oni mówią, że u nich za pieniądze można przed sądem dostać tyle fałszywych przysiąg, ile polskich złotych, z których trzy idą na talara, na to chce się wydać. Rozpusta stała się publiczną zabawką, niewiara małżeńska [1]) zwyczajną uciechą, a przytem kaziorodztwo nie jest wcale rzeczą niezwykłą. Co do klątew i przysiąg używa naród ten tak wstrętnych i bluźnierczych wyrażeń, że włosy na głowie stawają.

Zresztą jest Polska błogosławionym krajem, ma żyzną rolę, zdrowe powietrze, ryby i rybne rzeki, jako to Wisłę, San, Dunajec i inne. Jest prawdziwą spiżarnią zboża i ma także piękne bydło. Są tu też bardzo ogniste i wytrwałe konie, a do tego mieć mogą z Tataryi bachmaty i z Podola inne piękne bieguny, jako i wołoskie jednochodniki [2]), które sobie same krew puszczają, kiedy się trochę zagrzeją Wołoszczyzna dostarcza też pięknych chartów, które mają tak grube kłaczaste ogony, jak lisy, a są bardzo cięte. Ptactwa różnego rodzaju jest w Polsce do zbytku, tak że często kazałem kupować za jednego orta ośm jarząbków. Dropiów także tu wielkie mnóstwo i bardzo duże, tak że samice przewyższają co do wielkości kalkutskiego lub włoskiego koguta. Samce zaś są jeszcze o wiele większe i tak złe, że, jeźli ich na śmierć nie zastrzelą,

---

[1]) Werdum używa tu wyrazów jeszcze dosadniejszych, których ze względu na czytelników nie tłumaczymy dosłownie.

[2]) *Zelter*, jednochodnik według Lindego.

stawiają nawet człowiekowi opór, nim się schwytać dadzą. Mięso z nich jest kruche i bardzo smaczne. W lasach podolskich znajdują ptaka wielkości gołębia, koloru błękitu nieba bez wszelkiej odmiany, który ma także bardzo delikatne mięso; grzywacze i hukacze [1]) na Rusi latają gromadami jak szpaki, tak że jak chmury zakrywają całe pola. W Polsce są dwa rodzaje bocianów, jeden rodzaj jak niemieckie, a drugi żółtawo-szary na grzbiecie, jak dzikie gęsi, zresztą zupełnie taki jak pierwszy rodzaj. Na Rusi są też bażanty, kuropatwy i jarząbki w wielkiej obfitości.

Pomiędzy rybami znajduje się w Prusach i Polsce mała, około pół ćwierci łokcia lub trochę więcej długa, która jest tak żywa, że kiedy ją kaczka połknie, przeciśnie się niebawem przez jej wnętrzności i wyjdzie znów żywa na wierzch, a zrobi to, choćby ją kaczka 6, 7 i więcej razy tuż po sobie połknęła. Polacy nazywają ją piskorz. Zwłaszcza często napotyka się ją w województwie łęczyckiem w Wielkopolsce, tak że prostą szlachtę, która się nią tylko żywi, w sąsiedztwie szydząc nazywają piskorzami. Kiedy rybę tę ususzą i zapalą, pali się jak świeca, na co jej też ludzie używają. Jest ona dość podobną do ryby, którą w Harlingerland nazywają *Aalputte*. W Dniestrze, w starożytności Tyrus zwanym, który oddziela Podole od Mołdawii, znajduje się ryba na pół stopy długa, z głową grubą, z przodu ostro zakończoną, która nam wszystkim, którzyśmy ją w Mohilewie jadali, sprawiała prawie nieznośne bóle głowy, lecz nie dłużej nad około dwóch godzin po spożyciu, potem po przespaniu ból mijał. Zresztą ryba ta wcale dobrze smakowała. W Baltyku poławia się ryba, którą w Holzacyi, Meklemburgu i sąsiedztwie nazywają *Dorsch*, w Prusiech zaś i w Gdańsku *Pomuchel* [2]). Ponieważ zaś Gdańszczanie wielce ją cenią, zwią ich szyderczo pomuchlemi głowami. Jest to rzeczywiście najdelikatniejsza ze wszystkich morskich ryb, jakiem w życiu mojem jadł, tak słodka, delikatna i łupka (*schillfrich*), jak tylko rzeczna ryba być może, tak że ją słusznie pstrągiem ryb morskich nazwać można. Jest ona tak duża, jak łupacz (*Schellfisch*), lecz w głowie wiele grubsza, a z tyłu wiele więcej spiczasta, na grzbiecie brunatna i biało nakropkowana, pod brzuchem zaś żółta.

W litewskich, ruskich i podolskich lasach i zwierzyńcach, pod Żółkwią i Szczebrzeszynem były też łosie, żubry, wielbłądy, niedźwiedzie i tym podobne dzikie zwierzęta.

---

1) *Holz- u. Ringeltauben*, grzywacze i hukacze według Lindego.
2) Rybę tę polscy Kaszubi nazywają także i dzisiaj pomuchlą.

Wreszcie nie znajdziesz w Polsce dużo starych ludzi, czy to że za mało chleba a za wiele korzeni jadają i za dużo wódki piją i tym sposobem żywotność spalą i zniszczą, czy też że samotne i tak nieporządne życie nie dozwala im dojść do podeszłych lat.

Kiedy szlachcic i znakomity pan umrze, ubierają go w najkosztowniejsze jego suknie i niosą go do grobu z wielkim przepychem w licznej procesyi, jak to *anno* 1672 dnia 4 stycznia w Jezupolu, w mołdawskiej prowincyi Pokuciu, miano pochować pisarza polnego, czyli generalnego wojennego komisarza Potockiego, kiedyśmy dnia poprzedniego tam przejeżdżali, na który to pogrzeb zaproszono szlachtę ze wszystkich sąsiednich województw.

Co zresztą ważniejszego tutaj opuszczono, o tem wspomni się na właściwem miejscu, gdzie to obserwowano.

Dnia 6 stycznia z Piekiełka przez krzaczaste i dość kamieniste grunta do Białut, pierwszej wsi w elektorskich Prusach, 1 mila. Potem przez bezdroża i lasy do Napierki, 1 mila. Wieś ta należy także do elektorskich Prus; leży w środku krzaków. Ponieważ zaś w nich pełno było śniegu a drzewa pod jego ciężarem zginały się aż do ziemi, przedostaliśmy się przez nie z wielkim trudem, nie bez niebezpieczeństwa. Mieszkańcy tutejsi jeszcze są mazurskiego pochodzenia i nie mówią tutaj jeszcze inaczej jak po polsku.

Potem do Gorawy *(Gurevo)* tylko pół mili; w śniegu i wśród nocy nie mogliśmy już dalej jechać. W tej wsi jeszcze polskim zwyczajem mieszka sama szlachta; wtedy u karczmarza, także szlachcica, dzielnie zapijali w karczmie. Tutaj już słyszeć się dawał niemiecki język, ale jeszcze bardzo rzadko. Grunta są piaszczyste i kamieniste, ponieważ jednak ludzie niemieckim zwyczajem już zaczynają być pracowitsi, nie zostawiali jak w Polsce kamieni na całem polu, lecz poskładali je wielkiemi stosami pomiędzy polami.

Dnia 7 stycznia potem do Nidborga półtory mili. Tutaj zastałem znów pana mego, ks. de Paulmiers, który po niebezpiecznej i mozolnej podróży o tyle przedemną przyjechał, o ile wcześniej z Łowicza wyjechał. Cieszyliśmy się obydwaj. Wszyscy ludzie dziwili się też, żeśmy się w tak nielicznem towarzystwie niezrabowani przedostali przez Mazowsze.

Nidborg jest małem miasteczkiem z zamkiem, zbudowanym z cegieł na pagórku, z trzech stron bagnami otoczonym. Z czwartej strony leży miasto w czworobok zbudowane, murem otoczone.

Fundament i najniższa warstwa są z łamanego kamienia, górna część z cegieł, jak przeważna część murów miejskich i zamkowych w Prusach. W miasteczku jest około 100 albo 120 domów. Dnia 4 maja 1664 r. prawie całe się spaliło. Stary klasztor żenski stoi w obrębie miejskich murów.

Tego samego dnia jeszcze jechali dalej i przybyli do Królewca 11 stycznia, krótki opis tej podróży nie zawiera dla nas nic ciekawego. Potem opowiada Werdum dalej:

Tutaj w Królewcu umieściliśmy się w lichej gospodzie na przedmieściu, zwanem Haberberg, w nadziei, że tu będziemy w ukryciu, utrzymując w tem większej tajemnicy korespondencyą z wielkim hetmanem, prymasem i innymi polskimi panami. Lecz ledwieśmy tu byli trzy lub cztery tygodnie, już nas wyszpiegowali Jezuici przez furmana, który nas przywiózł i opisali nas w Warszawie u dworu polskiego co do sukni, włosów, koloru oczów wraz ze wszystkiemi innemi okolicznościami, jak wyglądamy. Wtedy zaczął także książe de Croy, brandenburgski namiestnik w Królewcu, dowiadywać się o nas a myśmy z każdym dniem byli narażeni na większe niedogodności. Dla tego, dowiedziawszy się o tem, zapłaciliśmy w gospodzie, udając, że nas kupiec, który nas poprzednio po za miastem dobrze uraczył, na najbliższą wieś zaprosił i że następnego dnia znów wrócimy; w rzeczywistości zaś puściliśmy się w drogę cichutko i szybko.

Tak więc ruszyli w podróż do Gdańska 14 lutego, ale nie jak dawniej środkiem kraju, lecz wzdłuż wybrzeża morskiego, przyczem im od piławskiego szańca wypadło przeprawić się przez morze na Nehring. Przeprawę tę odbyli 15 lutego wśród wielkiego niebezpieczeństwa, bo prąd i kra o mało ich nie zapędziły na pełne morze. Musieli wrócić napowrót i próbować nad wieczorem po drugi raz przeprawy, która się tą razą udała. Dalszy opis podróży do Gdańska, gdzie stanęli 17 lutego, nie zawiera nic ciekawego. Odtąd podejmujemy na nowo opowiadanie Werduma.

W Gdańsku ukrywaliśmy się znów więcej jak przez cztery tygodnie w nędznej gospodzie aż do ukończenia komisyi radomskiej, o której już wyżej wspomniałem. Wtedy zdecydował się pan mój, abbé de Paulmiers, jeszcze raz udać się w drogę przez całą Polskę do wielkiego hetmana i przyprowadzić wreszcie sprawę tę do końca. Aby nas zaś nie poznano, zmieniliśmy całe nasze ekwipowanie, ubraliśmy się obaj w skórę, wsiedliśmy na konie i przyjęliśmy nowego parobka, któryby dozorował koni i popędzał mały wóz z najpotrzebniejszemi zapasami jadła i napojów jako i materacem dla mego pana, bo w polskich zajazdach nie znajdzie się

nic prócz piwa, resztę trzeba przywieść z sobą albo wystawić się na niedostatek. Udawaliśmy tedy dymissyonowanych oficerów, szukających zatrudnienia u polskich panów, do których nibyto posiadaliśmy rekomendacye. Pod tym pozorem jeździliśmy od jednego do drugiego. Do cyfr i najtajniejszych listów kazałem tą razą utoczyć nową maźnicę z podwójnem dnem. Zawinięte w woskowe płótno wsunąłem je pomiędzy dwa dna, dobrze potem zaszrubowane. Maźnicę napełniłem smołą, na zewnątrz dobrze ją osmarowałem i splugawiłem a potem przywiązałem ją na silnym łańcuchu i trwałych powrozach z tyłu u wozu, uważając pilnie na nią, żeby jej nie zgubiono lub nie zapomniano.

Jechaliśmy tedy 24 marca znów z Gdańska do Ohry i Śliwnik drogą już dawniej opisaną, 5 mil.

Dnia 25 marca z miejsca tego do Zielenia, znów 5 mil. Jest to mała wieś na wyżynie pomiędzy piaszczystemi gruntami. W drodze tej po lewej ręce widać Gniew, o którym już mówiono. Potem po południu w bok Nowego czyli Neuburga do Grupy 4 mile. Jest to średnia wieś pomiędzy urodzajnemi gruntami.

Dnia 26 marca potem do Swiecia 2 mile. Jest to małe zamknięte miasteczko pod wyżyną, przy ujściu potoka, nad Wisłą położone. Jest ono wprawdzie starostwem, lecz nie ma jurysdykcyi. Naprzeciw po drugiej stronie Wisły, lecz trochę na południe, widać Chełmno na górze położone. Jest to ładne miasto, rezydencya chełmskiego biskupa, o którym wyżej mówiono. Z miejsca tego do Niewieszyna dwie mile. Jest to ostatnia wieś w Prusach. Aż do tego miejsca mówią po polsku i po niemiecku bez różnicy tak jednak, że język niemiecki przeważa. Dalej w Polsce na granicach spotyka się także jeszcze wielu mówiących po niemiecku, jednak tu już język polski przeważa a niemiecki powoli zupełnie znika.

Z Niewieszyna do Sitna *(Sienno)*, 2 mile, długa wieś złożona z nędznych domów bez kościoła. Po południu potem do Bydgoszczy 2 mile. Niemcy nazywają ją *Bramberg*; ładne to miasteczko nad rzeką Brdą, która na północnej stronie płynie pod murami. Starostwo tutejsze ma jurysdykcyą i należy do łowczego koronnego Zieleńskiego.

Z miejsca tego do Lengnowa, 1 mila. Niemcy albo Prusacy nazywają je *Langenau*, jest to nazwa wcale właściwa, bo rzeka Brda tworzy tu po obu swych stronach piękne pole, grunta i łąki przydatne dla orki i dla pastwisk. Pomiędzy niemi leży wieś ta rozrzucona z kościołem reformowanym, który Polacy nazywają luterskim. Grunta te uprawiają swoim sposobem Holendrzy, którzy

za prześladowania ks. Alby zbiegli z Niderlandów. Trzymają się oni co do sposobu budowania domów, zwyczaju, domowych sprzętów i sposobu życia wielce holenderskiej swej maniery, choć już ze znaczną przymieszką polskiej i niemieckiej. Pomiędzy sobą mówią po prusku. Chłop, u któregośmy nocowali, nazywał się Szymon Witten. Był to skromny człowiek.

Dnia 27 marca z miejsca tego do Szulca, 1 mila, otwarte miasteczko w czystym piasku położone. Potem przez krzaczaste góry do Podgórza 4 mile; wieś naprzeciw miasta Torunia na brzegu Wisły w samym piasku. Znajduje się tu klasztor reformowanych Franciszkanów. Po południu potem do Raciążka, otwartego miasta z zamkiem, leżącym na górze i bardzo spustoszonym. Należy do biskupstwa poznańskiego. Tutaj w tym roku pierwszy raz słyszeliśmy słowika. Od Podgórza są tu 3 mile. Z Raciążka do Nieszawy jedna mila; także otwarte miasteczko w błotnistem nizkiem miejscu. Jest to starostwo ale bez jurysdykcyi; ma klasztor Franciszkanów.

Dnia 28 marca z miejsca tego w widoku Bobrownik, otwartego miasta po drugiej stronie Wisły, które jest także starostwem z jurysdykcyą, do Lubania *(Ejubenia)*, 1 mila; mierna wieś, otoczona krzakami. Potem do Włocławka, co znaczy tyle co mały Wrocław, który jest także miasteczkiem z opustoszałym, zresztą ciężko zbudowanym zamkiem na brzegu Wisły, 1 mila. Potem do Świątkowic *(Swientock)*, co znaczy tyle co świętość, pół mili. Jest tu tylko kilka domów w dobrych gruntach.

Dnia 29 marca potem znów przez Gostynin do Trębek półczwarty mili. Dalej do Żychlina i dalej do Zdun półczwarty mili. Jest to szlachecki dwór ze wsią, należy do arcybiskupa gnieźnieńskiego. Była to Wielkanoc a podstarości pan Niaszewski zaprosił mnie wraz z plebanem wiejskim do siebie na wieczerzę. Tymczasem zaś pojechał pan mój do arcybiskupa. Kiedy nam podstarości wieczorem kazał siedzieć długo w ciemności bez światła, zapytał go pleban, dzielny człowiek, mówiący dobrze po łacinie i po włosku, coby to znaczyć miało. Na to dostał odpowiedź, choć podstarości nie chciał początkowo z tem wyruszyć, jako w miejscowościach tych powszechnie sądzą, że kiedy się w dzień wielkanocny wieczorem nie idzie spać bez światła, zboże w tym roku nie będzie miało pięknego błyszczącego koloru. Wyśmiewaliśmy się z niego z powodu takiego zabobonu a pleban tak długo o to się z nim droczył, że mimo swej brody musiał kazać przynieść światło, przy którem siedzieliśmy pewno jeszcze z jaką dobrą godzinę dłu-

żej; czegobyśmy bez tego pewnie nie byli uczynili. Pleban przytem prawił bardzo piękne dyskursa, osądzając bardzo dzielnie różnorakie zabobony, które się do ich papistowskiego kościoła od razu wkradły. Jeżeli atoli następnej jesieni zboże się nie udało, sądzę, że nas pan Niaszewski przeklinał od wszystkiego złego.

Dnia 31 marca ze Zdun do Łowicza półtory mili. Kiedym przejeżdżał przy cmentarzu katedralnym, zbiegło się do mnie mnóstwo żebraków, którym rzuciłem kilka groszy; poczem biegli do wielkiego obrazu Matki Boskiej, umieszczonego na murze cmentarnym, i całowali go w nogi z wdzięczności, że to ten obraz, jak sądzili, podał mi taką myśl. Widziałem potem, że przy takich okazyach tak często całowano nogi Matki Boskiej na obrazie, że już zupełnie zlizano farbę z nóg i że deska w miejscu tem była goła. U góry nad obrazem napisane były następujące wiersze:

Virginis intactae cum veneris ante figuram,
Praetereundo cave, ne sileatur AVE.

Z miejsca tego do Bełchowa, wsi należącej do arcybiskupstwa gnieźnieńskiego, z małym kościołem, od Łowicza półtory mili. Po południu do Rudy, przez krzaki, półtory mili; wieś z młynem wodnym[1]), w samym środku lasów. Potem do Woli Pękoszewskiej 2 mile, wieś ze szlacheckim dworem, należy dziedzicznie do prymasa i arcybiskupa Prażmowskiego i leży w polach otoczonych krzakami.

Dnia 1 Kwietnia potem do wsi Gąby 1 mila. Dalej do wsi Grzegorzewice półtory mili, w pośród lasów. Po lewej stronie widać miasto Mszczonów. Z Grzegorzewic do Tarczyna 2 mile; miejscowość z dwoma kościołami, jeden z kamienia, drugi z drzewa. Potem do Prażmowa 1 mila. Jest to dwór szlachecki leżący za wsią pomiędzy piaszczystemi gruntami nad jeziorem. Tutaj urodził się wraz z braćmi swymi teraźniejszy prymas polski i arcybiskup gnieźnieński Mikołaj Prażmowski. W wojnie kozackiej spalono tutaj naokół wszystko aż do gruntu. Zbudowano tu napowrót z drzewa wcale niepośledni dwór i położono fundamenta kamiennego kościoła; tymczasem odbywają nabożeństwo w malutkiej drewnianej kaplicy. Założono już także ładny ogród a w nim zgrabny pawilon, częścią z drzewa, częścią z kamienia, z wielu komórkami; już był po większej części gotów.

Dnia 5 kwietnia potem przez piaszczyste i nie bardzo żyzne grunta do Drwalewa 1 mila. Jest to długa wieś z dworem szla-

---

1) Ruda bowiem leży nad Rawką.

checkim i kościołem. Po lewej stronie widać wieś Pieczyska z kamiennym kościołem. Z Drwalewa najprzód przez równinę, potem przez las do Warki, 2 mile. Jest to otwarte miasto, leżące na wysokim piaskowym pagórku, o dwieście do trzystu kroków od rzeki Pilicy. Znajduje się w niem pięć kościołów i piękny dom starosty we wschodniej części miasta. Królewski nadworny chorąży Wojciech Prażmowski, brat prymasa, sprzedał niedawno przedtem to starostwo. Tutaj w wielkiej obfitości warzą i wywożą wareckie piwo, lubiane w całej Polsce z powodu swego czystego smaku i jasnego koloru przez tych, którzy nie smakują w mocnem piwie.

Z miejsca tego do Boskiej Woli, jedna mila; wioseczka położona w piaszczystej równinie. Po południu potem przez ciągły las do Lisowa, 4 mile.

Dnia 6 kwietnia przez Piaseczną, Jedlińsk i Owadów do Jedlni 3 mile, do Czarnej jedna mila, wieś w równinie otoczonej zewsząd lasem. Piękny dwór szlachecki stoi przy niej. Po południu przez te same lasy do Zwolenia, dwie mile, otwartego miasteczka, w którem wszystkie domy mieszczańskie z drzewa, jako i kościół szpitalny; kościół parafialny atoli jest z kamienia. Leży nad potokiem i ma wielką brukowaną ulicę.

Potem przez równinę a dalej wreszcie przez kończyny lasu do Sycyna *(Scisina)*, jedna mila, wsi należącej do pana Kochanowskiego, kasztelana sandomirskiego. On i stryjeczny brat jego radomski starosta nazywają się obydwaj Petrus Corvinus Kochanowski i wywodzą swój ród od Macieja Korwina, króla węgierskiego.

Z miejsca tego do Świesielic, jedna mila, wsi nad rzeką Iłżą leżącej i do zamku soleckiego należącej.

Dnia 7 kwietnia przez krzaczaste pola do wsi Soleckiej Woli, jedna mila. Potem najprzód przez las a wreszcie przez czysty piasek do Solca, jedna mila. Jest to zamek na wysokiej górze piaskowej i skalistej. Od góry tej do miasta prowadzi długi most ponad głęboką doliną. Miasto stoi także na piaskowych pagórkach na zachód od zamku. Ma kamienny parafialny kościół, drewniany szpital a pomiędzy jednym a drugim piękny klasztor reformowanych Franciszkanów. Od wymienionych piaskowych pagórków na południe ciągnie się iłowata równina zarosła cała dębami. Na niej stoi po prawej ręce kościół. Taki widok przedstawia się przez milę drogi aż do Wisły, przez którą się tu przeprawia na promie przy wsi Piotrowin, leżącej na południowym brzegu Wisły. Tuż przy niej stoi wybudowane *Canonicorum Collegium*, bardzo piękne z grubemi murami i wielu wieżami. Tutaj miał św. Stanisław,

święty patron Polski, wskrzesić z umarłych Piotrowina i zaprowadzić z sobą przed sąd, gdzie zdał świadectwo o sprawie, o której sam tylko wiedział a której zaprzeczano po jego śmierci.

O ćwierć mili rzeką na dół leży tu Kamień, królewski folwark. Po południu potem przez las i piasek do Kluczkowic [1]), półtory mili. Jest to otwarte miasteczko na końcu lasu w piasku położone. Wypływa tu strumień z jeziora, przy którem u stoku góry stoi bardzo piękny zamek pomiędzy drzewami. Z zamku tego piękny widok na długą krzaczastą dolinę i jezioro. Należy wraz z miasteczkiem do szlachcica Janowskiego. Potem przez czysty piasek do wsi Chruśliny (*Gruszyn*), leżącej także nad strumieniem, jedna mila. Z miejsca tego przez te same piaskowe pagórki do wsi Boiska *(Boini)*, jedna mila. Potem do wsi w bardzo tłustych gruntach, która się zwie Grabówka *(Grabuska)*, pół mili. Dalej przez takie same grunta do Gościradowa, jedna mila. Jest to wieś w szerokiej dolinie, przez którą wzdłuż płynie strumień. Dwór szlachecki leży o kilka set kroków na wschód w tejże samej dolinie.

Dnia 8 kwietnia przez las do miernej wsi Zdziechowice (*Siechovice*) najwięcej półtory mili. Potem przez piaskowe pagórki do Zaklikowa, pół mili. Jest to otwarte miasteczko z ładnie wybudowanym kamiennym kościołem. Na wschód od miasta stoi zamek na pół z kamienia, na pół z drzewa, na piaskowym pagórku w środku błot. Grunta w tych okolicach są piaszczyste i bardzo chude. W miejscowościach tych nie znają chłopi po wsiach i mieszczanie w mniejszych miastach świec lub lamp, lecz w większej części domów stoi w izbie pal, na nim znajduje się przytwierdzone u góry płaskie żelazo, które służy za małe ognisko. Na nie kładą suche trzaski ze sośniny, zapalają je i oświecają tym sposobem izbę, lecz zarazem wywołują nieznośny dym.

Po południu przez piaski i las do miernej wsi Lipy, jedna mila. Potem przez niskie i wodniste krzaki do rzeki Bukowy, półtory mili. Dalej przez most na tej rzece, który sami najprzód zrobić musieliśmy, do Jastkowic, półtory mili. Jest to ładna wieś z kościołem. Należy do starostwa nieszewskiego w królewskiej ekonomii sandomirskiej. Tutaj widzieliśmy pierwsze bociany tej wio-

---

[1]) Zdaje się, że tutaj pomyliły się autorowi Wrzelowice z leżącemi w pobliżu Kluczkowicami. Podany tu bowiem opis odnosi się prędzej do Wrzelowic.

sny; były one tego gatunku, który na grzbiecie jest szary, jak dzikie gęsi, zresztą wyglądają tak jak niemieckie bociany.

Dnia 9 kwietnia przez drugi most na rzece Bukowy, w pobliżu Jastkowic, do Pysznicy (*Piecisca*) pół mili. Jest to wieś w piaszczystej równinie, w której kilka strumieni i studni znajduje się w pośród samych lasów. Potem przez wieś Zarzece (*Sarsetscha*), dalej przez krzaki aż do przejazdu przez rzekę Tanew przy mieście Ulanowie, półtory mili. Z lasu widać po prawej ręce otwarte miasteczko Przędzel (*Przitz*), leżące w niskiej dolinie po drugim brzegu rzeki Sanu. Potem przejeżdża się przez Tanew promem, tuż przy ujściu jego do Sanu. Tanew ma czystą brunatną wodę, którą jeszcze długo po złączeniu z łatwością odróżnić można od mętnej, gliniastej wody Sanu. Dopiero po dobrym kawale drogi na dół miesza się jedna z drugą. W kącie pomiędzy złączeniem obu rzek leży miasto Ulanów wygodnie położone nad obu rzekami, zresztą jednak na chudem miejscu w czystym piasku. Znajdują się w niem dwa kościoły i żydowska bóżnica.

Potem przez same piaski i przez wieś Gliniankę do Bielin [1]), jedna mila. Wieś Bieliny leży na piaskowym pagórku, w miejscu, gdzie jest przejazd przez San, który tutaj jest bystry, tocząc mętną wodę przez iłowate grunta. Od przejazdu przez mokre równiny i krzaki do Rudnika (*Robbeck*), pół mili. Jest to ładna wieś pomiędzy piaszczystemi, ale urodzajnemi gruntami, które się łączą z wymienioną równiną. Nie znajdzie tu nigdzie kominów u domów, lecz dym wydostaje się na dwór przez okna. Po południu potem przez mokre lasy do wsi Tarnogóry, pół mili. Dalej przez piaszczytą równinę, drzewami zasianą; potem przez wieś Zarzyce (*Sartschyn*) do Jelny półtory mili. Wieś ta leży na równinie, w gruntach podobnych jak poprzednie. Potem przez bardzo przyjemny świerkowy las do Leżajska (*Lisinska*), jedna mila. Miasto to otaczają drewniane ściany z balów zamiast muru. Jest tu kościół z kamienia, dość dobrze zbudowany, i piękny dwór w ogrodzie. Starostwo należy teraz do kijowskiego wojewody, Potockiego. Przy końcu wzmiankowanego lasu o kilka set kroków przed miastem wznosi się bardzo piękny i wielki klasztor Bernardynów. — Potem przez mokre i niskie krzaki i przez wieś Wierzewice (*Swiersenitz*) do Dębna, jedna mila, wsi z ruskim kościołem w żyznem miejscu.

---

[1]) Werdum, który wsie te pisze *Vliniarka* i *Vlinie*, dodaje tu: *welches auf polnisch soviel heisst als Potterde.*

Dnia 10 kwietnia przez niesłychanie urodzajne grunta do Tryńczy (*Trzennz*) pół mili. Jest to licha wieś, przy której na promie przeprawia się przez rzekę Wisłok, która niedaleko od tego miejsca wpada do Sanu. Potem ciągle przez piękny kraj do miernej wsi Wolki Pełkińskiej (*Wolika Solikeska*) jedna mila. Tutaj spotkaliśmy pruskich oficerów, którzy byli w Jaworowie u wielkiego hetmana Sobieskiego, pomiędzy nimi baron Wolff z Janikowa.

Dalej przez najżyzniejszy kraj, jaki może być pod słońcem, złożony z najurodzajniejszych pagórków i dolin, a od bujności aż zupełnie czarny, do Jarosławia półtory mili. Jest to dość wielkie miasto, wałem z ziemi i kamiennemi basztami ufortyfikowane, ale w szwedzkiej wojnie okropnie spustoszone. Od północy, wschodu i zachodu leży miasto to przy niesłychanie urodzajnych i wysokich gruntach, ku południu zaś ma nizką i mokrą płaszczyznę, która się ciągnie na cztery do pięciuset kroków aż do rzeki Sanu. Przy niej wznosi się też zamek, który ciężkim włoskim sposobem zbudowany był zewnątrz i wewnątrz fosy w czworobok, zaopatrzony w wały z ziemi i baszty, lecz w wojnie kozackiej i szwedzkiej wszystko zupełnie zniszczono. Uczynił to zwłaszcza kozacki hetman Chmielnicki. W mieście znajduje się bardzo wielki i piękny klasztor zakonnic, także kamienny parafialny kościół i kolegium jezuickie, przy którem stoi podobny bardzo duży i piękny kościół. Około św. Jakóba w Lipcu odbywa się w Jarosławiu sławny jarmark, na który w wielkiem mnóstwie przybywają i przemysł swój wykonywają kupcy tureccy, ormiańscy, węgierscy, włoscy, polscy i niemieccy. Jest to okolica jedna z najprzyjemniejszych, najurodzajniejszych i najpiękniejszych, jakie w życiu mem widziałem.

Po południu przez przejazd przez San przy zamku, a potem przez tłuste grunta ale złe drogi do Koniaczowa (*Ponneviaz*), ładnej wsi z dworem szlacheckim, pół mili. Potem przez trochę wyższe i piasczyste grunta do Makowiska (*Makovice*) pół mili. Jest to długa wieś; na wschodnim jej końcu wznosi się ruski czyli grecki kościół. Wyznanie to jest tutaj zwykłą religią.

Dnia 11 kwietnia przez urodzajne grunta i przez wieś Bobrówkę (*Bobrastava*) do innej wsi Korzenicy, w której niezły kościół i szlachecki dwór, otoczony wałem z ziemi, a na nim parapet z balów i drewnianych wieżyc, 2 mile. Potem do Nowego Miękisza, jedna mila. Wieś ta jest położona pomiędzy pięknemi gruntami i ogrodami. Prosto naprzeciw na południe leży Stary Miękisz, druga dobra wieś z kościołem i szlacheckim dworem. Wszystko to należy

do szlachcica z rodu Jankowiczów Grunta tutaj na okół są bardzo żyzne. Rosną na nich same z siebie różne piękne kwiaty i zioła [1]), jako to: macierzanka, fijołki (*Grassvioletten*), malwy, niebieskie i białe dzwonki, a także rodzaj bzu, który ma bardzo czerwone i smaczne jagody, gronkami na drzewie zawieszone [2]). Znajduje się tu także wiele jeżyn, których zresztą w Polsce nie napotyka się bardzo często. — Potem przez las lipowy i bukowy, w którym gnieździ się niezliczone mnóstwo turkawek; dalej przez wysokie piasczyste ale urodzajne grunta do Kobylnicy, jedna mila. Są to dwie wsie [3]) tego samego imienia, we wschodniej znajduje się ruski kościół. Należą do lubaczowskiego starostwa, w którem teraz jest starostą pan Lubomirski, krakowski wojewoda, brat ś. p. sławnego marszałka Lubomirskiego.

Po południu do Świdnicy, pół mili, przez piasczyste grunta, przyczem po prawej ręce widać zamek Krakowiec; dalej przez las bukowy na równinę, przyczem po prawej ręce widać miasto Krakowiec, do zamku należące. Po lewej zaś za pagórkami leży miasteczko albo wieś Wielkie Oczy (*Ocho Swidnitza*) z kościołem i szlacheckim dworem, dość warownym i otoczonym wałem z ziemi wraz z czterema basztami z ziemi. Potem przez chude piasczyste pola do Kochanówki jedna mila. Jest to mierna wieś z ruskim kościołem. Dalej przez takie same grunta do drugiej takiej wsi Czarnyławy, pół mili.

Dnia 13 kwietnia przez przyjemne ale niebardzo urodzajne pagórki do Jaworowa pół mili. Potem drogą już opisaną do Jazowa jedna mila; do Szkła pół mili; aż do lasu pół mili; do Janowa jedna mila; do Domażyru i Żornisk (*Sierne*) jedna mila; aż do góry jedna mila. Potem do Lwowa [4]) jedna mila. Miasto to już wyżej obszernie opisano.

Dnia 17 kwietnia tą samą drogą znów napowrót aż do Janowa trzy mile. Potem przez piasczysty pagórek do Lelechówki

---

1) Werdum po kilkakrotnie mówi o roślinach i drzewach rosnących w Polsce. Dziwna rzecz, że nigdy nie wspomina o topoli.

2) Werdum bardzo nieściśle oznacza rośliny, pisze *blaue und weisse Klockenblumen*. Pierwsze mogą być różne gatunki rodzaju *Campanula*, drugie gatunki rodzaju *Polygonatum* (Kokoryczka) albo *Canvallaria* (Konwalia). Wspomniany bez jest to *Sambucus racemosa* (Bez koralowy).

3) Kobylnica ruska i Kobylnica wołoska.

4) O spotkaniu, które w czasie tym miało miejsce, pisze Sobieski do żony z Jaworowa 16 kwietnia 1671 r. Zobacz Helcel II, 47.

(*Lulukowka*), a dalej wzdłuż jeziora, na którem dużo wodnych ptaków, do Wereszyc *(Bareschitza)* jedna mila. Jest to wieś z kościołem pomiędzy skałami i kamieniami. Dalej przez piasczyste grunta w bukowym lesie do Wiszenki jedna mila. Kościelna ta wieś pozostaje trochę po prawej ręce. Dalej przez krzaki, a potem przez czysty piasek do Trościańca, jedna mila. Jest to dość dobra wieś z ruskim kościołem, położona przy zaspach piaskowych, jakby leżała nad morskiem wybrzeżem.

Dnia 18 kwietnia przez wymienione pagórki piasczyste, a potem przez krzaki bukowe i lipowe do Niemirowa jedna mila. Było to niegdyś wcale zgrabne miasto, otoczone wałem z ziemi z bramami drewnianemi. Na południe broni go jezioro, na którego brzegu wznosi się ładny zamek. Papiezki kościół jest z kamienia, ruski z drzewa, ratusz także z drzewa. Miasto to należy dziedzicznie do pana Żabnickiego.

Potem przez piaski i krzaki do ruskiej kościelnej wsi Radrusza jedna mila, dalej przez trochę lepsze grunta do Horyńca *(Honav)* jedna mila. Wieś ta z kościołem i szlacheckim dworem leży trochę na lewo, nie tuż przy drodze. Dalej przez piasczyste, wysokie grunta do małej wsi zwanej Łowcza *(Lowzel)* jedna mila. Potem przez jednostajne grunta do Narola jedna mila. Dawniej nie było to wcale szpetne miasteczko, ale teraz zupełnie puste, bo w wojnie kozackiej schroniła się tu cała ludność sąsiednia, zwłaszcza dużo Żydów. Miasto zaś obległ z Kozakami swymi Chmielnicki od północy, Tatarzy od południa. Kiedy zaś o zapłacie kontrybucyi zbyt powoli decydowano, przepłynęli Tatarzy konno przez jezioro, napadli niespodzianie miasto i wymordowali tu przeszło dwadzieścia tysięcy ludzi, pomiędzy nimi więcej jak dwanaście tysięcy Żydów. Od południa zamyka to wymienione jezioro miasto, resztę otaczają wały z ziemi. Narol znaczy po rusku tyle co żołądź [1]). Na wschód w pobliżu tego miasta leży jeszcze małe miasteczko Lipsko *(Lipsche)*, także ufortyfikowane fosą i wałami i zaopatrzone w ruski kościół. Narol należy do pana Lisickiego.

Z miejsca tego do Narola (*Narod*), wioski [2]) z małym kościołem, tylko ćwierć mili. Dalej przez piasczyste pole i las bukowy do wsi Łosieńca, mała mila albo trzy ćwierci mili. Naprzeciw ruskiego kościoła w tej wsi wytryska kilka źródeł, z czego niebawem

1) Już to w lingwistyce nie był biegły Werdum, a etymologiczne wywody strasznie mu się nie udają.

2) Narol stary, wieś w pobliżu miasteczka Narol,

tworzy się ładny strumień. Potem przez wysoki świerkowy las do Krasnobrodu, co po rusku znaczy tyle co piękna broda (?), 2 mile. Jest to otwarte miasteczko w wodnistej dolinie. Tutaj znajdował się niegdyś reformowany kościół, a hr. Tarnowski, do którego to miejsce należy, wyznawał tę samą religię. Teraz jest kościół ten zupełnie spustoszony, kiedy wymieniony hrabia został papistą i wybudował na kraju lasu nowy papiezki kościół na cześć Panny Maryi, która tam miała, nie wiem jakie, cuda robić. Zamek wznosi się na zachodniej stronie, kawałek drogi od miasta, był wielki i ciężko z kamienia zbudowany, ale teraz jest tylko prawie kupą gruzów.

Dnia 19 kwietnia przez piasczyste pagórki i bukowe lasy do Adamowa (*Jadammow* [1]) jedna mila. Jest to mierna wieś z kościołem i szlacheckim dworem, przy którym wchodzi się na wyżynę. Wszedłszy na nią, widać w oddaleniu pół mili w równinie i pięknej żyznej dolinie miasto Zamość, wyglądające wcale pięknie, dobrze obwarowane ze swym zamkiem, tak że pewno z jedenaście baszt je otacza w około. Miasto to ma trzy kościoły. Króla Michała Wiśniowieckiego pani matka, urodzona księżna na Zamościu, posiada je jako wdowa w dożywociu, odziedziczywszy je po swym bracie, ks. Janie na Zamościu [2]), na którym linia ta bez potomków wygasła. Dlatego rości sobie pretensye do tego miasta druga męzka linia tego rodu, mająca jeszcze kilku reprezentantów, według polskich ustaw bowiem posiadłość taka nie może przejść na linię kobiecą, dopóki istnieją jeszcze potomkowie po mieczu. O tem na polskich sejmach i trybunałach dużo dysputowano.

Z Adamowa do Szewni, wsi w piaszczystej dolinie, pół mili. Potem do takiej samej wsi, takiej samej sytuacyi, Wieprzeckiej Woli, 2 mile [3]). Dalej przez bardzo żyzne pole do Niedzielisk, 2 mile. Jest to długa wieś w urodzajnej i wesołej dolinie, gdzie po lewej ręce na pół mili widać miasto Szczebrzeszyn, już wyżej opisane. Dalej do dwóch wsi, prawie się stykających. Jedna z nich Michałów, jest położona na wschód od rzeki Wieprz, który płynie

---

1) Pisownia Werduma pokazuje jak lud nazwę tę wymawiał, oczywiście Jadamów.

2) Rodzinie Zamoyskich zawsze Werdum nadaje książęcy tytuł.

3) Tutaj pomylił się Werdum, bo najprzód nie leży Adamów tak blisko Zamościa, a potem ze Szewni do Wieprzeckiej Woli liczy się zaledwie pół mili.

pomiędzy niemi, druga Deszkowice na zachód [1]). Przez rzekę prowadzi most od jednej wsi do drugiej. Droga ta wynosi tylko małą milę albo trzy ćwierci. Potem do Sulowka (*Sciollovyck*), nad jeziorem Tur [2]) ćwierć mili. Wieś Bzowiec, leży tuż obok [3]). Dalej przez las dębowy do Żółkwi, dwie mile. Potem bardzo przyjemną drogą pomiędzy drzewami i krzakami do Sobieskiej Woli, która wieś domy swe rozpościera prawie aż do Pilaszkowic, dwie mile. Obie wsie leżą w dolinie, przez którą wzdłuż płynie ładny strumień. Nad nim wznosi się na wyżynie nowo wybudowany szlachecki dwór, także Pilaszkowicami zwany; jest to dom rodzinny i gniazdo rodowe wielkiego hetmana koronnego w Polsce Jana Sobieskiego, który jest także wielkim marszałkiem koronnym.

Dnia 20 kwietnia przez bardzo piękne pola do Krzczonowa (*Tjanow*) jedna mila. Jest to ładna wieś z kamiennym kościołem. Tutaj widzieliśmy tego roku pierwsze jaskółki. Dalej przez długą wieś Piotrków, która jest położona po obu stronach strumienia, do Jabłonny dwie mile. Żadna z tych dwóch wsi nie ma kościoła. Potem do Osmolic jedna mila. Jest to wieś bez kościoła, przy niej zaś wznosi się wielki zamek nad jeziorem, z którego wypływa rzeka Bystrzyca (*Bistrz*). Po drugiej stronie ciągnie się piękny ogród, a grunta w tej okolicy są bardzo urodzajne. Wznosi się tu także wysoko usypany pagórek, wzniesiony jako grobowiec dla jakiegoś dawnego bohatera. Takie grobowce wszędzie się w Polsce napotyka, po polsku zwią je mogiła, po rusku mohyła. Dalej do Niedźwicy (*Mziedrovice*) jedna mila. Jest to także wieś z dworem szlacheckim nad jeziorem, lecz bez kościoła, w urodzajnem polu. Potem przez takie same grunta do Bełżyc jedna mila. Jest to otwarte miasteczko, ale bardzo dobrze zaludnione i tak samo zbudowane, po większej części ma domy kamienne. Obok niego wznosi się zamek, mający wprawdzie mało zabudowań, ale otoczony w wielkim okręgu grubym murem. Miasto to należy do szlacheckiej rodziny Osuchowskich, których rodzinne gniazdo Wojciszów leży o milę ztąd. Mieszka tam najstarszy z rodu. Familia ta od dawien dawna i teraz jeszcze wyznaje reformowaną religię. W Bełżycach jest też reformowany kościół, w którym jednak mało ludzi bywa,

---

1) Według Chrzanowskiego Michałów leży na Zachód, Deszkowice na Wschód Wieprza.

2) Pod dniem 19 Grudnia 1670 r. nazwał Werdum jezioro to *Tibe*.

3) Niekoniecznie, bo do pół mili.

bo w całem mieście mieszkają po części papistowscy, po części ruscy chrześcijanie i bardzo wielu Żydów. Reformowani mieli tu dawniej piękne gimnazyum; skutkiem wojen jednak opustoszało.

Potem przez las dębowy do Chodla *(Gudel)* jedna mila. Jest to miejscowość z ciężko zbudowanym kamiennym kościołem i sklepionym ratuszem trwałej roboty. Stoi tu także jeszcze drewniany szpital, należący do jezuickiego kościoła w Lublinie. Dalej wzdłuż lasu przez dobre grunta do małej wsi Godow (*Onow*), w której nie ma kościoła, jedna mila. Potem przez las świerkowy i dębowy, dalej zaś przez czysty piasek do Kluczkowic jedna mila. Miasteczko to już wyżej opisano.

Dnia 21 kwietnia przez bardzo przyjemną dolinę a potem przez piaszczystą równinę do Kolczyna, przy którym w pobliżu na południowym wschodzie leżą Rybitwy, jedna mila. Są to dwie wsie; w ostatniej z nich ładny kościół ze zgrabną wieżą. W pierwszej niema kościoła. Tutaj wpada mała rzeka, Kraśnik zwana, do Wisły, która jest tutaj bardzo szeroka, a mimo to bystra. Znajduje się tu zwykły przejazd promem. Od przejazdu przez cudnie tłuste i iłowate grunta, pozostawiając po lewej ręce wieś Zemborzyn *(Zischina)*, do Pawłowskiej Woli, jedna mila. Jest to wieś z dworem szlacheckim; druga wioska Pawłowice leży tuż obok. Widzieliśmy tutaj mnóstwo dropi.

Dalej przez niesłychanie urodzajne grunta, pozostawiając po prawej ręce na widoku zamek Solec, a po lewej wysoki kościół miasta Tarłowa [1]) nad Wisłą, aż do Długiej Woli, wielka mila. Wieś ta ciągnie się pewno na ćwierć mili, od czego się też nazywa. Potem przez młody las świerkowy, który dopiero po szwedzkiej wojnie wyrosł w bardzo pięknych gruntach gęsto i wysoko, do Rzeczniowa *(Rzisna)*, jedna mila. Jest to nie zgorsza wieś z dworem szlacheckim i dobrym kościołem. Dalej ciągle przez las do Czerwony, jedna mila. Jest to wieś z drewnianym kościołem. Obok niego zaczęto murować drugi z kamienia, ale go nie ukończono. Leży ona w pośród lasu w gruntach nie zgorszych. Potem ciągle jeszcze przez krzaki do Kowalkowa, jedna mila. Jest tu wodny młyn, który kuje żelazo i pędzi bardzo wielkie młoty, od czego mu też dano nazwę. Z miejsca tego przez ten sam las do Odechowic *(Gudowske)*, jedna mila. Było to niegdyś miasteczko, lecz tak do szczętu je spustoszono, że prawie trawą porosło a tylko parę drewnianych domów na nowo odbudowano. W pobliżu na

1) Tarłów nie leży nad samą Wisłą.

północ leży śliczna wieś Odechów *(Godow)* [1]), bardzo zaludniona. Do niej, zdaje się, przenieśli się mieszkańcy z miasteczka poprzednio wspomnianego. Dalej przez ten sam las do Kobylan, jedna mila. Jest to wielka wieś z ładnym kościołem i dworem szlacheckim, należy do wielkiego sekretarza w Polsce, Franciszka Prażmowskiego, sieciechowskiego opata i młodszego brata prymasa.

Dnia 22 kwietnia przez dobre orne grunta, zostawiając po lewej ręce na strzał armatni miasteczko Skaryszów, do wsi leżącej w lesie a nazwanej Maków, jedna mila. Potem ciągle przez ten sam świerkowy las aż do przedmieścia radomskiego, jedna mila. Jest to ładne miasto, otoczone murem i licznemi wieżami. Znajdują się w niem trzy czy cztery wielkie kościoły i mnóstwo innych dobrze zbudowanych domów. Potem dalej przez las do małej kościelnej wsi Wsoli, jedna mila i do Jedlińska pół mili. Potem do Piaseczny, ćwierć mili, dalej do Lisowa, jeszcze ćwierć mili. Miejscowości te już wyżej opisano.

Dnia 24 kwietnia potem do Bierwiec, jedna mila. Ten dwór szlachecki ze swą wsią już wyżej opisano. Potem przez bagnistą równinę do Jezierny, ćwierć mili. Jest to mała chłopska wioska z dziesięciu lub dwunastu domów. Dalej przez krzaczaste, piaszczyste pagórki do małej wsi z kościołem i dworem szlacheckim, Stromiec nazwanej, trzy ćwierci mili. Tutaj na polach na okół mnóstwo było dropi i szarych bocianów. Potem przez jednostajne grunta do Niedabylu, pół mili. Jest tu młyn wodny w środku lasu, pełnego dzików, jeleni, sarn, niedźwiedzi i tym podobnych zwierząt. Dalej aż do przejazdu przez rzekę Pilicę, pół mili. Rzeka ta płynie tu przez prześliczne łąki. Przeprawia się przez nią na dwóch ze sobą związanych tratwach. Na drugim brzegu stoi ładny młyn wodny, tak zbudowany, że cała jego maszynerya podnosi się lub spuszcza się stosownie do tego, czy woda jest mała lub duża. Tuż obok leży wieś Michałów, w której nie ma kościoła, ale za to piękny zamek. Teraz jednak jest spalony i to przez braci prymasa, panów Prażmowskich, którzy o tę miejscowość prowadzili proces z jego rzeczywistym właścicielem z rodu Michałowskich. Powyżej Michałowa na tym samym brzegu rzeki leży wieś bez kościoła Brankow *(Branske)*, a poniżej podobna wieś Palczew (*Pilazow*). Te trzy wymienione wsie należą teraz do Wrociszowa, leżącego o małą milę od tego miejsca. Pomiędzy obiedwiema leżą bardzo do-

---

[1]) **Odechów leży na południe od Odechowic.**

bre ogrody, uprawiane pod płody ziemne, ćwikłę, groch i tym podobne kuchenne potrzeby.

Wrociszów leży w urodzajnych, wysokich gruntach, ma wielki kościół, w którym czterej kapłani wypełniają służbę: ołtarzysta, kaznodzieja, wikaryusz i kantor. Należy do biskupstwa poznańskiego i ma pod sobą wielki obwód wsi i dworów na okół leżących.

Dalej do Ryszek, wsi bez kościoła, jedna mila. Wielki szlachecki dwór wznosi się nie daleko na wschód od niej a na zachód kościelna wieś, zwana Osiny. Potem przez wieś Drwalew do Prażmowa, półtory mili.

Dnia 29 kwietnia do Tarczyna, jedna mila, do Manów, wioski bez kościoła, jedna mila, do Piotrkowic, takiejż wioski, jedna mila, do Grzegorzewic podobnej wioski, jedna mila [1]). Cała ta droga prowadzi przez piaszczyste grunta, porosłe tu i owdzie świerkami. Po prawej ręce widać na ćwierć mili piękny zamek Radziejewice, przy którym leży duża miejscowość. Było to gniazdo rodzinne znanego podkanclerzego polskiego Radziejewskiego, który w polskiej wojnie sprzyjał szwedzkiej partyi. Córka jego ma teraz za męża chorążego nadwornego Wojciecha Prażmowskiego. Dobra te należą teraz do jego brata Samuela Prażmowskiego, płockiego wojewody.

Z Grzegorzewic do Mszczonowa, jedna mila. Duża miejscowość, w której ciężko zbudowany kamienny kościół z grubą i wysoką ale walącą się wieżą. Przed kilku laty miano tu wykopać dwa szkielety dwóch niegdyś na tym cmentarzu pochowanych braci z rodu Uszewskich. Z nich skutkiem czasu zgniło i zupełnie odpadło ciało i wszystko prócz kości; tylko same te kości muszkułami i chrzęściami tak mocno razem się trzymały, jak się to dzieje chyba tylko w żyjącem ciele. Najprzód przechowywano je osobno, później zaś wrzucono do kostnicy do innych kości zmarłych.

Dalej do Zatora, jedna mila. Wieś ta leży pomiędzy lasami. Po lewej ręce widać tu wieś Świnice *(Samitza)*, która należy do skierniewickiego zamku prymasa. Potem przez piaszczyste i kamieniste, ale urodzajne grunta a dalej przez wielki las do Rudy, dwie mile. Jest to wodny młyn [2]), wśród lasu, który także piłuje drzewo. Na kamienistych gruntach mnóstwo było dropi. Młyn ten należy do Łowicza do gnieźnieńskiego arcybiskupstwa.

---

[1]) Odległości tutaj bardzo są przesadnie podane, widocznie dłużyło się Werdumowi w tych piaskach.

[2]) Leży nad Rawką.

Dalej ciągle lasem a potem piaszczystem polem do wsi, leżącej w piasku nad strumieniem [1]) Bobrowniki zwanej, dwie mile. Potem dalej przez piaszczystą równinę znów do Łowicza, który już wyżej opisano, jedna mila.

Dnia 5 maja piaszczystą równiną, przez którą z boku lasu płynie strumień, do wsi Nieborowa, jedna mila. Dalej przez drugą wioskę [2]) do Bolimowa, wielka mila. Jest to otwarte miasto, w którem dwa kamienne kościoły i kaplica z drzewa. Główne ulice są brukowane a przy mieście płynie strumień od Rawy. Miasto to było niegdyś wielkie, ale teraz prawie puste. Jest to starostwo mające jurysdykcyą. Teraźniejszym starostą jest pan Grudziński.

Dalej do wsi Miedniewskiej Woli, półtory mili. Potem przez wieś Stare Wiskitki do miasta Wiskitki, pół mili. Miasto to leży w bardzo urodzajnem miejscu i należy do królewskich stołowych dóbr, trzyma je jednak teraz pan Opaleński. Przez nie płynie strumień [3]). Kościół parafialny jest z kamienia, kaplica zaś z drzewa.

Dalej do Baranowa, wielkie pół mili. Wieś ta leży w bardzo tłustych gruntach. Blisko niej wznosi się piękny, wspaniały folwark, który teraz należy do wielkiego kanclerza polskiego, pana Leszczyńskiego. Potem przez wieś z kościołem, Izdebno do Kłudna, pół mili, tak dużej, jak zresztą cała mila. Wieś ta leży w tłustych gruntach po prawej ręce królewskiego miasta Błonie.

Dalej przez wieś Kłudzienko do drugiej wsi Żukowa, pozostawiając po lewej ręce na widoku wieś z dwoma kościołami; w jednym z nich znajduje się obraz Matki Boskiej, do którego cała sąsiednia ludność odprawia pielgrzymki. Aż do Żukowa jest jedna mila. Potem do Brwinowa pół mili. Ta wieś z kościołem należy dziedzicznie do prymasa Prażmowskiego. Tutaj na okół cała okolica jest bardzo urodzajna, zasiana we wszystkich kierunkach wsiami, i wcale nie bardzo krzaczasta.

Dalej do Zbikowa (*Dükow*), jedna mila. Jest to wieś z kamiennym kościołem, leżąca w miejscu bagnistem i błotnistem, gdzie zimą są niesłychanie złe drogi. Potem przez wieś Konotopę (*Klotopota*) a dalej przez las do Odolan (*Dolani*), półtory mili. Po prawej stronie tej wsi wznosi się pałac ciężko zbudowany, ale nie wykończony, zresztą zaś z włoska założony, dla czego się też na-

---

1) Strumień ten zwie się Skierniewką.
2) Pewno Łazieczniki.
3) Strumień ten zwie się Gagolna.

zywa Włochy (*Włoski*). Przeszły arcybiskup gnieźnieński i prymas Leszczyński zaczął go budować.

Potem przyjeżdża się do miejsca, gdzie zwykle wybierają królów polskich. Jest to piaszczysta równina, w niej jakoby mała forteca w podłużny czworobok usypana, na długość około strzału muszkietowego. Na około ciągnie się niski wał i sucha fosa. Wewnątrz dzieli ją mały poprzeczny wał na dwie czworoboczne części nie jednakiej wielkości. W mniejszej ku Wiśle gromadzą się senatorowie państwa; dwoje drzwi prowadzi do niej z większej części. Ta większa część zaś ma trzy wchody czyli bramy; przez pierwszą, ku Warszawie zwróconą, wchodzą Wielkopolanie i Mazury, przez drugą, stojącą naprzeciw pierwszej, odbywają Litwini swój pochód, a przez trzecią, na końcu naprzeciw senatorskiej części, wchodzą Rusini i szlachta z górnej czyli Małej Polski. Krzesła i ławy ustawiają tu w czasie wyborów według porządku; z góry zaś miejsce to nie jest zakryte, akt ten więc odbywa się pod gołem niebem.

Nie daleko od tego miejsca leżą Stawki, prześliczny pałac prymasa Prażmowskiego. Wznosi on się wesoło pomiędzy kilku stojącemi jeziorami, które mu też nadają imię.

Z miejsca tego do Warszawy jest tylko ćwierć mili. Warszawa jest teraz stolicą i królewską rezydencyą w Polsce, od kiedy królowie ze szwedzkiej familii Wazów, aby być o tyle bliżej dziedzicznego swego królestwa Szwecyi, przenieśli tutaj królewską siedzibę z Krakowa, gdzie królowie polscy aż do zgonu dzielnego króla Stefana Batorego mieli zwyczajną swoją rezydencyą. Miasto to leży na brzegu Wisły, nie jest wielkie, źle zbudowane i słabo ufortyfikowane. Tak samo i zamek królewski nieregularnej i niepociesznej struktury nie jest wcale warowny. W mieście nie ma zresztą osobliwszego kościoła, prócz św. Jana w pobliżu zamku, pomiędzy pałacami zaś wznosi się jeden z najpiękniejszych na przedmieściu we wschodniej stronie, na brzegu Wisły w pięknym ogrodzie. Więcej na zachód także na przedmieściu znajduje się arsenał, z płytów kamiennych pięknie i trwale wzniesiony. Francuzka królowa Ludwika Marya de Nevers założyła tu zgrabny klasztor zakonników francuskiej missyi i drugi dla zakonnic tej samej missyi. Budował też teraz podskarbi koronny Morsztyn Raciborski wspaniały klasztor przy swoim pałacu, który ma na przedmieściu. Zakonnicy, którzy w nim osiąść mają, należą do zakonu, który Włosi nazywają *buoni fratelli.* Na zewnątrz na okół miasta Warszawy widać niektóre resztki fortyfikacyi, którą Władysław IV

kazał miasto otoczyć, co mu atoli szlachta zakazała, podejrzywając go, żeby ztąd mogły wyniknąć niekorzyści dla jej wolności.

Dnia 6 maja z Warszawy znów napowrót tą samą drogą aż do Baranowa a potem przez cudnie bujne grunta po lewej stronie od miasta Wiskitek przez wieś Drzewicz leżącą o pół mili od Baranowa, blisko drugiej wsi Oryszew, wybudowanej przestwornie pomiędzy jeziorami. Potem dalej do Miedniewskiej Woli i Łowicza, 10 mil.

Dnia 16 maja z miejsca tego drogą, którą już wyżej opisano do Prażmowa i wsi Raciborów, leżącej tylko o pół mili od pierwszej, 12 mil.

Dnia 18 maja tą samą drogą znów napowrót do Łowicza, 12 mil.

Ta konna jazda tam i napowrót strasznie mi się dała we znaki, bo poprzednie czternaście dni chorowałem na febrę i wylegiwałem ją na słomie a potem musiałem dwa razy tuż po sobie jechać konno w jednym dniu po dwanaście mil.

Cały ten początek lata siedzieliśmy *incognito* na zamku łowickim. Negocyacya pana mego, abbé de Paulmiers, z innymi grandami polskimi była już tak, jakby ukończona. Prosta atoli szlachta z armii polskiej, którą nazywają imieniem towarzyszów, a którzy się ze wszystkich polskich rodów jako najodważniejsi i najdzielniejsi oddają służbie wojennej, — ta prosta szlachta trzymała jeszcze prawie bez wyjątku bardzo gorliwie z królem Michałem Wiśniowieckim. Dla tego uznano za odpowiednie, żeby pan mój przez niejaki czas był obecny w armii, aby z głównymi oficerami, samymi dobrymi przyjaciołmi Francuzów, codziennie mógł się naradzać, jakby to dalej całą armię pozyskać i na korzyść księcia de Longueville przeciw królowi Michałowi skonfederować można. Ponieważ zaś taka obecność w armii pociągała za sobą niezmiernie wielkie niebezpieczeństwa i obawiać się nam było trzeba najokrutniejszego z nami postępowania, gdyby towarzysze wtedy nas poznali, postanowiono, że pan mój ma udawać inżyniera, który świeżo z Kandyi przyjechał i że ma wyrobić sobie pozwolenie od samego króla Michała do służenia w Polsce przeciw Turkom, którzy wtedy już wojną grozili, tak jak to poprzednio czynił w Kandyi, gdzie przecież nigdy nie był, ale całą tę wojnę wraz z oblężeniem i wszystkiemi wypadkami znał tak

dobrze, że pewnoby mądrzejszym ludziom od Polaków potrafił wmówić, jako osobiście brał udział przy oblężeniu Kandyi [1]).

I rzeczywiście dostał też potem patent z podpisem i pieczęcią króla Michała, w którym go rekomendowano wszystkim oficerom jako pana inżyniera królewskiego [2]). Dotąd nazywał się ***monsieur Beauval*** albo ***monsieur du Bourg*** albo ***Maciej Olewic***, teraz zaś nazwał się ***Jean Bardouni, le Chevalier de Saconnay***. Po tem nazwisku i charakterze królewskiego inżyniera znano go w krótce w całej armii.

Ja zaś dotąd zwałem się Chrystian Freson, teraz zaś nazwałem się ***Gracyan Ulric***. Większa część Polaków, po części także nasi Francuzi nie znali mnie pod innem nazwiskiem jak Ulric.

Nasze suknie zakonne i kupieckie zamieniliśmy teraz na kolet, szarfy, kity z piór, zgoła na cały moderunek żołnierski. Pan mój teraz zaopatrzył się w liczne wierzchowce, trzy wozy do taboru i prowiantu, kucharza, masztalerzy, lokai, paziów i wszelkie potrzeby. Mnie uważano za dymisyonowanego kapitana, który bawi u inżyniera i zna się na sztuce minowania i wysadzania w powietrze fortec. Zresztą byłem ochmistrzem nad trenem inżyniera. Teraz mogliśmy swobodnie pisywać zwykłem pismem i cyframi, sądzono bowiem, że są to plany i rachunki potrzebne przy fortyfikacyjnych robotach. Pana mego plenipotencyą, instrukcye i inne tajne listy razem ukryłem, obwijając niemi stoczek woskowy skręcony w tabliczkę, który ważył kilka funtów i który co wieczora stawiano zapalony na stole. Tak odbyliśmy w polu całą tę kampanię i nikt nas nie odkrył.

Jechaliśmy zaś 27 czerwca z Łowicza przez piaszczystą równinę i mały las do wsi Łagów, dwie mile. Las ten zwie się biskupim lasem, w którym w dniu tym jeszcze słyszeliśmy słowika. Potem pod zamkiem Łyszkowicami przez bardzo urodzajne grunta do Pszczonowa (***Mscionow***) wsi z kościołem, leżącej na pagórku w głębokiej dolinie, pół mili. Dalej przez krzaczaste grunta do Kalenia i Uchania (***Collyn und Uchol***), dwóch wsi bez kościo-

---

1) Mowa tu o wyprawie kandyjskiej z r. 1669. Król Ludwik XIV wysłał tam 6000 ludzi pod dowództwem ks. de Navailles i flotę złożoną z 22 statków wojennych, 12 galer i trzech galiot pod dowództwem pana de Beaufort. O przebiegu tej wyprawy zobacz Gaillardin, Histoire du règne de Louis XIV (Paryż 1874) tom IV, str. 7 i nast.

2) Porównaj co o tem pisze Sobieski do żony w dniu 16 lipca 1671 r. u Helcla II, 60.

łów, jedna mila. Pomiędzy temi wsiami spalono w tych dniach czarownice, po których jeszcze leżały niektóre kości wraz z drzewem i węglami w dole, ponad którym ogień rozniecono. Potem przez krzaki a dalej przez równinę do wsi z kościołem, która się zwie Kołacinek, potem do Kołacina, wsi z pięknym dworem nad jeziorem, z którego wypływa wielki strumień 1), pół mili. W tej okolicy sterczało na dachach chat chłopskich naokoło pełno bylicy *(Beifuss)*, którą w nocy św. Jana przeciw czarom zatykają z powodu takiego samego zabobonu, jaki panuje w Niemczech.

Potem przez takie same grunta do Brzezin, jedna mila. Jest to ładne miasto z czterema kościołami: farą, bernardyńskim kościołem, kaplicą św. Anny i szpitalem św. Ducha. Ulice są brukowane a grunta na okół bardzo urodzajne. Z miejsca tego przez wioskę Daleszyce 2), leżącą w tłustych gruntach, dalej przez gęsty las a potem jeszcze przez małą wieś Bedoń *(Bduni)*, do chłopskiej wsi, leżącej w pośród lasu a nazwanej Krasów *(Kruszyn)*, półtory mili.

Dalej ciągle przez ten sam las, w którym leży wieś Bukowska Wola 3), do Tuszyna półtory mili. Jest to otwarte miasteczko, leżące w przecudnej glebie, w której rosną różne gatunki jarzyn, roślin ogrodowych i kuchennych w wielkiej bujności i obfitości. Potem przez grunta, na których rosną tu i owdzie drzewa, do wsi leżącej pod piaszczystym pagórkiem, Szczukwin, jedna mila.

Dnia 28 czerwca dalej przez wysokie piaszczyste pola, pozostawiając po lewej ręce na widoku Wolę Kamocką *(Brokaska)*, a po prawej Boryszow, dwie wsie bez kościołów, a potem przez kościelną wieś Grabicę *(Tzatscha)*, dalej obok młyna w lesie nazwanego Russocin *(Rutschyn)*, do ładnej wsi, ale bez kościoła, Kącik *(Roschitz)*, półtrzeciej mili. Dalej przez takie same krzaczaste i piaszczyste pola do Mikoszyc *(Nikursevice)*, pół mili. Wieś ta nie ma kościoła, lecz ma piękny dwór, bardzo pięknie zbudowany z dwoma wysokiemi szczytami. Po tem przez wysokie grunta i las świerkowy do Kluk, pół mili. I ta wieś nie ma kościoła, lecz ma także piękny dwór z wesołym ogrodem. Należy do prymasa Prażmowskiego. W tym lesie napotykaliśmy ptaki wielkości gołębia, koloru jasno błękitnego, które mają mieć mięso bardzo delikatne.

---

1) Jest to rzeczka Mogra.

2) *Dallenszire*, Daleszyc dzisiaj nie mogłem odszukać w pobliżu Brzezin.

3) I takiej wsi dzisiaj nie ma na tej drodze, przynajmniej na karcie Chrzanowskiego.

Potem przez krzaki do strumienia *Bdstavi*[1]) nad którym leży wieś *Saa*[2]), jedna mila. Dalej przez Kuźnicę i Puszczę (*Tadlitza und Pusti*) dwie wsie bez kościołów do Stróży, półtrzeciej mili. Jest to kościelna wieś z pięknym dworem. Okolica tutejsza ma piaszczyste grunta z dębiną. Potem przez takież grunta i przez wieś Roszew[3]), dalej przez lepsze grunta do wsi Dworszowice (*Worszevice*), potem przez krzaki i przez wieś Kuźnia (*Ksonie*) do ładnej miejscowości Pajęczno (*Pianos*), półtory mili. Dalej przez piaszczyste grunta i przez kościelną wieś Trębaczów (*Rembazow*), przy której leży także dwór, do Działoszyna, jedna mila. Jest to otwarte miasteczko przy piaszczystych pagórkach w chudej glebie nad rzeką Wartą położone, należy do pana Niedziewskiego.

Dnia 29 czerwca dalej przez rzekę Wartę, przez którą się konno w bród przejeżdża lub też po moście, kiedy woda jest głęboka, do wsi Raciszyna (*Radzice*), która naprzeciw owemu miastu leży na drugiej stronie rzeki; dalej przez las bukowy do Lipia (*Lippow*), półtory mili.

Wyżwymieniona rzeka Warta płynie daleko na dół w Wielkopolsce do Poznania i Uniejowa. Lipie jest to wieś z drewnianym kościołem na wschodnim końcu jeziora położona przy grobli, która się ciągnie przez jezioro. Jezioro to jest bardzo wielkie. Na jego zachodnim brzegu po tej samej stronie leży zamek Dankow, należący do pana Warszyckiego, kasztelana krakowskiego i pierwszego senatora w Polsce. Zamek jest wielki i bardzo dobrze zbudowany na brzegu jeziora, ciężkiemi kamiennemi fortyfikacyami i bastionami w kształcie gwiazdy silnie obwarowany od strony jeziora. Od strony lądu ma fosy i wały, wewnątrz zaś ma liczne obszerne zabudowania, pomiędzy innemi także wysoki parafialny kościół. Na północno-wschodniej stronie leży obok niego nie zła wieś. Tego pana Warszyckiego barbarzyńskie okrucieństwo tak dla swych poddanych, jak domowników a nawet dla własnej żony, jest okrzyczane w całej Polsce. Opowiadają o tem takie bajeczki, że przejezdnym wierzyćby się w nie nie chciało, gdyby ich powszechnie wszyscy bez wyjątku i wszędzie jednozgodnie nie potwierdzali, zaklinając się na nie uroczyście jako na rzeczy w całym kraju znane. W pierwszem małżeństwie miał on żonę z małego książę-

---

1) Właściwej nazwy tej rzeczki nie wiem.

2) Podobnej nazwy nigdzie tu znaleść nie mogłem.

3) Takiej nazwy wsi ani podobnej nie ma pomiędzy Stróżą a Dworszowicami.

cego szlązkiego rodu [1]). Kiedy mu ta raz w rozmowie za energicznie oponowała, kazał hajdukowi związać jej koszulę i spodnice po nad głową i wysiec ją batami aż do krwi. Skutkiem tego popadł z braćmi jej w takie spory, że go na zamku jego Dankowie oblegli i zmusili wydać im tę żonę i ułożyć się z nimi o wypłatę wielkiej sumy pieniężnej na jej utrzymanie. Kiedy polskim sposobem kazał chłopów kłaść na brzuch na ziemię i bić ich niemiłosiernie patykami grubemi jak ręka po gołem ciele, stawał zawsze dla przyjemności tuż obok, licząc baty, na które ich skazał. Kiedy zaś liczba zbliżała się już prawie do końca, udawał, jakoby się w liczbie omylił, kazał więc na nowo od początku zaczynać i tym sposobem bił czasami ludzi pół na śmierć. Przytem jeszcze szydził z nich, napominając stojących na okół, aby mu pomogli prosić Pana Boga za tymi biednymi ludźmi, aby im dał cierpliwość do stałego wytrzymania kary, równie dobrze obmyślanej jak koniecznie potrzebnej, aby ich poprawić. Takie i podobne sprawki wyprawia podobno dla zabawy codziennie a jedynemu jego synowi [2]) ma się zanosić na jeszcze większe okrucieństwo niż ojcu.

Z Dankowa przez piaszczystą równinę wśród wysokich świerkowych krzaków do Krzepic, jedna mila. Jest to otwarte miasteczko z ładnym parafialnym kościołem z kamienia i szpitalnym św. Stanisława z drzewa wraz ze zgrabnym klasztorem. Na południowo-wschodniej stronie leży zamek na kilka set kroków od miasta w moczarach nad małą rzeką Liszwarta *(Liske Warta)* zwaną. Przez tę rzekę i przez moczary można się dostać po moście do zamku, znakomicie ufortyfikowanego teraźniejszym sposobem fosami, wałami, balustradami, palisadami i formalnemi basztami przez teraźniejszego starostę Samuela Prażmowskiego, wojewodę płockiego, brata prymasa. Znajdują się w nim dwadzieścia cztery działa częścią żelazne, częścią bronzowe. Z miejsca tego liczy się tylko pół mili do szlązkiej granicy. Ostatnią polską wsią są Stare Krzepice a pierwszemi szlązkiemi miejscowościami Bodzanowice i Wichrów. Daleko w Szlązk w tem miejscu nie mówią jeszcze innym językiem jak polskim, bo cała ta prowincya niegdyś należała do Polski, powoli zajął ją dom austryacki. Na południu w Wielkopol-

---

1) Tego Stanisława Warszyckiego zgoła inaczej przedstawia Niesiecki (*sub voce* Warszycki IX, 240 i 241). Według tegoż autora miał on za pierwszą żonę Bełzecką, wojewódziankę podolską, za drugą Helenę księżniczkę Wiśniowiecką.

2) Według Niesieckiego Jan Kazimierz Warszycki, jedyny syn Stanisława, umarł bezdzietnie.

sce znajduje się kilka miejscowości, w których mówią tylko po niemiecku a jednak należą do Królestwa, które je przed laty niemieckim panom zabrało (?) i do swego obszaru wcieliło, jako to Leszno i inne. W Krzepicach urodził się znany polski generał Stefan Czarniecki [1]). Ojciec jego był tu podstarościm i pochodził z Wielkopolski z okolicy Poznania.

Dnia 30 czerwca z Krzepic przez Iwanowice, Opatów i Walenczów do Kłobucka [2]), dwie mile. Trzy pierwsze miejscowości są to tylko wioski bez kościołów. Ostatnia jest otwarte miasteczko z pięknym kościołem z kamienia i wysoką wieżą przy kolegium *canonicorum*. Grunta są tu na okół piaszczyste, miejscami trochę krzaczaste z pięknemi łąkami i ładnemi strumieniami.

Potem przez Libidzę, Lgotę i Grabówkę do Świerzec [3]), półtory mili. Dwie pierwsze wsie nie mają kościołów. Pomiędzy niemi zaś przy drodze w miejscu, gdzie się po pierwszy raz z dala widzi klasztor częstochowski, znajduje się kaplica, w której pielgrzymi, idący do tego klasztoru lub wracający z niego, odprawiają tłumnie modlitwy. Grabówka jest to wodny młyn. Świercze jest dworem ze wsią.

Dalej do klasztoru *Montis Calvarii*, pół mili. Jest to sławny w dalekie strony klasztor w Częstochowie, do którego pielgrzymują dla zwiedzenia obrazu P. Maryi ludzie nie tylko z sąsiedztwa, lecz z całej Polski, Węgier i dalekich stron. Mówią, że obraz ten malował św. Łukasz i że zdziałał liczne cuda. Klasztor stoi na skale pokrytej ziemią. Ma on cztery baszty, których fossy jako i inne fortyfikacye wycięte są ze skały, ale trochę za wązkie. Mają oni tu więcej jak sto dział i tyleż żołnierzy jako zwykłą załogę. Zakonnicy należą do zakonu *Pauli Eremitae*, noszą się biało i pochodzą wszyscy z najznakomitszych szlacheckich rodów z całej Polski, klasztor bowiem ma ogromne dochody i wiele miast i wsi. Jest to gmach ciężki i piękny, zwłaszcza kościół, prócz tego ozdobiony różnemi złotemi, srebrnemi i innemi kosztownemi rzeczami, tutaj złożonemi na cześć P. Maryi. Między innemi pokazywali nam dziecko ze szczerego srebra, które niedawno darowała, wypełniając ślub, żona krakowskiego wojewody Lubomirskiego, kiedy jej wszystkie dzieci w parę miesięcy po urodzeniu

---

1) Według Encyklopedyi Powszechnej urodził się Stefan w Żórnawiu.

2) *Janovice, Opatow und Volanice nach Globwtke.*

3) Takiej miejscowości nie mogłem odszukać na mapie Chrzanowskiego. Leży wprawdzie w częstochowskim powiecie wieś Świercze, ale w par afiimiedznieńskiej, a nie tuż pod Częstochową.

umierały a ona się zobowiązała przed P. Maryą, że daruje obrazowi P. Maryi w Częstochowie srebrne dziecko ważące tyle, co jej syn nowonarodzony ważyć będzie mając rok wieku, jeźli do czasu tego dożyje. I tak też zrobiła. Osobna kaplica, w której wymieniony obraz stoi, jest najwspanialsza i najkosztowniejsza. Popod górą na stronie północno-wschodniej leży małe miasto Częstochowa, w którem mieszkają prawie tylko ludzie, sprzedający paciorki, krzyże, drukowane, malone, lane, rznięte, pieczone obrazy i inne tym podobne rzeczy, służące do nabożeństwa i zabobonu. O trzysta lub czterysta kroków dalej leży osobne miasto Częstochowa, poprzednie bowiem jest to tylko miejscowość należąca do klasztoru. We właściwem tem mieście znajduje się drugi klasztor tego samego zakonu a prócz tego konwent dla nowicyuszów czyli nowicyat zakonu w osobnym domu, leżącym na południowym zachodzie od pierwszego klasztoru u stóp góry, we właściwem mieście znajduje się prócz tego jeszcze kościół parafialny.

Z Częstochowy kamienistą drogą do miernej wsi Błeszno, pół mili. Widać tu po lewej ręce na górze zamek Olsztyn a poniżej na dolinie miasto tej samej nazwy, zgoła spustoszone. Częstochowa należy do tego olsztyńskiego starostwa.

Z Błeszna przez krzaki, w których spustoszały kościół, dalej przez piaszczyste grunta do Żarek, trzy mile Jest to otwarte miasteczko z dwoma kościołami i nie złym zamkiem, wszystko w czystym piasku.

Dnia 1 lipca przez piaszczyste grunta, dalej przez krzaki, w których kościół wysoko na skale, do Włodowic, dwie mile. Jest to otwarte miasteczko spustoszone. Potem przez piaski i krzaki do miasteczka Kromołów a dalej taką samą drogą do Ogrodzieńca dwie mile. Jest to zamek, stojący na górze pomiędzy stromemi skałami i krzakami. Do niego należy wielki obszar kraju na około, własność dziedziczna owego Warszyckiego, o którym wyżej mówiono, jednego z najbogatszych panów w całej Polsce. Kromołów i Włodowice także należą do Ogrodzieńca. Tutaj jeszcze dnia tego słyszeliśmy kukułkę.

Potem przez krzaczaste góry do Bydliną, dwie mile. Jest to wieś z dworem, leży u stóp pagórka, na którym się wznosi kościół św. Krzyża. Wszystko to należy do Ogrodzieńca. Z miejsca tego widać po prawej ręce z daleka miasto i zamek Pilicę, po lewej trochę bliżej miasteczko Olkusz, sławne ze swych kopalń srebra. Zresztą idzie tu droga przez szczery piasek do kościelnej wsi Jangrot, leżącej na górze, półtory mili.

Potem przez żyzną glebę i przez dwie wsie Zadroże i Wielmożę (*Dwagorze und Mosevice*) do Skały, półtory mili. Jest to otwarte miasteczko, należące do Klarysek z klasztoru św. Andrzeja w Krakowie. Dalej spuszczając się z góry, przez urodzajny kraj do Cianowic, co znaczy po polsku tyle, co niemieckie *Heudorf*, leży bowiem w pięknych łąkach, na których jeszcze w tym dniu zbierano siano. Potem dalej jeszcze do Januszowic (*Wesowce*), wsi leżącej trochę niżej, jedna mila. Widać tu po prawej ręce kościół wznoszący się na górze a po lewej klasztor w dolinie, i przyjeżdża się do Zielonek (*Siellos*), małej wsi na pagórku, półtory mili.

Potem przez bardzo piękne grunta, w których porozrzucane tu i owdzie domy, jakby na przedmieściu, ale daleko od siebie leżące, pomiędzy któremi po lewej ręce trochę od drogi widać piękny, nowozbudowany czworograniasty pałac, przyjeżdża się do Krakowa, pół mili.

Kraków był dawniej stolicą Polski i zwykłą rezydencyą królewskiego dworu, aż po śmierci króla Stefana Batorego królowie ze szwedzkiej familii przenieśli siedzibę swą do Warszawy, aby być o tyle bliżej swego dziedzicznego królestwa Szwecyi. Zamek krakowski leży na wysokiej górze pomiędzy miastem a rzeką Wisłą, która płynie tak blisko stóp stromej góry, że ledwie drogę dla wozów wykuć było można w skale. Zamek jest obwarowany do obrony wysokim i grubym murem, ze wschodniej i południowej strony podwójnym a nawet miejscami potrójnym i silnemi wieżami. Ponieważ zaś góra z zachodniej strony nie jest tak stroma, jest i mur tutaj wyższy. Wisła jest tu dosyć szeroka, lecz nie bardzo głęboka, unosi więc tu wprawdzie liczne, ale nie tak wielkie statki jak poniżej. Na zamku znajdują się trzy kościoły: katedra, kościół św. Stanisława i nieco niżej jeszcze jeden, w którym się znajdują królewskie grobowce. Zresztą zawiera zamek także na obszernym obszarze inne zabudowania. Mieszka tam mnóstwo ludzi. Naprzeciw zamku na wschodzie pomiędzy miastem Krakowem i Kazimierzem, osobnem miastem za ramieniem Wisły, rozciągało się piękne wielkie przedmieście, które dwa te miasta z sobą łączyło, lecz w szwedzkiej wojnie spalono je z gruntu. Przez wymienione ramie Wisły prowadzi most, po którym idzie się do Kazimierza, który ze wschodu otacza także Wisła, na której znajdują się pływające mosty, tak że miasteczko to otaczają obydwa ramiona tej rzeki. Na zewnątrz ciągnie się na okół wysoki mur a wewnątrz dzieli je jeszcze drugi mur na dwie części. W jednej połowie znajduje się żydowskie miasto z piękną synagogą. Druga połowa lepiej zabu-

dowana, zamieszkała przez Chrześcian, ma rożne piękne kościoły i klasztory. Samo miasto Kraków leży na północy pod zamkiem w glebie nadzwyczaj tłustej i żyznej. Otacza je podwójny mur i sucha fosa z silnemi tu i owdzie wieżami zamiast bastionów. Ma siedem bram, zbudowanych dla obrony bardzo grubo i silnie. Jeźli zamek i miasteczko Kazimierz zaliczymy do miasta, to znajdziemy w niem w ogóle 75 klasztorów i innych kościołów, pomiędzy niemi najcięższe i najpiękniejsze parafialny kościół P. Maryi w rynku i jezuitski naprzeciw zamku. Ratusz jest także ciężki, włoskim sposobem zbudowany, przy nim sukiennice, długie sklepienie na rynku, zapełnione różnemi kosztownemi towarami. Rynek sam jest wielki, na okół zabudowany samemi wspaniałemi pałacami, po większej części struktury włoskiej z płaskiemi dachami. Większa część tutejszych zegarów bije 24 godzin, zaczynając od zachodu słońca. Pomiędzy innymi narodami znajdzie tu bardzo wielu włoskich kupców.

Dnia 6 lipca z Krakowa przez obydwa mosty na Wiśle do Wieliczki (*nach der Welice*), jedna wielka mila. Nie daleko Kazimierza przejeżdża się przez górę popod kaplicą, przy której bliziutko znajduje się usypany pagórek, uchodzący za grobowiec Krakusa, pierwszego monarchy polskiego i fundatora Krakowa. Po prawej ręce widać dwie małe wsie Wola i Brokaska [1]) a po lewej piękne opactwo Mogiła. Jeszcze przejeżdża się po lewej ręce przy wsi bez kościoła, Kossocice (*Goczecze*) [2]), potem przy wsi z kościołem Bogucice, co po polsku znaczy tyle, jak niemieckie *Gottesbrüste*, dla tego że leży w pięknem do hodowania bydła miejscu.

Tuż obok na wschód leży Wieliczka, otwarte miasto z ładnym kamiennym kościołem po za obrębem domów. W samym środku miasta jeszcze jest drugi ciężko zbudowany kościół. Na wschodnim jego końcu naprzeciwko chóru znajduje się wchód do wielkich kopalń soli, sławnych na całą Polskę i Węgry. Wydają one ogromny zapas soli. Sól tę po części wydobywają z najgłębszych min w kawałach, kształtu i wielkości oxhoftu z Bordeaux a nawet większych, wyglądających jak kolumny z czarnego marmuru, potem albo je tłuką na grubą czyli czarną sól i tak je używają, albo też jeszcze ją warzą i na białą sól zamieniają. Inną

---

1) Dwoiło się tu w oczach Werdumowi, z Woli Duchackiej zrobił dwie wsie.

2) Kossocice jednak nie leżą po lewej, ale po prawej ręce.

sól znów czerpią jako słoną wodę z wyższych min nie tak głębokich i warzą z niej zaraz delikatną białą sól. Na rozkaz pana mego, abbé de Paulmiers, pojechałem tu, aby kopalnie te należące do królewskich stołowych dóbr w Polsce dobrze obejrzeć. Chciał on o nich posłać do Francyi gruntowną relacyą.

Zawiesiłem się wraz z siedzeniem z powrozów zrobionem na grubej okrętowej linie, na której kawały soli wydobywano na górę windą przez konie obracaną. Jeden z górników zawiesił się nademną a drugi podemną z zapalonemi latarniami w ręku. Oni to mieli mi na dole wszystko pokazać a zarazem zapobiegać temu, żeby lina okrętowa, tak daleko na dół spuszczona, nie uderzała ze mną o ściany. Dziura, którą się na dół spuszczałem, liczyła więcej niż cztery stopy (*Maasschuh*) w czworobok. Ściany jej składały się z belek sosnowych na poprzek na sobie ułożonych. Naliczyłem ich, spuszczając się na dół, do dwóch set. Według tego obliczyłem głębokość szachtu na tyleż stóp. Tuż przed sobą, spuściwszy się na dół, widzi się kaplicę z krzyżem i kilku obrazami, przed któremi pali się ciągle kilka lamp. Trochę dalej przy wejściu do jednej miny już wyczerpanej wisiała wielka tablica, na której zapisano rok i dzień, kiedy Jan Kazimierz, wtedy książe, później król polski, zwiedzał tę kopalnię, uczęstowany tu wspaniale przez ówczesnego solmistrza Aleksandra Morsztyna. Trochę dalej niedaleko od siebie znajdowały się dwie stajnie dla koni. W każdej z nich znajdowało się po siedm par koni, które tu żywiono, spuściwszy je poprzednio na dół, aby na mocnych powrozach i przy pomocy pewnych maszyn, ustawionych tu i tam w dogodnych miejscach w minach, przyciągały wielkie kawały soli z miejsca, gdzie je wyrąbywano, aż pod ową dziurę, gdzie je w górę windowano. Od miejsca tego były łomy, w których wtedy pracowano, oddalone o więcej jak 1,300 kroków Szło się tam przez same wypróżnione miny, z których niektóre były szerokie i wysokie, niektóre wązkie i tak niskie, że pod poprzecznemi belkami, które je podpierały, było trzeba się czołgać. Było to tam, gdzie miny szły przez ziemię. Po większej części jednak szły przez twardą skałę. Łomy, w których obecnie pracowano, znajdowały się także w wielkiej skale, wyrąbane, jakoby przestworne wysokie kamienne sklepienie więcej niż na strzał z muszkiety w dłuż i szerz a mimo to jednak sól w tej samej jakości ciągnęła się dalej. W bok od jednej z tych min wydrążyli w dół jeszcze jeden szacht, tej samej głębokości jak ten, w którym się znajdowaliśmy, aby się przekonać, czego się spodziewali, czy jeszcze głębiej także sól znajdą.

Obecnie pracowało tutaj przeszło 100 ludzi. Stósownie do tego czy sól ma wielki lub mały odbyt, musi tu więcej lub mniej pracować. Jeden z nich stoi zawsze na dole przy dziurze, drugi zaś u góry przy otworze, aby głośnem wołaniem dawać sobie znać, czego potrzeba. Góra, przy której leży Wieliczka, ciągnie się od *Alpes Pannonici* ku Krakowowi i zawraca tutaj ku północnemu wschodowi. W tym zakręcie czyli tej zatoce leży ta kopalnia. W dole w tych minach było tak zimno, żem się trząsł od zimna, choć były to dnie kanikuły a powietrze tak gorące, że dnia tego grzmiało. Wydobywszy się znów na świat, musiałem z solmistrzem znakomitym Polakiem ze szlachty, pójść do jego pokoju, w którym dla ciągłego dozoru mieszkał. Tutaj, okazując mi dużo grzeczności, uczęstował mnie dobrym łykiem węgierskiego wina. Najwyższy oficer prymasa bowiem, pan Stanisław Piotrkowczyk kazał mnie jemu polecić przez jednego jeźdzca, którego posłał ze mną. Jeszcze tego wieczora wśród grzmotu i piorunów wróciłem konno do Krakowa.

Dnia 7 lipca nad wieczorem z Krakowa przez dziwnie tłustą glebę do Mogiły, jedna mila. Jest to wspaniałe opactwo z pięknym kamiennym domem mieszkalnym dla opata wraz z wielkim dobrze zbudowanym kamiennym kościołem, przy którym jeszcze stoi drewniana kaplica Opactwo to Mogiła bierze imie swoje od pagórka, który wznosi się tuż w pobliżu na polu a w którym ma być pochowana sławna królowa Wanda, panująca niegdyś w tych stronach.

Z miejsca tego ciągle przez urodzajne grunta i przez wieś z kościołem Pleszow (*Jenow*), pozostawiając na widoku po prawej ręce szlachecki dwór Branice a po lewej wieś z kościołem Ruszcza (*Raschow*), dalej znowu po prawej ręce miasto i zamek Proszowice [1]) na górze należące do Lubomirskiego wojewody krakowskiego, do wsi z kościołem Igołomi (*Dolegni*) i do Złotnik, dwie mile. Dwór ten z wsią obok należy do siechowskiego opata Franciszka Prażmowskiego, brata prymasa. Cała ta okolica składa się z urodzajnych gruntów, w których atoli chwast, który my w Harlingerlandzie nazywamy Riddyck, kwitł tak gęsto, że zakrywał prawie wszystko zboże, choć go ludzie pilnie pełli, oczyszczając z niego bez różnicy pszenicę, żyto, jęczmień, proso, groch, fasolę i t. d.

---

1) ***Proskowice.*** **Pomylił się tu Werdum, Proszowice leżały bowiem po lewej ręce i daleko od drogi.**

Dnia 8 lipca jeszcze ciągle przez dobre grunta do wsi Wawrzęczyce, potem przez otwarte miasteczko Brzesko [1]), do Chebdowa, dwie mile. Jest to opactwo zakonu Premonstratensów, które na południowym wschodzie wymienionego miasteczka wznosi się bardzo wesoło nad Wisłą. Dalej przez wieś z kościołem Stare Brzesko (*Taredrisko*) i przez drugą bez kościoła Jaksice, pozostawiając po prawej ręce na widoku nad Wisłą dwór Wojnice [2]) a po lewej ręce jeszcze inną wieś z kościołem, do Koszyc, półtrzeci mili. Jest to otwarte miasteczko z kościołem. Drugi kościół wznosi się na górze przed miastem. Z miejsca tego do przejazdu przez Wisłę ćwierć mili. Rzeka jest tutaj dość szeroka i unosi piękne łodzie. Na strzał działowy od tego miejsca przeprawia się znów promem przez rzekę Uszew a potem przez żyzne pole do wsi Zabarów (*Zobrcye*) dwie mile i ćwierć.

Dalej przez las dębowy, przez wieś Śmietana, co po polsku znaczy tyle co niemieckie *Milchrahm*. Długi szereg domów nazwany Wola Radłowska ciągnie się potem wzdłuż jeziora do Radłowa, półtory mili. Jest to piękna wieś z dobrze zbudowanym kościołem i bardzo zgrabnym zamkiem i ogrodem. Potem najprzód przez piaszczyste grunta, dalej przez nieurodzajne pole do Tarnowa, jedna mila. Na ćwierć mili od tej miejscowości przejeżdża się przez stare ramię Dunajca a tuż potem przeprawia się na promie przez teraźniejszą rzekę. Wpada ona potem do Wisły, jest atoli tutaj szersza, prędsza i głębsza niż sama Wisła. Tarnów jest zgrabnem miastem, ma wały z ziemi a na nich u góry na około mur z balustradami i silne wieże na skrzydłach wraz z suchą fosą na około. W mieście znajduje się ciężko zbudowany kościół z kamienia i wiele innych domów włoską strukturą. Zamek wznosi się trochę na zachód od miasta; należy wraz z miastem do ks. Aleksandra na Ostrogu, siostrzeńca w. hetm. Sobieskiego. Za komendanta w tym zamku miał pułkownika Kurowskiego.

Potem przez piaszczyste grunta do wsi Terlikówka (*Likowo*) a dalej przez Pogórską Wolę, wieś z karczmą nad jeziorem w lesie leżącą, półtory mili.

Dnia 9 lipca ciągle przez krzaki do Zdżarów (*Dziore*) i Grabin półtory mili. Obie te wsie nie mają kościołów. Przy ostatniej widać po prawej ręce z daleka w dolinie miasto Pilzno (*Piletzna*) a w niem kościół z wysoką wieżą. W lesie wspomnianym tak

---

[1]) To jest Nowe Brzesko.

[2]) Takiej wsi nie ma tutaj.

często popełniają rabunki i morderstwa, że, jadąc mniej jak godzinę, spotkaliśmy przy drodze siedm kup gałęzi, pod któremi nieznanych zamordowanych ludzi pochowano, rzucając na grób gałęzie, aby ich dzikie zwierzęta z ziemi nie wydrapały. Rosną tu dziko różne lekarskie i kuchenne rośliny, jako to ***Melilotum***, ***Hypericon***, ***Thymian***, szałwia, dalej dzwonki, fijołki (***Grassvioletten***), malwy i t. p.

Wiązka skręconej słomy zatknięta na kiju na dachu znaczy, że w domu tym sprzedaje się biały chleb, tak samo jak w całej Polsce koło na palu zatknięte na szczycie domu oznacza, że tutaj opłaca się cło.

Z Grabin do Dembicy, jedna mila. Jest to otwarte miasteczko, przed którem płynie rzeka Wisłoka, która teraz miała tak mało wody, że było można przez nią przejechać na koniu. Grunta są tu piaszczyste i kamieniste, po drugim brzegu zaś rozciąga się iłowata równina. Potem przez bardzo dobre grunta do Sepnicy, wsi bez kościoła, dalej przez kościelną wieś Lubczyna, a potem do Brzezówki, półtory mili. Jest to licha wieś, gdzie po lewej ręce widać w dolinie zamek i wieś Skrzyszów (*Skillow*). Dalej przez żyzne grunta do wsi Pietrzejowa (*Vietriowa*), leżącej po obu stronach strumienia. Po prawej ręce widać tu miasto Ropczyce (*Radszyce*). Dalej obok kaplicy Piökla [1]) do wsi Dąbrowa półtory mili. Potem przez wieś Trzciana (***Psiana***), gdzie w dolinie widać leżące miasto Głogów, dalej do Świlczy (***Swinziow***), jedna mila. Jest to ładna wieś z kościołem. Cała ta okolica składa się z urodzajnych pagórków; doliny pomiędzy niemi zarosłe są drzewami i małemi krzewami.

Dnia 10 lipca przez piaszczyste grunta do Przybyszówki, wsi bez kościoła w dolinie nad jeziorem i dalej do Rzeszowa, jedna mila. Miasto to leży nad rzeką Wisłok w drugiej dolinie. Należy do kawalera Lubomirskiego, jak go zwykle nazywają, dla tego, że jest maltańskim kawalerem; jest to syn sławnego marszałka Lubomirskiego. Wał z ziemi z drewnianą balustradą je otacza. Na przedmieściu stoi śliczny kościół, a jeszcze lepszy w mieście, obydwa z kamienia; prócz tego drewniany szpital. Ciężko zbudowany zamek wznosi się na południe od miasta nad jeziorem. Wszystko to znajdowało się w bardzo dobrym stanie przed wojną kozacką. Teraz zaś po niej wszystko jest spustoszone.

---

[1]) Nazwy tej nie umiem wytłómaczyć.

Przed wschodnią bramą miasta widać z daleka po prawej ręce wieś z kościołem Zwięczyca (*Slinzna*).

Z Rzeszowa przez Krasne, wieś bez kościoła, gdzie po lewej ręce w dolinie widać miasto Łąkę (*Lionko*) [1]), dalej przez Strażów, wieś bez kościoła i jeszcze przez drugą taką wieś Krzemienica (*Trzeminieci*) do Łańcuta (*Lansuta*), dwie mile. Jest to miasto, leżące na wysokości nad głęboką doliną. Zamek wznosi się o kilka set kroków na wschód z wykładaną suchą fosą i wałami z ziemi wraz z czterema regularnemi bastionami otoczonemi także ziemnemi fortyfikacyami. Wewnątrz zaopatrzony jest w zgrabne zabudowania i cztery wieże. Choć zaś leży na wysokim pagórku, ma jednak studnie obfitujące w wodę. Kiedy jednak z dział, stojących na wałach, cztery lub pięć razy dadzą ognia, znika woda w ziemi i wraca dopiero po kilku dniach. Miasto to należy do starosty spiskiego, brata kawalera Lubomirskiego.

Z miejsca tego przez Soninę i Głuchów (*Sloninc und Gluko*), z których dwóch wsi pierwsza leży na wschód, druga na zachód jeziora, dalej przez wieś z kościołem Kosina a potem przez Rogoźno i Nowosielce, dwie wsie bez kościołów, do Przeworska, półczwarty wielkich mil. Jest to obwarowane miasto, wałem z ziemi a na nim murem z kilku wieżami otoczone.

Sucha fosa, która się ciągnie na okół, nie jest bardzo głęboka i wielce zapuszczona. W mieście znajduje się kościół z kamienia i klasztor Bernardynów. Z miejsca tego przez Rozborz, wieś z papieskim kościołem, przy której w pobliżu na wschód leży ruska wieś, a potem przez dziwnie tłuste pagórki, na których po prawej stronie wznosi się piękny klasztor, do Jarosławia, półtory mili. Miasto to już wyżej opisano. Parobcy nasi upili się w Przeworsku i zaczęli w drodze z polskim szlachcicem, także podpitym, niebezpieczną zwadę, którą ledwieśmy wieczorem zażegnali.

Dnia 11 lipca tą samą drogą, co w kwietniu b. r., aż do Jaworowa, siedm mil a dnia 12 lipca aż do Lwowa [2]) także siedm mil. Opis dwóch tych miast już podano. Zresztą, jako wielką osobliwość dodać muszę, że 14 lipca tegoż roku — bośmy się

---

[1]) *Lionko*, zdaje się, że Łąka, która atoli nie jest miastem, lecz wsią.

[2]) Porównaj co o tym pobycie francuzkiego agenta we Lwowie pisze Sobieski pod dniem 16 lipca w cytowanym już po kilka kroć zbiorze Helcla.

tutaj zatrzymali — około godziny dziewiątej przed południem przy końcu lwowskiej miejskiej fosy, która ciągnie się na około zachodniego wału i okrągłej wieży, Masztarnią zwanej, wszystka woda w jednej chwili nabrała koloru krwawego. Zbiegło się wtedy niezliczone mnóstwo ludu, przypatrując się temu z wielkim podziwem i przestrachem. Na rozkaz od pana mego, abbé de Paulmiers, musiałem także tam pójść i wziąć ze sobą służącego, który nam dla lepszej obserwacyi przyniósł wielką flaszkę z tą wodą do domu. Wydawała się ona rzeczywiście początkowo na dobre koloru cynobru, lecz kiedy przez kilka godzin postała, oczyściła się u góry a czerwoność spadła na dół, tak że czystą wodę było można zlać a potem pozostałą pisać jako czerwonym inkaustem, który atoli po kilku dniach zbladł i zeszarzał. Ja z mej strony jestem przekonany, że popy (*Pfaffen*), aby zabobonnemu ludkowi napędzić strachu i zachęcić go do hojności dla duchowieństwa i ubogich, pewno wsypali farbę do fosy; przemawia za tem, że ten koniec fosy oddzielony był od drugiego końca północnego, niżej położonego, tamą z ziemi. Tama ta atoli nie zamykała go szczelnie, lecz przepuszczała ponad sobą i przez siebie wodę. Tutaj więc przepływała czysta farba a około południa już znów woda miała pierwotny swój kolor. Tymczasem tłómaczono to wtedy w Polsce jako cud i jako oznakę zaczynającej się wtedy tureckiej wojny a łatwowierni ludzie roznieśli o tem wiadomość po całym świecie.

Dnia 23 lipca z ruskiego Lwowa przez głębokie drogi i krzaczaste góry do Lesienic, jedna mila. Jest to zajazd nad drogą, wieś tej samej nazwy leży więcej na prawo u stóp krzaczastej góry.

Dnia 24 lipca przez żyzne grunta porosłe tu i owdzie drzewami a potem przez wieś z kościołem Mykłaszów, przy której przejeżdża się przez most na małej rzece Biłce, a dalej pozostawiąc po prawej ręce wieś z kościołem Jakmica[1]) do Glinian, półtrzeci mili. Było to niegdyś wielkie miasto położone nad jeziorem w bardzo urodzajnem miejscu. Miało ono wał z ziemi z szeroką fosą na około, o ile go jezioro nie zakrywa. W mieście jest kościół papieski i dwa ruskie czyli greckie a prócz tego jeszcze jeden na przedmieściu. Teraz atoli jest zupełnie spustoszone, tak że tylko parę domów i owe cztery kościoły, wszystko z drzewa, nędznie na nowo odbudowano.

---

[1]) Nie wiem coby to za wieś była. Podobnej nazwy nigdzie tu nie ma.

Potem przez wesołą równinę o moczarowatych gruntach, w których trawa i koniczyna wraz z innemi ziołami bardzo bujnie i wysoko rosną i gdzie się po prawej ręce widzi na górze miasto i zamek Gołogóry a w pobliżu nieco niżej jakieś opactwo, na lewo zaś wieże zamku buskiego (*des Schlosses Bugski*), leżącego nad Bugiem, aż do Skniłowa, jedna mila. Jest to mierna wieś z kościołem. Po prawej ręce leży w pobliżu taka sama wieś Bortków. Z miejsca tego przez tę samą równinę i przez wieś z kościołem Bełzec, pozostawiając po lewej ręce na widoku w dolinie nad tą samą rzeką Bugiem miasto i zamek Białykamień, do Złoczowa (*Sloziow*), dwie mile. Na wspomnianej równinie i we wsi Bełzcu rośnie dziko pewien rodzaj wiszni na krzakach (*Strauchkirschen*), nie wyższych nad dwie piędzi. Na nich wiszą gronami małe czarne, ale bardzo smaczne winnego smaku jagody [1]). Złoczów ma długie przedmieście z drewnianych domów pomiędzy pagórkiem i naprzeciw leżącem jeziorem w stronie północno-wschodniej. Miasto samo z drewnianych domów złożone jest wcale zgrabnie zbudowane około czworobocznego rynku i przeważnie zamieszkałe przez Żydów, których mnóstwo na całem Podolu i Rusi. Na wschód od miasta leży zamek na wysokim pagórku dobrze obwarowany wałem z ziemi i bastionami z płytów kamiennych wraz z wyłożoną fosą. Miasto i zamek należą do wielkiego hetm. i marsz. kor. Jana Sobieskiego.

Dnia 25 lipca przez dziwnie tłuste, czarne i bujne grunta do wsi Płuhów, co po rusku znaczy tyle co pług. Kościół miejscowości tej słomą kryty, bardzo nędzny stoi u stóp góry; potem do Zborowa, dwie mile. Przed laty było to duże, ładne miasto, otoczone od północy wałem z ziemi, od południa jeziorem. Kiedy zaś mieszkańcy w czasie oblężenia Kozaków i Tatarów sądzili, że od strony jeziora nie grozi im żadne niebezpieczeństwo, przepłynęli Tatarzy konno jezioro, napadli miasto i wymordowali lub uprowadzili wszystkich, których w niem znaleźli, tak że z dziesięciu tysięcy mieszkańców teraz ledwie tu dziesięciu było. Potem przez jednostajnie bujne ale nieuprawione pola, pozostawiając po lewej ręce na widoku miasto Tarnopol i Jeziernę (*Jekoinie*), do Kozłowa, półtory mili. Miasto to leży tak samo jak Zborów pomiędzy jeziorem i wałem z ziemi. Dawniej mieszkało w niem więcej jak cztery tysiące ludzi a teraz nie było w niem żywej duszy

---

1) Te jagody, nad któremi się tak dziwił Werdum, są to niewątpliwie zwykłe nasze czernice czyli borówki (*Vaccinium myrtillus*).

prócz karczmarza, który tu wystawił sobie chatę i sprzedawał piwo przejeżdżającym. Tutaj dognaliśmy kawalera Lubomirskiego wraz z jego kompanią konnych kyrasierów, których Polacy nazywają pancernymi, dla tego, że zamiast zbroji noszą *Jacque de Mailles* (kurtki druciane) a zamiast szyszaka płaski czepiec z drucianą obwódką na około głowy spadającą aż na ramiona. Szedł on z tą kompanią do obozu w. hetm. Sobieskiego, dokąd i my zdążaliśmy. Jechaliśmy więc razem przez piękną równinę ale nie uprawioną do Mikuliniec, dwie mile. Po prawej ręce widać kościół miasta Kozowa (*Kosohne*) leżącego w pobliskiej dolinie. Mikulińce jest ładne miasto w samym środku jeziora pomiędzy bardzo wesołemi pagórkami i krzakami położone, woda otacza miasto i płynie przez nie, oddziela je też od zamku. Przez wspomniane krzaki prowadzi przyjemna droga pomiędzy młodemi dębami od miasta do wsi Vloski [1]), leżącej po drugiej stronie na dole u stóp góry, od Mikuliniec pół mili.

Dnia 26 lipca w nocy wzdłuż góry a dalej przez bardzo urodzajne grunta, pozostawiając po prawej stronie miasto Trembowlę, przez miasteczko Janów, potem przez wieś Jabłonów, przy której usypano mały szaniec, do Kopyczyniec (*Kopinice*), pięć mil. Jest to otwarte miasteczko na trzech pagórkach położone, które otacza i przedziela jezioro. Zamek leży z boku i jest zupełnie opustoszały. Grunta tu na okół nie są nieurodzajne. Potem przez krzaczaste i kamieniste góry, dalej przez żyzną równinę do Czernichowa, dwie mile. Tutaj spotkaliśmy polską armię [2]) stojącą w polu, rozłożono się tu obozem na pochyłości. Wielki hetman rozkazał panu memu abbé de Paulmiers nibyto jako królewskiemu inżynierowi, ażeby obozował przy jego przybocznym pułku dragonów, którego podpułkownikiem był monsieur de Bohan, szlachcic luksemburski. W pobliżu jego namiotu rozbijaliśmy potem przez całą kampanią nasz własny. Czernichów jest to wieś z zamkiem, który w co dopiero ubiegłych dniach po walecznej obronie Tatarzy wzięli szturmem i wymordowali wszystkich ludzi, nie wyjmując kobiet i wielu dzieci, którzy się tu schronili. Ludzie nasi widzieli ciała ich leżące jeszcze nie pochowane.

---

1) Nie umiem powiedzieć, coby to była za miejscowość.

2) O przybyciu agenta do obozu donosi Sobieski żonie dopier w dniu 24 lipca z pod Kamieńca. Zobacz Helcel II, nr. 61.

Dnia 27 lipca przez piękne pola, gdzie tu i owdzie stoją drzewa, do miasta Zbrzyź (*Brzesa*) [1]), dwie mile. Podaję tutaj teraz podolskie czyli ukraińskie mile, z których każda jest pewno podwójnie tak duża jak polska. Mile te jeszcze się ciągle zwiększają, kiedy się zbliża do tureckiego kraju. Stają się tu tak długie, że się już nie liczy według mil, lecz według dni podróży. Miasto Zbrzyź leży nad mostem rzeki Zbrucz na wysokiej górze. Otacza je mur, a na północnym wschodzie wznosi się zamek z kamiennemi fortyfikacyami. Obóz rozbito przy miejskim murze. Zakonnicy, którzy w armii msze odprawiali, jeździli tutaj po większej części konno, z brewiarzem pod prawą ręką a szablą przy lewym boku. Spowiednik w. hetmana zaś O. Przeborowski [2]), Jezuita, jeździł z towarzyszami swymi karetą. Ponieważ zaś nie należał do stronnictwa francuzkiego, zwykli Francuzi nasi nazywać ironicznie ten pojazd naszą matką-kościołem, dla tego, że świętości w. hetmana w nim były zebrane: *Voi'à notre mère l' Eglise, qui marche.*

Dnia 28 lipca przez bardzo wysokie pagórki, pozostawiając po prawej ręce na widoku nad wspomnianą rzeką Zbruczem miasto Skałę, rozbito obóz pod Oryninem, trzy mile. Na wspomnianych pagórkach i dolinie przed niemi się rozciągającej rosły prócz bardzo bujnej trawy i szerokiej wysokiej koniczyny także różne lekarskie i kuchenne zioła, jako to *Asperges* [3]), pewien rodzaj karczochów, macierzyca ogrodowa, szałwia, nostrzyk, ślazik, rzepik, *Consolida maior et minor*, po niemiecku nazwane *wild und zahm heidnisch Wundenkraut* albo też *Herba Saracenica*, dalej piołun, podróżnik, dziurawiec i ogromne mnóstwo owych już wyżej wspomnianych wiszenek na krzakach [4]). Spotykano też w tych nie-

---

[1]) Miasto to założone r. 1646 zwało się pierwotnie Brzeziem. Baliński i Lipiński Star. Polska II, 969. Na karcie Chrzanowskiego Zbrzezie.

[2]) Wspomina o nim także po kilka razy Sobieski w listach do żony. Zobacz Helcel II, 22, 77. III. 74, 153 i 155. Było mu na imie Adam.

[3]) Jest to szparag pospolity.

[4]) Ustęp ten brzmi tak w oryginale: „An gedachten Hügeln und daran liegender Ebene wachsen neben sehr geilem Grase und breitem hohen Klee, auch allerhand Medicinale und Küchenkräuter, als Asperges, eine Art von Artischocken, Majoran, Salbey, Melilotum, Malva, Agrimonium, Consolida maior et minor oder wild und zahm heidnisch Wundenkraut, sonst auch Herba Saracenica genannt; desgleichen Wermuth, Cichorea, Hypericon und andere mehr, sammt überaus grosser Menge von Strauchkirschen, deren oben gedacht".

zamieszkałych i nieuprawianych pustych polach różne wielkie kopce, w których podobno bohatyrów w dawnych czasach chowano. Teraz rozrzucają i rozkopują je kozaccy chłopi, bo wydostają z nich dużo saletry, którą w ogóle na Ukrainie i na Podolu często się znajduje, umieją oni sami robić z niej proch do strzelb. Orynin był dawniej wielkiem miastem nad stojącem jeziorem, lecz wraz z zamkiem spalili je Turcy a teraz stoi zupełnie spustoszone.

Dnia 29 lipca przez góry i skały po drugi raz przez rzekę Zbrucz [1]), która tutaj jest bardzo miałka, rozbito obóz pod Laskowcami (*Dziewkowske*), tylko o pół mili. Jest to wieś z dworem położona na zachód od rzeki.

Dnia 30 lipca posunął się obóz przez bardzo żyzne grunta o ćwierć mili dalej do Kamieńca Podolskiego. Jest to stolica Podola, nazwa jej znaczy po niemiecku *podolisches Steinhaus*. Leży na skale, otoczonej na okół rzeką Smotrycz, tylko że na południowo-zachodniej kończynie skała ta łączyła się z drugą, na której stoi twierdza. Przez tę odnogę skały wykuto kanał, tak że teraz rzekę przeprowadzono na około. Płynie ona od Wołynia po pod miastem, które się także zwie Smotrycz a o milę poniżej Kamieńca przy miasteczku Żwaniec wpada do Dniestru, który u dawnych historyków zwie się Tyras. W tem miejscu naprzeciw ujścia tej rzeki po stronie mołdawskiej leży miasto Chocim, z turecką załogą, którą tam hospodar mołdawski cierpi. Po nad wspomnianym kanałem wznosi się sklepiony łuk z ciężkich pięknie wyrobionych płyt kamiennych a w górze po nad tem sklepieniem prowadzą jeszcze od miasta do twierdzy ośm innych sklepionych łuków, na których spoczywają mosty od jednej skały do drugiej. Środkowy łuk z tych ośmiu ma nadzwyczajną wysokość. Aż ciemno się robi przed oczyma, patrząc z tego mostu na dół na rzekę. Zamek ze wschodu, południa i północy ma naturalną warowność w stromości i wysokości skał, na których się wznosi, prócz tego zaś jest z boków silnie ufortyfikowany murami i wieżami. Bok zachodni leży przy wielkiej wysokiej równinie. Tutaj obwarowano go wprawdzie podług dzisiejszego sposobu fosami, wałami i innemi ziemnemi

---

Consolida maior jest to *Symphytum officinale L.* czyli żywokost lekarski. *Consolida minor* jest to *Prunella vulgaris L.* czyli głowienka pospolita. Zresztą tylko ta ostatnia zwie się także *Herba Saracenica*. Wszystkie wyjaśnienia botaniczne zawdzięczam uprzejmości szanownego kolegi dra Tangla, doc. botan. przy uniwersytecie lwowskim.

[1]) Tutaj pomylił się Werdum. Nie przez Zbrucz przeszła tu armia, lecz przez rzekę Żwaniec.

robotami, lecz fortyfikacye te są źle założone i nie długo dałyby się bronić, gdyby je według reguł sztuki zaatakowano. Zamek zaś zajęty dominuje nad miastem. Twierdza ta zatem prędzej osłabia niż wzmacnia miasto. Zresztą ma miasto to z natury niezwykle warowną pozycyą, zważywszy że je wspomniana rzeka Smotrycz ze wszystkich stron otacza i że po obu brzegach tak wewnątrz jak zewnątrz tak strome i wysokie skały, jakoby mury, przystępu do niego bronią, tak że nie potrzeba mu niezwykłych fortyfikacyi, jeśli tylko trzy lub cztery stoki, nieco mniej strome, stósownie się zaopatrzy. Teraz atoli wszystko leżało opustoszałe i nie zabezpieczone. Miasto dzieli się na trzy części; południową zamieszkują Ormianie i mają tutaj swój osobny rynek, ratusz, piękny kościół i dużo dobrze wybudowanych kupieckich domów. Środkową część zajmują Rusini wraz z dużym miejskim domem, na którym wysoka wieża, i kilkoma ładnemi kościołami greckiej religii. Na północnej stronie mieszkają Polacy, którzy także mają tam swe kościoły, ratusz i rynek. Każda część ma swą osobną zwierzchność, która stosownie do spraw i osób wydaje orzeczenia. Prócz tego mieszka tu jeszcze więcej jak siedmdziesiąt żydowskich rodzin, których starszyzna sprawuje także sądownictwo nad swoimi, i to tak bez ograniczenia, że mogą używać żołnierzy z zamku do wykonania swych wyroków. Mają dwie synagogi, jedną w mieście, drugą po za niem. Papiści mają sześć kościołów: farę, jezuitski kościół, jakobiński, franciszkański, św. Marcina i jeszcze jeden mały klasztor zakonnic na dole u stóp góry wraz z kościołem. Ormianie mają tylko jeden, ale najpiękniejszy ze wszystkich. Rusini mają trzy w mieście: św. Mikołaja, św. Aspazego i jeszcze trzeci, jako i na żydowskiem przedmieściu czwarty, który jest tylko mały. Grunta tutaj na około są tłuste i dość bujne, gdyby je tylko uprawiano.

Dnia 20 sierpnia. Kiedy armia polska przez trzy tygodnie tutaj na górze pod zamkiem obozowała, pozostawił w. hetm. piechotę i artyleryę pod dowództwem starego generał-majora Koryckiego w tym obozie, a sam wyruszył z całą konnicą, przeprawił się przez rzekę po miejskim moście i poszedł dwie mile przez równinę do Niedoborowa [1]). W pobliżu miasta uprawiają grunta, reszta leży odłogiem. W nich widać wiele pagórków czyli grobowców starych bohatyrów. Z boków zamykają je świerkowe krzaki, wprawdzie nie szerokie, lecz ciągnące się daleko wzdłuż. Przy tem miejscu Niedoborowie widać było po prawej ręce dwie małe

[1]) Nie mogłem na karcie Chrzanowskiego znaleźć tej miejscowości.

wsie a po lewej jedną, wydające się opustoszone. Z miejsca tego najprzód przez górę, potem przez moczarowatą równinę do Zieliniec, półtrzeci mili. Jest to licha spustoszona wieś. Wszystkie pola leżą odłogiem. Przy lesie po prawej ręce leży wioska i nieco dalej po tej samej stronie Balin zamek i opustoszała wieś.

Dnia 21 sierpnia przez żyzną ale nieuprawną równinę, w której tu i owdzie małe moczary a po bokach dużo dębowych krzaków. Liście tej dębiny tkwiły pełne narości, zwanych *Polypodia*, tak że czasami siedziało na jednym liściu siedm lub osiem niezwykłej wielkości. Rosło tu także dziko wiele krzaków malin i wielkie mnóstwo bardzo pięknych i smacznych szparagów (*Asperges*) i karczochów, które się tem różnią od kultywowanych, że u góry mają tylko krótkie grube liście w guzik zwinięte, na dole zaś gruby delikatny pniak. Ta równina ciągnie się tak aż do Sołotkowic dwie mile. Jest to małe przy pagórku położone miasto, z trzech drugich stron otoczone moczarami i strumieniami. W mieście widać rudera pięknego klasztoru. Są w niem jeszcze dwa czy trzy ruskie kościoły. Obok wznosi się zamek z kamienną fortyfikacyą w gwiazdę zbudowany z murem i wykładaną, wązką, suchą fosą.

Potem przez takie same grunta, ale krzaczaste, do Zinkowa półtory mili. Miasto to i zamek należą do pana Sieniawskiego [1]), chorążego koronnego. Leży nad strumieniem [2]), który tu płynie przez głęboką dolinę. Z miasta nic nie pozostało jak tu i owdzie kawał muru, który je otaczał i rudera dwóch kościołów; zamek wznoszący się na wysokości przed miastem także był po większej części spustoszony, zresztą ładnie zbudowany, z czterema wieżami w czworobok wzniesiony. Znieśli do niego kozaccy chłopi swoje zboże, chroniąc je przed wycieczkami Tatarów. Potem przez gołe pole, w którem po pół mili marszu rozbito obóz.

Dnia 22 sierpnia przez dobre żyzne grunta, złożone w tych stronach z samych pagórków i dolin a pomiędzy niemi tu i owdzie z krzaków dębowych, lecz bez wszelkiej uprawy, tak że tylko dziko tu rośnie dużo zielska i trawy, aż do zamku Daszkowce (*Daszoti*) leżącego po prawej ręce, dwie mile. Dalej przez takie same krzaki i nieuprawne puste pola aż w pobliże Baru, dwie mile.

Dnia 23 sierpnia przez bardzo urodzajne i dobrze uprawione grunta aż do Baru pół mili. Było to przedtem bardzo duże ludne i w piękne kościoły, klasztory i inne budowle zaopatrzone miasto,

---

1) *Grana Csinowski.*

2) **Rzeczka ta jest to Uszyca.**

teraz zaś jest w większej części zupełnie spustoszone. Na północy wznosi się przy mieście zamek, otoczony grubym murem i czterema kamiennemi basztami, pomiędzy któremi brama prowadzi do miasta. Przed nią znajdują się jeszcze niektóre fortyfikacye z ziemi. Miasto przedzielają grube palisady na dwie części, z tych wschodnia większa, na zewnątrz leżąca, stoi pusta prawie zupełnie bez mieszkańców. Wewnętrzna część jest trochę zaludniona ale nędznie zbudowana, choć rudera pokazują, że znajdowały się tu dawniej ciężkie budowle. Pomiędzy innemi stoją jeszcze znaczne ruiny po starym ratuszu, nad którego sklepionemi drzwiami znajdowały się następne wyrazy wykute w kamieniu: *Deliberare mora tutissima est.* Blisko ratusza znajdowała się żydowska synagoga, po której także jeszcze pozostały znaczne resztki muru z wielu hebrajskiemi napisami. Teraz znajdują się trzy kościoły o słomianych dachach w mieście: fara przed zamkową bramą, kościół Jakobinów i Jezuitów, którzy tutaj mieli najbogatszy klasztor w całej Polsce, bo do niego należało pewnie jakie czterdzieści wsi, teraz zaś zaledwie czterdziestu chłopów. Rusini czyli Grecy mają także jeszcze dwa kościoły a Żydzi małą synagogę. Ci ostatni mają swe grobowce na północy naprzeciw zamku poza miastem, gdzie jeszcze mnóstwo wielkich kamiennych nagrobków z hebrajskiemi napisami po części leży, po części z ziemi sterczy. Miasto i zamek otaczają z zachodu i południa moczary, przez które płynie jezioro, Ładowa zwane. Z nich wypływa mała rzeka Rów, płynąca przy mieście. Na północy i wschodzie miało ono przed tem fosę i wały z ziemi, teraz zaś tylko palisady. Jest to starostwo, należące obecnie do w. hetm. Sobieskiego. Przed kozacką wojną przynosiło ono rocznie od dwudziestu do trzydziestu tysięcy talarów, teraz zaś zaledwie sześć do siedmiu tysięcy.

Od przeszłego obozowiska przez strumień a potem wzdłuż barskich moczarów i przez po części puste pagórki i doliny do miejsca, gdzie stała wieś Mańkowce, jedna wielka mila. Wieś ta należała do starostwa barskiego i miała wielki obwód, lecz nic zgoła po niej nie pozostało prócz licznych pięknych sadów i innych ogrodów z drzewami, które się przed tem znajdowały pomiędzy domami. Tutaj przed kilku dniami Tatarzy mieli swój obóz, co poznać było można po kupkach gołych kości, które w takim ordynku, w jakim w oddziałach stali, poskładali, objadłszy je, w porządnych kupach wcale zgrabnie w jednym rzędzie. Ich obozowiska obejmują zawsze tak znaczny obszar, że w nim i konie ich paść się mogą. Potem przez pagórki i doliny krzaczaste i strumy-

kami poprzecinane aż do wyżyny w środku lasu nad jeziorem nie daleko od miasta Stanisławczyka *(Stanislava)*, trzy mile.

Dnia 24 sierpnia przez puste pola i krzaki do wsi Potoków dwie mile. Teraz stoją tu tylko trzy lub cztery chaty, widzieć jednak jeszcze można, że dawniej zajmowały znaczny obwód, leżąc na stoku góry, u stóp której znajduje się jezioro, gdzie jeszcze widzieć można ślady małego szańcu. Tutaj chłopi jeszcze trochę grunta uprawiali. Potem przez piękny tłusty kraj do Woroszyłówki *(Voraschow)*, półtory mili. Miasto to leży w szerokiej urodzajnej dolinie, po jednej stronie ma ·rzekę Boh, którą dawni historycy zwią Epanim albo Hypanim; jest ona głęboka i spławna, ma też mało mielizn. Z drugiej strony otaczają je moczary, przez które płynie obfity w wodę strumień. Od tych moczarów zaś aż do Bohu zamyka miasto wał z ziemi i szeroka fosa. Lecz nie ma już teraz żadnych domów w niem, z wyjątkiem walącego się ruskiego kościoła z drzewa. Poza wałem znajdował się młyn wodny i kilka chłopskich chat. Reszta jest w całości spustoszona. Potem na całą noc, co koń wyskoczy, przez doliny i krzaki, moczary i pagórki do Pieczary, pięć mil.

Dnia 25 sierpnia z brzaskiem dnia spotkaliśmy obóz tatarski pod tem miastem, leżącem na brzegu Bohu. Nie jest ono zbyt wielkie, ale dobrze zabudowane i zaludnione przez naród kozacki. Tatarzy dostali języka o naszem przyjściu i uciekli na łeb na szyję. Potem przez las a dalej przez wesołą dolinę, z której widać było okolice wznoszące się ponad Bohem z pięknemi polami i licznemi wsiami. Tutaj rozbito obóz na brzegu rzeki po marszu wielkiej mili.

Dnia 26 sierpnia przez pagórki i równiny, w których tu i owdzie widać trochę uprawy i kilka ładnych strumieni, do Bracławia, jedna mila. Jest to stolica województwa od niego nazwanego. Miasto dzieli się na dwie części, dolna część jest zbudowana na płaszczyźnie, obwarowana lichym wałem z ziemi, górna część nie jest tak duża, lecz po kozacku silnie ufortyfikowana. Leży ona na szczycie podłużnej góry, która jest wyższa albo przynajmniej tak wysoka, jak wszystkie na około leżące pagórki czyli góry. Tam, gdzie ją miasto zajmuje, jest to twarda skała, u której stromego stoku płynie Boh na północy. Na wschodzie jest skała także bardzo stromą przy głębokiej dolinie, na zachodzie zaś znajduje się pomiędzy niższem i tem wyższem miastem szerokie jezioro. Tylko na południe spada góra ta powoli zamieniając się na płaską równinę; tutaj jest miasto obwarowane jak najlepiej wałami z ziemi,

suchą fosą i palisadami. Miasto jest handlowne. W górnem mieście znajduje się kościół, w dolnem zaś trzy, wszystkie greckie, bo tutaj mieszkają sami Kozacy. Tatarów tutaj pobito. Wyparto ich z dolnego miasta, gdzie się schronili, i zmuszono do ucieczki. Polska konnica puściła się za nimi niebawem w trop. Tak dostaliśmy się przez równinę do strumienia, dalej przez pagórek, przy którym leżała duża wieś; następnie przez las i drugi strumień; poczem dotarliśmy w szerokiej dolinie do małego szańcu tam usypanego, półtrzeci mili.

Dalej jeszcze tą równiną, dobrze uprawioną i bardzo urodzajną, gdzie widać było różne wsie w pięknych owocowych ogrodach po obu brzegach rzeki Boh, aż do małej rzeki, do której wpada strumień, a tam gdzie się łączą leży miasto Ładyszyn [1]) od wspomnianego szańcu półtory mili. Miasto to należy do ks. Dymitra Wiśniowieckiego, stryja króla polskiego i hetm. poln. kor. Pomiędzy miastem a zamkiem znajduje się dość szerokie jezioro; wszystko zaś, tak zamek jak miasto wraz z dwoma wielkiemi przedmieściami w wielkim obwodzie, kozackim sposobem ufortyfikowane i licznymi mieszkańcami zaludnione. Miasto leży w dolinie, zamek na górze w bardzo bujnych i urodzajnych gruntach. W ogrodach rosną tu melony i dojrzewają; sadzą tu też bardzo wiele tytoniu. Przedniejsi z miasta przyszli ze swymi popami i diakonami a kładąc ręce na ewanielię przysięgali, że zostaną wierni i przychylni w. hetm. kor.

Potem przez dwie wysokie równiny, oddzielone od siebie w środku szeroką doliną, aż do brzegu Bohu i podupadłych wałów starego polskiego obozu, tylko jedna mila. W obozie tym oszańcowało się za pierwszej kozackiej wojny 34.000 Polaków [2]); do nich przypuścił szturm kozacki generał Chmielnicki, przełamał ich i kazał wszystkim, których w pierwszej furyi nie zamordowano, później głowy pościnać, pomiędzy nimi znajdował się także najstarszy brat w. hetm. kor. Sobieskiego. Niedaleko od tego miejsca w drugiej dolinie leży miasto i zamek Batoh i jeszcze inne miasteczko Czetwertynówka. Tutaj zatrzymała się armia i przestała ścigać Tatarów, bo ci, dostawszy się na szerokie płaskie pole, rozproszyli się zupełnie na pojedynkę, tak że ich już dłużej ścigać nie było można.

---

[1]) Tam gdzie leży Ładyszyn wpada do Bohu z jednej strony Sielnica, z drugiej Sob.

[2]) Klęska pod Batohem 2 czerwca 1652, gdzie zginął także Marek Sobieski. Liczba przez Werduma podana jest bardzo przesadna.

Dnia 27 sierpnia tą samą drogą bez wytchnienia napowrót, do Pieczary, dziewięć ukraińskich mil.

Dnia 28 sierpnia inną drogą przez puste pola, krzaki i bardzo bagniste moczary aż do równiny, rozciągającej się przy lesie. Tutaj rozbito obóz, bo do dwudziestu koni padło w drodze a inne już dalej iść nie mogły [1]), przytem jeszcze padał wielki deszcz, od Pieczary trzy mile.

Potem przez równe pole, częścią uprawione, częścią puste, ale tłuste i bujne, do Krasnego jedna mila. Wyraz ten, po polsku grzeczne (!), znaczy tyle co niemieckie *schoen* i słusznie miejsce to tak nazwać można, bo tu zbiega się kilka pięknych dolin, wielkie rybne jeziora otaczają i przecinają je. Miasto leży na dwóch pagórkach, po obu stronach jezior. Jedna część, przez którą przejeżdżaliśmy, jest znaczna w planie swym. Przed tem od strony lądu zaopatrzoną była w wał z ziemi i fosę, teraz jest tu tylko palisada i siedem do ośmiu chat wszystkiego. Druga część nie jest tak spustoszona, obwarowana kozackim sposobem wałem z ziemi i balustradami z balów. Przed kilkunastu laty oblegało je 25.000 Polaków a miasto długo się broniło.

Dnia 29 sierpnia przez puste pola i wielki las, z którego widać miasto i zamek Szarogród, aż do Działowa *(Jalow)* trzy mile. Jest to szaniec w lesie, który wzięto szturmem. Proste ciury z armii splądrowały go a potem spaliły.

Dnia 30 sierpnia wróciliśmy niebawem na dawną drogę do Mańkowic i Baru cztery mile. Tutaj pozostał obóz przez cały miesiąc wrzesień [2]). Przyszedł tu także generał-major Korycki z piechotą i artyleryą dnia 12 września. O całej tej wyprawie, której w. hetman w tej kampanii na Ukrainie i w innych stronach z armią polską dokonał, spisałem na końcu tego rękopisu osobny staranny dziennik, wspominając tam o wszystkich wypadkach [3]).

Tymczasem poszliśmy po drugi raz dnia 4 października przez Mańkowce aż do dawnego obozu pod Stanisławczykiem, który wyżej opisano, cztery mile.

Dnia 5 października wysłał w. hetman cztery działa i czterdziestu dragonów do Mohilewa, z któremi szliśmy przez pagórki

---

1) Porównaj co pisze o tych sprawach Sobieski do żony w dniu 28 sierpnia u Helcla II., nr. 63.

2) Z tego pobytu w obozie pod Barem zachowały się cztery listy Sobieskiego z 15, 21 i 28 września i 3 października u Helcla II, 64—67.

3) Porównaj moją przedmowę; niestety nie posiadamy tego dziennika.

i doliny do Stanisławczyka, jedna mila. Było to ładne miasteczko, wysoko na pagórku zbudowane, z trzech stron jeziorem otoczone. Teraz jest zupełnie spustoszone, pozostały w niem tylko trzy czy cztery drewniane domy, widać jednak jeszcze ślady dawnych wałów i fosy bardzo rozległych, przyczem były jeszcze obszerne przedmieścia. Z jeziora tego wypływa rzeka Murakwa. Potem do spalonego szańca Działowa, o którym już wspomniano, jedna mila, Przy nim leży wielka wieś na pagórku, u którego stóp płynie strumień. Wytryska tu też źródło bardzo czystej wody a cała okolica pełna jest pięknych owocowych drzew.

Potem przez dębinę, większa część drzew na Ukrainie są to dęby, do pustej wsi Kopystyrzyn (*Kopistryn)*, jedna mila. Dalej przez piękną i niezwykle urodzajną równinę do Szarogrodu, jedna mila. Miasto to z zamkiem leży także wysoko na pagórku, otoczone z trzech stron wielkiemi jeziorami i rzeką[1]), która tam przepływa. Zamek jest obwarowany murem i czterema drewnianemi wieżami na rogach. Z wewnętrznej strony ku miastu niema fosy, na zewnątrz zaś ku polom ma fosę z palisadą, która to fosa i wał zakrywa zamek a wraz z zamkiem miasto z tej strony; zresztą otaczają je jeziora. Znajdują się w niem kamienny i trzy drewniane kościoły, wszystkie wyznania greckiego. Przy kamiennym stała piękna dzwonica, ale teraz jest wszystko razem spustoszone. Papiści mieli tu także kościół z klasztorem Franciszkanów zwanych Bernardynami. Klasztor był zupełnie podupadł; był tylko jeszcze jeden jedyny mnich przy życiu, który jeszcze tam mieszkał. Zresztą i tu widać liczne rudera po ciężkich gmachach. Kilka kamiennych domów jeszcze stoi. Mieszkają tu różni Żydzi a także rzymscy katolicy pomiędzy Kozakami. Wszystkiego razem tu teraz mieszka do półtrzecia sta rodzin, dawniej zaś ludność była o wiele liczniejsza. Grunta są tu na okół bardzo bujne i urodzajne, w których prócz niezliczonego mnóstwa ogórków i kawonów (*Pomponen*) rosną także najlepsze na całą Ukrainę melony. Tytoniu rosło tu dużo a w ogrodach pełno było rozmaitych innych pięknych owoców na drzewach i w ziemi rosnących. Miasto Szarogród należy do księcia na Zamościu, którego rodzina go zbudowała. Imię ma miasto od tego, który je pierwszy fundował, który miał się nazywać Szary. O wspomnianym Szarym opowiadają, że ówczesny król polski znalazł go na polu bitwy przebitego na wskróś trzema lancami, ale jednak jeszcze przy życiu. Kiedy go zaś król wielce za-

1) Jest to rzeczka Muraszka.

łował, odpowiedział Szary, że te trzy śmiertelne rany nie tak mu dolegają, jak jeden z jego sąsiadów, który wspólnie z nim posiadał połowę wsi, w której mieszkał. Król, aby ród jego uwolnić od tego złego sąsiada i dać dowód uznania waleczności jego jeszcze po śmierci jego, odkupił wspomnianą połowę wsi od tego drugiego i darował ją rodzinie Zamoyskich wraz z trzema włóczniami w herbie. Dla tego zwią ten herb także Jelita, bo Szaremu przy owych trzech włóczniach wydobywały się jelita z brzucha. Inni zaś twierdzą, że Szarogród znaczy tyle co Czarnygród czyli czarne miasto.

Potem przez rzekę Muraszkę [1]), płynącą wzdłuż wału miasta tego, przez wysokie grunta, tłuste i urodzajne i kilku kałużami poprzedzielane do Łozowy, jedna mila. Jest to wieś z ruskim kościołem, w bardzo wesołej, w zboże opływającej dolinie, przez którą płynie znaczny strumień [2]). Dalej ciągle przez urodzajne ale nieuprawne grunta, w których tu i tam poznać było można miejsca, na których przedtem stały wsie, aż do znacznego potoku, jedna mila.

Potem ciągle przez piękne, równe i żyzne pole, wznoszące się wysoko i dość stromym spadkiem, do doliny, przez którą płynie rzeka Tyras czyli Dniestr, do Mohilewa, jedna mila.

O ćwierć mili powyżej miasta leżą na brzegach Dniestru dwie piękne wsie, jedna po stronie Podola nazywająca się Serebrya (*Czerebrines)*, druga po stronie mołdawskiej Wołczyniec. Prowincyę tę, Mołdawią, leżącą po drugiej stronie Dniestru tuż obok Podola, nazywają Polacy Wołoszczyzną. W niej po prawej stronie naprzeciw Mohilewa leży wieś *Butki* [3]); wyraz *Butki* znaczy tyle co niemieckie *Hütten*. Pomiędzy dwiema temi miejscowościami znajduje się prom, do którego prawo posiada wyłącznie miasto Mohilew. Mohilew leży o dziesięć ukraińskich mil od Kamieńca Podolskiego, a siedm od Baru. Jest zbudowany w kształcie tępego trójkąta, pomiędzy Dniestrem, płynącym od południa pod miastem, i wielkiem jeziorem, które miasto zakrywa od północy. Miasto ma długości około ośmiu set kroków, szerokości w najszerszem miejscu czterysta kroków. Wschodni koniec, najwęższy, ma mur i fosę wraz z dwiema wieżami po bokach, z których jedna jest zarazem bramą. Zachodni koniec ma wał z palisadami i fosę na około

1) A nie Murakwę, jak pisze Werdum.
2) Nazywa się także Łozowa.
3) Na karcie Ohrzanowskiego wsi takiej niema.

z dwiema małemi basztami po obu końcach. Brama znajduje się tu w środku z półksiężycem przed nią. Na tym zachodnim końcu leży znaczne przedmieście, pomiędzy Dniestrem a jeziorem, prawie do szczętu spalone w początku tej kampanii przez pana Knilskiego. Na wschodnim końcu znajduje się w równej pozycyi obszerne przedmieście. Tak więc jest Mohilew w całym swym obwodzie dość obszerny, ludny i ma niezły przemysł.

Dnia 6 paździnrnika potem przez wschodnią bramę pod górę a dalej przez piękną, ale po większej części pustą równinę, poprzecinaną tu i owdzie nizkiemi dolinami, dążącemi do Dniestru, aż do małej rzeki [1]), nad którą widać kilka wsi, pomiędzy innemi także Serby (*Trebeck*), dwie mile. Jest to wielka wieś nad pięknem jeziorem położona. Potem przez równe grunta przez małą rzekę na szczyt pagórka a dalej przez równinę do Czerniejowic, jedna mila. Jest to miasteezko należące do Szarogrodu, własność rodziny Zamoyskich. Wznosi się na wysokim pagórku, gdzie Murakwa tworzy półwysep. Na odnodze ciągnącej się ku polu znajduje się mały szaniec. W mieście jest mały kościół. Potem przez nieuprawne grunta do Ścian, dwie mile. Miasto to także należy do Szarogrodu, do rodziny Zamoyskich. Jest ono bardzo ludne i dziwnie położone. Rzeka Rusowa płynie tu bardzo kręto przez wysokie strome skały tak, że z dwóch skał robi prawie zupełnie dwie wyspy, z których jedna otacza niejako drugą. Pierwsza ma kształt prawie podkowy, druga wolanta takiego, jakiego się używa do gry w piłkę, a na tej ostatniej leży miasto Ściany z zamkiem. Pierwsza jest tak wysoka, stroma i wązka, że wygląda jak mur lub wysoki wał, co też dało miejscu temu imię, bo ściana znaczy po polsku tyle co niemieckie ***Mauer***. Najwyższa część wewnętrznej wyspy, jakoby trzonek wolanta, nie jest zabudowana, lecz tworzy tylko wchód do miasta. Ma ona długość strzału z łuku i nie jest szerszą, jak że zaledwie pięć lub sześć koni mogą pójść obok siebie. Skały po obu stronach są niezmiernie strome i wysokie. Na końcu wznosi się zamek trójgraniastego kształtu. Nieco niżej leży miasto, ciągnące się przy skale więcej jeszcze na dół aż do tego miejsca, gdzie się skały kończą bardzo stromo, pozostawiając na brzegu Rusawy zaledwie trochę miejsca dla przedmieść.

Dnia 9 października potem aż do małej rzeki ***Temitwiska*** [2]) i doliny, którą płynie, ćwierć mili. Dalej przez równinę aż ku

---

[1]) Jest to Łozowa.

[2]) Nie umiem nazwy tej objaśnić.

miastu Tomaszpol, leżącemu po prawej ręce, trzy ćwierci mili. Miasto to ma nazwę swą od Tomasza Zamoyskiego, który je wybudował. Był on ojcem Jana Zamoyskiego, ostatniego z tej gałęzi, który miał za żonę córkę markiza d' Arquien, kapitana szwajcarskiej gwardyi księcia orleańskiego, brata Ludwika XIV, teraźniejszego francuzkiego króla. Jej nazwisko rodowe brzmi de la Grange a jej imię chrzestne Marya Kazimira. Ojciec jej nazywa się Henri de la Grange, Sieur de Beaumont, marquis d' Arqien, a matka jej Françoise de la Chastre, fille de Jean Baptiste de la Chastre, Seigneur de Brillebant et de Gabrielle Lamy. Po księciu na Zamościu nie miała dzieci. Po drugi raz wyszła ona za wielkiego marszałka koronnego i wielkiego hetmana Sobieskiego, a w małżeństwie z nim urodziła liczne dzieci; z nich jednak dotąd żyje tylko jeden syn, panicz liczący ośm czy dziewięć lat. Trochę niżej z biegiem Dniestru leży też miasto Jampol, które kazał zbudować Jan Zamoyski, chrzcąc je według swego imienia. Niektórzy twierdzą, że wyraz pol pochodzi od greckiego πολις, i że dla tego nadano takie imie miastom tym. Tak twierdzą Rusini, którzy przy nabożeństwie swem i w pismach swych jeszcze dużo używają języka greckiego. Polacy zaś mówią, że wyraz pol pochodzi od pole, co po polsku znaczy tyle co niemieckie *Ebene.* Ponieważ zaś wymienione miasta zbudowali polscy panowie, uważam ten wywód za prawdopodobniejszy.

Z Tomaszpola przez krzaki do Gołej Rusawy (*Korokowoza*) wielka mila. W lesie tym ubili ludzie nasi ptaka, który wyglądał prawie jak ptak u nas nazywany *Heger* [1]), ale prawie dwa razy tak duży z szerokiemi czerwoności krwi obwódkami około oczu. Goła Rusawa jest to wieś nad małym strumieniem [2]), ma kościół i dość dużo domów, z których atoli chłopi zbiegli. Potem przez wysoki dębowy las do Kopinówki (*Kupiuska*) dwie mile. Jest to małe palisadą otoczone miasteczko. Przedtem była tu fortyfikacya z ziemi, ale teraz spustoszona. Miasto wisi na stoku pagórka, u którego stóp płynie strumień. W tej samej dolinie widać w odległości mili miasto Tulczyn. W Kopinówce jest grecki kościół z drzewa. Miasto to należy do podlaskiego kasztelana. Pop ze starszyzną przynieśli w. hetmanowi kor. sól i chleb, chcąc tym sposobem okazać swą uległość i wierność.

---

1) *Der Heger* albo *Heher* znaczy tyle, co sojka.

2) Nad Rusawą.

Dnia 8 października potem przez same puste pola wzdłuż krzaków rozrzuconych po pagórkach i dolinach do Bortnik (*Wornitki*), dwie mile. Miasto to jest do szczętu zniszczone. Potem przez dwie doliny, w każdej z nich płynie strumień, aż do lasu, od którego równina spada ku Bohowi, aż do Bracławia, wielka mila. Miasto to już wyżej opisano. Obóz rozbito o strzał armatni od miasta na równem polu; stał tutaj przez cztery dni.

Dnia 12 października przeszła armia przez most, który powyżej miasta prowadzi przez Boh. Generał wiernych Kozaków Haneńko, był w tych dniach w Bracławiu i także w obozie u wielkiego hetmana, teraz atoli już odjechał. Dzisiaj zajęto miasto *par suprise*, jak to obszerniej opisano w osobnym dzienniku. Dnia tego maszerowaliśmy tylko ćwierć mili drogi przez most na wysokości, gdzie się armia rozłożyła obozem w bardzo pięknych gruntach.

Dnia 13 października przez puste pagórki, ale urodzajne, i po części także uprawne, a wszędzie dolinami, strumieniami, jeziorami od siebie oddzielone, jedna mila.

Dnia 14 października przez takie same pola do Karbówki (*Tarnouka*) półtory mili. Jest to wielka wieś w pośród bujnych uprawnych pagórków nad szerokiem jeziorem położona. Dalej ciągle przez takie same grunta do *Yarsiemka* [1]), pół mili. Wieś ta leży w kącie zakrzywionej góry, wznoszącej się od północy, i pięknego jeziora na południu. Sytuacya jest niezmiernie piękna i wesoła. Napotkaliśmy tu bardzo wiele dobrze utrzymanych ogrodów, obfitujących w najwykwintniejsze owoce, między innemi w jabłka, które w Niemczech nazywają *Schyvelingen*, ale o wiele większe, więcej kruche i smaczniejsze, niż mi się gdziekolwiek jeść je zdarzyło.

Dnia 15 października wzdłuż potoku, wypływającego z wymienionego jeziora a nazwanego *Czerwonsyce*, ciągle przez piękny obfitujący w zboże kraj do *Kernice* [2]), pół mili. Miasto to leży na kilku pagórkach, otoczonych jeziorem, przez które na wschodzie dostaje się doń po moście. Zamek wznosi się na południowej stronie na osobnym pagórku, w pobliżu którego atoli leżą inne wyższe od niego. Papiezki kościół stoi w mieście przed zamkiem, dwa greckie kościoły więcej wśród miasta. Przed północnym mostem

1) Nie umiem tej nazwy objaśnić.

2) Ani jednej, ani drugiej nazwy nie umiem wyjaśnić.

rozciągają się wielkie przedmieścia i piękne ogrody, lecz wszystko spustoszone.

Potem przez uprawną i bardzo urodzajną równinę, zakończoną po jednej stronie krzakami, po drugiej głębokim parowem, do Liniec [1]) *(Ylsinnietz)* jedna mila. Jest to dość wielkie miasto nad rzeką Sobem, silnie ufortyfikowane wałem z ziemi z palisadami na nim i suchą fosą naokoło i otoczone wielkiemi przedmieściami i ogrodami. Znajduje się w niem papistowski i trzy greckie kościoły.

Dnia 16 października ciągle przez uprawne i tłuste grunta pomiędzy któremi tu i owdzie małe doliny i parowy porosłe krzakami, jako i starych bohaterów wysokie grobowce, do Paryówki 1 mila. Jest to wieś ze spustoszonym greckim kościołem.

Potem przez podobne pole do Soroki pół mili. Jest to bardzo wysoka mogiła czyli grobowiec kształtem pagórka, spiczasty jak wieża, przy którym armia na brzegu rzeki Sob obozem się rozłożyła.

Dnia 17 października przez urodzajne grunta, które jeszcze stały pełne zboża w snopach, wzdłuż południowego brzegu rzeki Sob do Kalnika, ćwierć mili. Kalnik składa się z trzech miast, z dwóch stron otoczony jeziorami, które tu tworzy rzeka Sob, a z drugich dwóch stron dobrze obwarowany wałami, fosą i palisadami. Wszystko to w osobnym dzienniku bardzo dokładnie opisano.

Dnia 18 października przypuszczono szturm do miasta i spalono wszystkie przedmieścia wraz z dwiema częściami prawego miasta, trzecia zaś była tak silnie obsadzona i broniła się tak dzielnie, że wielki hetman nie widział sposobu, żeby jej co zrobić.

Dnia 19 października maszerowała armia znów napowrót aż do przeszłego obozu pod Lińcami, jedna i trzy ćwierci mili.

Dnia 21 października, kiedy armia dnia poprzedniego wypoczęła, wróciła rano napowrót i pobiła Tatarów i Kozaków Doroszenka [2]) o jedną i trzy ćwierci mili pod Kalnikiem, którą to potyczkę w osobnym dzienniku dokładnie opisano. Armia wróciła dnia tego jeszcze napowrót do przeszłego obozu, jedna i trzy ćwierci mili. Tu się żołnierze zatrudniali wyszukiwaniem j a m, mówiąc językiem kozackich i ruskich chłopów. Są to lochy wyko-

---

[1]) Miasteczko to nazywają Lińce lub Ilińce.

[2]) *Vor Dorossenko* widocznie zamiast *von Dorossenko.*

pane w ziemi, u góry z małą okrągłą dziurą, przez którą od biedy wśliznąć się może do lochu człowiek, pod ziemią zaś wydrążone stosownie do potrzeby w kształcie piwnicy. W lochu takim rozpalają najprzód ogień i wypalają na twardo ziemię, potem wsypują do niego zboże i przechowują w nim inne najlepsze swe rzeczy. Trzymają się one tu przez wiele lat w suchości i nie podlegają zepsuciu. Górny otwór mają zwykle w miejscu, gdzie go się najmniej spodziewać można, n. p. pod ścianą, pod progiem u drzwi, pod chlewem dla świń lub pod owczarnią i t. d. Żołnierze atoli przykręcali fevetty czyli świdry do pik i wiercili nimi wszędzie w ziemi. Tym sposobem dużo jam odkryli.

Dnia 30 października z miejsca tego tą samą drogą znów napowrót do *Yarsiemka* i Karbówki. Miejscowości te już wyżej opisano.

Dnia 31 października [1]) jeszcze raz dalej tą samą drogą znów napowrót aż przed bracławski most, 2 mile. Zobacz także wyżej.

Dnia 2 listopada rozeszła się armia na leże zimowe, które panu memu, księdzu, jako królewskiemu inżynierowi wyznaczono w Mohilewie, aby się tym łatwiej mógł układać z armią, którą w Ukrainie rozłożono i nad której skonfederowaniem miano pracować. Poprzednio atoli poszliśmy z hetmanem, kijowskim wojewodą i innymi głównymi oficerami znów napowrót z Bracławia przez równinę, rozciągającą się na południe od miasta, potem przez najbliższy las na inną równinę, przez wielki potok, który tam płynie, gdzie w górze przy pagórku widać ślady starego szańca, przy obszernym obwodzie pustego miasta Wyszkowce (*Wiskowszow*), potem do ruin miasta Bortniki (*Wornitki*), o którem już wyżej mówiono, półtory mili.

Potem przez puste pola do Śladów (*Slesie*), dwie mile. Wieś ta, zdaje się, była bardzo wielka i ma ruski kościół. *Slesie* znaczy po rusku tyle co niemieckie *Hering*. Potem przez bujne pola, ale mało gdzie uprawne, tu i owdzie kałużami poprzecinane, aż do Krasnego, trzy mile. Zobacz o tem także wyżej.

Dnia 3 listopada z Krasnego aż do miejsca, z którego wypływa rzeka Murakwa, trzy mile. Zobacz także wyżej. Potem w długiej dolinie, z obu stron krzakami obrosłej, a Wołczek czyli mały wilk nazwanej, dwie mile. Od końca tej doliny przez ró-

1) W dniu 31 października pisał Sobieski: *au camp de Ilińce* do żony. Helcel II, 68.

wninę, dalej przez wieś Mańkowce do Baru [1]) wielka mila. I to miasto także już wyżej opisano.

Dnia 14 listopada z Baru przez rzekę jego Rów popod wyżynę, potem przez strumień poniżej wyżyny, przez którą się potem jedzie, do Buceń, wsi należącej do Baru, jedna mila. Dalej przez ciągłe lasy, potem przez trochę uprawnych gruntów, a dalej do doliny i do Kopajgrodu, dwie mile. Jest to miasteczko, a w niem grecki kościół i około 100 domów. Ma wał z ziemi z palisadami na nim, lecz źle założony. Obok wznosi się mały szaniec lub zamek trochę lepiej obwarowany. Jest to dziedziczna własność pana Makowskiego, starosty nowogrodzkiego. Mała rzeka Nemija płynie przez jezioro, nad którego brzegiem zamek wybudowano. Rzeka ta wpada pod Mohilewem do Dniestru.

Dnia 15 listopada z Kopajgrodu do Mohilewa pięć wielkich mil. Tuż po za Kopajgrodem wjeżdża się przez Nemiję na uprawne pole, dalej doliną przez strumień i leżące nad nim pagórki do Romanek, bardzo spustoszonej wsi, należącej do Szarogrodu.

Potem około trzech mil przez puste pola, w których krzaki brzozowe same z siebie powyrastały, tak jakby je rzędem posadzono, zwłaszcza przy bruzdach, gdzie się drzewa gęściej i bujniej niż w środku pól osadziły. W polu tem widać po prawej ręce następujące wsie: Stepanki i Łuczyniec, należące do Szarogrodu, Krzyczanówkę i Ozarzyńce, należące do Mohilewa. Mohilew już wyżej opisano.

Dnia 15 listopada z Mohilewa wschodnią bramą wzdłuż Dniestru, którego brzegi z mołdawskiej strony porosłe są krzakami, z polskiej strony zaś mają po większej części uprawne grunta aż do wsi Bronnica i drugiej wsi Sadkowce, jedna mila.

Potem przez wieś Sobotówkę, leżącą na górze, do Jarugi *(Jerusa)* jedna mila. Jest to małe miasteczko na skale w pobliżu Dniestru obwarowane palisadą. Dalej przez stromą wyżynę na piękną wielką równinę do Michałówki *(Mikaluce)* pół mili. Jest to wielka wieś w równinie nad Dniestrem, w którym tutaj naprzeciw leży wyspa, prawie zupełnie kształtu serca.

Potem aż do wsi Biały *(Bile)* pół mili. Leży ona także na brzegu Dniestru w równinie. Potem przybywa się do doliny, przez którą płynie Murakwa, zaczynająca się powyżej Stanisławczyka i

---

[1]) Z tego pobytu pod Barem zachował się u Helcla II, 69 jeden list Sobieskiego do żony z dnia 6 listopada.

płynąca przez Szarogród, Czerniejowce i Buszę, a potem wpada niedaleko od Biały do Dniestru. Płynie ciągle przez jurysdykcyę Szarogrodu i oddziela od siebie województwa podolskie i bracławskie. Potem przez równą i nizką płaszczyznę aż do Jampola, jedna mila. Miasto to ma nazwę swą od Jana Zamoyskiego, dziada Jana Sobieskiego, ostatniego z tej linii, jak to wyżej obszerniej opowiedziano. Nie jest ono duże, obwarowane wałami z ziemi, ma jednak dobry zamek, kształtu podłużnego czworoboku, także z wałami z ziemi i wieżami na skrzydłach, jako i palisadami i wykładaną fosą. Rzeka Rusawa, która płynie naokoło Ścian, płynie i tu i wpada potem do Dniestru. W Jampolu mieszkaliśmy w domu, w którym przez zimę miał swą kwaterę Murza Omer Haly Cherety, dowódzca Tatarów, których pod Bracławiem minionego 26 sierpnia pobito. Naprzeciw Jampola widać po mołdawskiej stronie wieś Wasilówkę [1]) i o małą milę poniżej także na mołdawskiej stronie miasto Sorokę, gdzie rezyduje Burklawa, co tam znaczy tyle, ile w Polsce starosta. Grunta tutaj naokół są piasczyste, a mimo to bardzo żyzne. Rośnie na nich między innemi dużo tytoniu, którym mieszkańcy prowadzą znaczny handel. Pan Krzysztof Korycki, podkomorzy chełmiński, generał-major i pułkownik piechoty, dowodził polskim garnizonem w Jampolu i świetnie nas przyjmował.

Dnia 16 listopada z Jampola po pod wyżynę, dalej przez wesołą równinę, z której po skałach znów się zjeżdża do doliny, aż do połączenia dwóch rzek Murakwy i Buszy, z których pierwsza płynie od południa, druga od północy, tam gdzie się łączą, tworzy się bardzo ostry kąt ze skał. Na tym szczycie i dalej ku lądowi wznosiło się niegdyś miasto Busza. Ruiny jego jeszcze widzieć można, a z nich da się wnosić, że było zbudowane kształtem długiego wązkiego trójkąta, którego dwa boki oblewały owe dwie rzeki, a trzeciego broniły wały i fosa. Dopiero przed 18 laty zburzyli je Polacy, a kilka lat później uprowadzili z niego Tatarzy wszystkich mieszkańców, którzy tam jeszcze pozostali. Teraz nic tam nie było prócz czterech domów, młyna i walący się kościół.

Dnia 17 listopada przez puste pola, poprzedzielane kałużami i krzakami, do Czerniejowic, półtory mili. Miasto to wyżej opisano. Potem przez pole, dalej przez górę i dolinę do Politanki,

---

[1]) Na karcie Chrzanowskiego Kasauce nazwana.

półtory mili. Jest to wieś z małym szańcem, należąca do Szarogrodu i położona u góry nad doliną, przez którą płynie rzeka Muraszka [1], mająca tylko o pół mili od tego miejsca swój początek [2].

Potem w widoku Szarogrodu, który się pozostawia po prawej ręce, przez żyzną równinę do wsi Kołybanówki i dalej krzaczastą doliną do Łuki, wsi przy końcu lasu położonej, wraz z poprzednią do Szarogrodu należącej, dwie mile.

Dnia 18 listopada z Łuki przez pagórek, a dalej wzdłuż doliny, pozostawiając na widoku po prawej ręce wieś Kacmazow *(Komarrow)* nad jeziorem, a trochę dalej po lewej ręce wieś Matwijkówkę *(Matikow)*, ciągle przez puste, nieuprawne pola aż do Baru, trzy wielkie mile. Miasto to już wyżej opisano. Teraz pokazywano nam tu noże, które tu robią i do całej Polski wywożą, woda rzeki Rów bowiem ma być przydatna do nadawania nożom takiego hartu, jakiego im zresztą nigdzie w Polsce dać nie mogą.

Dnia 23 listopada, kiedy konie przez parę dni wypoczęły, z Baru przez jego rzekę Rów, wzdłuż pagórków do wsi Szersznie *(Xiense)* pół mili. Potem wzdłuż tych samych pagórków do wsi Harmaki *(Armat)*, zaopatrzonej w mały szaniec, pół mili. Obie wsie leżą na południowym brzegu Rowu, pierwsza należy do dominikańskiego klasztoru w Kamieńcu, druga zaś do sędziego (*zinga*) z tego samego miasta.

Potem przez wywyższone krzaczaste grunta do Hałuziniec jedna mila. Jest to ładna wieś należąca do prywatnego szlachcica. Dalej przez takież grunta do Karaczyniec jedna mila. Jest to druga wieś z ruskim kościołem, należy do starostwa barskiego. Potem nizkimi gruntami, a dalej przez kałuże do Deraźni, jedna mila. Miasteczko to także należy do barskiego starostwa i ma słaby wał z palisadami na nim, obok także zamek również otoczony fosą, wałem i palisadami. Znajduje się w niem tylko ruski kościół, miasto zaś leży nad wielkiem jeziorem, które ma więcej jak milę długości, a około 7 do 800 kroków szerokości. Z niego wypływa rzeka Wołk *(Monck)* i wpada o trzy mile poniżej miasta do Bohu. *Monck* znaczy po kozacku tyle co wilk. Miasto Deraźnia leży na północnym brzegu tej rzeki.

---

1) A nie Murakwa, jak pisze Werdum. Dwie te rzeki ciągle mu się mylą.

2) Nieprawda, bo wiele dalej.

Dnia 24 listopada wzdłuż jeziora, na końcu którego o małą milę od Deraźni leży wieś, a dalej przez nizki las do *Dorsknic* [1]) półtory mili. Jest to wieś pod wyżyną w dolinie, którą tu wzdłuż płynie rzeka Boh. Dalej przez moczarowatą równinę do Mojsiejowic (*Maskowce*) jedna mila. Jest to wieś, ale palisadą otoczona, w moczarach leżąca wraz z małym szańcem, wykonanym sposobem krajowym dość silnie z wałami, fosą i palisadami. W roku 1670 zimą szturmowali ją, ale nie zdobyli 6000 Tatarów. Sędzia kamieniecki trzyma ją w zastawie od chorążego koronnego Sieniawskiego, do którego wieś ta należy.

O pół mili od miejsca tego po prawej ręce leży wielka wieś Pirohowce, należąca do pana Bielawskiego. Przy obu tych wsiach płynie Boh, na jego brzegu leżą te wsie. Od Mojsiejowic do Proskirowa są dwie mile. Te cztery mile tego dnia odbyte pędziliśmy konno jedenaście godzin najtęższym kłusem koni. Droga prowadzi ciągle wzdłuż Bohu przez piękne i po większej części uprawne grunta. Na pół drogi leży wieś Kapuściany, należąca także do chorążego koronnego Sieniawskiego, ale teraz nie licząca więcej nad trzy lub cztery domy. Na wschodzie wznoszą się dwie mogiły czyli grobowce, a nieco dalej leży wielkie jezioro, z którego płynie dość znaczna rzeka do Bohu. Proskirów leży nad moczarami i w moczarach i w szerokiem jeziorze, które także płynie aż ku Bohowi. Znajduje się w niem długa czworoboczna wyspa, która otoczona wałami i palisadami jest miejscowym zamkiem. Miasto niegdyś rozciągało się po dwóch stronach jeziora i było bardzo wielkie, wodą na dwie części podzielone; długi most prowadził od jednej części do drugiej. Część, którą się wjeżdża od Mojsiejowic, jest półwyspem, zgoła z gruntu spustoszonym; drugą część po za mostem otacza zewsząd jezioro. Znajdowało się w niej około trzydziestu domów z ruskim kościołem. Przed czterema laty uprowadzili z miejsca tego od razu Tatarzy przeszło półtora tysiąca dusz. Miasto to należy do spadku Zamoyskiego, jest zatem sporne pomiędzy męzkimi sukcesorami tej rodziny i księżną na Zamościu, króla polskiego panią matką.

Dnia 25 listopada przez kończyny wyżyn, które się ciągną ku Bohowi, a dalej przez dwie małe doliny, w każdej z nich płynie ładny potok. Potem przybywa się do szerokiej doliny, same puste i nieuprawne pola, aż do opustoszonej wsi, leżącej przy końcu grobli, oddzielającej od siebie moczary wielkiej doliny. Wieś,

1) Takiej wsi nie ma dzisiaj tutaj.

w której teraz stoją tylko trzy lub cztery nędzne chaty, nazywa się Grzęzawica (*Rossowice*) i leży nad kałużą, która się ciągnie aż do Czarnego Ostrowa, od Proskirowa dwie wielkie mile. Czarny Ostrów (*Ostrog*) znaczy po polsku tyle co niemieckie *ein schwarzer Sporn*. Jest to dość wielkie miasto, które wraz z różnemi innemi tu naokoło leżącemi należy do ks. Konstantego Wiśniowieckiego, króla Michała stryja. Jest ono obszernie założone, ale nie gęsto zabudowane, wszystko z drzewa, jako i obydwa kościoły, z których jeden papiezki, drugi ruski. Nie ma innego obwarowania prócz wody, otaczają je bowiem jezioro i rzeka Boh. Zamek wznosi się na osobnej wyspie; nie ma w nim żadnych zabudowań, lecz tylko wał z ziemi z palisadami. Owe 6000 Tatarów, które przed Mojsiejowicami z siodeł zsiedli, nie mogli i tego miejsca przed czterema laty opanować. Boh o dwie mile od tego miejsca wypływa, niedaleko od miasteczka, Pachutyńce (*Posohowit*) zwanego, należącego także do ks. Konstantego. Tutaj byłby mi prawie pod długim miechem mąki na śmierć się udusił kozacki chłopiec, którego pan podpułkownik Bohan z winnickiej zdobyczy kupił za dukata i mnie darował.

Dnia 26 listopada z Czarnego Ostrowa ciągle płaszczyzną, mając po prawej ręce Boh, wreszcie moczarowatą doliną, przez którą płynie znaczny strumień, za którym widzi się zgoła spustoszoną wieś Kopijów [1]), jadąc ciągle z góry aż do Manaczyna (*Malachin*) trzy wielkie mile. Jest to małe miasto w jeziorze na wyspie, palisadami obwarowane. Znajduje się w niem papiezki i ruski kościół. Należy także do ks. Konstantego. Niedaleko od tego miejsca leży miasto i zamek Wiśniowiec, stolica tegoż księztwa, w której się urodzili teraźniejszego polskiego króla Michała ojciec Hieronim wraz z obu swymi braćmi Konstantym i Dymitrem Wiśniowieckimi.

Z Manaczyna przez kałuże i pola, mając po lewej ręce wysokie krzaki, po prawej moczarowatą dolinę z wielkiem jeziorem i małą wsią na początku i na końcu, dalej przez głęboką dolinę do Wołoczysk (*Woloszice*) półtory mili. Jest to małe miasto z zamkiem, otoczone wałami z ziemi i palisadami, lecz wszystko, twierdza i domy, spustoszone. Należy do ks. Dymitra. Z trzech stron otacza je jezioro. Czwarta strona ku południowemu wschodowi jest piękną równiną, tem przyjemniejszą z widoku, że po za jeziorem inne boki mają strome i krzakami porosłe skały.

---

1) Takiej ani podobnej wsi nie ma.

Dnia 27 listopada przez wielki strumień pod górę, a potem przez piękną równinę do Klebanówki, która przedtem była wielką wsią, dwie mile. Leży ona na wyżynie nad doliną na stronie północnej. Nic w niej teraz nie ma prócz ruin kamiennego ruskiego kościoła, dworu i karczmy. Należy do księcia Dymitra Wiśniowieckiego.

Potem przez równinę z kilku kałużami, dalej przez drugą płaszczyznę, przeszło dwie mile szeroką, a tak na południu, jak na północy wysokiemi pagórkami jakoby górami zamkniętą i prócz tego kilku wyżynami poprzecinaną, aż do pewnej Słobody czyli pustej wsi, której pan kazał w niej wystawić pal i tyle drewnianych gwoździ w niego wbić, ile lat swobody udziela tym, którzyby na nowo tu osiedli. Jest to od Klebanówki pół mili. Widać tu właśnie naprzeciw po prawej stronie Stary i Nowy Zbaraż.

Zbaraż jest to miasto z tytułem księztwa i należy do księcia Dymitra Wiśniowieckiego. Nowy Zbaraż leży w równinie przy wielkim lesie; Stary Zbaraż na górze o małe pół mili od tamtego. Jest to piękny kasztel z białych kamieni wysoko wybudowany. Nowy Zbaraż zaś w samym początku kozackiej rebelii spustoszono. Nic z niego nie pozostało prócz wielkich ruderów, które już z daleka błyszczą wielką swą białością.

Od wymienionej Słobody przez ową wielką szeroką równinę bez wszelkiej kultury i bez drzew przyjeżdża się do doliny, przez którą płynie mała rzeka Niesna [1]), tuż obok wsi Czerniechowce (*Czernilowza*), czyli *die schwarze Löwin*, przy której wznosi się spustoszony zamek. Tutaj widać po lewej ręce nad tą samą rzeką wieś Czerniłów, czyli *der schwarze Löwe*, a po prawej wieś *Kramulka* [2]), obie mniej więcej na strzał armatni od Czerniechowic, od Słobody zaś półtory wielkiej mili. Dalej przez małą piaszczyznę do wązkiej doliny, przez którą płynie wielki strumień [3], mając po prawej ręce bardzo nędzną wieś [4]), pół mili.

Przed ośmiu laty zbuntowała się na tem miejscu cała polska piechota, 10.000 ludzi licząca, przeciw swemu generałowi staremu Czarnieckiemu, który ją chciał prowadzić na Ukrainę. Opanowała

---

1) Na karcie Kummersberga Gnizna.

2) Nie wiem co ta nazwa oznacza. Podobnej wsi tu nie ma. Zresztą oddalenie Czerniłowa od Czerniechowic jest jeszcze znaczniejsze, niż podaje Werdum.

3) Pewnie rzeczka Chodorówka.

4) Może Rusianówka.

ona artylerye i wyruszyła z nią do Zborowa, gdzie ją dobrym sposobem nakłoniono znów do posłuszeństwa.

Potem przez uprawne i żyzne grunta ciągle pod górę aż na pagórek, dalej na dół do Tarnopola, jedna mila. Jest to miasto na Wołyniu [1]), należące dziedzicznie do pana Koniecpolskiego, starosty dolińskiego [2]). Leży u stoku wspomnianego spadzistego pagórka. Z trzech stron otacza je wielkie jezioro i szerokie moczary. Czwarta strona jest bowiem obwarowana od wspomnianego pola, ma dość szeroką fosę z wykładanym wałem i dwiema grubemi wieżami na rogach, jako i jedną w środku, która jest zarazem bramą. Zamek wznosi się na północnym zachodzie od miasta, w samym środku jeziora, ma wielkie ciężkie zabudowanie z kamienia włoskim sposobem, którego mury i wieże na zachodzie i południu bronią także zamku tam, gdzie się jezioro ciągnie naokoło. Ku miastu znajduje się wązka sucha fosa z wałem z ziemi i palisadami. Papiści mają tu wielki kamienny kościół w mieście, Rusini trzy, a Żydzi, których tu tak dużo, że zajmują osobną i to najlepszą dzielnicę miasta, mieli tu tak piękną z kamienia zbudowaną bożnicę, że takiej nigdzieindziej w Polsce nie widziałem. Na wschodzie miasta po prawej ręce od wchodu leży także duże przedmieście, w którem znajduje się kościół papiezki. O małą milę powyżej miasta wypływa rzeka Seret przy wsi, która się tak samo nazywa [3]). Płynie ona pod Tarnopolem ku Kamieńcowi do Dniestru. W miejscu tem, jak na całem Podolu, Wołyniu i Rusi, dokuczały bardzo i zimą muchy.

Dnia 28 listopada, z Tarnopola po długiej grobli, która się przez jezioro i moczary pewnie na ośm lub dziewięćset kroków ku zachodowi zaczyna, aż do równiny pięknych gruntów, poprzedzielanych tu i owdzie niektóremi kałużami, a dalej zakończonych doliną, przez którą płynie wielki strumień, nad którym leży wieś Poczapińce (*Szapynce*), jedna mila. Należy wieś ta do p. Czylińskiego (!), który w niej ustanowił słobodę czyli wolność na lat dwanaście. Wyżej już powiedziano, co to znaczy. Teraz stała ona jeszcze pustką, wyjąwszy kilku nowych szałasów czyli chat, przy których chłopi przy pięknej pogodzie na lodzie młócili zboże.

---

1) Nieprawda, bo na Rusi.

2) Stanisław Koniecpolski, wojewodzic sandomierski, później oboźny koronny, wojewoda podolski, w końcu kasztelan krakowski.

3) Wiadomość ta jest mylna, Werduma w błąd wprowadzono. Źródła Seretu leżą wiele dalej od Tarnopola, a wsi nazwy takiej wcale tu nie ma.

Z miejsca tego ciągle pięknemi polami do Chodaczkowa (*Chodayzke*) pół mili. Wieś ta nie jest tak pustą jak poprzednia i należy do tego samego pana. Leży tu kilka jezior obok w tej samej dolinie, która się ztąd ciągnie do Kupczyniec (*Kopcinco*), leżących o pół mili dalej. Jest to miasto u stoku góry w dolinie położone, a ze strony północnej, południowej i zachodniej moczarami i jeziorami otoczone i prócz tego w wysokie wały z ziemi i fosę zaopatrzone, które tu i owdzie miały niektóre warowne boki; lecz teraz jest wszystko spustoszone. Zamek składa się z czworobocznego muru i grubej wieży, która jest zarazem bramą. Zdaleka ją już widać. W mieście znajduje się ruski i papistowski kościół i zaledwie dwadzieścia domów, miejscowość tę bowiem od rebelii Kozaków pięć razy spalono. Najprzód spalił ją zaraz na samym początku generał Chmielnicki, potem Moskwiciny, kiedy Lwów oblegali, po trzecie Tatarzy, kiedy się w Budziaku z Kozakami złączyli, po czwarte powtórnie Tatarzy i Kozacy w czasie oblężenia Podhajec, a w końcu jeszcze raz Kozacy, kiedy generała Makowskiego pobili pod Brajiłowem. Przez wymienione moczary i jeziora płynie rzeka Strypa, zaczynająca się o dwie mile powyżej Zborowa i płynąca potem do Glinny, Kapliniec (*Kogelince*), Budyłowa, Płotyczy (*Plobinza*) i Denysowa, zanim przybywa do Kupczyniec. Dalej pod Buczaczem (*Budziąck*) wpada do Dniestru [1]. Kupczyńce należą do pana Potemskiego (!). O strzał armatni od nich widać wieś Denysów, należącą do pana Kosińskiego.

Z miejsca tego przez groblę 200 lub 300 kroków długą, przez jezioro i moczary prowadzącą, dalej przez piękną wielką równinę do Kozowy, dwie mile. W drodze widać po prawej ręce na odległość około mili miasto Krasnopolis [2]), należące do wojewody kijowskiego Potockiego, do którego należy także Kozowa. Jest to małe miasto na brzegu jeziora nad rzeką Koropiec położone, która to rzeka tutaj wypływa, a potem do Podhajec płynie. Wpada ona o sześć mil od miejsca tego do Dniestru pod wsią nazwaną także Koropiec. W czasie oblężenia Podhajec spalono do szczętu Kozowę. Ma ona teraz bardzo mało domów z ruskim drewnianym kościołem. Obok wznosi się pusty kasztel z walącemi się

---

1) Werdum myli się, bo Buczacz nie leży wcale nad Dniestrem, a Strypa dalej płynie. Przy ujściu jej do Dniestru nie ma ani wsi ani miasta.

2) Takiego miasta w tych stronach dzisiaj nie ma. Krasnopól czyli Niżankowice jest to miasteczko leżące w zupełnie innych stronach w powiecie przemyskim.

wałami z ziemi i fosami, na nich kilka warownych boków i tyle palisadów, ile potrzeba do obrony przed Tatarami. Leży ona na zachód od wspomnionej rzeki, a imię jej znaczy po polsku tyle co niemieckie *Ziege.* O ćwierć mili na północ od tej miejscowości leży wieś Kozówka, co znaczy tyle co niemieckie *Ziechel*, i należy do pana Żabokruckiego. Jesteśmy tu na Pokuciu (*in Pokutia, zu polnisch Pokusz)*, co jest prowincyą, którą państwo polskie zatrzymało od księztwa mołdawskiego, kiedy takowe przyjęło turecką protekcyę, poprzednio zaś w całości należało do Polski.

Dnia 29 listopada z Kozowy przez jar do Dubszcza pół mili. Jest to wieś po obu stronach głębokiej doliny zbudowana i do chor. kor. Sieniawskiego należąca. Potem przez jary i pagórki do Szybalina pół mili. Jest to także mała wieś tego samego pana, przez którą płynie bardzo czysty i szybki potok 1).

Potem ciągle przez takie same grunta do Brzeżan pół mili. Miasto to także należy do chor. koronnego Sieniawskiego. Jest to jego zwykła rezydencya. Leży pomiędzy różnemi krzaczastemi pagórkami nad wielkiem jeziorem, przez które długi most prowadzi do miasta, zbudowanego częścią w jarze, częścią na pagórkach wznoszących się obok. Wały z ziemi i fosa otaczają je. Przez wspomniane jezioro płynie rzeka, Złota Lipa nazwana dla odróżnienia od rzeki płynącej przez Przemyślany, która się także Lipa nazywa. Złota Lipa ma swój początek pod Gołogórami, miastem i zamkiem o cztery mile od Brzeżan, należącem także do pana Sieniawskiego. O cztery mile poniżej Brzeżan wpada ona pod wsią Zawałowem 2) do Dniestru.

W Brzeżanach są trzy papistowskie kościoły: fara, wielka i dobrze zbudowana, kościół św. Mikołaja na najwyższem wzgórzu w mieście i kościół zamkowy, wszystkie trzy z kamienia. Rusini czyli Grecy mają cztery kościoły, dwa z kamienia i dwa z drzewa. Przy rynku jest piękny szpital, w którym odbywają się sądy, bo zresztą nie ma w mieście ratusza. Rynek jest wielki w czworobok. Co poniedziałku odbywa się na nim targ. Inne zabudowania i domy miasta, z wyjątkiem kilku, są wszystkie z drzewa, mieszka tu około 500 rodzin, pomiędzy nimi pewno sto żydowskich. Miejsca tego nie spustoszyli, jak wszystkie naokół leżące Tatarzy i Kozacy. Warowna sytuacya i waleczność mieszkańców broniły

1) Na karcie Kummersberga Kuropiec nazwany.

2) Jest to znów omyłka, bo Złota Lipa płynie wiele dalej. Przy ujściu jej do Dniestru leży wioska Lipa, a nieco dalej Bobrowniki.

miasta nawet za czasów oblężenia Podhajec. Tatarów pobito, ile razy się tu pokazali. Razu pewnego jednak, porozumiawszy się z jednym z domowników, opanowali Kozacy znienacka zamek, mimo to jednak miasta wziąć nie mogli. Zrabowawszy z niego mnóstwo kosztownych mebli, znów go niebawem opuścili. Zamek jest obszernie zbudowany w czworobok z płytów kamiennych na trzy piętra. Na każdem piętrze ma mnóstwo pięknych pokoi, na trzeciem zaś naokół od dziedzińca galeryę ażurową ze zgrabnemi kolumnami ze szarych kamieni bardzo dobrze wykonaną. Pan chorąży koronny kazał tu jeszcze codziennie coraz więcej w tym zamku zdobić i naprawiać. W jednym z rogów placu zamkowego przedstawia piękny widok zamkowa kaplica. W niej znajdują się bardzo wspaniałe grobowce z marmuru ze statuami w naturalnej wielkości. W nich leżą pochowani sześciu lub siedmiu z jego przodków, którzy aż do ojca jego wszyscy byli ewangelikami, i dlatego właściwie, kiedy kaplicę dla papiezkiego nabożeństwa poświęcono, nie byli tu powinni zostać, gdyby papież nie był w tym celu udzielił osobnego indultu. Cała ta budowla, zwłaszcza zaś zewnętrzne mury zamku są bardzo mocne i grube, ale z wielu i wielkiemi oknami. Zamek wraz z obszernym przedsionkiem otacza szeroka fosa i wały z ziemi kształtu podłużnego czworoboka, według dzisiejszej metody założone. Nad nimi jeszcze codziennie pracowano.

Dnia 1 grudnia wzdłuż pagórka, na którym się Brzeżany wznoszą, a potem przez dwie doliny do Narajowa, jedna wielka mila. Jest to małe miasto, otoczone murem z ziemi, na zachód znacznego strumienia na pagórkach i pomiędzy niemi położone. Miasto ma kilka przedmieść, a niedaleko niego znajduje się jezioro. Miejscowość ta także należy do chorążego koronnego Sieniawskiego, który jest jednym z najbogatszych panów w Polsce ze starej familii.

Z miejsca tego pod górę, a potem przez dębinę, w której znajdują się niezwykle wielkie i grube drzewa. Dalej przez młodą brzezinę, która sama z siebie wyrosła w tłustych ale opuszczonych gruntach. Spuszcza się dalej z pagórka do dwóch wsi Brykoń i Wołków, trzy wielkie mile. W pierwszej wsi znajduje się ruski kościół, w drugiej nie ma kościoła. Obie zaś należą do pana Cetnera, kasztelana halickiego. Z Brykonia przez pagórki i doliny, widząc po prawej [1]) ręce wieś Meryszczów, należącą do cho-

[1]) Sądzę, że Werdum się tutaj pomylił, Meryszczów bowiem leży po lewej ręce, kiedy się jedzie z Brykonia do Przemyślan.

rążego koronnego, dalej przez długą groblę, ciągnącą się wzdłuż jeziora i do rzeki Lipy sięgającą, do Przemyślan, jedna mila.

Miasto Przemyślany należy także do chorążego koronnego Sieniawskiego; jest ono otoczone wałami z ziemi, a na nich znajdują się ściany z balów jako balustrady. Leży ono na wschodnim brzegu Lipy na końcu pagórka. W obrębie miasta znajduje się papiezki i ruski kościół, po za miastem zaś ku północy klasztor reformowanych Dominikanów, założony przez ś. p. panią matkę chorążego koronnego. Klasztor ten jest jakoby szaniec obwarowany wałami i fosą. Zakonnicy, którzy się w nim znajdują, nie jadają nigdy mięsa i nie podróżują ani konno, ani wozem, lecz jedynie tylko pieszo. Tuż naprzeciw grobli widać po lewej ręce po drugiej stronie jeziora wieś Borszczów. Miasto Przemyślany spalili i zniszczyli z gruntu Tatarzy w czasie oblężenia Podhajec.

Dnia 2 grudnia przez urodzajne, uprawne pagórki do Krościenka *(Kodulka)* pół mili. Jest to wieś nad jeziorem u stoku wyżyny położona. Potem przez uprawne żyzne pagórki na długą i szeroką równinę, nieco nizką i zewsząd górami otoczoną, z gruntami wszędzie bujnemi, aż do Kurowic półtory mili. Jest to wieś z ruskim kościołem nad jeziorem, przez które płynie strumień, jak to na Rusi prawie wszystkie wsie tak leżą. Tutaj po lewej ręce widać wieś Wyżniany [1]) z papiezkim kościołem, która jako i Kurowice należy dziedzicznie do pana Grabianki. Po prawej ręce zaś widać wieś Turkocin z ruskim kościołem. Z Kurowic przez groblę jeziora, gdzie już niebawem widzi się z daleka zamek lwowski, pozostawiając po lewej ręce małe miasto Mikołajów, przez równe pola do Hermanowa, jedna mila. Mikołajów należy do chorążego koronnego Sieniawskiego; Hermanów zaś jest to wieś położona na brzegu jeziora. Dalej znów przez płaszczyznę i pagórek, dalej przez krzaki świerkowe i dębowe wzdłuż jeziora do Biłki, pół mili. Jest to niezła wieś nad dużym strumieniem, który wypływa z jeziora. Dalej przez równe pole do Mykłaszowa jedna mila. Jest to wieś z ruskim kościołem, przy której przedtem leżał mały czworoboczny szaniec, ale teraz walący się zupełnie. Płynie tu też obok strumień. Potem ciągle pod górę do Lwowa [2]) dwie mile. Drogę

[1]) *Mislian* u Werduma; są to jednak niewątpliwie Wyżniany, mające kościół rzymsko-katolicki.

[2]) Sobieski sam widocznie musiał wyprzedzić agenta i jego towarzyszów. Już bowiem pod dniem ostatniego listopada (u Helcla II, 70) pisze ze Lwowa do żony o kilkunastodniowej chorobie, którą tu przeszedł.

tę już wyżej, 10 lipca 1671 roku, opisano, Lwów zaś 3 grudnia 1670 roku.

Dnia 15 grudnia 1) powtórnie ze Lwowa drogą co dopiero opisaną napowrót do Biłki, trzy mile.

Dnia 16 grudnia drogą także już opisaną pod dniem 23 i 24 lipca do Glinian przez wsie Zuchorzyce, Żurawniki (*Sukorki*, *Zuranikiane*) i Laszki, z których średnia miejscowość jest miasteczkiem (*ein Flecken*), do Glinian, dwie mile. Miasto to już wyżej dokładnie opisano. Potem inną drogą przez piękną, bogatą w trawę równinę do Skniłowa, jedna mila. Jest to wieś, należąca dziedzicznie do pana Cetnera, kasztelana halickiego. Rzeka Strepa 2) tu przepływa. Wieś ma ruski kościół nad wielkiem moczarowatem jeziorem. O ćwierć mili na prawo od miejsca tego leży wieś Bortków, do tego samego pana należąca. Dalej przez rzekę w pięknej, tłustej równinie do Ostrowczyka polnego 3), półtory mili. Jest to wieś z ruskim kościołem, położona w samym środku jezior i moczarów, gdzie widać i inne wsie na około leżące.

Potem przez groble dwóch jezior — przez każde przepływa znaczny strumień, wpadający do Bugu—dalej przez uprawne pola, porosłe tu i owdzie dębiną, do Białego Kamienia pół mili. Jest to małe miasto w tłustych gruntach, należące do księżny na Zamościu, króla polskiego pani matki. Otaczają je wały z ziemi i fosa, zaopatrzona z Bugu w wodę. Ten Bug jest to zgoła inna rzeka niż Boh na Ukrainie, który wpada do Dniestru 4), tamten zaś wpada pod Nowo Dworem, o cztery mile poniżej Warszawy, do Wisły. W Białym Kamieniu, co znaczy po polsku tyle co niemieckie *Weissenstein*, znajdują się dwa kościoły, jeden z kamienia papieski, drugi z drzewa ruski. Zamek jest sposobem włoskim z białych kamieni zbudowany z wieżami po bokach, prócz tego zaś w czworobok otoczony wałem z ziemi i położony w jeziorze na wschód od miasta, które jest bardzo spustoszone, ale znów się trochę podnosi, dla czego też tam wystawiono słobodę, czyli krzyż wolności na

---

1) Sobieski zaś już 7 grudnia wyjechał ze Lwowa naprzeciw wracającej z Paryża żonie. 14 grudnia był w Hrebiennem, wsi na trakcie z Żółkwi do Tomaszowa wiodącym (Helcel II, 71).

2) Na karcie Kummersberga Sołotwina.

3) *Perisbasty* u Werduma. Nazwa ta bez sensu nie ma wprawdzie podobieństwa do tej, którą umieściłem w texcie. Nie wiem jednak, coby innego znaczyć mogła.

4) Jedna z myłek Werduma; wiadomo bowiem, że Boh łączy się przy ujściu z Dnieprem i z nim razem wpada do Czarnego Morza.

ośm lat. Na środku rynku stał wielki wydrążony pień, jak w wielu innych ruskich miastach; w pniu tym są oznaczone różne miary zboża. Położenie miasta nie jest zbytnie równe, góry, które się przy nim wznoszą, tak są oddalone, że mu szkodzić nie mogą, choć są tak wysokie, że je już pod Żurawnikami widać.

Z Białego Kamienia w dole wzdłuż stoku gór, pozostawiając po lewej ręce na widoku w moczarach wieś Podlesie z ruskim kościołem, do Oleska, jedna mila. Jest to małe na pół spustoszone miasto, przez Tatarów kilkakrotnie splondrowane i spalone. Leży w moczarach, otoczone słabemi wałami z ziemi. Znajduje się w niem papieski kościół i dzwonica z kamienia, dobrze zbudowane, a prócz tego trzy ruskie kościoły z drzewa. Zamek jest to stara budowla z kamienia na okrągłym pagórku, który dominuje nad wszystkiemi sąsiedniemi wyżynami. Płynie tu strumień [1]), wypływający z różnych jezior. Jest to własność dziedziczna pana Jana Mikowskiego podkomorzego bełzkiego i starosty z Fischow.

Dnia 17 grudnia z Oleska przez aleje drzew śliwkowych, przed jego bramami zasadzone, do połowy góry, wzdłuż której się najprzód a potem przez równinę jedzie, przez którą płynie kilka strumieni, aż do wielkiego moczaru, przez który się przejeżdża po długiej grobli i moście, aż do małej rzeki [2]) i szerokiego jeziora, na którego brzegu leżą Ponikowice, dwie mile. Jest to mała wieś z ruskim kościołem. Potem najprzód przez orne grunta, dalej przez krzaki do miasta Brodów jedna mila. Jest to ładne miasto, dobrze zbudowane i ludne, gęsto domami zabudowane, średniej wielkości. Należy dziedzicznie do pana Koniecpolskiego, starosty dolińskiego. Zamek, wznoszący się obok, jest dobrze obwarowany czterema regularnemi basztami według dzisiejszego sposobu, wały i fosa jego są wykładane. Leży on jakoby cytadela przy mieście, jednostajnie dzisiejszym sposobem ufortyfikowanem basztami [3]), wykładanemi tu i owdzie także łamanym kamieniem i cegłami. Znajduje się w mieście papieski kościół z kamienia zbudowany i trzy ruskie z drzewa, jako i kilka prywatnych domów z kamienia włoskim sposobem zbudowanych, dalej dwa wielkie rynki i proste ulice, z których niektóre idą wprost

---

1) Według Kumersberga nazywa się Bokrowa.

2) Rzeka nazywa się Styr.

3) *Mit Bastionen und Faussebrayen.* Ostatniego wyrazu oddać nie umiem.

z zamku do wału, inne zaś na poprzek. Mała rzeka, która tu płynie, tworzy tu kilka jezior i moczarów. Nazywa się *Łahoda* [1]).

Potem przez równinę, w której leżą Brody, a dalej przez pagórek i piękny las świerkowy do Radziwiłłowa, jedna mila. Jest to małe miasteczko, także należące do pana Koniecpolskiego. Leży w polu, zewsząd otoczonem świerkowym lasem, na brzegu jeziora, które tworzy przepływająca tu mała rzeka. W miasteczku jest papieski i ruski kościół, ale zaledwie 50 lub 60 domów. Codziennie jednak jeszcze tu budują, ustanowiwszy tu słobodę czyli koło wolności *(Freiheitskreis)* na lat dziesięć. Fortyfikacya składa się ze słabego podupadłego wału z ziemi.

Dalej przez płaszczyznę otoczoną krzakami do Krupca (*Kupnice*), należącego do pana Cetnera, jedna mila. Jest to dość znaczna miejscowość z papieskim i ruskim kościołem. Przepływa tu strumień przez jezioro, leżące obok. Zamek, zbudowany w czworobok, ma dość znaczne wały z ziemi i cztery drewniane wieże na rogach.

Potem przez krzaczaste pole do Sitna, jedna mila. Wieś ta leży na płaskiem polu, otoczonem zdala lasem, przez które płynie strumień [2]). Jest tu także ruski kościół. Dalej przez takie same pola do Iwania (*Evagne*) jedna mila. Jest to licha wieś nad jeziorem, przez które przepływa strumień [3]). Potem przez piękny las a dalej przez wyżynę do długiej doliny, mając same góry po prawej ręce. Tutaj w r. 1668 stał polski obóz, po którym jeszcze widać ślady, nie daleko Werby, lichej wsi z wielkim kościołem nad jeziorem i strumieniem [4]) wraz z zamkiem obwarowanym wałami z ziemi i należącym do pana Małyńskiego. Z miejsca tego jedzie się potem równiną do Ptycza, od Iwania jedna wielka mila. Poprzednio jedzie się po długiej grobli, prowadzącej przez jezioro i moczary, nad któremi leży Ptycze, małe miasto, należące do księcia na Ostrogu. Było zupełnie spustoszone, lecz powoli znów nad niem budowano. Leży na wyżynie i ma papieski kościół wraz z dwoma ruskiemi i żydowską bożnicę.

Dnia 18 grudnia ciągle pagórkami, oddzielonemi od siebie kilku dolinami, przez które płyną znaczne strumienie do rzeki

1) Suchowolka według Kummersberga. Pod Brodami znajduje się dziś wieś Łahodów.

2) Nazywa się Siteńka.

3) Jest to Płuszewka.

4) Nad rzeką Ikwą.

Ikwy, która szeroką doliną, zamkniętą po prawej ręce samemi górami, płynie do Podłuża, jedna mila. Jest to nędzna wieś, należąca do księcia na Ostrogu. Potem przez ową wieś do Tarakanowa, pół mili, takiej samej wsi należącej do tego samego pana. Z miejsca tego dalej przez dolinę do Dubna, pół mili.

Dubno jest to miasto miernej wielkości, gęsto zabudowane drewnianemi domami i bardzo ludne, długie i wązkie, z prostemi i długiemi ulicami i takiemiż poprzecznemi, wszystkie atoli bez bruku. W obrębie miasta znajduje się klasztor Bernardynów z wielkim kościołem zgrabnie wybudowany. Prócz tego jeszcze papieski i cztery ruskie kościoły i żydowska bożnica, wszystkie z kamienia. Po za miastem na brzegu jeziora wznosi się klasztor dla ruskich zakonników zbudowany z kamienia a po drugiej stronie jeziora klasztor z drzewa z ruskiemi zakonnicami. Miasto i zamek leżą nad jeziorem na długiej wyżynie, z dwóch stron otoczone wodą jeziora i rzeki Ikwy. Zamek leży na najwęższym końcu tej wyżyny w miejscu, gdzie się wychodzi z miasta; szerszy koniec, gdzie się wchodzi do miasta, ma dobre fosy i wały, lecz źle na skrzydłach urządzone, z piękną kamienną bramą w środku. Zamek od strony miasta otacza szeroka fosa, której kontreskarpa jest wyłożona kamieniem, z wysokim murem i dużemi wieżami *à Orillon* czyli takiemi, które się znajdują wewnątrz kąta utworzonego przez mur. Brama zamkowa jest bardzo dobrze zbudowana z płaskim dachem włoskim sposobem. Po lewej stronie, kiedy się idzie pod górę, znajduje się także włoska budowla, jakoby galerya, w której się znajdują mieszkalne pokoje. Po prawej ręce widzimy mur z mieszkalnemi pokojami na równi z ziemią a na końcu mur z fosą, przez którą się przechodzi do starego zamku, w którym zabudowania są tylko z drzewa, obwarowane po części murami i wieżami, po części wałami z ziemi, lecz wszystko zniszczone. W ogóle żaden z obu zamków nie jest zupełnie naprawiony. Z zamku idzie się po długiej grobli przez moczary i jeziora do wsi Ratczyno, położonej na brzegu jeziora. Z miasta prowadzi do tej samej grobli długi drewniany most, ciągnący się po prawej stronie zamku i tej wsi. Przed 23 czy 24 laty oblegali Kozacy ten zamek, bombardowali go, ale nie zdobyli, choć miasto wtedy zajęli i spustoszyli, bo z dwóch stron nie ma ono prawie innej fortyfikacyi prócz wody jeziora. Pan miejscowości tej książe Aleksander na Ostrogu świetnie nas przyjmował. Ma on lat około 22 lub 23, jest niskiego wzrostu, ale dość poważny, roztropny i odważny. Podróżował po Włoszech, Niemczech i Francyi; mówi też

językiem tych krajów, prócz tego zaś językiem ojczystym i po łacinie. Matka jego jest jedyną siostrą wielkiego hetmana Sobieskiego, obecnie żyjąca w związku małżeńskim z litewskim hetmanem polnym ks. Michałem Radziwiłłem. Koronny hetman polny zaś a stryj króla Michała, ks. Dymitr Wiśniowiecki, ożenił się z jedyną siostrą z tej samej matki księcia na Ostrogu.

Mieszkaliśmy u pewnego Żyda, który przez cały dzień palił świecę, bo dnia tego w roku umarła jego teściowa. Na jej pamiątkę musiała się raz w rok przez 24 godzin palić świeca. W Piątek wieczorem z zachodem słońca zapalił jeszcze cztery świece, albowiem miał w domu jeszcze dwie kobiety, z początkiem Szabasu zaś musi zapalić po dwie świece dla każdej kobiety znajdującej się w domu.

Dnia 21 grudnia z Dubna dawną drogą napowrót do Sitna, cztery mile. Drogę i miejscowość tę opisano wyżej. Widać przy Sitnie wysoką górę Krzemieniec, którą ciągle aż do Brodów ma się na widoku. Krzemieniec jest to zamek, miasto i starostwo położone na tej górze, skąd wypływa rzeka *Yemsa* [1]). Widać tu po prawej ręce także wieś z kościołem Michajłówka (*Wikolowka*), należącą do Sitna. Z miejsca tego tą samą drogą napowrót do Brodów, trzy mile. Drogę i miejsce to już wyżej opisano.

Dnia 22 grudnia tą samą drogą znów napowrót, pozostawiając po lewej ręce na widoku piękny pałac (*Lusthaus*) pana Koniecpolskiego, nazwany *Podhara* [2]), coby Polacy wymawiali *Podguri*; znaczy tyle co niemieckie *unterm Berge*; na wieczór aż do Białego Kamienia, cztery mile. Drogę i miejsce to opisano już wyżej. Rzeka Bug, która tu płynie, wypływa o dwie mile powyżej tego miasta przy wsi Werchoburz i wpada o cztery mile poniżej Warszawy w Nowodworze do Wisły.

Dnia 23 grudnia jeszcze dawną drogą napowrót przez Gliniany do wsi Biłki, pięć mil. Drogę i miejsce to także już poprzednio opisano.

Dnia 24 grudnia w wilią Bożego Narodzenia jeszcze tą samą drogą do Lwowa, trzy mile.

W dzień Bożego Narodzenia wspaniale nas uraczył pan Marszewski, podwojewodzy ruski i podczaszy (*Lodskez oder Unterschenke*) lwowski. Przy uczcie wszędzie pod obrusem, na krzesełkach i ławkach, pod materacami i na całej podłodze leżało

---

1) Nazwy tej nie umiem objaśnić.

2) Oczywiście Podhorce.

siano, na pamiątkę stajni, w której przyszedł na świat nasz Zbawiciel Jezus Chrystus, i siana, na którym leżał.

Dnia 29 grudnia. Pan mój abbé de Paulmiers umówił się z wielkim hetmanem Sobieskim, że teraz miał zrobić próbę, aby armię skonfederować a potem z czasem tę konfederacyą zużyć na korzyść ks. de Longueville a przeciw królowi Michałowi. W tym celu dostała cała armia w świeżo zdobytych miejscowościach Podola i Ukrainy wcale złe leże zimowe umyślnie dlatego, aby znajdowała się w tym nędzniejszym stanie, w tym większem niezadowoleniu i była tym lepiej dysponowaną do konfederacyi. Ponieważ zaś do tego potrzebną była obecność księdza de Paulmiers w armii i dla tego jeszcze raz musieliśmy się udać na Podole, wyjechaliśmy więc tego dnia ze Lwowa do Lesienic, tylko jedna mila. Ta wyżej opisana karczma i wieś należy do Benedyktynek z klasztoru wszystkich Świętych we Lwowie. Było tak strasznie zimno, że mimo wszelkich futer, w któreśmy się opakowali, ledwie nos i uszy zatrzymać było można przy głowie.

Dnia 30 grudnia przed brzaskiem dnia przy okrutnym, twardym mrozie z miejsca tego przez Mykłaszów, Biłkę, Hermanów, Kurowice i Przemyślany do wsi Wołkowa, sześć mil. Miejscowości te wraz z drogą opisano już wyżej dnia 1 grudnia. Zimno, zwłaszcza przed wschodem słońca i po zachodzie, tak było silne, że mieliśmy trud niesłychany, aby i siebie samych i ludzi, którzy nam służyli, zabezpieczyć przed szkodą. W tych wschodnich krajach bowiem powietrze jest o wiele subtelniejsze i wnika prędzej w członki niż w północnych miejscowościach. Sam w Szwecyi [1]) zrobiłem to spostrzeżenie, że w krajach tamtejszych panuje zimą także silne i przygniatające zimno, które atoli, aby się tak wyrazić, jest grubijańskie i szorstkie i wprowadza wszystko w stan skamieniały i niszczy wszystko zewnętrzną siłą, wschodnie zimno zaś wnika w głąb a czego się tylko dotknie, to pali nie inaczej jak ogień, jak to łacińscy poeci używają takiego antytetycznego sposobu mówienia, nazywając silne zimno palącem zimnem (*frigus adurens*). Podróżując w krajach tych zimą, nie wchodzi się do domu, zsiadłszy z konia lub ze sanek, aż dopiero kiedy się starannie zbadało, czy który z członków nie zmarzł, co się poznaje po białości i braku czucia. Trzeba niezwłocznie śnieg lub roztłuczony lód tak długo do miejsca tego przykładać, aż z wielkim

---

1) Ostateczną redakcyą tego dziennika uskutecznił Werdum, jak widać z tego miejsca, dopiero po podróży szwedzkiej.

bólem czucie z krwią znów do niego wnijdzie. Jeżeli się zaś, nie zrobiwszy tego, wnijdzie do ciepłego domu, nie ma już rady, miejsce to zostaje obumarłem, a potem gnije.

Dnia 31 grudnia z Wołkowa przez Narajów do Brzeżan, cztery mile. Opisano to już powyżej.

Dnia 1 stycznia 1672 r. traktował nas chorąży koronny Sieniawski na zamku w Brzeżanach, którego fosa w tej niezmiernie ostrej zimie i w ogóle nigdy nie zamarzała, bo rzeka Złota Lipa utrzymywała wodę ciągle w biegu. Przy końcu obiadu, około godziny czwartej nad wieczorem, przyszedł cały kler z miasta w procesyi na zamek aż do sali, z całą chmarą młodych księży w białych sukniach, którzy wszyscy nieśli w ręku dzwony lub dzwonki, jako i świece woskowe i naczynia do kadzenia. Za nimi szło mnóstwo popów także w białych mszalnych sukniach, a w końcu proboszcz z fary, niosąc szkatułkę z relikwiami w kształcie słońca. Teraz wszyscy razem odśpiewali kilka kolekt, a potem wypalił proboszcz długą mowę do pana chorążego koronnego; w tym czasie i kiedy śpiewali całował pan chor. koronny wraz z całem swem otoczeniem ową szkatułkę, którą proboszcz po pocałunku każdemu przykładał do czoła lub do głowy. Za co znów każdy wrzucał sztukę pieniędzy do miski, którą mu prezentował stojący obok pop. Potem wychylił pan chorąży koronny do proboszcza kieliszek węgierskiego wina, który mu tak samo odpowiedział, podając kieliszek ochmistrzowi, ten zaś drugiemu popowi, i tym sposobem krążył kielich w koło. Potem wróciło duchowieństwo znów na dół w takiej samej procesyi, w jakiej przyszło na górę.

Dnia 2 stycznia z Brzeżan przez wschodnie przedmieście, w którem ruski kościół, dalej przez rzekę i długą dolinę, wzdłuż stoku wyżyny, aż do wsi Posuchów pół mili. Należy ona do Brzeżan i ma ruski kościół, położony nad wielkiem jeziorem. Z miejsca tego jeszcze wzdłuż tej samej doliny, a dalej przez pagórek do Rybnik, pół mili. I ta wieś ma ruski kościół i należy do pana Bońskiego (!). Potem inną doliną, która się łączy z poprzednią, dalej przez krzaczasty pagórek jeszcze do nowej szerokiej doliny aż do Sławiętyna [1]), półtory mili. Jest to także wieś z ruskim kościo-

[1]) *Slavencina.* Werdum bardzo często pisze nazwy w drugim zamiast w pierwszym przypadku. Powstało to, sądzę, w ten sposób. Werdum musiał się nauczyć parę słów po polsku. Kiedy więc pytał: dokąd jedziemy? — odpowiadano mu: do Sławiętyna, a on zapisał sobie jako nazwę wsi: *Slavencina.*

łem, należąca do pana Stamirowskiego. Z miejsca tego dalej tą samą doliną, w której widać płynące dwa strumienie czyli małe rzeki, nad któremi leżą dwie wioseczki, do Kąkolnik, półtory mili. Jest to małe zupełnie spustoszone miasto, otoczone bardzo podupadłemi wałami z ziemi. W miasteczku stoi stary drewniany kościół na wyżynie. Jedna ze wspomnianych rzek płynie pod tem miastem. Z miejsca tego dalej w tej samej dolinie, a potem przez wyżynę, gdzie niebawem widać szeroką dolinę, w której wzdłuż płynie rzeka Dniestr. Na brzegu jej widać po prawej ręce o pół mili miasto i zamek Halicz, od Kąkolnik wielkie pół mili. Jest to starostwo, którego obwód i jurysdykcya daleko sięgają. Starostą jest teraz pan Andrzej Potocki, wojewoda i generał kijowski, który zamek ten niedawno kazał obwarować kształtem trójgraniastym. Leży on zresztą i z natury na korzystnem wywyższeniu. Potem przez wyżynę i wieś Siemikowce (*Zemikuce*), należącą do arcybiskupa lwowskiego, dalej równemi polami do Dubowic (*Dubnice*) trzy ćwierci mili. Jest to wieś bez kościoła, należąca do halickiego starostwa i położona tuż nad rzeką Dniestrem.

Dnia 3 stycznia, przeprawiwszy się po lodzie przez Dniestr, płaszczyzną, bardzo urodzajną i w zboże obfitą, do Jezupola, pół mili. Jest to miasteczko położone w prowincyi Pokucie, które po księztwie mołdawskiem, kiedy to zresztą przyjęło protektorat turecki, dotąd pozostało przy Polsce, do którego państwa przed laty całe to księztwo należało. Leży ona pomiędzy Dniestrem a górami węgierskiemi i siedmiogrodzkiemi. Jezupol leży w dobrych gruntach nad jeziorem i moczarami, przez które płynie mała rzeka [1]. Należy teraz do pana Potockiego, podolskiego generała, który go niedawno odziedziczył od brata swego generalnego wojennego komisarza, którego Polacy nazywają pisarzem koronnym, a który roku 1671 w miesiącu kwietniu umarł w Warszawie. Miano go jutro, t. j. 4 stycznia 1672 roku, z wielką pompą tutaj pochować. Pod Jezupolem wznosi się zamek z kamienną fortyfikacyą, klasztor dominikański z pięknym dobrze zbudowanym kościołem z kamienia, otoczonym wykładaną fosą. Miasto ma i dla siebie wały z ziemi i fosę z kilku bocznemi fortyfikacyami w kształcie małych baszt. W mieście i na przedmieściach znajdują się jeszcze trzy ruskie kościoły. Przedmieścia są zresztą po większej części drewnianemi domami zabudowane.

---

1) Jest to rzeka Bystrzyca.

Z miejsca tego ciągle jeszcze równemi i po większej części uprawnemi polami do Jamnicy (*Savnice*) jedna mila. Wieś ta z ruskim kościołem leży nad małym strumieniem [1]) i należy do kijowskiego wojewody. Potem jeszcze dalej przez takie płaskie pola i małą rzekę do Stanisławowa, jedna mila. Miasto to dopiero przed dziesięciu laty z gruntu na nowo zbudował wymieniony wojewoda kijowski Andrzej Potocki i nazwał je podług jedynego swego syna, teraz dwunastoletniego panicza, któremu na imię Stanisław. Leży ono w zupełnie równej płaszczyźnie w miejscu, gdzie przedtem stała ruska kościelna wieś Zabłotów (*Sobloto*), która teraz jest jednem z przedmieść. Z trzech drugich stron jest miasto otoczone jeziorami i moczarami, przez które płynie mała rzeka Bystrzyca i wpada do fosy miejskiej. Fortyfikacya składa się z sześciu regularnych baszt z ziemi z palisadami u dołu, zrobionemi z całych dębów. Wojewoda zamierzał jeszcze kazać wyłożyć fosy i zaopatrzyć je w zewnętrzne fortyfikacye. Główna linia bastionów ma 150 stóp długości. Pan François Corassini z Awinionu, podpułkownik w pieszej gwardyi wojewody, zbudował te fortyfikacye. W mieście znajduje się papiezki kościół, ale tylko z drzewa, w którym tak długo odprawia się nabożeństwo, aż nie będzie zupełnie wykończony piękny kościół z kamieni, już dość zaawansowany. Ormianie i Rusini czyli Grecy mają także po jednym kościele, a Żydzi bożnicę. Ratusz stoi na środku czworobocznego wielkiego rynku. Jest on zbudowany jakoby wieża z różnemi zagłębieniami, po części z drzewa, po części z kamienia. Wojewoda założył tu także wysoką szkołę z pięciu profesorami. Zamek, w którym on sam teraz mieszka, jest także tylko z drzewa, lecz już zwieziono belki, cegły i płyty kamienne dla drugiego zamku o ciężkiej budowie, który ma stanąć w południowo-wschodnim kącie miasta. Wojewoda chce go obwarować wieżami i innemi fortyfikacyami, jakoby cytadelę. Miasto ma trzy bramy z kamienia zbudowane; na jednej z nich wznosi się półksiężyc. Zabłotów jest jednem przedmieściem; po drugiej stronie jest takie samo, każde z ruskim kościołem. Po za miastem na strzał działowy na południowy zachód znajduje się piękny las dębowy, długości około ćwierci mili. Tutaj siedzieliśmy przez dwa dni spokojnie, wspaniale traktowani przez wojewodę tak na zamku, jak w gospodzie. Za to znów pan mój, abbé de Paulmiers, ze swej strony pokazał się

[1]) Strumień ten nazywa się także Jamnica.

bardzo hojnym, rozdając noworoczne podarunki wszystkim, nawet najniższym dworskim służącym.

Dnia 8 stycznia ze Stanisławowa piasczystemi polami i przez mały strumień *Czeczwa* zwany do Mykietyniec, pół mili. Jest to mała wieś z ruskim kościołem, należąca do Stanisławowa, do wojewody kijowskiego. Potem przez trochę lepsze grunta do Tyśmienicy, pół mili; małe miasteczko z wałami z ziemi i palisadami na nich, ale wszystko zupełnie w walącym się stanie. Ma ono 2 ruskie kościoły z drzewa, jeden w mieście, drugi na przedmieściu. Potem przez wysokie dobre grunta, pozostawiając na pół drogi po lewej ręce wieś Nadorożnę *(Dorosnie)*, aż do Tłumacza *(Plomasz)*, jedna mila. Jest to miasteczko takie jak poprzednie, z takiemi samemi wałami i palisadami, tak samo zniszczonemi. Z miejsca tego przez bramę wschodnią wzdłuż długiego jeziora, przez które po półmilowej drodze prowadzi gruba grobla, gdzie się przejeżdża przy młynie wodnym, a dalej przez wysokie pola do Gruszki [1]), wielkie pół mili Jest to piękna wielka wieś, po obu stronach szerokiej żyznej doliny położona u stoku pagórków. Grunta tu naokoło bardzo bujne, czarne i dobre.

Z miejsca tego ciągle takiemi samemi gruntami przez wieś Jezierzany *(Siewetszan)* do Isakowa *(Sakow)*, jedna mila. Jest to małe miasto, zamieszkałe przez samą szlachtę, której atoli od chłopów rozróżnić nie można. Ze strony południowej i zachodniej styka się ono z wysoką płaszczyzną, z dwóch drugich stron otacza je głęboka dolina. Potem żyznemi uprawnemi polami, w których po lewej ręce nad stromą, głęboką doliną widzi się stojący piękny zamek, *Damschitz* [2]) nazwany, do pana Grudzińskiego należący, wraz z małą wsią na dole w jarze. Dalej przybywa się do wsi z ruskim kościołem Siekierzyn, leżącej na brzegu Dniestru pomiędzy stromemi skałami; ma to być od Isakowa ćwierć mili, a więc od Tłumacza tylko siedm ćwierci mili, mimo to jednak jechaliśmy drogę tę sześć godzin dobrym kłusem koni naszych, a potem musieliśmy znowu wrócić do Isakowa, bo Dniestr w miejscu

---

1) *Odzernim* u Werduma. Nazwa ta nie ma wprawdzie żadnego podobieństwa do tej, którą umieściłem w tekscie, mimo to, sądzę, może tu być tylko mowa o wsi dziś Gruszka zwanej, opis drogi zupełnie do niej się stosuje. nawet młyn (Melniczeńko) jest w pobliżu. Być może, że wtedy inaczej się nazywała, ale nie tak, jak ją Werdum mianuje.

2) Wsi takiej lub podobnej nazwy dzisiaj tu nie ma. Jadąc z Isakowa do Siekierzyna, widać po lewej stronie wieś Dolinę.

tem dla szybkości zwężonego biegu nie był dość silnie zamarznięty, trzeba zatem było szukać więcej płaskich wybrzeży.

Dnia 9 stycznia z miejsca tego przez wysokie żyzne pola, tu i owdzie poprzecinane głębokiemi dolinami, do Piotrowa, pół mili. Jest to wieś leżąca na stoku pagórków nad Dniestrem, otoczona pięknemi gruntami. Potem przez takie same pagórki, z których wszędzie patrzysz na dół na Dniestr, do Niezwisk (*Niezewitz*), pół mili. Dalej bardzo stromą górą na dół do rzeki, gdzieśmy się po lodzie przez nią przeprawili, spotykając po drugiej stronie wieś Łukę (*Lukow*), oddaloną od poprzedniej tylko na strzał armatni. Obie są małe i należą do pana Potockiego, wojewody bracławskiego. Potem samemi żyznemi uprawnemi polami aż do Potoka dwie mile. O ćwierć mili od Łuki znacznie się zakrzywia Dniestr, zakrzywiwszy się zaś od Piotrowa do Niezwisk i dalej za temi wsiami, ściąga się znów na strzał z muszkiety dalej i tworzy tym sposobem prawie wyspę, mającą do mili drogi w obwodzie i połączoną tylko wązkiem ramieniem z resztą lądu. Tutaj po prawej ręce na mołdawskiej stronie widać wieś Korniów.

Potok jest to małe miasto, położone nad Dniestrem po stronie podolskiej. Ma ono papiezki kościół z kamieni zbudowany. Zamek, położony na południowym końcu, jest także kamiennym murem otoczony i czterema wieżami obwarowany. Prócz tego mają Grecy czyli Rusini kościół na przedmieściu, a Żydzi bożnicę w mieście. Cały ród Potockich, w Polsce bardzo znakomity, wywodzi swój początek z tego miejsca, które teraz należy do Potockiego, wojewody bracławskiego.

Potem przez dobre grunta wzdłuż małej rzeki Krzepa [1]) do dwóch lichych wsi Sokołowa i Rusiłowa (*Russola*) trzy ćwierci mili. Dalej przez niezmiernie strome skały i wysokie góry, przez które płynie jeszcze mała rzeka [2]), do Jazłowca, pół mili. Jest to dość wielkie miasto po obu stronach długiej doliny, położone z przedmieściami na małych wznoszących się tu pagórkach, gdzie płynie rzeka Olchowiec (*Violovatz*). Zamek wznosi się o strzał armatni na zachód od miasta na osobnym pagórku, który na poprzek od gór sięga w długą dolinę. Jest wielki, włoskim sposobem z wysokiemi murami, płaskim dachem i wielu kominami dobrze zbudowany, ale już na pół spustoszony. Na zachodniem

---

1) Jest tu rzeczywiście mała rzeczka; nie wiem jednak, czy się tak nazywa, nazwy jej bowiem na karcie Kummersberga nie oznaczono.

2) Jest to Strypa.

przedmieściu znajduje się kamienny kościół i podobny w mieście, gdzie także Ormianie mają swój osobny kościół, a Żydzi bożnicę. Prócz tego jest jeszcze kościół na wschodniem przedmieściu.

Potem żyzną uprawną równiną albo płaszczyzną do Bazaru, wielkie pół mili. Jest to zupełnie opustoszała wieś nad jeziorem, przez które na jednym końcu prowadzi grobla. Bylibyśmy tu chętnie się zatrzymali, bo nietylko słońce już zaszło, ale i zimno było tak dokuczliwe i srogie, że obawiać się było trzeba o utratę nosa, uszów i innych członków, ponieważ jednak nie było tu tylu domów, aby się pod dachem konie i ludzie pomieścić mogli, musieliśmy ruszyć dalej, a zatem jeszcze pięknemi, żyznemi, ale nie zawsze uprawnemi polami do Jagielnicy, półtory wielkiej mili. Była to przykra jazda w nocy, wprawdzie przy jasnem świetle księżyca, ale przy zimnie doprawdy za srogiem. Na strzał armatni przed miastem leży mała wieś [1]) z karczmą żydowską, gdzieśmy stanęli. Miasto ma też znaczne przedmieścia, rozciągające się na wschód; samo zaś leży u stoku pagórka wzdłuż wielkiej doliny, gdzie naprzeciw w północnej części doliny wznosi się stary, ciężko zbudowany, na pół opustoszały kasztel. W zachodniem przedmieściu znajduje się papiezki kościół.

Dnia 10 stycznia z miejsca tego innemi polami, a dalej przez krzaczastą górę do Ułaszkowic (*Laskovice*), jedna mila. Jest to mała wieś w dole przy pagórkach położona, na których po lewej ręce był usypany mały szaniec z ziemi, zaopatrzony w palisady. Potem ciągle płaszczyzną aż do miejsca zupełnie spustoszonej wsi [2]) półtory mili. Leżała ona w szerokiej dolinie nad jeziorem, teraz atoli stoją tu tylko trzy czy cztery nędzne chaty i nic więcej, choć dawniej zajmowała obszerny obwód. Potem pięknem polem do Borszczowa (*Borischow*), pół mili. Jest to miasteczko należące do pana Lanckorońskiego, podkomorzego podolskiego. Otaczają je niezłe wały z ziemi i palisady. Na południowym wschodzie obok stoi stary zamek.

Dnia 11 stycznia krzaczastemi polami do lichej wsi Perejny (*Parian*), jedna mila. Leży ona po lewej ręce i składa się tylko z kilku chat. Potem żyznemi gruntami do Podfilipia (*Epele*), pół mili. Wieś ta leży nad rzeką Zbruczem, nad którą leży także miasteczko Zbrzyż (*Przesa*), o którem wyżej wspomniano. Pod Podfilipiem leży także mały szaniec nad tą samą rzeką.

---

1) **Pewnie Chomiakówka albo też Dolina.**

2) **Prawdopodobnie wieś Głęboczek.**

Potem do *Bigrody* [1]) jedna mila. Jest to wielka wieś z kościołem, położona w pięknych gruntach. Dalej urodzajną płaszczyzną do Kieptyniec, dwie mile. Jest to wielka wieś, położona nad rzeką Skałaską [2]).

Potem samemi żyznemi płaszczyznami, po części nieuprawnemi, po części uprawnemi, do Kamieńca Podolskiego, półtory mili. Miasto to opisano dokładnie powyżej dnia 30 lipca 1671 r.

Dnia 13 stycznia z miejsca tego płaszczyzną do Wróblowic *(Phorubluze)* pół mili. Jest to licha wieś po prawej ręce położona. Potem dalej równiną i polem na poprzek przez głęboką dolinę, gdzie płynie rzeka Ternawa, przez którą przedostawszy się, wjeżdża się na stromy pagórek, do Kitajgrodu, jedna mila. Miasto to leży na stromej skale; dostaje się do niego przez dwie głębokie doliny i wązki poprzeczny pagórek. Zamek leży na stronie południowo-zachodniej wysoko na wyżynie. Tak zamek jak miasto bardzo są opustoszałe. Należy do pana Potockiego, wojewody sieradzkiego.

Potem płaszczyzną, gdzie się po prawej ręce u stoku pagórka widzi głęboko pod skałami wytryskającą małą rzekę z dziury w skałach, do Studenicy [3]), pięć ćwierci mili. Jest to małe miasto nad brzegiem Dniestru, który od wschodu tutaj przepływa. Po stronie zachodniej ma ono szerokie jezioro pomiędzy sobą a górą. Miasto ciągnie się wzdłuż. Południowy koniec wązki jest obwarowany od rzeki aż do jeziora murem, w którym piękna brama. Północny koniec jest szerszy; ma dla obrony swej zamek kształtu gwiazdy z łamanego kamienia zbudowany, w obrębie jego fortyfikacyi stoi atoli tylko drewniany dom. Należy do pana Potockiego, wojewody kijowskiego.

Dnia 14 stycznia z miejsca tego przez wyżynę, pozostawiając, ujechawszy ćwierć mili, po prawej ręce wieś Kozodawińce [4]), a dalej najprzód przez wysokie pagórki, potem przez płaszczyznę do Uszycy, dwie mile. Wieś ta leżała przy ujściu Uszycy do Dniestru, jest atoli teraz zupełnie spustoszona. W tem miejscu przeprawiliśmy się przez wspomnianą rzekę Uszycę po lodzie i jechaliśmy potem konno spadzistą drogą pomiędzy górami i wzdłuż Dniestru do Łojowic *(Lajonze)*, jedna mila. Było to przedtem ładne

---

1) *Bigroda*, takiej wsi odszukać tu nie mogłem.

2) Kieptyńce leżą nad Zbruczem i nad małym strumieniem, który się może tak nazywa.

3) Jadąc do wsi Studenicy przejeżdża się przez rzekę tak samo nazwaną.

4) Kozodawińce leżą po lewej ręce, kiedy się jedzie do Uszycy.

miasto, zbudowane nad Dniestrem pomiędzy urodzajnemi gruntami, teraz zaś jest zupełnie puste, tylko że na zachodzie widać resztki drewnianego kościoła, na wschodzie ślady spustoszonego szańca. Potem przez górę, mającą bardzo stromy, wązki i krzywy spadek, gdzieśmy nie bez niebezpieczeństwa konie za cugle sprowadzać musieli na dół, aż ku miasteczku Neporotow, które leży po wołoskiej stronie, jak to mówią Polacy, choć w rzeczywistości jest w Mołdawii. Od tego miejsca wyrównywa się droga po podolskiej stronie. Przez dobrą płaszczyznę przybywa się do Kalusa, który od Neporotowa leży dwie i pół, od Łojowic cztery mile. Było to niegdyś wielkie miasto przy ujściu do Dniestru rzeki Kalus (*Piecesz*), która przy mieście Zinkowie (wyżej dnia 21 sierpnia 1671 roku) jest tylko małym strumieniem [1]). Miasto to było przedtem otoczone wałami z ziemi, lecz teraz leży do gruntu spustoszone prócz trzech lub czterech chat. Tutaj na brzegu Dniestru pomiędzy innemi drzewami i krzakami rośnie bardzo dużo dereniu (*Cornelien oder Hornkirschen*), także bardzo wiele bzu i więzów (*Ypern).*

Dnia 15 stycznia najprzód przez małą równinę, potem wzdłuż brzegu Dniestru do Lipczan, jedna mila. Jest to licha wieś. Naprzeciw niej po drugim brzegu rzeki, na mołdawskiej stronie, także leżą dwie małe wsie Wasilowce i Ożewo.

Z Lipczan przez tłustą równinę do Kozłowa Polskiego pół mili. Nazywają miejscowość tę Polskim Kozłowem, dla odróżnienia od wsi Kozłowa wołoskiego czyli raczej mołdawskiego, który leży po drugiej stronie rzeki i znajduje się w lepszym stanie niż polski, zupełnie spustoszony.

Naprzeciw wspomnianej równiny po stronie mołdawskiej leżą nad Dniestrem niezmiernie wysokie i strome skały, których najwyższe i najbardziej strome szczyty wyrąbali i wydrążyli bezpieczni tu bandyci z Mołdawii, opryszkami zwani. Pozostawili oni tam tylko małe dziury od strony rzeki i wchodzą do nich i wychodzą z nich po drabinach, które za sobą wciągają, tak że ich nikt schwytać nie może, kiedy ich dla mordów i rozbojów na gościńcach ścigają, z czego w całych kompaniach żywią się i utrzymują. W tych okolicach, jako i w całej Mołdawii, są bardzo dziarskie i rzadkie (*sehr risch und rar*) kobiety, które, choćby jak najnędzniej żyły i jak najnędzniej się ubierały, zawsze jednak wyglądają powabnie i poważnie, tak że pochodzenie od Rzymian,

---

[1]) Jest to omyłka, bo Zinków leży nad Uszycą.

którem się szczycą, jeszcze z tego w części poznać można. Cesarz Trajan bowiem, zwyciężywszy Dacyę, teraz Mołdawią i Wołoszczyzną zwaną, umieścił tutaj, aby ją trzymać na wodzy, dwa rzymskie legiony, które skutkiem rewolucyi i biegu czasów pożeniły się w tym tu narodzie i zmięszały się z nim; jak to też mołdawski i wołoski język tak się zbliża do łacińskiego, że ludzie ci prawie rozumieć i rozmówić się mogą z Włochami. Polacy tak tych jak owych nazywają *Wloski*, to znaczy tyle co po niemiecku *Wallachen* albo *Welsche*. Kobiety tutejsze, tak samo jak Kozaczki, ubierają się latem w same płótno, najmajętniejsze w delikatną krochmalną kitajkę, przez którą ich dziarsko uformowane członki *(risch getaillirte Glieder)*, zwłaszcza jeźli staną pod słońce, widać prawie tak samo wyraźnie, jak żeby nago chodziły.

Z miejsca tego przez małą płaszczyznę, a następnie wzdłuż brzegu Dniestru do Ladawy, wielkie pół mili. Wieś ta leży w kącie doliny, którą Dniestr tu tworzy. Wysokie skały, wznoszące się po nad rzeką, tak wydrążyli wymienieni bandyci czyli opryszki, że przed kilku laty schroniło się ich tam przeszło sześćdziesiąt rodzin. Z żonami i dziećmi oblegało ich więcej jak dwadzieścia tygodni wojsko polskie. Całemi kartunami zestrzeliwano wtedy ogromne kawały tych skał, sądząc, że tym sposobem przełamią i otworzą ich jaskinie. Wszystko to atoli na nic się nie zdało, z zewnątrz bowiem głęboko w skałę wycinają oni tylko jednę lub dwie małe dziury, przez które czołgają się do jaskini, zresztą zaś pozostaje skała tak grubą, że w jaskiniach ich nie można ich dosięgnąć żadną armatą, ani też żadną inną siłą. Wreszcie więc było trzeba znieść bezowocne oblężenie, bo bandyci wewnątrz mieli w obfitości wszystko, czego im było potrzeba, a jak to z ich wściekłego hałasu, jaki tam w głębi wyprawiali, którego oddźwięki przez owe otwory dobrze słyszeć się dały, poznać było można, upijali się codziennie do syta, śpiewali, tańczyli i wyśmiewali się z Polaków. Na zewnątrz góry na szczycie, pod którym się znajdują te jaskinie, leży ładna wieś.

Z Ladawy przez wielką, żyzną, uprawną płaszczyznę do Serebryi Polskiej, pół mili. Była to piękna, wielka wieś, położona na północnem wybrzeżu rzeki Dniestr, lecz pan Knilski w wyprawie swej do Mohilewa w r. 1671, o której wyżej pod dniem 5 paźdz. 1671 r. wspomniano, zupełnie ją zniszczył. Teraz dla jej odbudowania ustawiono tu słobodę czyli krzyż wolności na kilka lat. Tuż naprzeciw po mołdawskiej stronie rzeki leży podobna wieś Sere-

brya Wołoska 1), bardzo dobrze zbudowana, wielka i ludna. Z Serebryi Polskiej przez piękne uprawne grunta do Mohilewa, pół mili. Miasto to już wyżej opisano, gdzie też, pod dniem 5 paźdz. 1671 roku, wspomniane teraz dwie wsie nazwano polską Serebryńcem, mołdawską zaś Wołoczyńcem.

Dnia 26 stycznia z Mohilewa na poprzek przez lód na Dniestrze do Budek 2), o których także tam wyżej wspomniano, a następnie pod wyżynę, pozostawiając na ćwierć mili po lewej ręce wieś Bryczany (*Labrezaniz*), do Moszan (*Misciane*) małe pół mili. Jest to mała wieś z kościołem nad jeziorem w dolinie położona.

Z miejsca tego przez wysokie, żyzne i po części uprawne pole do pomnika wielkiego kanclerza koronnego i wielkiego hetmana Żółkiewskiego, ojca matki teraźniejszego wielkiego hetmana Sobieskiego, wielkie pół mili. Kolumna ta wznosi się w pośród pola na małym pagórku, ma w czworobok około trzech stóp (*Maasschuh*) grubości, a dziesięć wysokości, jest wybudowana z łamanego kamienia. Od wschodniej strony znajduje się na czarnej marmurowej tablicy wyryte takie epitaphium:

Deo Trino et Uni 3)
Hospes
Si Christianus huc accedis,
Pro Christi fide defuncto 4) vota non 5) denega.

1) Na karcie Chrzanowskiego Wołczyniec.

2) Takiej miejscowości nie ma na karcie Chrzanowskiego. Na karcie tej czytamy nazwę Słobodka.

3) Napis ten na pomniku Żółkiewskiego podał pierwszy Starowolski w dziele *Monumenta Sarmatarum*, nieco odmiennie od tekstu, który nam tutaj podaje Werdum. Według Starowolskiego znajdowały się po napisie jeszcze wyrazy: *Anno Domini MDCXX Octob. 6* Wyrazów tych Werdum już nie znalazł. Pomnik ten kazała postawić w roku 1621 wspólnie z synem wdowa po Żółkiewskim. Dotrwał on aż do naszego czasu. Tylko napis na marmurze zniszczyła barbarzyńska ręka około roku 1830. Stał on niegdyś tuż przy drodze z Multan do granic polskich wiodącej. Dziś oddalony na wiorstę od głównego traktu z Kiszeniewa do Mohilewa, w okolicy należącej do powiatu sorockiego w obwodzie bessarabskim. Michał Baliński (*Studya historyczne*) podał nam rysunek tego pomnika, zdjęty na miejscu dnia 13 maja 1843 roku przez J W., jako i kartę położenia jego. Tam, gdzie była marmurowa tablica, dziś (albo raczej 1843 roku) jest próżne miejsce. Pomnik sam już w r. 1843 znacznie był uszkodzony. W jakim się dzisiaj znajduje stanie, nie wiemy. Porównaj także rozprawę moją o śmierci Stan. Żółkiewskiego w *Dzienniku Literackim* rok 1869.

4) *Interempto* u Starowolskiego.

5) *Ne* u Starowolskiego.

Si paganus venis,
Lapidi ne invide [1]:
Quisquis ades,
Quam dulce et decorum sit pro Patria mori,
Ex me disce.
STANISLAUS in [2] ZOLKIEW ZOLKIEWSKI,
Regni Polon. Cancellarius et Exercituum Dux Supremus, Barensis, Kaminiecensis, Jaworoviensis [3] Capitaneus, post reportatas de Kosaccis et [4] Tartaris victorias, actosque [5] de [6] subjugata
Moscovia
Triumphos
Republ. [7] Polonâ, quá pace, quá bello praeclaré gubernatâ,
Fortiter [8] cum Tartaris dimicando, hic occubuit [9].
Vos meo sanguine conspersi campi [16],
Debitae meae in Deum [11] pietatis,
Fideles perennis memoriae
Estote Testes.

Na górnej części tablicy nie ma wyrytego napisu. Może jego herb albo dzień urodzenia i śmierci były tu wypisane i wymalowane, tak że deszcz i powietrze kolory zniszczyły. Zresztą ani roku, ani dnia na tem epitaphium znaleźć nie można.

Jechaliśmy konno z hr. Władysławem Denhofem, gubernatorem mohilewskim i komendantem polskiej piechoty na Ukrainie, jeszcze tego samego dnia polując przez puste pola, spotykaliśmy jednak tylko mało zwierzyny, znów do Mohilewa, dwie mile.

Dnia 14 lutego w nocy o godzinie 10 przy twardym mrozie z Mohilewa przez Serebrynę i Ladawę do Kozłowa, 2 mile. Opisano to już powyżej pod dniem 14 stycznia.

Dnia 15 lutego z miejsca tego przez Lipczany do Kalusa półtory mili. I to już powyżej opisano. Potem przez Dniestr po

---

1) *Invideas locum* u Starowolskiego.
2) *A* u Starowolskiego.
3) *Faworaviensis* niewłaściwie u Werduma.
4) *Ac de* u Starowolskiego.
5) *Post actos* u Starowolskiego.
6) *De* nie ma Starowolski.
7) *Requepublica* ma Starowolski.
8) *Tum fortiter* u Starowolskiego.
9) *Occubui* u Starowolskiego.
10) *Campi cecorienses* u Starowolskiego.
11) *In Deum et patriam* u Starowolskiego

lodzie, na mołdawskiej stronie przez kilka małych wsi do Neporotowa, półczwarty mili [1]). Jest to mołdawskie miasteczko dość dobrze zbudowane z ładnym greckim kościołem i wielkim dworem. Zobacz wyżej pod dniem 14 stycznia. Kiedyśmy w towarzystwie wspomnianego gubernatora i komendanta, hr. Denhofa, jedli obiad, przyszedł kapitan miejscowości tej, który tutaj znaczy tyle, co starosta w Polsce, i kazał mu ofiarować wina węgierskiego, wódki i kilka pięknych chlebów, a przytem powiedzieć mu przez polskiego tłumacza komplement tej treści, żeby pan hrabia i ze swej strony sprzyjał nowemu rządowi w Mołdawii, jako i polecił usilnie takowy wielkiemu hetmanowi i innym polskim magnatom. Właśnie w tym czasie bowiem zaskarżyli mołdawscy poddani pod przewodem generała tej prowincyi, Durak zwanego, i kanclerza Hinkuła ówczesnego hospodara mołdawskiego, Stefan Duka zwanego, u dworu tureckiego, pod którego protekcyą stoi, z powodu twardego jego rządu i wielkiego ucisku pieniężnego. Na dworze tureckim pozwolono im, że wolno im go strącić. Zbuntowali się więc i wypędzili go. Właśnie wtedy pojechał on do Konstantynopola, gdzie za pomocą podarunków wkrótce znów uzyskał swą restytucyę. Przy pomocy Mehemeta, baszy sylistryjskiego, i niektórych tatarskich wojsk pobił wkrótce potem Duraka i Hinkuła i wypędził ich zupełnie z kraju do Ukrainy. Zaczął też wtedy jeszcze więcej ich tyranizować niż poprzednio, a prowincyę, która się pierwsza przeciw niemu zbuntowała, oddał Turkom i Tatarom, aby ją do szczętu wymordowali i spalili. Ten Duka zresztą pochodzi z bardzo dawnego rodu, z którego już przed wielu set laty, około roku 1030, Konstantyn Duka był cesarzem w Konstantynopolu. Wspomniany kapitan nowego rządu był to śmiały chłop (*ein frecher Kumpe*), wymowny i uprzejmego ułożenia, na którym wszystko bardzo zgrabnie wyglądało.

Z Neporotowa przez urodzajne pagórki, porosłe tu i owdzie drzewami, aż do rzeki Dniestru jedna mila. Tutaj opuściliśmy Mołdawię i puściliśmy się po rzece. Na lodzie jej jechaliśmy konno do Uszycy i tak samo dalej do Studenicy, trzy mile. Miejscowości i drogi te opisano wyżej pod dniem 13 stycznia.

Dnia 16 lutego z miejsca tego przez Kitajgród do Kamieńca Podolskiego, półtrzeciej mili. I to już poprzednio opisano. Potem płaską równiną, bardzo urodzajną, gdzie jest uprawną, do Orynina

---

[1]) Oddalenie to niewłaściwie podane, bo Neporotow zaledwie o milę leży od Kalusa.

trzy ćwierci mili. Opisano to powyżej pod dniem 26 lipca 1671 r. Z miejsca tego płaszczyzną do Borszczowa, dwie mile. I to miasto już opisano wyżej pod dniem 10 stycznia. Jechaliśmy nocą i spotkaliśmy na pół drogi wieś nad wielkiem jeziorem położoną.

Z Borszczowa przez Ułaszkowce do Jagielnicy, trzy mile. Miejscowości i drogi te opisano powyżej w miesiącu styczniu. Z miejsca tego przez Bazar do Jazłowca, dwie mile. Miasto to opisano w dniu 9 stycznia. Ludzie nasi raczyli się tutaj wesoło przy węgierskiem winie i miodzie z głównym oficerem kawalera Lubomirskiego, panem Stokowskim, i kilku innymi polskimi panami.

Dnia 18 lutego z miejsca tego przez płaskie grunta do Pomorzyc [1]), pół mili. Jest to wieś w krzakach doliny, prawie tuż przy drugiej wsi Cwitowa [2]) położona. Potem przez wieś Trybuchowce, przy której płynie jazłowiecka rzeka, Olchowiec (*Viklowatz*), do Buczacza (*Budziac*), pół mili.

Buczacz jest to wielkie miasto, bardzo zabawnie (*possirlich*) na górach i w dolinach w zamieszaniu położone, a od zachodu jeziorem zakryte. Otacza je kamienny mur, ma zaś niezłe domy i trzy papieskie kościoły i ruski klasztor, który teraz zajmują Dominikanie. Ormianie mają także swój kościół a Żydzi bożnicę i piękne okopisko, osobnym murem otoczone i wysokiemi wesołemi drzewami zasadzone. Zamek jest z kamienia zbudowany, jako i fortyfikacye jego. Stoi on na górze, z której spada rzeka Strypa i pędzi pewno z jakie dziesięć lub dwanaście młynów wodnych, jeden za drugim, przypłynąwszy tu ze Złotnik, wsi o sześć mil ztąd położonej. Miasto to należy do pana Potockiego, wojewody bracławskiego. W początku kozackiej rewolty spalili je do szczętu Moskale i Kozacy, teraz zaś na nowo je nieco odbudowano, zwłaszcza Żydzi. Ci bowiem tak tu, jak w całem Podolu i na Rusi mieszkają w wielkiej liczbie. Ponieważ zaś od panów polskich dzierżawią za pieniądze karczmy wraz z wszystkiemi innemi dochodami, dostają od nich nad poddanymi ich a zwłaszcza nad chłopami wielką władzę, której te łotry (*Schelme*) do tego stopnia nadużywają, że biednych Chrześcian według upodobania lżą, biją i nogami depcą, jak to na własne oczy widziałem, dziwiąc się, że chrześciańscy panowie tak na to patrzeć mogą. Ci jednak nie

---

[1]) Wieś ta nazywa się Pomorce, Werdum pisze *Pomeritz* i tu więc używa drugiego przypadku zamiast pierwszego.

[2]) Dzisiaj pomiędzy Pomorcami a Cwitową leży jeszcze wieś Repińce.

zważają na to, jeźli tylko dostaną pieniądze, bo ci polscy panowie z chłopami swymi obchodzą się gorzej niż z niewolnikami albo psami. Sprawiedliwy Bóg atoli nie zawsze im to płazem puszczał. Kiedy bowiem pozwalali na Ukrainie służbie swej a zwłaszcza Żydom, dzierżawiącym dobra polskich panów, Kozaków tyranizować do tego stopnia, że Żydzi codziennie znęcali się nad Chrześcianami, a nawet ich wieszali i zabijali, zbuntowali się wreszcie Kozacy pod swym generałem Bohdanem Chmielnickim i nie tylko wtedy wyniszczyli i wymordowali na Ukrainie wszystkich Polaków i Żydów, lecz usunęli się ze wszystkiemi swemi i panów polskich dobrami od korony polskiej, ustanowili pomiędzy sobą wolny rząd i zniszczyli w wojnach prowadzonych z Polską przy pomocy Turków, Moskali i Tatarów królestwo to z gruntu, tak że skutkiem kozackiej rebellii większa część panów polskich zubożała. Za jeden z głównych powodów, dla czego ukraińskie, podolskie i ruskie prowincye coraz więcej pustoszeją, coraz bardziej się wyludniają, uważam to, że mieszkało tutaj więcej jak gdzieindziej Żydów i że mieli prawie więcej do powiedzenia niż Chrześcianie a bożnice ich w wielu miejscach były wspanialej wybudowane niż kościoły Chrześcian; w tych bożnicach zaś, jak i zresztą we wszystkich swych słowach i czynach lżą i bezczeszczą imię Zbawiciela, przyprowadzając wszędzie za sobą przeklęstwo spustoszenia, wszędzie, gdzie tylko przyjdą. Prócz tego zaś i mieszkający tu Chrześcianie bluźnierstwami, klątwami, mordami, kaziorodztwem, cudzołostwem, rozwiozłością i innemi zwierzęcemi przywarami, zmusili Pana Boga do tego, że stosownie do swej prawdziwej groźby takim krajom kazał wyrzucić swych mieszkańców i zrobił z żywego kraju bardzo nieżywą ziemię dla grzechów i zbrodni, które tu popełniano. Tak więc stały się potem podolskie, ruskie i wołyńskie województwa skutkiem corocznego uprowadzania ludzi przez Tatarów z czasem w wielu miejscach tak pustemi i z ludu ogołoconemi, jak owe puste pola oddzielające Podole i Ukrainę od krymskiej Tataryi, gdzie w trzy — a nawet czterodniowej podróży nie ujrzysz ani domu ani gospody, ani psa ani koguta, choć rola jest tu wszędzie żyzna i bujna, a w niej aż do zbytku rośnie trawa i inne piękne zioła same z siebie, tak że w polach tych mogły by żyć i żywić się liczne miliony ludzi, gdyby je uprawiano. Mówił mi zresztą grecki pop w Mohilewie, że wszystkie te pola, zanim Tatarzy mieszkańców z nich uprowadzili i Turkom na sprzedaż wysłali, przed paru set laty zasiane były gęsto miastami i wsiami i zamieszkałe przez lud, który ów pop nazywał *Ochi.*

Dnia 19 lutego jechaliśmy przez dobrą żyzną płaszczyznę do *Perokowki* [1]), dwie mile. Jest to wielka wieś z ładnym kościołem. Potem przez takie same równe pola do Podhajec, jedna mila. Jest to śliczne miasto na równinie nad jeziorem położone. Jest duże i dość dobrze zbudowane z kilku ruskiemi i jednym papieskim kościołem, jako i jednym dla Ormian, których tutaj więcej mieszka niż Żydów, choć i oni w miejscu tem siedzą w dobrej liczbie i mają swoją bożnicę. Zamek otacza kamienny mur z wieżami dość znacznej objętości, lecz leży tak blisko pod wysoką górą, że z niej można by go pewnie kamieniami zburzyć. W mieście znajdował się wielki nowy ratusz pięknej kamiennej struktury po większej części do połowy wybudowany, tuż obok dawnego, który także był duży, ale tylko z drzewa. Miasto to należy do pana Koniecpolskiego, kuzyna króla Michała. W ostatnich latach nabrało ono wielkiej sławy, kiedy w roku 1665 tatarski han osobiście z więcej jak 100,000 ludzi wielkiego hetmana polskiego Jana Sobieskiego wraz z siedmiu lub ośmiu tysiącami ludzi w mieście tem oblegał; ale nie mógł mu nic zrobić, lecz musiał mu ofiarować układ i po zawarciu jego odejść.

Potem żyzną, ale nieuprawną płaszczyzną do Litatyna *(Lisiansko)*, spustoszonej wsi nad jeziorem, dwie mile. Dalej przez takie same, ale trochę uprawne pola do Potutor, drugiej spustoszonej wsi, pół mili. Potem wzdłuż płaskiej wyżyny, po większej części uprawnej do Brzeżan, które już wyżej dnia 29 listopada 1671 r. opisano, pół mili.

Dnia 20 lutego z miejsca tego do Narajowa. Miejscowość tę i drogę opisano już wyżej dnia 1 grudnia przeszłego roku, jedna mila. Dalej przez Brykoń i Wołków do Przemyślan, które to drogi i miejscowości także już opisano, cztery mile.

Z miejsca tego pół mili inną drogą jak dawniej, do Stanimirza, małej wsi położonej na płaszczyźnie i należącej do pana Wasińskiego, dalej znów dawną drogą do Mikołajowa, który poprzednio opisano, półtory mili. Potem drogą po lodzie jezior, które leżą za lwowskiemi górami, do Czyszek *(Tzerz)*, jedna mila. Jest to ładna wieś z dworem i zgrabnym kościołem z kamienia, własność dziedziczna panów na Zamościu. Potem dalej po lodzie do Lwowa, jedna mila. Miasto to poprzednio już czterokrotnie wymieniono. Tym razem byłem tutaj po piąty i ostatni raz. Przeszło

---

[1]) *Perokowka*, takiej wsi znaleźć tu nie mogłem, chybaby to była Przewłoka, która atoli leży bliżej Buczacza niż Podhajec.

dwa miesiące zatrzymaliśmy się teraz tutaj wraz z wielkim hetmanem Sobieskim.

Dnia 25 kwietnia wyruszyliśmy razem z nim za dnia do Janowa, który powyżej pod dniem 3 grudnia 1670 r. opisano, trzy mile.

Dnia 26 kwietnia z miejsca tego do Jaworowa; miejsce i drogę tę także już wyżej opisano, trzy wielkie mile.

Tutaj znów siedzieliśmy do dwóch miesięcy z wielkim hetmanem Sobieskim, który w miejscu tem zwykle zimą rezyduje. W czasie tym, w maju, dostałem gwałtownej gorączki, tak że pan mój, abbé de Paulmiers, już wątpił o mojem życiu i w wielkim był kłopocie, gdzieby mnie miał kazać pochować, boby mnie nie przyjęto ani na papieski ani na grecki cmentarz. Dla tego proponował mi a ja chętnie się zgodziłem. żeby mnie w razie śmierci pochowano w ogrodzie wielkiego hetmana pod drzewem.

Dnia 10 czerwca [1]) ruszyliśmy znów z wielkim hetmanem Sobieskim z Jaworowa, aby być na ówczesnym sejmie, który się odbywał w Warszawie, i tam doprowadzić do końca promocyą do korony polskiej księcia de Longueville, nikt bowiem wtedy nie domyślał się, że ten, który królów wynosi i strąca, w nieznanej nam radzie zgoła co innego postanowił i może jeszcze wcześniej nimeśmy teraz wyjechali, kazał ową kulę włożyć do muszkiety, z której fatalny strzał na trzeci dzień potem zabić miał wymienionego księcia de Longueville. *Sic ludit in humanis divina (Prudentia et Potentia) rebus.* Tymczasem więc ruszyliśmy w drogę i dostaliśmy się dnia tego przez Niemirów do Narola. Miejscowości i drogi te opisano wyżej dnia 18 kwietnia 1671, sześć mil.

Dnia 11 czerwca z miejsca tego do Krasnobrodu, co także już powyżej opisano, trzy mile.

Dnia 12 czerwca z miejsca tego przez Sulowek i Żółkiew do Pilaszkowic, co już wszystko powyżej opisano, półjedenastej mili. Był to dzień, w którym rano o godzinie dziesiątej po przejściu wojsk francuskich przez Ren przy celnym domu, jak miejsce to nazywają, księcia de Longueville przeszyła na wylot kula z muszkiety; nie rzekłszy słowa zginął na miejscu. Stało się to,

---

1) Według tego ustalić możemy datę listu Sobieskiego, umieszczonego u Helcla II, 72. List ten jest zatem niewątpliwie pisany dnia 11 czerwca. Widać jednak zarazem, że Sobieski jechał trochę za agentem i jego towarzyszem. Paulmiers bowiem nocuje z 10 na 11 czerwca w Narolu, Sobieski zaś, jak widzimy z przywiedzionego powyżej listu, w Potyliczu, miasteczku pomiędzy Niemirowem a Rawą ruską.

kiedy już Holendrzy dostali pardon i złożyli broń, on zaś w zbyt wielkiej gorączce wpadł na koniu do ich *tranchement* i strzelił oficera, który przed oddziałem stał, w głowę; wtedy Holendrzy sądząc, że im nie chcą dać pardonu, chwycili znów za swe muszkiety i dali ognia, tak że ks. de Longueville i wielu innych na miejscu ubili, księcia de Condé w ramię ranili a kilku innym prócz tego zadali kontuzye 1). Zaszła też ta osobliwa okoliczność,

1) Według tego opisu Werduma śmierć ks. de Longueville nie była bardzo zaszczytna, napadł bowiem Holendrów, kiedy im już dano pardon. Na podstawie listu Ludwika XIV, pisanego tego samego dnia 12 czerwca 1672 r. do królowej, przedstawia sprawę tę nieco odmiennie *Gaillardin*, *Histoire du règne de Louis XIV* (Paryż 1874) w tomie IV str. 65 i 66. Pisze on jak następuje: „Le 12 juin, au point du jour, il (Louis XIV) parut devant Tolhuys, près d'un gué praticable à la cavalerie, sauf un espace de trente pas où il fallait nager. Tandis que les Hollandais d'ailleurs peu nombreux — onze ou douze cents — négligeaient de faire bonne garde, les cuirassiers français et une brigade d'autres cavaliers entrèrent dans l'eau, culbutèrent un escadron ennemi, et, soutenus par une batterie que le roi avait placée lui — même, prirent possession de la rive opposée. Quelques — uns noyés, quelques gentilshommes blessés ou tués, ce fut tout ce que coûta cette première rencontre. Cependant Condé, malgré de vives douleurs de goutte, et l'appréhension maladive du voisinage de l'eau, avait passé sur une barque avec son fils, et le duc de Longueville, son neveu. Déjà il rangeait en bataille la cavallerie victorieuse, lorsque le duc de Longueville, avec quelques autres jeunes gens courut à l'infanterie ennemie en criant: Tue, tue, point de quartier pour cette canaille!“ Cette violence ranima un instant les Hollandais, et suscita un engagement où Longueville fut tué et Condé blessé pour la première fois de sa vie. Mais après avoir ainsi sauvegardé leur honneur, les vaincus, étourdis de l'impétuosité et du bonheur des Français, se dispersèrent par les haies, les barrières et les fossés si nombreux dans le pays“. Znów nieco inaczej opisuje tę bitwę i zgon ks. de Longueville historyk niemiecki *Ranke*, *Französische Geschichte* (*Gesammtwerke*, *erste Ausgabe*) w tomie III, str. 296 i to opierając się na pamiętnikach hr. de Guiche, który w wyprawie brał udział, i relacyi posła weneckiego Michiela. Przytoczymy tutaj i ten opis: „Da gelang es dem König — powiada Ranke — den Rheinarm unfern der Schenkenschanz in der Nähe des dortigen Zollhauses ohne Aufenthalt zu überschreiten. In der Reihe militärischer Handlungen mag diese nicht den ganzen Ruhm verdienen, den sie damals dem König verschaffte, aber sie ist schon durch ihren Charakter von frischer Keckheit und persönlicher Freudigkeit, welche noch einmal die Regel und Zucht der neuen Kriegführung unerwartet unterbrach, bemerkenswerth. Eine wahrscheinlich von einem katholischen Bauer, wie denn religiöse Sympathie den Franzosen überall zu Statten kam, angezeigte Untiefe wurde zuerst von dem Grafen von Guiche versucht, der die Gnade des Königs verloren hatte, und jetzt vor Begierde brannte, sie durch eine rühmliche Waffenthat

że tego dnia rano, kiedyśmy wyjechali z Krasnobrodu, była pogoda bardzo piękna i spokojna, około godziny dziewiątej zaś, właśnie wtedy, kiedy księcia de Longueville zastrzelono, powstała taka gwałtowna burza, wiatr, grad i deszcz, jakiej nikt tutaj w lecie nie zapamiętał. Około południa trochę się zaczęło uspakajać, a zaraz po południu była znów piękna pogoda i światło słoneczne.

W Pilaszkowicach [1]), jako miejscu, w którem się urodził zatrzymał się wielki hetman przez jeden dzień i kazał koniom odpocząć, bo dnia poprzedniego przeszło dziesięć mil zrobiły.

Dnia 14 czerwca z miejsca tego przez Jabłonnę i Zemborzyce *(Jablanow und Mziedrovice)*, do Bełżyc. Miejscowości i drogi te opisano dokładnie powyżej pod dniem 20 kwietnia 1671 r., mil sześć. Bełżyce spaliły się do szczętu w październiku ubiegłego roku, wyglądały więc teraz bardzo nędznie, w kwietniu 1671 r. zaś pozostawiliśmy je bardzo dobrze zbudowane. Pożar wybuchnął w domu piekarza.

Dnia 15 czerwca z miejsca tego inną drogą jak dawniej przez wsie Kierz i Chmielnik (*Kiels und Chmiel*), bez kościołów, położone w piaszczystych gruntach, do Góry, miernej wsi z kościołem, trzy ćwierci mili.

---

wieder zu erlangen; die Reiter, die er befehligte, waren auf der Stelle bereit, ihr Gepäck zurück zulassen und ihm zu folgen; eine glänzende Schaar von Edelleuten, Coislin, Vendome, Vivonne, viele andere aus der Umgebung des Königs oder des Prinzen von Condé schlossen sich an, auch Catinat war bei ihnen; bei dem ersten Anlauf auf das jenseitige Ufer wurden sie zurückgetrieben und in dem Fluss selbst hat man geschlagen; bei dem zweiten ansehnlich verstärkt, fassten sie Fuss; nur die ungeduldige Kampfbegier, die sie gegen die zurückweichenden Feinde vorwärts trieb, zog ihnen einige herbe Verluste zu: unter Anderen ward hier der junge Longueville, der sich zum König von Polen bestimmt glaubte, getödtet, der Prinz von Condé, der auf einem Nachen herübergekommen war, indem er die unvorsichtig Vordringenden zurückzuhalten suchte, verwundet".

Markiz de Pomponne w pamiętnikach swych (Bibl. Ossol. IV, 79) po krótce tylko o śmierci tej wspomina, mówiąc: „Ale właśnie w chwili, kiedy nadzieje zjiścić się miały, dowiedziano się w Polsce, że książe de Longueville poległ w czerwcu 1672 r., prawie przy boku króla jegomości w sławnej przeprawie przez Ren, otwierającej orężowi francuzkiemu drogę do zdobycia Holandyi".

1) Widocznie już się Paulmiers złączył z Sobieskim. List Sobieskiego z 14 czerwca 1672 r. z Pilaszkowic pisany do żony (Helcel II, 73) musiał hetman napisać wcześnie rano, kiedy tego dnia opuścili Pilaszkowice i stanęli na noc w Bełżycach.

Potem przez wieś z kościołem Łubki (*Lowki*) do Niezabitowa, półtory mili. Jest to wielka wieś ze zgrabnym kościołem, położona w pięknych bujnych gruntach.

Dalej przez krzaczaste pagórki do Kazimierza, jedna mila. Zamek miejscowości tej wznosi się na wschód od miasta na górze trochę więcej na wschód od niego wznosi się atoli pagórek albo skała, wyższa od niego, która nad nim dominuje. Naprzeciw niej wystawiono grubą wieżę z łamanego kamienia. Miasto leży bardzo wesoło w zakręcie góry, gdzie Wisła przepływa. Znajdują się w niem trzy papieskie kościoły z klasztorem bosych mnichów i żydowską synagogą. Po obu bokach miasta nad brzegiem Wisły ciągną się znaczne przedmieścia. W zachodniem znajduje się ładny szpital, tak samo jak wyżwymienione kościoły z kamienia ciężko zbudowany. W mieście jest dużo wielkich kamiennych domów pięknej struktury. Znajduje się tu zwykły przejazd przez Wisłę, przez którą przeprawia się na promie. Tuż na drugim brzegu przybywa się do wsi Wojszyna. Tutaj po lewej ręce nieco poniżej rzeki na tym samym brzegu, o pół mili od miejsca tego, widzi się Janowiec, gdzie zamek stoi na wysokości, miasto zaś na dole nad Wisłą.

Z Wojszyna przez dobre orne grunta, porosłe tu i owdzie drzewami, aż do małej wsi, trzy ćwierci mili. Tutaj naprzeciw po drugiej stronie Wisły leży wieś Zbędowice (*Ostrowitze*), wielka i dobrze zbudowana. Potem do Jaroszyna, który opisano powyżej pod dniem 27 listopada 1670 r., jedna mila.

Dnia 16 czerwca z miejsca tego przez piasczyste pagórki wzdłuż Wisły do Bronowca (*Proinitze*), ćwierć mili. Jest to ciężko zbudowany stary zamek, w którym stanął pokój pomiędzy królem Janem Kazimierzem a wielkim marszałkiem koronnym Lubomirskim [1]). Przy nim leży tylko licha wieś. Potem przez trochę urodzajniejsze grunta do Opatkowic (*Lopatovice*), trzy ćwierci mili. Jest to wielka wieś z pięknym dworem i dobrze zbudowanym kościołem. Leży w ogrodach złożonych z drzew i chmielu. Góry oddalają się tu z obu stron znacznie od Wisły, która tutaj płynie przez szeroką urodzajną płaszczyznę, gdzie po drugiej stronie

---

1) Układ pomiędzy Lubomirskim a królem stanął dnia 31 lipca 1666 r. w Łęgonicach pod Nowem Miastem nad Pilicą (według Szujskiego III, 463 str.); pod Jaroszynem nad Wisłą (a nie Jarocinem, jak pisze Szujski) odbyła się ceremonia przeprosin.

rzeki widać po prawej ręce wieś Gołąb z wielkim kościołem o dwóch wieżach.

Z Opatkowic najprzód przez dobre grunta, potem przez czysty piasek do Wysokiego Koła, pół mili. Jest to stary walący się kościół, który niegdyś był bardzo duży i piękny, lecz pozostała tylko ponad ziemią część murów z kawałem dachu. Obok stoi karczma i kilka chat.

Potem przez żyzną piękną okolicę, którą tutaj tworzy Wisła, do Olexowa, pół mili. Jest to dobra wieś z ładnym kościołem. Dalej ciągle tą samą doliną do Klasztornej Woli (*Lastarna Wola*) miernej wsi i jeszcze o ćwierć mili dalej do Sieciechowa, pięć ćwierci mili. Sieciechów, jest to klasztor Benedyktynów z opactwem. Opatem jest teraz Franciszek Prażmowski, wielki sekretarz polski, a prymasa najmłodszy brat. O trzysta lub czterysta kroków od klasztoru leży otwarte miasteczko tej samej nazwy z kościołem papieskim. Z miejsca tego do Mozolic (*Mosenovice*), wsi bez kościoła. pół mili. Potem do wsi z kościołem Brzeźnica, położonej w prześlicznych łąkach i gruntach, pół mili. Potem ciągle przez piękne grunta do wsi bez kościoła Rudnik [1]), ćwierć mili a o trzy ćwierci mili dalej do Kozienic, razem jedna mila. Jest to otwarte miasteczko, położone jednym końcem nad Wisłą, drugim przy piaszczystych gruntach.

Potem przez takie same grunta do wsi z kościołem Opatkowice (*Opatoveck*), półtory mili. Dalej przez Świerze, wieś bez kościoła, do Wilczkowic, wsi z kościołem, dwie mile. Wszystko to leży w piaszczystych gruntach, porosłych tu i owdzie krzakami. Potem przez dobre grunta do Ryczywoła, pół mili. Jest to otwarte miasteczko, w którem były nie złe domy, ale teraz walą się wszystkie. Jest to miejscowość należąca do królewskich stołowych dóbr z pięknym dworem obok. Rzeka Radomka płynie tu tuż w pobliżu.

Dnia 17 czerwca przez most na tej rzece, która wkrótce potem wpada do Wisły, dalej piaszczystemi gruntami do Przydworzyc jedna mila. Jest to ładna wieś z kościołem i pięknym dworem. Potem przez dobre grunta do Magnuszowa, jedna mila. Wieś ta leży nad ramieniem Wisły i ma ładny kościół. Po lewej ręce widać Magnuszowską Wolę, wieś bez kościoła.

---

1) *Rudniki*, takiej wsi niema tutaj, jest atoli Ruda

Dalej przez piaszczyste grunta do Boguszowa (*Lobrosowa*), wsi bez kościoła, pół mili. Potem przez krzaki do Warki, jedna mila. Miejscowość tę opisano powyżej pod dniem 5 kwietnia 1671. Potem krzaczastemi i piaszczystemi gruntami do Gąsek (*Kapuska*), wsi bez kościoła, jedna mila. Potem takiemiż gruntami do Chojnowskiej Woli (*Kokioscow*), wsi z dworem, pół mili. Dalej przez Drwalew do Prażmowa, dwie mile. Miejscowości te także powyżej na tem samem miejscu opisano.

Dnia 18 czerwca krzakami do Pracedicz (*Pratz*), wsi z dworem bez kościoła, należącej do sędziego warszawskiego, tylko ćwierć mili. Potem piaszczystemi gruntami do Mroczkowej Woli (*Vloskowska Wola*), pół mili. Jest to także wieś bez kościoła ze szlacheckim folwarkiem, położonym w krzakach. Potem krzaczastemi polami do Gałkowa (*Volkow*), pół mili. Jest to duża wieś z pięknym dworem i ładnym kościołem nad jeziorem, przy pięknych gruntach pomiędzy krzakami. Dalej przez krzaki do Piaseczna, trzy ćwierci mili. Jest to otwarte, dość dobrze zbudowane miasteczko ze zgrabnym kościołem z kamienia.

Potem przez krzaki, na ćwierć mili się ciągnące, na końcu ich znajduje się wielka wieś, a dalej przez pola do drugiej wsi, gdzie kościół stoi na odosobnieniu po lewej ręce, dwór i wiatraki zaś przy samej wsi, dwie mile. Dalej przez piaszczyste pola do Mokotowa, trzy ćwierci mili. Wieś ta z kościołem należy do pana Koryckiego, szafarza czyli ekonoma warszawskiego. O trzysta lub czterysta kroków od miejsca tego wznosi się piękny zamek Ujazdów (*Viasdoya*), który wraz z leżącą obok wsią z kościołem należy do prymasa Prażmowskiego.

Z miejsca tego przez piaszczyste grunta, gdzie się wznoszą domy prawie jeden obok drugiego aż do Warszawy, ćwierć mili[1]). Miasto to opisano powyżej pod dniem 5 maja 1671 r..

Kiedyśmy tą razą tutaj przez trzy tygodnie siedzieli w ukryciu w pałacu króla Jana Kazimierza, leżącym na przedmieściu w ogrodzie nad Wisłą, gdzie także mieszkał wielki hetman koronny, doprowadzono tymczasem do zupełnej perfekcyi układy za księciem de Longueville ze wszystkimi tymi, którzy jeszcze dotąd trzymali z królem Michałem, nawet z wielkim kanclerzem litewskim

---

1) Świta Sobieskiego wyprzedziła go, on sam pozostał w Ujazdowie, jak pisze na dniu 21 czerwca z Warszawy do żony (Helcel, II, 74), gdzie opisuje także swój wjazd do stolicy.

Pacem, tak że wszyscy główni oficerowie całej armii wraz z wszystkimi duchownymi i świeckimi panami w państwie i u dworu, z wyjątkiem bardzo małej garstki, udzielili prymasowi państwa Prażmowskiemu i wielkiemu hetmanowi Sobieskiemu pełnomocnictwo do wysłania, jak się też rzeczywiście potem stało, trzech listów w imieniu ich wszystkich i z ich poręki do dworu francuskiego. W pierwszym z tych listów proszono usilnie króla francuskiego, aby niezwłocznie księcia de Longueville wysłał dla przyjęcia korony polskiej. W drugim liście proszono księcia de Condé aby, ponieważ sam zrzekł się korony polskiej, starał się ułatwić u dworu francuskiego wysłanie księcia de Longueville; trzeci list ofiarował księciu de Longueville polską koronę i berło z najusilniejszą prożbą imieniem wszystkich stanów, aby zechciał przyjechać do Polski im prędzej tem lepiej i rzeczywiście objąć takowe. Z listami temi wysłano francuskiego szlachcica, monsieur de Clèves, jako umyślnego kuryera, który atoli przyjechawszy do Gdańska, odebrał tam wiadomość o zgonie księcia de Longueville i odłożył podróż swą do dalszego rozkazu. Mieliśmy naszą własną pocztę z Gdańska do Warszawy, która zawsze o trzy dni wcześniej przychodziła od zwykłej poczty; przyniosła nam tym razem ową smutną wiadomość w dniu 10 lipca.

Dla tego zdecydował się pan mój, abbé de Paulmiers, choć go niespodziany ten wypadek strasznie przeraził, jednak na krótkiem toporzysku wymyślić pretext, któryby mu pozwolił wyjechać z Warszawy, zanim zwykła poczta tę samą wiadomość tutaj rozniesie. Polscy panowie pozwolili mu chętnie wyjechać, kiedy im powiedział, że faktorzy jego w Gdańsku nie chcą wypłacić prędzej reszty pieniędzy, które jeszcze trzeba było rozdzielić pomiędzy oficerów polskiej armii do skompletowania ludzi werbowanych potajemnie dla księcia de Longueville, aż on sam osobiście zamknie z nimi rachunki. Z tych przyczyn naglili go sami Polacy do wyjazdu. Nie byliby go zaś nigdy wypuścili, gdyby się poprzednio byli dowiedzieli o wspomnianej śmierci, większa bowiem ich część zaliczyła na te negocyacye wielkie sumy pieniężne, a on się zobowiązał ważnemi przyrzeczeniami w imieniu księcia de Longueville do zwrotu tych sum. Byliby go więc niewątpliwie nasamprzód zatrzymali jako zakładnika. Cieszył się więc, że się wydostał, widząc i uznając w tem palec boży, który wypadek ten zesłał. W dobrej nadziei, że potrafi sprawę tę użyć jeszcze dla jakiego z książąt *du sang* u dworu francuskiego, wyjechał pełen otuchy w towarzy-

stwie podkoniuszego koronnego i starosty grudziąckiego, pana Borowskiego.

Dnia 12 lipca z Warszawy przez piękne żytnie grunta, a dalej przez krzaki do *Camaldoli* [1]) jedna mila. Jest to klasztor z zakonu *St. Antonii Eremitae*, przy którym znajduje się przejazd przez Wisłę, przez którą się tutaj na promie przeprawiliśmy. Potem przez krzaczaste i piasczyste pola do Jabłonny, dworu z pięknym ogrodem nad brzegiem Wisły położonego, jedna wielka mila. Dalej przez krzaki i dwie małe chłopskie miejscowości do niezłej wsi Suchocina, jedna wielka mila. Potem przez piasczyste pole, gdzie po prawej ręce na piasczystych wydmuchach wieś, do Nowo Dworu jedna mila. Jest to wieś w czystym piasku położona, należąca do pana Lubomirskiego, wojewody krakowskiego. Bug, który z Podola aż tu płynie, przepływając na Rusi przy Białym Kamieniu, jak to wyżej pod dniem 16 grudnia 1671 roku powiedziano, wpada dopiero tu do Wisły [2]). Właśnie powyżej jego ujścia przeprawia się przez wspomniany Bug na promie i spotyka się na drugim brzegu wieś bez kościoła, Modlin (*Bocklyn*) nazwaną, gdzie się znajduje skład soli.

Dnia 13 lipca wzdłuż Wisły, pozostawiając po lewej ręce na widoku wieś Kazuń, położoną w dole nad jeziorem, do Zakroczymia (*Sackorszyn*) jedna mila. Jest to otwarte miasteczko, położone w piasczystych gruntach. Ma dwa kościoły i jest dość dobrze zaludnione. Potem przez krzaki do Strużewa (*Nizeiv*) jedna wielka mila. I ta wieś leży wśród piasczystych gruntów. Dalej przez krzaki, a potem przez płaszczyznę, pozostawiając po prawej ręce dwór w piasczystych gruntach pomiędzy drzewami, a następnie przez most, gdzie po prawej ręce leży ładna wieś, do Płońska, półtory mili. Jest to otwarte miasto z dwoma kościołami, z których jeden stoi do szczętu spustoszony. I miasto to więcej jak w połowie jest zupełnie spustoszone.

Potem przez piasczyste pola, pozostawiając po lewej ręce wieś, do Sokolnik (*Sokolwice*), wsi bez kościoła, jedna mila. Dalej przez dobre grunta i wielką wieś Baboszewo, w której wielki drewniany kościół, a na polu kilka mogił czyli grobowców, następnie przez kamieniste piaski do Gralewa jedna wielka mila. Jest to ładna wieś z kamiennym kościołem. Potem milę pięknemi łąkami do chłopskiej miejscowości Młodachowo, a dalej do Drobina (*Do-*

---

1) Tak nazwał Werdum Bielany.
2) Złączywszy się poprzednio z Narwią.

bryn), drugiej chłopskiej miejscowości, o milę od poprzedniej położonej w dobrych gruntach, dwie mile. Następnie pół mili przez kamieniste ale urodzajne pola do Szumań (*Samoy*), wsi bez kościoła, a dalej milę przez takie same grunta do Jeżewa, półtory mili. Jest to dość wielka wieś z kamiennym kościołem i dobrze zbudowaną czworograniastą wieżą.

Dnia 14 lipca przez piasczyste pola i świerkowy las, gdzie po lewej ręce leży dwór i dwie wioseczki, do Sierpca (*Scheeps*), jedna wielka mila. Jest to ładne miasto, podzielone przez strumień i głęboką dolinę na trzy części, z których dwie mają po kościele, w trzeciej zaś ku północnemu zachodowi znajduje się dobry klasztor żeński.

Następnie przez las, gdzie po lewej ręce mała równina z wioseczką, do Bliznego (*Vliesne*) półtory mili. Jest to dobra wieś nad wielkiem jeziorem położona w pośród pięknych gruntów, otoczonych naokoło wesołemi lasami.

Dalej do wsi Rudnego pół mili przez las, w którym sześć kup gałęzi przy drodze oznaczały, że tutaj zabito i pochowano sześciu nieznanych podróżnych, do Balina (*Bilew*) ćwierć mili, razem trzy ćwierci mili. Jest to wieś położona w niezwykle urodzajnych gruntach, na których rosło bardzo bujne zboże, jęczmień, pszenica, żyto, groch i t. d.

Potem przez krzaki do Rypina Starego (*Rypschora*), długiej wsi nad głęboką doliną na stoku dwóch pagórków położonej, gdzie płynie strumień, jedna mila. Dalej ćwierć mili dobremi gruntami do Sumina, karczmy z kilku domami w polu, następnie przez las do Osieka (*Woyszuch*) 1) jedna mila, razem jedna mila i ćwierć. Jest to niezła wieś z kościołem, położona w dobrych gruntach.

Następnie przez płaszczyznę do Brodnicy, mówiąc po polsku; Prusacy zaś, w których kraju miejscowość ta już leży, nazywają ją *Strassburg*, jedna mila. Jest to ładne miasto, otoczone dobrym murem z cegieł, płynie przez nie rzeka Drwęca. Obok miasta wznosi się wielki zamek z ciężkiemi zabudowaniami z różnorakich kolorowych cegieł starannie wymurowanemi i wysokim, mocnym murem także z cegieł otoczonemi. W mieście znajduje się wielki ciężko zbudowany kościół, a drugi mniejszy na przedmieściu. Jest to starostwo w polskich Prusach.

---

1) Bardzo często odbiła się wymowa ludowa w pisowni Werduma i tutaj powstało to początkowe *W* w ten sposób, że lud wymawiał Wosiek.

Następnie przez dobre grunta i dalej przez krzaki do szlacheckiego dworu Drużyny (*Brodzine*), który z wsią swoją leży w żyznym gruncie, jedna mila.

Dnia 15 lipca przez krzaki pół mili do wsi Zgniłebłoto (*Ginnibloti*), położonej bez kościoła w polu, następnie przez las półtory mili do Brudzewa (*Brusallow*), razem dwie mile. Jest to niezła wieś z małym kościołem. Potem przez las do Osieczka (*Oyoziska*) jedna mila [1]). Jest to wieś z kościołem nad jeziorem, należy do starostwa pokrzywnickiego (*Podkrzebiska*), po niemiecku *Engelsburg* nazwanego. Następnie przez krzaczaste pagórki do Radzyna, który Prusacy po niemiecku nazywają *Reeden*, pół mili. Było to niegdyś zgrabne miasto, teraz atoli po szwedzkiej wojnie bardzo spustoszone. Otacza je mur z cegieł, a przy niem wznosi się ciężko zbudowany stary zamek z bardzo wielkim przedsionkiem (*Vorburg*). Wszystko to zaś otacza wysoki mur z rozmaitych lazurowo farbowanych cegieł, niesłychanie starannej roboty, ale w wielu miejscach walący się.

Potem pół mili przez krzaki, pozostawiając po lewej ręce na widoku na górze miasto i zamek Pokrzywno (*Podkrzebiska*), po niemiecku *Engelsburg*, a następnie dalej przez las do Grudziądza, po niemiecku *Graudenz*, który powyżej pod dniem 16 listopada 1670 r. opisano, razem jedna mila. Potem przez dobre grunta do karczmy nad Ossą pół mili. Ossa jest to mała rzeka, która tutaj płynie przez piękne grunta, w nich wystawiono tę karczmę dla podróżnych.

Dnia 16 lipca przez krzaczaste pola do Białej karczmy jedna mila, po prusku nazywają ją *Weissenkrug*. Jest to zajazd na wschód od Wisły przy dworze i wsi Kunnewesser [2]) pomiędzy bardzo urodzajnemi, bujnemi gruntami położony, w miejscu, gdzie na zachód od Wisły, tutaj wprost naprzeciw leży miasto Nowe czyli *Neuburg*, opisane powyżej pod dniem 15 listopada 1670 r.

Następnie ciągle przez dobre grunta do *thor Line* [3]), jedna mila. Jest to piękny dwór pomiędzy wesołemi krzakami i urodzajnemi gruntami.

Potem przez las, a dalej przez urodzajey pagórek, który się ciągnie wzdłuż płaskiego iłowatego kraju czyli żuław, widząc po

---

1) Odległości są tutaj równie pobałamucone jak nazwy.

2) Takiej wsi nie ma tutaj. Na karcie Chrzanowskiego znajduje się w tem miejscu Nebrau.

3) Nazwy tej nie umiem objaśnić.

lewej ręce przez płaskie pole po drugiej stronie miasto i zamek *Mewe*, po polsku Gniew, powyżej także już opisane, do *Marienwerder*, po polsku Kwidzyń, jedna mila. Jest to małe miasteczko, częścią murem, częścią wałem obwarowane, a wszędzie się wali. Leży zaś jednym końcem przy wspomnianym pagórku, drugim przy żuławach. Ma tylko luterski kościół i należy do elektorskich Prus. Potem ćwierć mili przez płaskie grunta do wsi Baldram, a następnie przez piasczyste grunta do Tiefenau trzy ćwierci mili, razem jedna mila. Jest to niezła wieś z kościołem, choć leży przy piasczystych gruntach.

Potem przez krzaki do Montek (*Mointke*) półtory mili, wsi bez kościoła, do pana Borkowskiego należącej. Dalej przez piasczyste krzaki do chłopskiej miejscowości Nowejwsi (*Neuendorf*), a następnie do Sztumsdorfu (*Stumstrave*) jedna mila. Jest to ładna wieś z kościołem w wodnistych łąkach. Potem przez piasczyste krzaki do Braunswalde (*Mussewald*) jedna mila. O ćwierć mili od Sztumsdorfu pozostawia się po lewej ręce miasteczko Sztum, całe jeziorami otoczone. Braunswalde jest to wielka wieś, lecz bez kościoła.

Następnie jeszcze dalej przez krzaczaste piasczyste pole do *Marienburg*, po polsku Malborg, pół mili. Jest to dość duże miasto nad Wisłą położone, od strony lądu wałami z ziemi nieźle ufortyfikowane, ale wszystko wszędzie bardzo spustoszone, bo miasto nie ma zgoła żadnych publicznych środków, a mieszczanie są biedni i nie mają znacznego przemysłu. Zresztą ma miasto niezłe zabudowania i wielki z cegieł ciężko zbudowany zamek, wzniesiony na brzegu Wisły. Był tu dawniej piękny most, lecz przed kilku laty odpłynął wraz z lodem, tak że teraz przeprawia się tutaj na promie przez rzekę. Jeden tylko kościół znajduje się w mieście, lecz wielki i bardzo dobrze zbudowany. W nim tylko papiści odprawiają nabożeństwo, zajęli go bowiem Jezuici, choć zresztą cały magistrat i większa część mieszczan należą do wyznania luterskiego, którzy do swego nabożeństwa niedawno kazali zbudować nowe zabudowanie w kształcie domu na jednem z przedmieść.

Dnia 17 lipca z miejsca tego promem przez Wisłę do malborskich żuław do Koźlicka, wsi bez kościoła, pół mili. Potem przez wieś z kościołem Lichtenau, pół mili.

Następnie do wsi z kościołem Goryn [1]) jedna mila. Dalej przez wieś z kościołem Palschau ćwierć mili. Wszystkie te wsie

1) Na karcie Chrzanowskiego Barendt.

leżą w malborskich żuławach w pięknym, bujnym, moczarowatym gruncie. W Palschau przeprawia się promem przez Nogat, ramię Wisły, która tutaj płynie pomiędzy żuławami malborskiemi i gdańskiemi. Od tej przeprawy przez gdańskie żuławy do wsi z kościołem Stüblau pół mili. Dalej na lewo wzdłuż grabińskiego lasu do wsi z kościołami Wossitz (*Oszutz*), Schonau, Wotzlaff. Potem do zajazdu przy drodze z kilku domami, nazwanego Quadendorf, pół mili. Wszystkie teraz wymienione wsie leżą w gdańskich żuławach w pięknych iłowatych gruntach, używanych częścią pod zasiew, częścią na pastwiska i sianożęć.

Dnia 18 lipca do Gdańska jedna mila. Miasto to już poprzednio pod dniem 7 czerwca 1670 r. opisano.

Dnia 23 lipca z Gdańska przez kaszubską bramę do Oliwy, jedna mila. Jest to piękny klasztor z licznemi zabudowaniami, wielkim ogrodem i bogatemi dochodami. Znają go powszechnie od kiedy tutaj zawarto pokój pomiędzy Polską, Szwecyą i Danią.

JAN BERNOULLI

1778.

Kto wie, czy w historyi wszystkich narodów znaleźć by można podobną rodzinę jak rodzina Bernoullich, w której przez przeszło sto lat bezustannie z ojca na syna przechodziły niezwykłe zdolności matematyczne, tak, że rodzina ta w jednym wieku wydała nie mniej jak dziewięciu pierwszorzędnych, pod każdym względem znakomitych matematyków.

Rodzina ta pochodziła z Niderlandów. Najdawniejszy jej reprezentant, o którym słyszymy, Jakób Bernoulli, przeniósł się w drugiej połowie XVI wieku z Antwerpii do Frankfurtu nad Menem, uciekając z ojczyzny przed prześladowaniami księcia Alby. Wnuk jego osiadł w Bazyleji i umarł tutaj w roku 1634, licząc dopiero lat 36. Syn jego Mikołaj zajmował w mieście, do którego ojciec jego się przeniósł, wybitne stanowisko jako radny. Miał on pomiędzy innemi dziećmi syna Jakóba, urodzonego 27 grudnia 1654 r., a z nim zaczyna się ów długi szereg sławnych matematyków, którzy z familii tej bez przerwy wychodzili. Jest ich tak wielu, że dla odróżnienia, jakoby jakim panującym, dodają im zwykle numer porządkowy do imienia. Pierwszy sławny matematyk tego rodu zwie się więc zwykle Jakóbem I. Jakób I miał brata również sławnego matematyka, Jana I. (ur. 1667,

zmarłego 1748); Jan I miał między innymi synami celującymi temi samemi zdolnościami także syna Jana II (ur. 1710, zm. 1790), a Jan II znowu pomiędzy innymi synami-matematykami syna Jan III, urodzonego 4 listopada 1744 w Bazylei.

Ten Jan III Bernoulli, który nas specyalnie obchodzi, odznaczał się jeszcze wcześniej niż inni członkowie jego rodziny niezwykłemi zdolnościami, znowu przeważnie matematycznemi. Mając lat zaledwie trzynaście wygłosił już publicznie łacińską mowę o szczepieniu ospy po doświadczeniu, które zrobił na sobie samym, był bowiem jednym z pierwszych w Bazylei, któremu ospę szczepiono. W rok potem został magistrem, w r. 1763 był już licencyatem prawa na podstawie dyssertacyi *de lege Falcidia*, w której dał dowody nietylko wielkich prawniczych ale i matematycznych zdolności i wiadomości. Niebawem potem bo w 19 roku życia powołał go król Frydryk pruski na członka akademii do Berlina Skorzystał z tej sposobności, aby jadąc do Berlina odbyć znaczniejszą podróż; przejechał więc Francyę, Holandyę i Niemcy i stanął w Berlinie. Dnia 7 stycznia 1764 r., kiedy liczył lat dziewiętnaście i dwa miesiące, wprowadzono go uroczyście jako członka matematycznej klasy do akademii berlińskiej. W r. 1767 powierzono mu kierownictwo tamtejszego astronomicznego obserwatoryum, później został dyrektorem klasy matematycznej akademii, w r. 1773 członkiem akademi bonońskiej, 1774 sztokholmskiej, 1777 petersburskiej. Odbywał częste i długie podróże i ogłaszał ich opisy, wydał mnóstwo dzieł matematycznych, astronomicznych i innych; umarł 13 lipca 1807 r. w Berlinie.

Pomiędzy licznemi jego dziełami zajmuje nas tutaj jedno, sześciotomowy opis podróży z lat 1777 i 1778 po Brandenburgii, Pomeranii, Prusach, Kurlandyi, Rossyi i Polsce, którego tytuł taki: *Johann Bernoulli's, der kö-*

niglichen Akademie der Wissenschaften zu Berlin und anderer gelehrten Gesellschaften Mitgliedes, *Reisen durch Brandenburg, Pommern, Preussen, Curland, Russland und Polen in den Jahren 1777 und 1778*, tomów sześć, wydanych w latach 1779 i 1780 w Lipsku u Kaspra Fritsch. Cały prawie ostatni, szósty tom, poświęcony jest opisowi pobytu w Polsce w r. 1778. O ile sobie przypominam, p. Kraszewski, kiedy wydawał przed kilku laty *Bibliotekę pamiętników i podróży*, zapowiedział także wydanie tej podróży Bernoulli'ego. Niestety publikacya ta przerwała się po ogłoszeniu kilku tomików, nim do wydania podróży Bernoulli'ego przyszło. Tak więc i dziś jeszcze nie została ona ogłoszona po polsku, albowiem suchego streszczenia, dokonanego bez wszelkiego zmysłu dla tego, co w niej ciekawe i zajmujące, a umieszczonego r. 1843 w *Bibliotece Ossolińskich*, za wyczerpujące sprawozdanie uważać niepodobna.

Bernoulli jechał przez Polskę wracając z Petersburga do Berlina, od Mitawy wstąpił pierwszy raz na terytoryum Rzeczypospolitej. Jechał zaś w towarzystwie Włocha, Carlo Galli Bibiena, i jego służącego. Towarzysz jego Bibiena znajdował się dawniej w służbie króla pruskiego jako dekoracyjny malarz. Potem przebywał na różnych dworach: sycylijskim, hiszpańskim, portugalskim, angielskim, duńskim, szwedzkim i różnych mniejszych, oddając się zawsze temu samemu zatrudnieniu. Wreszcie wstąpił do służby rossyjskiej z płacą 2000 rubli rocznie i mieszkał w Petersburgu. Po kilku latach i jemu się sprzykrzyło i z niego przełożeni niekoniecznie byli zadowoleni, zarzucając mu, że wykonanie prac jego dużo pozostawia do życzenia. Zebrawszy sobie dość znaczny kapitalik, podał się więc do dymisyi, kupił wygodny powóz i zamierzał ruszyć w podróż przez Warszawę do Wiednia a potem do Włoch, do Toskanii, aby tu resztę życia przepędzić. Za pośrednictwem barona Asch poznał

się z nim Bernoulli w Petersburgu i ułożyli się jechać do Warszawy razem. Towarzysz ten Bernoulliego w samej podróży jednak żadnej roli nie odgrywa, nic go nie zajmuje, niczego nie zwiedza; podczas gdy Bernoulli biega po miastach, wszystko ogląda, on siedzi w gospodzie i czeka na niego.

Trudno znaleźć tak skrupulatnego turystę jak Bernoulli. Nie dosyć, że zapisuje gdzie każdego dnia przebywał, lecz nawet godziny notuje, kiedy przez tę lub inną miejscowość przejeżdżał, kiedy ujrzał tę lub inną rzekę, o której godzinie od niej się oddalił, ile godzin zatrzymał się w gospodzie i t. d. Gdyby ważność i cenność opisu podróży na takiej ścisłości polegała, nie byłoby ciekawszego opisu nad pamiętnik naszego matematyka. Pokazuje się jednak, że można być bardzo znakomitym matematykiem i mieć w czasie podróży ciągle karnecik i ołówek w ręku, a jednak jeszcze nie odznaczać się zbytecznie obserwacyjnym talentem, nie umieć odróżnić szczegółów ciekawych, zwłaszcza dla obcego czytelnika, od takich, na których nikomu nic nie zależy. Bo cóż n. p. w tem ciekawego, że Bernoulli dnia tego i tego o godzinie tej i tej zbliżył się do rzeki, której nazwać nie umie, i jechał wzdłuż niej aż do godziny tej a tej, minuty tej a tej?. Jest to po prostu nudziarstwo i nic więcej.

Opis podróży jego po Polsce zajmuje prawie cały tom o blisko 300 stronach, lecz szczegóły jako tako ciekawe dadzą się pomieścić na kilkudziesięciu stronach. Przyznać mu trzeba, że sumiennie stara się poznać każdą większą miejscowość, w której się zatrzymuje, nie szczędzi nóg, z papierem i ołówkiem biega nieznużony i notuje każdą fraszkę. Zwłaszcza wszelkie zakłady, towarzystwa i zbiory artystyczne, naukowe, przedewszystkiem przyrodnicze, czy to publiczne czy prywatne, opisuje dokładnie i na tem polega może największa zasługa jego opisu. W spostrzeżenia polityczne prawie wcale się nie

wdaje; materyału cennego pod względem obyczajowym mało nam udziela, za to nieznużony znowu jest w robieniu znajomości. Umie odkryć każdego człowieka trudniącego się nauką lub sztuką, i podaje nam o nim nieraz ciekawe szczegóły biograficzno-literackie, choć i tu głębszym obserwatorem nie jest; zaznacza tylko, jakie ta lub owa osobistość wrażenie na nim sprawiła.

Notatki, które w podróży robił a za powrotem do Berlina opracował, przeznaczał już z góry do druku; jest więc, będąc dworakiem, w wyrażeniach bardzo oględnym, aby sobie zbytecznie nikogo nie narazić. Przeważnie większa część nowych jego znajomości dostaje co najmniej epitet *berühmt.* Narodowości polskiej nie jest ani przyjacielem ani wrogiem, prędzej jednak za nami, niż przeciw nam występuje, przedewszystkiem zaś jest matematykiem i astronomem; nauka go żywo obchodzi, kwestye polityczne i narodowe odgrywają widocznie w oczach jego tylko podrzędnę rolę. Kiedy więc charakteryzuje jaką osobistość, zwraca przedewszystkiem uwagę na to, jaki jest stosunek jej do nauki. Niewątpliwie i z takiego punktu widzenia nieraz o nowych szczegółach dowiedzieć się możemy, bo inni podróżnicy lub autorowie pamiętników właśnie tę stronę pomijali. Tak więc opis podróży jego może nam służyć za uzupełnienie do wielu innych materyałów, odnoszących się do tej epoki, lecz pierwszorzędnego stanowiska zajmować nie będzie.

Nazwy miejscowości polskich a więcej jeszcze litewskich często straszliwie przekręca, tak że nieraz z trudnością tylko z kartą w ręku dojść można do rzeczywistego nazwiska.

Tłumaczyć dosłownie cały długi jego opis nie opłaciłoby się niewątpliwie; mnóstwo rzeczy podrzędnych trzeba opuścić, drugie tylko streścić, aby praca jego stała się zajmującą, aby nie obarczała czytelników drobiazgami bez żadnego znaczenia. Trzymając się tych zasad, przed-

stawimy czytelnikom naszym opowiadanie Bernoulliego o pobycie jego w Polsce, zaczynając od wyjazdu jego z Mitawy, w nadzieji, że i ono dorzuci kilka nowych ziarnek do znajomości stosunków Rzeczypospolitej polskiej w drugiej połowie XVIII wieku.

Liczne takie opisy podróży cudzoziemców po Polsce zestawione obok siebie nastręczałyby temat do wcale ciekawego porównawczego studyum a dopiero na ich znajomości potrafimy wyrobić sobie obraz rzeczywistych stosunków kraju polskiego w tej tak ważnej i ciekawej epoce.

Z Mitawy wyjechał Bernoulli z towarzyszem swym 13 września 1778 roku wielkim gościńcem, prowadzącym do Warszawy najprzód przez Mieszkuc do Szawel, głównego miasta ekonomii królewskiej, w którem zastał znaczny ruch; jak wiadomo bowiem od objęcia zarządu ekonomii przez Tyzenhauza podnosiły się dobra królewskie niezmiernie. W Szawlach zastał 40 do 50 mniejszych lub większych domów na nowo wybudowanych i to przeważnie z cegieł. Niektóre jeszcze nie były ukończone.

Jadąc przez Radziwiliszki, Szadów (który zwie Sagola), Bejsagołę, Montwidów (który nazywa Montwielicki), stanął 16 września wieczorem w Kiejdanach, należących do książąt Radziwiłłów. Cała droga przeważnie szła przez wielkie lasy.

Za to następnego dnia droga do Kowna prowadziła przez romantyczną okolicę wzdłuż rzeczki, której autor nasz nazwać nie umie, jest nią jednak niezawodnie Niewiaża, pomiędzy pagórkami, na których tu i owdzie było widać dworki wiejskie. Przeprawiwszy się na promie przez Wilię, stanęli podróżni w Kownie, dość dużem mieście, z wielu kamiennemi domami, co jest rzadkością na Litwie.

Zatrzymawszy się u poczmistrza, jakiegoś pana von Essen, i zakupiwszy na jarmarku, który się właśnie odbywał, widelec, którego w mniejszych zajazdach litewskich dostać nie było można, i napiwszy się wyśmienitego kowieńskiego miodu, ruszyli podróżni jeszcze tego samego dnia dalej. Przeprawiwszy się na promie przez Niemen, spotkali na gościńcu ks. Sapiehę ze świtą. Na czele jechał chorąży ze sztandarem, co ich niemało zadziwiło.

Przez góry i lasy, przeważnie złą drogą, dostali się następnego dnia przez Preny, rozległą miejscowość z wielkim drewnianym zamkiem, a obok niego mniejszym, nowym murowanym i zgrabnym, do Olity, a potem do Merecza (który autor zwie Melitza). W miasteczku tem uderzyły podróżnych „nowy pałac, różne wielkie domy a nawet kawiarnia. Aby z miejsca tego jechać dalej, musieliśmy przejechać przez strumyk szeroki na 5 kroków (niezawodnie strumień Stangwis u Litwinów zwany) po moście 148

kroków długim, ozdobionym pokostowaną poręczą i kilku malowanemi statuami, a dla wygody zaopatrzonym w kilka ławek".

Dnia tego nocowali wyjątkowo w karczmie polskiej. Była to bowiem sobota, dzień „w którym od żydów, trzymających większą część karczem, nie można się doprosić żadnej usługi. Już tego samego dnia w południe w Mereczu nie dała się żydówka żadną miarą nakłonić do rozniecenia ognia. Kiedy jednak przyszło do zapłaty — mówi autor — i miała zmienić dukata, umiały sobie te szachraje bardzo dobrze poradzić, choć im zakon ich zakazuje dotykać w dniu tym pieniędzy. Ona i mąż jej odliczali pieniądze obwiązawszy palce chustką zupełnie tak, jak ów kapucyn w innym opisie podróży. Była to rzecz nudna, ale wcale śmieszna".

„W ogóle, co do jadła, wygody i t. d. niewiele lepiej u żydów, jak w polskich gospodach, zwłaszcza, że choć mają jakie zapasy, dla względów religijnych niechcą dawać niektórych rzeczy. Główny wzgląd, który nas do nich skłaniał, polegał na tem, że mówią po niemiecku. Umieliśmy sobie jednak poradzić i u Polaków przy pomocy rossyjskiego języka sługi naszego i p. Bibieny. Czasem nadarzył się też jaki polski podróżny, który przy pomocy wspólnej naszej kuchennej łaciny był nam tłumaczem.

Że na dobre potrawy, na czyste naczynia, na pościel i t. d. liczyć nie można, nie potrzebuję dodawać. Polacy jako tako majętni wszyscy jeszcze przywykli wozić z sobą pościel, kuchenne sprzęty, jednem słowem pół gospodarstwa, a dlatego żałują gospodarze trudu i wydatków, choćby nawet mogli sowiciej się zaopatrzyć. Kto dużo podróżował i nie lubi się obciążać wielkiemi bagażami, przywyknie szybko spać równie dobrze na słomie jak na miękkiej pościeli, myśmy się przynajmniej cieszyli, kiedy nas swąd, gorąco i smród nie zmuszały do przepędzenia nocy w powozie, jak się kilkakrotnie stało... Ceny są za wszystko bardzo nizkie. Najmniej przywyknąć mogłem do używanych tu drewnianych łyżek. Stają się one wkrótce bardzo szorstkie, a najlepszy rosół z kury taką szczotką czerpany wydał mi się niesmacznym... Talerze tutejsze są to przeważnie także tylko okrągłe krążki z drzewa; zupę i jarzyny jedzą mieszkańcy zgodnie z jednej misy. Noża także trudno dostać, miałem dwa z sobą, mogłem więc jeden pożyczyć memu towarzyszowi, lecz zamiast widelca musiał się zadowolić grabkami, które mu natura dała. Wszystko w podobnym znajduje się stanie".

Dnia 20 września w południe stanęli podróżni w Grodnie. Po długiem szukaniu umieścili się w nowej, wielkiej, pięknej

gospodzie, lecz pokazało się, że mury były jeszcze zupełnie świeże i wilgotne, drzwi bez zamków, pokoje zupełnie bez mebli. Za pośrednictwem królewskiego sekretarza i prezydenta miasta Stolińskiego poznał się Bernoulli z profesorem grodzieńskim panem Gilibert, który ich zabrał na mieszkanie do siebie.

„Gilibert jest lekarzem z Lyonu, członkiem tamtejszej akademii umiejętności, doktorem uniwersytetu z Montpellier, z licznych pism znanym w ojczyznie swej pisarzem. Teraz już jest od kilku lat z piękną płacą w Grodnie, jako jedyny profesor akademii czyli szkoły, którą król polski tu założył, aby dawać wykształcenie piętnastu młodym ludziom w historyi naturalnej i całej medycynie. Jest to wyborny zakład, który mądremu Stanisławowi Augustowi przynosi trwałą chwałę, bo dotąd, zwłaszcza w głębi kraju, nędznie stała nauka lekarska, a nawet w stolicy prawie tylko od obcych było się można spodziewać pomocy.

Uczniowie dzielą się na dwie klasy; szlacheckich albo też innych dobrego pochodzenia i wybitnych zdolności wykształcają na zupełnych lekarzy do miast; inni dostają wystarczające wykształcenie, aby zostać przynajmniej użytecznymi prowincyonalnymi lekarzami, a zarazem chirurgami. Dom mieszkalny dla tych młodych ludzi jeszcze nie był zupełnie ukończony, będzie atoli wielki i piękny. Nauka już się rozpoczęła od kilku lat; potrzebne do tego zbiory książek, narzędzi, naturaliów, jakoteż botaniczny ogród już założono i znacznie się rozwinęły. Zdaje się, że pan Gilibert ma wcale dużo swobody i, co najważniejsza, dobrze stoi z podskarbim hr. Tyzenhauzem, któremu przysługuje naczelny nadzór nad tym i innymi tutejszymi zakładami, tak że robi się co tylko można. Szkoda tylko, że teraźniejsze stosunki nie pozwalają przeprowadzić niejednego korzystnego zamiaru.

Biblioteka zakładu jest już wcale kosztowną. Znalazłem tu paryzką encyklopedyę i mnóstwo najnowszych ważnych dzieł, wydanych we Francyi i w Niemczech, z dziedziny medycyny i historyi naturalnej. Pomiędzy innemi widziałem po pierwszy raz wspaniałe dzieło pana Jacquin z Wiednia *Flora Austriaca*. Jeszcze większą osobliwością tego rodzaju, którą mi pan Gilibert pokazał, były 300 miedzianych płyt roślin, które Henryk IV, król francuzki, kazał wyryć, ale których nigdy nie publikowano. Płyty same znajdują się tutaj, a kiedy król zakład przed kilku laty zwiedzał, wydał rozkaz, aby na cześć dobrego króla Henryka, z którym tyle rysów ma wspólnych, pracę tę ogłoszono. Dotąd atoli, o ile

wiem, miedziorytów tych nie publikowano, prawdopodobnie dlatego, że p. Gilibert chce tekst do nich napisać.

Botanika zdaje się być rzeczywiście główną gałęzią wiedzy tego uczonego — już w Lyonie publicznie o niej wykładał — i dlatego tutejszy bardzo wielki botaniczny ogród w kwitnącym znajduje się stanie. Pan Gilibert zaręczał mi, że w tym roku 2000 różnych roślin wyhodował. Nie ogranicza on się do tego *herbarium vivum;* widziałem u niego początki do trzech różnych dzieł botanicznych; jedno była to powszechna botanika, uporządkowana według systemu Tourneforta, drugie tak samo według Linneusza, trzecie zawierało tylko litewskie rośliny. Te służą mu za materyał do napisania dzieła *Flora Lithuanica*, nad którem p. G. pracuje. Znaczną część już widziałem gotową. Według autora znajdą w niem botanicy mnóstwo roślin, o których nie przypuszczają, że są w Litwie *spontaneae*...

Do nauki chirurgii i anatomii także nie zbywa na potrzebnych środkach, kosztownych anatomicznych dziełach, narzędziach, szkieletach ludzkich i zwierzęcych i t. d. P. Gilibert, bardzo zręczny i pracowity człowiek, zajmuje się także wypracowaniem dzieła *Anatomia comparata*, do którego już wiele rysunków ukończył.

Gabinet historyi naturalnej, z którym się łączy zbiór fizykalnych narzędzi, jeszcze wprawdzie w wielu rzeczach jest niekompletny, co do minerałów jednak bardzo bogaty. Główną część jego stanowi zbiór, który posiadał zmarły podpułkownik Magnicki, bibliotekarz zmarłego wielkiego hetmana litewskiego, ks. Michała Radziwiłła, lub też według innych sam książę, który to zbiór król zakupił".

W zbiorze tym podziwiał Bernoulli zwłaszcza mnóstwo skamieniałości. „Mnóstwo z tych kamieni, zwłaszcza agatów i koralliolitów, szlufują bardzo starannie w jednej z fabryk pod Grodnem; widziałem w gabinecie tym różne próby tych wyrobów, np. tabakierki i t. p." Najbardziej go jednak uderzył żywy żubr, którego pierwszy raz widział.

Następnego dnia zwiedzał Bernoulli pod przewodem p. Giliberta założone w Grodnie przez króla fabryki. „Leżą one tak samo jak poprzednio opisane zakłady po za miastem i tworzą nowe przedmieście Grodna. Przy sposobności małej podróży, którą król we wrześniu 1777 roku odbył celem obejrzenia wszystkich pożytecznych zakładów tutejszych, dowiedziano się o nich i w Niemczech przez gazety. Jednocześnie kazał i tu pan Gilibert wydrukować list otwarty po francuzku na trzech stronach *in quarto* do

przyjaciela swego sławnego profesora Vitet z Lyonu, a w nim opowiada mu w krótkości, co zaszło przy odwiedzinach królewskich i co tu widzieć można".

Bernoulli żałuje, że nie mógł przez krótki czas swego grodzieńskiego pobytu dokładnie obejrzeć wszystkich tych pożytecznych fabryk. Opis, który o nich podaje, polega częścią na liście p. Gilibert z 15 września 1777, częścią na własnych notatkach z 21 września 1778 r. „W pierwszej fabryce, którą oglądałem, robiono jedwabne materye, aksamity i t. p. ze złotem i srebrem lub bez nich lyońskim sposobem. Wykonanie i gust bardzo mi się podobały; przełożeni są Francuzi, rozumiejący się doskonale na swej sztuce. Chwalą oni bardzo pojętność i zręczność, z jaką krajowcy tutejsi wszystko naśladować potrafią. Robią tu mnóstwo jedwabnych chustek, któremi Rusinki zwykły owiązywać głowę, tak samo pasy dla Polaków, pomiędzy niemi bardzo kosztowne, do 30 dukatów za sztukę. Wiele z nich jest czerwonych z jednej, zielonych z drugiej strony, tak, aby je oficerowie nosić mogli przy obu barwach swych mundurów. Niektóre pasy mają nawet trzy różne barwy po jednej stronie. Niemniej pięknie są wyrabiane tu kamizelki i chustki na piersi z tłem złotem lub srebrnem. Naliczyłem w ogóle 62 warsztatów, 40 w jednej, 22 w drugiej sali; z tych 24 przeznaczone były wyłącznie na wyrabianie polskich pasów... Płaca robotnika przy każdym warsztacie wynosi 50 dukatów.

„Fabryka złotego i srebrnego drutu, z 10 warsztatów złożona. Wygotowują tu także roboty, do których potrzebne są takie druty. W tej albo poprzedniej fabryce widziałem galony wynalazku samego króla.

„Fabryka sukna ma 24 warsztatów, do niej należy jeszcze 7 warsztatów w Brześciu. Sukna tutaj pod dozorem Niemca i przeważnie przez Niemców wyrabiane wyglądają bardzo dobrze i pięknie. Najlepszego sukna kosztuje litewski łokieć dukata, szerokość dochodzi aż do 10 ćwierci. Najlepsza wełna przychodzi z Lublina, kamień jej kosztuje 3 dukaty. Fabryka powozów zatrudnia około 50 robotników. Aby fabrykę tę wprowadzić w ruch, aby robotnikom dać dobre modele i tem szybciej zadowolić amatorów, sprowadził hr. Tyzenhauz do 20 powozów z Anglii, nietylko bardzo dobrze wyrobionych, jak wszystkie fabrykaty tego kraju, ale i po części także bardzo wspaniałych Kilka, które oglądałem, pochodzących już z grodzieńskiej fabryki, robiły wcale dobre wrażenie. Lakiernikiem jest Włoch, Salvetti, używa między innemi pięknego pokostu z tartarugi; jest to naśladowanie szyldkretu. Robotnicy

jego robią także pokostowane kapelusze. Malarzem jest niejaki Bortelmann z Brabancyi. Inne fabryki oglądałem tylko mimochodem; mówiono mi, że jest ich 15, zatrudniających 1500 osób; w liście p. Gilibert wymienione są jeszcze: fabryka jedwabnych pończoch, wszelkiego rodzaju płócien, koronek brukselskich nawet ze złota i srebra, kapeluszy, stolarskich wyrobów bardzo pięknych, kart do gry i broni.

„Dwie ostatnie, zdaje się, znajdują się w samem mieście, inne na przedmieściu, Horodnicą zwanem. Dla robotników wybudowano nowe domy, jak w Szawlach... Wielkie zabudowania, w których pracują, były dawniej stajniami konnej gwardyi Augusta III. Ponieważ są drewniane i miejsce w nich za szczupłe, mają o pół mili od Grodna powstać nowe, wielkie kamienne gmachy i tam przeniesione będą wszystkie fabryki. Zdaje się, że już teraz zrobiono początek, bo w piśmie p. Gilibert czytam: Dnia 16 września (1777) wsiadł król o 7 godzinie na konia, aby się udać do Łosośny, miejscowości bardzo przyjemnie położonej, w której w przyszłości mają się złączyć wszystkie pożyteczne zakłady. Kiedy Jego Kr. Mość obejrzał wielkie zabudowania dla fabryk sukna i jedwabnych materyj przeznaczone i już skończone, oglądał potem z wielką uwagą już przeniesione tu fabryki, zwłaszcza bielniki wosku i fabrykę pochodni i świec woskowych. Potem udał się król do bielników płótna i podziwiał prostotę i wygodę maszyny do prasowania jako i tej, która wodę z łąk do polewania w górę podnosi. Kazał więc zawołać do siebie cieślę, Szwajcara, który maszyny te jako i model do bardzo śmiałego mostu zrobił, i powiedział mu z owym ujmującym tonem, który mu zawsze w mówieniu towarzyszy:

— Mój przyjacielu! bardzo jestem zadowolony z waszych robót — a zarazem rozkazał generalnemu inspektorowi, żeby mu płacę jego podwyższono.

„Ponieważ zaś król już o 10 godzinie był z powrotem w Horodnicy, zdaje się, że owa miejscowość, o której powyżej mówiłem, jest właśnie tą Łosośną. Generalny inspektor tych zakładów, który króla oprowadzał, zwie się Becu; jeźli się nie mylę, mówiono mi, że pochodzi z Berlina.

„U przezacnego i umiejętnego ministra i naczelnego dozorcy tych królewskich zakładów, hr. Tyzenhauza, podskarbiego litewskiego, byłem z panem Gilibert na obiedzie. Ponieważ dla jakiejś konferencyi późno obiad się odbył, zatrzymaliśmy się tymczasowo w pobliżu pałacu u dyrektora zabudowań, majora de Sacco, grze-

cznego i rozsądnego Włocha z Werony. Widziałem u niego kilka dobrych obrazów i innych dzieł sztuki...

„Hr. Tyzenhauz, kiedyśmy do niego przyszli, ledwie mnie zoczył, przypomniał sobie zaraz, że był u mnie w mojem berlińskiem obserwatoryum astronomicznem i przyjął mnie dlatego tem uprzejmiej. Ja zaś nie byłbym go poznał, bo nazwiska jego zapomniałem, i nosił się teraz po francuzku, w Berlinie zaś w polskim mundurze huzarskim z wygoloną głową i t. d. Podczas dalszych swych podróży w Anglii i Francyi zmienił ubranie, jak obecnie większa część panów polskich. W podróż tę udał się, jak się łatwo domyślić można, aby się lepiej zapoznać z urządzeniami fabryk i aby zawerbować zręcznych robotników. Jak znakomicie wywiązał się z tego zadania, można poznać z tego co się mówiło poprzednio. Pan ten, który wszystkie te fabryki założył i na którym wszystko polega, odznacza się prócz wielkiej uprzejmości jeszcze przymiotem wielce w takim zawodzie potrzebnym — niezwykłą pilnością. Podobno w nocy niewiele więcej nad trzy godziny sypia, a na odpoczynek oddaje się sztukom pięknym. Posiada piękny zbiór obrazów... Jest wielkim amatorem muzyki i utrzymuje kapelę więcoj jak 30 osób liczącą, w niej dwóch włoskich sopranów. Zamierzał wybudować porządny teatr, a tymczasem kazał dawać w swym pałacu komedye i wodewile. Wielką i piękną salę, w której się goście zbierają przed obiadem i po obiedzie, urządzono w tym celu z wywyższoną orkiestrą, bardzo wygodną... W ogóle żyje podskarbi bardzo wspaniale, ma stół otwarty; było nas najmniej 40 osób przy obiedzie, a uczta była książęca. Charakter jego wielce ujmujący, dużo łagodności i uprzejmości w obejściu i to, jak uważałem, tak z krajowcami i podwładnymi, jak z cudzoziemcami.

„Hrabia mówił ze mną o nowym zakładzie, który jeszcze wystawić zamierza, to jest o astronomicznem obserwatoryum. Ma ono stanąć obok akademickiego zabudowania; plan, jak mi go wykładał, jest bardzo rozsądny. Już rzeczywiście robiono dla niego kosztowne instrumenta w Anglii i to pod dozorem przyszłego obserwatora, księdza Narwojsza [1]), zręcznego scholara astronomów wileńskich, który razem z hrabią przez Berlin przejeżdżał i nasze astronomiczne przybory starannie badał...

---

[1]) Franciszek Milkont Narwojsz urodzony 1742 r. w powiecie wilkomirskim, umarł r. 1819. Według *Encyklopedyi Powszechnej* Orgelbranda znajduje się żywot jego skreślony w *Dzienniku Wileńskim* przez Tomasza Życkiego.

„W Grodnie znajduje się także założona przez teraźniejszego króla szkoła kadetów, w której kształci się 30 ubogiej szlacheckiej młodzieży kosztem Jego Kr. Mości. Dyrektorem jest podpułkownik Frölich“.

Dnia 21 września ruszyli podróżni do Białegostoku, drogą bardzo dobrą, prostą, pięknemi drzewami po obu stronach wysadzaną, popołudniu następnego dnia stanęli w Białymstoku. „Białystok jest to miasteczko wybudowane w przyjemnej pozycyi, a przez zmarłego w. hetmana koronnego hr. Branickiego, po którym przeszło na jego wdowę, niesłychanie upiększone“.

Bernoulli zwiedzał całe miasto; wychwala piękne bramy miejskie, proste ulice, rynek, szpital i klasztor zakonnic, nowe miasto całe z gruntu świeżo wybudowane, przedewszystkiem zaś przepyszny pałac Branickich i ogród. Pałac zwiedzał szczegółowo i zauważył w nim mnóstwo pięknych obrazów, malowanych przedewszystkiem przez nadwornego malarza Branickich Mirysa. Były to przeważnie kopie sławnych oryginałów, między innemi Rubensa znajdującego się w Węgrowie, ale i mnóstwo oryginalnych kompozycyj tegoż Mirysa, n. p. pięć wielkich obrazów *al fresco*, przedstawiających ceremenie przyjmowania orderu św. Ducha przez hr. Branickiego. Liczne te obrazy tak się podobały Bernoullemu, że pragnął poznać samego artystę, dowiedziawszy się, że mieszka w pałacu. Znajomość z nim tak opisuje:

„W skromnem mieszkaniu znalazłem bardzo wysokiego, żywego i pięknego starca (urodził się 8 stycznia r. 1700), mówiącego płynnie po francuzku, opowiadającego przyjemnie i jeszcze teraz pilnie pracującego. Pokazywał mi między innemi różne wielkie obrazy treści religijnej, które wykończył dla kościoła, budującego się kosztem hr. Branickiej w Tykocinie, i ofiarował mi swoje własne w naturalnej wielkości malowane popiersie...

„Dzielny ten człowiek przeszedł dziwne losy. Ojciec jego, szlachcic szkocki, udał się za wypędzonym królem Jakóbem do Francyi. Syn poświęcił się malarstwu i kształcił się w Rzymie. Tu się tak odznaczył, że papież nadał mu order złotej ostrogi; łańcuch tego orderu nosi i teraz w domu na szyi, jako pamiątkę lepszych czasów. Będąc jeszcze młodym człowiekiem, dał się namówić ks. Jabłonowskiemu do opuszczenia Rzymu i do pojechania z nim do Polski. Związek ten stał się dla niego źródłem wielu przykrości, skarżył się wielce przedemną na to, jak książe z nim postępował. Do tego dodajmy jeszcze długie więzienie, bójkę, w której kilku przeciwników powalił o ziemię, i tym podobne

awantury... Jednem słowem; kiedy się jako zbieg musiał przechowywać raz w klasztorach, raz znowu u arystokratycznych pań, które się nim opiekowały, przepędził potem dłuższy czas w Gdańsku, gdzie, jak mi mówił, dużo swych dzieł pozostawił. Wreszcie wziął go w. het. kor. hr. Branicki do siebie i dopóki pan ten żył, wiodło mu się bardzo dobrze. Śmierć jego wprowadziła go znowu w stosunki wcale smutne. Kiedy atoli wdowa pozostawiła mu małe mieszkanko i daje mu sposobność do zarobku, a wiek nie pozwala mu myśleć o zmianie, czeka spokojnie na koniec żywota w tym odległym kącie Europy, dokąd go los zapędził. W młodszych latach musiał być bardzo pięknym, pełnym ognia człowiekiem i zapewne większym artystą, niż w Białymstoku, dokąd przybył już w dość podeszłym wieku".

Dnia 23 września rano opuścili podróżni Białystok i jechali najprzód wygodnym szerokim, drzewami wysadzonym pocztowym gościńcem aż do wsi Woiszki. Tutaj zboczyli z traktu pocztowego prowadzącego dalej na Bielsk, i pojechali na Brańsk, Pobikry, Granno, gdzie się przeprawili na promie przez Bug, Grodek, Sokołów, Węgrów. Kraj nie przedstawiał nic ciekawego, drogi były nie złe, a zajazdy dość wygodne. W Węgrowie należącym do hr. Krasińskiego, zatrzymali się nieco, a Bernoulli oglądał trzy kościoły, jeden drewniany, dwa zaś piękne z kamienia. W jednym z nich obok wielkiego ołtarza znalazł ów oryginał Rubensa, którego kopię oglądał w Białymstoku. Obraz był już nieco uszkodzony, koloryt nieco spełznięty, mimo to chwali go Bernoulli bardzo. Przedmiot ma być wzięty z wypadku, który się Rubensowi przytrafił w Hiszpanii. Jedna z kobiet na obrazie jest portretem żony Rubensa, pomiędzy dziesięciu apostołami obrazu jest jeden portretem kardynała de la Valette.

Z Węgrowa jechali przez Makowę, Stanisławów, i stanęli 26 września w Warszawie. Przed opisem Warszawy podaje jeszcze autor dłuższą wzmiankę o zbiorach artystycznych i przyrodniczych w Siemiatyczach, owdowiałej ks. Anny Jabłonowskiej, wojewodziny bracławskiej. Przybywszy do Warszawy, zastał list księżny, zapraszający go, aby zbiory jej zwiedził. Z żalem jednak nie mógł tego uczynić. Podaje więc tylko dłuższy ustęp z listu księżnej, i dwa ustępy z listów panny Gralath z Gdańska, przyjaciółki księżnej, z których wypływa, że zbiory te zawierały bardzo cenne materyały do historyi naturalnej.

Przy moście łączącym Pragę z Warszawą stał wprawdzie posterunek i straż akcyzowa, mimo to jednak wpuszczono podró-

żnych bez wizytacyi paszportu i bez wszelkiej rewizyi, co na nich bardzo dobre zrobiło wrażenie. Most był łyżwowy, rozbierano go zwykle, skoro rzeka zaczęła zamarzać. Wystawiono go dopiero r. 1776, poprzednio trzeba się było przez rzekę przeprawiać na promie. „Wprawdzie już Zygmunt August zbudował tu most mający 1150 kroków długości, a siostra jego Anna Jagiellonka wykończyła go w r. 1603, lecz kry go uniosły [1]).

„Znajdowało się wtedy w wielkiem tem mieście dopiero cztery lub pięć hotelów, z tego powodu a zwłaszcza dla zbliżającego się sejmu z trudnością mogliśmy znaleźć pomieszczenie. Wreszcie znaleźliśmy małe ale bardzo przyjemne pomieszkanie z dwóch ładnych pokoi złożone *pod trzema liliami*, w pięknym hotelu z wielkim dziedzińcem i ładnym ogrodem przy jednej z najpiękniejszych ulic".

Ułatwiwszy się z najpotrzebniejszemi sprawami, udał się Bernoulli niebawem do szkoły kadetów, aby odszukać pana Dubois.

„Pan Dubois urodził się w księstwie burgundzkiem w r. 1751, jest to więc jeszcze młody człowiek; tem bardziej więc podziwiałem w nim dwa przymioty, które nader rzadko spotkać można u młodych ludzi jego narodowości: skromną powagę i obszerne wiadomości na polu literatury, a obok tego zdolność do ścisłych studyów i gruntownych badań. Głównie zajmuje się historyą naturalną; temu przedmiotowi poświęcał się głównie podczas kilkoletniego pobytu w Paryżu. Tam poznał się z ks. Adamem Czartoryskim, który mu ofiarował posadę nauczyciela przy szkole kadetów w Warszawie. Była to wprawdzie profesura historyi, lecz ponieważ mu pozwolono połączyć z nią i historyę naturalną, nie wahał się przyjąć jej i przybył w r. 1775 do Warszawy. Tutaj objął stanowisko profesora historyi politycznej i naturalnej z rangą królewskiego radzcy dworu. Poprzednio już wyuczył się prócz klasycznych języków także włoskiego i angielskiego, teraz oddał się z największą gorliwością polskiemu i niemieckiemu, i przetłumaczył na język francuzki piękny poemat księcia-biskupa warmińskiego *Myszeidę*, z niemieckiego zaś sławne dzieło Abbta *O zasłudze*. Lecz oba te tłumaczenia jeszcze w druku nie wyszły.

„Jednocześnie studyował Dubois z niemiecką gorliwą pilnością licznych autorów polskiej historyi, geografii i historyi naturalnej,

---

[1]) Bernoulli powołuje się tu na dzieło *Erndtla Warsavia physica illustrata* (1730), w którem mają się znajdować jeszcze inne o moście szczegóły i napis z płyty kruszcowej zdjęty.

starał się ogłosić w krótkości to, co w dziełach tych jest najużyteczniejszego, aby tym sposobem sobie i innym utorować drogę do gruntownego poznania wielkiego tego królestwa. Pierwszym owocem tej pracy było dzieło: *Essai sur l'histoire literaire de Pologne par M. D** C. de la C. de S. M. P. membre de l'académie des sciences arts et belles lettres de** (Dijon). Reflexions génerales sur les progrès des sciences et des arts, histoire naturelle et géographie. A Berlin chez G. J. Decker.* 1778. 566 str. in 8vo. W dziele tem zebrał p. Dubois nietylko w pożytecznym wyciągu najważniejsze rzeczy z więcej jak 30 pisarzy o geografii i historyi naturalnej Polski, lecz wciągnął do niego także mnóstwo innych ciekawych wiadomości a zwłaszcza wiele projektów do podniesienia sztuk i nauk. Niestety wyrażał się często z zanadto wielką swobodą, odzywał się zanadto wcześnie z niejedną dobrą myślą, którą powinien był przynajmniej objawić nieco oględniej. Ztąd też ściągnął na siebie mnóstwo nieprzyjaciół a wkrótce po moim wyjeździe z Warszawy, pojawiło się kilka namiętnych satyr na niego.

„Nie uznał ich wprawdzie Dubois za godne odpowiedzi a nawet wzniosły i wolny od uprzedzeń król, któremu służy, wyraził mu swe zadowolenie z jego umiarkowania a niezadowolenie z postępowania jego przeciwników, mianując go niebawem członkiem wydziału dla osądzania książek edukacyjnych [1]); mimo to jednak skutkiem tego niepowodzenia jego książki może znacznie ostygła gorliwość, jaką pałał dla sławy i korzyści Polski, zwłaszcza że i zdrowie jego skutkiem gorliwej pracy ucierpiało i druk dzieł wprowadził go w kłopoty, bo ani Berlin ani Warszawa nie są jeszcze miastami, gdzieby księgarz wydając francuskie dzieła naukowej treści, mógł pokryć wydatki. Z tych wszystkich powodów jest rzeczą bardzo prawdopodobną, że pan Dubois wyjechawszy przeszłego lata (1779) do Francyi nie powróci już do Polski.

„Sądzę, bez względu na moją z nim znajomość, że byłaby to prawdziwa strata dla tego kraju; nie umiem bowiem wyobrazić sobie człowieka, któryby posiadał więcej przymiotów do przeprowadzenia korzystnej rewolucyi na polu sztuk i nauk pod opieką króla tak skłonnego do podniesienia swego kraju. Młodzieńcza siła, wielka pracowitość, staranie o dobro publiczne bez względu na siebie, naturalne uzdolnienie do wymowy, przyjacielska wolnomyśl-

---

1) Pan Dubois razem z kapitanem, p. de Carossi, wzięli już nagrodę 100 dukatów od komissyi edukacyjnej, naznaczoną za projekt do szkolnej książki o historyi naturalnej, — dodaje Bernoulli w nocie.

ność, dobry smak i wielka rozmaitość pożytecznych wiadomości — wszystko to łączy w sobie p. Dubois. Jeżeli nie wróci, z trudnością potrafi się utrzymać warszawskie towarzystwo naukowe, które powstało skutkiem jego nieznużonej gorliwości. Na zmarnowaniu kosztownych materyałów do przyszłych dzieł o Polsce, które widziałem w Warszawie u niego, więcej stracą krajowcy niż cudzoziemcy, choć pierwsi prędzej znać powinni bogactwa i potrzeby swej ojczyzny.

„Oprócz dalszego ciągu owej *Histoire Littéraire* żałować nam wypada, jeżeli nie przyjdą do skutku zapowiedziane tam *Mélanges de litterature polonaise*, żałujemy także, że skutkiem wyjazdu pana Dubois przerwał się dalej rozpoczynany już po dwa czy trzy razy przez radcę dworu Grölla warszawski almanak, p. Dubois bowiem podjął się zaopatrzyć kalendarz ten w różne cenne wiadomości. W pierwszym egzemplarzu, który wyszedł na rok 1779, umieścił dwie bardzo użyteczne rozprawy; jedną o 50 stronicach: *Abregê chronologique de l'histoire des rois de Pologne*, druga o 68 stronicach: *Description abregée du Royaume de Pologne et de grand Duché de Lithuanie*... W następnym roczniku zamierzał p. Dubois umieścić opis osobliwości Warszawy... Opis ten nie przyszedł do skutku".

Rozpisawszy się tak obszernie o panu Dubois, osobistości, o ile mi wiadomo, mało u nas znanej, przechodzi Bernoulli do ogólnego poglądu na ówczesną Warszawę, która wtedy od niedawna tak się zmieniła, że żaden dawny opis już do niej się nie stósował. Miał wprawdzie Bernoulli pod ręką opis Warszawy Chrystiana Henryka Erndtla, przybocznego lekarza Augusta II, którego tytuł już poprzednio podałem, lecz opis ten, po części tylko zajmujący się Warszawą, już mu teraz nie mógł wystarczać.

Nie mógł także dostać planu Warszawy prócz tego, który się znajduje na kosztownej karcie Polski, którą wydał w roku 1772 w Paryżu I. B. Rizzi Zannoni przy współudziale ks. Józefa Aleksandra Jabłonowskiego. Dopiero przy końcu roku 1779 wyszedł u Grölla nowy plan Warszawy, który rysował major Hennequin a rytował na miedzi Michał Keyl. Musiał tedy nasz podróżny oryentować się po Warszawie bez planu. Ludność miasta podaje na 50 do 60 tysięcy.

„Ulice, nie wszystkie jeszcze brukowane, mają zimą być niesłychanie błotniste, i przyznać muszę, że już w październiku widziałem okropny tego dowód; tem więcej pocieszającem i pochwały godnem jest wydane wkrótce potem w grudniu rozporządzenie, że

każdy chłop, który do miasta przyjedzie, musi przy rogatce oddać kamień pewnej wielkości pod karą 6 groszy, aby powoli wybrukować ulice i brukowane w dobrym stanie utrzymać.

„Ulice w nocy nie są oświetlone, lecz nie długo na to pewno będzie trzeba czekać. Zresztą niektóre są bardzo długie i szerokie lecz żadna nie jest zupełnie prostą a w najlepszych częściach, zwłaszcza na nowem mieście, uderza mnóstwo pięknych i zgrabnych pałaców, które mnie w zdumienie wprawiały. Przyznać muszę, że jeżeli Berlin posiada znacznie więcej pięknie budowanych domów mieszczańskich, jednak Warszawa, mimo że dużo mniejsza od Berlina, ma co najmniej tyleż co on gmachów, któreby nazwać można pałacami. Większość z nich odznacza się wcale dobrym gustem; wiele z nich ma dziedziniec od ulicy pomiędzy dwoma skrzydłami, jak n. p. pałace hr. Sacken i Schulenburg na Wilhelmowskiej ulicy w Berlinie". Prócz odrysowanych na planie Zannoniego pałaców wymienia Bernoulli jako najpiękniejsze pałace wielkiego hetmana Lubomirskiego, w. kanclerza Młodziejowskiego, księcia wojewody poznańskiego Jabłonowskiego, księcia kanclerza litewskiego Sapiehy, zamieszkały przez ambasadora rossyjskiego pałac Teppera, a dalej domy, w których mieszkają sam Tepper i drugi warszawski wielki bankier Blanc. Za najlepszych budowniczych warszawskich uważa Merliniego, królewskiego architekta, i Zucka. W ostatnim czasie mówiono też dużo w Warszawie o architekcie Kamsetzer, którego król dla ukończenia studyów miał wysłać na Konstantynopol do Grecyi.

Kościoły nie zachwyciły naszego podróżnika. Szpitali nie zwiedzał, wymienia trzy tylko, wielki szpital czyli dzieciątka Jezus, przez Baudouina założony, św. Rocha, przez biskupa poznańskiego Tarłę fundowany, i św. Łazarza.

Dalej wymienia inne publiczne gmachy i pomniki, a szczegółowo opisuje kolumnę Zygmunta, wspomina o pręgierzu przed ratuszem i pomniku dla hajduka, który zginął w obronie króla. Przedstawienia teatralnego nie widział w czasie pobytu w Warszawie. Mimo sejmu bowiem nie mieli aktorowie francuzcy, bawiący w stolicy, zatrudnienia, „bo ks. Radziwiłł, w którego pałacu znajduje się sala do widowisk używana, nie pozwolił jej otworzyć, nie wiem z jakich powodów". Dopiero następnego roku 1779 wystawiono kosztem starosty Ryxa w tak zwanej długiej ulicy naprzeciw Pijarów publiczny teatr, do którego wielka marszałkowa koronna, księżna Lubomirska zakładała kamień węgielny.

Przeniósłszy się 27 września z hotelu do domu Grölla w Marywillu, zaczął Bernoulli albo z listami rekomendacyjnemi albo też w towarzystwie p. Dubois oddawać wizyty. Podaje krótkie wiadomości o osobach, które poznał.

„Hrabia Michał Mniszech, pisarz litewski, kawaler Białego Orła i t. d. jest uczniem uczonego naturalisty Eliasza Bertranda, studyował pod jego dozorem w Lausanne i jest, jak mi zaręczano, najuczeńszym polskim szlachcicem pod względem gruntowności. Odznaczył się świeżo, napisawszy w polskim języku znakomite dzieło o Kazimierzu III w stylu tacytowskim. Jest członkiem wysokiej komisyi edukacyjnej i towarzystwa naukowego, posiada wprawdzie nie liczny, ale wyborowy zbiór książek, a pałac jego jest jednym z najpiękniejszych i największych w Warszawie, umeblowany wspaniale i wytwornie. Sławny jeszcze żyjący markiz de Paulmy zamieszkiwał ten pałac, kiedy był ambasadorem francuzkim u dworu polskiego i znaczne tu zaprowadził zmiany i upiększenia.

„Polski tajny radca Kortum jest człowiekiem wielce szanowanym przez wszystkich, którzy go bliżej znają; wyraża on myśli swe bez obłudy i otwarcie, a oprócz tej szczerości, wielkiego dowcipu i innych przymiotów podziwiać w nim należy także rzadką znajomość języków. Mówi podobno i pisze biegle dziesięciu różnemi językami, nie wspominając już o kilku dyalektach, które także posiada. Przepędził kilka lat jako generalny audytor w Petersburgu, a w sprawach wolnomularstwa, którego jest jedną z głównych podpór, już po kilkakrotnie jeździł do Danii, Szwecyi, a zapewne i do innych krajów.

„Sławny bankier Tepper i żona jego jednają sobie przyjacielskiem postępowaniem powszechny szacunek i zasługują na szczęście posiadania kilku milionów talarów. P. Tepper ma z urodzenia inne nazwisko, teraźniejsze dał mu warunkowo wuj tegoż nazwiska, przyjąwszy go za wspólnika swego handlu. Dziwną jest rzeczą, że choć jest ewangielikiem, nosi krzyż maltański, jako agent i skarbnik zakonu tego w Polsce, honor, którym się pewnie mało który protestant poszczycić może. Będąc u niego na obiedzie, miałem sposobność poznać także rodzinę jego z 10 dzieci złożoną i przez panią Tepper bardzo dobrze wychowywaną. Słyszałem grającego na fortepianie dziewięcioletniego jego syna, którego można nazwać muzykalnym cudem. Chłopiec ten uczył się grać dopiero od siedmiu miesięcy i wykonywał już zręcznie i przyzwoicie bardzo trudne dzieła Bacha i innych wielkich artystów. Rzecz zadziwiająca. Uczył się najprzód pięć miesięcy u pewnego nauczyciela

bez szczególnych postępów, bo go zajmował tylko polonesami i menuetami, nie poznawszy się na jego geniuszu do muzyki. — W końcu zajęła się nim pani Zernitz, artystka, i w tak krótkim czasie doprowadziła go do takiej biegłości.

„Dom, w którym p. Tepper mieszka, jest wspaniałym gmachem, z którym prawie żaden warszawski pałac na równi stanąć nie może. Ówczesny c. k. poseł, baron Rewitzki, zajmował główne piętro".

Tego samego dnia po południu zwiedzał Bernoulli z panem Dubois Łazienki, oglądał pałac księcia Józefa Poniatowskiego, ks. Andrzejowej Poniatowskiej, a wreszcie pałac ujazdowski, jeszcze nieukończony. Wieczór przepędził w gmachu kadetów u pana Zernitz, którego żona, sławna artystka, Leonora Deeling z Drezna, znana jest w niemieckiej literaturze jako korespondentka Rabnera, zwłaszcza z romansu tegoż: *Briefe von Babet und Charitas*, gdzie listy podpisane literą *L* od niej pochodzą. Jako fortepianistka używała sławy ogromnej. Bach jej dedykował zbiór swoich sonatów. I w Warszawie wielce ją ceniono, „choć Polacy w muzyce posiadają szczupłe wiadomości". Mąż jej Zernitz, zatrudniony przy szkole kadetów, tłumaczył dzieło hr. Mniszcha o Janie (?) Kazimierzu na francuzkie, „ale go jeszcze nie drukował", był sekretarzem i prawą ręką hr. Augusta Moszyńskiego, używającege u króla wielkiego zaufania. Stadło państwa Zernitzów już następnego roku się rozeszło. Pan Dubois odwiózł panią Zernitz do Paryża, gdzie miała zostać podochmistrzynią dzieci ks. de Chartres.

Dnia 28 września odwiedził Bernoulliego generał baron Cocceji, do którego miał list polecający od hrabiny Kayserling z Petersburga, „Generał jest synem król. pruskiego wielkiego kanclerza Cocceji. Sam długi czas służył w armii pruskiej i używał wielkiej przychylności i łaski u króla swego jako człowiek bardzo dowcipny i jeden z najpiękniejszych i najukładniejszych oficerów armii. Nieszczęśliwe satyryczne wycieczki, których w młodszych latach skutkiem żywości nie zawsze umiał powstrzymywać, stały się powodem, że musiał opuścić swą ojczyznę, a teraz już od dawna stoi jako generał-major przy małopolskiej dywizyi koronnej armii polskiej. Bardzo mi się to w nim podobało, że zapewne z dumy patryotycznej (?), nie nosił innego orderu prócz pruskiego *pour le mérite*; na wysokiem jego stanowisku i przy wielkiej łasce teraźniejszego pana zależałoby pewnie od niego, czyby chciał być ozdobionym bardziej uderzającą wstęgą i gwiazdą polską, zwłaszcza że król jest wcale hojnym w rozdawaniu założonego przez niego

samego orderu św. Stanisława i dawniejszego Białego Orła. Generał niedawno wrócił z pięknej podróży do Włoch, Sycylii, Malty, Grecyi, Azyi mniejszej i Konstantynopolu".

Po wizycie tej odwiedzał Bernoulli kościoły Jezuitów, Bernardynów, katedralny, św. Jana i Augustynów. Na obiedzie był u gospodarza swego „radcy dworu" Grölla, znanego drukarza i księgarza warszawskiego. „Powodzenie starań jego o nauki i księgarstwo w Polsce tem niezawodniej i szybciej postępuje, że Gröll sam posiada kilka języków i inne wiadomości, znany jest jako pisarz, a uczciwością i przyzwoitością wyrobił sobie szacunek u wysokich i maluczkich. Handel jego zaopatrzony jest w wielkie mnóstwo najlepszych i po części kosztownych zagranicznych dzieł, kart geograficznych, miedziorytów i t. p., a w dobrze urządzonej, z kilku pras złożonej drukarni jego pracowano wtedy bardzo gorliwie nad sławną księgą praw byłego wielkiego kor. kanclerza hr. Zamoyskiego. Wkrótce potem wygotował pan Gröll także niemiecki przekład znanego tego dzieła i ogłosił nań prenumeratę. Równocześnie zaczął p. Gröll prócz wielu polskich dzieł drukować także niemieckie tygodniowe pismo pod tytułem: *Der Landwirth*, po którem dużo sobie obiecywać można, kiedy redaktorem jest pan Hube z Torunia, bardzo korzystnie znany w naukowym świecie. P. Gröll pokazywał mi także wcale ciekawy zbiór medalów ze srebra, niektóre także ze złota. Większą część z nich robił zręczny królewski sztycharz p. Holzhäuser... Pomiędzy złotemi medalami znajdowało się kilka, któremi Grölla obdarzył król i rodzinne jego miasto Norymberga.

„Po obiedzie odwiedzili mnie p. Dubois i Lhuillier, ostatni bardzo zręczny matematyk z Genewy, bibliotekarz księcia Adama Czartoryskiego i ochmistrz młodych książąt. W rodzinnem mieście kształcił się pod sławnym i głębokim matematykiem i filozofem Le Saye, a w Warszawie wziął nagrodę 150 dukatów od komisyi edukacyjnej za projekt do matematycznego podręcznika. Teraz był zatrudniony wypracowaniem tej książki podług premiowanego projektu. Dwa tomy już były drukowane. Jest to jeszcze młody a już bardzo poważny człowiek, po którym w nauce tej dużo spodziewać się można".

Potem odwiedzał Bernoulli duńskiego posła, szambelana Bertusch i Pfleiderera, profesora fizyki i matematyki przy korpusie kadetów, Wirtemberczyka, „bardzo zręcznego ucznia sławnego profesora Ries z Tybingi, gdzie Pfleiderer pozyskał stopień doktora praw. Później przebywał parę lat w Genewie, wspomagając pana

Le Saye i doszedł pod jego przewodem do obszernych wiadomości matematycznych, jak o tem wiem ze świadectwa p. Le Saye i wielkiego Eulera... Prócz profesorskiego stanowiska zajmuje ten godny uczony jeszcze posadę dyrektora studyów całego król. korpusu kadetów...

„Zakład ten dla wychowania młodej polskiej szlachty jest jednym z najpożyteczniejszych i najpamiętniejszych, jakie tylko mądry Stanisław August fundował. Założony w r. 1765 składa się teraz ze 100 uczniów, podzielonych na cztery brygady, na czele każdej stoi brygadier i podbrygadier. Młodzi ludzie kształcą się tu za darmo w rzeczach przyjemnych i pożytecznych. Uczą się matematyki, inżynieryi, fortyfikacyi, praw, ekonomii, geografii, historyi politycznej i naturalnej, nauk pięknych, łaciny, polskiego, francuzkiego, niemieckiego języka, rysunków, tańców, fechtowania i t. d., niczego tu nie żałują. Trzecia część uczniów ma zawsze pochodzić z Litwy. Mieszkają w pałacu na ten cel zakupionym, w skrzydłach znajdują się mieszkania profesorów i innych do zakładu należących osób. Szefem jest sam król, komendantem ks. Adam Czartoryski, wicekomendantem hrabia Fryderyk Moszyński, wielki referendarz litewski. Profesorami są prócz wymienionych już Pfleiderera i Dubois, jakiś uczony ze Strasburga i kilku Polaków, których nazwisk zapomniałem; prócz tego kilku nauczycieli mniej znaczących“.

Lhuillier zaprowadził naszego turystę do ks. Adama Czartoryskiego, generała ziem podolskich. Autor mówi o nim, że jest tak znany za granicą zwłaszcza ztąd, że tak wielu cudzoziemców do kraju sprowadzał, że nie potrzeba się nad nim rozwodzić. Wynosi jego wiadomości w oryentalnych językach i jego prace dramatyczne; mianowicie tłumaczenie sztuki *Joueur* Regnarda, *Glorieux* Destouches'a i naśladowanie jakiejś komedyi z angielskiego, a wreszcie oryginalnie napisaną polską sztukę *Mniejszy koncept czyli wspaniały skąpiec.*

Było takie mnóstwo gości u księcia, że B. nie mógł swobodnie z nim mówić. Udał się więc z p. Lhuillier do biblioteki księcia, w której znalazł mnóstwo ciekawych i kosztownych dzieł, a sam lokal wspaniale urządzony i we wszystkich pokojach mnóstwo osobliwości. Pałac, w którym ks. Adam mieszka, jest to tak zwany *błękitny pałac*, nazwa dana mu od błękitnego niegdyś dachu. Wybudował go August II, a mieszkała w nim jedna z jego metres Na sufitach, nad drzwiami i kominkami widać dużo dobrych

malatur. W jednym pokoju mają się znajdować same obrazy, którym za temat służą miłostki Augusta".

Na obiedzie dnia tego znajdował się Bernoulli u generała Cocceji, mieszkającego przy koszarach, do których droga prowadziła przez bardzo piękną aleę, założoną przez ojca ks. Adama. Poznał się tutaj z kawalerem de Boscamp, byłym posłem w Konstantynopolu, z księdzem Benvenuti, „bardzo uczonym rzymskim duchownym", z Reverdilem, bibliotekarzem i lektorem króla i kilku innymi.

O godzinie 6 udał się z Reverdilem na zamek, gdzie go Cocceji miał przedstawić królowi. Oglądał najprzód bibliotekę królewską, „ustawioną w dwóch pokojach przy sypialni bibliotekarza, złożoną z 5000 tomów. Co do porządku i zręcznego ustawienia nie robi wrażenia przyjemnego, obejmuje wszystkie nauki, bo król posiada szerokie wiadomości i lubuje się we wszystkich. Dzieł z miedziorytami nie ma tutaj; znajdują się w zbiorze miedziorytów pod dozorem hr. Augusta Moszyńskiego".

Kiedy się Cocceji punktualnie stawił, wypadało jeszcze czekać przeszło godzinę z wielu dworakami w sali obok królewskiego gabinetu, bo król pracował z wydziałem rady nieustającej. W sali tej, w której się król zwykł rano ubierać, uderzyło Bernoulliego kilka obrazów; dwa morskie widoki Verneta, dwa wielkie i cztery mniejsze krajobrazy Filipa Hackerta, dobre portrety Rembrandta i Holbeina albo podług nich robione, bardzo piękne kopie Rubensa. Kiedy król skończył naradę, zawołano Bernoulliego. Powtarzam tutaj dosłownie opis, jaki nam podaje o tej „bardzo łaskawej audyencyi, która trwała przeszło kwadrans"; czytelnicy z niego poznają najlepiej ton, w jakim się autor o wysoko postawionych osobistościach wyraża.

„Tutaj — mówi on — byłoby miejsce bardzo odpowiednie do wychwalania niesłychanej łaskawości i uprzejmości, pięknej i wyrazistej postawy, szerokiej wiedzy i rozlicznych przymiotów tego godnego hołdów (*preiswürdig*) monarchy, lecz im wyżej stoją osoby, o których mi mówić wypada, tembardziej obawiam się zarzutu pochlebstwa, a choć wielki gwałt zadawać sobie muszę, aby nie mówić o tak mądrym i czcigodnym królu jak na to zasługuje, to jednak nie pozostaje mi nic innego, jak urwać temat. Liczne dobre czyny i zakłady Stanisława Augusta i rozkwit, do jakiego już doprowadził wśród najgorszych przeszkód swą rezydencyę i swe królestwo, przemawiają lepiej na jego chwałę, niżby to uczynić mogły słowa moje.

„Rozmowa odnosiła się przeważnie do mojej teraźniejszej podróży. Król wypytywał mnie dużo o Rossyę, i to ku zawstydzeniu memu, więcej niż pragnąłem, albowiem o sprawy handlowe i finansowe, o których najmniej wiedziałem. Mimo to raczył mnie, kiedym odchodził, zaprosić do siebie na obiad na przyszłą niedzielę. Zwykle daje Jego Król. Mość co czwartku *diner de fondation* dla uczonych, na obiad ten pewnie nie zaproszono mnie dla tego, że, jak mi mówiono, zbierają się na nim tylko polscy uczeni i to zawsze jedni i ci sami. U pana Zernitza, do którego się potem udałem, spotkałem król. generalnego kontrolera Zimmermanna, bardzo cenionego. Jest on także miłośnikiem historyi naturalnej i posiada podobno piękny zbiór wypchanych ptaków“.

Dnia 30 września jeździł Bernoulli z wizytami w towarzystwie generała Cocceji. Przyjęto ich w zamku królewskim u ks. Stanisława Poniatowskiego, którego wychwala zwykłą frazeologią i opisuje pokrótce jego zbiory mineralogiczne, archeologiczne, etnograficzne, mianowicie chińskie i tatarskie, niektóre zabytki sztuki starożytnej i obrazy. Większą część tych zbiorów — dodaje — przywiózł sam ze swych podróży po Niemczech, Francyi, Włoszech i innych krajach.

„Tego samego dnia zaszczycił mnie wielki protektor uczonych ks. Adam Czartoryski wspaniałą ucztą, na którą zaprosił bardzo liczne i wyborowe towarzystwo. I tutaj dawał mi znów sam książę, hr. Mniszech i inni tak liczne dowody szacunku i przyjaźni, że tem właśnie mógłbym wskazać najtrafniejszy przykład polskiej uprzejmości i zamiłowania nauk, gdyby mnie nie wstrzymywała od tego obawa, że mnie posądzą o dziecinną próżność“.

Poznał tu Bernoulli pułkownika Oraczewskiego, autora kilku oryginalnych komedyj: *Le Chicaneur*, *Le Polonais étranger à Varsovie*, *Le Ferailleur*, *La victoire sous Orsza*, dalej szambelana Szymanowskiego, „który *Świątynię z Knidos* Monteskiego z wielkim gustem i bardzo dokładnie naśladował polskiemi wierszami“, Józefa Orłowskiego, „kapitana litewskiej gwardyi, rysownika, który dla zabawki naśladuje piórem niesłychanie dobrze piękne miedzioryty; z obcych znajdowali się tu jeszcze panowie Böckler, Jones, Pfleyderer, Dubois i Lhuillier; dwaj pierwsi są lekarzami, Böckler, Niemiec, jest pierwszym przybocznym lekarzem króla z rangą radcy dworu i odznacza się podobno w historyi naturalnej zwłaszcza botanice. Jones jest Anglikiem“. W salonach księcia, zwłaszcza w bibliotece, uderzyły go liczne rysunki Bouchera, „kilka znako-

mitych i do oryginałów podobnych rysunków piórem" Orłowskiego, zbiór srebrnych medali hedlingerowskich i t. d.

Na drugi dzień udał się z wizytą do ambasadora rossyjskiego hr. Stackelberga, któremu był polecony przez szambelana Domasznewa. „Przyjął mnie tak uprzejmie, nagadał mi tyle grzeczności, że musiałem się wstydzić przed sobą samym uprzedzenia do niego i obawy mej, że mnie może przyjmie z dumą. Pan ten jest wzrostu średniego, dość otyły, rysów twarzy bardzo pięknych, z których przebijają rozum i dobroć. Utrzymuje wpływ i robi honory potężnego swego dworu z wielką wystawą i ma liczną świtę przy sobie... Strzeżony przez rossyjską gwardyę pałac wielkiego ambasadora jest wielki i wspaniały; rzeczpospolita płaci za niego rocznego czynszu 2000 dukatów właścicielowi, bankierowi Tepperowi".

Na obiedzie był Bernoulli u „czcigodnego patryarchy szlachty polskiej", ks. wojewody ruskiego, Augusta Aleksandra Czartoryskiego, ojca ks. Adama, a wuja królewskiego. „Ci, którzy najwięcej narzekają na powszechne niemal zepsucie obyczajów, jakie się i do Polski wraz z wykwintnością wdarło, nazywają tego szanownego 81-letniego ale jeszcze rzeźwego starca ostatnim z Polaków, nibyto jak Brutusa pomiędzy Rzymianami. O nim wyjątkowo wszyscy ręczą, że nie ma żadnych długów, choć się otacza świetnym dworem i sam tylko ma stół otwarty. Jednem słowem, jeden jest tylko głos o jego prawości, zamiłowaniu porządku, dobroczynności i innych znakomitych przymiotach. Nie potrzeba też być długo przy nim, aby poznać w nim najzacniejszego, najdzielniejszego męża i zająć się nim aż do entuzyazmu. Książe ma nadto posiadać rozległe i gruntowne wiadomości nietylko w nadobnej literaturze, lecz i w ścisłych naukach, czego dowody sam widziałem. Mimo podeszłego swego wieku nie zatrzymał jednak tak samo, jak i potomkowie jego, polskiego stroju. Jest to niesłychanie uprzejmy i elegancki człowiek, mówiący kilku językami, najbieglej po francuzku. Za młodu zwiedzał liczne kraje i odbywał wielkie kampanie, pomiędzy innemi w weneckiej służbie przeciw Turkom, w Grecyi i przy oblężeniu Zante.

„Gości było dużo, od 30 do 40; pomiędzy innymi córka księcia, żona w. hetmana koronnego ks. Lubomirskiego, kasztelanowa hr. Potocka, generał Cocceji, znany włoski hr. Tomatys, ks. Benvenuti i t. d. Po obiedzie w parę osób pozostałem jeszcze więcej jak przez godzinę u księcia, a czas minął szybko wśród zajmującej rozmowy. Taka konwersacya powtarza się codziennie; potem zwykł

książe przepędzać parę godzin sam. Około godziny siódmej mogą się znowu stawić wszyscy raz na zawsze zaproszeni, mogą brać udział w towarzystwie, grać lub rozmawiać, odejść kiedy chcą i według upodobania zostać na kolacyi lub nie. Te przyjemne korzyści raczył książe i mnie ofiarować w najgrzeczniejszych wyrazach. Żałuję bardzo, że dla krótkości pobytu nie mogłem z nich tak często korzystać, jakbym był pragnął".

Wieczorem zabawiał się Bernoulli czytaniem „pięknego i zwięzłego tłumaczenia" Zernitza owego już wymienionego dzieła hr. Mniszcha o życiu „Kazimierza Wielkiego"; raz więc nazywa je życiem Kazimierza III, potem życiem Jana Kazimierza, a wreszcie dopiero trafnie Kazimierza W.

Nazajutrz odwiedzał Bernoulli Bacciarellego, który wtedy pracował nad obrazem sufitowym przedstawiającym Chaos; widział w mieszkaniu jego kilka udatnych małych obrazów pędzla żony jego „pięknej jeszcze, ugrzecznionej i zręcznej Drezdenki", która się kiedyś zwała Fryderyką Rychter. U niego poznał także nadwornego rzeźbiarza Monaldi. W tym samym domu co Bacciarelli, to jest naprzeciwko pałacu ks. wojewody ruskiego, mieszkał Carosi, kapitan z pułku hetmana litewskiego, autor cenionego dzieła: *Litographie de Mlozin*, jako i drugiego: *Beiträge zur Naturgeschichte der Niederlausitz*, kraju, z którego Carosi pochodził. Wrócił on właśnie z mineralogicznej podróży po południowo-zachodniej części Polski, podjętej na rozkaz i koszt króla, „odkrył zapomniane kopalnie i różne osobliwe produkta natury". Bernoulli oglądał jego zbiory, odnoszące się do mineralogii polskiej, z których część nie była jego własnością, lecz zawiązkiem królewskiego zbioru, który miał Carosi uporządkować. Autor podaje spis tych zbiorów, ułożony przez samego Carosiego.

„Generał Cocceji chciał raz jeszcze nastręczyć mi miłą sposobność swobodnej rozmowy z ks. Stanisławem, urządził więc w tym celu na dziś u siebie filozoficzny ale piękny obiad, gdzie się stawił i książe, a i ja miałem zaszczyt być zaproszonym. Prócz gości z przeszłego obiadu był tu także hr. Moszyński. Pan ten, o ile wiem, z wszystkich magnatów najwięcej zajmuje się ścisłemi naukami: matematyką, fizyką, astronomią i t. d." Bernoulli opowiada o nim, że po wyborze króla objął dostojeństwo, które król sam poprzednio piastował, lecz że je potem sprzedał, aby zapłacić długi. Autor wynosi jego niezrównaną uprzejmość i słodycz w obejściu.

„Niepodobna mi w tym małym opisie mojej podróży — pisze nasz turysta dalej — wykazać zasługi polskiej szlachty około nauk

w dawniejszych i nowszych czasach; niech mi więc wolno będzie przynajmniej wymienić tu mimochodem kilka polskich dam, które się w piśmiennictwie odznaczyły: Przytaczam tylko niektóre przykłady z ostatnich lat kilkudziesięciu, a już z tego można będzie wnieść aż nadto korzystnie o płci pięknej w Polsce, a zarazem także o męzkiej".

Wymienia więc Bernoulli następujące autorki, podając o każdej znane mu szczegóły: Elżbietę Drużbacką, Zofię Gałecką, córkę wojewody poznańskiego, zmarłą 1748 roku, Elżbietę Kowalską „bardzo sławną poetkę, której podobno mało który poeta polski dorówna", Maryę Leszczyńską jako autorkę wydanej w r. 1731 książki do nabożeństwa po francuzku i po polsku; hr. Moszyńską, z domu Potocką, która w r. 1754 we Lwowie wydała tłumaczenie dzieła: *Conseils de la sagesse par Mr. Fouquet*, Antoninę Niemiryczową, z domu Jełowicką, która w roku 1743 we Lwowie wydała po polsku duchowne pieśni, a w r. 1750 także we Lwowie polskie tłumaczenie wierszami romansu Prechaca *Le beau Polonais*, a wreszcie w r. 1754 tamże tłumaczenie prozą dzieła *Conseils à une amie par Mad. de P****, dalej Maryę Ogińską, która tłumaczyła romanse Magdaleny Scudery i *Reflexions sur les femmes* markizy de Lambert, Konstancyę Poniatowską z Czartoryskich, siostrę wojewody ruskiego a matkę króla, której Bernoulli nie zna wprawdzie jako autorki, lecz „która nim jeszcze ktokolwiek wpadł na myśl, że korona dostanie się do jej rodziny, słynęła jako jedna z najrozumniejszych i najuczeńszych pań w całej Polsce i którą tak podziwiano z powodu znakomitego wychowania, jakie synom swoim dawała, że się jej słusznie miejsce tu należy".

Dalej przywodzi autor Franciszkę Urszulę z Wiśniowieckich Radziwiłłowę, drugą Radziwiłłowę autorkę kilku dramatów, Anielę Zajeską, Aleksandrę Załuską, siostrę fundatorów biblioteki, żonę Wojciecha hr. Lanckorońskiego, kasztelana gostyńskiego; Ludwikę Załuską z Wierzbowskich, żonę Hieronima, kasztelana rawskiego, która pisała o „konfiturach", a wreszcie Teresę Załuską z Roztworowskich, „przez krótki czas żonę hr. Józefa Załuskiego, starosty rawskiego, z którym się rozwiodła. Jest to pewnie najosobliwsza ze wszystkich dotąd wymienionych autorek, bo się przed wszystkiemi innemi kobietami nawet innych krajów odznacza tem, że była oratorką. W dziele Danejkowicza *Suada Polonica* oddrukowano dwie bardzo żywe i energiczne mowy, które pani ta w ważnej sprawie wypowiedziała przed trybunałem koronnym w Piotrkowie. Umiała także biegle po łacinie i napisała w tym języku

zgrabną książeczkę: *O cnotach i błędach polskiej kobiety*, która atoli w druku nie wyszła. We francuzkim i włoskim języku bardzo była oczytana i przetłumaczyła z nich wiele dzieł na język polski, ale nic drukiem nie ogłosiła. Żyła jeszcze w r. 1755".

Resztę dnia tego poświęcił Bernoulli przedewszystkiem zwiedzeniu pałacyku ks. Ponińskiego, „jednego z najzgrabniejszych małych letnich pałaców z małym ogrodem. Miejscowość ta zwie się Fawory... Mały ten pałac nie każdemu się podoba, mnie zaś sprawił wielką przyjemność, bo urządzenia takiego jeszcze nie widziałem, a wydało mi się gustowne. Mało tu pokojów. Na dole, jeźli się nie mylę, niżej od powierzchni ziemi naokół domu, znajduje się wielka nibyto dzika grota, pomiędzy dwoma zgrabnemi pokojami, z których jeden ma łazienkę i ozdoby z kosztownych muszli i morskich roślin. Po nad grotą znajduje się okrągły salon, który za pomocą dobrych perspektywicznie malowanych krajobrazów i powycinanych drzew wyobraża gaj nader przyjemny. Widziałem w nim kilka pięknych marmurowych głów, parę urn i dwie grupy.

„Po nad jedną z dwóch małych dolnych komnat znajduje się sypialnia w kształcie tureckiego namiotu, po nad drugim także sypialnia, cała zwierciadłami wyłożona. Zwierciadła zaś są ozdobione i zabezpieczone zielonemi pokostowanemi kratkami i liśćmi. Z okrągłego lasku (na pierwszem piętrze), prowadzą schody trochę wyżej na blaszany dach domu, z którego przejrzeć można ogród i piękną okolicę. Naokoło otacza willę tę zgrabna kolumnada. Co do ogrodu zauważyłem tylko, że jest niewielki, ale co do gustu wcale niezwykły. Pogoda nie sprzyjała dłuższemu w nim pobytowi".

Wróciwszy z wycieczki tej do Warszawy, odwiedził żonę rossyjskiego rezydenta barona Asch, „uprzejmą i rozsądną polską panię". Męża jej nie było w Warszawie. Wieczorem przyjmował go wraz z rodziną Zernitzów pruski rezydent Blanchot, „wysoki człowiek z żywym przenikliwym rozumem, w obejściu bardzo zabawny i przyjemny... Pochodzi z Franche-Comté; w bitwie pod Rossbach wzięto go do niewoli, wstąpił potem do cywilnej pruskiej służby i przebywał przez siedm lat w Dreźnie jako sekretarz legacyi, a potem zluzował w Warszawie sławnego kawalera de Benoit. Mimo to że jest w sile wieku, cierpi na piersi i żyje prawie tylko mlekiem, chlebem i owocami. W końcu przeszłego roku (1779) podał się do dymisyi, aby wrócić do swojej ojczyzny. Następca jego, p. Axt, znajdował się także tego samego dnia u niego na wieczorze. Widziałem go później w Berlinie nim pojechał na

swoją poselską posadę... O mieszkaniu p. Blanchot da się tylko tyle powiedzieć, że należy do naszego króla, nazywa się pruskim pałacem i jest starem, niepokaźnem domostwem, które obok tysiąca innych przykładów dowodzi, że pan jego więcej dba o rzecz niż pozory".

Ranek dnia następnego poświęcił Bernoulli oglądaniu biblioteki Załuskich i odwiedzinom kanonika Janockiego, „małego słabowitego człowieka, który skarżył się zwłaszcza na ból oczu i na słabość wzroku i w czasie tym prawie nie opuszczał pokoju. Mimo to rozmowa z nim była ożywioną, bo gospodarz był przyjacielski i uprzejmy. Mówił po niemiecku, często także po łacinie ze względu na pomocnika swego, p. Koźmińskiego, nie władającego niemieckim językiem, który mi przy oglądaniu biblioteki towarzyszył. Mówi on także po francuzku.

„Pan Janocki pochodzi z Wyborga i zwał się właściwie Jänisch. Dzieło *Gelehrtes Deutschland* nie podaje jego wieku, choć sam go wskazał w niejednej przemowie do dzieł swoich; według nich urodził się w r. 1720. Jako sekretarz wstąpił 1745 roku do służby uczonego w. referendarza kor. Józefa Andrzeja Załuskiego. W r. 1747, kiedy bibliotekę przeznaczono na użytek publiczny, zwał się jej sekretarzem. W parę lat potem zmienił wyznanie religijne i został bibliotekarzem, a o tym samym czasie kanonikiem skalmierskim, do której kanonii dodano jeszcze podobne znaczniejsze miejsce w kapitule kijowskiej, a potem został jeszcze desygnowanym proboszczem babimostskim. O zmianie wyznania religijnego sam mówi w dziele *Lexicon jetztlebender Gelehrten in Polen* (II, 37): „Kiedy dawny jego (to jest hrabiego J. A. Załuskiego) sekretarz, teraźniejszy kanonik i bibliotekarz Janocki w ręce jego w kościele Kapucynów w Warszawie z publicznemi ceremoniami składał katolickie wyznanie wiary, wypowiedział hrabia przytem niemiecką mowę, w której wykazywał prawdziwość i konieczność komunii św. pod jedną postacią". Kiedy od roku 1767 do 1773 w. referendarz kor. Załuski siedział w więzieniu w Rossyi w Kazaniu, wziął pod swą opiekę Janockiego zmarły właśnie niedawno w. kanclerz kor. hr. Młodziejowski i dlatego też wynosi Janocki nowego mecenasa w swych *Speciminibus Sarmaticae Litteraturae* (Wrocław 1771). Błędów co do formy tak użytecznych i uczonych pism Janockiego nie wypada mi tu obszernie wytykać; może sam autor nie mógł zawsze ominąć hyperbolicznych i niepotrzebnych rzeczy.

„Bibliotekę Załuskich zebrał głównie wymieniony już uczony w. refer. kor., a jak już wynika z geografii Büschinga i innych

dzieł, jest to ogromny zbiór więcej jak 200.000, a teraz nawet 400.000 tomów, a zatem jedna z dwóch lub trzech największych książnic w Europie. Były wielki kanclerz i biskup krakowski, hr. Andrzej Stanisław Kostka Załuski, brat hr. Józefa Andrzeja, także wiele się do tego przyczynił, a mianowicie darował daniłowiczowski letni pałac na pomieszczenie książek, i przekazał znaczny na swych dziedzicznych dobrach zabezpieczony fundusz na utrzymanie i powiększenie biblioteki. Wzrosła ona tak znacznie przez częste łączenie się z prywatnemi bibliotekami, jak n. p. Sobieskich, Gottscheda, Lotaryngską, Załuskich, którą wielki referendarz kor. podczas pobytu swego w Lotaryngii zebrał, z podręcznemi bibiotekami obu hrabiów i t. d. Ażeby podać dokładną i pewną historyę tej osobliwej biblioteki, trzebaby mieć wszystko pod ręką, co o niej pisano, a ja tem poszczycić się nie mogę. I toby zresztą nie wystarczyło zapewne. Chciałbym jednak wskazać tych co o niej pisali".

W nocie przytacza tutaj Bernoulli najprzód ustęp z Gadebuscha *Liefländische Bibliothek*, wyjęty z artykułu o J. A. Załuskim. Brzmi on tak: „Krótko przed śmiercią swą pisał biskup do króla i popierał propozycye niektórych radców stanu, aby dóbr pojezuickich użyto na założenie i utrzymanie akademii pod opieką króla. W tej akademii mianoby uczyć wszystkich pożytecznych i koniecznych nauk, jako i polskiego języka, historyi i archeologii. Zarazem ofiarował na wieczne czasy akademii tej swą bibliotekę, którą przeznaczał Jezuitom do publicznego i powszechnego użytku. Tak więc zajmował się Załuski jeszcze w sędziwym wieku naukami. Królowi tak gorliwemu w popieraniu nauk i pragnącemu prześcignąć pod tym względem Zygmunta Augusta i Stefana, bardzo był przyjemny ten projekt, zaręczał też prałatowi, że użyje wszystkich środków, aby przeprowadzić tak zbawienną dla całej ojczyzny fundacyę. W tym samym czasie mianowano dwóch Jezuitów Romińskiego i Peterscha podbibliotekarzami. Lecz przekonano się, że stanowisku temu nie podołają. Dobry kaznodzieja nie zawsze jest dobrym bibliotekarzem. Po śmierci biskupa rościli sobie spadkobiercy pretensye do biblioteki. Naczelny bibliotekarz chorował. Publiczność pragnęła, żeby się król za nią ujął, broniąc jej od grożącej zagłady. Tak się też stało. Pan Panoki (!) ślubował królowi i Rzeczypospolitej niezłamaną wierność i dostał złoty medal, *Merentibus*. Rzeczpospolita kazała dla większego bezpieczeństwa obsadzić bibliotekę strażą, opieczętować ją i zażądać kluczy. Teraz pieczęcie zdjęto a klucze zwrócono. Składała się wtedy z 400.000

tomów, a ciężył na niej dług 400.000 złotych polskich. Król ogłosił się jej opiekunem i poruczył jej zarząd prócz narodowej edukacyjnej komissyi hr. Ignacemu Potockiemu, w. pisarzowi litewskiemu. Pan ten liczył wtedy zaledwie lat 22, ale piastował już chwalebnie różne ważne dostojeństwa. Spodziewano się więc po nim dużo korzyści dla tej biblioteki.

„Spadkobiercy Załuskich przekonali się, że nie dojdą do posiadania biblioteki, prosili więc o wynagrodzenie, przyczem oznaczyli liczbę książek na 200.000 tomów a wartość jej na 3 miliony zł. polskich. Jeszcze w r. 1774 zamierzano pod kierownictwem hr. Potockiego ozdobić i powiększyć gmach obejmujący te książkowe skarby. W wielkiej sali tego gmachu zbiera się komissya edukacyjna, mająca dozór nad tą biblioteką. Kiedy w r. 1776 rozpisano sejm, cieszono się nadzieją, że sejm przeprowadzi wiele dobrego na korzyść biblioteki. Mówiono, że król chce przeprowadzić, aby pewne roczne dochody na cel ten przeznaczano. Jeszcze sejm się nie skończył, nie można zatem dotąd powiedzieć, czy wyższy nad wszelkie pochwały „opiekuńczy Bóg" muz polskich znalazł u stanów uległość, jakiej sobie życzyć wypada. Domyślają się także, że król jest skłonny do przyznania spadkobiercom Załuskich wynagrodzenia za zrzeczenie się biblioteki".

Przytoczywszy ciekawy ten ustęp z Gadebuscha, przechodzi Bernoulli do wymienienia autorów, którzy o bibliotece Załuskich pisali. „Już w r. 1743 — powiada — nim biblioteka była ustawioną w przeznaczonym dla niej domu, pisał ówczesny bibliotekarz Florenty Potkański list o tem do nadwornego kaznodzieji Perard'a w Szczecinie. Otwarty ten list znaleźć można w *Nouvelle Bibliothèque Germanique* I, 173—181; zawiera on mało objaśnień i zajmuje się więcej dziełami właściciela i zamierzonym uniwersalnym katalogiem biblioteki. Parę szczegółów znaleźć można także w tomie III, 203 wymienionego dzieła, gdzie donoszą, że otwarcie biblioteki mogło nie mogło się odbyć 11 listopada 1746 r. i że je odroczono na 3 sierpnia 1747 r. Zarazem piszą, że odtąd biblioteka dla publiczności będzie otwartą w każdy poniedziałek, środę i piątek rano i wieczorem.

„Kiedy ją otwarto, wyznaczyli hrabiowie kilka premii dla tych, co wierszem lub prozą napiszą najlepszy utwór na pochwałę publicznych bibliotek, to znaczy, jak łatwo domyślić się można, kto ich samych i nową bibliotekę najbardziej będzie chwalił. Nadesłano do 80 rozpraw, uwieńczono z każdego rodzaju dwie. Pewien doktor teologii, Radliński, sam jeden napisał 200 poematów

wyraźnie na pochwałę biblioteki Załuskich i wydał to w przepysznej wielkiej czwartce w Krakowie 1748 r.

„Rafał Hempel, wymowny i w polskiej historyi biegły Jezuita wygłosił publicznie już w r. 1747 pochwalną mowę na bibliotekę Załuskich, kiedy rozpoczął prelekcye o retoryce w szlacheckiem jezuickiem kolegium w Warszawie. Nie wydrukowano jej osobno, podobno się jednak znajduje w zbiorze podobnych okolicznościowych mów, o którym jednak nie wiem czy go wydano. *Elogium in Bibliothecam Zaluscianam*, jest to dzieło mińskiego wojewody Jana Augusta Hylzena w niewiązanej mowie, wspaniale oddrukowane na bardzo wielkim arkuszu *in folio* i pomiędzy najznakomitszych polskich panów na sejmie roku 1754 rozdane. Rzadkość tę przypadkowo sam dostałem, służy mi ona bardzo dobrze do zawijania innych papierów, zresztą na nic więcej się nie zda. Przytoczyć wypada także wymienionej już Elżbiety Kowalskiej *Encomium Bibliothecae Zaluscianae* wierszami polskiemi...

„Najpożyteczniejszem atoli, co się da napisać o bibliotece i korzystniejszem niż systematyczna jej historya, są dobre i o ile możności umotywowane spisy. Pod tym względem już rzeczywiście dużo zdziałano dla biblioteki Załuskich. Uniwersalnego katalogu, sporządzonego przez samego pilnego fundatora hr. Józefa Andrzeja, o ile wiem, nie wydrukowano; że jednak istnieje, wiemy już z pism Janockiego; warto więc umieścić tutaj w przekładzie tymczasową wiadomość o nim, podaną przez O. Potkańskiego.

„Hrabia — pisze bibliotekarz jego — jest zajęty przepisywaniem ogólnego katalogu tych bogatych zbiorów, który do druku przeznacza. Będzie on się składał z pięciu tomów w małem *folio*. Pierwszy zawierać będzie rękopisy i narodowych pisarzy, a mianowicie polskich, pruskich, litewskich, szląskich, pomorskich, inflanckich i kurlandzkich, bez różnicy języka. Drugi i trzeci zawierać będą łacińskich, greckich, francuskich i włoskich autorów. Czwarty niemieckich, piąty i ostatni angielskich, hiszpańskich, niederlandzkich, czeskich i wszystkie w innych językach ułożone obce książki — wszystko według abecadłowego porządku; każdy artykuł tak polskich, jak w innym języku pisanych książek, podany będzie w języku łacińskim. Do ostatniego tomu ma być dodany zupełny rejestr pisarzy według materyi. Pierwszy tom, który niebawem pójdzie pod prasę — (co jednak dotąd nie nastąpiło) — będzie ze wszystkich najciekawszym, albowiem oprócz tysiąca rękopisów, napisanych przeważnie przez Polaków, znajdzie

się w nim jedyny może w swoim rodzaju zbiór około 18.000 tak małych jak wielkich dzieł, należących do naszego narodu, z których większa część jest nadzwyczaj rzadką, nawet w Polsce, zbiór, który hrabiego już 10 lat bez przerwy i bez oszczędzania mozołu i kosztów zatrudniał. W tym rodzaju jeszcze nic podobnego nie ogłoszono. Szymona Starowolskiego dzieło: *Hecatontas*, zawiera tylko 100 polskich pisarzy, a Dawid Braun podaje tylko 282 artykułów".

Przytoczywszy ten ustęp, pisze Bernoulli dalej: „Wspomniany przez O. Potkańskiego zbiór mógł, jak łatwo pojąć, po roku 1743 jeszcze znacznie się powiększyć. O tym zbiorze zaczął Janocki już w r. 1747 ogłaszać bardzo ciekawe wiadomości dla uczonych, nie tylko zapoznając ich z dziełami, które jak się wszędzie wyraża, są *unendlich rar*, *ganz erstaunend selten* i t. d., lecz przytaczając także dobre objaśnienia o życiu autorów i w ogóle dając dowody wielkiej i przyjemnej erudycyi. Pierwsza część wyszła pod tytułem: *Nachricht von denen in der hochgräfl. Zaluskischen Bibliothek sich befindenden raren polnischen Büchern.* Książka ta zawiera bardzo obszerny rejestr i portret w. kancl. hr. Załuskiego. Druga część pod tym samym tytułem i tej samej objętości pojawiła się w r. 1774 nakładem Korna w Wrocławiu, i ona ma rejestr a na czele portret w. referendarza kor. Trzecia, czwarta i piąta część wyszła w r. 1753 w tym samym nakładzie, wszystkie trzy z bieżącą paginacyą i wspólnym rejestrem na 18 arkuszach. W każdem takiem wydaniu opisuje autor 50 dzieł; że ostatnie z trzech części złożone zawiera także tę samą liczbę dzieł, co poprzednie, pochodzi po części ztąd, że Janocki przy sposobności wciągnął tu tak zwane inkunabuły polskiej typografii. Zataić jednak nie można, że zwłaszcza z tych dawnych druków okradano bibliotekę często i bardzo. Janocki sam skarży się pokilkakrotnie na to. Że zresztą uczony jeszcze żyjący ex-jezuita Bohomolec zaczął wydawać na nowo najrzadsze, do polskich dziejów odnoszące się książki biblioteki Załuskich, o tem wspomniałem już mówiąc o Siemiatyczach; działo się to bowiem na koszt księżny — wojewodziny Jabłonowskiej. Wiadomo pewnie także, że znany zarówno z dziwactw jak nauki polski radca dworu i przyboczny lekarz Mitzler von Kolof zaryzykował we własnej drukarni podobne przedsiębiorstwo, które atoli nie daleko doprowadził.

„Najrzadszych pomiędzy zagranicznemi książkami biblioteki Załuskich miano także wydać opis krytyczny i może go też rzeczywiście wydrukowano, wiem jednak tylko tyle, że duchowny,

Włoch w Warszawie zamieszkały (Albertrandy), około r. 1764 nad nim pracował. Z rękopisów biblioteki kazał już Janocki sam drukować niektóre rzeczy, niemniej wydał kosztem ks. biskupa krakowskiego Załuskiego swoje *Specimen manuscriptorum Bibliothecae Zaluscianae*".

Wymienia jeszcze Bernoulli drugie dzieło Janockiego *Musarum Sarmaticarum Specimina etc.*, i bardzo rzadkie już wówczas Załuskiego *Programm litterar. ad Bibliophilos, Typothetas et Bibliopegos etc.*, przetłómaczone z języka polskiego na łaciński przez toruńskiego profesora Schultza i wydane w r. 1743 w Gdańsku u Kocha; a nareszcie zapowiedziane ale niewydane „bardzo ważne" dzieło *Mantissa Biblioth. Polono-litteraria sive Elenchus universalis.*

„Po tych wiadomościach — mówi Bernoulli — pozostaje mi tylko powiedzieć nieco o tem, co sam widziałem w Daniłowiczowskim pałacu. Jest to w ogóle wielki labirynt pokojów, napełnionych książkami. Można zupełnie wierzyć, że liczba tomów dochodzi do 200.000. Najznakomitsza sala a zarazem jedyna, która jest i ozdobna i przepyszna, zawiera francuskie i także inne dzieła odznaczające się miedziorytami lub zewnętrzną pięknością. Sala ta, długa, wysoka i piękna, jest ozdobiona także licznemi statuami, które godni bracia Załuscy kazali ustawić na cześć najznakomitszych i najszlachetniejszych mężów swego kraju. Obok znajduje się sypialnia ś. p. w. referendarza kor. i jeszcze drugi pokój, w którym książki leżą stosami.

„Łacińskie książki na trzeciem piętrze zajmują także bardzo wielką salę, której wszystkie ściany zastawione są półkami; obok znowu kilka dobrze zapełnionych pokojów. Jeszcze wyżej pod dachem znajduje się kilka izb, w których stoją dublety, wątpię jednak, czy obejmują one także polskie książki w kilku egzemplarzach znajdujące się w bibliotece, choć często z tych „*unendlich raren Werken*" fundatorzy sprawiali po 5, 6 a nawet 7 egzemplarzy, jak to z wielu miejsc pism Janockiego widzimy.

„Wszystko to już oglądałem, kiedy mnie zaprowadzono do kanonika Janockiego. Naczelny ten przełożony biblioteki oddał potem pomocnikowi klucze, aby mi pokazał *arcana* tego zbioru, mianowicie owe *rare polnische Bücher* i rękopisy, które to dwa kosztowne zbiory zajmują kilka sklepionych pokojów na najniższem piętrze. Czytelnicy wybaczą mi pewnie, że mnie pierwszy zbiór niewiele zajmował, za to nęcił mnie o wiele więcej drugi.

„Pokazywano mi parę pięknych rękopisów Longina i Makrobiusza i bardzo stary egzemplarz metamorfoz i listów Owidiusza, potem kilka bardzo pięknych i osobliwych ksiąg kościelnych, n. p. stary wielki i nadzwyczajnie pięknie około r. 1500 na pergaminie pisany i malowany kodeks *in folio* pod tytułem *Pontificalis ordinis liber etc.* Obrazów tu mnóstwo i niezwykle pięknych, przedewszystkiem obrazy koronacyi Aleksandra króla polskiego, wręczenia paliusza arcybiskupowi gnieźnieńskiemu; ukrzyżowania Chrystusa; wnętrza katedry krakowskiej z królem, biskupami i innymi prałatami w pontyfikalnych strojach; panów rady i urzędników koronnych w uroczystych sukniach; pospólstwa męzkiej i żeńskiej płci w strojach wtedy używanych. Ostatni ten obraz, zasługiwałby z niektóremi innemi jako osobliwy pomnik ówczesnej polskiej architektury i ubiorów, aby go zręczna ręka przemalowała i żeby go wydano w miedziorytach. Dalej widziałem mszał z IX wieku, pochodzący z burgundzkiej biblioteki, drugi mszał pergaminowy bardzo piękny, dużemi, po większej części złotemi literami pisany i więcej jak tysiącem miniatur ozdobiony, bardzo wspaniałe *decretalia* Grzegorza IX papieża, stary paryski kalendarz poczęści złotemi literami i t. p.

„Co do rękopisów obchodzących Polskę przywiązywano wielkie znaczenie do wielkiego zbioru aktów Rzeczypospolitej w 27 tomach, z których 12 nie były oryginałami, lecz kopią odpisaną z krakowskiej biblioteki".

Tego samego dnia, w którym Bernoulli zwiedzał bibliotekę Załuskich, miał być także na obiedzie u króla, uwiadomiono go jednak rano, że obiad nie może się odbyć, bo król z powodu bliskiego otwarcia sejmu musi być na nadzwyczajnem posiedzeniu rady, która prawdopodobnie potrwa bardzo długo. „I rzeczywiście — powiada autor — trwało zgromadzenie to aż do 6 godziny, a król sam, jak się w takich wypadkach często dzieje, musiał poprzestać na kilku potrawach, które spożył za tronem swoim".

Był to dzień koronacyi Katarzyny II, Bernoulli poszedł tedy do rossyjskiego ambasadora, gdzie zastał bardzo liczne grono osób, lecz niebawem opuścił towarzystwo, nie zostawszy na obiedzie. Chciał bowiem pójść na zgromadzenie warszawskiego towarzystwa naukowego, które pierwszy raz po wakacyach letnich właśnie dnia tego się odbywało.

„Towarzystwo to zawdzięcza początek swój przeważnie p. Dubois, a zaczęło się zawiązywać przy końcu r. 1777. Zwie się

ono towarzystwem fizycznem [1]). Głównym jego celem jest postęp fizycznych nauk w ogóle a zwłaszcza w Polsce. Co do stopnia członkowie wszyscy są sobie równi; prezydenta nie mają ani też krajowych honorowych członków. Zagranicznych, jak sądzę, także jeszcze nie mianowali. Czekają, aż Rzeczpospolita uzna towarzystwo za publiczne i uprawnione, co się dotąd jeszcze nie stało. Może się nawet zupełnie rozwiąże, jeżeli p. Dubois nie wróci, bo już za jego bytności nie zdawało się stać na zbyt silnych nogach. Podobny los spotkał już kilka dawniejszych towarzystw w Warszawie. Już w r. 1698 zawiązało się takie ciało, ale się wkrótce rozproszyło [2]). Hr. Załuski . założył był akademię dla czci Matki Boskiej, która się zwała *Academia Mariana* i zbierała się w uroczystości Najśw. Panny. Pierwsze posiedzenie odbyło się 7 grudnia 1753 r. O pożyteczniejszym zamiarze hrabiego założenia akademii już dawniej mówiłem. Przed 10 czy 12 laty powstało uczone towarzystwo, które kilka drukowanych arkuszy wysłało w świat jako próbkę swej czynności. Więcej nic o niem nie wiem, to pewna, że nie istnieje i więcej nic nie wydało.

„W nowem towarzystwie prowadził p. Dubois pióro jako stały sekretarz. Składało się ono według porządku przyjęcia z następujących członków. Najprzód zebrali się hr. Moszyński, były stolnik koronny, generalny dyrektor król. gabinetów i zbiorów, pierwszy asesor komisyi menniczej i t. d., kapitan Jan Filip de Carossi, dozorca król. przyrodniczego gabinetu, członek przyrodniczego towarzystwa berlińskiego, radca dworu Jan Chrzciciel Dubois, profesor i bibliotekarz szlacheckiego korpusu kadetów, członek różnych uczonych towarzystw.

„Potem w czterech seryach przystąpili radca dworu Jan Boeckler, pierwszy przyboczny medyk króla, radca dworu Pfleiderer, doktor filozofii, prof. matematyki i dyrektor studyów w korpusie kadetów, de Nax, hydrotekta Rzeczypospolitej, Okraszewski, chemik; — hr. Ignacy Potocki, ks. Grzegorz Piramo-

---

[1]) Prócz tej tutaj przez Bernoullego podanej wiadomości nic zresztą o tem towarzystwie fizycznem nie wiemy. Nawet Dubois w swojem *Essay* o niem nie pisze. Porównaj dr. J. Majer, Historyczny przegląd towarzystw naukowych w Polsce str. 56 i 57.

[2]) I o tem towarzystwie nic więcej nie wiemy. Co do innych tu wymienionych towarzystw porównaj dr. J. Majer, Histor. przegl. tow. nauk. w Polsce, ogłoszony w publikacyi krakowskiej akademii: Dwa pierwsze publiczne posiedzenia akademii umiejętności w Krakowie (Kraków 1873 in quarto).

wicz; — ks. Adam Czartoryski, generał ziem podolskich, hr. Michał Mniszech, pisarz litewski; — ks. Stanisław Poniatowski.

Wspominając tutaj o ks. Stanisławie, przytacza Bernoulli ustęp z listu z Warszawy, który za powrotem do Berlina odebrał. „W Polsce i Litwie — mówi list — na seryo się teraz biorą do usamowolnienia chłopów. Hr. Zamoyski, były w. kanclerz kor., autor nowej księgi praw, uwolnił już przed kilku laty poddanych swych w Polsce za opłatą dziedzicznego czynszu. To samo uczynił na Litwie w. referendarz Paweł Brzostowski, a za tymi dwoma przyjaciółmi ludzkości poszedł na Mazowszu synowiec królewski ks. Stanisław Poniatowski. Przyjął on też w Nowymdworze nad Wisłą, 5 mil od Warszawy, całą dyssydencką kolonię i nadał jej swobodę budowania kościołów i szkół. Postępowanie jego ku ogólnemu zdziwieniu jest tak moralnie czyste, że służy za przykład wszystkim młodym panom“.

Wracając do uczonego towarzystwa, mówi Bernoulli: „Widzimy ztąd, że mniej więcej połowa członków składa się z kilku najarystokratyczniejszych panów, i dla tego właściwie nie odbywają się latem posiedzenia, bo panowie wyjeżdżają do swych dóbr. I w zimie nie śmiał p. Dubois na początek zwoływać ich częściej jak raz na miesiąc, dopóki liczba członków nie wzrośnie. Mimo tej ostrożności jednak i w tym dniu mało kto przyszedł. Większa część wielkich panów nie mogła przyjść dla spraw publicznych, inni dla przeszkód prywatnych lub wygody.

„Posiedzenie odbywało się w mieszkaniu hr. Ignacego Potockiego i zaczęło się około godziny czwartej. Najprzód odczytał p. Dubois krótki rys dotychczasowego rozwoju towarzystwa, jego statuta i kilka uczonych propozycyi do jego wydoskonalenia. Potem odczytał opis metalowego z hygrometrem połączonego termometru, skarżył się na niezręczność robotników, zapowiedział nowy anemometr swego wynalazku, i pokazywał piękne projekcye różnych zaćmień wraz z rezultatami spostrzeżeń, uskutecznionych w król. obserwatoryum astronomicznem.

„Pan Carossi złożył krótkie sprawozdanie z podróży do Krakowa świeżo odbytej. Z tej krótkiej wiadomości o jednem posiedzeniu widzimy już, że godnym tym i uczonym patryotom nie zbywało na materyałach do założenia już teraz pożytecznego organu jako zbioru swych rozpraw. Myśleli już o tem; aby zaś zbiorowi temu nadać jeszcze większą wartość, starali się o udział także zagranicznych uczonych. Że starania te nie były płonne.

świadczy rozprawa, którą im nadesłał sławny berliński naturalista p. Achard".

Po posiedzeniu oglądał nasz turysta bibliotekę i zbiory, mianowicie rycin Ignacego Potockiego. Pomiędzy obrazami uderzył go jeden wielki i znakomity obraz *Śmierć Hannibala* przez Smuglewicza. „Tem milej mi było słyszeć, że malował go młody polski artysta, bawiący wówczas w Rzymie. Wnosząc z tego obrazu, zrobi on sobie wielkie imię. Widać w nim rysunek na większą skalę i wysoko pojęty a mało by w nim zganić się dało".

„Hr. Ignacy Potocki jest z urodzenia i uzdolnienia jednym z najszlachetniejszych polskich magnatów. Posiada rzadkie zdolności, niesłychane zamiłowanie do nauk a w młodym wieku, liczy bowiem ledwie dwadzieścia i kilka lat, okazuje już dużo wiedzy, wielką roztropność, doświadczenie w sprawach państwa i bardzo poważne postępowanie. W obejściu jest trochę zimniejszy i więcej zamknięty od niektórych innych wielkich panów, lecz grzeczność jego jest niemniej szczera i ujmująca".

Dnia 4 października zwiedziwszy przed południem z p. Dubois Wilanów, którego opis nie zawiera nic ciekawego, powrócił Bernoulli do miasta i poszedł na obiad do państwa Zernitz, gdzie spotkał hr. Augusta Moszyńskiego, Kortuma, Lhuilliera i Carossiego. Pani Zernitz grała na fortepianie „najprzód sonatę Bacha z wielką biegłością, potem kilka własnych kompozycyi, zwłaszcza *Adagio* i to z takim smakiem i sztuką, że przyznać muszę, że wielbiciele niezwykłego talentu tej pani nie grzeszą wcale przesadą".

Po obiedzie oprowadzał go hr. Moszyński po artystycznych zbiorach króla, zostających pod jego dozorem w dwóch pokojach obok mieszkania hrabiego a nad królewskiemi komnatami. Opisując ten zbiór, wymienia trzy szafy z miedziorytami, szafę z samemi portretami, inną z rękopisami, obejmującemi przeważnie rzeczy polskie, dalej zbiory antyków, gemm i kamei, wyrobów z kości słoniowej, modeli maszyn, wykonanych przez Neugebauera mechanika warszawskiego, wreszcie szafę z instrumentami fizycznemi. Pomiędzy nimi znajdował się także wynaleziony przez hrabiego a przez Neugebauera wykonany anemometr, który Bernoulli dokładnie opisuje.

Potem zaprowadził hr. Moszyński gościa swego do urządzonego o parę piętr wyżej małego obserwatoryum, które przed kilku laty wybudowano. I tutaj dokładnie wylicza Bernoulli wszystkie astronomiczne instrumenta i opisuje całe urządzenie. Ow-

czesnego astronoma królewskiego Bystrzyckiego nie zastał w obserwatoryum.

Następnie udał się nasz podróżnik do p. Ollier, „godnego człowieka, który tutaj posiada jeden z najlepszych domów handlowych“. Tu oglądał rytowane plany kopalń wielickich. „Plany te są bardzo wielkie, zaczęto je za Augusta. Jest to dzieło niesłychanie rzadkie, choć odbito je w 450 egzemplarzach. Król bowiem zabrał wszystkie i bardzo małą tylko liczbę rozdarował“.

Tego samego dnia, o 8 godzinie wieczór, udał się Bernoulli do hr. Stackelberga na koncert i kolacyę. „Towarzystwo było bardzo świetne: księżna Lubomirska, w. hetman Branicki, rossyjscy generałowie Romanus, stojący w Warszawie, i Kamenski, ks. A. Czartoryski, hr. Mniszech, wojewoda poznański ks. Jabłonowski... i t. d. Mimo arystokratyczności tego towarzystwa, mógł bym się niemal poszczycić, że koncert ten odbył się dla mnie. Kiedy mię bowiem hrabia zapytać raczył, czem by mi mógł służyć w Warszawie, prosiłem śmiało, żeby mi pozwolił słyszeć Lolly'ego, na co Jego Exc. niezwłocznie obiecał, urządzić dla mnie mały koncert. Jak wiadomo, jest Lolly jednym z trzech najtęższych i najsławniejszych skrzypków w Europie. Zostaje on w służbie rossyjskiej i znajdował się tylko na urlopie w Warszawie, ale nigdy albo bardzo rzadko nie występował u kogo innego jak u ambasadorów“. Bernoulli opisuje potem dokładnie zalety gry jego na stackelbergowskim koncercie.

Następnego dnia miało się odbyć otwarcie sejmu, obchód dla Bernoullego bardzo ciekawy. Około godziny 11tej przed południem zaprowadził go oficer korpusu kadetów do królewskiego zamku. „Przyszliśmy — opowiada — w sam czas, kiedy niebawem potem udano się po króla do pokojów jego, aby pójść różnemi korytarzami zamku do głównego kościoła, gdzie wśród ciągłej, nie złej muzyki odprawiano wielkie nabożeństwo, po czem nastąpiło kazanie. O pół do pierwszej udaliśmy się do sali poselskiej, gdzie miano wybierać marszałka. Sala jest ozdobiona architektonicznemi malaturami *al fresco*. Na około u góry ciągnie się galerya z ławkami dla widzów; naśladowane drzewa palmowe podpierają ją, a malowane herby województw służą jej za ozdobę. Po nad wchodem rozszerza się galerya, tak że kilka ławek stoi tu jedna za drugą; po nad tą częścią wznosi się jeszcze drugi balkon, ale bez ławek. Znajdowałem się tu w nielicznem towarzystwie obok hr. Stackelberga, który za szeroką deską, stanowiącą od frontu ku sali ornamentykę balkonu, *incognito* siedział.

„Ławki sali są drewniane, szaro pomalowane, nie obite. Dość długo czekaliśmy, nim coś zaczęto, posłowie bowiem schodzili się bardzo powoli. Każdy z nich miał na sobie uniform swego województwa, a posłowie jednej ziemi razem się trzymać zwykli; używają jednak według upodobania także polskiego lub francuskiego stroju. Pomiędzy grupy posłów mięszają się też inni szlachcice z kraju, ale tylko jako widzowie. Wreszcie zjawił się p. Mokronowski, marszałek przeszłego sejmu. Najprzód zaczął rewizyę posłów i ustawił ich w lepszym porządku. Trwało to prawie godzinę; kiedy potem zajął miejsce swe na taborecie na czele sali, aby wygłosić mowę, i wziął do rąk długą laskę z lichego białego drzewa, stukając nią trzy razy o podłogę i nakazując milczenie, wystąpił jeden z posłów wołyńskich, generał-adjutant Krzucki, twierdząc, że laska marszałkowska według konstytucyi nie należy się ustępującemu marszałkowi, bo ostatni sejm był skonfederowany, i że w ogóle powinien był zabrać głos marszałek ostatniego bez konfederacyi odprawionego sejmu, albo skoro ten umarł — bo już od dawna nie odbył się żaden sejm bez konfederacyi — pierwszy poseł. Na to wzniósł się ze wszystkich stron hałas przeraźliwy i śmieszny *(Geschnatter)*. Jak mi mówiono, posłowie stali po stronie marszałka, który cierpliwością zarówno jak męzką, wielce szlachetną fizyognomią i taktem wielce mnie ujmował.

„Kiedy już Krzucki po kilka razy przeszedł *à la charge*, minęła burza, a marszałek wygłosił mowę. Skoro jednak skończył, zaraz Krzucki zaczął na nowo i hałas *da capo* się powtórzył. Jednocześnie oznajmiono wszystkim, którzy do zgromadzenia nie należeli, aby się wynosili, albowiem miał się zacząć wybór marszałka, przy czem nie chciano mieć obcych. Zgodziliśmy się wszyscy chętnie na to wydalenie, bo już było pół do trzeciej i każdy czuł apetyt. Co do mnie jadłem obiad w dobrem towarzystwie znakomitych cudzoziemców u duńskiego posła, p. de Bertusch, i poznałem tam między innymi szambelana i dyrektora mennicy hr. Unruga“.

Tego samego dnia wieczorem odbył się pogrzeb kurlandskiego posła barona Derszau, który jadąc na sejm do Warszawy, zmarł na ostatniej stacyi na apopleksyę. Kortum zajmował się jego pogrzebem. Dla silnego bolu zębów nie brał Bernoulli udziału w tym pogrzebowym obchodzie.

Na pierwszem posiedzeniu sejmu wybrano marszałkiem Tyszkiewicza, już więc następnego dnia mógł się stan rycerski

złączyć z senatem i królem. „Aby przypatrzeć się tej ceremonii — powiada Bernoulli — udałem się po kilku wizytach o 11 godzinie do dworu w towarzystwie p. Grölla, znakomitego towarzysza przy takich okazyach, bo go bardzo lubią i dobrze znają. Ciekawemu cudzoziemcowi umie on nazwać po imieniu każdego pana. Wśród wielkiej ciżby staliśmy przez krótki czas w sali przed królewskiemi pokojami. Potem udaliśmy się do sali senatorów, gdzie się odbyć miała ceremonia. Wpuszczono nas niebawem, choć wielu osobom nie pozwalają wnijść prędzej, aż nadejdzie wiadomość, że się już król zbliża. Mieliśmy więc miejsce bardzo dobre.

„Sala senatorska opiera się na korynckich kolumnach i ma cztery szeregi ławek czerwonem suknem obitych, amfiteatralnie ustawionych. Przed pierwszym szeregiem znajduje się jeszcze po obu stronach 60 karmazynowym aksamitem obitych krzeseł senatorskich. Na końcu sali stoi tron królewski, także karmazynowym aksamitem obity z złotemi galonami; jest to wielkie poręczowe krzesło na wywyższeniu i pod baldachimem. Dwa pierwsze szeregi ławek przeznaczone są dla posłów czyli rycerstwa, dwa ostatnie dla znakomitszych widzów; prócz tego znajduje się jeszcze po obu długich bokach sali galerya dla widzów mężczyzn. Panie muszą się mieścić jeszcze wyżej w pokojach naprzeciw tronu, i patrzą z okien do sali na dół. Miejsca te tylko bardzo małą liczbę dam objąć mogą.

„Król, nie wiem dla jakich państwowych spraw, nie zjawił się prędzej jak po pierwszej godzinie, jednak czas ten wcale mi się długim nie wydał, albowiem co chwila zjawiali się senatorowie i inni magnaci, wreszcie przyszedł król z wielką świtą, zasiadł na tronie, spojrzał przez lornetę ku paniom i powitał je ukłonem. Wielki kanclerz stanął tuż obok niego, po obu stronach inni ministrowie, z pomiędzy których dwaj uderzali zawsze długiemi laskami o podłogę, ile razy miało się coś zacząć. Senatorowie także miejsca swe zajęli i to ks. prymas najbliżej tronu po prawej stronie, na krześle nieco bogatszem, po nim pięciu czy sześciu biskupów. Z reszty senatorów, około sześćdziesięciu, mniej więcej 25 było jeszcze po polsku ubranych. Senatorowie praw wszyscy mają order Orła Białego albo św. Stanisława lub obydw a często jeszcze inne ordery, z czego wnosić można, jak świetn zgromadzenie wygląda. Najzabawniejszem było patrzeć na bisk pów. Większa ich część są to eleganccy, modni i zalotni młodz ludzie z najwyższej arystokracyi, którzy zdają się rywalizowa pomiędzy sobą wykwintnością i kosztownością fioletów, obszytyc

najprzedniejszemi koronkami, i przesadzają się w fryzurach, najrozmaitszym sposobem strzyżonych.

„Wkrótce weszli drugim wchodem sali deputowani, aby uprzedzić nadejście posłów. Dotąd bowiem posłowie jeszcze zasiadali na innem miejscu, tylko mała garstka z nich, piastująca inne dostojeństwa, znajdowała się już w sali, n. p. hr. Michał Mniszech stał tuż przy króla i wielkim kanclerzu. Deputowani ci stanęli, a król, jak się zdawało, nie mógł ich nawet rozpoznać bez lornety. Młody książe Sapieha przemówił bardzo przyzwoicie w ich imieniu, odczytując mowę o trzech lub czterech stronach *in folio*. Odpowiedział na nią w. kanclerz wprawdzie nie czytając, ale zaglądając po kilka razy do papieru. Po tej odpowiedzi zbliżyli się deputowani do tronu i ucałowali rękę królewską, poczem wrócili tą samą drogą i zanieśli zapewne wiadomość posłom, że mają się stawić dopiero dnia następnego o godzinie 11. Odpowiedź taką dano prawdopodobnie dla tego, że wielu posłów a nawet większa część senatorów dla długów zostają pod kondemnatą, a jeden, który nie znajdował się w tem położeniu, żądał, aby stosownie do prawa nie przypuszczano ich przed zniesieniem tej kondemnaty. Nim się zgromadzenie rozeszło, co się stało około godziny pół do trzeciej, wypowiedział wielki kanclerz jeszcze krótką mowę“.

Na obiedzie był potem Bernoulli w ambasadzie rossyjskiej. Ponieważ zaś odprawił najęty powóz, którego dotąd używał, został wieczorem w domu. „Najęte powozy — powiada tu — są w Warszawie dobre i ładne, fiakry bardzo nędzne; istnieją także lektyki“. Następnego dnia, 7 października, znowu się udał do zamku i zajął dobre miejsce w sali senatorskiej. „Król przybył dopiero o godzinie pierwszej, poczem posłano po posłów, żeby się zjawili. Niebawem przyszli, lecz dla braku miejsca nie weszli wszyscy od razu, marszałek bowiem wstrzymał się już w pierwszej ćwierci sali i odczytał tu swoją mowę. Na nią odpowiedział wielki kanclerz także czytając. Potem przystąpił pierwszy marszałek do tronu i ucałował rękę królewską, cofnął się i chodził po sali, podczas gdy posłowie, w liczbie około 170, zapełnili całą przestrzeń sali, i jeden po drugim całował rękę królewską. Potem zajęli miejsca swe na ławkach. Kiedy się ceremonia ta skończyła, oświadczył w. kanclerz, że tego dnia już nic dziać się nie będzie; była zresztą już druga godzina“.

Na sesyach, które się w następnych dniach odbywały, już się Bernoulli nie znajdował. Wieczorem 7 października, wyszedłszy od ks wojewody ruskiego, udał się o godzinie 9 na pierwszy bal

rossyjskiego ambasadora, „który podczas sejmu daje co środę wieczory dla tutejszej szlachty. Towarzystwo było niesłychanie świetne i liczne. Sam król był obecny, dalej w. kanclerz kor., liczni arcybiskupi i biskupi, świeccy magnaci i kawalerowie orderów bez liku, piękne i strojne panie w niemniejszej liczbie.

„Ks. Michał Poniatowski, najmłodszy brat króla, biskup płocki i koadjutor krakowski, raczył z ks. Adamem zbliżyć się do mnie, aby zrobić ze mną znajomość. Taki dobitny przykład łaskawości daje już dostateczną próbkę uprzejmości tego księcia i jego względów dla ludzi nauki, niejako dowód, że jest prawdziwym Poniatowskim...

„Król sam tańczył kilka polonesów z wrodzonym powabem i gracyą. Uważają go za jednego z najlepszych tancerzy i choć już nieco tyć zaczyna, bardzo dobrze jeszcze wygląda w tańcu. Wkrótce się oddalił. Kiedy król tańczył, szły inne pary za nim. Potem długo jeszcze kontynuowano szlachetne i przyzwoite polskie tańce. Wreszcie przyszła kolej na angielskie kontradanse. Francuzkich mało tańczono, menuetów wcale nie, z wyjątkiem jedynego, który tańczył młodszy syn ambasadora z najmłodszą panienką z towarzystwa z wielkiem upodobaniem zgromadzonych".

O pół do dwunastej towarzystwo już znacznie przerzedzone zasiadło do stołu w dwóch pokojach przy dwóch długich stołach. Bernoullego usadowiono przy stole pryncypalnym naprzeciwko „jednej z najpiękniejszych i najprzyjemniejszych młodych pań dworu, piętnastoletniej synowicy króla, ks. Poniatowskiej".

Zwiedziwszy następnego dnia wraz z kapitanem Carossi przyrodnicze zbiory królewskie, udał się Bernoulli w towarzystwie Grölla do królewskiej mennicy, a mianowicie do jej przełożonego Brenna, „bardzo uprzejmego, usłużnego i rozsądnego człowieka". Z nim razem zwiedzał i oglądał mennicę. Podaje o niej obszerny i dla numizmatyków wcale ciekawy artykuł, napisany z własnych spostrzeżeń, a dalej na podstawie rozprawy francuzkiej rękopiśmiennej, udzielonej mu w Warszawie, i obszernej pracy niemieckiej, umieszczonej w *Thornische wöchentliche Nachrichten.*

Znajdujemy tu najprzód krótką historyę mennicy wraz z wyliczeniem członków komisyi menniczej, dalej szczegółowy opis używanych w Polsce monet złotych, srebrnych i miedzianych, a wreszcie bardzo dokładny opis wszystkich medalów, które Stanisław August i inni aż do czasu, w którym Bernoulli oglądał te zbiory, wybijali, a które przeważnie wychodziły z pod stempla J. P. Holzhaeusera.

Między innemi twierdzi Bernoulli wbrew wiadomości podanej w *Thornische Nachrichten*, że medal dla Konarskiego, noszący, jak wiadomo, datę r. 1765, nie pochodzi z tego roku, lecz z roku 1771. Do ciekawych należy także opisany tu medal, który w dniu św. Kazimierza 1767 roku kazał wybić na cześć ks. podkomorzego Poniatowskiego podwładny jego generał Jordan. Obok daty 4 marca 1767 nosi on napis:

Niech książę Kazimierz w szczęściu lat długich bieg liczy,
Tak mu generał Jego Jordan z serca życzy.

Na obiedzie dnia tego u generała Cocceji uderzyła naszego autora jedna osobistość. „Kiedyśmy siedzieli przy stole — powiada — marszałek nadworny Rzewuski wystąpił w tak komicznym negliżu, że choć przywykłem do rozmaitych scen, ta przecież była dla mnie zupełną nowością... Ubranie to o ile sobie przypominam wyglądało jak kostium pierrota w włoskiej komedyi z tą tylko różnicą, że nie było białe lecz kolorowe. Tam, gdzie takie ranne ubranie jest modne lub ma niem zostać, może na ministrze państwa równie mało uderza, jak na innych. Zresztą jak to słyszałem także od osób, które go poznały w podróżach, jest pan Rzewuski uprzejmym i rozumnym człowiekiem, a jako marszałek nadworny, *grand maître de la maison du roi*, i kasztelan krakowski używa wielkiego znaczenia“.

Po obiedzie pojechał Bernoulli z Brennem do Bielan. „Na początku tej miejscowości wybudował któryś hr. Potocki folwark, na którym chciał umieścić żydów, gdyby ich z miasta miano wypędzić. Bardzo o tem mówiono, ale skończyło się na niczem“. Z Bielan udał się do Marymontu, który wtedy dwór saski ustąpił ministrowi Rzewuskiemu, skutkiem czego już lepszy tu ład panował. Jechał tutaj Bernoulli drogą, którą przebywał Stanisław August, kiedy go porwali konfederaci.

Powróciwszy do miasta, udał się do magazynu Hempla „jednej z największych osobliwości Warszawy. Tutaj bowiem w licznych pokojach widzisz taki skarb w srebrnych, bronzowych, kryształowych i marmurowych wyrobów, waz, posągów i obrazów, że aż w oczach się ćmi formalnie. Obrazy i rzeźby pochodzą po większej części z pod dłoni dobrych artystów z różnych krajów, a meble, gzymsy do kominków i t. p. odznaczają się wytwornym smakiem. Bardzo żałowałem, że już było ciemno i że kosztowności te oglądać mogłem tylko przy świetle“.

Wieczór przepędził nasz turysta u ks. wojewody ruskiego. Właśnie tego wieczora odbywał się wielki bal u jednej z rodzin arystokratycznych. Hrabina Ignacowa Potocka „piękna i młoda, cała błyszcząca od brylantów“, przybyła pokazać się w pełnym stroju „kochanemu dziaduniowi“. Mimo to u ks. wojewody było dużo gości a nawet pań, „między innemi hr. Tomatys, niewątpliwie należąca do kobiet, odznaczających się tu najświetniejszą pięknością i wdziękiem, choć obecnie już wyszła po za pierwszy rozkwit. Mąż jej kiedyś nawet z gazet znany był jako wielki gracz, a więc nie bardzo zaszczytnie; teraz atoli przywykł do mniejszej gry i skromniejszego życia. Z żoną bywa prawie codziennie u ks. wojewody. Widzą ich tu chętnie jako rzeczywiście bardzo rozumnych i przyjemnych ludzi.

„Przy tej sposobności nadmieniam, że panie polskie ubierają się gustownie i nie zawsze zupełnie po francuzku; zwłaszcza w domu, a nawet kiedy bez wielkiego ceremoniału odwiedzają znajomych, noszą obcisły zręcznie przykrojony kaftan z sukna lub z półsukna, podobny do angielskiego stroju używanego do konnej jazdy. Wcale im w tem dobrze. Suknia ma także więcej podobieństwa do amazonki. Różnią się dalej strojem na głowie i innemi drobniejszemi rzeczami. W ogóle nie wydały mi się tutejsze panie bardzo ożywione, jednak ugrzecznione i bardzo przyzwoite. Niejedną piękność widzieć można między niemi“.

Dziewiątego października zwiedziwszy i obejrzawszy obrazy wystawione na sprzedaż z polecenia pruskiego radcy dworu Tribla u niejakiego Bormanna, udał się Bernoulli z Muretem, guwernerem synów hr. Stackelberga, do Powązek, „pięknej wiejskiej siedziby ks. Adamowej Czartoryskiej“.

„Powązki wyglądają jak mała wieś, ukryta w lasku pomiędzy jeziorami i strumieniami. Z wyjątkiem kilku naśladowanych ruin, nie widać tu nic prócz prostych drewnianych, słomą krytych chat wiejskich. Wewnątrz atoli chatki te uderzają tak olśniewającym przepychem umeblowania, że nie widziałem nic wspanialszego. Największa chata jest letniem mieszkaniem samej księżny, w innych mieszkają wtedy starsze jej dzieci, a ma ich obecnie już ośmioro, i niektórzy blizcy przyjaciele“.

W dolnych pokojach podziwiał Bernoulli miedzioryty, obrazy, miniatury. „Pokoje te leżą na pagórku, w którym znajduje się jeszcze jedno niższe piętro; wchód do niego z zewnątrz i wewnątrz wiedzie po schodach. W ostatnim nadto pokoju górnego piętra

znajduje się ukryta nisza, z której przy pomocy ukrytej maszyneryi spuścić się można samemu do dolnego pokoju. Ten pokój to łazienki, ale jakie łazienki! Wanna jest rodzajem niszy, ukrytej pod kanapą, obitą drogą złotą materyą, ściany składają się z płyt prawdziwych porcelanowych, wykwintnie malowanych, złotemi obwódkami ozdobionych, których mniej więcej naliczyłem do 600, a każda sztuka, czemu uwierzyć można z łatwością, kosztowała po dukacie. Wszystkie sprzęty w tym pokoju i w gabinecie obok są równie wykwintne zgrabne i po części nowego pomysłu.

„W pobliżu tej wspaniałej chaty znajduje się mały gabinet, także zgrabniutki, z kwiatami; potem gruby, sztucznie naśladowany i nibyto na pół zniszczony pień z drzwiczkami i okienkiem, mający wewnątrz kanapkę plecioną, a pomiędzy dwiema suchemi gałęziami klatkę na ptaki.

„Przez most przechodzi się potem do drugiego pagórka, na którym stoi znowu jedna z najlepszych chat z dwoma pokojami i jednem łóżkiem, także bardzo ładnie ozdobiona, osobliwie miniaturami na szyldkrecie, sposobem dotąd mi nieznanym.

„Po lewej stronie tego pagórka znajdują się ruiny i łuk tryumfalny, kolumnada i naśladowanie *Coloseum* rzymskiego, które jest zarazem mieszkaniem. Ruiny te znajdują się na górnym końcu tej miejscowości. Wracaliśmy napowrót po pod mieszkanie księżny i wstąpiliśmy do chaty, o której nigdy bez wzruszenia pomyśleć nie mogę. Było to mieszkanie owej porywającej i tak uczonej księżniczki, która w najnieszczęśliwszy sposób straciła młode swe życie w płomieniach, które suknie jej ogarnęły, a śmiercią swą pogrążyła w najgłębszym i najsłuszniejszym smutku cały dom Czartoryskich, którego była klejnotem. Wzorowa czystość i zgrabność tego mieszkania, wyborowa biblioteczka, pisma i rysunki z ręki księżniczki, kosztowny a zarazem zgrabniutki serwis do śniadania i toalety, wszystko aż do dziewiczego łóżka było w tej siedzibie cnoty, nauki i niewinności tak urocze, że długo jej opuścić nie mogłem i teraz z tem rzewniejszym żalem myślę o smutnym losie tej wdzięcznej bogini...

„W dwóch dalszych chatach, które należą do dwóch młodszych książąt, znajdowało się mnóstwo małych portretów aktorów, malowanych przez Fäscha, a przez Sayera na miedzi rytych i kolorowanych. Dalej widzieliśmy naśladowanie opuszczonego i na pół zburzonego młyna. Wewnątrz znajdował się pokój z obiciem, naśladującem holenderskie fajansowe płyty i trzy znakomite, bardzo

wielkie miedzioryty Greena, Massary'ego i Balecha. Przy wchodzie znajdowała się wiejska ławka przy przyjemnym wodospadzie, pod młynem grota, a w pobliżu naśladowanie rzeczywistej chłopskiej chaty, która i wewnątrz posiada zwykłe sprzęty polskich wieśniaków, wiernie, ale starannie i czysto wykonane.

„Urządzenie wszystkich tych domostw, o których raczej za mało niż za wiele mówiłem, bardzo jest zręczne i zupełnie sielskie. Każda chata ma swój wiejski ogródek, a oprócz chat nie widać nic prócz łąk, drzew, wody i wysp — a wszystko to pozornie bez wszelkiej sztuki tak, jakby samo przez się powoli jak na wsi powstało, choć całość jest dobrze obmyślana i robi miłe wrażenie.

„Muszę się przyznać, że w zachwycie wróciłem z tego miejsca, którego z niczem, com kiedykolwiek widział, porównać nie można, i że nabrałem bardzo korzystnego wyobrażenia o smaku, zdolnościach i skłonnościach dostojnej właścicielki".

Zwiedzanie Powązek tak dużo czasu zajęło Bernoullemu, że stracił sposobność przypatrzenia się zgromadzeniu, które byłby chętnie oglądał, bo jak powiada „jest ono w oczach moich jedną z największych osobliwości w Warszawie. Mam tu na myśli komitet czyli towarzystwo rewizyi książek szkolnych. Zbiera się ono co piątku o 11 godzinie w sali pałacu hr. Ignacego Potockiego. Ks. Grzegorz Piramowicz, który na zebraniach w imieniu komisyi edukacyjnej dzierzy pióro, bardzo uczynny i uprzejmy uczony, chciał mi wyrobić wstęp na to zebranie.

„Nic większej nie przynosi chwały teraźniejszemu rządowi, jak to, że za niego przyszedł do skutku zakład, do którego podobnego nie posiada żaden kraj, a ileż to krajów bardzoby go potrzebowało! W kraju, w którym nauki podupadły, zakład taki jest pożyteczniejszym, niż wszystkie akademie umiejętności razem. Bardziej niż wszelkie inne zakłady na całym świecie, ma on powszechne dobro na celu i może je popierać najskuteczniej". Powołując się na wydawany przez Bouillona *Journal Encyclopédique*, podaje potem Bernoulli krótką historyę powstania i rozwoju komisyi edukacyjnej i dodaje, że niebawem okazała się potrzeba dobrych elementarnych książek, której komisya zaradzić postanowiła, rozpisując konkursa z premiami 100 do 200 dukatów.

„Z matematyki dostał premię 150 dukatów Szymon Lhuillier, obywatel genewski i członek tamtejszego towarzystwa dla zachęty sztuk pięknych; z nauk przyrodniczych i mechaniki 200 dukatów Hube z Torunia; z gospodarstwa i ogrodnictwa 200 dukatów ge-

nerał-major Rieule, dyrektor król. budowli i manufaktur; z historyi naturalnej 100 dukatów radca dworu Dubois i kapitan Carossi; z filozofii 100 dukatów ksiądz de Condillac. Sławny ten uczony przesłał nietylko projekt, lecz i rzeczywisty podręcznik logiki, nie roszcząc sobie pretensyi do nagrody. Przyznano mu ją jednak, uważając pracę jego za bardzo pożyteczną. Kiedym był w Warszawie, zajmowano się właśnie odczytaniem tłumaczenia tej pracy, którego dokonał sam hr. Ignacy Potocki. Inni konkurenci zajmowali się wtedy opracowaniem swych projektów i po części już doszli do końca. Powstające tym sposobem elementarne książki także będą tłumaczone.

„Ponieważ — mówi dalej autor — założenie i urządzenia tych towarzystw wymagają niezbędnie, żeby dużo dobrych i uczonych książek w Polsce samej drukowano i w całem państwie rozpowszechniano, odpowiem zarazem na pytanie (w Niemczech bowiem nie mają ani dokładnego, ani wyraźnego pojęcia o Polsce): Czy w kraju tym znajduje się dość drukarń, któreby potrzebnej ilości książek szybko i tanio dostarczyć mogły młodzieży?“

Na pytanie to odpowiada Bernoulli twierdząco i podaje spis znajdujących się wówczas w Polsce drukarń. Wylicza w Warszawie pięć: pojezuicka, pijarska, korpusu kadetów, Dufoura, Grölla. W Poznaniu dwie: akademicka i pojezuicka. W Lesznie dwie: Wawrzyńca Pressera i jakiegoś drugiego Pressera. W Kaliszu jedna: pojezuicka. W Łowiczu prymasowska. W Częstochowie paulińska. W Krakowie pięć: dwie akademickie, seminaryjna, Stachowicza i Jankowskiego. W Sandomierzu pojezuicka. W Lublinie pojezuicka. W Supraślu bazyliańska. W Berdyczowie karmelicka. W Grodnie hr. Tyzenhauza. W Słonimiu hr. Ogińskiego. W Wilnie pięć: akademicka, Pijarów, franciszkańska, bazyliańska i ex-Jezuitów pruskich. W Gdańsku trzy: Bartla, Wedla, pojezuicka. W Toruniu jedna radna i gimnazyalna. Razem więc 33 drukarń, z których wiele w dość nędznym znajdowało się stanie.

Tego samego dnia, w którym się nie udała próba zwiedzenia Mokotowa, siedziby letniej ks. marszałkowej kor. Lubomirskiej, córki ks. wojewody ruskiego, nie było bowiem można odszukać burgrabiego, udał się Bernoulli do Solca „godnego widzenia letniego pałacu ks. podkomorzego Kazimierza Poniatowskiego“. Nie bardzo mu się tu podobało, albowiem zdaniem jego „nie ma tu w założeniu ani smaku, ani dobrze obmyślanego porządku, choć pojedyncze części wcale są ładne, a wszystko razem musiało kosztować ogromne sumy“.

Pomiędzy obrazami uderzyły go: *Pokusa św. Antoniego* przez Teniersa, za które to dzieło książe zapłacił 1000 dukatów, *Dawid z głową Goliata* Guercina i niektóre inne. Niektóre domki były budowane w stylu powązkowskim, a w cieplarniach znajdowało się tak dużo ananasów, że podróżny nasz przyznaje, iż jeszcze nigdy w życiu takiej ich obfitości nie oglądał.

Następnego dnia rano, nim jeszcze wyszedł z domu, spotkała go miła niespodzianka. Przyjechał do niego z wizytą hr. August Moszyński i oświadczył mu w imieniu króla, że Jego Król. Mość bardzo żałuje, że nadzwyczajne zatrudnienia sprawami publicznemi nie pozwalają mu używać towarzystwa Bernoullego i przesyła mu jako dowód swej łaski wielki złoty medal *Merentibus*, który Bernoulli z wdzięcznością przyjął.

Oglądał potem dawny pałac Krasińskich, świeżo przez Rzeczpospolitą zakupiony dla umieszczenia różnych kolegiów sądowych i administracyi ceł. „Jest to — powiada nasz podróżnik — według mego gustu największy i najszlachetniejszy gmach w Warszawie“. Przy tej sposobności opisuje, ale bardzo pobieżnie, ogrody warszawskie, najprzód Krasińskich, potem saski, a wreszcie mniejszy, przy Marywilu „mało odwiedzany, a dlatego bardzo wygodny, jeżeli się chce wypocząć w samotności i zieleni“.

Na obiedzie był dnia tego u pana de Boscamp, „kawalera orderu św. Stanisława, którego w początku siedmioletniej wojny król pruski w sprawach politycznych wysyłał do Krymu. Odtąd przebywał kilka lat jako poseł króla i Rzeczypospolitej w Konstantynopolu. Jest to człowiek bardzo przyjemny w obejściu, pięknych wiadomości, dowcipny, roztropny i bardzo uczynny. Życzyćby sobie wypadało, ażeby ogłosił spisane swe spostrzeżenia, które porobił w wymienionych krajach; dowiedzielibyśmy się z nich pewnie wielu nowych, ważnych i pewnych szczegółów. Prócz kilku arabskich i tureckich koni, które wyprowadzono, aby je pokazać, przywiózł p. de Boscamp z sobą różne wschodnie osobliwości i po części już je rozdarował“.

Boscamp mieszkał w pięknej alei Czartoryskich niedaleko Coccejego; na obiedzie znajdowalii się prócz Bernoullego, Cocceji, ks. Benvenuti i Eberhardt, były sekretarz poselski Boscampa. Po obiedzie zwiedzał Bernoulli razem z p. Dubois zbiory przyrodnicze hr. Michała Ogińskiego, w. hetmana litewskiego, magnata, patryoty znanego z „budowy kosztownego kanału komunikacyjnego“. Zbiory jego wcale zresztą ciekawe „znalazłem bardzo zakurzone i w niestosownem, ciemnem i wilgotnem miejscu umieszczone. Pochodzi

...l, że hrabiego nie było i że zamierza przebudować ...piero wtedy zbiór ten lepiej uporządkuje".

... 11 października, zrobił Bernoulli znajomość ...kim, hr. Andrzejem Archetti, arcybiskupem ... dowcipie i uprzejmości słyszał już poprze... poznać, lecz jakoś się to nie powiodło. „Teraz ...stałem, a w długiej i swobodnej rozmowie poznałem ...najweselszych, najprzyjemniejszych i najuczeńszych pra...

Po obiedzie u bankiera Blanca wyjechał z całem towarzystwem do Łazienek, aby obejrzeć wewnątrz willę królewską, pawilon księżnej Poniatowskiej, „wdowy po bracie króla, który umarł generałem w służbie austryackiej", i pawilon ks. Józefa, synowca królewskiego. Opis ten nic ciekawego nie zawiera.

Dzień następny poświęcił przeważnie oglądaniu zamku królewskiego. Oprowadzał go Bacciarelli, zwracając uwagę na lepsze obrazy. Autor opisuje wielki portret królewski w całej figurze, robiony przez Bacciarellego, obraz przedstawiający elekcyę Stanisława Augusta pod Wolą przez Canalettę, portret Zygmunta III na koniu, darowany królowi przez miasto Toruń, mały obraz Bacciarellego przedstawiający scenę, kiedy król powrócił uwolniony z rąk konfederatów do zamku i wiele innych. W jednej z komnat zamkowych pracował Canaletto nad dwoma innemi bardzo wielkiemi obrazami, które się także odnosiły do elekcyi króla.

Obejrzawszy pokoje królewskie, udali się do pracowni Bacciarellego i nadwornego rzeźbiarza Monaldiego, gdzie znaleźli prócz mnóstwa odlewów, także cały szereg obrazów króla. U Monaldiego podobał się Bernoullemu najwięcej model nagrobka dla zmarłego ks. prymasa Potockiego i dwie statuy Apollina i Minerwy. Obie te statuy pochodziły z pod dłuta król. rzeźbiarza Le Brun, którego wtedy już w Warszawie nie było.

Oglądał następnie bibliotekę hr. Wincentego Potockiego, nieobecnego w Warszawie. Znalazł tu mnóstwo najkosztowniejszych dzieł, najbardziej jednak uderzył go zbiór rysunków i miedziorytów, samych Rubensów 3555 sztuk. I tego dnia próbował jeszcze zwiedzić Mokotów, lecz i tym razem nie powiodło się tak samo jak dawniej. Burgrabia umyślnie gdzieś się schował, tak że nikt im nie chciał otworzyć pałacowych pokojów.

Wieczorem oglądał w towarzystwie Grölla nowy, w Warszawie pierwszy protestancki kościół, jeszcze nie wykończony. Zaczęto go budować dopiero na wiosnę r. 1777. Kościół ten, przypomina-

jący strukturą swą Bernoullemu katolicki kościół świętej Jadwigi w Berlinie, bardzo mu się podobał.

Zrobiwszy poprzednio znajomość z ks. Gawrońskim, exjezuitą, lektorem króla, który wtedy zajęty był tłumaczeniem matematycznego podręcznika, napisanego przez pana Lhuillier, i z ks. Rogalińskim, którego wychwala jako gruntownego matematyka i poświęcającego się dla dobra publicznego człowieka, udał się Bernoulli w towarzystwie Grölla do szlacheckiego kolegium Pijarów, „najznakomitszego zakładu tego rodzaju w Warszawie, który Ojcu Konarskiemu ma do zawdzięczenia stan swój naśladowania godny. Wielu z najbardziej cenionych młodych magnatów tutaj wychowywało się i kształciło". Oprowadzali go po zakładzie Osiński, profesor matematyki, i poeta Szostowicz. Oglądał najprzód bibliotekę w pięknej sali ustawioną, podzieloną na cztery działy: *Ratio*, *Memoria*, *Oratio*, *Religio*, a zaopatrzoną w wyborowe, filozoficzne, matematyczne, humanistyczne i t. p. dzieła. W niemniej pięknej sali znajdował się kosztowny zbiór instrumentów, „po części zakupiony w Anglii przez uczonego, nowej filozofii zupełnie oddanego Pijara i byłego profesora filozofii i matematyki, O. Antoniego Wiśniewskiego, po części zaś nabyty na licytacyi po ś. p. ks. prymasie. W ogóle — powiada nasz podróżny — nadzwyczajnie mi się podobało urządzenie i szlachetny styl budowy tego kolegium, które z najpiękniejszemi włoskiemi szkolnemi gmachami rywalizować by mogło".

Zwiedzał potem Bernoulli inne naukowe zakłady warszawskie najprzód drugie ogólne kolegium Pijarów w ich klasztorze, które miało swych osobnych 7 lub 8 profesorów. Potem udał się do dwóch kolegiów pojezuickich, z których starsze ogólne liczyło 16 profesorów, drugie nowsze szlacheckie przed 30 laty założone, tylko połowę tej liczby. „Pomiędzy nimi odznacza się i teraz jeszcze sławny od dawna Franciszek Bohomolec jako profesor łacińskiej i polskiej wymowy. Rektorem zaś jest w tem kolegium Wyrwicz. Wspólna biblioteka obu tych kolegiów musi być bardzo liczna, bo istniała już przed 50 laty, jak widać z Erndtla *Warsavia*, licząc wtedy 3000 tomów przeważnie dzieł matematycznych a obok niej znajdował się zbiór instrumentów", który się w ostatnich czasach znacznie wzbogacił darami niedawno zmarłego ks. biskupa warmińskiego Grabowskiego, „jednego z najgorliwszych protektorów nauk w Polsce" i staraniem ks. Łuskiny, „cenionego nauczyciela matematycznych nauk. Exjezuici posiadają tutaj także własną drukarnię i teatr dla młodych ludzi".

Zwiedzał następnie szlacheckie kolegium Teatynów, nie posiadające tak licznych profesorów, jak poprzednie, ale utrzymywane w dobrym stanie przez przełożonego Ojca Portalupi. „W niem kształcił się miły książe Stanisław“. I tutaj znajdował się teatr, „w którym młodzi panicze z wielkiem powodzeniem odgrywali wiele utworów wielkiego Metastasia, przełożonych przez Portalupiego na język łaciński“.

„Dalej znajduje się w Warszawie duchowne seminaryum czyli *Studium theologicum generale*, którego przełożonych i nauczycieli biorą z różnych klasztorów, bez względu lub mało zważając na zakon. Znajduje się w niem bardzo znaczna publiczna klasztorna biblioteka. Założył ją już przed połową przeszłego wieku O. Hyacynt Baryczka, znakomity, we wszystkich sztukach i naukach biegły Dominikanin. Brat jego Stanisław Baryczka, generalny wojenny komisarz za Jana Kazimierza, dopełnił ją i zaokrąglił. Kazimierz Królikowski, Dominikanin, zaopatrzył ją w nowszych czasach kilku tysiącami wyborowych i po części kosztownych dzieł i przeznaczył na jej stałe pomnażanie połowę swego znacznego po ojcu majątku. Michał Halkiewicz Minoryta pomnożył ją jeszcze lepszemi książkami z najoświeceńszych krajów i zaprowadził w niej ład lepszy. Wreszcie zasłużył się także nie mało Mikołaj Wodziński, Augustyn i główny przełożony *Studii generalis*, ulepszając jej porządek, powiększając samą bibliotekę i urządzając lepiej znajdujące się tam także prowincyonalne archiwum. *Seminarium Sanctae Crucis*, w którem odbywają się uroczyste filozoficzne i teologiczne dysputy, należy do Missyonarzów i posiada także dobrą bibliotekę“.

Prócz tego wymienia Bernoulli bibliotekę Karmelitów, znacznie pomnożoną zbiorem książek biskupa kamienieckiego Augustyna Wessla, a wreszcie bibliotekę świeckiego zakładu panien, założoną lub pomnożoną przez uczoną Zofię Gałecką. Prywatne biblioteki pomija.

„W nowsze dzieje nauki polskiej — powiada nasz turysta — już się wdawać nie mogę; choćby zasługiwały na to. Opłaciłoby się odświeżyć nawet i dawniejszą historyę nauki polskiej. Zdaje się bowiem, że zanadto zapomniano, jakie to zasługi Polska w ostatnich ubiegłych wiekach około nauk położyła i to jeszcze w czasach, kiedy w niejednym kraju, który się teraz strasznie nadyma, było jeszcze zupełnie ciemno. Tak zwane barbarzyństwo, jakie Polakom niektórzy tak bezwzględnie zarzucają, jakżeż długo trwało? Pewnie nie dłużej nad pół wieku a mianowicie w ostat-

tniej czwartce ubiegłego i trochę więcej nad pierwszą bieżącego wieku. Że w wiekach XV, XVI i XVII istnieli w Polsce przemnodzy znakomici ludzie, zwłaszcza w dziejach kościoła, państwa, uczonego świata i w naukach szkolnych a obok tego mnóstwo znakomitych poetów, o tem świadczy już dostatecznie spory szereg książek, w których się starano zapisywać wszystkich tych autorów i oceniać ich dzieła. Prawda, że wiele z ksiąg tych tak jest rzadkich, że już ich nawet dostać nie można, chcąc podać ogólny przegląd dawniejszego stanu nauk w Polsce".

Wreszcie zbliżył się dzień wyjazdu Bernoullego z Warszawy. O pół do ósmej rano dnia 14 października opuścił on stolicę Polski, jadąc gościńcem do Poznania. Opis tej podróży zawiera bardzo mało ciekawych szczegółów. W Kłodawie zwiedzał kościół wybudowany zaledwie przed 20 laty. „Obok ambony stał wahadłowy zegar, u góry spoczywa na nim złota korona. Właśnie odbywały się msze przy głównym ołtarzu i kilku bocznych, przy czem grano na organach tak pięknie, i akompaniowano tak doskonale, że zdawało mi się, jakobym słyszał najpiękniejszą kościelną muzykę z orkiestrą".

O całej drodze z Warszawy do Poznania taką podaje uwagę: „O tej drodze dodać jeszcze można, że prawie wszystkie stacye pocztowe na niej, z wyjątkiem kilku, nie osobliwie polskim sposobem są budowane, i że spotkasz tu duże, z kamienia budowane kościoły. Prawie zawsze pomiędzy jedną stacyą a drugą znajdują się dwie lub trzy wielkie lub mniejsze miejscowości, a tylko rzadko gdzie widzi się nowe domy, tak że fałszem jest to, co między innemi pisał Marschall w swym opisie podróży, jakoby w okolicy tej wszystko było spalone. Takich wsi zniszczonych widziałem tylko parę i to nieznacznych".

Dnia 16 października o godzinie czwartej po południu stanął Bernoulli w Poznaniu i zatrzymał sig tu tylko do dnia następnego, przyjęty gościnnie przez poczmistrza Kaysera, do którego miał list rekomendacyjny, i przez Włocha Tarone, kupca, u którego przepędził wieczór. O Poznaniu nic ciekawego nam nie podaje. Następnego dnia udał się przez Czarnków ku Brandeburgii, a nazajutrz przejechał granicę polską.

Zanim się pożegnamy z Bernoullim, pozwolę sobie jeszcze zdać tutaj sprawę z opowiadania jego o awanturniku, Polaku, którego poznał jadąc z Królewca do Petersburga w lipcu 1778 r. Opowiadanie to znajduje się w trzecim tomie jego opisu podróży.

Jadąc z Królewca do Kłajpedy, zatrzymał się Bernoulli dnia 3 lipca 1778 r. w wiosce Jambyck. Stanął tu w południe, lecz do wieczora musiał czekać jeszcze na jednego podróżnego. Wreszcie stawił się ten nieznany mu dotąd towarzysz. „Miał on na sobie — opowiada nasz autor — coś nakształt uniformu z grubej wełnianej materyi, z czarnemi aksamitnemi rabatami i takimże kołnierzem, a ozdobiony był czerwonym maltańskim krzyżem. Woźnicy, rybacy i rybaczki tytułowali go generałem. Okazywał on niezwykłe ożywienie, wykupił wszystko piwo, wódkę i inną żywność i napoje, ile ich tylko mógł dostać i kazał się za to wymienionym damom całować w ręce. Kiedy się dowiedział, że jadę do Petersburga, ofiarował się, że z Rygi zabierze mnie z sobą“.

Z tą dziwaczną a wtedy zupełnie nieznaną sobie osobistością ruszył Bernoulli w dalszą drogę. Ogromny wóz, którym jechali, wsadzono na statek i tak popłynęli morzem do Kłajpedy. Wesoły generał spiewał lub stroił zalecanki do młodej kobiety z Rygi, która już z Bernoullim jechała od Królewca. O godzinie 7 rano 4 lipca zawinęli podróżni do Kłajpedy. Tu przyjął ich gościnnie poczmistrz Witte. Teraz dopiero dowiedział się Bernoulli, kto jest ów zagadkowy generał.

„Generał mój — opowiada — był znanym z wielu zeszłorocznych gazet Litzenem *vel* Licieńskim, który się zwykle zwał hr. Litzen. Twierdzi on, że pochodzi z dawnych Lechów i że jest spokrewnionym z Leszczyńskimi i kilku innemi najstarszemi i najarystokratyczniejszemi polskiemi rodzinami. Jest to, sądząc z jego papierów, rzeczą prawdopodobną. Nawet przeciwnicy jego albo wcale temu nie zaprzeczają, albo też nie umieją przytoczyć dostatecznych powodów niewiary. „Ojciec jego, którego on tytułuje biskupem, jest kaznodzieją różnych dyssydenckich gmin w okolicy Chojnic w zachodnich Prusach. W młodości swej przebywał podobno blisko rok cały, w celu nabycia niemieckiego języka i innych pożytecznych wiadomości u Brenkenhoffa, sławnego tajnego radcy finansowego. Gdzie następne lata przepędził, tego już nie wiem, zdaje mi się jednak, że w Czechach. Będąc jeszcze młodym, i teraz bowiem nie liczy więcej nad 30 sześć lub siedm lat, dostał się na dwór warszawski, obcował z wielu arystokratycznymi panami i zaangażował się jako paź czy też adjutant do rossyjskiego ambasadora, księcia Repnina, który go używał przeważnie jako kuryera podczas niepokojów polskich i wojny tureckiej. W tym charakterze odbywał bardzo częste podróże do Petersburga. Podczas takiego pobytu w Petersburgu wysłano go raz jako kuryera

do bawiącego wtedy w Sztokholmie księcia Henryka pruskiego, zkąd wrócił przez Laponią, Torneo do Petersburga i Warszawy. Podróże te równie niebezpieczne jak uciążliwe nie mogły się zawsze odbywać bez wypadków; spadał często z koni, raz zgniótł sobie trochę nos i inne tym podobne odnosił pamiątki.

„Kiedy się w Polsce odbyła ostatnia zmiana, wziął sobie Litzen los swej ojczyzny tak żywo do serca, że opuścił księcia Repnina, albo go też może książę dla nieostrożnego jego języka sam oddalił. Wtedy, nie wiem w jakim celu, udał się do Wiednia. Tutaj niepohamowaną swą butę i krnąbrność ducha okazał prawdopodobnie wyrazami bardzo niestosownemi, bo go aresztowano i przez trzy całe lata pod ostrym dozorem trzymano w jednej z fortec austryackich. Wreszcie odzyskał znowu wolność, wywieziono go na Węgry i kazano mu wynieść się z kraju, dając mu pieniądze na drogę.

„Wtedy wrócił do Warszawy i zdaje się także do swych rodziców. Ale niedługo bawił w Polsce. Pojechał do Konstantynopola w nadziei, że będzie się mógł pojednać z księciem Repninem, przebywającym wtedy w tem mieście, i że za jego pośrednictwem wyjednać zdoła znaczne korzyści dla siebie i swej rodziny. Nie mógł jednak spełnić żadnego z swych wielkich planów. Straciwszy po kilku miesiącach wszystkie pieniężne zasoby, wsiadł na algierski statek, jeźli się nie mylę, aby z Algieru udać się do Francyi.

„Okręt, na którym płynął, wzięty został na berberyjskiem wybrzeżu przez drugi okręt hiszpański, a Litzen musiał przez 6 miesięcy siedzieć w areszcie w Kartagenie. Potem dostał się do Marsylii, gdzie zatrzymał się przez rok lub może króciej, będąc po większej części chory. Tutaj ukończył owe pisma, które potem kazał drukować w Frankfurcie nad Menem, dokąd się udał z Marsylii, a które po większej części datuje z *czarnej kozy.* Pisma te rozniosły imię jego w Niemczech.

„Z kilku gazet, które miał przy sobie, przekonałem się, że wydawano o nim sąd zbyt niekorzystny, nazywając go błaznem, oszustem i t. d.; w innych dziennikach przeciwnie broniono go; ale podejrzywam, że obrony te sam sobie pisywał. Przyjaciół atoli i poparcie znalazł rzeczywiście w tych stronach i we Francyi, z czego się szczycił z wdzięcznością. Wymienione pisma jego wystosowane były do króla polskiego, do Rzeczypospolitej, do rodziny i jej stronnictwa, albo też do sprzymierzonych mocarstw, a nawet i do innych dworów.

„Litzen domagał się niestworzonych rzeczy: 1) Polska i wówczas sprzymierzone mocarstwa, zwłaszcza Rossya, mają mu pomódz do tego, aby rodzina jego posiadała bardzo znaczne dobra, które dawniej z biegiem czasu darowała Jezuitom. Według jego zdania był to artykuł niosący niewiele mniej jak sto tysięcy dukatów rocznej intraty. 2) Ma mu król polski dać senatorstwo, order św. Stanisława i starostwo. 3) Żądał od Rossyi 40.000 rubli za swą uciążliwą służbę pod rozkazami księcia Repnina. 4) Od Austryi żądał trzech milionów złotych jako wynagrodzenie za trzyletnie swe więzienie. Wzywał całą swą rodzinę i jej stronników do zawiązania generalnej konfederacyi, aby bądź co bądź plany swe przeprowadzić. To ostatnie żądanie dało mu jako marszałkowi tej generalnej konfederacyi sposobność do przywłaszczenia sobie za wyjazdem z Królewca na krótki czas tytułu generała. Krzyż zaś na sukni, który miał być maltańskim, był tak samo autentyczny jak ów tytuł.

„Gdyby Litzenowi przy redakcyi memoryałów pomagał był jaki zręczny człowiek, możeby były osiągnęły coś z wielkich pretensyj, a awanturnik ten możeby się był dobił majątku dość znacznego. Ale w memoryałach jego nietylko styl był bardzo nędzny, a sam tekst rozwodniony niepotrzebnemi dodatkami, lecz występowała także obok przesadności wymagań wcale niepojęta niekonsekwencya, bo autor nie szczędził nawet mocarstwom, od których żądał satysfakcyi, wyrazów niechęci z powodu dokonanej w Polsce zmiany (tak określa Bernoulli zwykle pierwszy rozbiór). Nie mogło też pozostać tajemnicą, że Litzen w słowach jeszcze mniej zachowywał miarę. Bardzo mnie więc dziwiło, że śmiał wysyłać takie pisma do wszystkich dworów i ogłaszać już naprzód w gazetach, że jedzie do Rossyi, aby błagać cesarzowę o opiekę i łaskę. — W czasie podróży pisywał na wszystkich drzwiach zajazdów: *Hrabia Litzen jedzie do Petersburga*, choć nie posiadał prawnego paszportu.

„Z tego wszystkiego wypływa jasno, że u tego dziwnego człowieka psują wszystko brak zdrowego rozsądku, przesadna ambicya i wygórowane pojęcie o polskiej wolności. Zresztą przyznać muszę, że Litzen posiada wiele dobrych przymiotów. Rysy twarzy jego są ujmujące i szlachetne, wiadomości i oczytania posiada więcej, niżby się tego po jego burzliwem życiu spodziewać można. Jest nadto wielce usłużnym, miłosiernym i hojnym. O religii nie ma ani podłych, ani wzgardliwych pojęć, lecz myśli o niej szczytnie. Nim Litzen przybył do Królewca, aby jechać do Rossyi, był

u siebie w domu i zebrał tam pieniądze na podróż, lecz niebawem znaczną ich część roztrwonił, aby wzmocnić swą konfederacyę i zjednać sobie adherentów na przyszłym sejmie polskim".

W Kłajpedzie powiła towarzyszka podróży Bernoullego i Litzena niespodzianie córeczkę, a „generał" okazał jej przytem tyle współczucia i pomocy, że Bernoulli nie może go się nachwalić. Aż do Mitawy jechał potem Bernoulli razem z Litzenem. W Mitawie jednak inaczej się namyślił; nie śmiał w tak podejrzanem towarzystwie przejechać granicy rossyjskiej. Litzen więc wyjechał sam naprzód, a Bernoulli 15 lipca zdążył za nim. Na granicznej stacyi rossyjskiej zastał Litzena stojącego przed domem w szlafroku i dowiedział się, że już przed czterema tygodniami do stacyi tej przyszedł był rozkaz z Petersburga, aby Litzena nie przepuszczono przez granicę. Mimo to chciał awanturnik postawić na swojem i wysłał papiery swe do Rygi, prosząc o pozwolenie wyjazdu, ale na próżno. Odwieziono go napowrót do Mitawy. Tutaj pozostał przez parę miesięcy, utrzymywany przez kilku znajomych. Potem udał się do Warszawy na otwarcie sejmu z r. 1778. Tu spotkał się z nim znowu Bernoulli.

„Jak się potem dowiedziałem z gazet — kończy Bernoulli swe opowiadanie — obdarzył go wspaniałomyślny Stanisław August lecz pod warunkiem, że będzie się trzymał na uboczu i spokojnie. Zresztą nie mogłem się niczego dowiedzieć o losach tego dziwnego człowieka, z wyjątkiem, że przy końcu sierpnia tego roku (1779) znowu go widziano w Warszawie".

Jak wiadomo, przy schyłku wieku XVIII pojawiło się mnóstwo podobnych awanturników, o tym rzekomym generale jednak nie udało mi się nigdzie spotkać bliższych wiadomości oprócz tych, które nam Bernoulli w opisie swej podróży zachował.

Jan Eryk Biester

1791.

W drugiej połowie przeszłego wieku wychodziło w Niemczech, a mianowicie w Prusiech, mnóstwo czasopism, zawierających liczne rozprawy o stosunkach polskich i materyały do dziejów naszych. Czasopisma te dzisiaj stały się już w Niemczech rzadkościami bibliograficznemi, a u nas prawie nikt ich nie zna, mimo że możnaby się z nich dowiedzieć o wcale ciekawych szczegółach.

Przypadkowo udało mi się nabyć kilka roczników takiego czasopisma, a mianowicie *Berlinische Monatsschrift* i to z lat 1789 do 1793, a więc z czasu, w którym Prusacy niemało zajmowali się stosunkami polskiemi; jak wiadomo bowiem, rząd pruski w czasach sejmu czteroletniego łudził długo Polskę obietnicami sojuszu i poparcia.

Pismo to wychodziło miesięcznemi zeszytami w Berlinie od roku 1783 do 1796 i zawiera przeważnie artykuły naukowe, historyczne, filozoficzne, przekłady utworów klasycznych, rozprawy ekonomiczne i statystyczne. Redaktorem a zarazem jednym z głównych współpracowników jego był Jan Eryk Biester ur. 17 listopada 1749 w Lubece, zmarły 20 lutego 1816 w Berlinie. W roku 1777 przybył do Berlina na prywatnego sekretarza mini-

stra barona Zedlitza, 10 stycznia 1784 r. objął po francuzkim zakonniku Pernetym stanowisko dyrektora królewskiej biblioteki i położył na niem wielkie zasługi. Poprzednio już zaczął wydawać, początkowo razem z Gedikem, potem sam, owe wymienione już czasopismo, którego tendencye i zapatrywania ściągnęły na niego niełaskę ministra Wöllnera, tak że od r. 1792 musiał je drukować po za granicami pruskiemi w Jenie, w Dessau i t. d.

Był to człowiek wielkiej nauki i przedewszystkiem wielkiej zacności i prawości charakteru. Z chwil wolnych od urzędowych zatrudnień korzystał zwykle w ten sposób, że odbywał sam lub w towarzystwie dalekie wycieczki. I tak zwiedzał w roku 1782 Szlązk, w roku 1787 wspólnie z bankierem Lewy całe Niemcy, a według wszelkiego prawdopodobieństwa w roku 1791, jak to jeszcze bliżej zobaczymy, wspólnie z jakimś Anglikiem Polskę.

W wydawanem przez niego czasopiśmie wieje duch stanowczo przychylny Polakom. Przytoczymy tutaj nasamprzód artykuły poświęcone Polsce, a zawarte w rocznikach, które posiadamy.

Rocznik 1789 zawiera rozprawkę pod tytułem: *Król Mykita, zupełnie nowa powiastka o duchach.* Jest to dość ciekawa sprawa kryminalna, z której niżej zdamy sprawę; dalej odę jakiegoś pana M. L. do Stanisława Małachowskiego, którą tutaj przytoczę jako dowód, jakie dla Polski w redakcyi pisma tego panowało usposobienie. Brzmi ona tak:

Stanislao Malachowski supremo confederationis Poloniae regni moderatori ovatio.

Quis Bruti fasces memoret, vel Coclitis ausus,
Quis Fabii egregias Marte favente moras?
Vel, quibus eversa Carthagine bellica virtus,
Scipiadas secto nomen ab orbe dedit?
Magna quidem et seri referant quae facta nepotes:
Ast ea civili sparsa cruore madent

Sed MALACHOWSKE, suis quem pax complectitur ulnis
  Te Patria ea sacra fronde coronat ovans:
Quod novus auspice te rerum iam nascitur ordo,
  Et metus et graves terga dedere minae.
Cuncta favent Tibi: Miles desueta induit arma
  Confestim, antiquos exerit atque animos.
Confertur magnum auri in publica commoda pondus;
  Intonuit laevum terque quaterque Polus.
Eja age! civili te ornatum tempora quercu
  Dum Nymphae crebris plausibus excipiunt;
Sis bonus oh, nomenque Tuum MALACHOWSKE Polonis,
  Quis Sors arridet, ominis instar erit.

Ten sam rocznik wreszcie zawiera rozprawkę pod tytułem: *Jesuiten in Russland.* Jest to na podstawie dziełka: *Catalogus personarum et officiorum Societatis Jesu in Alba Russia in annum 1788, Polociae,* napisana wiadomość o Jezuitach, których redakcya serdecznie nienawidzi i gdzie tylko może łatki im przypina.

Rocznik 1790 prócz pośrednio tylko obchodzącej nas rozprawki o Cagliostrze w Mitawie, nie zawiera nic, coby nas więcej obchodzić mogło. Rocznik 1791 mieści w sobie najprzód rozprawkę: *Autentische Nachrichten von den polnischen Jesuiten*, która nic ważniejszego nie zawiera; potem wykaz ile funtów ważył każdego roku król August II, Sas, od 6 maja 1712 r. do 26 października 1732 r. Podobne zestawienia są tu także podane o królu Auguście III, ks. następcy tronu Fryderyku Krystanie, hrabinie Orzelskiej, hrabinie Flemming, żonie feldmarszałka, i różnych innych. Dalej znajdujemy rozprawę *Skalichius, ein Abenteurer und Premierminister in Preussen.* Jak wiadomo jest Skalich osobistością, która i z naszemi dziejami stoi w związku.

Rocznik z r. 1792 zawiera najprzód odpowiedź króla Stanisława Augusta, daną akademii berlińskiej, kiedy go na wniosek kuratora ministra hr. Hertzberga mianowano członkiem tej akademii. Odpowiedź tę poprzedził reda-

ktor Biester przedmową wielce dla króla pochlebną. Nazywa go między innemi „królem, który się jasnością i rozlicznemi wiadomościami odznacza przed wielu prywatnemi osobami każdego stanu, a miłością do nauki i popieraniem ich, delikatnem i łaskawem obejściem z uczonymi prawie przed wszystkimi książętami czasu swego“. Odpowiedź króla brzmi jak następuje w przekładzie polskim:

Stanisław August król
Świetnemu Gronu Akademii berlińskiej
szle pozdrowienie i życzenia.

„Doręczony nam został przed kilku dniami dyplom Wasz, wielce uczeni mężowie, którym to dyplomem raczyliście nas zapisać w grono Wasze akademickie i tę wolę Waszą publicznym dekretem objawiliście.

„Nader zaszczytnem jest niezawodnie miejsce, które nam między filozofami ofiarowaliście, lecz daleko milszą i zaszczytniejszą jest Wasza opinia o nas, opinia, na którą nie zasłużyliśmy, ale na którą zasłużyć pragniemy.

„Gdy bowiem z dawno ubiegłych wieków czerpiemy naukę, że takie tylko państwa są szczęśliwemi i na nazwę szczęśliwych zasługują, w których mędrcy królują lub króle są mędrcami — to Wy tej prawdy sami już doświadczyliście, Wy, którzyście onego wielkiego Frydryka oglądali, i którzy pod berłem dzisiejszego Waszego króla, monarchy tylu znakomitemi darami duszy ozdobionego, patrzycie na szczęśliwy obrot spraw Waszych domowych i zewnętrznych.

„Nas długa jeszcze czeka droga; a nie dla innej przyczyny wszelkich dokładamy starań, aby w tem królestwie naszem polskiem podźwignąć uprawę nauk, i sami czytaniu i rozważaniu poświęcamy czas, który nam po publicznych czynnościach pozostaje.

„Tyle świetnych okazów geniuszu, wydanych na jaw przez Was i przez wielu innych pisarzy tego stulecia, i

przed nami także niesie pochodnię filozofii — jakoż wyznać należy szczerze, że wszystko zawdzięczamy piśmiennictwu, co tylko prawego, co tylko pożytecznego i szanownego zdziałano i z czego się tylko cieszymy.

„Uświetniajcie i nadal, najuczeńsi mężowie, świat naukowy swemi pracami i rozprawami, mnie zaś zawsze stateczną otaczajcie przyjaźnią nietylko już jako towarzysza Waszego, lecz, co szczęśliwie darzy się i państwu mojemu, jako przyjaciela, sąsiada i sprzymierzeńca króla Waszego, którego opieką cieszy się Akademia Wasza.

Dan w Warszawie dnia 16 listopada, roku 1791.

Stanisław August“.

Równocześnie ze Stanisławem Augustem został wybrany członkiem Akademii berlińskiej także sławny lekarz, radca dworu Tralles z Wrocławia. Pisze on o tem do znajomego w Berlinie w dniu 26 listopada 1791 r.

„Jego Kr. Mość, król polski, raczył mi już kilkakrotnie listownie jak i innemi sposoby dać dowody swej szczególnej łaski. Ośmieliłem się zatem złożyć Mu w liście łacińskim gratulacyę z powodu nowej konstytucyi a zarazem wspomnieć o wyborze, który mnie niegodnego w pismach publicznych postawił przy jego boku. Ku największemu memu zdziwieniu otrzymałem pierwszą pocztą długą, wielce łaskawą odpowiedź. Nie potrzebuję pewnie szeroko opisywać, jak serdecznie mnie wzruszyła taka niezwykła i szczególna łaskawość wielkiego króla wśród jego niezmiernie ważnych sejmowych zatrudnień. Pomiędzy innemi znajdował się taki ustęp w odpowiedzi:

„Używaj, mężu najuczeńszy, resztek żywota Twego pełnego zasług i lat. Oby sędziwy wiek Twój, tak szanowny i dla ludzkości niezbędny, odżył na długie jeszcze czasy. A gdy przesławna Wasza Akademia berlińska wybrała mnie członkiem swym nadzwyczajnym zewnętrznym, gdy imię Twe, sławne w rozmaitych państwach Europy

zespoliła z imieniem mojem — tedy i wybór ów miłem przyjmuję sercem i z tego żywo się cieszę, żeś ze mną połączony, jako mąż narodowi memu polskiemu najżyczliwszy, w głębi serc naszych wdzięcznie zapisany“.

Dalej zawiera rocznik ten artykuł o Wieliczce w styczniu 1792, napisany przez hrabiego Lepel, królewskiego szambelana i kawalera zakonu św. Jana; a wreszcie artykuł ekonomiczno-statystyczny o finansach polskich od 1 września 1786 r. do ostatniego sierpnia 1788, napisany przez znanego Steinera na podstawie złożonej sejmowi w styczniu r. 1791 „relacyi z egzaminu komisyi skarbu koronnego“.

Rocznik 1793 nie zawiera nic, coby się odnosiło do historyi polskiej.

Najważniejszym wszakże i najciekawszym jest długi artykuł, któryśmy dotąd pominęli. Ma on tytuł: *Einige Briefe über Polen, geschrieben im Sommer 1791* i mieści się w rocznikach z lat 1791, 92 i 93. Jest to wcale ciekawy opis podróży po Polsce, odbytej w miesiącach maju i czerwcu r. 1791, tem ważniejszy i ciekawszy, że jest w swoim rodzaju unikatem.

Znane dotąd opisy podróży po Polsce, napisane przez cudzoziemców, przedstawiają kraj ten w najczarniejszych barwach, Polska, kraj i ludność robi na nich najgorsze wrażenie. Tutaj przeciwnie, autor tego opisu jest zachwycony krajem, ludnością i stosunkami. Odważylibyśmy się ztąd wnioskować, że przecież w porównaniu do innych krajów znowu tak strasznie źle w Polsce być nie musiało, kiedy człowiek taki jak nasz autor, znający także inne kraje europejskie, wcale nie znajduje, ażeby ówczesna Polska pod każdym względem niżej stała od innych.

Prawda, że autor jest do tego stopnia naszym przyjacielem, że przyznaje nam nawet przymioty, których niewątpliwie nigdy nie posiadaliśmy, jak np. wielką prakty-

czność. Prawda, że podróż swą odbywa w najpiękniejszej porze roku, kiedy mu się ani niepogoda ani złe drogi uczuć nie dały i w dodatku jedzie jeszcze dwoma najlepszemi gościńcami w Polsce z Poznania do Warszawy i z Warszawy do Torunia. Okoliczności te niewątpliwie wpłynęły na tak korzystne dla nas usposobienie autora.

Ponieważ te listy zawierające opis podróży po Polsce wydrukowane są bezimiennie, zachodzi więc pytanie, kto je pisał?

Niewątpliwie Niemiec wyznania protestanckiego, zamieszkały w Berlinie, pochodzenia mieszczańskiego, stanowczy przeciwnik Jezuitów, nie umiejący wcale po polsku, politycznych zasad liberalno-monarchicznych, wielki przyjaciel Polaków i Polski a zapalony admirator króla Stanisława Augusta, którego wynosi niesłychanie i któremu przypisuje wszystkie reformy, które w Polsce w czasie tym zaprowadzono. Wszystko to wynika niewątpliwie z własnych jego listów.

Ośmielilibyśmy się atoli jeszcze bliżej oznaczyć osobę autora. Z niektórych bowiem względów wnosimy, że jest nim nie kto inny jak sam redaktor *Berlinische Monatsschrift*, Jan Eryk Biester.

W biografii jego, umieszczonej w *Allgemeine Deutsche Bibliographie*, czytamy, że w chwilach wolnych od urzędowych zajęć, odbywał zwykle podróże, tak w r. 1782 po Szlązku, w r. 1787 po całych Niemczech i t. d. Sądzimy, że pod tem lakonicznem „i t. d.“ ukrywa się właśnie między innemi także nasza podróż po Polsce z roku 1791.

Zapatrywania listów tych zgadzają się jak najzupełniej z dążnościami i sądami innych artykułów Biestera, któreśmy w czasopiśmie jego czytali, tak n. p. admiracyą dla króla Stanisława Augusta znajdujemy także w przedmowie, którą Biester dodał do przytoczonego

wyżej listu króla, wystosowanego do akademii berlińskiej; z nienawiścią dla Jezuitów spotykamy się aż do zbytku we wszystkich rocznikach jego czasopisma. Dalej autor opisu podróży, mówiąc o rolnem gospodarstwie i hodowaniu bydła w Polsce, porównywa je zwykle ze zwyczajami zachowywanemi na Szlązku, choć, jak z opowiadania jego wynika, zamieszkały jest w Berlinie. I ta okoliczność przemawia za autorstwem Biestera, który, jak to powiedzieliśmy, na kilka lat poprzednio zwiedzał Szlązk.

Przebywając w Warszawie nasz podróżny z zamiłowaniem zwiedza biblioteki, stara się zapoznać z ich urządzeniem, opisuje szczegółowo system, według którego urządzono bibliotekę Załuskich, a wszystko to naprowadza nas na domysł, że autor musiał stać w pewnym związku z zatrudnieniami bibliotecznemi, a jak już powiedzieliśmy wyżej, Biester był dyrektorem królewskiej biblioteki w Berlinie.

Kiedy autor nasz prezentuje się Stanisławowi Augustowi, król między innemi przesyła przez niego pozdrowienie dla dwóch uczonych berlińskich Formeya i Büschinga, widać więc z tego, że autor nasz musiał stać w stosunkach z uczonymi i zapewne sam do nich należał, co także przemawia za autorstwem Biestera.

Wreszcie artykuły w *Berlinische Monatsschrift* z reguły są podpisane przez autorów, z wyjątkiem tych, które wychodzą od redakcyi. Dopóki Biester redagował pismo to wspólnie z Gedikem, t. j. do roku 1790, napotykamy jeszcze czasami imię jego pod artykułami dla odróżnienia tych, które on, od tych, które Gedike pisał. Od r. 1791 zaś, kiedy je sam wydaje, już nigdy się nie podpisuje, wnosimy więc ztąd, wiedząc że nie tylko zajmował się redakcyą tego pisma, lecz sam niemało w niem pisywał, wnosimy — mówię — ztąd, że przeważna większość niepodpisanych imieniem autora artykułów

pochodzi właśnie od samego redaktora, jak się to zresztą i dzisiaj dziać zwykło, a więc także i nasz opis podróży.

Z tego wszystkiego domyślamy się, że tym podróżnym jadącym do Polski w końcu kwietnia r. 1791 razem z jakimś Anglikiem i opisującym podróż tę w formie listów, jest Jan Eryk Biester.

Przeciwko temu domysłowi naszemu zdają się przemawiać niektóre szczegóły tej korespondencyi, których nie chcę zamilczeć. List siódmy zaczyna się od ustępu, który zdaje się wskazywać jakoby korespondent pisywał tylko według instrukcyi danych mu z redakcyi, jakoby odpowiadał tylko na pytania, które mu redakcya, a nią jest Biester, postawiła. List dziesiąty zaś zaczyna się od słów, które zdają się wskazywać, jakoby redakcya niekoniecznie podzielała tak wielką przychylność korespondenta dla Polaków.

Jedno i drugie przemawia przeciw naszemu przypuszczeniu, sądzę jednak, że tylko pozornie Biester bowiem mógł użyć umyślnie tych zwrotów, aby tem bardziej nie zdradzić swego autorstwa, mógł się rozmyślnie dopuścić tej małej mistyfikacyi i w tym celu może opisowi swemu nadał także formę listów; że zresztą listy te przed wydrukowaniem doznały pewnego przerobienia i uzupełnień, widać z wielu ustępów. Zresztą ów szczegół z listu dziesiątego odnosić się może do niektórych znajomych berlińskich lub czytelników czasopisma, nie podzielających jego zapatrywań o Polsce, którym więc korzystne sądy autora niekoniecznie przypadały do smaku Wnoszę z tego, że szczegóły te nie obalają jeszcze mego domysłu o autorze tych listów.

Z całego toku opisu zdaje się, jakoby podróżni nasi nie mieli w Polsce żadnych interesów do załatwienia, lecz podróżowali tylko dla zwiedzenia kraju.

Druga część opisu zajmująca się Toruniem, nie zawiera dla nas prawie nic ciekawego; przytoczę z niej tylko jeden szczegół w sprawie Kopernika, o którym, jak to zobaczymy, nawet przez głowę autorowi nie przejdzie, żeby miał być Niemcem.

„Jeszcze stoi dom na starem mieście — pisze autor — na rogu ulicy piekarskiej, jeszcze widać w nim pokój o dwóch oknach, w którym się urodził Mikołaj Kopernik 19 stycznia 1472 r. Teraźniejszy właściciel, rzemieślnik, wpadł na szczęśliwą myśl, kazać umieścić glob na studni blisko domu tego stojącej. Malowany portret Kopernika znajduje się w bibliotece. Nos długi, bystre oczy, z całego zakroju polska twarz. Ta okoliczność i nazwisko jego, które pewnie brzmiało Cepernik lub podobnie, potwierdzają podanie, że ojciec jego był polski chłop, t. j. niewolnik, że zatem wielki ten człowiek prawnie — jak się wyrażają popełniając blasfemią — powinien był także być niewolnikiem. Zamiast tego został filozofem, lekarzem, matematykiem i astronomem, dobroczyńcą i luminarzem współczesnych i potomnych...

„Wdzięczne rodzinne miasto jego kazało mu w kościele św. Jana wystawić portret i nagrobek, tuż obok króla polskiego Olbrachta. Inny pomnik chciał jemu, a przy tej sposobności także sobie samemu, wystawić niesłychanie próżny książe Jabłonowski, który żył w Lipsku. Przysłał do Torunia popiersie Kopernika z napuszystym napisem, opływającym w pochwały dla siebie samego. Tutaj jednak popiersie się nie podobało i dlatego wyrzucono je do stajni na dziedzińcu ratuszowym. Niesłusznie postąpiono, bo jako pomnik i jako dzieło sztuki popiersie to nie jest tak nędzne, choć rzeczywiście wykonaniem się nie odznacza a materyałem jest prosty kamień“.

Jeźli teraz w dalszych ustępach podamy częścią w przekładzie, częścią w streszczeniu ten opis podróży po Polsce, opuszczając całe stronice nie zawierające nic

ciekawego, odczyta go, sądzimy, niejeden z zajęciem, bo zawiera on nieraz wcale trafne a zawsze wielce nam życzliwe spostrzeżenia i niektóre szczegóły takie, na które autorowie polskich tak licznych z tego czasu pamiętników nie zważali, przypuszczając, że znane są powszechnie. I były one znane w czasach, kiedy pisali, lecz dzisiaj dla nas byłyby one stracone na zawsze, gdyby się nie znalazły w opowiadaniach o Polsce, napisanych przez cudzoziemców.

nadarzy. Widziałem kopiące kobiety; mówiono mi później, że jest to ich robota, podczas gdy mężowie orzą; domowe gospodarstwo więc nie zabiera całego czasu kobietom. Tylko na ludziach zbywa temu szczęśliwemu krajowi, zresztą wszystkoby szło jaknajwyborniej. Potrzeba tylko jeszcze dobrze urządzonej konstytucyi, któraby mieszczanom i chłopom zapewniała ich prawa; gdyby się to stało, znalazłoby się i ludzi podostatkiem! Z takiemi myślami wjechałem bardzo wcześnie rano 7 maja do Poznania.

„Pierwsze co w Poznaniu słyszałem, była to rozmowa o jutrzejszej uroczystości w dzień św. Stanisława, z powodu wolności miast. A więc, mówiłem sobie, jakiś dobry duch już spełnił życzenie kosmopolitycznego obywatela! Miasta a zatem zapewne i kraj także już wolne! Z chciwością wziąłem do ręki nowe prawo [1]), a z rozczuleniem i radością odczytawszy je, położyłem je na bok. Trzeba nie zapominać o niskim stopniu, na którym stali tak zwani mieszczanie lub raczej mieszkańcy tak zwanych miast, aby dokładnie poznać wartość tego nowego urządzenia, którem szlachetny przyjaciel ludzkości, król, uszczęśliwił część swego kraju. Z tego punktu widzenia przyznać trzeba, że zdziałano ogromnie wiele. Pierwszy — zawsze najtrudniejszy krok — krok do prawdziwej oświaty, to znaczy do prawdziwego dobrobytu państwa, już teraz zrobiony.

„Mieszkańcy miasta przedtem nie byli wolnymi (art. I, §. 2) a wiadomo, co niewola w Polsce znaczyła. Co kto posiadał, nie należało do niego jako własność, nie mógł tego przekazywać swym spadkobiercom (art. I, §. 2 i 6). Mieszczanom tym, jak niewolnikom lub nieuczciwym ludziom, zamknięty był przystęp prawie do wszystkich znaczniejszych posad. Nie mogli sprawować żadnych obowiązków w kancelaryach nawet niższych sądów (art. II, §. 9), nie mogli nawet być adwokatami (tamże), nie mogli na katedrach być doktorami-kanonikami (art. II, §. 10).

---

[1]) Mówiłem wyżej, że podróżnik nasz nie umiał po polsku, ale już wtedy istniały dwa tłumaczenia prawa o miastach: 1) *Gesetz unter dem Titel: Unsre königliche freie Städte in den Staaten der Republik.* Gegeben den 18 April 1791. Posen, bei S. G. Pressen, kgl. privilegirten Buchdrucker, z winietą przez G. W. Weila rysowaną u Ungera na drzewie wyrznięta, 23 str. in 8o.; 2) *Gesetz unter dem Titel: Unsre königl. Städte für frei in den Staaten der Republik erklärt* den 18 April 1791. Aus dem polnischen Original übersetzt. Zweite und verbesserte Auflage. Warschau, gedruckt bei M. Gröll, königl. Hofbuchhandlung 25 str. in 8o. Tych tłumaczeń używał nasz autor.

Podróżni nasi, wyjechawszy z Berlina, udali się przez Frankfurt ku granicy polskiej. Przekroczywszy ją niedaleko Międzyrzecza, zauważyli niebawem znaczną zmianę.

Głównie się do tego przyczyniła — czytamy w opisie tej podróży — powierzchowność wsi, są one bowiem niezmiernie długie i rozległe, każdy dom stoi zupełnie osobno ze swym ogrodem, swą studnią i innemi dodatkami, — dalej uderzał inny kształt domów, zupełnie drewnianych, jak blokhauzy, wystawionych z belek przekładanych jedna na drugiej, — a wreszcie ogromne mnóstwo żydów.

„W lasach i wsiach widziałem ich jako szynkarzy z flaszką gorzałki we drzwiach stojących; poczmistrzom i kto się tylko zajmuje jakiemkolwiek znaczniejszem zatrudnieniem, służą oni za tak zwanych faktorów; mnóstwo innych spraw w miastach i po wsiach znajduje się tylko w ich rękach, i tak n. p. chodzą po kraju jako krawcy dla mężczyzn i kobiet a nawet — rzecz bardzo śmieszna, przy długich ich brodach — jako golibrody. W małych miejscowościach są jedynymi kupcami, kramarzami, rzemieślnikami i Bóg wie czem jeszcze!“

Pierwsze miasto, Międzyrzecz, niekoniecznie świetnie przedstawiło się podróżnym: „mnóstwo żydów, dużo brudu i mało żołnierzy“, powiada autor.

Przez Silno, Pniewy, Bytyń ruszyli potem do Poznania. „Piękny to, błogosławiony kraj!... Pełno najprzepyszniejszych lasów, grunt przedewszystkiem żytni. Nigdzie nie widziałem pszenicy... Grunta bardzo dobrze i pilnie uprawiane. Jest tu osobliwszy zwyczaj, że rolę dzielą na niesłychanie wązkie skiby, nie obsiewając wcale bruzd pomiędzy jedną a drugą. Tym sposobem prawie czwarta część roli zostaje bez użytku. Lepiejby może było, gdyby szlązkim zwyczajem obsiewano i bruzdy, wtedy czy to podczas posuchy czy podczas zbytniej mokrości zawsze by coś sprzątano, a w lata średnie bardzo dużo...

„Przy każdej chłopskiej zagrodzie znajduje się sad i inny ogród. W ogóle zużytkowują tutejsi mieszkańcy jak najstaranniej każdy kawałek gruntu w lesie, na stoku góry i gdzie się tylko

„Jakże wiele więc teraz już zrobiono! Ponieważ zaś i tu już, jak przy wszystkich rewolucyach (bo i tę nieszczęśliwą nazwę nadano tej polskiej zmianie czyli reformie) podnoszą się rozentuazyazmowani krzykacze, którzy wszystko przeceniają, nie umiejąc w swym entuzyazmie odróżnić teraźniejszości od przyszłości, rzeczywistości od imaginacyi, zamierzam wam opierając się na prawdzie, wykazać, że nie ma tu jeszcze prawdziwie wolnej i prawdziwie trwałej konstytucyi i że Niemcy jeszcze nie mają powodu wynosić się z swego kraju do Polski. Nie ma to atoli być naganą polskiej reformy, która, jak już mówiłem, wiele dobrego zdziałała, lecz chciałbym tylko zbić owe czcze deklamacye, które pewnie i do was się dostały".

Przestrzegłszy przed zbytnim entuzyazmem i przecenianiem wolności miast polskich — autor przestrogę tę swoją usprawiedliwia następującemi uwagami.

„Po pierwsze — mówi autor — nie rozciąga się to obwieszczenie wolności na cały kraj; los chłopów zawsze jeszcze zależy od przypadku, czy się dostaną pod samowolną władzę ludzkiego lub tyrańskiego pana. Dobrze że w art. I §. 5 pomyślano już o wypadku, jeźliby z powodu szczęśliwego położenia jakiej miejscowości kolonia wolnych ludzi na królewskim gruncie osiadła i mieszkaniom swym nadała pozory miasta. Lecz o takich kolonistach w kraju niekrólewskim nic nie postanowiono.

„Dalej nie obejmuje to prawo także należących do szlachty miast; o tem przekonywa nas już tytuł i pierwszy paragraf.

„Miasta takie pozostają tedy i nadal w smutnem swem poddaństwie, bo według art. I, §. 6 wolno tylko dziedzicowi udarować chłopów swych wolnością i zamienić swe dziedziczne miasta na wolne. Ale — mówią entuzyaści — szlachta będzie to musiała zrobić, jeźli będzie chciała zatrzymać ludzi, jeźli z jej miast nie mają wszyscy wynosić się do królewskich. Lecz właśnie to byłoby pierwszem hasłem do niszczących walk stronnictw i wewnętrznych niepokojów, jeżeli nie do prawdziwej wojny domowej i właśnie dla tego zapobiegł temu mądry król, rozporządzając (art. I, §. 10) że tylko wolnych i według praw nikomu nie poddanych ludzi przyjmować można.

„Dalej nie obejmuje ustawa żydów, §. 10 mówi wyraźnie tylko o Chrześcianach jako takich, których przyjmować można. W ogóle dotąd jeszcze wcale nie myślano o owych nie-chrześcianach, mimo to, że ci według najlepszych obliczeń wynoszą około czwartej części wszystkich mieszkańców (?) państwa a zwłaszcza

w małych miastach zdają się rzeczywiście tworzyć właściwy stan mieszczański, czyli *tiers etat.*

„Ustanowiono prawdziwie piękne przywileje mieszczan i miast, n. p. (art. II, §. 1): że nie wolno sprawy z mieszczaninem zaczynać od uwięzienia go. Dalej art. I §. 12 i 13: że mieszczanie sami magistrat swój wybierają, co właśnie zwią „piętnem wolności", że każdy z mieszczan wybranym być może (art. III, § 5 i 7); dalej że miasta wydają uchwały co do wewnętrznej policyi, muszą atoli o tem referować komisyi policyjnej, że same przestrzegają wykonania tych przepisów.

„Zbywa jednak jeszcze na prawdziwem kryteryum miejskiej wolności. Miasta nie będą reprezentowane na sejmie (art. II, §. 2 i 3); wybierają wprawdzie pełnomocników, z pomiędzy których znowu biorą członków komisyi skarbowej, policyjnej i assessoryi, lecz z każdej prowincyi zasiada tylko po dwóch mieszczan w komisyi skarbowej i policyjnej, a trzech w assessoryi. Ci assessorowie zaś mają tylko w sprawach miejskich i handlowych głos pełny, w innych rzeczach tylko doradczy. Assessorowie ci mogą dalej, jeżeli miasta potrzebę tę uznają, prosić marszałka sejmowego o pozwolenie do przemowy w sejmie i mogą wtedy przedłożyć ustnie posłom na pełnej sessyi życzenie miast. Atoli ta wolność mówienia udzielona nawet jak przepisano kilku delegatom, nie jest wcale tem samem, co prawo zasiadania i głosowania na sejmie, prawo rzeczywistego członkostwa sejmu, prawo należenia do tego samego stanu.

„Tego prawa reprezentacyi pragnęli zawsze prawdziwi mieszczańscy patryoci, a najenergiczniej odzywał się z tem prezydent miasta Jan Dekert, jak o tem świadczy dobitnie list [1]) jego pisany do marszałka sejmowego Małachowskiego w dzień przed śmiercią (3 października 1790 r.). Upomina on się o prawo, aby miastom wolno było wysyłać na sejm swych reprezentantów przynajmniej wtedy, kiedy sejm radzi o sprawach miejskich. Dodaje on: „Kiedym odebrał wiadomość o owej nieszczęśliwej sessyi sejmowej, na której stanęło prawo, że państwo polskie tylko w stanie szlacheckim może wydawać prawa dla całego narodu, wtedy uczułem to dotkliwie, jak mało dobrego odtąd spodziewać się można po teraźniejszych obradach".

---

1) Autor dodaje, że list ten był drukowany osobno u Grölla na pół arkuszu *in quarto.*

„Zdaje się dalej, że dotąd zbywa jeszcze na zabezpieczeniu mieszczańskich praw przed nadużyciami szlachty, jeżeli jej chodzić będzie o zbyteczną uległość, aby jeszcze raz mówić ze ś. p. Dekertem. Przy wszystkich państwowych zmianach wykonanie największe przedstawia trudności, jak to obecnie widzimy na Francyi; zwłaszcza w Polsce, gdzie każdy chciał panować, uważając porządne instytucye za grób wolności, niejedna rzecz dobra dałaby się zapewne utrwalić, ale jak dotąd nie dało się prawie nic przeprowadzić. Jakże więc ma teraz jakie miasto lub magistrat dojść do prawa egzekucyi przeciw szlachcicowi, który żadną miarą nie chce się zastosować do tego nowego porządku rzeczy?

„O tem milczy ustawa, a to w początkach niejednego zaniepokoić może. Nie tylko bowiem w reszcie Polski, lecz nawet w samej Warszawie skarżono się na despekt, z jakim szlachta traktuje nawet najznakomitszych mieszczan albo przynajmniej stara się traktować. Kto nie jest szlachcicem, mówiono mi, jest w Polsce zerem; nawet po 18 kwietnia i 3 maja pozostał mieszczanin zerem. Żydzi już się nawet wzbraniali zostać mieszczanami nawet według ulepszonego teraz systemu, kiedy im to proponowano; sądzą bowiem, że lepiej im pójdzie jako oddanym w opiekę *(Schutzverwandte)*.

„Cóż bowiem w końcu zyskał przez to prawo mieszczanin, jako członek osobnego stanu? Może teraz kupować szlacheckie wiejskie posiadłości, lecz wtedy przechodzi niebawem co do tych dóbr pod szlacheckie sądy (art. II, §. 5; art. III, §. 3). Może, i są to rzeczywiście wielkie przywileje, (art. III, §. 6) kupić dziedzicznie całą wieś lub miasteczko, a na następnym sejmie będzie nobilitowanym. Może (§. 8) w armii, z wyjątkiem narodowej kawaleryi, awansować do stopnia oficerskiego, a doszedłszy do stopnia sztabowego kapitana lub rotmistrza staje się przez to bez opłaty taks wraz z potomkami swymi szlachcicem. Może (§. 9) pracować w dykasteryach rządowych a doszedłszy tutaj do wyższej posady, zostaje szlachcicem. Prócz tego mają (§. 7) na każdym sejmie nobilitować jeszcze 30 osiadłych i zasłużonych mieszczan. Wszystko to, jak już mówiłem, są to wielkie przywileje dla pojedyńczego człowieka, dla pojedyńczego mieszczanina, któremu tym sposobem stoi otworem droga prawie do wszystkiego; lecz cóż zyska na tem stan mieszczański, jeźli tak na zawsze pozbawiać go będą jego najzasłużeńszych i najszanowniejszych członków? Wątpię, czyby ktoś uważał problemat o politycznej poprawie żydostwa za rozwiązany, gdyby ktoś zaproponował, aby pojedyńczych znakomi-

tych ludzi z tej warstwy od czasu do czasu robiono Chrześcianami. Czyby przez to pozostający wznosili się wyżej lub czyby raczej nie upadali niżej?“

Po takich krytycznych uwagach o ustawie miejskiej, przechodzi nasz podróżny do opisu uroczystości z 8 maja, który w roku 1791 był niedzielą a zarazem i imieninami króla. Główne nabożeństwo odbyło się w okazale przyozdobionym kościele pojezuickim. Przed kościołem ustawiono w szeregach wojsko, które po kilkakrotnie dawało ognia, „wcale dzielnie i akuratnie“. Kilku żydów, którzy się przy uroczystości tej pokazali, wybiło pospólstwo „pewnie na podstawie owych praw ludzkości, o których i tutaj wiele mówią“. Wieczorem całe miasto było świetnie illuminowane, zwłaszcza wspaniały ratusz.

„Rano tego dnia (8 maja) nadeszła z Warszawy do Poznania wiadomość o drugiej większej reformie państwowej, dokonanej 3 maja. Zrobiła bardzo żywe a zarazem bardzo nierówne wrażenie. Niejednego wielce zaniepokoiła. Opowiadano mi, że wielu ze szlachty, którzy się właśnie w mieście znajdowali, dosiadło koni za nadejściem tej wiadomości, w którą początkowo wierzyć nie chciano, i wróciło czemprędzej do swych powiatów“.

Opis Poznania, który w dalszem opowiadaniu podaje autor, zawiera wiele rzeczy nieciekawych, podamy go więc tylko w streszczeniu, zwracając uwagę na ciekawsze szczegóły. Poznań miał wtedy według naszego autora tylko jedną księgarnię, własność niejakiego Jana Gotliba Zopfa, któremu się nieświetnie wiodło. Aby dochody swe podnieść, założył on wypożyczalnię książek i wydawał rocznie spis „dość licznego szeregu niekompletnych dzieł“.

Wspomina też autor o dziełku, opisującem Polskę, jej zmianę konstytucyjną i miasto Poznań, „którego autor udaje Polaka, jak to się teraz stało zwyczajem u obcych piszących o Polsce“. Dzieło to nosi tytuł: *Ueber Polen überhaupt und über die glückliche Saatsrevolution am 3 Mai 1791. Briefe eines Polen an seinen Freund in Kursachsen. Warschau 1791.* „Wielki temat na 2½ arkusza w małej ósemce. O rewolucyi nic więcej nie mówi, jak to co wie najpobieżniejszy czytelnik gazet. Polakiem nie jest autor niewątpliwie a może nawet nie długo w Polsce przebywał. W zbyt gorżkiej charakterystyce Polaków jest może nieco prawdy. W niektórych drobiazgach nie zbywa na błędach, tak n. p. na str. 1 opowiada, że tylko z wyjątkiem młodej szlachty, powszechnie w Polsce panuje zwyczaj, że najliczniejsze towarzystwo pije z jednego kieliszka, który krąży na około. Widziałem to tylko w naj-

mniejszych miejscowościach; u starej choć nie bardzo zamożnej szlachty nigdy".

Autor nasz daje Poznaniowi 3000 domów i od 40 do 50 tysięcy mieszkańców. Opisuje potem pobieżnie położenie miasta, rynek, ratusz i odwach przy nim. „Stojąca tutaj piechota nowo zorganizowana — mówi — wygląda bardzo dobrze, zwłaszcza podoficerowie są to przystojni młodzi ludzie. Mają na sobie jasnoniebieskie kolety *(Wämser)*, lekko zawinięte harcopy i czapki niedźwiedzie; oficerowie, pomiędzy nimi wiele Niemców, noszą szarfy, czerwone czapki ze złotem i złote szlify".

Kościołów i klasztorów w mieście naliczył autor 36, z pomiędzy których nieco szczegółowiej opisuje kościół jezuicki, farę, albo raczej jej ruiny, mały kościółek na rogu ulicy żydowskiej, „która cuchnie już z daleka", tum, który wtedy na nowo odbudowywano, komturyą maltańską, kościół Bernardynów, a wreszcie najdokładniej kościół luterski na grobli, w którego pobliżu znajdowała się także drukarnia Pressera.

„W okolicy Poznania — mówi dalej — jest mnóstwo pagórków. Tuż przy mieście wznosi się jeden, na którym stoi bardzo stary zamek. Część jego służy na pomieszczenie sądu grodzkiego. Kilka pokoi nie opalają nawet w najcięższe mrozy, z obawy żeby pożar nie zniszczył aktów. Koncepiści siedzą więc z kałamarzem pod pachą, żeby im atrament nie zamarzł... Na pagórku znajduje się wielkie próżne miejsce, na którem około św. Jana zbiera się szlachta z prowincyi tysiącami dla kontraktów. Tutaj, jak na jakiej giełdzie, omawiają i zawierają pod gołem niebem interesa dzierżaw, sprzedaży, cessyi, pożyczek i t. d., po tem wchodzą strony do zamku, aby omówione sprawy sądownie spisać. W czasie tych kontraktów Poznań jest bardzo świetnym, szlachta zjeżdża się z żonami i córkami.

„Jestto charakterystyczny rys Polaków, że choć w domu żyją skromnie i mają mieszkania nieraz nędzne, jednak w miastach występują z wielką świetnością i przepychem. W czasie kontraktów spotykasz na gościńcach najpiękniejsze powozy i najbogatsze liberye, takie jakich w Niemczech prawie nigdy nie widzisz a co najwięcej chyba w Anglii. Całe miasto jest jakby nabite a za malutki pokoik płacisz na krótki czas od dwóch do trzech tygodni od 18 do 20 dukatów... Pomiędzy żebrakami ma tu istnieć własna, bardzo dobra ale trochę republikańska policya, Z marszałkiem z pomiędzy siebie wybranym włóczą się żebracy po ulicach, a marszałek ten utrzymuje porządek w oddziale;

w pewne dnie udaje się do drzwi bogatszych mieszkańców, stuka i czeka, aż mu sługa przyniesie pieniądze do podziału“.

Z Poznania zrobili nasi podróżni wycieczkę na północ. Pojechali najprzód do Obornik, „miasta więcej polskiego niż którekolwiek z tych, które dotąd widziałem. Tutaj widzisz tylko polskie ubranie i słyszysz tylko polski język. Znakomitsi mieszkańcy tutejsi atoli także umieją po niemiecku. Szlachtę polską zwłaszcza w kraju posądzają o dumę. Prawda, że kiedy w swym długim narodowym stroju kroczą naprzód, strój ten nadaje im rzeczywiście pozory dumy, obudza niejako uszanowanie. Ubiór ten co do kroju i formy rękawów jest podobny do odzieży tureckiej, która znowu atoli co do obuwia stoi niesłychanie niżej od polskiego stroju. Zdaje się, jakoby ubiór turecki wynalazł bojący się powietrza, bezczynny lud, który się tylko w komnatach swych czołga od sofy do sofy; polski ubiór zaś jest strojem dzielnych mężów, pozwala się swobodnie poruszać pieszo i konno“.

W Obornikach nie było prawie domów murowanych, lecz tylko drewniane, a co najwięcej — z tak zwanego pruskiego muru. Podróżni wstąpili tu do szlachcica polskiego dość majętnego, który już na nich czekał; widocznie więc był uprzedzony o ich przyjeździe. „Największy i najlepszy pokój domu jego, do którego nas wprowadził, wyglądał rzeczywiście nędznie; ściany były na czerwono pomalowane, zamiast posadzki klepisko, stołów i krzeseł mało i nie osobliwe, innych mebli nie było wcale. Podłoga albo raczej klepisko świadczyło o oryginalnej, u nas nieznanej galanteryi, gospodarz kazał je dla gości wysłać tatarakiem. Jedynie dwa łóżka bardzo dobre, bardzo czyste i zgrabnym haftem na poszewkach i kołdrach ozdobione, zwracały uwagę na siebie. Są one bardzo nizkie, prawie jak tureckie dywany, i mają mnóstwo poduszek. Takie klepiska tatarakiem wysłane i takie ładne łóżka spotkasz wszędzie w Polsce na prowincyi i w małych miasteczkach. Łóżka i pościel są prawie jedynym zbytkowym artykułem po domach; tu i owdzie widzisz u nich nawet jedwabne zasłony; że się tutaj zresztą o każdej porze dnia zapija węgrzyna, o tem pewno już wiecie“.

Z Obornik pojechali nasi podróżni do Połajewa, które wraz z trzy mile kwadr. zajmującym kluczem i 5000 mieszkańców zakupił poprzednio były pruski minister Görne i odprzedał je potem tak zwanemu król. pruskiemu handlowi morskiemu, instytucyi, która i dziś jeszcze istnieje. Autor ogromnie wychwala tutejsze „zupełnie niemieckie“ gospodarstwo, zabudowania folwarczne, by-

dło, szkółki, ogrody, sadzawki ze spustami, browary, gorzelnie, młyny i t. d. Główny zarządca tego wzorowego majątku był wprawdzie zrodzony w Polsce, ale pochodził z niemieckiej rodziny i zapoznał się w podróżach z wzorowem gospodarstwem.

Różnicę od gospodarstwa niemieckiego zauważył autor tylko co do owiec. „Owce tutaj doją, czegoby na Szlązku nie robiono, chcąc dostać więcej i lepszej wełny; picie pozostawiają owcom samym, nikt się o pobudzanie ich do tego nie stara, nie dają im soli, nie wypędzają ich do pojenia, same wszędzie spotykają źródła i stawy, a zimą liżą śnieg. Charakterystycznym jest jeszcze następujący rys. Dom zarządcy duży, bardzo stary spalił się zupełnie w kwietniu. O 50 kroków od pożaru w nędznej kaplicy (katolicki kościół bowiem zwalił się, a ta kaplica zastępuje go tymczasem) odprawiało się właśnie nabożeństwo. Proboszcz, ex-Jezuita, odprawiał je, a około 300 ludzi znajdowało się po części wewnątrz, po części, jak zwykle, za drzwiami. Kiedy więc zaczęto wołać o pomoc, zakazał proboszcz owieczkom swym pomagać. Mówił, widząc że wiatr pędzi pożar nie na jego kaplicę, że już zażegnał ogień i że dalej nie pójdzie. Kazał jednak dla większego bezpieczeństwa zanieść swych drewnianych świętych na drugą stronę rzeczki".

Z Połajewa puścili się w dalszą jeszcze wycieczkę. „Używałem wyśmienitych dni — pisze autor — i musiałem coraz więcej kraj ten polubić, dla którego dobroczynna natura tak wiele zrobiła i co do roli i co do ludzi tu mieszkających".

Powróciwszy do Poznania, wyruszyli podróżni niebawem do Warszawy. W drodze tej uderzają naszego autora chaty chłopskie, z ułożonych jedna na drugiej belek, dodaje jednak, że w domach pocztowych wszędzie znalazł dobre i obszerne pokoje; miasta jednak polskie w Niemczech uchodziłyby chyba za wsie, choć są nieraz obszerne i mają prawie zawsze wielki rynek. Rzadko tylko widział murowany kościół lub jaki okazalszy dworek. Tu i owdzie zaś pokazywały się jeszcze ślady spustoszeń po wojnach z XVII wieku, a „imię Szwed było jeszcze postrachem dla dzieci".

„W Polsce podróżuje się wcale dobrze extra-pocztami. Liczba koni, którą trzeba do powozu zaprządz, jest wyznaczoną i to dość wysoka. Na stacyach usługa odbywa się bardzo szybko. Pocztylionowie nie są ani podstępni ani niezręczni, jadą ostrożnie a jednak szybko, co jak wiecie, nie o wszystkich sąsiednich krajach powiedziećby się dało. Konie lekkiej, zwinnej rasy, biegną szybko na gruncie niebagnistym, czasem też widać konie ukraińskie lub

tatarskie, bardzo ogniste. Płaci się jak w Prusiech 8 groszy za milę od konia, choć mile są trochę mniejsze; 4 polskie znaczą tyle co 3 niemieckie.

„Choć żaden z nas nie umiał po polsku, jednak nigdy nas nie powieziono w fałszywym kierunku, nigdy nas nie zatrzymano, ani nam nie sprawiono żadnej przykrości. Raz jeden tylko w drodze więcej jak 80-milowej mieliśmy mały spór z poczmistrzem trochę nietrzeźwym, któryby się pewnie daleko prędzej był skończył, gdybyśmy byli umieli po polsku. Mimo to jednak skończyła się sprawa ta rozsądnie i słusznie. Później z ostrożności wzięliśmy przez królewską generalną dyrekcyę poczt z Warszawy wystawiony i w pieczęć opatrzony rozkaz do wszystkich poczmistrzów, lecz na zaszczyt Polaków muszę powiedzieć, że nie potrzebowaliśmy go ani razu używać“. Ta szybka usługa po domach pocztowych i wielka uprzejmość pocztylionów tak się naszemu podróżnemu podobały, że później jeszcze raz do nich wraca.

Regularnej poczty osobowej wtedy nie było jeszcze pomiędzy Poznaniem a Warszawą, i pomiędzy Warszawą a Toruniem. Ubożsi ludzie najmowali zwykle żydów i robili na dzień 6 do 8 mil, bogatsi jeździli albo swemi końmi, albo extrapocztą.

„W Polsce czy we dnie czy w nocy jechać można bardzo bezpiecznie. Kilkakroćstotysięcy dukatów wiezie kabryoletem jeden człowiek, a i za granicą powierzają nawet znaczne sumy często nieznanym woźnicom z dalekich polskich prowincyj, a nikt jeszcze nie słyszał, żeby je skradziono... W ogóle naród polski jest za dobroduszny i za spokojny na takie zbrodnie. Tak więc podróżujesz w Polsce bezpiecznie, wygodnie i przyjemnie, w kraju najhojniej przez naturę uposażonym i nie spotykasz prawie żadnego człowieka. Ten brak ludności daje się jeszcze więcej uczuć, skoro wjedziesz w lesiste okolice. Lasy są po części znacznie i nieporządnie przetrzebione. Widzisz nawet mnóstwo wysokich drzew, z których górną część ścięto, a nikt nie myśli o tem, żeby je wykarczować. Wiele drzew spalono, na czem rola nic nie zyskała, bo korzenie pozostają w ziemi. Często nawet widać ślady ognia na zielonych pniach, aby sobie ułatwić ścięcie drzewa. Raz jeden tylko w całej swej podróży widziałem wykopane drzewo wraz z korzeniami, i zdawało mi się, jakobym na pustej wyspie spotkał znów ślady ludzkie. Owe groble i gałęzie i inne błędy dróg nie dowodzą także braku pilności lub rozsądku, lecz tylko braku rąk“.

Przez Kostrzyn, Wrześnię, Kleczew, Kłodawę, Kutno, Sochaczew, Błonie dojechali nasi podróżni do Warszawy. I tu ich nie-

bawem uderzyło, że na rogatkach ledwie ich tylko o nazwiska spytano. Stanęli na ulicy Senatorskiej w hotelu polskim, przed paru laty zbudowanym, „dobrze położonym, pokaźnym, dobrym i wygodnym hotelu, za jakiby uchodził nawet w każdem z najpiękniejszych miast Europy“.

Autor podaje nam o Warszawie wiele szczegółowszy opis niż o Poznaniu. „Jest to miasto bardzo wielkie, z wielu pałacami i ogrodami, dobrze zaludnione, bogate, przyjemne i we wszelkie wygody i wykwintności życia zaopatrzone...

„W Niemczech atoli mamy tak dziwne pojęcia o braku kultury, braku policyi, a nawet braku dobrobytu u Polaków, że może i wy tak sądzicie, a mimo to co do przepychu i wygody życia chyba tylko Wiedeń może się równać z Warszawą“.

I tutaj nie będę za autorem powtarzał szczegółowego opisu stolicy, która mu się tak podobała. Przytoczę tylko niektóre ogólne uwagi. „Rzeczywiście — mówi on między innemi — zadziwiającem jest mnóstwo gustownych i wspaniale wybudowanych pałaców, stojących w najlepszych częściach miasta blisko siebie. Są to wielkie, trwałe i piękne budowy, wnętrze odpowiada zupełnie powierzchowności; ogrody, ozdoby salonów i komnat, umeblowanie, zbiory obrazów, miedziorytów i t. d., wszystko to świadczy o bogactwie i smaku mieszkańców. Ponieważ miejsca nie było potrzeba oszczędzać, stawiano domy te zwykle z zamkniętym dziedzińcem. Wielka to wygoda, i kiedy się wiele powozów nazjeżdża, i dla kupców, którzy na tych dziedzińcach zostawiać mogą skrzynie z towarami i ładowne wozy, albo też wystawiać na nim w tym celu szopy i magazyny naokół...

„Widzisz wprawdzie czasem niedaleko od wspaniałego pałacu nędzną chatę lub drewniany domek, zupełnie taki, jaki się łączy z wyobrażeniem o polskim nierządzie. Lecz we właściwem mieście zdarza się to bardzo rzadko; na przedmieściach tylko, które zresztą i wszędzieindziej bywają budowane niedbalej i więcej po wiejsku, wiele znajdzie się domów drewnianych. Taki bowiem był dawny zwyczaj budowania w Polsce, a nie zawsze świadczy on o ubóstwie. Jeżeli w Warszawie wnijdziesz do mieszkania rzemieślnika lub innego mieszczanina, znajdziesz w niem nieraz wygodne i o dobrobycie świadczące urządzenie, którego często daremniebyś szukał w niejednym murowanym domu niemieckich rezydencyj. Zresztą i te drewniane domy powoli znikną, bo teraz już prawnie zakazano naprawiać takie domostwa; co zaś grozi upadkiem lub się zwali, musi powstać na nowo z kamienia; widzisz więc powsta-

jące całe ulice murowanych domów, które ze spekulacyi budować każą bogaci panowie, aby je wydzierżawiać rzemieślnikom. Prawda także, że wiele tu jeszcze niebrukowanych ulic, lecz tylko na przedmieściach, co zresztą i w Niemczech bardzo często się zdarza. Zresztą pełno tu szerokich, prostych, pięknych ulic, a za dnia i w nocy chodzisz po nich zupełnie bezpiecznie i spokojnie, co więcej nawet kłótni i hałasów nie słyszysz".

Między gmachami Warszawy najwięcej się podobał autorowi pałac Krasińskich, czyli „jak go teraz trafniej zowią, pałac Rzeczypospolitej". Zwiedzał on także pracownię Bacciarellego, znajdującą się w zamku. „Widzieliśmy tutaj kilka dzieł jego; pomiędzy innemi wielki obraz, nad którym teraz pracuje. Możnaby go nazwać tryumfem piękności nad mądrością. Przedstawia Salomona, składającego siebie i swą koronę u nóg królowej Saby. Same tu wielce szlachetne i piękne postaci. Jest to *pendant* do niedawno przedtem skończonego obrazu tego mistrza: *Salomon poświęca świątynię*. Obrazy te przeznaczone są do Łazienek. Bardzo podobne i bardzo piękne portrety króla, braci i synowców jego, pędzla Bacciarellego, znane i cenione są także za granicą. Mały ale ciekawy obrazek, pełen portretów, przedstawia ranne zgromadzenie u króla po jego oswobodzeniu z morderczych rąk w dniu 4 listopada 1771 r. W pobliżu pokojów tych znajduje się pracownia rzeźbiarza Merliniego, w której widzieliśmy mnóstwo prac bardzo dobrych, częścią ukończonych, częścią dopiero zaczętych".

W zamku zwiedzali podróżni także bibliotekę królewską. Nie zastawszy jednak w niej ks. Albertrandego, lecz tylko jakiegoś podbibliotekarza czy sekretarza, nie mogli się doprosić kluczów od pozamykanych szaf z książkami.

Z zamku pojechali do biblioteki Załuskich. „Tutaj jest książek podostatkiem, lecz brak miejsca. Dom sam jest wielki, lecz stary i po części bardzo uszkodzony. Niemiłe też robi wrażenie gdy się widzi w pokojach wszystkie ściany aż do sufitu zapchane literalnie książkami, a prócz tego mnóstwo na środku ustawionych repozytoryj, tak że ruszyć się nie można i brak światła dokucza. Taki sam stan widzieliśmy na wszystkich piętrach a nawet na strychach pod na pół zapadniętym dachem. W niektórych miejscach nawet stoją książki zasypane rumowiskiem w ciemności, albo leżąc na ziemi, albo na deskach ukośnie o kominy lub o pudła opartych. Te wyższe regiony prawie chyba myszy i koty odwiedzają.

„Na dolnych piętrach, gdzie znajdzięsz dobre i obszerne sale, uderzył mnie system podziału książek. Są one podzielone najprzód podług języków; osobne pokoje dla łacińskich, polskich, francuzkich i niemiechich książek. Tym sposobem rozdzielone są daleko od siebie dzieła bardzo pokrewnej z sobą treści, a nawet tłumaczenia od oryginałów. Dalej podzielone są według przedmiotów, jako to historyi i t. d. Przedmioty dzielą się znów na format, a w obrębie formatu panuje porządek alfabetyczny według początkowej litery nazwiska autora.

„Dwaj Jezuici, którzy na pewne liczą na zmartwychwstanie swego zakonu, są tu bibliotekarzami. Jakiś Pijar, jak słyszę, powziął myśl uporządkowania tych dzieł według lepszego planu, lecz już od paru lat nad nim pracuje i skończyć go nie może.

„Był to szlachetny patryotyczny czyn, że obaj uczeni bracia hrabiowie Załuscy podarowali tę kosztowną książnicę królestwu i narodowi, dodając do tego jeszcze znaczny fundusz około 70.000 złotych polskich, częścią w kapitałach, częścią w gruntach, aby odsetki z niego służyły na utrzymanie biblioteki. Lecz rodzina ich zakwestyonowała tę fundacyę, a spór ten i inne okoliczności przeszkodziły zupełnie dobremu urządzeniu i użytkowaniu tej biblioteki. Gdy ogromne to mnóstwo książek — obliczają je na 300.000 tomów, po sprzedaniu 100.000 tomów dubletów — będzie oczyszczone z niepotrzebnego balastu, gdy będzie wygodniej ustawione i odpowiedniej uporządkowane, stanie się zbiór ten cennym dla nauki skarbem. Trzebaby tylko, żeby panowie bibliotekarze przy zakupnie nowych dzieł wznosili się po nad wszelkie religijne uprzedzenia. Główną zaletą, i to bardzo ważną jak na narodową bibliotekę, jest, jak mi zaręczano, niesłychanie bogaty zbiór pism polskich ze wszystkich czasów, choć podobno większą część najkosztowniejszych rzadkości z tego działu już pokradziono. Biblioteka ta jest oddana na użytek publiczny. Książki wypożyczają się za kaucyą“.

Osobny opis poświęca autor saskiemu ogrodowi. „Ogród ten — mówi — z alejami w starym guście i pawilonem, gdzie sprzedają napoje, jest bardzo odwiedzanem zbiorowiskiem arystokratycznego świata. Aż się w głowie mąci, takie tu mnóstwo krajowców i cudzoziemców ze wszystkich stron świata, każdej płci i najrozmaitszych strojów. Jest to rzeczą zajmującą widzieć tu osobistości odgrywające polityczną rolę, jak chodzą ze sobą lub siedzą obok siebie: takiego Sapiehę, którego niektórzy nazywają polskim Foxem, Małachowskiego, Potockich i innych, a prócz tego panie, które.

jak wiadomo, w Polsce jeszcze ważniejszy wpływ wywierają, niż gdzieindziej, n. p. matka ks. Sapiehy.

„Płeć piękna w Polsce, jak wiecie i każdy wiedzieć musi, kto tylko raz gracye te oglądał, odznacza się niezwykłą urodą i imponującą postawą i wzrostem, ubiera się z wielkim smakiem, a nosi się z czarującym powabem i szlachetną godnością. Mężczyźni nie wszyscy ubierają się po polsku, wielu już przebrało się po francuzku. Niejeden przy stroju francuzkim trzyma w ręku szablę polską lub też w inny sposób mięsza z sobą oba te rodzaje ubrania".

Z okolic Warszawy opisuje nasz autor Marymont, Wolę, Mokotów i Wilanów, a przy tej sposobności podaje opis widowiska, które wtedy do rzadkości należało.

„Widowisko, które w Niemczech, o ile wiem, tylko w Wiedniu istnieje, a które pragnąłbym aby zewsząd wyrugowano. Są to hece zwierząt. Naokoło okrągłego niepokrytego miejsca wystawiono obszerną drewnianą budę o trzech piętrach. Na pierwszem piętrze znajdują się najlepsze miejsca i to tuż obok (spodziewam się, że tylko tak zwanej) królewskiej loży, po obu jej stronach najdroższe.

„Afisze są w dwóch językach, polskim i niemieckim, opływające w najhaniebniejsze dowcipy na męki biednych zwierząt. Przedsiębiorcy tego widowiska w Warszawie są Niemcy i to prawdopodobnie Wiedeńczycy. Wnoszę to ztąd, że zatrudnieniem tem zresztą nikt nigdzie się nie zajmuje, a potem z jednego dowcipu umieszczonego na afiszu, który tak brzmi: „6) Niepohamowany wilk, który się o nic na hecy nie troszczy, z dnia na dzień jak ladaco żyje, ciągle na brzuchu leży, ćmiąc tytoń j a k S ł o w a k nie pyta o nikogo, ma być szczutym dzielnie i bezwzględnie z powodu swej sprosności!" — Imię Słowaków, szczepu na Węgrzech osiadłego, w Wiedniu jest dobrze znane; używać go w takiem znaczeniu wśród słowiańskiego narodu jest rzeczą nieprzyzwoitą. Na polskich też afiszach opuszczono je.

„Widowisko to było wstrętne i niesmaczne. *Heroiczna walka zwierząt*, którą widziałem, składała się z 8 części. Uszłoby jeszcze patrzeć na walkę dzikich zwierząt w pełnej sile. Lecz nic wstrętniejszego i nędzniejszego, jak patrzeć na to, kiedy osłabione, przestraszone, wyjące bestyje wyłażą z otworów swych klatek na otwarte miejsce i starają się niebawem uciec napowrót. Takiemi zaś były wszystkie niedźwiedzie i wilki, które wypuszczono. Ani jedno zwierzę nie było wesołe i zwinne, z wyjątkiem panów hecmistrzów i ich psów. Psy te łatwą miały sprawę, bo żadne ze

zwierząt — o oporze mowy nie było — nawet ścigania im nie utrudniało. Żeby je zaś zachować jeszcze na przyszłe widowisko, otwierano im znowu czemprędzej drzwi do klatki.

„Niedźwiedzia jednego, idącego po swój żer, miano drażnić ogniem, lecz tak dobrze już znał całą maszynerye, że nawet nie sięgnął po strawę. Wstrętnym był widok, kiedy na woła z przywiązaną rakietą do ogona wsadzono manekina wyobrażającego człowieka; kiedy zmęczony wół zaczął w skokach pędzić naokół, spadł manekin na bok i wlókł się po ziemi. Widzowie strasznie głośno się śmiali, ja zaś wstydziłem się za ludzi przed temi zwierzętami, które na nas patrzały. Odgrywaliśmy wobec nich wcale nieświetną rolę.

„Wreszcie, ogłoszono na afiszach, „nastąpi pojedynek dwóch walecznych wilków, którzy raz jako wrogowie staną przeciw sobie, to znowu jako wierni sprzymierzeńcy złączeni wspólnie opierać się będą innym zaciętym nieprzyjaciołom“. Lecz nie tak się stało. Owszem oba wcale niewaleczne wilki bardzo starannie siebie omijały, a wszelkie szczucie myśliwych i wszelkie krzyki i stukania widzów na nic się nie zdały. Wtedy więc spuszczono sforę rzeczywiście wrogich im psów; najnędzniejszy z wilków mógł umknąć, za to drugiego męczono tem więcej. Przestraszone zwierzę widząc wszędzie zamkniętą drogę do ucieczki, skakało jakby na skrzydłach niesłychanie wysoko wzdłuż bocznych drewnianych ścian, aż i jemu wreszcie pozwolono skryć się do swej nory.

„Na śmiechach i oklaskach ze strony widzów nie zbywało. Lecz ku sławie Warszawian muszę powiedzieć, że było ich wcale niewielu; z wykwintnego i pięknego świata, z wyjątkiem kilku obcych, nie widziałem nikogo. Spodziewam się, że zawsze tak bywa, i że nietylko czas, jak mi się zdaje, niestosowny spowodował te pustki. Był bowiem wczoraj bardzo piękny, ciepły dzień letni, przytem święto i to święto Bożego Ciała [1]). W dzień ten rano odbywa się wielka, uroczysta procesya, na której i król powinien się znajdować; z powodu małego deszczu atoli zaniechano tego obchodu. Dziwna więc rzecz, że po południu w dzień tak uroczysty odbywa się tak wstrętne widowisko.

„Okoliczności te mogły rzeczywiście powstrzymać spacerujących, biesiadujących i pobożnych. Oby litość i wstręt do widoku niezasłużonych cierpień wstrzymały na zawsze od takich igrzysk lud tak ochoczy do każdej łagodnej radości, jak tutejszy!“

---

1) W roku 1791 przypadało święto Bożego Ciała na 23 czerwca.

W dziewiątym liście zajmuje się nasz podróżny przeważnie sprawami politycznemi. Powtórzymy go tutaj prawie w całości.

„Wiecie, jak silnie jestem przekonany, że rzeczywiście czy pozornie republikańska konstytucya nie uszczęśliwia państwa. O tem każdy się pewnie przekona, kto spojrzy na dotychczasowy ustrój Polski... Zawsze jednak jest to uroczysty widok, patrzeć na zgromadzenie reprezentantów wielkiego narodu i widzieć ich zatrudnionych sprawami i losami swego kraju. W Warszawie łączy się z tem jeszcze myśl, że ludzie ci niedawno uchwalili ową ważną reformę i że pomiędzy nimi znajduje się tyle po części oryginalnych, po części wykształconych i jasnych umysłów.

„Sala sejmowa znajduje się w królewskim pałacu. Jest obszerna, jasna, bardzo wysoka, skromnie ozdobiona, mimo to jednak odpowiednia godności i świetności zgromadzenia. Wszystkie siedzenia są obite karmazynową materyą. W środku znajduje się długi, próżny ganek, pomiędzy dwoma szeregami poręczowych krzeseł (czerwonych z żółtemi obwodami), na których zasiadają senatorowie. Za niemi po obu stronach dwa szeregi czerwonem suknem pokrytych ławek dla deputowanych, lecz także i dla posłów i obcych, których ci wprowadzą. Zresztą dla słuchaczy znajduje się obszerna galerya ciągnąca się naokoło sali, a do niej ma wstęp każdy porządnie ubrany człowiek. U samej góry znajdują się loże dla dam.

„Na przodzie sali, tam gdzie się kończy ów środkowy ganek, stoi królewski tron na kilku stopniach wywyższony: porządne, niebardzo wysokie krzesło z poręczami pod baldachimem. Po bokach stoją, choć król na tronie nie zasiada, dwaj szeregowcy żółto umundurowanej konnej gwardyi. Jedyni to ludzie z nakrytą głową w całej sali. Przedsionek, przez który się przechodzi, idąc do sali posiedzeń, właściwie senatorskiego pokoju, zapełniony jest tą gwardyą; sami to wysocy, piękni ludzie. Przy tej sposobności donoszę wam zaraz, że ani tutaj, ani gdziekolwiek, gdzie był powód do ciżby i gdzie bez żołnierzy się nie mogło obejść, nie widziałem nigdzie tak częstych u nas a nieznośnych nawyczek, to jest prostackiego i nierozsądnego tłoczenia się lub popychania ze strony widzów i niesfornego, często nawet gwałtownego mięszania się wojska.

„Na drugim końcu środkowego ganku siedzą marszałkowie sejmu, którzy atoli często miejsce swe opuszczają; znajduje się tam także stół dla pisarzy i t. d. Byłem na sesyach w dniach, kiedy król osobiście w nich brał udział, i w dniach, kiedy go nie

było. Kiedy króla nie było, mówiono mi, że w obecności króla hałaśliwość mówiących lub spierających się posłów przycicha; nie zrobiłem jednak tego spostrzeżenia, będąc na sesyach królewskich. Na takich sesyach przy tronie i za nim stoi mnóstwo sług dworskich. Król wtedy rozmawiał też z niektórymi senatorami i innemi osobami. Król miał na sobie uniform swej gwardyi lub kadetów.

„Z dwóch marszałków sejmowych czyli marszałków generalnej konfederacyi ubiera się wielki referendarz koronny Stanisław Nałęcz Małachowski po francuzku, ks. Kazimierz Sapieha jako generał artyleryi po polsku. Tak samo ubiera się także generał Branicki i mała garstka innych. Przeważna większość występuje w strojach francuzkich, niektórzy także ze wstęgami orderowemi. Biskupów nie widziałem, ale za to innych duchownych. W ogóle sesye nie bywają licznie odwiedzane (tj. w drugiej połowie czerwca 1791 roku).

„Kto chce mówić o jakiejś sprawie, trzyma papier w ręku, na którym, słuchając obcej mowy, notuje sobie uwagi. Projekta rozdają się poprzednio wydrukowane pomiędzy posłów. Oczywiście występuje niejeden, chcąc drugiemu przerwać lub zarzuty jego odeprzeć, a mimo to nie może przyjść do słowa, bo go słuchać nie chcą, kiedy już poprzednio opinię swą wyłożył i uchwała nad nią zapadła, lub kiedy już dobrze zdanie jego znają.

„Marszałek Potocki trzyma w ręku długą laskę, którą silnie stuka o ziemię, kiedy hałas, przerywanie i spory stają się za głośne, tak że mowcy rozumieć nie można. Ten znak, aby się uciszono, wywołuje zwykle niebawem żądany skutek. Nie ma tu ani śladu owego nieprzyzwoitego krzyku, wrzasku, wycia, a tem mniej kłótni i szyderstw, o których tak często czytamy w *Monitorze*, że zachodzą w zgromadzeniu narodowem francuzkiem. Po długich dyskusyach przystępują do stołu pisarzy, gdzie zmieniają projekt propozycyi i odczytują go potem na nowo. Raz toczyła się dyskusya o granicach policyjnych praw marszałka koronnego; drugim razem o mianowaniu osobnych komisyj do regulacyi granicznych sporów pomiędzy małemi dobrami i wielkiemi starostwami i t. d.

„Najważniejsza sprawa, zmiana konstytucyi, już teraz nie przychodzi na porządek dzienny, od kiedy ją 3 maja przeprowadzono z małym oporem, a 5 maja jednomyślnie potwierdzono. Nazywają ją tutaj teraz już dokonanem dziełem i uważają ją za niezachwianą. Entuzyazm dla niej jest wielki i ma w sobie rzeczywiście coś ujmującego. Mężczyźni i kobiety mówią o niej z równym entuzyazmem, objawiającym się przy poważnych okazyach

i wśród zabawy i śmiechu; jednem słowem przy rzeczach wielkich i małych. Jest to jeden powód więcej do dumy narodowej, kiedy teraz Polacy tak chętnie unoszą się nad swym krajem i królem. Mają teraz sposobność do jednego toastu więcej. W księgarniach widać mnóstwo zadrukowanych wstążek dla pań na szarfy i kokardy; na nich czytać można prócz zwykłego: *Vivat król!* także życzenia dla konstytucyi, rewolucyi, narodu.

„W dziele: *Geschichte der polnischen Staatsveränderung vom 3 Mai 1791, nach dem polnischen Berichte der Warschauer Nazionalzeitung von N. G. Warschau, gedruckt bei Mich. Gröll, Hofbuchhändler, 119 S. in 8vo*, ma się znajdować, jak mi mówiono, w historycznej mianowicie części kilka błędów. Najważniejszą część tego dziełka stanowi tekst samej konstytucyi. Nie będziecie się pewnie domagać odemnie dokładniejszego jej rozbioru. Zaraz z góry niekorzystnie uderza, „że przepisano panującą religię narodową" i że zakazano pod karą apostazyi przejście „od tej panującej, świętej rzymsko-katolickiej religii" do jakiegokolwiek innego wyznania. Ma jednak i angielska konstytucya coś podobnego.

„Dalej uderza, że wiejskiej szlachcie przyznano tak wielkie przywileje i że nie wzięto silniej pod opiekę szlacheckich chłopów. Zniszczenie atoli dawnych przywilejów w uchwale ma coś wspaniałego, w związku ze sprawami zaś nie zawsze jest rzeczą mądrą, a w wykonaniu nie zawsze łatwą. Szczęśliwsze położenie chłopów stało się jednak rzeczą dość pewną, kiedy się odwołano do dawnych umów; srogie poddaństwo bowiem, przynajmniej po większej części, jest poniekąd tylko zwyczajem a nie dawną prawną ustawą. Tutaj więc otwiera się piękne pole dla przyjaciół ludzkości i polityków, którzy się lubują w historycznych i prawniczych badaniach.

„Co do właściwej konstytucyi, co do zniesienia elekcyi króla i wprowadzenia sukcesyi tronu, co do oznaczenia prawodawczej władzy, pozostającej przy zgromadzonych stanach, co do wykonawczej władzy przy królu i straży, którym poddano także zbrojne siły narodu, wreszcie co do władzy przy ustanowionych sądach — co do tego wszystkiego... powiedzieć można, że w teoryi konstytucya ta jest pewnie jedną z najlepszych, jaką sobie kiedykolwiek dały ludy chcące zmienić swój ustrój. Jest przytem krótko i zwięźle zredagowana, przejrzysta, i nie udaje pretensyonalnie dokładnego kodeksu, któryby zawierał decyzye na wszystkie wypadki...

„Król Stanisław August, mędrzec i przyjaciel ludzkości na tronie, monarcha bardzo wielkiego rozumu, szerokich wiadomości,

najbezwzględniejszej miłości dla kraju, najszlachetniejszej gorliwości dla wszystkiego co dobre, znajduje teraz w kraju odpowiednią swym zasługom cześć i miłość. Dziwniejsze losy rzadko któremu z królów w nowszych czasach dostały się w udziale a dla polskiego narodu nie było pewnie ważniejszego życia królewskiego i panowania. Lecz nietylko historya i potomność będą czciły pamięć jego. Kiedy teraz szał najsmutniejszego fanatyzmu zupełnie się ulotnił, oddają mu serca ludu jego cześć i najprawdziwszą admiracyę, bez względu na różnice w pojmowaniu spraw kraju. Wszystkie twarze się rozjaśniają, wszystkie usta się rozwiązują, skoro tu zaczniesz mówić o królu".

O królu Stanisławie Auguście wyraża się nasz podróżnik zawsze z admiracyą i niemal z uniesieniem — a audyencya u tego monarchy daje mu nową sposobność do pochwał. Oto co pisze o posłuchaniu.

„Mieliśmy, ja i mój angielski towarzysz podróży, zaszczyt przedstawić się królowi. Że król jest mężczyzną bardzo pięknym, po którym nie poznałbyś wieku jego, lat prawie spełna 60; że występuje z dziwną powagą i mówi z szlachetną godnością, że każdemu umie powiedzieć coś grzecznego i ujmującego, o tem wszystkiem już nieraz słyszeliście i nie potrzeba wam mojego świadectwa. Mówił z nami po francuzku, po niemiecku, po angielsku, we wszystkich trzech językach, o ile sądzić mogłem, nadzwyczaj wzorowo. Opowiadam wam o tem z powodu charakterystycznego rysu, który mnie wielce wzruszył.

„Kiedy król słyszał, że wracam do Berlina, kazał mi pozdrowić od siebie dwóch tamtejszych uczonych, p. Formey i p. Büschinga; kiedym wspomniał, że ostatni od dawna choruje, wyraził swe najszczersze współczucie i największą cześć dla tego znakomitego męża, którego wysoko ceni. Pana Büschinga od dawna znał król tak z innych jego dzieł, jak przedewszystkiem z licznych jego rozpraw o Polsce. Odebrał on już nieraz dowody jego szacunku. Lecz kiedy godny ten mąż z wolnomyślnością, jaka przystoi niemieckiemu uczonemu, ogłosił swoją pracę na samych aktach opartą i gruntowną: *Geschichte der Streitigkeiten unter der Evangelischen Gemeinde in Polen*, mówili niektórzy, że króla na siebie rozgniewa, a mimo to król kocha i szanuje go zawsze niezmiennie, jak własnemi ustami zaręczał".

Pochwały, które autor nasz oddawał Polakom i Polsce, widocznie niezupełnie do gustu przypadały znajomym jego berlińskim, czytamy bowiem w ostatnim, dziesiątym jego liście pisanym

z Warszawy: „Żartujcie sobie spokojnie z tego, co nazywacie moim entuzyazmem dla Polaków, ja wiem, że jest to tylko bezstronne zamiłowanie prawdy. Nie zapominajcie jednak, że mówię tylko o bardzo małej części Polski i właściwie tylko o Warszawie, i że to miasto oceniam jako cudzoziemiec. Z tego niewątpliwie bardzo ciasnego stanowiska wychodząc, podoba mi się niezmiernie ten naród i ten kraj, t. j. charakter i sposób życia, o ile je tutaj poznać mogę. Niezależny turysta, mający czas i pieniądze do dyspozycyi, chęć i siły do używania, mało znajdzie tak przyjemnych miejsc, jak Warszawa. Prawdę mówiąc, często dziwię się, a gdybym był krajowcem możebym truchlał — jak przy tem świetnem życiu, przy tej gonitwie za przyjemnościami, może jeszcze istnieć trwały dobrobyt, jak można jeszcze z uwagą zajmować się wielkiemi sprawami? Mimo to jednak i jedno i drugie widzieć można...

„Warszawa zajmuje zaszczytne miejsce pomiędzy tuzinem wielkich rezydencyj i stolic Europy. Miasta w ogóle wszystkie dość są do siebie podobne, formują się jedno podług drugiego, żadne zaś ściśle według natury własnego swego kraju. Przytem nie bardzo w takiej stolicy przeszkadza niewiadomość krajowego języka, słychać bowiem z powodu nagromadzenia tylu ludzi prawie wszystkie języki świata. W Warszawie wyśmienicie wszędzie obyć się można niemieckim i francuzkim językiem; w bardzo wielu domach mówią także po angielsku a większość wykształconych pań zna język włoski. Z tego wynika wprawdzie, że taka stolica nigdy nie może dawać miary do osądzenia kraju. Polska nie jest Warszawą, ale jednak Warszawa należy do Polski a istota miasta tego pokazuje (wniosek bowiem z rzeczywistości na możliwość jest niewątpliwy) czem być mogą ludzie tego narodu. Niektóre spostrzeżenia zresztą odnieść można do ogółu.

„Uciechy fizyczne prawie aż zanadto zaspokoić tu można, choć i w tem okazują Polacy wiele rozumu i smaku. Wszyscy podróżni przyznają, że w Polsce trzy ważne artykuły są znakomite: chleb, wino i kawa. Polska jest wybornym pszenicznym krajem, lecz nie wszędzie, gdzie natura wydaje dobre płody, umieją je ludzie wyzyskać trafnie i dobrze. W niejednym obfitującym w zboże kraju nie znajdziesz ani dobrego chleba, ani dobrego piwa. Daleko i szeroko znana i wywożona polska kasza, jest także dowodem przemysłu. Dobrą i mocną kawę nazywają tu a nawet w sąsiednich krajach kawą polską, lekką niemiecką. Tak samo stare mocne węgierskie wino nazywają polskiem, tłuste, słodkie niemieckiem. O dobre węgierskie wino dbają niesłychanie, u ducho-

wnych znajdziesz nawet stuletnie. W Warszawie jednak pijają także wszystkie inne gatunki.

„W wielkich upałach czerwcowych spotykałem wszędzie wino szampańskie i selterską wodę aż do zbytku. Dawniej żadna sprawa nie obywała się bez obiadów i pijatyki. Zwyczaj ten atoli znika szybko, bo król i cała jego rodzina przyświecają przykładami wstrzemięźliwości. Stoły są zwykle bardzo suto zastawione a potrawy znakomite, tylko brak ryb mnie uderzył. Tu i owdzie na prowincyi panuje jeszcze patryarchalny zwyczaj niezwłocznego przyprawiania świeżo zabitego zwierzęcia; takiej dziczyzny niemieckie podniebienie nie zniesie, a kurom umie sztuka kucharska nadać potrzebną kruchość. Prócz tego zasługują jeszcze w Warszawie na pochwałę woda i powozy do najęcia.

„Najznaczniejsze handlowe domy należą do cudzoziemców. Niemców mnóstwo tu znajdziesz. Anglicy i Szkoci już od wieków i w najnowszych czasach osiedli w Polsce częścią nad Bałtykiem, częścią w głębi kraju. W Gdańsku, Elblągu, Piławie, Królewcu, Kłajpedzie słyszysz mnóstwo nazwisk angielskich kupców. W Warszawie jest teraźniejszy dom Tepperów pochodzenia angielskiego, zwali się bowiem Fergusson. Zwłaszcza z bliższych Niemców zawsze wiele się tu przesiedlało. Przyczynili się oni do wprowadzenia niejednej dobrej rzeczy, między innemi także ewangelickiego wyznania (!)

„Tak powszechnie tu mniemają, jakoby dyssydenci byli Niemcami, że obu wyrazów używają jako identycznych. Katolik zwie się Polakiem, dyssydent Niemcem. Słyszałem jak mówiono o niemieckich Polakach, przez co rozumiano rodowitych Polaków wyznania ewangielickiego. Z pruskich krajów pochodzą dwie ważne tutejsze figury: wielki bankier p. Blanc i wielki fabrykant powozów p. Dangel.

„Zagraniczny handel jest o wiele znaczniejszy, niż wewnętrzny przemysł. Naturalne powody tego zjawiska są następujące: wielkie swobody szlachty, nędzny stan większości miast, mnóstwo obcych kupców, pragninnie obcych towarów, które świat arystokratyczny poznał na swych podróżach, brak dobrych urządzeń finansowych i t. d. Skutkiem tego ma Polska najniekorzystniejszy handlowy bilans, mimo to, że dostarcza daleko i szeroko Europie najniezbędniejszego produktu i obdarzoną jest z natury sowicie jeszcze innemi ważnemi płodami.

„W r. 1776 wynosił według Büschinga przywóz przeszło 48, wywóz tylko 22 milj. złot. polskich, a więc pierwszy o 26 miljo-

nów był wyższy. W r. 1777 wynosił przywóz towarów przeszło 47, wywóz 29 milionów, wychodziło więc z kraju 18 milionów. Aby zapobiedz okropnym stratom, wydawano prawa przeciw niektórym artykułom zagranicznego zbytku, lecz zakaz ten nie obchodził szlachty, a któż w Polsce nie jest szlachcicem?

„Lecz i w tem wiele się już zmienia Wielcy właściciele ziemscy poznali za granicą korzyści pilności narodowej, sprowadzają więc dużo obcych kolonistów, umieszczając ich na swych gruntach i w swych miastach jako fabrykantów. Blisko Warszawy widać nader wielkie zakłady browarnicze i t. p. Wymieniony już siodlarz Dangel prowadzi fabrykę swą na skalę, jaką się rzadko spotyka. Powozy jego wszelkiego rodzaju używają sławy z powodu trwałości, gustownej i wygodnej budowy, pięknej malatury, dobrego lakierowania i t. d. Najpierwsze familie zamawiają u niego powozy a wiele także wysyła za granicę. Wszystkie części tych powozów zaś od najwęższego rzemyka, od najmniejszej kłódeczki aż do wykończenia całości robi się u niego w domu, i dla tego tylko wszystko może być tak dobrem i odpowiedniem, bo panuje dozór i porządek we wszystkiem...

„Anglik mój, i pewnie słusznie, znajdował wprawdzie, że nie jest to jednak „robotą londyńską“. Zrobił to samo spostrzeżenie w pewnym wielkim domu oglądając bardzo eleganckie, kolorowemi miniaturami ozdobione szafy, które na pierwszy rzut oka sam uważał za angielskie, a dopiero kiedy mu mówiono, że to warszawska robota, zaczął je badać dokładniej. Tem lepiej, że osoby, któreby były w stanie opłacić angielskie roboty, wolą zatrudniać krajowców.

„Słyszałem mówiących o drożyznie w Warszawie, i że ceny podniosły się w dwójnasób. Funt wołowiny, który jeszcze przed paru laty kosztował 5 groszy polskich, kosztuje teraz 10 groszy... Zmianę tę przypisują niektórzy częścią podatkowi od skór, częścią wielkim podatkom na potrzeby państwa, dobra duchowne bowiem płacić muszą 20 od sta, szlacheckie 10 od sta. Dla tego producenci starają się za płody swe osiągnąć wyższe ceny. Inni szukają powodu, może nawet trafniej, w wielkiej konsumcyi, którą od kilku lat wywołały w pobliżu stojące armie. W żadnym razie nie jest to jednak nieszczęściem dla państwa, choć kto ma stałą płacę, cierpi nieco na takich stosunkach.

„Żydzi — pisze dalej nasz podróżnik — od najdawniejszych czasów istnieli w Polsce. Mnożą się oni znacznie. Mają wiele do zawdzięczenia krajowi, ale i kraj im także. Wewnętrzny handel,

trochę przemysłu, interesa pieniężne i inne oni podtrzymują. Niejedno korzystne rzemiosło, niejedną dobrą instytucyę oni wprowadzili, i opłacają państwu znaczne podatki. Tacy mieszkańcy, zwłaszcza w kraju ze szczupłą ludnością wielkie przynoszą korzyści... Niejeden rozrzutny i ograniczony szlachcic wprawdzie zanadto na nich polegał i opłacił błędy swe wielkiemi stratami. Podług dawnego prawa wolno im podczas sejmu swobodnie kupczyć. Ponieważ jednak obecny sejm tak niezwykle długo trwa, bo od r. 1787, już po kilkakrotnie była mowa o tem, aby ich więcej ograniczyć, a nawet wszystkich nieosiadłych wypędzić z Warszawy.

Zresztą niewątpliwie nie ma tu nietolerancyi, a ludność nie wydaje się nad miarę prawowierną. Świat arystokratyczny jest wykształcony w pojęciach i zwyczajach, inni dość są zajęci interesami lub rozrywką, najniższa zaś klasa, jak wszędzie, stosuje się do przykładu wyższej, a zresztą musi żyć w zgodzie z tylu dyssydentami jako współobywatelami swymi. Że uroczysta processya w dzień Bożego Ciała, dla której poukładano już deski po ulicach, wystawiono ołtarze, zatknięto gałęzie brzozowe — że uroczystość ta z powodu drobnego deszczyku nie przyszła do skutku i że tylko w kościele odbyto nabożeństwo, już wam pisałem. Król zresztą nie zaniedbuje niczego, co religia jego nakazuje, i trzyma się i w tem mądrego środka pomiędzy zgorszeniem a przesadą. Nabożniejszym jednak był pewnie król August III, a z jego czasów jeszcze teraz stoi niejeden upadający krzyż i obraz, do których wtedy dwór odbywał wspaniałe processye. Tak ma się jednak tylko w Warszawie. W głębi kraju Polacy, kochający się w ogóle bardzo w ceremoniach, trzymają się bardzo silnie zewnętrznej strony religii. Codzienne stosunki z mnichem, którego każdy szlachcic ma za towarzysza i mistrza dworu, nie wiele się pewnie przyczyniają do szerzenia oświaty.

„A teraz jeszcze parę słów o zarzucie, który tak powszechnie i tak głośno robią Polakom — o nieczystości. W dobrych domach Warszawy panuje niewątpliwie wielki porządek i wielka czystość, lecz najniższa klasa ludu odznacza się brudem w ubiorze, jadle, mieszkaniu i t. d. Lecz czyż to pochodzi ztąd, że są Polakami, lub raczej ztąd, że są ubogimi i niewolnikami? Bez względu na wymogi klimatu i inne potrzeby zawsze ten lud, u którego panuje największy dobrobyt, bywa także najschludniejszym, na dowód niech i tu posłużą szlachetni Anglicy w obec Francuzów, Włochów i t. d. Czy może u naszych poddanych w Westfalii lub w innych niemieckich prowincyach wygląda bardzo przyjemnie?

„To samo nieszczęście, które prostych Polaków poniża aż do nikczemnego całowania nogi (pewien rodzaj tego niewolniczego ukłonu widziałem po za Warszawą także u wykwintniejszych Polaków a nawet niestety także u tutejszych Niemców) to samo nieszczęście poniża ich także aż do obojętności na nieczystość. Mimo to nigdzie prawie braku tego poczucia nie widać. W całej mej podróży właściwie nigdzie tej obojętności nie widziałem; spotkać ją można tylko u onych nędznych szyprów, którzy ze środkowych prowincyi polskich przychodzą do Prus i rzeczywiście wielce są podobni do murzynów-niewolników. Lecz od kiedy i tu i tam zwrócono uwagę moją na to, że najuboższy, najprostszy Polak siebie i swoje rzeczy niesłychanie pilnie myje i pierze, a nawet że owi niewolnicy jak najstaranniej przynoszą sobie z daleka najczystszą wodę do picia, odtąd uznałem, że ludzkie poczucie dla tego co piękne i dobre nigdy w żadnem ludzkiem sercu zupełnie nie wygasa.

„Za to prawdziwą zgrozą przejmował mnie widok polskich żebraków, których tu i w Prusiech widziałem przy drzwiach kościelnych i przy drzwiach wielkich pałaców, co nie czyni zaszczytu warszawskiej policyi. Zdaje się, jakoby najokropniejszemi łachmanami i zupełnem zagrzęźnięciem w brudzie ludzie ci chcieli przemocą zdobyć miłosierdzie świata i niebios.

„Prócz ubóstwa, niewoli i zabobonu, które poniżają aż do głupoty i lenistwa, wywołują u lepszych nawet ludzi złe obyczaje i brak delikatniejszego uczucia nawyczki, oburzające każdego, kto przywykł do wykwintniejszego życia. Takie nawyczki spostrzedz można rzeczywiście u wielu Polaków. Większa atoli część anegdot na ten temat opowiadanych należy po prostu do zmyślonych bajek. W Warszawie, powtarzam jeszcze raz, znalazłem czystość, jaką się spotyka tylko w najznakomitszych miastach cywilizowanej Europy. I jakżeby mogło być inaczej u narodu, którego najznakomitsi reprezentanci kształcą się do tego stopnia, jak w żadnym innym narodzie, częstemi podróżami i długoletnim pobytem w najcywilizowańszych częściach świata?

„Takie kształcenie się podnosi niesłychanie zdolności Polaków. Prócz pięknego ciała dostał lud ten od natury lekkiego, wesołego ducha, łączącego w sobie dowcip z powabem. Lud ten posiada rozum niezwykle praktyczny (?), wielkie zdolności do nauk i sztuk, bystrość a przedewszystkiem dwa przymioty w wysokim stopniu: zręczność i giętkość ducha i wielki dar wymowy. Zarzucają mu, że jest lekkomyślny i że nie działa według pewnych trafnych

zasad. Wiele błędów zniknie pewnie wraz z wadliwą konstytucyą. Gdy w kraju będzie zupełny spokój, gdy ani knowania partyi, ani intrygi i chciwość przy wyborach nie będą mąciły umysłów, niewątpliwie zdołają się utrwalić i rozwinąć zasady nie tylko w polityce, lecz także w całem moralnem postępowaniu.

„Gdy tylko twarde poddaństwo upadnie skutkiem praw i rozsądku, rozpowszechni się szlachetniejsze poczucie praw ludzkich i obywatelskich. Poczucie to zapanowało już stanowczo w pierwszych rodzinach kraju, których rozum i serca doszły do wysokiego wykształcenia. Wiadomo, że nie jedna z nich długo przed 3 majem 1791 r. nadała wolność swym poddanym; tylko małe tyrany są najwścieklejsze, jak wszędzie. Podwójna i potrójna hańba zaś niech spadnie na tych cudzoziemców, zwłaszcza Niemców, którzy, jak już nie jeden pisarz to podniósł, nie będąc nawet szlachtą, w Polsce przyjmują stopnie oficerów i inne posady, potem wydają się za szlachtę i traktują stan mieszczański z największą bezwzględnością. Jeżeli wreszcie przemysł bardziej się wzmoże, to niebawem rozszerzy się w kraju umiarkowany dobrobyt ze wszystkiemi swemi błogosławionemi skutkami. Zarodki wszystkiego dobrego już tu rzucono, potrzeba im tylko sprzyjającego rozwoju“.

Niestety nie spełniły się przewidywania zacnego Niemca. „Zarodki wszystkiego dobrego“ pozostały zarodkami, pozbawiono je „sprzyjającego rozwoju“, nie z własnej winy, lecz że rozwój rozpoczęty od 3 maja przerwany został przemocą. Kiedy Biester ostatnie te listy drukował w swem czasopismie (tom ten nie wyszedł w Berlinie lecz w Jenie) w czerwcu 1792 r., już polityka pruska wobec Polski na dobre zmieniać się zaczęła, już wstępowała na tory, które zaprowadzić miały do drugiego rozbioru Polski. Niewątpliwie i artykuł Biestera należał do tych, które się niepodobały ówczesnemu rządowi pruskiemu.

Z Warszawy udał się nasz podróżny do Torunia. Listy z miasta tego pisane do Berlina a umieszczone w dalszych zeszytach *Berlinische Monatsschrift* nie zawierają dla nas prawie nic ciekawego. Autor ich zajmuje się przeważnie opisem miasta i dawną historyą jego, dodając że główne wiadomości zaczerpnął od „wielce uczynnego, uczonego i patryotycznego p. Gereta, członka rady miejskiej i pokilkakrotnie burgrabiego królewskiego, od r. 1787 redaktora czasopisma wydawanego pod tytułzm „*Thornische Historische Nachrichten*“. Jest to znany dr. Samuel Luter Geret, wieloletni rezydent toruński na dworze polskim, którego zajmujące relacye zamierzamy ogłosić drukiem w przekładzie polskim.

We wstępie do opowiadania Biestera, mówiąc o wydawanem przez niego czasopiśmie, wspomniałem także o rozprawce z rocznika 1789 pod tytułem: *Król Mykita.* Na podstawie materyału w niej zawartego podam tutaj teraz to opowiadanie, ciekawe jako przyczynek do historyi kolonistów niemieckich, sprowadzanych do Polski.

Po zajęciu Galicyi przez rząd austryacki, sprowadzał cesarz Józef mnóstwo kolonistów z Niemiec, zwłaszcza z nadreńskiego palatynatu, aby obdarzali niemiecką cywilizacyą „barbarzyński“ kraj. Artystów, rzemieślników, fabrykantów przedewszystkiem popierano, dając im prócz mieszkania, gruntu i łąki znaczne pieniężne zaliczki na sprawienie narzędzi lub materyałów, które mieli obrabiać. Lecz większa część z nich „przeżarła“ szybko zaliczki, prosiła potem o nowe, dostała je powtórnie i „przeżarła“ je powtórnie i t. d. W ogóle zabierali ludzie ci korzyści, które im cesarz dawał, żyli butnie i hucznie, licząc na łaskę cesarską, i nie pojmowali zgoła, żeby tutaj mieli pracować tak jak w domu [1]).

Takimi kolonistami sprowadzonymi z Palatynatu do Galicyi byli także Jakób Brinkmann, Sebastyan Bosch, Baltazar Magsamen i Marcin Resch. Przynieśli z sobą reumbarbarowe rośliny, udając, że na plantacyi ich dobrze się znają. Umieszczono ich w Mierzwicy pod Żółkwią, dano im domy, pola i ogród i wypłacono im powoli do 2.000 cesarskich złotych, w nadziei, że z owych reumbarbarowych plantacyj, które mieli zakładać, wrócą się skarbowi te koszta.

Kiedy atoli gorliwi kulturtregery strwonili dość szybko odebrane pieniądze, sprzedali w cichości bydło i zboże, zamierzając drapnąć za granicę. Lecz schwytano ich, wsadzono do więzienia i zaczęto przesłuchiwać przed sądem roku pańskiego 1788. Prócz tych znakomitych plantatorów reumbarbarowych, dostali się jeszcze do kozy jako współwinni także podczas ucieczki schwytani koloniści: Paweł Bernhard, Herman Uhl, Filip Rubin, Wawrzyniec Gabel i dwunastoletni syn jego Piotruś, jak zobaczymy, jeden z głównych bohaterów tej prawdziwej powiastki. Piotruś jako małe dziecko przybył z rodzicami na Ruś i nauczył się, żyjąc z polskiemi i ruskiemi dziećmi, ich języka.

---

1) Nasz współczesny sprawozdawca, Niemiec, z którego opowiadania wiadomość tę czerpiemy, tak o nich mówi: „Sie glaubten, wie spanische Hengste aus der Pfalz verschrieben zu sein, um in Galizien dem Zeugungsgeschäfte obzuliegen und in dieser Absicht gefüttert zu werden“.

Kiedy oskarżonych przy śledztwie zapytano:

— Cóżeście zrobili z pieniędzmi, któreście w ostatnich miesiącach zebrali ze sprzedaży sprzętów, narzędzi, bydła i zboża?

Odpowiedział Paweł Bernhard:

— Daliśmy je czarownicy Jędrzejowej w Skwarzawie.

Idąc za tym śladem, wydobył sąd na jaw następującą historyjkę.

Wszyscy powyżej wymienieni koloniści umówili się latem 1788 roku, aby cichaczem z żoną i dziećmi wynieść się napowrót do ukochanego Palatynatu. Ale jak szczęśliwy ten pomysł wykonać i nie dać się schwytać cesarskim strażom w kraju i na granicy? Wpadli na genialny środek. Ot najlepiej zrobić się niewidzialnymi.

W lesie należącym do Mostów mieszkał kulawy ruski chłop, który słynął jako znahor i czarnoksiężnik. Niemcy koloniści nie wiedzieli o tym cudotwórcy, ale znalazł się, jak to zwykle bywa, na podorędziu żydek, który im nietylko wielkiej tej tajemnicy udzielił, ale nawet ofiarował się, że ich do owego mostowskiego mędrca zaprowadzi.

Niemcy usłuchali. Wybrali się z żydem jako przewodnikiem, i Piotrusiem jako tłumaczem do znahora.

Przyjąwszy od nich podarunki, obiecał im kuternoga, że ich bez trudności z żonami i dziećmi, wozami i końmi na trzy dni zrobi niewidzialnymi i w tym samym czasie przewiezie ich do świętego rzymskiego państwa niemieckiego narodu. Dał im beczułkę z jakimś różowym, cudownym płynem, dodając do tego wyjaśnienie, że skoro się do naga rozbiorą, płynem tym wysmarują wśród pewnych przepisanych ceremonij, wtedy niezawodnie staną się niewidzialnymi.

Niemcy, kiedy im się tak szczęśliwie powiodło, poszli po rozum do głowy i zażądali od znahora, aby im jeszcze w dodatku dał pieniędzy. Przebiegły Rusin, gotów do wszystkiego, nie był od tego; wręczył im jakieś rośliny i nasiona, dodając, że skoro tylko staną za granicą, wszystko to zamieni się w same brzęczące dukaty.

Uszczęśliwieni Niemcy, obładowani odebranymi od kuternogi skarbami wrócili do domu.

Wzięli się niebawem do rzeczy, porozbierali się do naga i nuż się, odprawiając przepisane ceremonie, smarować przyniesionym płynem. Lecz środek jakoś nie skutkuje, Niemców jak widać tak widać, ani jeden nie stał się niewidzialnym.

Wybierają się więc na nowo z wyrzutami do kuternogi, ale ten nie dał się tak łatwo zbić z toru.

— Nic w tem dziwnego — powiada, a Piotruś znów tłumaczy — widocznie nie zachowaliście wszystkich przepisów, które wam podałem, a skutkiem tego płyn nie skutkował.

Niemcy uwierzyli; nuż prosić znahora o nową beczułkę z cudownym płynem. Znahor dał się zmiękczyć, odebrawszy zapłatę w brzęczącem srebrze, wręczył im nową beczułkę z różowym płynem i zaostrzył zachowanie przepisów.

Lecz jakoś tych przepisów żadną miarą wykonać nie umieli, bo wróciwszy do domu znów się smarują i smarują, a ani jeden nie stał się nawet na chwilę niewidzialnym.

Straciwszy nadzieję, żeby im się ta jakoś bardzo trudna sztuka powiodła, zaczęli rozmyślać nad jakim innym wybiegiem.

Brinkmann, Resch i Gabel spotkali się na rynku w Żółkwi, rozmowa znów szła żywo o tej samej sprawie.

— Wszystkoby to szło dobrze, żeby nie te przeklęte pieniądze — zawołał głośniej Brinkmann.

I znów nawinął się żydek, który podsłuchiwał ich pogadanki.

— O pieniądze wam chodzi? ja się wam o nie wystaram. — I zaprowadził ich do starej czarownicy Jędrzejowej, która się właściwie zwała Anną Kowalską i mieszkała w Skwarzawie.

Jędrzejowa obiecała im, że im cudownymi środkami dostarczy pieniędzy, ile tylko zapragną, lecz na to potrzeba różnych rzeczy: cukru, niesolonego masła, gorzałki, tytoniu, płótna, a wreszcie także pewnej sumy pieniężnej, bo bez tego niepodobna wywołać ducha.

Mądrzy Niemcy sprzedali bydło, zboże, sprzęty i narzędzia rolnicze, i przynieśli Jędrzejowej wszystko, czegoby jej było potrzeba. Żydek tymczasem się ulotnił, a Piotruś znów objął obowiązki tłumacza.

Czarownica odebrawszy zebrane podarunki, zaprowadziła kolonistów do lasu i wywołała tutaj dobroczynnego ducha Mykitę, który, kiedy jeszcze jako zwykły śmiertelnik przebywał na ziemi, był nie mniej i nie więcej jak królem, lecz podczas błogich jego rządów zdarzył mu się wypadek, że zamordował ojca, a skutkiem tego po śmierci skazanym został na to, aby pokutować w lesie skwarzawskim.

Teraz biedny król Mykita stawić się musiał na rozkazy potężnej czarownicy Jędrzejowej. Wyglądał podług opisu podanego do protokołu przez Wawrzyńca Gabla, przerażająco.

— Był — mówi Gabel — wysoki jak drzewo, a gruby jak kłoda, miał pysk ogromny i długie zęby z pyska wystające, oczy miał wielkie i okrągłe, nieprzymierzając jak pokrywki na garnki, chodził ubrany po niemiecku, z zarzuconym na odzieży fioletowym płaszczem i okrągłym kapeluszem na głowie.

Nic dziwnego, że takiego wspaniałego ducha-monarchy przelękli się chciwi mamony Niemcy.

Ledwie ich zoczył, ryknął na nich przeraźliwym głosem Jego królewska Mość król Mykita I.

— Czego żądacie?

— Pieniędzy! — odpowiedzieli przez usta Piotrusia, przyszedłszy nieco do siebie przestraszeni Niemcy.

— Ile?

— Dla każdego milion dukatów.

Skromne to żądanie nie zaimponowało potężnemu królowi, rozporządzającemu widocznie niewyczerpanemi skarbami, odpowiedział bowiem niezwłocznie:

— Dobrze, mieć je będziecie. Czego jeszcze żądacie?

— Chcielibyśmy też stać się jeszcze niewidzialnymi i z pieniądzmi dostać się w 24 godzin do Palatynatu.

Król Mykita, dla którego potęgi wszystkie takie rzeczy były tylko błahostkami, i teraz wspaniałomyślnie raczył odpowiedzieć:

— Dobrze, i to się stanie. Ale cóż wy mi dacie za to?

Na pytanie królewskie odpowiedziały po krótkiej naradzie Piotrusiowe usta także pytaniem:

— A czegoż żądacie?

Zaledwie jednak Jego król. Mość odpowiedział, runął dzielny tłumacz Piotruś jak długi na ziemię, zaczął krzyczeć w niebogłosy, poczołgał się do nóg rodzica swego, pracowitego Wawrzyńca Gabla, i błagał kornie i płaczliwie:

— Nie wydawajcie mnie czartowi, nie wydawajcie mnie!

Przezacne grono kolonistów, podrapawszy się w głowy, domyśliło się, że wspaniały monarcha żądał jako zapłaty nie mniej i nie więcej, jak samego małego tłumacza.

Wzruszony i oburzony ojciec pogłaskał malca i zaręczał, że nie wydałby go nawet za pół świata. Tak więc rozbiły się tym razem układy z Jego król. Mością, królem Mykitą.

Zaczęły się teraz nowe rozhowory z potężną władczynią duchów, mądrą Jędrzejową. Pocieszała ona strapionych kolonistów, przedstawiając im, że król-duch może się namyśli, może się zadowolni innem jakiem dzieckiem, trzeba go tylko drugi raz wywołać,

lecz oczywiście bez nowego transportu tytoniu, gorzałki itd. znów się nie obędzie, bez tego nie ma ona władzy nad duchem.

Niemcy, widząc już przed oczami swemi każdy po milionie dukatów, oczywiście dali się namówić, lecz Piotruś, który jeszcze nie umiał dostatecznie ocenić spodziewanych korzyści, stawił opór, niechcąc już służyć za tłumacza przy powtórnej do króla wyprawie. Szlachetny rodzic jego wziął się jednak na sposób, osadził chłopca w zamknięciu o chłodzie i głodzie, a Piotruś wreszcie uległ.

Na drugiej więc naradzie po powtórnem wywołaniu ducha, ofiarowali mu koloniści za Piotrusia aż dwie sieroty, które szlachetny Magsamen miał u siebie na wikcie.

Król Mykita atoli oświadczył, że obca krew żadną miarą zadowolnić go nie może, że potrzeba mu koniecznie krwi z krwi, kości z kości szlachetnych tu przed nim zebranych mężów niemieckiego narodu.

Znów się więc zerwały układy. Wtedy zdecydował się zacny i do poświęceń skory Magsamen ofiarować potężnemu królowi dziecko, które żona jego wkrótce porodzić miała.

Nielitościwy król i tym razem jednak nie chciał się zadowolnić, oświadczając, że nieurodzone dziecię na nic mu się nie zda.

Tak więc wreszcie ofiarował się inny, niemniej do poświęceń skory kolonista, pracowity Marcin Resch, oddać duchowi dwunastoletniego syna swego Adama, pod warunkiem, że towarzysze jego nie będą mu o to nigdy robić wyrzutów.

Z tą ofiarą udali się ponownie do króla Mykity. Lecz Jego król. Mość wielce zajęty innemi ważnemi sprawami, nie mógł się teraz już wdawać z nimi w długie rozhowory; po długich prośbach zjawił się wprawdzie, lecz oświadczył zgromadzonym, że w radzie jego już obecnie zmieniły się potrzeby.

— Teraz już — zakończył swą przemowę — na nic mi się zdać nie może dziecko, teraz muszę mieć jednego z pomiędzy was samych.

Na takie *dictum acerbum* zerwały się oczywiście stanowczo układy z nieubłaganym monarchą, boć któryż ze szlachetnych kolonistów byłby chciał poświęcić własną osobę dla reszty, dziecko swe, to co innego, ale siebie samego, Boże uchowaj!

Nie mogąc zatem pozyskać potęg piekielnych, zdecydowali się koloniści użyć drogi naturalnej: drapnąć za granicę do ukochanej ojczyzny, będąc widzialnymi i bez pieniędzy. Na tej ucieczce schwytali ich także naturalnym sposobem strażnicy cesarscy i osadzili wszystkich w więzieniu.

Jak się sprawka ta ostatecznie skończyła, czy przyprowadzono przed cesarski sąd mostowskiego mędrca, owych usłużnych i zawsze do poświęceń, zwłaszcza dla chłopów, skorych żydków, a wreszcie samego potężnego monarchę, króla Mykitę, nie wiemy. Tyle nam tylko jeszcze wiadomo, że można władczyni duchów, Anna Kowalska, *vulgo* Jędrzejowa, musiała się pofatygować do cesarskiego sądu.

Na tem urywają się nasze wiadomości, któreśmy zaczerpnęli z materyałów podanych na podstawie aktów tego procesu, a umieszczonych, jak wyżej powiedziano, w roczniku z r. 1789 czasopisma wydawanego wówczas w Berlinie pod tytułem: *Berlinische Monatsschrift.*

Bezimienny autor obiecuje wprawdzie, że w swoim czasie opowie o dalszym przebiegu tej sprawy, lecz niestety tego dalszego ciągu już nie znaleźliśmy w rocznikach tego pisma z następnych lat.

Jaka nauka z tej krótkiej a prawdziwej historyjki:

Oto, że w roku od narodzenia Pańskiego 1788 było można być kulturtregerem w Galicyi, a posiadać mniej oleju w głowie, niż prosty chłop ruski lub zwyczajna baba wiejska.

Jan Józef Kausch

1791

W r. 1793 wyszły w Grazu i w Salzburgu w języku niemieckim dwie niewielkie książeczki pod tytułem: Wiadomości o Polsce *(Nachrichten über Polen)*. Pierwsza z nich jest dedykowaną ks. Adamowi Czartoryskiemu. Choć wyszły one bezimiennie, wiadomo jednak było specyalistom pracującym na polu historyi literatury polskiej, że autorem ich jest niejaki Kausch. Prócz imienia autora atoli — o ile mi wiadomo — nie ma w literaturze naszej nigdzie żadnych szczegółów o jego osobistości, życiu i stosunkach. Ponieważ zaś, jak wiedzą specyaliści na polu historyi literatury polskiej, książeczki te zawierają wcale cenne materyały do poznania ówczesnych i dawniejszych stosunków polskich, warto więc może zapoznać się nieco bliżej z życiem samego autora, już z tego powodu oryginalnego, że w Grazu i Salzburgu wydaje wiadomości o naszym kraju.

Jan Józef Kausch urodził się dnia 16 września 1751 roku w szlązkiem górskiem miasteczku Loewenberg nad Bobrem, gdzie ojciec jego był fizykiem miejskim i praktycznym lekarzem. Był to człowiek szorstkiego charakteru, który i syna swego trzymał bardzo krótko. Ledwie Józef liczył piąty rok życia, przenieśli się rodzice jego do Wrocławia. Tutaj więc wychował i kształcił się

w szkole jezuickiej, ojciec jego bowiem był katolikiem Chodził przez lat sześć do jezuickiego gimnazyum, Leopoldiny, potem przez dwa lata na filozofię. Miał się poświęcić medycynie, ale takiego fakultetu nie było wówczas w Wrocławiu. Ojciec więc kształcił go sam praktycznie w tej nauce i wykładał mu ją także teoretycznie, brał go do szpitalu, którego był przełożonym, jednem starał się zastąpić mu brak medycznego fakultetu. Zostawszy bakałarzem, potem magistrem filozofii, udał się przy końcu stycznia 1773 roku z Wrocławia do Halli, aby tutaj odbyć promocyą na doktora medycyny, co też rzeczywiście miało miejsce już w maju tego samego roku.

Pomiędzy pierwszem a drugiem rygorozum odbył już poprzednio wycieczkę z Halli do Berlina, teraz po promocyi udał się do Wiednia, aby na fakultecie medycznym, wówczas najsławniejszym w Niemczech, uzupełnić jeszczę swe studya. Aby oszczędzić pieniędzy, których nie miał dużo, szedł pieszo do Pragi. W Wiedniu pozostał słuchając wykładów najsławniejszych medyków i fizyków aż do ostatnich miesięcy roku 1774. Wtedy wrócił napowrót do Wrocławia, aby zacząć praktyczny zawód lekarza.

W krótkim czasie przy pomocy ojca i znajomych wyrobił sobie nieco znane imię, tak że w r. 1776 zaproponował mu książe Hatzfeld miejsce przybocznego swego lekarza w Trachenbergu. Kausch zgodził się i przeniósł się do rezydencyi książęcej, gdzie zanim rok upłynął dostał także nominacyę na królewskiego fizyka powiatu milicko-trachenberskiego. Mając teraz dostateczne na utrzymanię rodziny dochody, ożenił się w roku 1777 z córką kupca Zerboni'ego z Wrocławia. Żeniąc się, liczył na stałość posady, którą piastował. Wkrótce jednak miał ją stracić. Książe Hatzfeld umarł nagle na jesień roku 1779, a opiekun pozostałego po nim pięcioletniego syna oświadczył Kauschowi, że funkcya jego jako nadwornego

lekarza teraz się skończyła. Zakłopotany Kausch przeniósł się teraz, chcąc sobie zyskać szerszą praktykę, do większego miasta Milicza. Była to miejscowość dla lekarza bardzo dogodna i donośna, bo w sąsiedztwie mieszkało dużo bogatej szlachty, a prócz tego lekarza milickiego powoływano także bardzo często do sąsiedniej Wielkiej Polski. Tak więc nietylko nic nie stracił, ale nawet zyskał Kausch na tej zmianie.

„Błąd nie do darowania — powiada sam Kausch w swych pamiętnikach — *contra politiam medicam* popełniłem, nie ucząc się zaraz po przyjeździe do Milicza po polsku. U arystokracyi polskiej wystarczyła mi wprawdzie znajomość języka łacińskiego i francuzkiego, lecz u drobniejszej szlachty wystawiała mnie nieznajomość języka polskiego na niedogodności. Gdybym językowi Sarmatów był przynajmniej to trochę czasu poświęcił, które poświęciłem angielskiemu, byłbym pewno w pierwszych dziesięciu latach, zanim wojny te kraje nawiedziły, tyle zarobił, żebym później dla utrzymania praktyki nie potrzebował. W czasach tych bowiem płacił jeszcze Polak bardzo wspaniale swego lekarza. Kiedy go sprowadzał, posyłał mu zwykle już z góry kartę z kilku dukatami, a kiedy go odsyłał, dawał mu według okoliczności tyleż albo i więcej. Szlachta polska, jak mi się po kilkakrotnie wydarzyło, zwykła także zaraz na początku kuracyi robić z lekarzem ustną umowę, płacąc mu z góry połowę zaakordowanych dukatów. Jest to co prawda rzeczą wcale śmieszną, bo my lekarze w ważniejszych wypadkach, a o takich tylko mówię, zupełnie wiedzieć nie możemy, czy nam się powiedzie lub nie? Tutaj atoli wymówki tej nie przyjmują, lecz żądają, aby się porozumieć co do honorarium na wypadek wyzdrowienia chorego. Teraz już rzadko się to wydarza. Zresztą teraz praktyka w tych prowincyach, które niegdyś do Polski należały (Kausch pisze po trzecim rozbiorze), nie jest już tak

uciążliwa, jak dawniej. Zwyczaje i sposób życia szlachty od tuzina lat znacznie się zgermanizowały. W moich wiadomościach o Polsce mówię, że zresztą w Niemczech nie można zrobić więcej zajmującej wycieczki zaledwie kilka kroków liczącej, jak jadąc ze Szlązka przez granicę do Polski. Te uderzające różnice w sposobie życia niemieckiej i polskiej szlachty, niemieckiego i polskiego rolnika, znacznie się już teraz zatarły. Teraźniejsza tożsamość rządu zatrze wkrótce zupełnie ostatnie różnice... Lekarza więc w przyszłości i w Polsce opłacać będą podług stałych taks, a nie według wspaniałomyślnego zwyczaju. Jeźli słyszymy sądy znawców o zręczności starych polskich praktyków, którzy w Polsce zażywali ogromnego znaczenia i zebrali wielkie bogactwa, to trudno się zdecydować, czy więcej się dziwić ślepocie publiczności, czy też tak często niezasłużonemu sprzyjaniu szczęścia. Dla tego kwitnęła tu na dobre szarlataneryа“.

Na tej kilkoletniej praktyce w Miliczu nad polską granicą zapoznał się Kausch z polskiemi stosunkami i nabrał chęci pisania o nich.

W drugim roku pobytu w Miliczu stracił żonę. Opłakiwał jej stratę, pisał czułe „manierą Ossyana“ wiersze na jej śmierć, ale mimo to już znów w r. 1783 ożenił się z córką kupca Carove. Praktyka jego ciągle się wzmagała, w r. 1795 dodano mu do piastowanego już fizykatu jeszcze drugi odalanowskiego powiatu, zagrabionego przez Prusaków.

Kausch mimo wielkiej praktyki zajmował się zawsze gorliwie literackiemi zajęciami. Jeszcze będąc w Wiedniu wydrukował pierwszy swój utwór. Pisał mnóstwo reczy estetycznych, poetycznych, powieściarskich, medycznych i weterynarskich, a wreszcie historyczno-geograficznych. „Na początku obecnej lat dziesiątki — pisze Kausch w pamiętniku swym w roku 1797 — postanowiłem wydać dzieło o Polsce i rozszerzyć pracę tę o ile możności na

Szlązk i jedną lub drugą sąsiednią prowincyę. Polskie zwyczaje, konstytucyę i część Wielkopolski poznałem podczas praktyki mej w tym kraju... Czytałem więc wszystkich mych poprzedników o Polsce piszących i zamierzyłem zrobić w r. 1791 podróż w tym celu. Kiedy plan mój z biegiem czasu więcej dojrzał, postanowiłem Polskę, Czechy i Szlązk zwłaszcza dla użytku cudzoziemców tak opracować, aby dziełko to za coś na kształt opisu podróży uważać można, opisu nie traktującego jak zwykle tylko o osobliwszej części prowincyi, lecz podającego w ogóle to, co najwięcej na uwagę zasługuje. Tym sposobem mogłem opuścić wszystkie te szczegóły, które każdą topografię robią nudną i rozwlekłą...

„Stosownie do mego planu podałem więc w każdem z owych trzech wymienionych dzieł najprzód ogólne uwagi o konstytucyi, literaturze, statystyce, handlu i t. d., na zakończenie zaś podałem topograficzny przegląd osobliwości w szczególe. Co do Polski pozostałem najwięcej w tyle po za tym planem, bo zbywało mi na źródłach. Mimo to uznała ogólna niemiecka biblioteka, podająca o tej mojej książce arkuszową recenzyę, pracę tę za najlepszą, jaką do jej wyjścia posiadaliśmy. Przedsiębrałem dla zapisania tego dzieła podróż do Krakowa i galicyjskich kopalń w Wieliczce, przyczem zwiedziłem część Małopolski... Księgarnia Mayera w Salzburgu wzięła na siebie nakład. Nie rozumiem jednak, dla czego ani w Wrocławiu, ani w Berlinie książki tej dostać nie można... Druk opóźniła nakładowa księgarnia prawie o parę lat z powodu ówczesnego braku papieru. Skutkiem tego niejeden podany fakt już się nie stosował do czasu, w którym się książka ukazała“.

W r. 1796 wydał w Wrocławiu u Gehra pierwszy dalszy ciąg wiadomości o Szlązku, Czechach i dawnej Polsce; książka, której nigdy nie widziałem.

Ostatnie te publikacye ściągnęły na niego literacki proces w r. 1795. W wiadomościach o Szlązku bowiem, mówiąc o naukowych zakładach katolickiego duchowieństwa, zaczepił między innymi jednego z radzców konsystorza. Obrażony radzca żądał od niego publicznej satysfakcyi. Kausch odmówił, radzca oskarżył go przed tak zwaną król. wojenną i dominialną izbą. Izba skargę odrzuciła.

Wtedy atoli doszła do uszu autora pogłoska, że rząd sam ma wytoczyć mu proces. Kausch udał się listownie z zapytaniem do hr. Hoyma, ówczesnego pruskiego ministra rządzącego na Szlązku. Hoym odpowiedział, że jest przekonany, jako Kausch nie miał złych zamiarów, mimo to jednak pociągnie go do odpowiedzialności generalny fiskał Berger z powodu zażaleń prywatnych osób i za to, że drukując książkę za granicą w Salzburgu nie postarał się o pozwolenie cenzury krajowej. Rzeczywiście doręczono mu wkrótce potem pozew. Kausch oświadczył wtedy, że niezadługo wyda dalszy ciąg tych wiadomości a w nim sprostuje to, w czem w pierwszej części zbłądził. Rząd zadowolnił się tem oświadczeniem, zawieszając proces aż do ukazania się tego dalszego ciągu.

Kiedy mu ten proces groził, radził się pokilkakrotnie doświadczonego prawnika, przyrodniego brata pierwszej swej żony, p. Zerboniego, który wtedy był pruskim radzcą wojennym w Piotrkowie w ówczesnych tak zwanych południowych Prusach. Dowiedziawszy się latem r. 1795, że Zerboni pojedzie przez Kempno i Wartenberg do Wrocławia, chciał się z nim w drodze spotkać i w sprawie swej naradzić. Wyznaczył mu zatem listownie w Wartenbergu w mieszkaniu kanonika Libora, dobrego swego znajomego, spotkanie. Odnoszący się do tego ustęp listu brzmiał; „Ksiądz kanonik Libor jest to jasna głowa, zupełnie na właściwej drodze, u niego mo-

żemy się swobodnie rozmówić a nie potrzebujesz się Pan obawiać, żeby się ktoś cokolwiek dowiedział o Pańskim udziale".

List ten dużo kłopotu narobił Kauschowi. Pod złą wróżbą zaczął się dla niego rok 1797. Najprzód mu chorowała żona i najstarsza córka, potem on sam przeszedł ciężką słabość. Zaledwie wstał z łóżka i przyszedł jako tako do siebie, przysłał do niego 16 lutego rotmistrz od huzarów Könitz, stojący załogą w Miliczu, z prośbą, żeby przyszedł do niego. Kausch udał się do domu rotmistrza a tutaj mu oświadczono, że jest aresztowanym na rozkaz J. Kr. Mci. Z jakiego powodu nikt mu nie mówił. Zrewidowano niebawem jego mieszkanie, zabrano wszystkie jego papiery i wywieziono go pod eskortą wojskową najprzód do Głogowy, potem do Frankfurtu, wreszcie do fortecy Szpandawy, której samo imię w ówczesnych Prusach obudzało postrach. Teraz dopiero dowiedział się o co go oskarżano.

Ów radzca wojenny Zerboni napisał zimą 1796 r. list bardzo hardy i grzeszący niesubordynacyą do hr. Hoyma. Na rozkaz królewski aresztowano go, zabrano jego papiery i wywieziono go do fortecy Kłodzka. Z papierów jego przekonano się, że pomiędzy Zerbonim, kupcem Contessą z miasta Hirszberg i byłym kapitanem Leipziger ze Świdnicy istniał jakiś tajny polityczny związek. Znaleziono także kilka listów Kauscha, między innemi ten, z którego ustęp powyżej przytoczyłem. Z tego wniesiono, że i on należał do tego związku.

Kausch był oczywiście niewinny jak nowonarodzone dziecko, o związkach politycznych nigdy nawet nie marzył, owszem należał prędzej do ślepych admiratorów król. pruskich rządów. Tłómaczył się jak mógł, wyjaśnił znaczenie owego fatalnego listu, zeznania aresztowanych Zerboniego i towarzyszów zupełnie się zgadzały z tem,

co on mówił. Niewinność jego nie mogła ulegać żadnej wątpliwości. Mimo to zapadł dnia 21 kwietnia 1797 r. wyrok dla jego patryotyczno-pruskiego serca bardzo bolesny: król rozkazał go wypuścić z więzienia, lecz z dodatkiem, że jako podejrzany powinien niebawem wynieść się z krajów pruskich.

Kausch przygnębiony i zmartwiony udał się do Lipska i ogłosił tutaj jeszcze tego samego roku książkę: Losy Kauscha *(Kauschs Schicksale)* ze swym portretem rytym na miedzi, na którym przedstawiony jest jako składający hołd posągowi prawdy z podpisem: „Tobie hołd składa każde moje tchnienie“. W książce tej opisał cały swój żywot w sposób bardzo rozwlekły i nudny z niezliczonemi apostrofami a w końcu apelował do łaski i sprawiedliwości króla.

Jaki skutek książka ta odniosła, nie wiem, bo od tej chwili urywają się wiadomości moje o nim. Niezawodnie jednak wrócił do Prus. Ogłaszał później jeszcze mnóstwo dzieł, przeważnie medycznych i umarł 10 marca 1825 roku. Taki jest żywot jego do r. 1797 dokładnie nam znany.

Wielkich zdolności pisarskich w nim nie widzimy. Lubuje on się w ciągłych epizodach i apostrofach zwłaszcza filozoficzno-liberalnych. Mimo to jednak jego „Wiadomości o Polsce“ zawierają niejedno spostrzeżenie ciekawe. Znajduje się w nich także opis owej w r. 1791 do Krakowa podjętej podróży. Jako tako ciekawe spostrzeżenia w tym opisie kilkadziesiąt stron zajmującym dadzą się streścić na kilku stronach, co też uczynić zamierzamy, uważając streszczenie takie raz za drobny przyczynek do poznania wewnętrznych stosunków Polski w r. 1791, a powtóre za dowód, jak mało od tego czasu zwłaszcza pomiędzy ludem zmieniły się stosunki. Opis wsi, przez które Kausch przejeżdżał, i ludu, który

tam spotykał, dałby się prawie jeszcze żywcem odnieść do dzisiejszych wiosek w tych okolicach. Powtarzamy jeszcze raz, że ani wybitnych zdolności pisarskich, ani wyższego daru obserwacyjnego w nim nie widzimy. Mimo to jednak sądziłem, że i jemu należy się w zbiorze tym miejsce, choć tylko na szarym końcu. Pragnąłbym bowiem, żeby dzieło to w dalszych swych seryach stało się kompletnym zbiorem relacyi cudzoziemców o Polsce a w takim razie i Kauschowi należy się tu miejsce, choć tylko arcyskromne.

Kausch jechał od Tarnowskich Gór do Krakowa. Górny Szlązk przedstawiał wtedy widok jak najokropniejszy: bieda i nędza pomiędzy ludnością, dwory szlacheckie jak nędzne chaty wiejskie, kościoły z drzewa, walące się, podobne do lichych barak a nie do świątyń. Dopiero od Tarnowskich Gór ku Bytomiowi kraj wyglądał nieco weselej i wspanialej, do czego się przyczyniały zwłaszcza wznoszące się na wyżynach wieżyce starych zamków i kościołów.

Przez Czeladź, Będzin jechał potem do Krzeszowic; opis tej podróży nie zawiera nic wielce ciekawego, bo autor bawi się w malowania krajobrazów i w różne fizyczno-gospodarskie uwagi n. p. nad krzeszowicką okolicą, zamkiem tęczyńskim, który tylko zdala widział, unosi się, uważając okolicę tę za jedną z najpiękniejszych, jaką kiedykolwiek oglądał.

Poświęciwszy kilkanaście stron tym opisom, przechodzi do spostrzeżeń swych o ludności wiejskiej i tutaj podaje nam niejeden wcale ciekawy szczegół, opisując dokładnie chaty wiejskie, ubiory wieśniaków i t. d.

„Wnosząc z niektórych szczegółów — powiada — zdaje mi się, że prosty chłop w pobliżu Krakowa po części ma się lepiej, niż we wsiach nadgranicznych. I tu atoli już się spotykasz z niektóremi obrazami najnędzniejszych w świecie budowli. Dalej za Krakowem, jak mi mówiono, są one prawie powszechne. Domy te budują z chróstu, ściśle ze sobą splecionego. Dach, jak i same chróściane ściany podtrzymują słupy i belki. U mieszkań, które mają być cieplejsze, oblepiają chróst gliną a potem pobielają ściany. Takie mieszkalne domy wyglądają potem jak zwykłe wiejskie chaty. Większa część, nawet świeżo wystawionych domów, w tej okolicy nie ma nawet komina; już z tego można mieć wyobrażenie o nędzy tego chłopstwa. Schodziłem kilka razy, żeby te nędzne chałupy nieco bliżej obejrzeć. Są one zwykle jak w górnym Szlązku z drzewa, belka leży na belce i to przeważnie okrągłe nieociosane drzewo.

„Te belki czyli pnie mają na obu końcach głębokie wręby, a w tych wrębach osadzają poprzeczne belki, także w tem miejscu

nieco wcięte. Na każdym rogu więc wystaje na szerokość ręki szereg na sobie ułożonych i w drugi szereg niejako zagłębionych *(eingesenkter)* pniów. Strzeliny zwykle zalepiają gliną, cały dom bielą białą glinką i tym sposobem nadają mu złudny pozór. Staranniej jeszcze jest wnętrze wybielone. Dorocznie po kilka razy powtarzają to bielenie. Mnóstwo dymu wymaga koniecznie tej czynności, a tania cena tej glinki umożliwia ją. Dach jest rzadko ze słomy, lecz składa się z deszczułek na łokieć długich, drewnianemi gwoździami przytwierdzonych, znacznie dłuższych od zwykłych dranic. Tu i owdzie widać także porządne drewniane dachy.

„W izbie znajduje się komin i czasem też piec, który jest często albo raczej zwykle piecem do pieczenia chleba. Ogień na kominie i w piecu wyrzuca dym przez otwór do sieni. Tam przeciska się wszędzie na dwór, gdzie znajdzie przeciąg, pomiędzy ścianą z pni a dachem. Zaiste, pierwotne budowle pierwszych mieszkańców na ziemi nie mogły być o wiele prostsze, i koczujące hordy zatrzymując się na jakiem miejscu nie mogą posiadać o wiele gorszych chat. Nie można się zatem dziwić, że się wszędzie widzi ślady pożarów. Lecz tem więcej nas zadziwia, jeżeli i za naszych dni widzimy, że tak samo budują nowe domy. Sposób budowania z belek lub pniów tym dziwniejszym wydaje się w oczach podróżnika, im więcej spostrzega się tu wszędzie brak drzewa. Tak to w Polsce zbywa na policyi! Prócz górnego Szlązka, gdzie jeszcze podobne chaty widać, nie znajdziesz pewno w Niemczech nic, coby z tem porównać można.

„Z budowli wnosić można o wszystkiem tem, co ona w sobie zawiera, o ludziach i sprzętach. Możnaby zresztą do tego dodać i bydło, które po części także mieści się w tych domach...

„Mimo że na to uważałem, nie mogłem jednak znaleźć znaczniejszej zewnętrznej różnicy pomiędzy Małopolanami a Niemcami w tych stronach, gdzie ich nie popiera ani żyzność gleby, ani fabryki, ani też korzyści prawa własności. Małopolanin nie jest wzrostu bardzo wysokiego, ani też dobrej tuszy, cery brunatnej, a dziewczynom zbywa na owej cerze, owym uroku wiejskiej młodzieży, który tylko występuje przy dobrem wyżywieniu i gdzie się człowiek nie przeciąża robotą. Młodość na wsi mija co prawda dość szybko, lecz takich nędznych kakochymicznych postaci ludzkich, jak wędrownych polskich żydów, pomiędzy chrześcianami znajdziesz tylko rzadko. Wielkopolanin zdaje się zresztą w żyznym swym obwodzie wyprzedzać dość znacznie pod względem fizycznym Małopolanina.

„Ubranie mężczyzn latem przy pracy składa się z pary spodni z grubego płótna, sięgających aż po za łydki. Nad niemi nosi prosty chłop grubą koszulę, i z tego składa się zwykle całe jego ubranie. Wielu z nich nosi jeszcze na koszuli rzemienny pas; i wtedy zwiesza się także koszula swobodnie aż do kolan, zakrywając spodnie. Bliżej Krakowa i w Krakowie samym widziałem bardzo często, że ludzie wiejscy noszą jeszcze na spadającej koszuli fałdowany fartuch płócienny, sięgający także do kolan. Fartuch ten otacza całe ciało naokół. W takim stroju widziałem w niedzielę chłopa siedzącego na koniu i popędzającego przed sobą zaprząg swój z wozem. W niedzielę i w inne dni po za wsią, zimą prawdopodobnie zwykle, noszą jeszcze długą sukmanę albo z grubego płótna, albo z sukna. Sukienne sukmany, wcale nie bardzo powszechne, zdają się być szczytem małopolskiego wiejskiego przepychu u mężczyzn. Sukmany te sięgają aż po za łydki, z przodu zapięte są na haftki. Sukienne mają zwykle obrąbek ze sznura jaskrawego koloru. Zresztą męzkie to ubranie niczem oryginalnem nie odznacza się, chyba tylko klinem w talii sznurem wyszywanym. W tym stroju nosi chłop polski zwykle swój pas na sukmanie sukiennej lub płóciennej.

„Na głowie z włosami mniej lub więcej naokoło ostrzyżonemi, nosi chłop polski tak samo jak jego *nobili* w każdej porze roku czapkę futrzaną. Na nogach w niedzielę ma bóty, które zamiast obcasów tak są obite kawałkiem zakrzywionego żelaza, że tym sposobem mają prawdziwy żelazny obcas.

„Ubiór kobiet i dziewczyn składa się z fałdowanej spódnicy z płótna lub sukna lub też wełnianej materyi. W dwóch ostatnich wypadkach obszywają czasami spódnicę kilkakrotnie tasiemkami. Widziałem to jednak tylko u tych, które z Galicyi przychodziły do kościoła do Krakowa. Prócz spódnicy nosi chłopka stanik płócienny z rękawami zamiast koszuli. Stanik ten jest to po większej części tylko węższa część koszuli, której dla oszczędności nie dano już reszty rzeczywistej koszuli. Stanik ten dochodzi do spódnicy, rzadko tylko bywa trochę dłuższy. W tym stroju pracują zwykle latem; Małopolanka więc ma tylko pół koszuli...

„Na tym staniku noszą jeszcze zwykle drugi z wełnianej materyi bez rękawów, a wtedy dość są podobne do niemieckich chłopek. Do pełnego stroju atoli należy jeszcze niejedno, przez co tym więcej różnią się od niemieckich wieśniaczek. Po za robotą domową, a więc po za domem, w kościele, a po części także przy robocie w polu noszą tutejsze kobiety, tak jak w górnym Szlązku,

bez wyjątku narzutkę z płótna więcej białego. Jest to właściwie biała chusta, którą zarzucają na siebie podwójnie w kształcie zarzutki. Widziałem ją czasami, czy w Małejpolsce nie pamiętam, obszytą koronkami. Tu i owdzie spotyka się także wiejskie kobiety, które w niedzielę także i latem noszą sukienny lub półsukienny kożuch z licznemi fałdami i długiemi aż do kolan spadającemi połami. Kożuch taki jest także obszyty kolorowym sznurem; ponieważ zaś ma talię, jest dość podobny do sukiennej sukmany mężczyzn. W Krakowie widać także czasami u ludu wiejskiego, pewno galicyjskiego, coś z kroju węgierskiego.

„Na głowie noszą wiejskie kobiety w całej Małopolsce w polu płócienne białe podwójne chustki o trzech końcach. Niektóre obszywają te chustki koronką, noszą splecioną kosę spadającą na plecy, w innych obwodach zaś ukrywają włosy, splotłszy je w warkocze, pod chustkę. Chustkę tę zarzucają na głowę różnemi sposoby zwłaszcza kokietujące kobiety miejskie, które ją także tu i owdzie noszą. Końce zwieszają się z przodu albo z tyłu, a czasem je też zwięzują.

„To ubranie głowy jest najpiękniejsze pomiędzy wszystkiemi, jakie gdziekolwiek po wsiach widziałem, zwłaszcza jeźli je dobrze ułożą i to tak, że nie zasłania twarzy. W całej swej doskonałości, jak je nosi elegancka miejska dziewczyna, wygląda ubranie to tak: z przodu nad czołem wydobywa się z pod chustki część pudrowanych włosów, a przy obu policzkach zawijane loki, na ramiona spada kosa pięknie spleciona, pudrowana i w kolorową wstążkę zdobna; po obu stronach zaś powiewają końce delikatnej, koronkami obszytej i tylko bardzo mało głowę zakrywającej chustki. Chustki te noszą także w Wielkopolsce i na górnym Szlązku. Tylko dwa razy widziałem je tak zręcznie zawiązane, jak tu opisałem: raz w Wielkopolsce, w Poznaniu czy w Kaliszu, i teraz w Wieliczce. Jak to w ostatniem tem miejscu daleko za tem prostem i pięknem ubraniem głowy stały modnie przystrojone głowy pań urzędniczek! Jedna z naszych monarchiń w państwie gustu uwieczniłaby się w świątyni Pandory, gdyby się jej udało przenieść to ładniutkie ubranie do naszych toalet. Polonezki przez długie lata zażywały znaczenia, czy nie możnaby sobie obiecywać tego samego po ubraniu głowy *à la Polonaise* równie pięknem, jak prostem...

„O ubiorach małych dzieci trzy lub czteroletnich nie ma co mówić, biegają bowiem przeważnie nawet bez koszuli... Już z tego widać dobitnie ubóstwo tych ludzi, co zresztą potwierdza się na

każdym kroku... Dla dzieci nie mają łóżek albo co najwięcej coś do łóżek podobnego. Prócz tego zbywa im prawie zupełnie na wszelkich domowych sprzętach. Ściany atoli izby mieszkalnej są prawie bez wyjątku świeżo pobielane.

„Biedny Małopolanin uważa kilka fajek tytoniu za bardzo znaczny podarunek. Mój towarzysz podróży miał zapas tytoniu i zjednał sobie za to nieraz gorące podziękowanie“.

A jakże okropnie sypiają biedni ci wieśniacy.

„Na wielkim piecu leżą na starem sianie ojciec i matka, brat i siostra, parobka i służebnej dziewczyny prawie nigdzie nie ma. Ławy naokoło pieca są zwykle dodatkami wspólnej sypialni.

„Przytłumione uczucie równości ludzkiej spostrzega podróżny częścią z niewolniczej, prawa ludzkości bezczeszczącej nieśmiałości tych ludzi, której aż za nadto nie widać u wolnego Niemca, częścią też z bojaźliwego starania, aby każdemu obcemu na gościńcu ustąpić z drogi i nie narazić się na samowolę i karę. O ile okoliczność ta podróżnemu nie raz staje się dogodną, zwłaszcza jeśli tu i owdzie hardość dumy niemieckiego chłopa dała mu się we znaki, o tyle znów w takich chwilach wyznać będzie musiał, że jest rzeczą oburzającą, patrzeć na takie poniżenie milionów braci.

„Zupełna próżnia mieszkań dla tych nędzarzy jednak byłaby za wielkiem szczęściem. Mieliby bowiem wtedy pod wpływem ognia latem i zimą na kominie płonącego i powietrze odświeżającego owe *pabulum vitae*: przyjemne, czyste powietrze. Lecz tu w ich mieszkaniach znajdują się świnie, cielęta, — a zatem jedyne szczęście, które biedny chłop ma przed mieszczaninem, czyste powietrze, niszczy mu nędza jego położenia“.

Potem przechodzi autor do opisu karczem i zajazdów, dodając, że wielkopolskie i małopolskie nie wiele się różnią od siebie. Wyjątki napotkać można w Małopolsce czasami, na głównych gościńcach prowadzących do Warszawy częściej, a na dobrach Czartoryskich z reguły, tam bowiem słyną wszystkie zajazdy.

„O gościnnych pokojach — powiada — o łóżkach tak samo myśleć nie może podróżny, jak o środkach zaspokojenia głodu. Zajazd w mieście lub na wsi różni się od innego domu tylko tem, że ma jednę wielką izbę, komin i wielką stajnię dla koni podróżnego. Kto przywiezie z sobą znaczny zapas żywności i inne potrzeby, może wprawdzie zabezpieczyć się przed niedostatkiem; kto atoli tego nie ma, znajduje się pod każdym względem w smutnem położeniu. Na prowincyi nie można dostać nawet słomy na posłanie, ani chleba a rzadko tylko piwo. Dla tego nie podróżuje

żaden Polak bez pościeli i bez służącego, któryby umiał przysposobić mu trochę mięsa, które z sobą przywiózł. Bogatsi wysyłają naprzód wóz z kucharzem, który wszystko przygotuje, jeźli nie mogą umieścić się u znajomego. W takim razie mają nawet z sobą podróżne obicia, aby w wielkiej gościnnej izbie kazać sobie zrobić coś nakształt polowego pokoju".

Kausch z towarzyszem swym, nie mając w tej podróży pościeli z sobą, w karczmie nie znaleźli nawet suchego siana, lecz spać musieli na wilgotnem, świeżo z kopic zwiezionem.

„Wielu Polaków zabiera z sobą, udając się w dłuższą podróż, hamaki, które każą przyszrubować do sufitu stajni, jeźli pora jest taką, że można noc przepędzić w jednem miejscu z końmi".

Dzieje się to głównie z obawy przed robactwem, którego pełno we wszystkich gospodach.

Opis Krakowa, zajmujący u Kauscha 40 stron, nie zawiera wiele ciekawego. Autor bawi się przeważnie w wolnomyślną frazeologią lub wypisuje z innych dzieł historyczne wiadomości albo też podaje opisy kościołów i innych budowli, wcale nie zajmujące. Przytoczymy tu tylko to, co pod jakimkolwiek względem zasługuje na uwagę.

„Przedmieście Kazimierz — powiada autor — połączone jest z Krakowem nędznym drewnianym mostem, prowadzącym przez stare łożysko Wisły. Most ten, stawiający wędrowca pomiędzy dwa pięknemi wieżami zdobne miasta, most, z którego patrzeć może z jednej strony na olbrzymi stary zamek w pobliżu a w dalekich przedmieściach na niejeden piękny kościelny gmach, zasługiwałby pewno, żeby go wybudowano w szlachetnym stylu z wiecznie trwałych płytów. Że się to nie stało, za to niech odpowiadają przed oświeconą potomnością geniusze dawnych wieków. Wtedy bowiem uważano budowę klasztoru i kościoła, mimo i tak już zbyt wielkiej ich obfitości, za większą zasługę, niż zabezpieczenie miasta w obec uciążliwych kosztów i okropnej potrzeby żywności, jakie zwalenie takiego znikomego mostu zawsze za sobą pociąga. Cóżby był Kraków na tem stracił, który i tak posiada w mieście i na przedmieściach około sześćdziesięciu kościołów i kaplic — niektórzy podają nawet 72 — cóżby był Kraków stracił co do sposobności do wypełniania pobożnych obowiązków, gdyby miał o dziesięć kościołów mniej, lecz za to mosty, któreby służyć mogły tak za pomniki dobrego smaku jako i dobroczynnych skłonności jego mieszkańców... Widok takiego nędznego mostu pomiędzy dwiema

wielkiemi częściami stolicy musi obudzać wstręt w każdym cudzoziemcu.

„Wrażenie takie o wiele mniej wywołał we mnie w pierwszej chwili widok patykowego mostu licznemi powrozami do obu brzegów przytwierdzonego a z wysokością wody albo spadającego albo się podnoszącego, mostu zawieszonego nad właściwą Wisłą pomiędzy Kazimierzem a Podgórzem. Powód, że most ten nie obudzał we mnie tak wstrętnego wrażenia, polegał na osobliwości tego widoku. Zadziwienie wyczerpywało siły mej duszy, dla wstrętu więc mało lub nic jej nie pozostało. Przy powtórnem oglądaniu tego dziwacznego mostu odezwałaby się pewno niezawodnie tak samo jak przy poprzednim niechęć na ten występujący tu kontrast pomiędzy błyszczącą świetnością a widoczną nędzą“.

Co do wielkości ówczesnego Krakowa dorównywa według Kauscha stare miasto i Stradom Lipskowi, cały Kraków zaś ze wszystkiemi przedmieściami równa się Wrocławiowi z tumem i Piaskiem bez innych przedmieść szlązkiej stolicy. Bądź co bądź, zasługuje miasto to zdaniem autora na nazwę „pięknej, wielkiej“ stolicy.

„Miasto to jest dość regularnie założone, ulice jasne i dość szerokie; domy murowane, trzy do czterech piętr liczące, najwyższe ich piętra nie kończą się gotyckim sposobem śpiczastym szczytem, lecz dach zakrywa włoskim sposobem tak zwana attyka. Pod tym względem ma miasto to co do dawnych swych budowli wiele podobieństwa do dwóch morawskich miast Berna i Ołomuńca i to niewątpliwie na swoją korzyść. Znaczna część domów jest świeżo wytynkowana, zamalowują wszędzie pstrokatą, tylko jeszcze w niemieckich miastach używaną zewnętrzną malaturą, nadając wszystkim nowo wybudowanym lub przemalowanym domom powłokę podobną do kamienia, dość jednostajną. Kraków ma piękny, wielki rynek i o wiele więcej pałaców niż Wrocław... Większą część tych pałaców udekorowano na nowo w szlachetnym stylu...

„Bruk miejski jest mierny, na nieczystość i złe odory przynajmniej za mego pobytu skarżyć się nie było można... Żydom nie wolno wcale mieszkać w starem mieście. Mimo to jednak nie zbywa tu na tak zwanych faktorach, skoro się tylko obcy pokaże; żydzi bowiem zajmują małe żydowskie miasto na Kazimierzu. Prawdopodobnie większa część czytelników moich dotychczas nie wie, że żyd w polskich miastach u każdego obcego odgrywa rolę najętego lokaja, agenta a nawet cycerona, wszystko pod nazwą

faktora. Ponieważ hotele tutejsze bez porównania lepiej są urządzone od poznańskich; ponieważ wszystko nawet Polak tutejszy ma w sobie więcej niemieckości niż tam; ponieważ na pierwszy rzut oka tutaj w ogóle nie łatwo się przekonać, że się znajdujemy w Polsce; ponieważ wreszcie warszawskie pojazdy do najęcia pierwsze w całym świecie zajmują miejsce, zadziwiło mnie zatem nie mało, że tutaj napróżno szuka się takiej wygody. Kiedy więc wszystko wygląda tutaj tak po niemiecku, nikt się nie zadziwi, że znaczna część mieszkańców po niemiecku mówi a jeszcze znaczniejsza część zamieniła strój polski na niemiecki. Spotyka się tutaj sześciu do siedmiu po niemiecbu ubranych ludzi, zanim się zobaczy jednego ubranego po polsku. Stał tutaj także piękny pułk wojska. W ogóle nowe polskie mundury wyglądają znakomicie.

„Jeźli do wszystkiego tego dodamy jeszcze w myśli mnóstwo kościołów i kaplic, które w Krakowie napotykamy, jeźli prócz tego przyznać musimy, że jednak wiele z nich uderzają cudzoziemca albo swemi wieżami albo frontonami lub też olbrzymią wysokością lub wreszcie jakim innym szczegółem, to dziwić nam się wypada, że z sąsiednich prowincyi nie zjeżdża się do osobliwego tego miasta więcej osób z samej ciekawości".

Wymieniwszy to, co w oczach jego przemawiało na korzyść Krakowa, przechodzi Kausch do ujemnych stron miasta.

„Do nich — powiada — zaliczam drewniane rynny, które podczas deszczu zalewają wodą środek ulic a oczom przedstawiają widok nieprzyjemny. Policya nie powinna nadal pozwalać, żeby jak się to także w małych miejscowościach dzieje, prawie we wszystkich mieszczańskich domach szynkowano piwo. Okoliczność ta nietylko popiera skłonność do pijaństwa, lecz robi także gospodarzy nieporządnymi i niedbałymi w rzemiośle. Dobrzy mieszczanie oddają się wydzierżawianiu szynku i usuwają tym sposobem roboczą swą siłę rzemiosłu. Zwyczaj ten, i w Szlązku jeszcze rozpowszechniony, w małych miasteczkach robi dużo złego; dla wielkich miast zaś, jak Kraków musi być zgoła zgubnym. Powinna też policya, o ile się to da zrobić, powstrzymywać za pomocą dobrych przepisów i ścisłego ich przeprowadzenia tak rozpowszechnione pijaństwo... Nie mało to obraża oko cudzoziemca, kiedy w niedzielę na każdej ulicy spotyka po kilku pijanych.

„Bigockie odspiewywanie nabożnych pieśni przy drzwiach w domach i pod bramami, aby wydostać jałmużnę, jako i mnóstwo żebraków — wszystko robi niekorzystne wrażenie nie tylko na cudzoziemca, lecz pewno i na każdego prawego krajowca.

„Że kler tutejszy w gałęzi duchownej policyi jeszcze nie zrobił wielkich postępów, wnioskowałem z niegustownego przeładowania większości kościołów. Dowód na to widzę także w natarczywem kropieniu wodą święconą. Radzę każdemu cudzoziemcowi, aby krakowskiego kościoła Panny Maryi nie zwiedzał w sukiennym, nie zmoczonym jeszcze surducie. Cudzoziemskim paniom i pannom zaś, które dbają o swą fryzurę, w szczególe jeszcze daję radę, aby się poprzednio dowiedziały, w którym kościele obchodzą się nieco ekonomiczniej ze święconą wodą, jeźli się nie chcą wystawić na to, że z loków ich spływać będzie woda. Nawet na Szlązku, który przecież pod tym względem stoi najniżej w Niemczech, nie napotkałem nigdzie takiego postępowania, żeby na pobożnego człowieka z ogromnego kropidła spadała od razu cała kaskada wody... Spodziewam się, że ten mój opis podróży obije się także o uszy polskiej publiczności, liczę na wdzięczność krakowskich piękności, gdyby na tamtejszy kler te moje uwagi jaki korzystny wpływ wywarły“.

Po takich ogólnych, nie bardzo głębokich uwagach podaje nam autor dość długi ale wcale nie ciekawy opis katedry na Wawelu, do którego wplata niektóre historyczne wiadomości, zwłaszcza o biskupie Nankerze. Potem przechodzi do biblioteki uniwersyteckiej, wychwalając ówczesnego bibliotekarza znanego Przybylskiego jako uczynnego człowieka i biegłego zarządzcę biblioteki.

„Biblioteka — powiada tutaj — składa się z dość wielkiej sali, zawierającej drukowane książki, i drugiej mniejszej, w której znajdują się same rękopisy“. Ilość książek oznacza autor, polegając na zdaniu bibliotekarza, na 15.000, manuskryptów na 4.000.

Pomiędzy rękopisami wymienia jako te, które sobie zanotował, „pergaminowy, bardzo stary ale znakomicie pisany mały brewiarz. Znajdują się w nim prześliczne inicyały z małemi duchownemi figurami, przedziwnie wykonanemi. Są to miniatury tak znakomite, że służyćby mogły za obrazki do brylantowych pierścieni. Książeczka ta musiała kosztować ogromną sumę“. Potem wymienia beatyfikacyjną bullę św. Jana Kantego i opisuje ją, nie znając się widocznie na paleograficznych stosunkach średnich wieków, dalej pergaminowy rękopis Lucana z XIII wieku, wreszcie znany wielki rękopis, tak zwany rękopis Twardowskiego.

Załatwiwszy się z biblioteką, podaje krótki opis kościoła P. Maryi, a potem zamku. „Na wielkim placu — mówi dalej — ma Kraków jeszcze parę wielkich gmachów, ratusz bardzo brzydki

i bardzo piękne długie sukiennice, jakie mało gdzie znajdziesz. Jest to ogromna sala, lecz większa część drzwi jest zamknięta, bo handel suknem znacznie się zmniejszył. podczas gdy dawniej znajdował się w stanie bardzo kwitnącym. W ogóle teraźniejszy handel Krakowa z wyjątkiem handlu winem węgierskiem nie ma znaczenia. Wosk, miód, łój są głównemi jego przedmiotami. Zapasy wina mają być ogromne. Kupcy zwykli teraz urządzać swe składy w sąsiedniem cesarskiem Podgórzu. Cały Kraków, a zwłaszcza kupiectwo spodziewało się po dokonanej na dniu 3 maja tego roku rewolucyi najkorzystniejszych skutków dla dobrobytu całego państwa, a zwłaszcza rozwoju handlu. W dzień św. Stanisława (1791) wyprawiło tutejsze mieszczaństwo festyn czyli bal w sukiennicach. Zjechała się na ten bal szlachta z pobliża, biorąc w nim udział w sposób dotąd nieznany, aby tym sposobem zadokumentować swoje zadowolenie z nowej konstytucyi. Potem kazało się mnóstwo szlachty przyjąć pomiędzy mieszczan. Wiele pieniędzy, wiele szlachty, liczne towarzystwo, piękne ogrody — są to rubryki, które do zakwitu i ozdoby tego miasta niewiele się przyczyniają. Zaczęto tutaj zakładać klub, lecz właściwy wielu tutejszym mieszkańcom luxus i skłonność do butelki znów go rozbiły".

Przy końcu swego opowiadania przytacza Kausch ciekawy ustęp z nieznanego nam opisu podróży po górnym Szlązku porucznika inżynierów Hammarda, który podróżując i po Polsce, tak się wyraża o stanie mieszczańskim:

„Stan mieszczański, który tutaj obejmuje także rzemieślnika, mógłby dla taniości towaru, obałamucającego oczy i bardzo poszukiwanego, być tutaj jeszcze najszczęśliwszym i najżywotniejszym, gdyby pomiędzy ludźmi tymi mniej panował luxus i gdyby żądza zabaw i wygodnego życia nie była pomiędzy nimi tak samo rozpowszechniona jak w Rossyi. Jedyny jeden dzień pochłania cały zarobek, który rzemieślnik przez tygodnie i miesiące zaoszczędził, cały ten zarobek oddaje on na pastwę częścią przepychowi i modzie, częścią rozpuście, a ubóstwo, w którem się wieczorem takiego dnia znajduje, staje się dla niego ostrogą do nowej pracy. Tej chorobie podlega zwłaszcza cudzoziemiec, mianowicie Niemiec, który dobrocią i zgrabnością swej roboty przyciąga do siebie kupujących, lecz za to zdziera za nią więcej jak po żydowsku i nadyma się nieznośną pychą, pokrywającą często wraz z największą bezczelnością jego oszustwa. Prawie każdy niemiecki rzemieślnik i artysta, który się po roku wydrapał z ubóstwa, jakie przyniósł z sobą, osiedlając się pomiędzy tym narodem, popada niebawem

w ten extrem. Nigdy nie widziałem więcej grubijaństwa w parze z oczywistem oszustwem niż pomiędzy tym rodzajem moich rodaków w Polsce i Rossyi. Skutkiem tego jest zła reputacya, podejrzliwość obu narodów do Niemca, którego zwykle nazywają tu przydomkiem: grubijański Niemiec, rozciągając przesąd ten na cały niemiecki naród. Ani Polak, ani Rossyanin nie są tak niebezpieczni jak owi Niemcy, przynajmniej nie tak bezczelnie grubijańscy. Z nimi prędzej przyjść można do ładu, a — co jest rzeczą najdziwniejszą przy małym zarobku, jaki im pozostawiają cudzoziemcy — w przecięciu mają się oni lepiej od niemieckich przemysłowców".

To ciekawe zdanie Hammarda, Niemca, o zamieszkałych w Polsce i Rossyi niemieckich rzemieślnikach i kupcach potwierdza w zupełności Kausch, dodając, że mało który z nich stanowi wyjątek.

Dodatek do dziennika podróży Ulryka Werduma.*

Pan Antoni Schneider, zasłużony autor *Encyklopedyi do krajoznawstwa Galicyi*, udzielił mi łaskawie całego szeregu uzupełnień i wyjaśnień do dziennika podróży Ulryka Werduma, który, z wdzięcznością go przyjmując, tutaj podaję.

W opisie Lwowa (str. 82) mylnie Werdum mówi o klasztorze „Franciszkanów św. Antoniego padewskiego", jest to klasztor Franciszkanów św. Krzyża. — Jakobinów we Lwowie nie było; byli zaś Paulini u św. Piotra. — Wieś *Kurnivit* (str. 84) jest to wieś Krowica. — Wieś *Sartschyn* (str. 110) jest to Sarzyna. — Wieś *Ocho Swidnitza* (str. 112) są to właściwie dwie wsie: Wielkie Oczy i Świdnica, które Werdum złączył w jednę. — Opis drogi od Wawrzęczyc do Śmietany (str. 132) pobałamucił autor; wymieniona tam wieś Wojnice będzie to Wojnicz leżący za Starem Brzeskiem, ale nie nad Wisłą. — Kaplica *Piökla* (str. 133) będzie to dzisiejsza wieś Lipie z kaplicą. — Wieś *Slinzna* (str. 134) jest to Słocina. — Wieś *Jakmica* (str. 135) jest to Jakimów do parafii wyżniańskiej należący. — Opactwo na str. 136 wspomniane jest to klasztor Bazylianów w Uniowie. — Wieś *Vloski* (str. 137) jest to Łoszniów. — Czernichów (str. 137) będą to pewnie Czarnokońce, gdzie się na polach znajdują jeszcze ślady obozowiska. — *Czernilowza* (str. 158) jest to Czerniłów mazowiecki, obok niego Czerniłów ruski. — Seret (str. 159) wypływa o pięć mil wyżej,

niż podaje Werdum, z dwóch źródłowisk we wsi Seredec. — Miasta *Krasnopolis* (str. 160) dziś nie ma. Jest to dzisiejsza wieś Teofipolka, którą po zniszczeniu nowozałożonego miasteczka także Krasnopolka zwano. Nazwa Teofipolka pochodzi od Teofili z Potockich Moszyńskiej. — Złota Lipa (str. 161) wypływa z pod Złotej Góry pod Złoczowem, od której wzięła nazwę Złotej. Z pod Gołogór dochodzi tylko nieznaczne źródłowisko Lipy. — Rzeka u Kummersberga Sołotwina zwana (str. 164, nota 2) nazywa się w rzeczywistości Gołogórka albo Olszanka. — *Perisbasty* Werduma (str. 164) zwią się w rzeczywistości Pietrycze. — *Odzernim* Werduma (str. 173) jest to wieś Jezierzany, przekręcona nazwa Werduma powstała z ruskiej nazwy Ozeriany. — *Siewetszan* (str. 173) jest to wieś Żywaczów, dawniej Siewaczów zwana. — *Damschitz* (str. 173) zamek są to Dańczyce, dziś pole nad stromym brzegiem Dniestru. Z dawnego zamku pozostały tylko szczątki okopów, reszta już zaorana. — *Perokowki* (str. 184) jest to dzisiejsza wieś Mądzielowka, dawniej Perohowka zwana.

REJESTR
osób, miejscowości i ważniejszych przedmiotów.

TREŚĆ.

ERRATA.

Str.	46	w.	8 od dołu	zamiast	*Lisowic*	czytaj	*Łyszkowic*
„	78	„	1 „ „	„	*na wschód*	„	*na wschód i na zachód*
„	112	„	5 „ „	„	*Canvallaria*	„	*Convallaria*
„	131	„	8 „ „	„	*siechowskiego*	„	*sieciechowskiego*
„	132	„	13 od góry	„	*Zabarów*	„	*Zaborów*
„	165	„	4 od dołu	„	*Bokrowa*	„	*Pokrowa*
„	175	„	8 „ „	„	*Perejny*	„	*Perejmy*